

JÓZEF HEN



CRIMEN

OPowieść sensacyjna z XVII wieku

INSTYTUT
WYDAWCZY
ERISCA

JÓZEF HEN

CRIMEN

Opowieść sensacyjna z XVII wieku

ROZDZIAŁ I

Nadszedł ów człowiek od północnej strony, od wąskiej uliczki, co ją rymarze zajmowali. Stałem ukryty za framugą okna i widziałem z góry, jak nadchodzi, smukły, jak kot, co się podkrada, szablisko u boku podtrzymywał, żeby pałętając się nie zawadzało. Idąc rozglądał się zdziwiony, niepewny, co tu się właściwie dzieje, bo chyba jeszcze nic takiego mu się w życiu widzieć nie przydarzyło: żeby domy tak martwo stały, bez ludzkiego w nich oddechu – jakby zaraza je nawiedziła. Dziadus siedział na ławie pod ścianą, daleko od okna, i nie mógł widzieć, jak ów człowiek nadchodzi, a ja nie od razu mu powiedziałem, żeby się zaś nie wystraszył. A najpierwem tego przybysza usłyszał, bo zanim się pokazał, już kroki dudniły na klepce drewnianej, którą ulicę tu wyłożono, w całym Sańsku echem się rozlegało, ale Dziadek nie słyszał, bo na uszy stary. Powiedziałem:

– Dziadku, pojrzyjcie, człowiek jakiś.

Dziadek uniósł się z ławy i spojrzał przez okno, ale nic nie dostrzegł, bo i na oczy stary. Spytał:

– Mąż to czy niewiasta?

– Mąż.

– Tutejszy jakiś?

– Nie, dziadku, nietutejszy. Tutejszych nie ma, wszyscy pomknęli.

– Prawda, prawda, ale ty nie wysuwaj się, bo cię przydybie – przestrzegł Dziadek. I ślinę przełknął, bom właśnie rybę w kuchni smażył, com ją rankiem w Sanie był złowił, więc zapach się miły po pokojach rozchodził, i spytał Dziadek niecierpliwie:

– Prędko strawę wyguzdrzesz?

A ów stał pośrodku rynku i rozglądał się, coraz bardziej swoją samotnością zdumiony. Jak w śnie dziwnym, wznosiły się dokoła niego domy drewniane niby pudła puste i ciszą odrętwiałe. Tylko kot czasem niespokojnie miauknął albo ptak poruszył gałęzią i kwieciami nastręcał, bo nasadzili oni w Sańsku na ryneczku jabłoni i wiśni, i wszystko to właśnie kwitło haniebnie. Podałem Dziadziowi rybę z grochem, com go, znalazłszy w komorze, z czosnkiem ugotował i przetaił. Dziadek rzucił się na to zgłodniały, palcami rybę darł i do ust wpychał, i wodą kryniczną popijał. Nagle jeść przestał i zerknął nieufnie w stronę okna.

– Szlachcic to? – spytał.

– Szablisko ma ogromne – powiedziałem.

– Każdy zbój ma szablę, a szlachcicem być nie musi.

Musiałem Dziadziowi przyznać rację, bo ów mąż na rynku kim jest, wyrozumieć nie można było. Tom tylko stwierdził, że wymizerowany. Wąs miał czarny i zarost mocny, dawno nie golony, choć jeszcze nie brodę. Skórzany kaftan wytarty do cna, buty też szmat drogi musiały pokonać. Pieszko tu przyszedł, myślałem sobie, a chociażem był mały, przecież to wiedziałem, że szlachcic nierad w drogę bez konia ruszy.

Zastukał do jednych drzwi, do drugich, wrócił na środek rynku, jeszcze raz przebiegł wzrokiem po pustych oknach.

– Hej! – krzyknął stojąc w słońcu. – Hej, wy! – Odczekał chwilę i znowu: – Hej, ludzie!

Ale nie za głośno. Niepewnie jakoś krzyczał. Głos miał zdarty, przecież miło brzmiący. Dziadek nic nie słyszał, jadł i mlaskał. A onemu mężowi na rynku gorąco się widać zrobiło, bo uszedł z jasności w cień drzew, rozpiął pas i rzucił go pod pień jabłoni, rozpiął kaftan i wtedy kolczuga się ukazała, wprawdzie podarta, ale przecież...

– Dziadku – powiedziałem. – Pewnie rycerz, bo druciankę na sobie ma.

– A ty uważaj przy tym oknie, bo się sekret wyda – przestrzegł znowu Dziadek.

– Nie znajomy ci on? – spytał bojaźliwie.

– Nie.

– Nie Hlebowicz to przebrany?

– A Hlebowicze ludzie możni? – spytałem.

– Ho! – zawołał Dziadek. – Ho, ho!

– Ten biedny...

– To dobrze – uspokoił się na chwilę Dziadek. Ale zaraz zatrwożył się:

– Do wszystkiego oni zdolni, do każdego szalbierstwa, zapamiętaj!

– Wiem, Dziadziu.

– Będziesz mi wierny, to ci imię całe zapiszę. Panem zostaniesz nad Niemnem najbogatszym.

– Ja wiem, Dziadziu, ale ja bym chciał szybciej do Ziemi Świętej.

– Dojdziemy – zapewnił Dziadek.

– Daleko jeszcze? – spytałem.

– Sporo. Sił w tych komnatach nabierzemy i dalej w drogę. Na święty Marcin będziem.

Ten człowiek siedział oparty o pień jabłoni i pożywiał się tym, co w saku ze sobą przyniósł. Jadł zamyślony i chyba bez upodobania, czy że specjały to były żadne, czy też troskami zgnębiony. Nagle cofnąłem się w głąb pokoju, bo mi się zdało, że on patrzy w moją stronę i to tak, jakby mnie dostrzegł.

– Na święty Marcin zimno – powiedziałem ukrywszy się za framugą.

– Tam zawsze ciepło – uspokajał Dziadek.

Ow człowiek na rynku nagle wstał, okruchy z kaftana strzepał i znowu spojrzął w stronę naszego okna. I naraz, chwyciwszy pas i szablę, dźwignął się.

– Idzie! – zawołałem.

– Kto? Dokąd? – Dziadek obruszył się, jakbym go ze snu wyrwał. Pewnie myślami był w Ziemi Świętej albo zgoła w trybunale, Hlebowiczów niecnym gromiąc.

– Ów człowiek! Ku nam idzie!

– To od nich! – zaskowytał Dziadek. – Nasłali, zdrajcy! Ukryj mnie, ukryj, Cyrylku, na wdzięczność zarobisz...!

Ten człowiek już do drzwi na dole stukał, a że nikt się nie odzywał, nacisnął klamkę, drzwi ustąpiły i zaraz schody zaskrzypiały. Dziadek dosłyszał.

– Wspina się – szepnął.

Zdążyłem powiedzieć:

– Uspokójcie się, Dziadziu, on dym zobaczył i dlatego ku nam się zwrócił. Usta obetrzyjcie, bo niechędoźnieście jedli.

Dziadek posłuchał bez urazy, usta zaczął obcierać i właśnie kiedy to uczynił, drzwi się otworzyły i ten człowiek stanął na progu. Zmierzył nas spojrzeniem posępnym i nieufnym. Dziadek się zestrachał tak, że się w ścianę omal z ławą nie wcisnął, i tylko wodził za onym przybyszem poczerwieniałymi jak u chorego ptaka oczyma. Ów stał i milczał. Nagle wargi mu spierzchnięte rozmiękły, nosem pociągnął.

– Ryba? – spytał.

Kiwnąłem głową. On do sionki przeszedł, popatrzył, do izby wrócił i powtórzył, teraz już głośniej:

– Poczęstujesz?

– Bierzcie, panie.

A Dziadek milczał, jak to jego zwyczajem przy obcych ludziach.

Położył ów rybę na jęczmienny placek, który z saka dobył, i przez chwilę jadł wcale się nie odzywając. Dziadek pozierał poczerwieniałym okiem i

dychał głośno.

– Ty łowiłeś? – spytał ów człowiek.

– Ja – pochwaliłem się.

– Wędką czy węścierzem?

– Rękami.

– Zręcznyś!

– W Sanie ryb chmara. I w Strwiąży są – dodałem modestię udając, a z pochwały zadowolony.

– Ludzie gdzie? – spytał on.

– Mieszczanie? – upewniłem się.

– No, o mieszczan pytam, pewnie.

Spojrzałem na Dziadusia, ale on milczał, tylko powietrze otwartymi ustami głośno łowił. A może go już przy nas nie było, może znowu z rodziną i Hlebowiczami wojował. Odpowiedziałem:

– Uszli.

– Przed Tatarami? – spytał przybysz.

– Nie, panie. Przed swoimi.

– Czemu to? – spytał ów gość, lubo bez zdziwienia, jeść nie przestając.

Dziaduś milczał, to ja odpowiedzieć musiałem:

– Chorągiew ma tu na stancję zjechać... chleb wybierać.

– I dlatego? – mruknął przybysz.

– Dlatego. Zabrali się i poszli.

– Ale widzę, że nie ze wszystkim. Stoły, ławy, łoża zostawili.

– Z węzełkami i chudobą poszli – powiedziałem.

– A dokąd?

– Gdzieś na południe, do bukowych lasów. Ale tego lepiej nie rozpowiadać – zastrzegłem się.

– A to piękna impreza! – zawołał ów człowiek, oczy mu się zaświeciły, teraz zauważyłem, że niebieskie były w onej ciemnej oprawie, a lepiej mu się przyjrzawszy odgadłem, że młody jeszcze, chociaż zarost czarny tu i ówdzie srebrno błyszczał.

– Słyszałeś kiedy o czymś podobnym? – radował się.

– Nie – przyznałem.

– Ja też nie, choćem starszy! Zabrali się i poszli! Chcecie stację wybierać, panowie rycerze, to sobie wybierajcie, ale bez nas! A to się rotmistrzowie zdumieją...! Wszyscy poszli! – dopytywał się ciekawie.

– Wszyscy. Ani cielaka, ani kury nie zapomnieli.

– A wy czemuście tu zostali?

– My nic stąd.

– Goście w cudzej izbie?

– Goście – potwierdziłem.

– Nieproszeni jak i ja – mruknął. – I długo tak macie zamiar cudze kąty wygrzewać?

Chciałem odpowiedzieć, wyjaśnić, że w drodze jesteśmy i że na święty Marcin Jeruzalem zobaczymy, ale Dziadek syknął na mnie.

– Milcz – chuchnął mi kwaśno w ucho. – Hlebowicz to, nie widzisz? Wysłała go pani małżonka, żeby mnie na arkan wziął.

Wcale Dziadusiowi nie wierzyłem, ale zmilczałem. Ów człowiek ości wyrzucił przez okno, na co wnet koty się zbiegły. A on przyglądając się rynkowi powiedział:

– Zmienił się Sańsk. Pobudowano wiele. Gospodarny jakiś lud tu mieszka.

– Kosturowcy – powiedziałem, bom był dzieciak i lubiłem się pochwalić, że wiem.

– Kto? – nie zrozumiał przybysz.

– Heretycy, co miecza nie przypasują, tylko kostury noszą. Nurkami ich przezywają.

– Nowochrzczeńcy – na to ów człowiek, który widać niejedno wiedział.

A Dziaduś teraz poglądał nań bystro. On przybysz zaś mówił zamyślony:

– Chorągiew każdemu miasteczku ciężka, ale tym w dwójnasób pewnie, bo chleb żołnierski za grzeszny uważają. Ja jeszcze tych zawłości nie rozumiałem, dwanaście roków mi było i czegom pragnął, to do Jeruzalem się dostać, do Grobu Pańskiego, za niewiernymi się uganiać, jak owi rycerze krzyżowi, co mnóstwa przygód doznali na lądzie i na morzu, zamków dobywając, smokom łby ogniem ziejące ucinając, a co przy tym księżniczek wyzwolili, co czarnookich muzułmanek rozamorowali...! Albo do Indiów popłynąć, pogan zbawiać wiarą prawdziwą, złota i niewolnic czerwonoskórych nawieźć, tegom chciałem, a to wiedziałem, że nie da się przy tym bez miecza żelaznego obejść. Zmilczałem więc i rozmowa byłaby się urwała, gdyby nie Dziaduś, który znienacka przybysza zagadnął:

– Tedy powiadasz, że znajomy ci Sańsk?

– Znajomy, ale trochę inny. Nowochrzczeńców, kiedym stąd odchodził, w nim nie było.

– Dalekoś odszedł?

– A was to czemu ciekawi?

– Ot, tak po prostu.

Przybysz usiadł przy stole. Chwilę przyglądał się Dziadziowi, w końcu odpowiedział krótko:

– Daleko.

– Czemu gadać nie chcesz? – spytał Dziadzius.

– Bo nie ma się czym chwalić.

– Wojowałeś?

– Nie ja jeden.

– Tedy pod Moskwą byłeś – dorozumiał się Dziadzius.

Znowu ów człowiek zastanowił się przed odpowiedzią. I znowu potaknął Dziadziusiowi:

– Tam.

– Z Maryny carowej wojskiem – odgadywał dalej Dziadzius.

– A ty, stary, jak wiesz?

– Tutaj jej strony – na to Dziad. – I twoje strony. Pewnie cię zwabiła. Babie czary. Babie intrygi – powtarzał. – Ze mną to samo! – krzyknął Dziadus. A gdy tamten nie odpowiadał, zmiarkował się, że z sekretu może się wyzbył, i od razu zjeżył się w sobie. – Tak, tak... – pomrukiwał, pewnie myśląc, że tym mruzeniem tamto, co już powiedziane, jakoś zamruczy. I zapytał: – A siłaś Moskali położył?

Ów przybysz spojrział na Dziadusia dziwnie, nie żeby ze wzgardą, ale przecież jak na nierozumnego. Podniósł się z ławy i podszedł do okna. Dziadus zaś, który wędrując ze mną zdążył mi się ze swoich przewag wypowiadać, przybrał ton dygnitarski Ginwiłłów godny.

– Szablę nosisz, młodzieńcze – rzekł – ale czyżeś szlachcic przynajmniej?

Przybysz nie odpowiedział.

– Szlachcic? – powtórzył pan Ginwiłł.

I tym razem przybysz milczał. Rozglądał się po izbie, jakby czegoś szukał.

– Wody nie masz? – spytał zwracając się do mnie.

W sieni beczka stała i z niej zaczerpnąłem wody do kubka, co go Dziadus w wędrówce swej u pasa nosił. Ów człowiek pił łapczywie, a wypiwszy uśmiechnął się do mnie. Potem powiedział:

– Dobra w tych stronach woda.

I nagle zastygł w bezruchu.

Chciałem coś powiedzieć, ale on mnie gestem uciszył. Dziaduś mruknął swarliwie:

– Responsu czekam...

I jego ów nieznajomy gestem uciszył.

– Konie – szepnął. – Jazda sroga...

Teraz i ja rozpoznałem. Nawałnica zbliżała się od zachodniej strony, od brodu, przez który droga na Hoczew prowadziła. Przybysz zajrzał niespokojnie do paleniska, ale nie było powodu do trwogi: żar stygł bez dymienia.

– Nie wysuwajcie nosa – poradził. – Ja będę popatrywał.

Staął za framugą okna, jak przedtem ja.

A ci tymczasem z tętentem i dzikimi okrzykami zbliżali się. Wpadli na rynek tratując kopytami dranicę, aż drzazgi leciały, tupot i wrzask bił o ściany domostw drewnianych, jakby kto na dziesiątkach werbli grał. Raptem się to wszystko poskromiło, tylko koń jakiś zarżał wizgotliwie, chrapania się rozległy, dzwonienie i szczęk żelastwa. Wysunąłem głowę spoza ławy, za którą był przycupnął, i widzę: w ordynku uszykowani są jeźdźcy przed jabłoniami, w dwóch szeregach, łeb przy łbie, konie powściągając niespokojnie, co przebierają nogami, ale przecież linię utrzymują. Było ich ze sześćdziesięciu w tej rocie i żaden szyszaka na sobie ani półpancerzyka nie miał, żaden w pikę nie zbrojony, jeno szabla, łuk, kołczan ze strzałami, kaftan skórzany i kołpaki lisie, wysokie. Buty na nich żółte, a płaszcze z szerokimi kołnierzami, te jedni mieli na sobie, inni u łąku zwinięte. Powiewała nad nimi chorągiew ogromna, czarno-czerwona.

– Hlebowicze to! – syknął z kąta wystraszony Dziadziuś.

– Nie, mospanie – zaprzeczył nasz gość. – Pana Lisowskiego wojsko.

– Boże, miej nas w swej opiece – ozwał się Dziaduś. I zaczął się modlić, ale chyba i Pan Jezus tego mamrotania zrozumieć nie mógł.

Tam zaś na rynku uderzono w werbel, tym razem naprawdę. Po czym zapadła cisza, tylko konie prychały i wróble między ukwieconymi wiśniami furkotały trwoźliwie. Oni tam na dole coś między sobą mówili. Ich głosy, gromkie i srogie, dobrze było słyszeć, echem się o domy odbijały, niosło je jakby w beczce drewnianej. Słyszałem, że klęli:

– Co u czarta, czemu żaden szołdra się nie pokaże? Nurki zatracone! Popędzimy ich własnymi kosturami do Strwiąży, będą mieli chrzest dodatkowy...! Zatrąb na nich! – rozkazał starszy. Wystąpił naprzód herold i zatrąbił. Dziadek dosłyszał i w kąt się wszył.

Ci zaś na rynku coraz niespokojniejsi byli.

– Nie łamać szeregów! – zagrzemiał czyjś głos. – Stać w ordynku!

Powściągnęli konie i wyrównali. Groźne to było wojsko, ale służbę znali.

Naszeptywali teraz między sobą i brzmiało mi to w uszach jak modlitwa głośna i nieskładna. Pięciu z nich, pewnie na rozkaz starszego, z koni zsiadło i rozbiegło się po domostwach. Wrócili po chwili meldując:

– Panie rotmistrzu, nie ma nikogo!

– Nagła krew...! – zaklął rotmistrz, chłopisko potężne, z mieczem katowskim u siodła. – Spenetrować ratusz!

– Nie mają kosturowcy ratusza – odpowiedział wesołym głosem rycerz smągłolicy, z wąsem czarnym, młody i smukły.

– Jakże tak? – zdziwił się rotmistrz. – Księżda mi sprowadźcie!

– I księżda nie mają – powiedział ów z czarnym wąsem.

Nasz gość, który u okna stał, zauważył:

– Jacek tutejszy, to wie.

A ja spytałem:

– Znajomy wasz?

– Od małego – odpowiedział krótko. – Dydyński, stolnikowic sanocki.

Na rynku pan rotmistrz, odkławszy swoje, zakomenderował: – Zajmować kwatery!

Natychmiast wycie i wrzask się podniosły. Jeźdźcy hałasując rozjechali się na wsze strony, zafurkotały spłoszone wróble, koty pomknęły oszalałe, a panowie rycerze, śmiejąc się i pohukując, do domów się instalowali, kto wierzchem, wprost do sieni, a kto i oknem, konia spiąwszy, wskoczył.

Wkrótce w sieni pod nami posłyszały się głosy. Zdrętwiałem w strachu. Dziadusiowi lepiej było, nie od razu dosłyszał. Ale ja już rozróżniałem brzęczenie ostróg i dzwonienie szabel. Rozprawiali głośno, wyrzekając na heretyków przeklętych, co miast wojsko obsłużyć, dezercerują przed nim nie wiedzieć gdzie. Pierwszy raz im się taka zniewaga przydarzyła, zrozumiałem z ich mowy, nieraz do bitki z łykami przychodziło, nieraz kazał pan pułkownik dla przykładu to wysmagać kogo, to powiesić u rogatek, to głowę uciąć, i zawsze potem był spokój i posłuszeństwo, chleb i sól, i ciepła pierzynka – słyszałem śmiechy gęste – tak, tak, ciepła pierzynka, oj, zdałaby się i teraz – znów śmiech, trochę jakby westchnieniem podszyty – ale żeby cała ludność przed nimi uszła, tak sobie po prostu domy opuściła, nie, takiego przypadku nie znali.

– Mówią, że nie znają podobnego przypadku – szepnąłem Dziadusiowi do ucha, a on odszepnął zadowolony:

– To poznają.

I zachichotał w rękaw, a nasz gość położył ostrzegawczo palec na ustach.

Zaskrzypiały schody i dorozumiałem się, że dwaj ku nam podążają. Spojrzałem na naszego gościa. Nie zobaczyłem strachu na jego twarzy, tylko skupienie, jakby hetmanem jakim był, co za chwilę ma wydać rozkaz do szturm. Ręką wskazał mi miejsce na ławie obok Dziadusia. Spojrzał z uwagą na drzwi, odległość ocenił, potem spróbował stołem poruszyć, pewnie czy się da od jednego razu przewrócić. Raz jeszcze mi dał znak

ręką, żebym siedział spokojnie, potem szablę na ćwierć głowni z pochwy wysunął i stanął za stołem. Otworzyły się drzwi, dwóch naraz się w nich pokazało, obaj z dobytymi szablami. Nasz gość tylko swoją ku nim przechylił i prawą dłoń na rękojeść położył. Chwilę trwało milczenie, ponure mierzenie się wzrokiem, słyszałem obok siebie głośne posapywanie Dziadusia i dobrze to, że słyszałem, bo jużem się bał, że z bojaźni pomarł.

– A to tak – zasyczał mniejszy wzrostem, a wiekiem starszy. – To tak – powtórzył. – Mamy ptaszyny. Szablę! – rozkazał wyciągając rękę w stronę naszego gościa. – Dawaj!

Nasz gość uśmiechnął się.

– Weź ją sobie – powiedział niedbale i wysunął jeszcze odrobinę głowni.

Przyjrzałem się twarzy owego mniejszego wojownika: cała była poznaczona bliznami, najstraszniejsza szła przez czoło nad prawym okiem, tak że je zniekształcała.

I czaszka jego, golona, srebrnym zarostem już świecąca, ile jej spod czapy pokazywał, też była bliznami pobrużdżona. Uśmiechem wzgardliwym próbował odpowiedzieć na uśmiech, ale że mąż był okrutny, jadowity, więc bardziej to do skrzywienia się było podobne. Powiedział tylko (a ja wtedy zmiarkowałem dopiero, że głos miał wysoki, krzykliwy, starobabski):

– Wezmę, nie bój się. Na wszystko przyjdzie czas... Najpierw odpowiedz na pytania!

Nasz gość głośno wsunął szablę na powrót do pochwy. Tak jakby już tego krzykacza nie miał się co bać.

– Słucham – powiedział.

– Heretyk? – spytał rycerz.

– Nie rozumiem waszmości.

– Pytam, czyś kosturowiec.

– Przecież mam szablę – odparł nasz gość.
– A ci dwaj? – lisowczyk wskazał na mnie i Dziadusia.
– Pątnicy do Ziemi Świętej.
– Szlachta?
– Nie wiem. Zostaw ich waszmość w spokoju. Starzec z głową popsowaną. A to jeszcze pacholę...

Skrzekliwy zerknął na mnie i ocenił:

– Konie mógłby napoić... A ty, panie rapierzysty, co tu robisz?
– Do domu idę.
– Daleko?
– Tak sobie. Waćpan kto jesteś, że tak indagujesz?
– Namiestnik Mikołaj Tarnawski herbu Sas.
– O, banita i infamis – powiedział nasz gość. – Czołem biję.
– Znasz mnie! – Pan Tarnawski zaśmiał się chełpliwie. – Ty zaś kto? Gadaj, bo będę musiał do komendanta zaprowadzić!

– Panie oficerze, nie waści to sprawa. Chcesz, mogę ci konie napoić, strawę ugotować, broń wyczyścić. Ale prezentować ci się nie muszę.

Wtedy ten drugi, młody i jasnowłosy drażał, co dotychczas milczał, odezwał się:

– Panie namiestniku, ciura to zbiegły, widać zaraz, niewygodą mu się ujawniać. Przyjmijmy jego służby.

– Tak myślisz? – zawahał się pan Tarnawski.

– Sługa droższy nam od rycerza, panie namiestniku.

Tarnawski zwrócił się do naszego gościa:

– Dobrze, możesz mi posługować... Ale na grosz nie licz.

– Nie liczę – na to ów człowiek. – O świcie ruszam w dalszą drogę.

Krnąbrnego nabył sobie sługę pan Tarnawski. Ale nie miał czegoś ochoty z nim zadzierać, wskazał mu prze okno konie swoje i tych towarzyszy

broni, co razem z nim sobie dom nasz na gospodę obrali. A hardy ów sługa obrócił się ku mnie. „Pójdiesz ze mną?” – spytał. „Pójdę” – powiedziałem uradowany, a on poczochnął mi czuprynę i rzekł: „Włosy trzeba, braciszku, wymyć, bo ci się robactwo zagnieździło”. A mnie się od tej jego troski tak uczyniło, że miałem chęć w rękę go cmoknąć.

Popędziliśmy konie ścieżką do Sanu, gdzie woda płytko po wygładzonych kamieniach się toczy i przejrzysta jak szkło weneckie. Słońce grzało mocno, rozżułem się, nogi w szczypiącej jak mróz wodzie wymoczyłem, on zaś traw narwał i pięty mi nimi odszorował. Konie napojone szczypały zielsko, a myśmy w słońcu się wylegiwali, ja o Dziadusi, z sekretu się nie spuszczać, opowiadałem i o Ziemi Świętej, i o onych rycerzach, co przed wiekami Jeruzalem białokamienne szturmowali. „Dobrze ci powiedział na to ów człowiek – masz cel przed sobą, i to taki, którego nie urzeczywistnisz”. Ale ja tych jego słów nie rozumiałem, bom był mały. Ale mi ciepło w sobie czuł od tego, że miałem przyjaciela. Bo Dziadus to nie to, rozumie, o sobie i swoich przewagach nadmiernie przemyślał i trzeba było o niego mieć staranie, a ja to chciałem, żeby ktoś tak o mnie. Wróciliśmy potem, konie na postronku prowadząc, rozgawędzeni, i ani spodziewać się kto mógł tego, co nas czekało. Wojownicy Lisowskiego nas mijali i pozdrawiali jak swoich, czasem któryś zażartował rubacha, ja w śmiech, choć i nie zawsze rozumiałem, na czym trefność powiedzenia się zasadza. Śmiałem się, bo mi dobrze było. Nawet wtedy, kiedy ów człowiek, mój nowy przyjaciel, zatrzymawszy się na ryneczku rzucił mi postronki i krzyknął: „Zaczekaj tu!” – nawet wtedy jeszcze byłem pogodny. Widziałem, że pobiegł w stronę wschodniej bramy, do zboru drewnianego, co go heretycy byli postawili, ale nie wiedział, po co. Nagle usłyszałem stuk siekier, podniecone głosy i zrozumiałem. Zostawiłem konie i pobiegłem za moim przyjacielem.

A on już był przy onych topornikach, już ich za ramiona chwycił, już krzyczał:

– Stójcie! Stójcie! Co czynicie?

Ci nadal toporami w ściany drewniane walili, ale że z mocnej były dębiny, to póki co, tylko drzazgi odłupywali.

– Odstąp i nie przeszkadzaj! – zawołał najstarszy z nich, człowiek niski i pleczysty.

– Nie chcieli nurkowie, byśmy u nich na stancji byli, to im zbór grzeszny zrąbiemy! – powiedział inny, napluł w garść i zamachnął się.

Mój przyjaciel chwycił go za ramię, tamten wyrwał się, ale wrywając targnął moim przyjacielem, aż ten uderzył plecami o ścianę i na ziemię się osunął. Ale wnet się zerwał i zawołał:

– Panowie rycerze, zaniechajcie rąbania, to bezprawie!

Oni otoczyli go kołem, pięciu ich było, a każdy z toporkiem w ręku. A z tyłu jeszcze kilku z wyciągniętymi szablami nadbiegło.

– A ty ktoś jest, że nam o bezprawiu gadasz? – zapytał któryś nasepiając groźnie oczy.

– Ktom jest, tom jest... a rąbać nie macie prawa!

– Pewnieś heretyk jak i oni!

– Na gałąź go! – krzyknął jeden z tych, co nadbiegli.

– Na gałąź!

– Zaczekajcie! – mitygował inny. – Niech wyznanie wiary uczyni!

Na to mój przyjaciel, odstąpiwszy krok do tyłu, powiedział:

– Na cóż wam wyznanie wiary? Przecież widzicie, że nie noszę kostura, jeno szablę! – I wyciągnął ją, i w pogotowiu dzierzył.

– Widzimy – przyznał lisowczyk. – To teraz odstąp i ujdiesz z życiem.

– Nie, panowie – na to mój przyjaciel spokojnie, prawie z uśmiechem. – To wy odstąpcie. Nie ma w Rzeczypospolitej takiego prawa, żeby

chrześcijańskie zbory z ziemią równać!

– Chrześcijańskie! – zawołał któryś oburzony. – W głowie ci się chyba pomieszało! Ani tam obrazu, ani ołtarza, ani kobierca na chwałę Pańską! Błuznierstwo to w takiej budzie modły odprawiać! Do dzieła, towarzysze!

I chcąc dać przykład, zamachnął się toporem, ale mój przyjaciel skoczył, szablą mu rękę podbił, tamten syknął z bólu i topór z dłoni wypuścił.

– Oszalałeś – powiedział lisowczyk krwawego miejsca dotykając. – Oszalałeś – powtórzył raz jeszcze. – Blekotuś się napił.

– Odstąpcie – powiedział przez zęby mój przyjaciel.

– Nie! Żywcem nie ujdiesz! – zaczęli wykrzykiwać.

– Panowie, związać go i zadźgać jak wieprza!

– Dajcie sznury!

– Sznurów, sznurów na szaleńca!

Już tam któryś przybieżał ze sznurami, już inny je przejął.

– Dalej, panowie lisowczycy! – zagrzewał ich mój przyjaciel. – Dalej! Dobrze tak! Dziesięciu na jednego! A to piękne wojsko! A to godni rycerze!

– Zamilcz, luterski sługo! My żołnierze Chrystusowi!

– Zali to Jezus kazał wam zabijać, palić i gwałcić?

– My żołnierze!

– Znam ja, jacyście żołnierze! Nie ma ani jednego, co by w pojedynkę wyszedł! No co, nie ma odważnych?

Tak wołał, pewnie by na czasie zyskać, bo już śmierć nad nim wisiała, a ja stałem w tłumie i płakałem. Wtedy jeden ze straszną twarzą, od ran i choroby zniekształconą, wyskoczył do przodu, szablą się zamachnął i byłby zabił mi przyjaciela, gdyby nie to, że ten obrócił się w miejscu jak fryga, jak bąk, jak tancerka na odpuście – i jak się nie zamachnie! I chociaż wszystkim się wydało, że na oślepie rąbie, to przecież patrzeć, a tu ze

świstem żelaza głowa leci. Człowiek zaś bez głowy chwilę jeszcze stał, przedziwnie długa chwila mi się zdała, usłyszałem szcęk upuszczonej szabli i wnet owo ciało bez głowy zważyło się.

Ktoś dziko wrzasnął i naraz chmara rycerzy opadła mojego przyjaciela, gołymi szablami napierając, on uskoczył, odmachnął się, oni za nim, błysk kling przesłonił go, on wił się, bronił, ciął zajadłe, szable wytrącał, ciosom umykał, kłuł i uskakiwał, ja płakałem bezgłośnie, łzy mi słone do ust ściekały, a on wciąż się jeszcze bronił, wciąż szablą ciął, ile tchu śpiesznego w płucach starczyło. Aż raptem zobaczyłem go w sznury wkręconego, jeszcze przez chwilę miotał się, ale sznury spętywały go coraz gęściej, uderzony zważył się na ziemię, ktoś nachylił się nad nim i wydarł mu szablę ze ściśniętej dłoni.

– No, toś nasz – sapnął jeden z nich.

Powróż mu okręcono w pętlę wokół szyi, ręce związane do tyłu, na nogi go postawiono i na ścianę pchnięto. Odbił się od niej, któryś doskoczył i pięścią zdzielił mojego spętanego przyjaciela.

Zachwiał się, ale ustał. A ten, który uderzył, spytał:

– Dobrze teraz?

Mój przyjaciel nie odpowiedział.

– Co wolisz? Od razu do piekła czy żeby się wprzód towarzystwo tobą zabawiło?

Mój przyjaciel nadal milczał. Wtedy ten, co uderzył, rzekł:

– Nie bój się, my ludzie godni. Powiesz, że masz różeg dosyć, to ci głowę utniemy i nie będziesz się męczył.

Zaszlochałem głośno na te słowa, a jeden z toporników, tęgi i spocony, warknął na mnie:

– Czego becysz? Baba jesteś czy jak? Idź, trzaśnij go w gębę, hartuj ducha...!

Szepnąłem:

– On związany.

A tamten mruknął:

– Związany, związany...

Ale zdawało mi się, że poczerwieniał i czy od słońca, czy że krew w nim się zagrzała, ale pot go oblał jeszcze bardziej.

Na to właśnie nadbiegł nasz pan namiestnik Tarnawski herbu Sas.

– Co tak ludno?! – wołał zbliżając się. – Zabawa jaka?

– Zabawa, mości namiestniku – przytaknął któryś. – Chyba trzeba będzie tego człowieka ku lepszym światom wyprowadzić.

Pan Tarnawski, ujrawszy mojego przyjaciela z powrozem na szyi, udał zdumienie.

– Tyżeś to, mój służko nieprzeplacony? A nie przepowiadałem ci takiego końca? – Tu pan Tarnawski spostrzegł mnie zapłakanego i zaskrzypiał: – A konie? Konie gdzie? Luzem się rozbiegły! Niech mi choć jeden zginie, to obu was na tej jabłoni powieszę! – Do owego lisowczyka, któremu ręka krwawiła, zwrócił się z pytaniem: – Co on wyczynił?

– Zboru heretyckiego przed toporami bronił. Mnie w rękę ciął. – I dodał, jakby sobie dopiero teraz przypomniał: – Sieheniowi, co go zaatakował, od jednego machu głowę odrąbał.

– Oho! – zadziwił się pan Tarnawski. I zaśmiał się skrzekliwie: – Taki wojownik! To co z nim, towarzysze, zrobimy?

– Głowa za głowę – odezwano się. – Jak w onym Piśmie, które sobie nurkowie tak oblubowali.

Pomyślałem: „A przecież Pan Jezus w swoim Piśmie wcale nie tak uczy”. Alem tego nie powiedział, bom był mały. Spytałem spoconego topornika:

– To będą mu głowę ucinać?

– A będą. Miłosierdzie tym okażą.

Przetarłem oczy. Nigdy jeszcze nie widział, jak się taka egzekucja dokonywa i nie chciałem widowiska tracić.

Naszło się teraz żołnierzy co niemiara. Ustawiono pieniek, stanął za nim mój przyjaciel, milczący, myślami jakby nieobecny, chociaż po ruszającej się żuchwie mogłem poznać, że to pozór tylko, że się w sobie zebrał, by godnie śmierć spotkać. A po obu jego bokach stanęli dwaj lisowczycy, ten niski, a w ramionach krzepki, z toporem, zaś pan namiestnik Tarnawski z nagą błyszczącą w słońcu szablą, własną bronią mojego spętanego przyjaciela. Ja oczy miałem suche, czoło od potu mokre i pić mi się chciało.

– Mości panowie, toporem go czy szablą? – spytał pan Tarnawski towarzystwa.

– Toporem!

– Szablą!

– Jeżeli rycerz, to szablą – powiedział ten z krwawiącą ręką, co mnie zadziwił tym, że był najspokojniejszy ze skazańca nieprzyjaciół. – Jeśli chłop, to toporem.

Więc pan Tarnawski zwrócił się do mojego spętanego przyjaciela:

– Widzisz, bratku, nie obejdzie się bez indagacji. Odpowiadaj: czyś jest rycerz?

Skazaniec nie odpowiedział.

– Przemówże: szlachcic jesteś?

Znowu nie odpowiedział. Wtedy pan Tarnawski:

– Kładź głowę na pieńku.

Mój przyjaciel ukląkł przy pieńku. Głowę posłusznie położył i czekał. Strasznie mi się pić zachciało. Krzyknąłbym, alem czuł, że głosu z bolącej krtani nie dobędę.

A pan Tarnawski zwrócił się do owego barczystego topornika:

– No to rąb. Raz, a dobrze.

Wtedy w tłumie ktoś odezwał się podniesionym głosem:

– Ja tego człowieka znam!

Inny zaśmiał się:

– Zagwojski zawsze wszystkich zna.

– Znam go – powtórzył ten z tłumu.

Był to całkiem jeszcze młody chłopak, jasnowłosy, nie tak dziko wyglądający jak jego kompanioni. Pośpiesznie się przez ciżbę przeciskał. Do pieńka katowskiego się zbliżywszy, głowę skazańca uniósł. Długo się sobie przypatrywali ci dwaj młodzieńcy, widziałem nieme oczy mojego przyjaciela, pociemniałe od czarnej oprawy, i dech wstrzymałem. Znowu łązy napełniły mi gardło. A ów Zagwojski powiedział, zwracając się ku towarzystwu:

– On.

Zdawało mi się, że byli tacy, którym to stwierdzenie ulgę przyniosło.

– Postarzał bardzo – mówił Zagwojski – i nie od razu mogłem go sobie przypomnieć. Panie komendancie, on pod Moskwą w sapieżyńskich wojskach się bił. Widziałem go tam.

– Sam widziałeś? – przepytano nieufnie z tłumu.

– Słowem ręczę! To jak, panie komendancie? – nalegał Zagwojski. – Przecież to żołnierz. Nasz kompanion.

– Wstań! – rozkazał pan Tarnawski mojemu przyjacielowi.

Ów wstał patrząc przed siebie bez bojaźni, ale i bez niepotrzebnej hardości. Miał przed sobą kilkadziesiąt czap lisich i wiedział, że od humoru tych ludzi życie jego zależy.

– Prawda to? – spytał pan Tarnawski.

– Prawda – odpowiedział mój przyjaciel chropowatym głosem.

– I miano jego znam – wtrącił młody Zagwojski. – Błudnicki po ojcach, waleczny żołnierz.

– Błudnicki? – przepytał namiestnik. – Z tutejszych stron?

– Od Sanoka – potwierdził mój przyjaciel.

– Tośmy prawie sąsiedzi – na to namiestnik. – Ale coś nabroił, toś nabroił. Nie mam ja potrzeby żywić niedobrego sąsiada. Kładź głowę na pieńku!

– Wasza miłość – na to zapalczywie młody Zagwojski. – Nie godzi się żołnierza bez sądu tracić!

– A jeszcze weterana wojsk carowej Maryny! – zawołał ktoś z tłumu.

– Naszego kompaniona!

– *Os de ossibus nostris!*

– A to, że innego kompaniona ściał, nie obchodzi was, zakute łby?! – krzyknął Tarnawski. – Siehenia głowa w błocie leży.

– Sieheń pierwszy na niego runął! – krzyknięto.

– Ale ten go zabił!

– Zabił, ale broniąc się.

– *In defensione vitae suae!* – dodał inny, z prawem widać dobrze obznajomiony, jak to często z opryszkami bywa.

– Mości panowie! – zaskrzeczał setnik. – A cóż to wy myślicie, że mi śpieszno ciury się pozbywać? Sługa droższy teraz od szlachcica...! Zaprowadzimy go na sąd do pana rotmistrza Pobidzińskiego! Ale u jego miłości, sami wiecie, krótka sprawa: gałęzie lubi kukłami obwieszać. Prowadzić go!

Ruszyliśmy hurmem do domu, gdzie starszyzna rotty gospodą stała. Pan Błudnicki z powrozem na szyi, obok ci topornicy, co mieli zbór zrąbać, jako najbardziej pomstą dyszący, ale przecież pozwolili mi do mojego spętanego przyjaciela się precisnąć i ramienia jego dotykać. On, idąc pośród tego

tłumu, czosnkiem i potem owłosionych ciał woniejącego, uśmiechał się do mnie, a ja prosiłem go szeptem:

– Wujku, nie umieraj... Wujku, pożyj jeszcze trochę...

Głową kiwnął, uśmiechem obdarzył i pewnie byłby mi czuprynę potargał, gdyby nie miał rąk spętanych.

Na ten rumor, któryśmy pochodem się zbliżając czynili, wybiegał z onego domu młody, smukły oficer – poznałem go zaraz, to był ten pan Dydyński, o którym nasz gość, z okna na rynek popatrzywszy, jako o „Jacku” był mówił. Wybiegł do nas rozchełstany, z gołą szablą w dłoni, wartownika mało co w pędzie nie wyróciwszy, ale kiedy ujrzał gromadę i jeńca na powrozie, stanął, usta ze zdumienia szeroko otworzył.

– Tomaszek! – zawołał. – Tyżeś to, szczenię? Z powrozem na szyi! W kożę się obróciłeś, pędraku? Niech cię! Albo może to nie ty?

– Ja, panie Dydyński – odezwał się jeniec i uśmiechnął się smutno.

– Czemu on tak? – zwrócił się Jacek Dydyński do namiestnika Tarnawskiego. – Jak zbrodzień jaki! Rozpętajcie go, to mój druh.

– Powoli, panie Dydyński – zaskrzeczał Tarnawski. – Powoli. Myśmy go tu na sąd przyprowadzili. Rotmistrz jest?

– Gdzie się, u diabła, miał podziąć?! – na to pan Dydyński. I jak nie wrzaśnie: – Panie rotmistrzu! Towarzystwo cię prosi!

Z domu doniosło się buczenie. Po chwili ukazał się na progu pan rotmistrz, chłopisko olbrzymie, w samej koszuli wpuszczonej w hajdawery, bosa, bez szabli, pewnie z drzemki wyrwany.

– Co się tu dzieje? – huknął od proga.

– Popatrz, panie Waclawie – rzekł Dydyński. – Tomek Błudnicki z powrozem na szyi.

– Tomek? Jaki Tomek? – nie zrozumiał pan rotmistrz.

– Błudnicki!

– Nie znam!

– Z Błudnik, panie Waławie – tłumaczył Dydyński. – Do jednych szkół chodziliśmy, ale ja kilka lat starszy.

– I co jeszcze? – pyta rotmistrz nieufnie.

– Pod Moskwą za sprawę carowej Maryny stawał. W sapieżyńskich wojskach! Dzielnie stawał!

– A, w sapieżyńskich! Jak tak, to pójdz w me ramiona, chłopaczk! Pobidziński jestem, słyszałeś?

– Słyszałem, wasza miłość – rzekł mój przyjaciel. I wykrztusił: – Czołem biję.

– W ramiona! Cześć i sława dzielnemu żołnierzowi!

I pan rotmistrz, ku dziwowi nas wszystkich, objął spętanego mojego przyjaciela i ucałował w oba policzki.

– Rozwiązać go! Powrozy zdjąć! – rozkazał.

– Wasza miłość, myśmy go tu na sąd gorący przyprowadzilim - wtrącił pan Tarnawski.

– No to co? Nie potrafimy go sądzić rozpętanego? Boimy się jednego sapieżyńca, ilu nas tu jest lisowczyków?

Zanim pan Tarnawski odpowiedział, już Zagwojski zabrał się do rozpętywania, a ja stałem obok i powróż, który mojemu przyjacielowi z szyi zdjęto, wziąłem i wokół pasa swojego okręciłem.

Pan rotmistrz spytał namiestnika:

– No to jak? Co ten młodzieniec nabroił?

– Rozkazowi mojemu się sprzeciwił – zaskrzeczał gniewnie Tarnawski.

– A to brzydko. Brzydko. Widać, posłuszeństwa nie wzbudzasz, panie namiestniku.

– Z dobytą szablą na toporników się rzucił!

– No i co? Dotrzymał mu któryś placu? – drwił rotmistrz.

- Sieheniowi głowę odrąbał – oskarżał dalej Tarnawski.
- Sieheń pierwszy zaatakował! – krzyknął ktoś z tyłu.
- Sieheń przymiotem był tknięty – mruknął pan Pobidziński. – Już mu niewiele życia zostało.
- Mała szkoda, krótki żal – zaśmiał się ktoś w tłumie.
- Tylko wojsko mi kaził! – dokończył pan Pobidziński. Powiódł wzrokiem po zebranych wokół towarzystwie. – To wszystko, co temu kawalerowi zarzucacie?
- Byłoby wszystko.
- No to koniec sądowi! Niewinny jak panna przed narodzeniem. Nie będziecie mi tu chyba przyjaciółmi moimi chojaków zdobić. Namiestniku, każ towarzystwu się rozejść.
- Jeszcze słówko – odezwał się mój cudem uratowany przyjaciel.
- Prosim – na to pan rotmistrz.
- A ze zborem jak będzie?
- Jakim zborem?
- Tym, co go ci żołnierze rąbać chcieli.
- Jak ma być? Chcą, niech rąbią. Co tobie do tego?
- O zbór poszło – przypomniał niedawny skazaniec. – Za ten zbór mało mi głowy nie ucieli.
- Co ci na tym zborze zależy? Przecieżeś nie heretyk!
- Nie! Ale...
- Kto go tam wie – szczechnął pan Tarnawski. – Głowę na pieńku położył ani się nie przeżegnawszy.
- I o księdza nie prosił! – krzyknięto z tłumy.
- Bez rozgrzeszenia na tamten świat się wybierał!
- Prawda! Bezbożnik to!

– Głupiście, i tyle! – zakrzyknął pan Dydyński. – Tym większa zuchwałość! Znam go, zawsze był śmiałek. I teraz też, potępieniem wiecznym zaryzykował, nie żeby jeno marnym życiem doczesnym! Zuch Tomaszek!

Mój przyjaciel zmilczał. Pan rotmistrz popatrzył na niego zatroskany.

– Widzę, chłopaku, że ci życie zbrzydło. Dobrze, zdarza się, ale mi powiedz, co za licho cię napadło, żeby na toporników moich się rzucać? Wystawili nas do wiatru nurkowie pohani, umknęli nam strawy i dziewcząt, to niech sobie chociaż drzazgi polecą na pociechę.

– To bezprawie – rzekł krótko mój przyjaciel.

– Głupiś, Tomaszku.

– Możem i głupi. Alem swoje wycierpiał, wasza miłość... I żal mi tego ludu. Na oczy ich nie widziałem, ale to gołym okiem widać, że pracowici i spokojni. Pod opieką królewską są...

– A toś trafił w płuć, synu – zaśmiał się rotmistrz. – Król Waza katolik zajadły i wszystkich tych sektantów strach jak nie lubi.

– Pewnie tak jest, jak wasza miłość prawisz. Ale nie mają sentymenty jego królewskiej mości znaczenia dla praw naszych. Król ma być ojcem całego narodu, musi jednaką opieką otaczać wszystkich obywateli. I tak czyni, choćby przeciw sercu. Wiele jest w tej Rzeczypospolitej nacji i wiar wiele, i niechby jedna przeciw drugiej powstała, piekło by się tu zrobiło... A waszmość, panie Wacławie, się królem zaśłaniasz jako heretyków pogromcą, ale sam nie zawsze byłeś przeciw nim... Przecieżeś w rokoszu stawał przeciw królowi, z niejednym kalwinem sprzymierzony.

– Tak było! – przyznał ochoczo pan rotmistrz. – Polityka, panie bracie! Raz tak, a raz siak! jak wygodnie... Pożyjesz, niejednego doświadczysz.

– Zbór trzeba zrąbać! – nastawał pan Tarnawski.

Rotmistrz zaśmiał się beztrosko.

– Słyszałeś przecież, panie namiestniku: upiera się chłopak, że bezprawie. Zostawić zbór w pokoju! – huknął rotmistrz. – Nie ma się co z tym śpieszyć. Albo wrócą tu kosturowcy i wtedy z nimi targi zaczniemy, albo na odchodnym cały Sańsk z dymem puścimy. Rozejść się, panowie!

Zaczęto się rozchodzić. Mój przyjaciel Błudnicki, otrzymawszy z powrotem swoje szablisko, zwrócił się do obu dowódców:

– Dzięki ci, panie rotmistrzu. I tobie dzięki, panie Jacku.

– Nie zajdziesz do nas? – zapraszał pan Dydyński. – Chodź, flaszę osuszemy.

– Nie mogę teraz. Starca mamy z tym chłopcem pod opieką.

– I konie musim sprowadzić, bo się rozbiegły! – przypomniałem.

– I konie sprowadzić – potwierdził pan Tomasz.

– To przyjdź o zmierzchu – zapraszał pan rotmistrz. – Przygody swoje opowiesz. A będzie komu – dodał znacząco. – Podjazdy posłałem, żeby młódek z okolicy nawieźli.

– Nie mogę, panie Waclawie – bronił się mój przyjaciel. – Pan Tarnawski mógłby im jeszcze krzywdę wyrządzić.

– Komu? – Olbrzymi rotmistrz nagle zrozumiał. – Ach, to ten chłopiec ze starcem chodzi...? Jak, panie Jacku, co ty na to? – dopytywał się i mnie strach wziął, bo było w jego słowach coś ukrytego.

– Ja nic – powiedział ów Jacek zimno.

– Nawiedzimy ich, co? – na to pan rotmistrz. – Nie oni do nas, to my do nich... Jak w przysłowiu o Mahomecie. Przyjdziemy po zachodzie słońca, panie Tomku! Wspomnimy stare dzieje... I na starego rzucimy okiem – dodał, a mnie mróz po kościach poszedł.

Szliśmy potem z przyjacielem moim przez rynek, trzymając się za rękę. Tak mi się wydało, że osłabł bardzo i gdyby nie ja, pewnie by na miejsce nie doszedł. Spytał mnie, czy się o niego bałem. „Tak – przyznałem

– okrutniem się bał, wasza wielmożność. Ale ty – powiadam – tyś się nic a nic nie bał i aż mi dziwno” – dodałem. Wtedy on mi zaczął tłumaczyć, że to zgoła nie tak. Jeno w pewnej chwili poczuł, że go z życiem nic nie wiąże, co pan Pobidziński dobrze odgadł, i że to już po raz wtóry rzecz taka się mu przydarzyła. A ja nie mogłem tego zrozumieć, bo według mnie to strasznie dużo cudowności na świecie było, a wszystkie chciałem zobaczyć i własną ręką dotknąć. Tak sobie gwarzyliśmy, kiedyśmy raptem usłyszeli, że ktoś za nami biegnie, i zaraz wołanie nastąpiło:

– Wasza miłość! Wasza miłość!

Kogóż to zowią miłością? – myślałem, a to wołali mojego przyjaciela, który wcale się nie zdziwił, tylko zatrzymał się i odwrócił. Biegł ku nam pan Zagwojski.

– Wasza miłość – wykrztusił ów młodzieniec zdyszany. – Wasza miłość nie wzięłybyś mnie do siebie? Na służbę – dodał pośpiesznie.

– Nie rozumiem cię, panie Zagwojski – powiedział cicho mój przyjaciel. Strasznie mi się wydał zniemożony.

– Czego tu nie rozumieć. Przecieżeś pan wielu majątności. Chciałbym do ciebie w służbę się zapisać.

– Wybacz, panie Zagwojski, ale wciąż nie rozumiem. Życie mi uratowałeś, to prawda, wdzięczność ci winienem. Daj odpocząć, to ci konia wyszoruję, wody naniosę z krynicy. Ale sam ja sług nie potrzebuję.

– Pewnie się mylisz, wasza miłość. Wrócisz do Błudnik, to będziesz potrzebował ludzi wiernych i bronią robiących.

– Dość ich tam będzie.

– Ale co ty o nich wiesz? Tyleś lat doma nie był, tam może wszystko dnem do góry wywrócone, dokoła zaś masz wilcze gniazda, osady zbójeckie, Żurakowscy, Rosińscy, Diablęta Stadnickie, Humanaj, Komamiccy, bezprawie i samowola. Weź mnie, wasza miłość, do siebie.

– Czemu to właśnie u mnie szukasz służby? – spytał ze znużeniem w głosie mój przyjaciel.

– Bo cię znam, wielmożny panie. Widywałem cię u carowej Maryny. Zdawało mi się, że mówiąc te słowa młody pan Zagwojski zarumienił się.

– To jeszcze nie powód – mruknął mój przyjaciel.

– Pamiętam cię w Dmitrowie... Jak jej przed pijanym żołnierstwem broniłeś. Tego ci, wasza miłość, nigdy nie zapomnę i jeśli cię kiedy opuszczę, to tylko dla niej.

– Zagwojski jesteś?

– Z Zagwoździa Jędrzej.

– Ech, Jędrək, Jędrək... Opamiętaj się! Cóż to Zagwojski dla Mniszchówny...? A jeszcze takiej, co carową moskiewską była.

– Wasza miłość, wiem to wszystko... ale polec mi dla niej wolno... Zresztą, nieraz ku mnie życzliwie pojrzała...

Mój wielmożny przyjaciel przez chwilę milczał. Potem odezwał się:

– Nie myślałem, że się jeszcze kto ku mnie garnać będzie. Cóż, skoro sobie życzysz, panie Jędrku, porozmawiam z rotmistrem.

– Uczyń to, uczyń! – zaklinał go Zagwojski. – Ja już tu dłużej nie mogę... Okrutniki to, łotry bez sumienia, głupie i próżne wewnątrz, jakby z pacholeństwa nie wyszli. Pobidziński zdrajca, za nic ma wszelkie zobowiązania, kolejno panów swych zdradza, to króla, to rokoszan, to Marynę, muzyków wieszał, bojarów wieszał, swoich wieszał, *cum barbari* się łączył, wojsko okrada, ale go cierpią, bo sam łotr i ich łotrostwa toleruje. Duszę się tu, wasza miłość. Wyciągnij mnie z tego!

– Wyciągnę – obiecał pan Błudnicki i podał Zagwojskiemu rękę. – Przyjdź o zmierzchu, kiedy rotmistrz będzie.

Potem spoglądał za onym jasnowłosym młodzieńcem, jak pędem do swoich biegł, jak obok jabłoni się zatrzymał, podskoczył, kwiatu palcami dotknął i dalej pobiegł. Uśmiechnął się Błudnicki i obrócił, żeby pójść dalej, ale to oto patrzaj, co się tworzy: stanął poblady, ciężko dysząc, a po chwili uszedłszy kroków kilka poszukał u ściany dłońmi przyzby – jak ślepiec.

– Ja tu posiedzę pacierzyk-dwa, Cyrylku, co? – Powiedział osunąwszy się na ławę. – A ty sam konie ściągniesz, dobrze, Cyrylku?

Znalazłem konie nad Sanem, na tym samym miejscu, gdzieśmy je z moim przyjacielem poili. Uwinąłem się, żeby je popędzić z powrotem, a jeden z lisowczyków, ów tęgi topornik, co mnie namawiał do bicia mojego spętanego przyjaciela, ten mi pomagał. Kiedy wreszcie konie znalazły się w stajni za budynkiem, wróciłem do onej przyzby, gdzie pan Błudnicki siedział przymknąwszy oczy.

– Drzemiecie? – spytałem.

Otworzył oczy, popatrzył na mnie, jakby sobie usiłował przypomnieć, kto ja taki.

I zaraz uśmiechnął się.

– Może – powiedział. – Śniłem pewnie...

– Lepiej wam teraz?

– Lepiej, chodźmy.

Nie puściłem jego ręki także wtedy, kiedyśmy się po schodach wspinali. Nagle zatrzymał się.

– Cyrylku – powiedział. – A przecież od mojego miecza dzisiaj głowa spada.

Nie od razu pojąłem, że nie z chępliwości to powiedział. Szarpnął mnie za rękę:

– Chodź.

Dziaduś ujrawszy nas żalami wybuchnął:

– Gdzieżecie przepadli? Za łakociamiście pewnie u panów żołnierzy biegali. Tyle czasu, tyle czasu! Najść mnie ktoś mógł, ukrzywdzić, porwać... I głodny jestem, w brzuchu pusto, a nakarmić nie było komu.

– Och, Dziadku – powiedziałem – nic, tylko byście jedli a jedli!

Dziadek spochmurniał, łzami oczy kurze mu nabiegały. Żal mi się go zrobiło i myślałem właśnie, czym by go rozweselić, kiedy poczułem, jak mnie ucho zapiekło. Krzyknąłem z bólu i odwróciłem się, gniewny, do bitki gotowy, a to pan Błudnicki stoi obok mnie i nad uchem moim się znęca.

– Ty – warczy. – Ty, szczenię! Będziesz mi tu starcowi bezradnemu dokuczał! Dziadusiowi swojemu...!

– To nie mój Dziaduś – Wyjąkałem, cały czerwony, a nie z bólu, lecz ze wstydu.

– To obcy...

– Ach, obcy? Nie twój Dziaduś? No i co? Starzec pod twoją opieką... Uszanować trzeba! Dojdiesz tych lat, to zrozumiesz. Ile wycierpi człowiek na tej ziemi, zanim uda mu się zniedołężnić!

Byłem mały i nie wszystko mogłem rozumem ogarnąć, ale i tak to czułem, że się od złej strony pokazał, i z tego zmartwienia łzy zaczęły mi znowu płynąć.

– Nie płacz – mruknął Błudnicki. – To na nic. – Chwyciłem jego dłoń i ucałowałem. On szarpnął się. – Co ty? Po co to znowu?

– Ja Dziadusia przeproszę – powiedziałem cicho. Dziaduś jednak dosłyszał. Przydreptał ku nam.

– Co tam, Cyrylku, co tam – mruczał zawstydzony. – Pewnie słuszność masz, że jem dużo. Ale powiedz waszmość sam – zwrócił się do Błudnickiego – co mi czynić? Ani muzyki tu nie masz, ani ksiąg w drogę

nie zabrałem. Żeby choć papier i pióra z inkaustem, pisaniem bym umysł zajął... A tak, prawda, jak to zwierzę, jeno byś wciąż żuł...

– Będziemy rybę gotować, zaraz z juską zjemy – pocieszałem Dziadka.

Pan Tomasz tymczasem ogień w sionce rozpałił. Ja opowiadałem Dziadusiowi:

– Chcieli lisowczycy głowę ściąć naszemu gościowi.

– Nie powiadaj! – przeraził się Dziaduś.

– Prawda czysta. – Odwiązałem sznur, którymem się był przepasał, i z dumą rzuciłem go na stół. – Pojrzyjcie, tym był spętany. Na pieńku już głowę trzymał! Ale go któryś rozpoznał, że dzielny żołnierz i że carowej Marynie służył, i tak go życiem darowali.

– Chwała Bogu!

– A on sam przedtem beznosemu lisowczykowi głowę odrąbał.

– Chwała Bogu!

– Ogień płonie – rzekł mój przyjaciel wchodząc. – Postawiłem wiadro z wodą na polewkę. Macie sól?

– Dziaduś ma – powiedziałem.

– Mam, mam – przytaknął stary i zaczął ukradkiem w torbie swojej grzebać. Po czym wyjął z niej bryłę ciemnej soli i podając mi ją upomniał:

– Oszczędzaj.

Wyszedłem do sionki pilnować polewki. Tamci dwaj w izbie długo milczeli, nareszcie usłyszałem głos pana Błudnickiego:

– Nie udało się bez zbrodni do domu wrócić...

– Jakiej znowu zbrodni? – zgorszył się Dziaduś.

– Lisowczyka zabiłem. Sieheń go zwali.

– Zagrożony byłeś – przekonywał Dziadek.

– Pewnie. – Usłyszałem westchnienie. – Pewnie. Alem sobie raz był powiedział, po onej moskiewskiej potrzebie, że więcej szabli nie użyję.

Miałem ją od Czehryna ze sobą, jakże inaczej, stepami do domu szedłem, między zbójcami, siczowcami, Tatarami się przedzierając... Nie lza było bezbronnym się wydać! Alem ufał sobie, że już krwi nie przeleję. Takem sobie był obiecał.

– Jak kosturowcy?

– Nie, nie jak oni, inaczej – usłyszałem zapewnienie pana Błudnickiego. Ogień huczał w hrubie i grzał mi policzki. – Oni Bogu słowo dali, a ja sobie. Tylko sobie ... A sobie – podjął znużony głos mojego przyjaciela – sobie dotrzymać trudniej... Sieheń się nazywał.

Oczyściłem rybę i wrzuciłem do wiadra. I rzodkiew, i pietruszkę, com ją w komorze znalazł, dorzuciłem dla smaku. Tam w izbie długo trwała cisza, tak żem już myślał, iż posnęli, i cicho się zachowywałem, kiedym nagle usłyszał, że mówią, i to o mnie mówią.

– Więc nie wnuczek to wasz, mój Cyrylek? – dopytywał się pan Błudnicki.

– Nie, nie wnuczek, znajomy przygodny.

– Kto on?

– Tego on sam nie wie – mówił Dziadek cicho, alem ja słyszał jego mowę świszczącą. – Sierota z jasyru tatarskiego odbity. Oficjalisty dworskiego dziecko, może i szlacheckie, ale wymordowani wszyscy świadkowie, cała okolica z dymem poszła. Aż za Niemen zawędrował, gdzie, powiada, u Hlebowiczów w dworze go trzymano. Pewnie Hlebowicze chcieli sobie z sieroty sługę wykształcić. – Zbliżyłem się na palcach do drzwi i słuchałem pilnie. Wciąż o mnie była mowa: – Ale to nie takie pacholę, żeby miało poprzestać na doglądaniu stajen pańskich i pędzeniu kmiotków na sianokosy. Głowa rozpalona, opowieści się nasłuchał i sam chce czegoś nadzwyczajnego zażyć.

– Uciekł im? – domyślił się pan Błudnicki.

– Spotkałem go przy drodze, jak wypoczywał. Siadłem obok, rozgadaliśmy się. Do Ziemi Świętej, powiada, idę, Grób Pański wyzwalać, zamki z muzułmankami zdobywać. Przed jednym i tym samym rodem uciekliśmy, powiadam – o tych Hlebowiczach mówię – to idźmy w świat razem. I tak idziemy – ja Dziaduś, a on Wnusio. Daleko do Jeruzalem, ale ku latu idzie, nie przepadniemy.

– A waćpan przed kim uciekasz? – spytał pan Błudnicki.

– Ja? No cóż, nie będę przed tobą ukrywać: przed żoną.

– Taki wstręt czujesz?

– Nie, skądże. Przecież to Hlebowiczówna, a Hlebowicze znani z urody... Ona do tego młoda, pięćdziesiąt lat młodsza ode mnie! Wszelako popatrz waszmość, żyć beze mnie nie może, na arkanie by trzymała. Rządzić mną chce! Ja, panie bracie, do tego nienawykły. Prawa nam zabezpieczają wolność skakania królowi do oczu, ale w małżeństwie już żadne prawo szlacheckiej niewoli się nie sprzeciwia. Wolę więc dziadem żebrzącym chodzić, niż na zamkowych komnatach jeńcem pani małżonki być.

– O jakich zamkowych komnatach prawisz?

– O moich.

– To masz zamek? – pytał z niedowierzaniem mój przyjaciel.

– Jakżebym miał nie mieć! Wiesz, kto ja jestem? Wiesz? – Głos Dziadunia świszczał niecierpliwością: czuło się, że mu niezmiernie pilno z sekretu się zwierzyć.

– Tylko nie powtarzaj nikomu – szepnął. – Ginwiłł jestem.

– Ginwiłł – powtórzył pan Błudnicki. Dziaduś osiągnął cel, bo w głosie mojego przyjaciela dosłyszałem zdumienie z nowym niedowierzaniem połączone. – Książ?

– Tak! Książ Ginwił! Nie wierzysz? – Spojrzałem przez uchylone drzwi: Dziad zaczął się gorączkowo rozchełstywać, grzebał palcami pod koszulą na piersi, aż wreszcie łańcuch z medalionem na wierzch wydobył. – Popatrz. Widzisz?

– Matka Boska – stwierdził Błudnicki.

– Na inwers popatrz. Co widzisz? Kruk to, tak? Ginwiłów Korwin, nieprawdaż?

– Prawda.

– I moje cyfry: „A” i „G”.

– Achacy Ginwił, starosta lidzki, niegdyś poseł na sejm – domyślił się mój przyjaciel.

– Trafiłeś! – Dziaduś zasapał zadowolony. – Cyrylku! – zawołał. – Cyrylku! Prędko ta rybna polewka będzie? Bom już całkiem osłabł. Czujesz waćpan, jak pietruszką pachnie?

– Czuję, wasza książęca mość.

– Zamilcz! – przeraził się książę-dziad. – Nie tytułuj! *Vanitas vanitatum...* Jam teraz dziad, co Jeruzalem swojego z Cyrylkiem szuka. Co mi tytuły, zamki, splendory. Ryby chcę, żeby brzuch pusty napełnić, a potem spać, a wypawszy się – w drogę...

Ziściło się wiele z tego, czego pragnął. Polewka rybna była i najadł się on, bom mu wciąż dolewał, a on dziękował, nad dobrocią moją się rozplęwał, w straszną pokorę się wpędził i takie miałem uczucie, że mu ona zadowolenie daje, owa pokora: to łzę ze wzruszenia spod powieki otrze, to pomlaszcze rozkosznie, a kiedy mu powiem, żeby brodę oczyścił, dziękuje i skwapliwie się czyści jak kot łapką. Aż do czkania brzuch napełnił, a potem powiedział:

– A teraz by podrzemać.

Pan Błudnicki zaprowadził go korytarzykiem do alkierza i tam, słomę na podłodze rozesałwszy, przykazał mu legnąć.

– A nie wychodź stąd, wasza książęca mość – przestrzegął – bo goście mają mnie nawiedzić, których bynajmniej pewny nie jestem. Leż tu sobie cichutko, a my z chłopcem będziemy zaglądać.

– Bóg zapłać, Bóg zapłać – mruzczał książę. – A żeś taki dobry, to i ja coś mam dla twoich gości. Zdziwisz się, co... – Zaczął grzebać w swojej dziadowskiej torbie, aż wreszcie znalazł to, czego szukał, i z dumą podał Błudnickiemu. Był to ogarek świecy, krótkiej i grubej. – Chcesz? Chcesz? – radował się. – Popatrz: cyfry moje nie stopione widać. Z Ginwiłłów zamku... Bierz! I oszczędzaj – dodał swoim dziadowskim zwyczajem.

Po chwili jużśmy słyszeli, jak chrapie.

O zmierzchu zwalili się goście: więc rotmistrz, więc Jacek Dydyński, raczył też przybyć po sąsiedzku pan Tarnawski. Za nimi wsunął się do izby młody Zagwojski. Nanieśli nam kielbas (choć to był piątek, ale rotmistrz śmiejąc się rzekł, że można jeść, że one kielbasy, ryby przedstawują i kapelan je w tym celu przeżegnał, a zresztą północ niezadługo), antałek piwa przytaskali, chleba parę bochnów, świeżo w heretyckiej piekarni spieczonych, śliw suszonych i jabłek przeszłorocznych pół wora, choć mocno nadpsutych. Panowie za stołem siedli, a ja posługiwałem, chociażem był mały. Dużom roboty nie miał, bo naszym gościom już ze łba dymilo, kiedy biesiadę zaczęli.

Rotmistrz pokrzykiwał przechylając się przez stół i pięścią weń bijąc:

– Chcemy cię mieć u siebie, panie Tomaszu! Uważ, fawor jaki! Nie każdego tak radzi byśmy widzieli! Do nas chodź, żołnierzu! Tylko lisowczycy są godnymi bitnego męża kompanionami. Piersi pod pancerzem nie chowamy, łba pod hełmem nie kryjemy! Tyle żelaza przy nas, co u koni pod kopytami i przy boku! Dobrze mówię? Jak anioł – odpowiedział sam

sobie i zaśmiał się. – Gońców posłałem na wsze strony z wieścią, żeby nurkom przekazano, iż jeśli we trzy dni nie wrócą, miasto im z dymem puszcze. Obaczmy, co wybiorą!

– Chyba tego waćpan nie uczynisz – odezwał się mój Błudnicki.

Sennie przy tym wyglądał, niemrawo mówił, jakby go to niewiele obchodziło. Pobidziński wybuchnął:

– Jak to nie uczynię? Za kogo mnie masz?

– Nie, kochany, nie uczynisz – włączył się nagle do sporu komendant Dydyński.

– Czemu? Kto zabroni? – nie zrozumiał rotmistrz.

– Po co ci Sańsk palić, kiedy to nie kosturowców posesja?

– A czyja?

– Bełżeckiego. A to pan wpływowy!

– I co z tego? Spalę i tak! Myślisz, że się go boję? Niech spróbuje warknąć, Bolatyn mu szturmem weźmiemy i z dymem puścimy. Tak, panie Błudnicki, puścimy paniątko z dymem i jeszcze zasługę będziemy mieć, żeśmy pysznych upokorzyli!

– Bełżecki panów braci skrzyknie – zapowiadał Dydyński. – Balów, Sieneńskich, a nawet Mniszchów. Nie zdzierżymy, kochany, nie.

– Lubisz straszyć – mruknął rotmistrz.

– A ty palić.

– Zepsiałeś, panie Jacku! Całkiem fantazję straciłeś. Chyba się twojej przyjaźni wyrzeknę... Tomaszku, pójdź w me ramiona. Chodź do nas, setnikiem mianuję, niewiasty same ci będą w ręce leżać. Zresztą po co odkładać na potem, zaraz skocz do mnie na kwaterę, wyswatasz się i wrócisz, ona tam śpi opita, obudzić możesz, a to i śpiącą poswadźbisz, nie ubędzie jej... Jezu, aleś ty panie Tomku nędzny, gorzej łązebnika, ani

kaftana, ani pludrów jak należy. Konia masz? Nie masz konia! Damy. U pana Tarnawskiego setnikiem będziesz! To jak?

– Do domu śpieszę – powiedział mój przyjaciel.

– Zgoda, skocz do domu. Zerkniesz na domowe progi, pokłonis się, gotowiznę pobierzesz i wrócisz. Tydzień permisji! Ręka?

– Nie, panie rotmistrzu... Za starym na wojaczkę.

– Za stary! – wstrząsnął się pan Tarnawski, który łeb miał mocno szpakowaty. – Co ja mam powiedzieć? Piąty krzyżyk zacząłem, ale innego dla siebie życia jak na koniu nie widzę.

– Ale kiedy siadasz na koń, łamie cię w krzyżu, łamie? – dogadywał rotmistrz.

– Nie za bardzo – bronił się Tarnawski.

– Łżesz! Widziałem raz, jakeś stękał. Ale ukrywasz to przed nami, żebyśmy zaś ci nie kazali do dom wrócić, przy piecu siedzieć. Odejść powinieneś, panie Tarnawski, albo polec zgoła, żeby młodym plac zrobić! – Tarnawski słuchał tego z głową pochyloną, purpurowiejąc coraz bardziej. Pan rotmistrz nie raczył zauważyć, zwrócił się do mojego przyjaciela: – Ile sobie zim liczysz?

– Dwadzieścia sześć, wasza miłość.

– Młokos!

– Umierałem wielokrotnie – na to pan Błudnicki. – A choćby dzisiaj... – Dodał pomilczawszy: – Osiem lat w domu nie byłem.

– I jakbyś wcale się nie kwapił – zauważył pan Tarnawski.

– Od pewnego czasu, prawda, już mi mało śpieszno – przyznał mój przyjaciel. – Jeszcze miesiąc temu... Umknąłem znad Donu, jak tylko lody pękać zaczęły, ledwom przez krę zdążył. Ale już gdzieś koło Kijowa doszła mnie wieść, że ojciec pół roku jak nie żyje. Macocha w Błudnikach rządzi... Co mi teraz Błudniki!

– Swoje odebrać musisz – rzekł pan Tarnawski.

– I siostrę masz – przypomniał Jacek.

– Siostra, prawda... – Mój przyjaciel westchnął. – Nigdy między nami bliskości nie było.

Pan Jacek Dydyński przyzwał mnie palcem. Przyskoczyłem z dzbanem. On do mnie:

– Nalej. Jemu nalej, huncwocie, bo sierota! – warczał wskazując na mojego przyjaciela. – Tomek – mówił roztkliwiony stolnikowic. – Za duszę twojego ojca! To nie był byle kto, twój ojciec, żebyś wiedział, bitny i przemyślny, rachował jak Żyd, pracował jak Niemiec, a bił się, jak szlachcic bić się powinien, i o nas, żołnierzach ubogich, nie zapomniał, szczerze stacje nam wyznaczał i za jego rządów nie śmieliby nurkowie od powinności się uchylać. Surowy był! I świątły był. Niech spoczywa w spokoju – zakończył.

– Amen – dodał pan Tarnawski.

Rotmistrz drzemał ze zwieszoną głową. A Dydyński ciągnął:

– Świątły był, tak! Na prawie się znał jak jurysta najbieglejszy! I taki człowiek przepadł... Słuchaj mnie, Tomku, znać cię nie zechcę, jeśli się o jego głowę nie upomnisz!

– Nie rozumiem cię, panie Jacku. Przed kim mam się o jego głowę upomnieć?

– Przed trybunałem. – Widząc, że mój przyjaciel nadal nie rozumie, czego od niego chcą, pan Dydyński naskoczył: – Tomek? Tomek, nie udawaj! Chyba ty nie wierzysz, że ojciec twój naturalną śmiercią odszedł?

– A jak?

– W pełni sił, przed pięćdziesiątką...? – Dydyński zmrużył lewe oko.

– Zdarza się, panie Jacku. Młodość miał ciężką. Ran mnogość.

– Daj Boże każdemu... I nie pleć, posłuchaj lepiej, co ludzie mówią.

– A co mówią?

– Że sprawa niewyraźna.

– Tylko tyle?

– Ja wiem tylko tyle.

– A kto się mógł ojcu przysłużyć?

– Nie wiadomo.

– Macocha?

– Może.

– Pewnie ona – odezwał się pan Tarnawski.

– Jaki by miała w tym cel?

– Taki, żeby wdową zostać. Majątkiem rządzić. Albo za innego wyjść.

Dotąd milczący Zagwojski odezwał się z kąta:

– Uchwyciłeś ją, panie namiestniku, *in recenti*?

– Słuszna uwaga, panie Jędrzeju – rzekł mój przyjaciel. – Nie sztuka zbrodnię węszyć. Obwiedzenia głowy nie było, to znaczy, że nikt nie jest podejrzany.

– Ale ja bym na twoim miejscu nie popuścił – powiedział Dydyński. – Twój to ojciec i twój synowski obowiązek pomścić się na mordercy.

– Jeśli był morderca – rzucił z kąta Zagwojski.

– Jego obowiązek stwierdzić, by ludziom gęby zatkać! – zawołał Dydyński.

– Dla ludzi – westchnął Błudnicki. – Dla ludzi... Chciałbym, panie Jacku, żyć dla siebie. Panie rotmistrzu! – zawołał.

Pobidziński wzdrygnął się, otworzył oczy.

– Chodź ze mną – mruknął. – Wyswatasz się, Tomku. Co ma się potem trafić, to do spółki będzie.

– Wasza miłość, ustąp mi Zagwojskiego.

– A to dlaczego? – zdziwił się rotmistrz.

– Sługa mi potrzebny zbrojny i wierny. A my obaj towarzyszami broni jesteśmy z wojsk Maryny.

– Tedyście spowinowaceni – zaśmiał się Pobidziński. – Ale ja zaciągi teraz czynię, do Włoch z panem Hommonayem się wybieramy, pan pułkownik po całym województwie ruskim w poszukiwaniu chętnych rozjeżdża, łeb mi ukręci, że ludzi zwalniam.

– Rozumiem, wasza miłość. Powiadał mi jednak przed chwilą pan Dydyński, że jest podejrzenie, iż ojca mego skrytobójczo zabito. Będę zmuszony sprawców znaleźć i sąd nad nimi odprawić.

– Święta sprawa! – zawołał rotmistrz.

– A ja samotny jak palec.

– Sameś sobie winien.

– Wasza miłość, pan Zagwojski chciałby mi służyć.

– Chciałbyś, Zagwojski?

– Tak jest, panie rotmistrzu! – zawołał młodzieniec zrywając się.

– A ile ci żołdu jestem winien? – spytał rotmistrz.

– Za cały ubiegły rok i cztery miesiące bieżącego, wasza miłość.

– Nie mam! – Pobidziński uderzył otwartą dłońią w stół.

– Wiem, wasza miłość, i nie żądam, byleś tylko ze służby zwolnił.

– A podpiszesz mi rewers, żeś żołd otrzymał? – spytał bezczelnie rotmistrz.

– Usługa za usługę, panie Zagwojski. Chcesz na wolność, to podpisz. Nie chesz, to będziesz musiał służyć, a odejdiesz samowolnie, za dezertera policzę.

– Podpiszę, wasza miłość – powiedział Zagwojski. Rotmistrz wyjął zza pazuchy pomięty arkusz papieru.

– Leć z tym do rachmistrza i podpisuj – powiedział. A kiedy Zagwojski wyszedł, dodał wskazując na drzwi: – Widzisz, jaki on jest? Do każdego

falszu zdolny. Pieniędzy nie bierze, a podpisze. Uważaj na niego, panie Tomku!

Parsknąłem śmiechem. Pobidziński spojrzał na mnie, oczy miał wypukłe, złością tak świecące, aż struchlałem.

– A ty tu czego? Co za śmiechy? Zaraz u mnie zapłaczesz!

– To sierota – wstawił się mój przyjaciel.

– Sierota? – Te jego wypukłe oczy przechyliły się do góry, tak że mi się wydało, że na czole je ma. – Prawda, sierota, z onym starcem chodzi. A starzec twój gdzie?

– Śpi, wasza miłość – odpowiedział Błudnicki.

– Daj na niego spojrzeć!

– Sen ma delikatny – tłumaczył pan Tomasz. – Lepiej go nie płoszyć.

Pobidziński nic nie odpowiedział, wstał zza stołu, latarnię ujął i spytał władczo:

– Gdzie on?

– Poprowadzę – powiedział cicho mój przyjaciel.

Przeszedł korytarzykiem do alkierza, za nim Pobidziński i pan Jacek, na końcu ja. Latarnia oblała posłanie Dziadusia rudym blaskiem, zerwał się on, stare kości zatrzeszczały, jęknął, oczy dłonią przysłonił.

– Leosiu – zamruczał. – Leosiu, co się dzieje?

– Dziad to zwykły – przekonywał rotmistrza pan Błudnicki.

– Odsłoń się! – rozkazał pan rotmistrz i Dziadusi usłuchał, dłoń od twarzy odjął, popatrzył na nas tylko kurzymi oczyma. Rotmistrz oblał rudym światłem czubek siwej głowy. – On! – zdecydował. I powiedział Dziadusiowi: – Śpij, dziadku, nie turbuj się.

Wróciliśmy do izby. Rotmistrz odstawiwszy latarnię zagadnął:

– Wiecie, waćpanowie, kto to jest?

Nikt nie pośpieszył z odpowiedzią.

– To jest książę Ginwiłł, nikt inny. Tak jak go opisano. – Wyciągnął rękę w moją stronę: – A to jest ono pacholę, co od Hlebowiczów niewdzięczne uciekło. Zmówili się i razem w świat poszli.

– I co w tym złego? – spytał siląc się na spokój mój przyjaciel.

– Złego nie ma nic, raczej coś dobrego. – Pobidziński zaśmiał się. – Stary książę dekretem królewskim został ubezwłasnowolniony, rozumiecie, i pod kuratelą jest swojej nadobnej małżonki, rozumiecie, Hlebowiczówny z domu. Książę po całej Polsce szuka, a za znalezienie i dostarczenie do domu nagrodę wyznaczyła. Sowiata!

– Tak jej na starym mężu zależy? – zdziwił się pan Dydyński.

– Woli go ona mieć przy sobie, bo się obawia, że książę na dwór królewski trafi, o odwołanie dekretu się postara i na powrót majątkami rozporządzać będzie. A wcale jak o nim myślisz? Winien być pod kuratelą czy nie? – zwrócił się rotmistrz do mojego przyjaciela.

– Opieki starość tylko jego wymaga – odpowiedział mój przyjaciel. – Poza tym nic mu zarzucić nie można. Rozumuje on nie gorzej od nas.

Pobidziński znowu się hucznie zaśmiał.

– Tak myślałem! Wyłudziła dekret książę w obawie niekorzystnego zapisu. – Rotmistrz rzucił okiem w stronę alkierzyka. – Niech śpi – powiedział. – A i nam chyba pora. Służba nie drużba. To nie chcesz dzielić żołnierskiego losu? – dodał na pożegnanie.

Pan Błudnicki już i nie odpowiadał. Kiedy goście wyszli, to my z panem Zagwojskim, który zaraz nadszedł, zmawialiśmy pacierze, podczas gdy nasz przyjaciel stał przy oknie i na rynek pozieirał, pośrodku którego ognisko płonęło. Widziałem sporo koni uwiązanych do drzewek, widziałem zmieniające się straże. Widziałem domy spurpurowiałe od ruchliwych odbłasków ognia. Pan Błudnicki drzwi mieszkania oglądał, żałował, że nowochrzczeńcy ryglów nie zrobili, przysunął więc stół pod same drzwi,

czuprynę mi potargał, powiedział: „jutro włosy wymyjemy”. Wreszcie pokładliśmy się spać.

Spałem niespokojnie, jak w gorączce. Widzenia miałem: głowy zlatują, krew bucha, konie rozbiegły się i ludzkim głosem płaczą... Straszne to były sny. Raz czy dwa krzyknąć chciałem, ale ktoś mi ręką gardło ścisnął. Słyszałem strzelaninę, skrzypienie kół. Werble biły. Otworzyłem oczy. Światło księżycy osrebrało izbę. Stół spode drzwi sam ku nam sunął, potem drzwi się otworzyły. Na progu stał pan Jacek Dydyński.

„Zabić przyszedł” – pomyślałem przerażony. Zabić i obrabować, bom spostrzegł, że w ręku sak trzymał. Postąpił krok do przodu, a ja wciąż małodusznie milczałem.

– Śpicie – odezwał się cicho. – Wstawać trzeba!

Mój przyjaciel zerwał się i podłogi.

– Co się stało? – zawołał.

– Uciekać musicie – mówił szybko Dydyński. – Ocknij się, Tomku. Zabieraj starego i uciekaj z nim. Pobidziński chce go pojmać i małżonce za nagrodę oddać.

– Łotr – mruknął Błudnicki.

– Taki jest, nie zmienisz go. Tomek, niewiele nas to w końcu obchodzi, ale czemu starego pod kuratelę oddawać, jeśli on spod niej uciekł?

– Dokąd nam z nim? – zastanawiał się mój przyjaciel. – Do Błudnik?

– Nie, w Błudnikach najpierwej będą szukać. Powiem ci, dokąd. Do kosturowców z nim ciągnij, pod ich opiekę go oddaj, on się tam między różnymi brodacami straci, a chleba mu oni nie poskapią.

– A co, jeśli Pobidziński zechce go nowochrzczeńcom siłą odbić?

– Ja mu to ze łba wybiję. Znowu się na przemożną opiekę pana Bełzeckiego powołam i na co się jeszcze da... W Błudnikach mógłbyś mieć ze starostą kłopot, bo przecież dekret jest...!

– Panie Jacku, a dlaczego ci przyszło na myśl, że ja się tym starym zaopiekuję? Mnie do domu czas, a on mnie po prawdzie nie brat i nie swat.

– A kto, Tomaszku, kto? – pytał gorącym szeptem Dydyński. – Ja się zając tym nie mogę, służba, Tomaszku, ja muszę od tej sprawy z daleka, bo mnie rotmistrz zdrajcą okrzyknie. Słuchaj teraz. Weźmiesz trzy z moich koni, pasą się za murami, uprzedziłem ciurę, podprowadzi je. Dwa mi odeślesz, a jednego sobie zostawisz, kiedyś zapłacisz... Hasło dziś „Maryna”, odzew: „Moskwa”. A tu... – Jacek zawahał się. – tu w worze trochę darów ode mnie. Nie dziękuj, z wojny wszystko, szablą nabyte. Dla ciebie kaftan, pludry, koszula z jedwabiu, buty miękkie, żebyś mi trochę do szlachcica był podobniejszy... I dla siostry coś – chustka jedwabna, gorsecik, naszyjnik z kamyków świecących, żebyś jak nędzarz do domu nie wracał.

– Panie Jacku!

– Co?

– Mało jest takich ludzi jak ty.

– Mało? Bo ich wyróżniło – powiedział Jacek. – Dali się wysiekać, głupcy. Ale ja się nie dam. I ty się nie daj!

– A mnie co grozi? Ja nikomu w drogę nie wejdę.

– Jużem to widział – na to Jacek. – To ci tylko powiem: jeśli twojego ojca zamordowano, to i ciebie, jego dziedzica i mściciela, zechcą zgładzić.

– Z czego to wnosisz?

– Z niczego. Przyglądam się życiu i miarkuję. No, to zbierajcie się!

Mój przyjaciel spojrział przez okno. Straże krążyły po rynku, ognisko płonęło, ktoś dorzucił chrustu i snop strzelił w górę.

– Źle by było – powiedział – gdyby do czegoś doszło, a ja z nóg padać będę. Pościę trochę, a ty, Cyrylku, czuwaj – zwrócił się do mnie. – A kiedy

zobaczysz, że strażę się zmieniają, obudzisz mnie. Ruszymy zanim świtać zacznie.

Więc oni spali, a ja czuwałem mamrocząc pod nosem rozmowy różne wyobrażone – a to z księżniczkami z saraceńskich haremów wyzwalanymi, a to z niepokornymi Indioń wojownikami. A kiedy zobaczyłem, że gwiazdy zaczynają z nieba pierzchać i tylko jedna zaranna świeci, obudziłem mojego przyjaciela.

– Strażę się nie zmieniają – rzekłem – ale gwiazdy nikną.

W mig się zachełstał i przygotował do drogi. Potem szarpnął za ramię pana Zagwojskiego.

– Panie Zagwojski – powiedział, gdy ten otworzył oczy. – Uciekam ze starym kniazem i chłopcem przed pościgiem rotmistrza. Chce on starego za nagrodą sprzedać pod kuratelę. Czy jeszcze trwasz przy tym, żeby przy mnie być?

– Tak jest, wasza miłość.

– Tedy obudź kniazia i wyszykuj go do drogi.

I tak ruszyliśmy we czterech.

ROZDZIAŁ II

I tak ruszyli we czterech.

Wtedy byłem sam, przypomniał sobie. Wtedy, gdy wymykał się z chutoru nad Donem. Noc jeszcze była, Agafia spała, rozrzucone nogi wystawały spod pierzyny, sen miała mocny, równy, ale niechby kur dwakroć zapiał, a wnet by się ocknęła, jak żołnierz na pobudkę. Jej dzieci też spały – słyszał stojąc u drzwi ich równe oddechy, tylko to najmłodsze, kokluszem obłożone, krztusiło się przez sen. Narzuciłem kusy kożuszek na rubachę, przypomniał sobie, buty wetknąłem pod pachę. Drzwi skrzypnęły, dziecko zakaszłało. Zamarłem, ale nic się nie stało. Agafia nadal spała. Poczul tkliwość dla jej czworga dzieci, dla tej ciepłej, sennej izby, którą porzucił. Bosymi stopami szorowałem po przymarzłym błocie, szkliwo pękało z trzaskiem, jeszcze teraz mam go w uszach.

Puścił Cyryła przodem, ujął kniazia pod ramię.

Boże, westchnął, wciąż uciekam, wciąż się komuś wymykam. I zawsze o tej samej porze – kiedy niebo i ziemia szarzeją. Biełka zaszczekała radośnie, skoczyła mi na piersi, nie chciała odstąpić, biegła wytrwale aż za chutor, dopiero kiedy zacząłem w jar się spuszczać, przystanęła. Rozkazał jej wtedy: „do domu, Biełka, domój dawaj”, popatrzyła nań żałośnie, zrozumiała, ogon podwinęła i zawróciła do chutoru. Dalej szedł sam. Na zachód.

Teraz on kroczył przodem, chłopiec trzymał za rękę kniazia, Zagwojski zamykał pochód. Cisza zstąpiła na rynek, ognisko dogasało, strażę snuły się niemrawe. Zagwojski wyprowadził z podwórza swojego konia, w mig go oporządził. Usłyszeli dalekie pianie kogutów z odległych jakichś wiosek. Późno, pomyślał, trzeba się śpieszyć.

Agafia obudziła się, spojrzała na puste miejsce na pryczy – gdzie się podział ten czortowy Polak? – Foma, Fomuszka, *kuda dielsia, proklatyj?* Szlachcic wiarołomny, Foma niewierny, pomyślała z gniewem, pociągnęło w końcu grzeszną duszę do puchów pańskich! A może tylko ramionami wzruszyła, westchnęła z rezygnacją: wiedziałam, że tak się skończy, nie wytrzyma bez swoich, przecież on pan, a ja Kozaczka prosta, przecież on do miast i pałaców *priwykszyj*, a tu step i step, jary i chołmy, i znowu step, musiał uciec ode mnie Tomasz niewierny. A tam już jej mąż Kozak z żołnierskiej tułaczki wrócił, znowu Agafia ma kogo do babiej piersi tulić, komu onuce i rubachy przepierać i plecy szorować.

Chłopiec przystanął i obejrzał się na niego. Naprzód, Cyrylku, stale naprzód. Ech, gdyby pan Tarnawski choć odrobinę podejrzewał, kto mu się spod nosa wymknął, zaraz by nam drogę zagroził! Szczęściem, śpi napojem struty i tylko pęcherz przepelniony go uciska. Ich kroki głucho dudniły na klepce drewnianej. Wyminęli senne patrole, co się przy ognisku grzały, wcisnęli się na Bednarską ulicę. We wnęce domu stał bosy lisowczyk, w hajdawerach i bez koszuli, trzymał się za brzuch usiłując rzygnąć w ścianę. „Chorujesz?” – mruknął Tomasz przechodząc. Lisowczyk obrócił ku niemu wzrok zamglony i wywarczał: „Kto tę gorzałę na naszą mękę wymyślił?”

Cyryl zachichotał, Tomasz położył palec na ustach: spokój! Doszli do wylotu ulicy, za którą łąki szeroko się rozrzuciły, zsiniałe od przedbrzasku, z lekką mgiełką oparów unoszących się nad nimi. W oddali stała nieruchomo czarna ściana lasu.

Znowu usłyszał dalekie pianie kogutów. I zaraz, o wiele bliżej, rzenie koni. Zagwojski skoczył na swoim w tamtą stronę, po chwili wrócił z trzema wierzchowcami i ciurą pana Jacka.

– To te – powiedział. – Osiodłane, tylko popręgi wzmocnić i wędzidło wrzucić.

Tomasz poklepał ciepły, muskularny zad zwierzęcia. Więc koń, pomyślał z rozrzewnieniem. Nareszcie koń – po tysiącach mil pieszej wędrówki. Pomógł staremu dosiąść wierzchowca, spytał:

– Utrzymasz się, ojczulku?

– Ho! – odpowiedział stary. – Nie będę wam ciężarem.

– O ciebie tu właśnie chodzi, kniaziu. My możemy w Sańsku ucztować.

– Prawda, prawda. Dzięki za uczynność.

Tomasz dosiadł konia, poklepał go po szyi. Rozrzewniony, szczęśliwy – pomyślał – bo masz konia, suknie czyste w jukach, młodzieńca dzielnego, co ci swoje służby ofiarował. Byle co cię rozrzewnia, stary żołnierzu, czas byłoby zmądrzeć. Zwrócił się do Zagwojskiego:

– Panie Jędrku, pokłusuj przodem... Czy tam jakichś czujek nie ma...

Zagwojski skoczył w szarość, zatarł się w niej wkrótce wraz z koniem jak w otchłani.

Kiedy znowu się pojawił, zameldował:

– Są jakieś patrole, ale tak myślę, że wstrętu czynić nie będą. Spieszmy się, wasza miłość, bo rychło pobudka.

Ruszyli, ale nie galopem, żeby nadmiernym pośpiechem nie zwrócić uwagi tych z miasteczka. Zagwojski skakał pierwszy, Tomasz zamykał pochód. Przy brodzie okrzyknięto ich. Lisowczycy.

– To ci? – zwrócili się do Zagwojskiego.

– Ci – odpowiedział.

Jeden z lisowczyków bawiąc się krócićą zagadnął Tomasza:

– A ciebie to znam.

– To się cieszę.

– Widziałem cię spętanego, a potem jak cię rotmistrz ułaskawił.

- Dobrześ zapamiętał.
- I dokąd tak wczas? – spytał lisowczyk zaglądając króciocy w rurę.
- Do domu.
- A ci czego z tobą? – Lisowczyk wskazał na kniazia i Cyryła.
- Goście moi.
- A mnie w gości nie zaprosisz?
- Przyjeżdżaj do Błudnik, głodny nie będziesz.

Lisowczyk spojrzał nań ostro.

- I powiadasz, że masz zezwolenie rotmistrza?
- Mam. Przecież widziałeś, jak mi życie uratował.
- Widziałem. – Nagle lisowczyk warknął: – Hasło?
- Maryna.

Na moją cześć to hasło, przyszło mu na myśl. I dodał:

- Czekam odzewu, panie żołnierzu.
- Moskwa – odpowiedział lisowczyk. – W drogę!

Przeszli brodem na zachodnią stronę rzeki, potem na południe pod kątem prostym zawrócili, skokiem pomknęli, aż dotarli do traktu, który ich do przecinki leśnej doprowadził. Dziad postękiwał, ale głośno się nie skarżył. Znalazłszy się w lesie, zwolnili trochę.

– Tutaj nas nie ogarną – zapewnił Zagwojski. – Pan rotmistrz nie lubi z wojskiem do lasu się zapuszczać, zawsze z tego straty jakieś wynikają.

Ma jakieś ludzkie cechy pan rotmistrz, pomyślał Tomasz, dzięki i za to.

- Wasza książęca mość – zwrócił się do starego. – Nie wolisz do domu?
- Nie.
- Droga przed nami ciężka i daleka...
- Niech będzie.
- Pamiętaj, namyślisz się, to rzeknij jeno, do grodu odwieziemy.
- Uchowaj Boże – zatrzęsł się kniaź.

– Nagrodę nam wypłacą i po połowie się podzielimy. Do tych pieniędzy już ci się szanowna małżonka nie dobierze!

– Nie skusisz mnie, chłopcze. – Stary spojrzał na niego nieufnie. – Chyba żeby ciebie skusiło.

– Jak na razie to nie – odpowiedział Tomasz. – Może później.

W lesie gdzieniegdzie jeszcze płaty śniegu leżały, ale kiedy wydostali się na przestrzeń otwartą, dzień tam był jasny i gorący, nasłonecznione zbocza pachniały gorzko-słodko.

Potem znowu był las, a w nim dukt przez ludzi wyrąbany. Nietrudno by im było nas dognać, pomyślał Tomasz, ale z drogi nie zbaczał. Usłyszemy ich i zawsze zdążymy w gęstwinie się zaszyć, chyba żeby z psami na nas polowali. Pamiętam tę drogę, pomyślał, przed zmierzchem do polany powinniśmy dotrzeć, a tam dalej smolarnia, którą Balowie postawili. Jeśli nie zbójcy w niej osiedli, będzie można zjeść i przenocować.

– Głosy słyszę – zameldował o zachodzie słońca Zagwojski.

– Stój! – zakomenderował Tomasz. – Skąd głosy?

– Przed nami.

Tomasz zafrasował się.

– Nie słyszę.

– Wasza miłość, głosy wyraźne. Ludzie śmiejący się.

– Oszalałeś, panie Jędrku.

– Nie, wasza miłość.

Nie, nie wygląda na szalonego, pomyślał. Zsiadł z konia. Chodźmy, pociągnął za sobą sługę. Czyżbym nie słyszał? – zaniepokoił się. Te uderzenia pięścią w głowę, zrozumiał. Musi to przejść. W głowie szumiało, kiedy przemykał między sosnami. Stanęli u skraju lasu.

– Są – powiedział Zagwojski wskazując na obozowisko.

Tomasz przyłożył dłoń do czoła. Na oblanej złotem polanie dymiły ogniska. Widzę dobrze, pomyślał z ulgą. Namioty, konie, wozy, jacyś ludzie.

– Spokojni – powiedział Tomasz.

– Ale żołnierze.

– Sabaci dworscy.

– Gdybyż wiedzieć, czyi – westchnął Zagwojski.

– Wiem – powiedział Tomasz wyrażając wzrok. – Tak, wiem. Bełzeckich barwy.

– Czy to dobrze? – spytał Zagwojski.

– Nie najgorzej. Ojciec mój pana Bełzeckiego majątnościami zarządzał. Ale bardziej byli przyjaciółmi niż panem i sługą.

– A jeśli to buntownicy?

– Nie wyglądają mi na takich. Panie Jędrku, słuch mi osłabł, ale widzę dobrze. Trzeba powiadomić starego.

Kniaź usłyszawszy nowinę milczał przez chwilę, a potem rozejrzał się trwożliwie dokoła (jamy szuka, w którą by się zaszyć można, pomyślał Tomasz) i spytał:

– A co, jeśli to Hlebowicze?

– Nie, to pana Bełzeckiego ludzie z Bolatyna.

– Ale z Hlebowiczami w zмовie.

– Nie, ojczulku. To jakiś przypadkowy oddziałek. A mogą nas przed pościgiem obronić.

– Nakarmią? – spytał stary.

– Może i nakarmią.

– Głodny jestem – poskarżył się kniaź. – Cyrylku, jakby co, to obroń mnie, wnusiu, nożem pchnij, a zaprzedać nie daj. Pamiętaj, wnusiu...

Chłopiec uśmiechnął się.

– Pan Błudnicki obroni – zapewnił.

Szli potem rudziejącą w niskim słońcu łąką, prowadząc konie za powody. Zauważono ich od ognisk, skoczyli ku nim sabaci, kilku z szabelkami obnażonymi, dwaj kozacy konno, dzierżąc przed sobą długie piki. Zagwojski spojrział na Tomasza, ten mruknął:

– Czerń. Pogadamy z dowódcą.

Tamci otoczyli ich, groźnie po niemiecku i węgiersku wykrzykując. Tomasz zawołał:

– Gdzie komendant? Z komendantem chcemy mówić!

Od ogniska zbliżał się ku nim niski, długowąsy wachmistrz. Zagadał coś szybko i niezrozumiale.

– Umiesz waść po polsku? – spytał Tomasz.

– Umiem. Dobrze umiem.

W głowie szumiało. Ale go słyszę, pomyślał poprzez ten szum.

– Pozwolisz nam przy twoim obozowisku przenocować? – spytał.

– Kto nocować? – spytał wachmistrz. – Wimmel?

– Czterech nas. Ja, ten żołnierz, ten starzec i pacholę.

– Pacholę – powtórzył oficer. – Pacholę też bum-bum może. Zapytam jego miłość. Jego miłość zgoda, ja wachmajster, ja proszę, *bitte*.

– Pytaj, panie wachmistrzu.

Dotknął obolałej głowy. Jak w browarze, pomyślał. Sen mi potrzebny, pocieszał się. Wachmistrz rozmawiał z kimś w głębi namiotu. Sabaci nie spuszczaali z Tomasza groźnych spojrzeń. Jego miłość rozkaże, to przerzną nam gardła, za co w pierwszą sobotę miesiąca pobiorą dodatkową lafę. Gardel przerzniętych cztery po pięć groszy na głowę. Wachmistrz zasalutował i odsunął się na bok. Z namiotu wyszedł wysoki, smukły szlachcic, ciemnowłosy, o pięknych, nieco wyostrzonych rysach. Ten by wśród fraucymeru królowej sukcesy odnosił! Szlachcic zbliżył się ku nim

szybkim krokiem i można było dostrzec, że twarz ma pobrużdżoną, w opuchniętych oczach zmęczenie, niejedno przeżył i niejedną kufel wychylił, owych sukcesów także sobie pewnie nie żałował, domyślił się Tomasz. Szlachcic stanąwszy przed nimi ogarnął ich uważnym spojrzeniem, a następnie zwrócił się do Zagwojskiego:

– To wy chcecie przy nas nocować? – I nie czekając na odpowiedź przyzwolił z miejsca: – Nocujcie.

Uznawszy sprawę za załatwioną, zawrócił do namiotu. Naraz zatrzymał się.

– Co za jedni? – spytał zwracając się do Zagwojskiego.

– Podróżni – odpowiedział Tomasz.

– Stul pysk, ciebie nie pytam.

– Ale ja odpowiadam.

– W samej rzeczy – przyznał szlachcic udając zdumienie. – Zdziwiasz mnie logiką. Strawę macie? – spytał.

Tomasz spojrzął na niebo nad zaroślami. W czerwieni zachodzącego słońca biło skrzydłami ptactwo.

– Upolujemy – powiedział.

– Upolujecie – powtórzył z powątpiewaniem szlachcic. – Wachmistrzu, dajcie im chleba i kaszy! – Postąpiwszy krok do przodu szlachcic przyjrzał im się bacznie.

– Dziwna z was kompania: kot, pies, lis i jagnię w świat poszli razem...

– Zwrócił się do wachmistrza: – Szpiedzy, co?

– *Jawohl, Herr Kommandant.*

– Wszędzie widzicie szpiegów – westchnął szlachcic. – I co panowie szpiegujecie? – spytał wesoło Zagwojskiego.

– Miejsce dla noclegu – znowu odpowiedział Tomasz.

– To twój sługa, ten gaduła? – szlachcic spytał Zagwojskiego.

– Nie, to mój pan.

– Hm, pan. Trochę obdarty... A już myślałem, że zuchwalec. Szkoda, że nie – uwielbiam zuchwalców. Szukam ich! A dokąd idziecie – zwrócił się do Tomasza – jeśli wolno zapytać?

– Na południe – odpowiedział wymijająco Błudnicki.

– I my na południe. Bliżej Karpat?

– Tak. Do bukowych lasów.

– I my do bukowych lasów. Już wiem: do nowochrzczeńców idziecie. I my do nich – mówił drocząc się szlachcic.

– Z misją od pana Bełzeckiego? – spytał podejrzliwie Błudnicki.

– Ach, rozpoznałeś nas. W porządku, ale nie pytaj za wiele. Żeby nie było nieporozumień: nie jestem Bełzeckich oficer ani ich sługa. Jestem przyjacielem chorążego Łukasza Bełzeckiego – jeśli go znasz.

– Owszem, znam.

– Coraz więcej mnie zaciekawiasz. Toś musiał i o mnie słyszeć: Stefan Ligęza jestem, z Jaćmierza – powiedział szlachcic i wyraźnie czekał na efekt. Chyba się zawiódł.

– Nie słyszałem, wybacz waszmość, choć ród twój jest w Sanockiem sławny. Ale osiem lat mnie tu nie było... Wojowałem, teraz z niewoli wracam.

– Ach, co tam... Moja sława dawne dzieje. Teraz tylko z panem Bełzeckim w szachy gram... Przepraszam, jak godność?

– Błudnicki.

– Błudnicki! Tomasz!

– Waćpan wiesz...?

– Żyjesz! A myśmy cię już pochowali... Od ojca twojego nieraz o tobie słyszałem.

– Gadałeś z ojcem moim?

– Więcej niżli on z tobą. I jeszcze na krótko przed śmiercią jego...

Ligęza urwał.

– To prawda, że go zabili? – spytał natarczywie Tomasz.

– Nie wiem, może... Nie umiem tego powiedzieć. Wachmistrzu!

– Na rozkaz!

– Pan Błudnicki jest moim gościem! Ze mną w namiocie będzie. Dla tych namiot rozbić, potraktować ich szcudrze. Aleś ty, panie Tomku, wynędzniały – zawołał nagle, Czekaj, może przyodziewku lepszego...

– Wasza miłość – powiedział cicho Tomasz. – Mam wszystko. Wszystkiego w bród.

Dosyć tej żebraniny, myślał, dosyć, odzyskaj godność, bo ci to na zawsze zostanie, w nawyk przejdzie, zawsze będziesz innym w oczy zaglądał, zawsze o fawor skomlał. A jednak nie potrafił poprosić inaczej jak łamiącym się głosem:

– Ale chciałbym się wykąpać.

Dwaj sabaci lali wodę gorącą z dzbanów, trzeci szczotką namydloną plecy mu szorował. Rozkosznie, myślał, serce wypoczywa, umysł skołatany oddycha. Woda gorąca, grzbiet posłusznego konia, koszula czysta, sen spokojny... Jakże mało trzeba temu, co z niewoli się wyrwał! Nie zapomnij tylko tego, upomniał siebie, nie zapomnij tych odczuwań, do których przez piekło upokorzeń doszedłeś, nie zapomnij tej eksperyencji, gdy już sługi będziesz miał na zawołanie, koni tabun, dworów pięć, godności i dygnitarstwa do wyboru. Opoдал Zagwojski mydlił głowę Cyryłowi. Stał chłopiec w blasku księżyca do bożka leśnego podobny. Do wody, Cyrylku, do wody, hop. Pobiegli do potoku, co u stóp zbocza rwał srebrzyście, skoczyli w mokrość zimną jak lód, bryznęło aż na policzki, śmiechem dreszcz przekrzykiwali splukując mydliny. A gdy na brzeg wybiegli, a

sabaci pospieszyli ku nim, szczękającym zębami, z płatami ręczników. Okręciwszy się płótnem Cyryl zawołał:

- Pan Ligęza dobry pan!
- Już mnie gotów jesteś dla niego porzucić?
- Nie porzucam, nie – ale co dobry, to dobry.
- Na razie dobry – przyznał Tomasz.

Wyjął z torby przyodziewek, dar Dydyńskiego. Koszula jedwabna chłodem muskała plecy. Ubierał się pośpiesznie, nie dbając o staranne wysuszenie ciała, jakby bał się, że ktoś mógłby mu te szaty odebrać. Nie był pewny, czy buty okażą się na miarę, ale obeszło się bez kłopotu, miękkie były, rozciągliwe, lwowskiej roboty. Założył pas, szablę przypiął i tak stanął przed Zagwojskim i Cyrylem. Chłopiec odezwał się:

– Wasza miłość, ja żeby tam się dostać, każdego porzucę, wasza miłość wiesz dobrze, gdzie... – Cyrylek mrugnął okiem.

– A tobie bardzo się przemienionym wydaję? – spytał Tomasz Zagwojskiego.

– Ja waszą miłość takim pamiętam – odpowiedział Zagwojski.

Ale ja siebie nie pomnę, pomyślał Tomasz. To najbardziej mi w mózg się wraziło, to, myślał przypatrując się łachmanom, które dopiero co z grzbietu zrzucił. Westchnąwszy podniósł je i zszedł z nimi do potoku. Obejrzał się. Zagwojski i chłopiec czekali na zboczu. Koniec z tym! – pomyślał mściwie i rzucił zawiniątko do wody. „Żegnajcie” – szepnął. „Żegnaj, nędzo. I nie wracaj nigdy”. Woda pieniała się srebrem wokół zawiniątka, obmywała je z uporem, aż wreszcie popłynęło z falą. Żegnaj. Poczł zapach świeżo skoszonego siana. Jak w Błudnikach, przypomniał sobie, pośrodku majdanu przed dworem. Albo w parku, pomiędzy klonami. Sabatowie nakosili na noc dla koni, które woleli, przed wilkami chroniąc, trzymać przy

obozowisku. Zawiniątko powoli oddalało się z prądem, domyślał się go tylko w ciemnej plamie podobnej do zwiniętego kundla.

– Tak to – powiedział na głos. – Tak to...

Siadłbym i zapłakał, pomyślał. Ale nie umiem powiedzieć, czemu.

– Hej, panie Tomaszu, synu Jana Tomasza, co z tobą? – zagrzewał go Ligęza, kiedy na pniakach wokół ogniska się rozsiedli. Książ z miejsca zaczął kaszę ciamkać, Cyryl musiał go za rękaw pociągnąć i na brodę zapaskudzoną zwrócić uwagę. – Spróbuj tej małmazji – namawiał Ligęza. – Z Grecji ją Ormianie sprowadzili. Kosztowna, bardzo za nią cena skoczyła, ale też prawda, że wliczyć by w nią trzeba i krew kupiecką. Wszystko, żeby szlachcie fantazji nie zabrakło. Kielbasą się racz! Bolatyńska, kucharz Bełzeckich ją wędził.

– Wyborna – pochwalił Tomasz.

Ligęza odłamał kawałek kiełbasy i podał kniaziowi, który rozplynał się w podziękowaniach.

– Cóżżeś taki nieswój? – nalegał Ligęza. – Boisz się mnie?

– Nie mam powodu.

– A to szkoda. Chciałbym, żeby mnie się ktoś znowu bał jak dawnymi czasy. Nuda, waćpanie, w tym Bolatynie pod protekcją jego miłości pana Łukasza. Prawda, że tam bezpieczny, bo pókim w majątności szlacheckiej, to miecz katowski nade mną nie wisi, nie ma do mnie starosta prawa. Ale w tym sęk, że nie przepadam za tym, by być nadto bezpiecznym, krew we mnie od tego zastyga. Dawno bym się z Bolatyna wyniósł i staroście jurydycznemu zagrał na nosie, gdyby nie jedna dziewczka, co mnie tam trzyma...

– Panna Urszula? – odgadywał Tomasz.

– Bełzecka? Co ty! Panna Urszula może i nadobna, ale to szlacheckie dziecko, pałacowe, wymuskane, erudytką... A mnie tam zwykła dziewczka

dworska trzyma, taka, co bez gizełka lata. Od krów dziewczka, bosa, łydki ma zabłocone, ale jakie łydki, marmur rzeźbiony, Diana prędkonoga, pokusa wcielona, wszystko na niej zgrzebne, proste, w domu utkane, lniano-konopne, ale ciała się pod tym domyślasz pieszczotliwego, kształtnego, jakby je Apollo uformował, wolne to ciało, nie więzione żadnymi kształciczkami, staniczkami, zapięciami, pierś swobodnie pod koszulą konopną skacze, pamiętasz w „Pieśni nad pieśniami”, że to jako sarny skaczące, pamiętasz to, no to takie samiutki, pełne, krągłe, ponętliwe, pokusa mówię ci! I nie wstydliva ta dziewczka zanadto, czasem i kolano ze spódnicy wyziera, we mnie krew wrze, a jej nic, czasem pierś dobedzie i dziecku do ssania poda, a gada sobie przy tym, to do mnie, to do dziecka, i jeszcze prosi, żebym muchy pędził, bo ona skrępowana karmieniem. Uśmiech ma wdzięczny, pogodny, zęby obnaży bielutkie jak to mleko, co je dwakroć dziennie krowom z wymion wystrzykuje. Ona, jak te krowy doi, na stołeczku małym siedzi, a ja obok na składanym, co je z dworu ze sobą przynoszę, na kark spoglądam, na palce zręczne, pomiędzy którymi mleko strzyka, na nosek foremny, oko ciemne i trochę skośnawe, to znów wstanę, bardziej z przodu siądę, obłość piersi ujrzę, ramię się nagle wychyli z onej koszuli zgrzebnej, płeć jedwabista, marmurowa, palce cię świerzbią, żeby tego skarbu dotknąć, pogładzić czule, i znowu ogień na mnie biją. Wierz mi, panie Tomku, w życiu mi żadna białogłowa tak snu nie zmaciła jak ta Bełzeckich poddanka, i więcej ci powiem: słusznie mnie żadna bardziej nie nęciła, bo jest muzyka i taniec w tym ciełe, pokusa samicza, zmysły oszałamiająca.

– I cóżesz waszmość z nią osiągnął? – spytał Tomasz.

– Niewiele. Albo zgoła nic. Tyle że mnie toleruje. A może i więcej niż toleruje. Może i chętnie widzi. Towarzyszę jej to tu, to ówdzie. Wcale ona się temu nie dziwuje, że ja, pan Ligeza, Półkozic – Ośła Głowa, dziedzic

jednego z najpierwszych rodów Rzeczypospolitej... nie, nie dziwuje się temu! Robi swoje, a ja językiem trzępię. Rada o wielkim świecie słucha. Ale myślałbyś, że rwie się do tego świata? Otóż nie! Raz, że ten świat nadto daleki, bajeczny jakby, o Orlandzie zakochanym to opowieść, o Rinaldzie groźnym i Angelice przewrotnej. Dwa, że dziwaczny jej się ten wielki świat wydaje i niezrozumiały. I chyba jej jest słuszność. Ale ja, pan Stefan Ligęza, co w oborze przy niej siaduję, to przecież już nie Rinaldo groźny. Bardziej swój, nie? Więc powiadam do niej: „Zajdź do mnie, Jewka, dobrze nam we dwoje będzie”. A ona roześmiała się tylko: „Alboś ty mój pan”. Ty! Do mnie! Tylem osiągnął, że się mnie nie boi, oswojona jak kot domowy. Panie, mówi, podaj mi to, pomóż w tamtym. I ja pomagam, bieliznę jej raz wyżyłem, rękawy koszuli pomoczyłem. Zauważysz pewnie, że mógłbym ją wziąć po niewoli, ano cóż, może by się nawet nie opierała zbyt silnie, nie ośmieliłaby się, a mnie słowa nikt by nie powiedział, ale rzeknij sam, panie Tomku, rzeknij: czemu to ja, Stefan Ligęza, com niebo i piekło wyzywał, com w mieście Milanie trzy panny Visconti naraz miał, a w Paryżu najchutliwsze damy dworu króla Henryka przeswadźbił, miałbym teraz dziewczkę dworską niewolić? Przecież powinna na mnie łaskawym okiem popatrzeć, jeśli i w niej krew płynie... Sam widzisz, jakim ja.

– Więc waćpan do tego dążysz, żeby cię ona sieluska pokochała?

– Chyba do tego – przyznał Ligęza. – Ale to niełatwe. Konkurenta mam, któremu nielekkko sprostać.

– Jej pan? – próbował domyślić się Tomasz.

– Jej mąż! Ona go kocha. A wiesz, kto on, ten jej umiłowany? Przygłup! Tak, przygłup wsiowy, no, może nie przygłup, ale bardzo tępy stwór, co z trudem coś zrozumiałego wykrztusi. Ślina mu w kącikach ust się zbiera, kiedy chce coś składniejszego rzec. A ona dla niego czuła taka, że się w człowieku wszystko w środku wywraca. Rozumiesz to? „Mnie z nim

słodko”, mówi ze śmiechem. Ja w dysputy nie wchodzę. Słodko to słodko, nie masz na to rady. Aleć i ja chciałbym trochę tego miodu liznąć. Raz, kiedy napierał i jego, męża przygłupa, chciałem w jej oczach poniżyć, rzekła mi, i to z gniewem: „A cóże ty myślisz, że on nie potrafi tego, co panowie?” A kiedy indziej znowu tak: „No i co, że nierozgarnięty? Biskupem mu nie być. W naszym włościńskim życiu więcej rozgarnięcia nie trzeba. Aby czuły był. A on dobry i tkliwy. I posłuszny”.

Kniaź dosłyszał, przestał żuć.

– Posłuszeństwo mężowskie jej się podoba – mruknął.

– A waść co w tym złego widzisz?

– Niewiasty rządzić rade.

– A miłować to nie? – naskoczył na starego Ligęza.

– Hę? – nie dosłyszał kniaź.

– To, to. – Ligęza zaśmiał się. – Nie pamiętasz już, staruszk. Rządzić chcą te, którym się miłość nie udaje. Zresztą lichy je wie. Trudno w tej materii coś pewnego orzec.

Zagwojski zapytał:

– A nie próbowałeś waść od tego głupstwa mieczem się uwolnić?

– Nie rozumiem waści – odparł sucho Ligęza.

– Nie byłoby przygłupa, tobyś sam jeden został na placu.

– Waść mi to zalecasz?

– Nie, pytam tylko. Na nudę się skarżyłeś, mieczem katowskim, co nad tobą wisi, chępiłeś się... Nie myślałeś o tym, żeby tego kmiotka usunąć?

– Ona go miłuje – powiedział Ligęza.

Zagwojski zmieszał się, zamilkł, wierzchem dłoni otarł spocone czoło. Milczeli słuchając trzaskania ognia. Wiatr rozdmuchał płomień mieszając z zapachem węgla woń traw świeżo przez sabatów skoszonych. Za jarem las obudził się do nocnego życia. Hukało groźnie i daleko. Ligęza odezwał się:

– Zabić chłopca – cóż za niebezpieczeństwo dla Półkozica? Ot, grzywnę zapłacić...

– Czemu taka dziewczka niezwykła za przygłupa wyszła? – nie rozumiał Tomasz.

– Bo sierota – wyjaśnił krótko Ligęza. – Bez ziemi swojej.

– Aha.

– U inszych kmieci do pomocy była. Kazali jej opiekunowie iść za męża, poszła. Pewnie i ona wolała opiekunów się pozbyć. Kto mógł ją wziąć? Parobek dworski, przygłup. Aleć z nim to już jej własne życie, ona gospodyni, już sama matkuje, już ma się o kogo troskać – nie z musu, ale dlatego, że jej. Tak ono pewnie to kochanie powstało. Rodzina! Sieroty, panie Tomku, okrutnie własnej rodziny są złaknione. Oboje dla dworu bolatyńskiego pracują, zagrodę od pana dostali, dzieci dwoje sobie przychowali, zapełniło się Jewki sieroty życie. No i zadowolona. Nie, staruszkę – zwrócił się Ligęza do kniazia – mylisz się waść, ona rządzić mężem nie chce. Inny jest powód, dla którego ona do naszego świata się nie pcha. Bo to świat niepewny! Ona nie wie za dużo, ale wyczuwa to dobrze, że wielki świat to boisko, gdzie się nieustannie cepem młóci, nie kończący się turniej rycerski, na którym wciąż jeden drugiego z siodła wysadza – zmagania, fortele, intrygi, zabiegi, małe zwycięstwa, klęski sromotne – do góry pniesz się powoli, w dół raz-dwa zlatujesz, nocą ci sen odchodzi, wciąż o swoje się troskasz i uśmiechać się musisz fałszywie, i czapkować, językiem krzywić, z sercem kryć się. Ona to wie, przysięgam. Klnę się, iż to także ona rozumie, że spokój ducha to pogodzić się ze światem. Na swoim poprzestać. Ja, panowie, taką filozofią gardzę, nie dla mnie ona. Do gardła skoczę, a nie pogodzę się. Alem ja jest szlachcic Ligęza, całych miast dziedzic, i tak mnie wychowano, żebym był pyszny, nikomu się nie poddawał, a wsadzą mnie do klatki, to łbem kraty rozbić spróbuję. Ona –

chłopka. Co wie, to wie bez obmyślenia, z samej natury rzeczy. Jest pan, to panu powinność trzeba oddać, na nic wszelkie wierzganie, a życzy sobie jego miłość do łoża to i do łoża. A nie jesteś jej pan, to poszedł precz, powinności żadnej nie ma, wola moja jeno, a na nią poczekasz, aż sama przyjdzie, choćby do Sądnego Dnia. Dla nas życie, panie Tomku, to ciągle miotanie się, chęci i nadzieje przeróżne, i rozczarowania, a dla niej, cóż... Że świt, wstać trzeba, krowy do wydojenia, ziemia a potem mocny sen. Czasem zajrzy do studni albo w potoku się przejrzy i radość ją ogarnie, taka się sobie wyda gładka, zanuci i znowu do roboty. Tylko snu tego może mało...

– I z tego zmęczenie, puchnięcie nóg, żylaki, a potem starość, choroba i śmierć – mówi Tomasz.

Ligęza wzdrygnął się jak ze snu obudzony.

– Tak – kiwnął głową. – Prawdę rzekłeś: zmęczenie, starość, choroba i śmierć. Byle choroba niebolesna. Byle śmierć nagła. Starość, śmierć – to wszystko naturalny rzeczy porządek...

Kniaź zamruczał coś pod nosem.

– Co tam gadasz? – zaczepił go Ligęza.

– A ot, dla siebie tylko.

– Nie wykręcaj się, głośno rzecz powiadaj!

– A co za korzyść zakochanym powiadać?

– Ja zakochany? – szarpnął się Ligęza.

– A kto? Zadurzyłeś się. Gotówes sonety jak Petrarca składać. W rymy ją przybierz, panie Ligęza. Wymyśliłeś ją, i tyle. Nie ma takiej dziewczki, ja nie znam podobnej.

– Boś nie napotkał – bronił się szlachcic.

– To dziwne. Nad Niemnem w chatach kurnych niemało Ginwillątek się odchowalo.

– Toś ty Ginwiłł? Książ?

– Byłem. Teraz dziad proszący jestem.

– Starosta lidzki?

– Byłem, byłem – zniecierpliwiał się stary. – Przebiłeś mnie... O czymśmy mówili? Aha, o dziewczkach z majątności moich. To ci rzeknę, że każda z nich wiedziała, co to niezadowolenie z losu, co wściekłość, złe humory, bóle głowy, kaprysy, przebiegłość, zawiść, o chciwości już nie wspomnę. Może to grzech, coć rzekę, ale *in fundo* nie lepsze dójki od księżniczek. W zamku czy w kurnej chacie te same są pragnienia, ten sam strach i zawiść. Tocydydesa waćpan czytaj, Polibiusza, Nerona dzieje. Wszystko się zmienia, mocarstwa padają, religie i języki giną, a człowiek wciąż taki sam. Będiesz w dzieje zaprzeszłe wnikał, a swoich współczesnych zobaczysz. Toż i niewiasty. Nie wyjść im poza skłonności, które im narzuca natura.

Ligęza pił przez chwilę, odstawiwszy zaś kufel rzekł:

– Nie, książu, ona jest inna.

– Waćpana prawo przy swoim trwać.

– Ona jest inna – Powtórzył Ligęza. Ręka mu drżała, kiedy nią po dzban sięgał. – A ty, książu, ty się pod dziadowskim przebraniem ukrywasz, sale zamkowe rzuciłeś, młodej żony się wyrzekłeś i dlatego wszystkiemu przeczysz. Już byś i samej rozkoszy zaprzeczył.

– *Vanitas vanitatum* – szepnął staruch.

Ligęza znowu pił. Język mu się trochę plątał, ale nie myśl, za którą umiał podążyć.

– Jest na tym świecie zło – powiedział – jest, jest... Ale i jest śmiech szczęśliwy. I bywa niewinność i pogoda.

– Niewinność szczupaka, co karasia pożera – na to książ. Zwiesiwszy głowę wyszeptał: – To jest świat bez miłosierdzia...

– Uważ, kto to mówi! – zawołał pan Ligeza. – Uważ, panie Tomku! Dawny starosta lidzki. Zdzierca i gwałciciel... Sąsiady najeżdżał, kupców porywał... Trzy żony okrucieństwem ku śmierci przywiódł, z czwartą młodą już jako starzec się ożenił i jeszcze wsiów mnogość za nią wziął. Ale ta dała mu szkołę! Dobrze mówię, wasza książęca mość? Czemu nie odpowiadasz?

– Modłę się – rzekł stary.

– Pytam, czy podobny do ciebie ten konterfekt, com go przed chwilą odmalował?

– Sen to wszystko... Jam jest dziad, co po prośbie chodzi...

– Teraz, kiedyś osiemdziesiątki dobił, świat o okrucieństwo oskarżasz. Teraz go wyklinasz, kiedy panować nad nim nie jesteś w siłach. Teraz od Hlebowiczówny uciekasz, kiedy objąć jej nie potrafisz.

Stary zachnął się:

– Ani nie pragnę objąć tej żmii.

– Pewnie, że nie pragniesz – potwierdził Ligeza.

– Zakochałeś się waćpan i rozum ci zaćmiło – warczał kniaź.

– Tak powiadasz? Dobrze. Chwała dziewce, co mi rozum zaćmiła. Prawdę mówiąc, ani podejrzewałem, żeś jeszcze zdolny do takich zapałów. Jeszcze trochę, a stałbym się podobny do ciebie. Bo ty, kniaziu, nigdy się w miłowaniu nie zatraciłeś! Nigdy serce ci tkliwością nie nabrzmiało. Brałeś! Wszystko brałeś wedle chęci swojej. Dziewki, żony, majątności sąsiedzkie, kreski na sejmikach... Aniś się na wolę cudzą oglądał, ani na uczucie zranione. Żądze beztrosko zaspokajałeś, żalości słabszych nigdy nie raczyłeś się przyjrzeć. Byłeś właśnie jako szczupak między karasiami. Ty sam!

– Czego ode mnie chcesz? – westchnął kniaź. – Jam jest dziad, co po prośbie chodzi. – Dodał podnosząc oczy ku niebu: – „Błogosławieni cisi,

albowiem ich jest królestwo niebieskie.”

– Popatrz na niego, panie Tomku – powiedział Ligęza. – Jak nam spokojnie! Jeśli do tego stanu dojdę, gardło sobie podetnę. Wyzywać świat na ostre, za nic sobie mieć prawa i serca, a potem, na starość, „błogosławieni cisi”! Nie, panie Tomku, ja chciałbym do ostatniego dechu męstwo i zuchwałość zachować. Śmiało śmierci w oczy zaglądać, wasza książęca mość – zwrócił się do starego, który pobożnie dłonie złożył.

– Nie sztuka o tamtym zapomnieć. Trzeba rachunek zdać!

– Nie dręczcie, miłościwi panowie – skomlał stary. – Dziad jestem, co po prośbie chodzi... I dziękuję pokornie waszym łaskawościom za ten kęs, którymście nakarmić raczyli.

Ligęza, usłyszawszy to, zaśmiał się i zwrócił do Tomasza:

– Obacz, jaka w człowieku jest skłonność do komedii. Całkiem wszedł w skórę dziada. Tak wszedł, że samo napomknienie o kniaziostwie nieznośnym mu się stało. Popatrz na niego, popatrz, Tomku: po dziadowsku je, po dziadowsku słowa składa. Nic z dumy pańskiej w nim nie zostało. Z czego najbardziej teraz w duszy jest dumny – to ze swojej dziadowskiej postury.

– To jest świat bez miłosierdzia – szepnął stary kiwając głową. Ale zaraz dodał przypochlebnie: – Jeno wy, panowie, wy obydwaj macie dobre serca.

Tomasz spostrzegł, że Zagwojski uśmiechnął się na to pod wąsem. Prawda, jest z czego się śmiać. Siehenia głowa w błocie. Mój sąsiad u Bełzeckiego przed prawem się chroni. Zwrócił się do niego:

– Waszmość o jakimś mieczu katowskim wspominałeś, nieprawdaż?

– Wspominałem – potwierdził Ligęza, nalewając sobie grzanego wina.

– Nad tobą on wisi?

– Będzie lat z górą siedem.

– Tedy z ciebie lepszy ptak.

– Lepszy od wielu innych – przyznał Ligęza.

– Czyliżeś infamis?

Ligęza błysnął uśmiechniętymi oczyma znad szklanicy.

– Na to mi wygląda – powiedział.

– Mógłbym więc cię zgładzić bez kary.

– Chciałbyś to uczynić? – spytał Ligęza podnosząc brew.

– Nie.

Ligęza wydawał się rozczarowany. Podsunął Tomaszowi kubek z winem. Słodkie, gorące, korzeniami pachnące, ciepłem rozchodzi się po ciele. To morderca, pomyślał. Przygód szuka, świat wyzywa. Można go nająć do zabójstwa. Kto wie, może i mojego ojca zamordował? Jeśli tak, to kto go najął?

Tomasz odstawił kubek.

– Mnie co innego spokoju nie daje – rzekł. – Czemu to waćpan zbrojno do arian jedziesz?

– Z polecenia mojego opiekuna i przyjaciela.

– Pana Bełzeckiego?

– Nie mam innego – stwierdził sucho Ligęza.

– Sprowadzić ich siłą do Sańska? – spytał Błudnicki.

Ligęza z podziwu pokręcił głową.

– Aleś, bracie, poważny!

– Bo rzecz jest poważna. Odpowiadaj waszmość!

– Zapominasz się – powiedział Ligęza grzebiąc patykiem w ogniu. – Rozejrzyj się dokoła. Dwudziestu sabatów mam.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

– Owszem, nawet całkiem niezła. – Ligęza przez chwilę sączył wino. – Ostygło – poskarżył się. – Panie Tomku – podjął temat poprzedni –

powiedzmy, że jest jak powiadasz: mam ja tych nurków pod sztychem do Sańska sprowadzić. Co wtedy? Przeszkodzisz mi?

– Należałoby – powiedział Tomasz siląc się na spokój.

– Jak byś tego dokonał? – zainteresował się Ligęza tak bardzo, że wino sączyć przestał.

– Nie wiem jeszcze – Tomasz rozejrzał się. Dwudziestu sabatów. Trzy ogniska. Wozy. Straże. Niektórzy w burki owinięci drzemią. – Nie wiem – powtórzył. – Coś wymyślę.

– Pewnie ode mnie byś zaczął? – odpowiedział Ligęza i twarz mu zastygła w oczekiwaniu.

– Pewnie od ciebie.

– Czuję to. Widać, żeś wyjadacz. A jednak nieładnie, panie Tomku. Nie pochwalam. Gościem moim jesteś. Z dobrego serca cię przygarnąłem, karmię, poję, kąpię, a ty mi chcesz do gardła skoczyć.

Tomasz milczał. Cyryl spał leżąc przy ognisku, stary kniaź głowę na pierś skłonił. Tylko Zagwojski czuwał, pilnie się Tomaszowi przypatrując. Jego młodą, jasną twarz łaskotały czerwone odblaski. Tomasz zwrócił się do niego:

– Budzić ich trzeba, panie Jędrku. Pójdziemy sobie.

– Powoli – odezwał się Ligęza. – Dokąd tak pilno?

– Przed siebie.

– Nie gorączkuj się. – Ligęza położył mu dłoń na ramieniu. – Chodź, pokażę ci przyczynę, dla której do kosturowców idę.

Wstali od ogniska. Ten ciężar, który ugniatał pierś, nagle rozpełzł się. Nie wiedział, co mu Ligęza chce pokazać, był pewny, że żalu do niego odczuwać nie będzie. Infamis, prawda, ale chyba za tym jakaś tajemnica się kryła, może lekkomyślność junacka – inne sprawy i czasy inne. Ligęza odsłonił wejście do namiotu. „Popatrz” – mruknął. Wewnątrz przy mdło

świecącym kaganku siedzieli trzej mężczyźni rozchełstani: jeden z brodą siwą, jeden w sile wieku, z szeroką czarną brodą, trzeci całkiem młody, płowowłosy, ten twarz miał okrągłą, czerwoną. Dwie szable leżały w kącie, spod nich miecz drewniany wyzierał. Ariański, domyślił się Tomasz.

– Pan Lubieniecki, pan Moskorzewski, pan Felkel – przedstawił Ligęza.
– A mój gość to młody pan Tomasz Błudnicki, oficer carowej Maryny. Nie przeszkadzajcie sobie, panowie, chciałem tylko okiem rzucić, jak wam się powodzi.

– Dziękujemy ci, rycerzu, niczego nam nie brak – odezwał się siwobrody arianin Lubieniecki.

– Komary nie dokuczają?

– Teraz, kiedyś namiot odsłonił, dokuczać zaczęły.

– No to umykam. Dobranoc waszmościom.

– Dobranoc.

Ligęza zasunął płótno.

– Oto przyczyna – powiedział do Tomasza. – Deputacja ariańska. Wizytują swoich współwyznawców gałąź taką, co się od nich odszczepiła i swoimi prawami się rządzi. Na życie ich mają popatrzeć, spróbować ich ku wierności przywołać, a potem w zborze rakowskim raport złożyć. Do pana Bełzeckiego przysłali ich panowie Sienieńscy z poleceniem. Pan Łukasz, widząc, że kosturowcy Sańsk opuścili, przydał onym posłom sabatów dla ochrony, a ja na komendanta się poprosiłem.

– Nie lepiej ci w Bolatynie siedzieć, gdzie ci nic nie grozi?

– Dlatego się poprosiłem, że nie grozi. – Ligęza zmagął się chwilę z jakąś myślą. – I od Jewki chcę ujść – wyznał. – Może jak jej nie będę widział... Nie myślisz?

Później, kiedy już układali się do snu pod płótnem namiotu, powiedział pan Ligęza:

– Nie wiem, jak to przyjmiesz, co ci rzekę, ale mnie się widzi, że do swojego ojca nic a nic podobny nie jesteś.

– Skąd ta myśl? – spytał Tomasz. Nie wiedział, czy ma się czuć urażony, czy przeciwnie, z wdzięcznością tę uwagę przyjąć.

– On większy był kunktator – mówił Ligęza. Powoli słowa cedził, podbierał je starannie. – Zimny był, przewidujący... Tak, groźny to był współzawodnik. Umiał czekać. Tak, umiał to.

– Mało go znałem – powiedział Tomasz. – Powiadają niektórzy, że nie swoją śmiercią zeszedł. Słyszałeś wacpan coś o tym?

– Nie – zaprzeczył Ligęza. – Nie słyszałem.

ROZDZIAŁ III

Obóz witał ich zapachem tarniny. Biegła ona biało rozkwitłym szpalerem wśród brzęczenia os i buczenia chrząszczy, tuż nad krętym zielonym jarem, z którego donosiło się pobekiwanie owiec i głucho bulgotanie potoku. Zbliżało się południe, słońce wzbiło się nad najwyższe buki. Szli prowadząc konie za powody, pan Ligęza i Tomasz pierwsi, dalej deputacja z Rakowa, za nimi skrzypiały strzeżone przez sabatów wozy ładowne. Z chłodnej czeluści lasów wybiegały im na spotkanie dzieci pokrzykując:

– Rycerze! Rycerze idą!

W lesie oddychało im się źle i szło się źle także, bo stąpając po ściółce z zeszłorocznych liści. Drogę ku koczowisku wskazywały zawieszane na drzewach krzyże, z kwiatów polnych uplecione. Pokazały się ziemianki, darnią kryte, zaopatrzone w drzwi z desek. Stały przed nimi staruchy, czasem jakiś wyrostek, czasem brodacz jakiś wysunął się z narzędziem w rękę.

– Niewiast nie widać – zauważył szeptem Ligęza.

– Boją się nas – zrozumiał Tomasz. I chociaż nie było w tym nic dziwnego, przecież poczuł się nieswojo, jakby mu ktoś chciał ubliżyć.

Wyszli z cienia bukowiny na światło polany rozległej, gdzie stały taborem wozy, obok zaś pasły się ciężkie, posapujące woły. Od stołów, pośrodku taboru w podkowę ustawionych, podniosło się kilku mężczyzn i ruszyło ku nim, każdy z kosturem w rękę. Na czele szedł chudy, niski nowochrzteniec ze szczeciniastą rudą brodą, krótko ostrzyżony.

– Szable przypasaliście – powiedział z wyrzutem, stanąwszy przed nimi. Czoło miał wystające, pod które głęboko się zapadały małe, okrągłe oczka. Palcem na dwóch panów z deputacji rakowskiej wskazywał. Potem ten palec powędrował ku trzeciemu panu, temu siwemu, co się Lubieniecki

zwał. – Ty Pisma się trzymasz – mówił rudobrody. – Tyś wierny wyznawca. A oni małoduszność okazali.

Taki wyrzut i pogarda dźwięczały w jego głosie, że zaczerwienili się ci dwaj z szablami, a starszy z nich, Moskorzewski, pokuśtykał o lasce do przodu.

– W podróży jesteśmy – bronił się. – Przed zbójcami ochrona...

– Socyna to Włocha błędy – rzekł na to rudobrody. – Je go zdradzieckie krętactwa...

– Bracie – odezwał się najmłodszy rakowianin, okrągłolicy Felkel. – Przywitajmy się wpierw jak należy.

Rudobrody skłonił się.

– Witam was, bracia moi – rzekł. – Radzi jesteśmy, że nas nawiedziliście na wygnaniu. Jam jest brat Szymon Wojnarowski, starszy sługa Boży, a oni – wskazał na swoich towarzyszy – pomocnicy w służbie.

Dziadus, który mało co z tego dosłyszał i wciąż kręcił się niespokojnie, szepnął do Cyryla:

– Wnusi, nie przepiórka tam w trawie?

– Ta niebieskonoga? Przepiórka – potwierdził Cyryl.

– Ha, tak myślałem. To już niedaleko.

– Co, Dziadusi?

– Jak co? Nie wiesz, że przepiórki wędrowców izraelskich żywiły na pustyni? Pewnie już Jeruzalem niedaleko.

– Och, Dziadku! – ucieszył się Cyryl.

Rudobrody zwrócił się do pana Ligęzy:

– Pomagaj Bóg, Ligęza. To Bełzeckiego żołnierze z tobą?

– Jaśnie wielmożnego pana Łukasza Bełzeckiego – odpowiedział szlachcic i uśmiechnął się nieznacznie.

– I cóż on potentat, nie chowa do nas urazy?

– Widać nie, waćpanie, jeśli asystencję dał twoim współwyznawcom.

– Podziękuj mu, bracie, ode mnie. Ale nie zapomnij dodać, że naszą asystencją jest jeno moc Pańska. Nie sprostają jej hetmany ani lisowczyki.

A w Sańsku naszym co? Wciąż antychrysty grasują?

– Jeśli masz na myśli pana Pobidzińskiego chorągiew, to wciąż.

– I sam Bełzecki nie jest mocen tego odmienić? – pytał z ironią w głosie rudobrody.

– Na razie nie próbuje – przyznał Ligęza.

– Aha, widzisz jak!

Teraz przyszła kolej na Tomasza.

– Panie Wojnarowski – powiedział – ja tu przybyłem, żeby tego starca powierzyć zborowi pod opiekę.

Rudobrody przyjrzał się badawczo kniaziowi.

– Sam on ku nam chce czy siłą go prowadzicie?

– Możesz go waćpan zapytać.

– Któż on jest?

– Książ, co zamek i majątności rzucił.

– Jeśli złoczyńca, co przed sędziami uchodzi, schronienia mu nie damy.

– Nie – uspokoił go Tomasz. – Sumienie może ma nieczyste („jak każdy z nas” – wtrącił Wojnarowski), jak każdy z nas – przyznał Tomasz – ale przed sądami on nie uchodzi.

Wojnarowski popatrzył pytająco na swoich ministrów, ale ci milczeli. Zwrócił się głośno do starego:

– Książ jesteś?

Ginwiłł skłonił głowę i zachrypiał:

– Jam jest dziad, co po prośbie chodzi.

– A nie tęsknisz do swoich zamków i majątności?

– Nie mam zamków... nie mam majątności...

– Nie śpiesz się z wyrzeczeniami – rzekł sługa Boży. – Przyjrzyj się nam bliżej, to poweźmiesz decyzję. Bracia, prosimy do stołów, południować będziemy, a pożywicie się, rozgościcie, to na zgromadzenie raczcie. Ujrzycie, jak Boga chwalimy, jak sprawy nasze rozwiązujemy. Wszystkich tu przytomnych prosimy.

Tomasz usłyszał za sobą pomrukiwanie uradowanych sabatów. Szedł obok Cyryla i kniazia, przyciskając do biodra nieposłuszną szablę. Zawada, pomyślał. Rzucić by ją precz i ku nowochrzczeńcom przystać. Nagle usłyszał:

– A ciebie, młodzieńcze, jak zwać?

Odwrócił się: rudobrody przyśpieszył kroku, by się z nim zrównać.

– Do mnie mówisz? – spytał go Tomasz.

– Do ciebie.

– Błudnicki jestem.

Wydawało się, że rudobrodemu drgnęła powieka.

– Leliwczyk? – spytał.

– Tak.

– Syn onego? – arianin przystanął.

Tomasz także zatrzymał się.

– Kogo waćpan masz na myśli?

– Błudnickiego, który nami surowo rządził. Jego jesteś synem?

– Tak.

Wydało się, że rudobrody chce coś powiedzieć, ale w końcu zmilczał, obrócił się ku sabatom, którzy za nimi szli, i zawołał:

– Na lewo, bracia! Do stołów czystych!

Potem kroczył obok Tomasza przez pewien czas w milczeniu, wreszcie zagadnął:

– Powiadają, że w oblężeniu w Moskwie łudzinę jedli.

– Tak powiadają – przyznał Tomasz.

– A ty jadłeś?

– Nie, ja nie jadłem.

Ale serce biło w nim jak oszalałe i na twarzy musiał zzielenieć, bo czuł, jak mu skóra na policzkach cierpnie.

– I nie widziałeś, jak inni jedli? – pytał sługa Boży.

– Nie, nie widziałem.

– Powiadają, że niedaleko pada jabłko od jabłoni – mówił nowochrzczeniec nie patrząc na Tomasza, tylko na stoły misami zastawione. – Ale może to nieprawda... Siadaj, bratem naszym bądź. Tutaj siadaj, między dziećmi moimi.

Do Tomasza uśmiechnął się złotowłosy siedemnastolatek i wskazał mu miejsce na ławie obok siebie. Dziewczynka po prawej ręce nie poruszyła się i nie obdarzyła go spojrzeniem. Widział z boku jej delikatnie rzeźbiony, policzek blady z dołeczkami w pobliżu ust, czoło niskie, nad którym warkocz czerwonozłoty był okręcony. Oczu nie widział, bo przykrywały je powieki z niezwykle długimi rzęsami. Dotknął niechcący jej szczupłego ramienia, drgnęła i odsunęła się nieco. Ale dostrzegł, że nozdrze jej wąziutkiego nosa poruszyło się i chłepnęło powietrza.

– To dziateczki moje – przedstawiał sługa Boży Wojnarowski, siadając po przeciwnej stronie stołu. – Maciej i Lea. – Tomasz kiwnął im obojgu głową. – On zaś, to Błudnicki, syn onego, co tu ramieniem Bełzeckich był.

Wydało mu się, że młody Maciej Wojnarowski stłumił westchnienie. Dziewczynka zaś zwróciła ku Tomaszowi bladą twarz. Usta miała nieduże, ale pełne. Przyjrzała mu się uważnie, i pochwycona na tym nie opuściła powiek, ale leciutko się uśmiechnęła.

Syn onego, pomyślał. Od wczoraj już nie jestem sobą, tylko jego synem, wciąż nieboszczyka ojca ktoś wspomina, i to jako ważną personę.

Naprzeciw, obok rudobrodego, siedział mężczyzna barczysty i grzywą włosów czarnych opadających na czoło, pod którymi brwi były gęste, a spojrzenie ciemnych oczu nieustępliwe. Wszystko w nim wydawało się znamionować siłę – fizyczną i duchową. Rudobrody przedstawił go:

– To jest brat Gabriel Kowacz, bednarz zawołany, jemu swoją córkę na małżonkę oddaję.

– A czemu oddajesz? – spytał Ligęza nabierając łyżką sałamachy.

– Bo zacny jest, pobożny i pracowity.

– A inni u was nie zacni, nie pobożni i nie pracowici?

Wojnarowski z trudem zapanował nad rozdrażnieniem.

– Brat Gabriel Leę miłuje.

– To rozumiem – powiedział Ligęza. – A ona jego?

– Powiedz, Lea.

Odpowiedziała:

– Pójdę za niego.

– Szesnaście wiosen skończyła – rzekł ojciec. – Czas męża mieć, czas zakon wypełniać.

– Crescite et multiplicatemi – powiedział Ligęza i zabrał się do gęstej sałamachy. Tomasz chciał mruknąć „amen”, ale ujrawszy utkwione w sobie uporczywe spojrzenie rudobrodego zaniepokoił się. Usłyszał:

– Ty w jakich wojskach byłeś?

Do mnie to pytanie, zrozumiał. Westchnął i odpowiedział:

– Pana Piotra Sapiehy.

– W jeździe?

– W lekkiej jeździe, co ją pancerną zwa.

– I powiadasz, żeś nie widział, jak ludzinę jadano?

Podniesiona do ust łyżka opadła z powrotem do misy.

– Nie, nie widziałem.

Rudobrody nie spuszczał z niego bezlitosnego spojrzenia.

– Więc to nieprawda, że jazda na piechotę z nożem kuchennym polowali?

– Chyba nieprawda.

– I nie widziałeś, żeby jeńca dobijali, aby go upiec na rożnie?

– Nie widziałem.

– I żeby skazańców z szubienicy odcinano?

– Nie!

– A słyszeć o tym też nie słyszałeś?

– Co waszmość tu...! – zawołał Tomasz. – Scrutinium czynisz? Sądy odprawiasz? Nie muszę na twoje pytania odpowiadać!

Nie jestem dla ciebie waszmością – wypomniał spokojnie sługa Boży. – Braćmi wszyscy jesteśmy.

Tomasz wycedził przez zęby:

– To się jeszcze pokaże.

– Czemu nie jesz? Jedz, jedz...

Tomasz wstał od stołu. Szedł pobladły, bliski mdłości ku wozom otaczającym koczowisko. Zatrzymał się przy jaworze, co samotnie rósł pośród polany, dłonią oparł się o pień. Nie ma ucieczki, myślał, nie ma schronienia. Zagwojski i Cyryl przybiegli, usłyszał ich głosy zatroskane, mdłości wciąż napierały, powiedział cicho:

– Zostawcie mnie. – A kiedy trwali przy nim, poprosił: – Odstąpcie, ja tu lepiej sam...

Stał jeszcze trochę przy tym jaworze słuchając pisku ptaków w listowiu smyrgających. Nadciągały chmury, zbierało się na deszcz. Pod ciemną chmurą kołował powoli jastrząb, prawie nie poruszając szponiastymi skrzydłami. Uciekaj, chciał doń przemówić Tomasz, uciekaj, zabójco, bo cię jeszcze mój Zagwojski ustrzeli. Usłyszał nieśmiały głos:

– Wasza wielmożność...

Któż tu, wśród braci kosturowych, wielmożnością go czci? Stali przed nim młodzi Wojnarowscy: Maciej złotowłosa, chłopak rosły, i jego o rok młodsza siostra, krucha, bladolica, milcząca Lea.

– Wasza wielmożność – mówił Maciej, a z przejęcia aż się spocił – ojciec przysyłają nas powiedzieć, że cię przepraszają i proszą urazy nie chować. Racz do stołu..

– Do stołu nie pójdę – powiedział Tomasz.

– To co mam ojcu powtórzyć? – zafrasował się młodzieniec.

– Nic nie mów.

– My tu, wasza wielmożność, na delikatnościach się nie rozumiemy – powiedział młody nowochrzczeniec. – Prawda nade wszystko. Waszmość chyba z tym się zgodzisz?

Oboje Wojnarowscy oczekiwali teraz z napięciem jego odpowiedzi. Zielonooka, stwierdził przyjrawszy się dziewczynie, niewinne to oczy i jakby w tej niewinności zalotne.

– Czasem trzeba człowieka od prawdy chronić – rzekł.

Nagle dziewczynka dotknęła jego ramienia.

– Jakież to cienkie płótno! – zachwyciła się. – Pewnie z dalekich krajów sprowadzone.

– Kitajka – powiedział Tomasz i nie mógł się powstrzymać od uśmiechu na widok rumieńców dziewczyny. – Podoba ci się?

– Chyba bardzo drogie. – Zarumieniła się jeszcze mocniej i naraz błysnęła w uśmiechu małymi ząbkami. – Ja to bym wolała różową.

– Rzeknij ojcu, to ci kupi.

– Gdzie zaś, naszym to zakazane.

– Narzeczony twój powinien ci kupić o nic nikogo nie pytając.

– Och, Gabriel tego nie uczyni. On bogoboyny, surowych zasad. Ale dobry – dodała pośpiesznie. – Tak myślę, czy go o bućki nie prosić. O bućkach czerwonych nic kaznodzieje nasi nie wspominali. Ale chyba mi się Gabriel rozsierdzi i pokutę zada.

– Pleciesz, Lea! – zawołał Maciej, który jakoś w miejscu ustać nie mógł.
– Co to wszystko jego wielmożność obchodzi...? A wasza wielmożność okrutnie długie masz szablisko.

– Jakie dali, takie wziąłem – odpowiedział Tomasz. A widząc, że młodych ta odpowiedź dziwi, wyjaśnił: – W Czehrynie nająłem się do czyszczenia starej broni z rdzy u karaity kramarza. Jeść dostałem i tę szablę sobie wysłużyłem.

– Pokaż mi – poprosił nagle Maciej.

– Nic nadzwyczajnego.

– Ale pokaż! – nalegał młodzian.

Tomasz przechylił ku niemu rękojeść szabli, Maciej szarpnął i broń wyciągnął. Podniósł ją do góry, patrzył, jak promienie słońca na ostrzu migoczą.

– Szczerbata – powiedział. – Była w robocie?

Beznosa głowa poleciała w błoto, po chwili zważyło się ciało. Boże wielki Sieheń się nazywał. Jastrząb spod chmury coś dla siebie na ziemi dostrzegł, bo skrzydła ściągnął i runął w dół jak kamień. Pewnie myszy polnej dopadł.

Na szczęście Maciej nie domagał się odpowiedzi. Zamachnął się raz i drugi, natarł na niewidzialnego nieprzyjaciela. Ciął. Zabił. Zatrzymał się i spytał:

– Co rzekniesz, wasza wielmożność?

– Zgrabnie – pochwalił go Tomasz i odebrał szablę.

– A ty nie rozgaduj! – rzucił się Maciej ku siostrze. – Spróbuj tylko!

– Nie rozgadam, coś ty – oburzyła się.

– To chcesz mieć szablę? – zaciekał się Tomasz.

Młodzian zmieszał się.

– Czasami chcę – przyznał. – Przecieżem szlacheckie dziecko. Wojnarowski jestem, słyszałeś waszmość? Z bitnego rodu pochodzę. Ja do ksiąg zaglądałem, to wiem. A wasza wielmożność w lekkobrojnej jeździe byłeś, którą pancerną zowią.

– To ty wiesz...

– Pewnie, że wiem. A w husarii kopia na szesnaście stóp długa. I te skrzydła, co?

– Maciej uśmiechnął się porozumiewawczo.

Zanościło się na deszcz, powietrze było ciężkie. Powiadomiono przybyłych, że wierni zbiorą się w lesie, pod osłoną bukowych konarów. Przeniesiono pod drzewa ławy, zawieszono dokoła krzyże z kwiatów polnych. Nie dla wszystkich starczyło miejsca. Gości usadowiono w pierwszych rzędach, za nimi starsi bracia się rozsiedli, młodzież stała na stronach. Tomasz odwróciwszy się powiódł spojrzeniem po zebranych. Poważni, pomyślał, skupieni, żadnej lekkości w nich nie ma, żadnej pogody. Tylko między młodzieżą dostrzegł tu i ówdzie jakąś parę oczu zuchowatych albo kpiną błyskających.

Brat Wojnarowski dał znak ręką i córka jego z lutnią w ręku wyszła przed zgromadzenie. Wydała się Tomaszowi jeszcze bardziej blada niż zwykle. Oznajmiła głosem niskim, zduszonym:

– Panu zaśpiewamy...

I brzdąknęła strunami lutni. Wierni odśpiewali hymny pobożne, po czym zapanowała cisza. Z ławy podniósł się brat Wojnarowski i stanął przed zgromadzeniem.

– Bracia – zaczął cicho. – Zanim do pytań i odpowiedzi przejdziemy, najpierw o tym, co się wokół nas dzieje, słów kilkoro. Bracia, oto już szósty dzień mija, jak opuściliśmy nasze siedziby. Grzeszna kupa zbrojna je plugawi. Ale nie załamujemy się. Wytrwamy w naszym wygnaniu, bracia moi. Czterdzieści lat naród wybrany koczował po synajskiej pustyni, zanim do Ziemi Obiecanej wstąpił. Cóż więc przy tym nasza wędrówka i nasze obozowanie? Marna to tylko próba wiary naszej i wytrwałości. Okażemy się tej próby godni i do naszego Jeruzalem z Bożą pomocą wrócimy.

Cyryl pociągnął Tomasza za rękaw:

– Jeruzalem wspomniał... słyszałeś?

– O Sańsku mówił – odszepnął Tomasz.

Rudobrody ciągnął:

– Bracia najmilsi, gości mamy. Z Rakowa deputacja przybyła przyjrzeć się, jak żyjemy. Wielce oni uczeni w tym Rakowie i tak dufają, że mogą nas pouczać, co zgodne z Zakonem, a co sprzeczne. Nie uchylamy się od tej dysputy, chociaż my tu sami, do Pisma zaglądając, pytania nasze rozstrzygamy. Mała tam jednak wiara, w tym Rakowie, bo oto dwaj z posłów szable w podróży przypasali... – Szmer się podniósł. – Tacy są ci nasi nauczyciele! – zawołał Wojnarowski. Widząc, że rakowianin Moskorzewski podniósł się, żeby zreplikować, rudobrody wyciągnął w jego kierunku dłoń: – Siadaj bracie, patrz, słuchaj, będziesz potem mógł głos zabrać.

Tomasz usłyszał zduszony chichot z szeregów młodzieży. Cieszą się, że gość nauczkę dostał. Brat Wojnarowski mówił dalej:

– Mamy i innych gości zbrojnych, ale tym trzeba wybaczyć, bo nie naszej to wiary ludzie, a do nas z pokojem przyszli. Od Łukasza Bełzeckiego jest Ligęza, szlachcic z sabatami. Jest i starzec, co splendory

rzucił, żeby między nami osiąść, a z nim młody Tomasz Błudnicki, syn Jana Tomasza.

Nazwisko to wywołało nowy szmer, głośniejszy i dłuższy. Powtarzano je sobie szeptem, jakby dziwne było, niewiarygodne. On siedział sztywno, czując na sobie piekące spojrzenia. Obrócił nieznacznie głowę: żadnych uśmiechów, ich oczy spoglądały surowo, nieprzyjaźnie. Co za lichy? – pomyślał. Usłyszał głos Wojnarowskiego:

– Pytania i odpowiedzi.

Zrobiło się cicho, jakby w oczekiwaniu nadzwyczajnych wydarzeń. Tomasz znów zerknął na otoczenie: na wszystkich twarzach ten sam wyraz napięcia i powagi. Wstał starzec zgarbiony, jakby od długotrwałego przesiadywania nad kopytem szewskim, i spytał cieniutkim głosem:

– Odpowiedz mi, bracie, co na królewskim dworze? Czy wciąż pomstują na ariany?

Odpowiedź:

– Paszkwile przeciw nam drukują po staremu, ale jest nadzieja, że Waza wiary im nie daje. Nie jest on wiernych przyjacielem, ów Waza alchemik, ale boi się oskarżeń o nietolerancję. Bóg go wziął w kleszcze.

Spytano (któryś z młodszych):

– Czy są wiadomości od odstępcy?

Odpowiedź:

– Imię jego niech będzie zapomniane. Nie trzeba o niego pytać.

Spytano:

– Co zamierują Filistynowie? Zali grozi nam gwałt z ich strony?

– Z Bełzeckiego strony nic nie grozi. Asystencję zbrojną dał braciom naszym rakowskim.

– A lisowczycy? Nie chcą się mścić?

Rudobrody odpowiedział:

– Na pewno mścić się chcą, ale coś ich wstrzymuje. Do gości naszych się zwracam: byli kto z was w Sańsku przy lisowczykach?

– Ja byłem – odezwał się Tomasz.

Znowu ten zagadkowy szmer. Brat Wojnarowski uciszył zebranych podniesieniem ręki.

– Błudnickiego syn wie – powiedział. – Mów, bracie!

Szmer ucichł. Mojego to głosu wszyscy oczekują, uświadomił sobie Tomasz.

– Lekkomysłni chcieli się na was mścić – powiedział wchodząc mimowolnie w ton nowochrzczeńców. – Ale są między nimi ludzie rozważni, są i poczciwi. Ci perswadują, żeby szkód nie czynić, przemocy nie stosować...

– Pan Błudnicki pierwszy! – krzyknął Cyryl zrywając się. – Pan Tomasz zbór ochronił! Głowę mu ściąć zamiarowali!

– Cichaj! – Uspokoił go Tomasz pod szmer zebranych. – Widzicie dobrze, że głowa cała. – Śmiech młodzieży. Dobrze, ucieszył się, ci już mi będą sprzyjać. – Jest tam pan Jacek Dydyński, stolnikowic sanocki, mój sąsiad, dzielny żołnierz, sławy swojej i poczciwości strzegący, na niego liczę. – Dodał z mocą: – Nic wam nie grozi!

– Bóg przez niego przemawia – rzekł rudobrody.

Tomasz usiadł, ale szmer trwał. Znowu przyglądał się ludziom. Te oblicza, myślał, otepiałe, zastygłe jakby w fanatyzmie czy też w rezygnacji, żadnej w nich żywości. Wędzidło na siebie nałożyli, namiętności spętali. Odeszli od okrutnego świata, bo w nim mord i przemoc rządzą, nagrody i łaski zostały Bogu wykradzione i możliwym oddane. Ale odeszli nie żeby walczyć przeciw nieprawości, ale żeby w niej nie uczestniczyć, a głównie, żeby się przed owym światem zła schronić. Nie szerzą swojej wiary, nie

naprawiają świata, bo do tego brak im zdolności, ale uciekają przed tym, co niemiłe.

Z grupy młodzieży odezwał się chłopiec:

– Bracie Szymonie. My tu w naszym zborze wysoko pracę czcimy. Żeby żyć z pracy rąk, brat Szymon dwór i majątność opuścił. Praca ma nam zbawienie na wieczność zapewnić. Bracie mój starszy, wszelako nie tak kazał Jezus na Górze. Czyż nie mówił tam, żeby nie troszczyć się o jadło, odzież, ale by brać przykład z ptaków niebieskich, których Ojciec żywi? „Izali wy nie jesteście daleko zacniejsi nad nie?” – powiedział. Albo lilije polne, ich przykład dawa: nie pracują ani przędą – a jak są przyrodziane! Nie rozumiem tej niezgodności.

Odpowiedź:

– To proste. (Wszystko dla niego proste, pomyślał Tomasz. Szczęśliwy). Proste – powtórzył Wojnarowski. A młodzi oczekiwali w napięciu wyjaśnienia. Ta niezgodność ich trapiła. – Wszakżeśmy nie lilie i nie zwierzęta, a ludzie, i nago się rodzimy.

– Ale może i poniektóry pomyślał w duchu, że nieuważnym obserwatorem natury był Jezus, bo nie można o ptakach mówić, że się o pożywienie nie starają, wystarczy popatrzeć na jaskółki, jak pędzą niezmordowanie za pożywieniem, nieustannie w powietrzu owady goniąc. Nie im, co nieraz pod gołym niebem żyli, takie przypowieści prawić. Tak I ale tylko niewielu jest naprawdę poruszonych i na odpowiedź czeka. A ci inni, ci z zeszywniałymi spojrzzeniami? Obojętni się wydają. Może ich subtelności teologiczne nic interesują, jeno sposób życia, a ten obecny im odpowiada. Może raz na zawsze starszym swoim zaufali. Albo też nieraz owe pytania słyszeli i odpowiedź z góry znają, niczego nowego nie oczekują. – Komu ówczesna praca miała służyć? – zadawał głośno pytanie brat Wojnarowski. I sam dał odpowiedź: – Cesarstwu rzymskiemu.

Władcom pogańskim. Jezus mówiąc: „nie pracujcie”, w panowanie pogańskie mierzył: Skoro im wszyscy pracy odmówią, zachwieją niemałym państwem. Ale nie mógł tego wprost powiedzieć, więc przypowieściami rzecz obchodził. Dla siebie, dla rzeszy chrześcijańskiej pracować można i należy. Ale przestrzega nas Jezus, i w tym słowa Pańskie odnoszą się do naszych czasów, by nie nadto troszczyć się o ubiór, a więc przed zbytkiem przestrzega, strojeniem się i chciwością. Pracować należy na miarę potrzeb swoich i zboru. Tak postępując zbawienia dostąpimy.

Ligęza spytał:

– A jakaż jest miara potrzeb ludzkich? Skąd ją brać?

Odpowiedź:

– Tę zbór określa. Mamy tu radę z wyboru braci, ona o potrzebach decyduje.

Ligęza:

– I jak bracia zdecydowali? Wszystko wspólne?

Odpowiedź:

– Nie, nie wszystko. Domostwo każdy ma swoje. Tutaj, na wygnaniu, społem obozujemy, ale w Sańsku nie tak było.

– A niewiasty jak?! – spytał Ligęza. – Wspólne?

Szmer. Czyjś zduszony chichot.

– Nie – odpowiedział rudobrody.

Czytałem w jakiejś broszurze inaczej – nie ustępował Ligęza.

– Jest takich broszur bez liku. Nieprzyjaciele nasi bezceństwa nam przypisują, żeby przed możliwymi obrzydzić... O grupowym mnożeniu się piszą. Paszkwile to jezuickie!

– Wiem, że jesteście przeciw stosowaniu przemocy.

– Trzymamy się w tym Pisma.

– Więc i w rodzinie nie wolno dziecka skarcić?

– W rodzinie wolno. Kto ma władzę, ten uderzyć może. Rodzicielska władza dt natura pochodzi. Takoz władza męża nad żoną od Boga jest dana, jako z Pisma wynika. Wolno rodzicom dziecko uderzyć i wolno mężowi żonę uderzyć, jeśli to ją ma poprawić. Ale gniewu przy tym objawiać nie należy.

– Więc jak? Wszystko na zimno? – zaperzył się Ligęza. – Czy nie zgodniej będzie z Zakonem Bożym, jeśli w gorącości ktoś żonę wytarnosi, a potem ostygnąwszy pożałuje, pocałunkiem się wkupi?

Znów czyjś zduszony chichot. Rudobrody ani drgnął.

– Nie – powiedział. – W gniewie bić nie należy. Jeśli niewiasta twoja zawiniła, ukarż ją. Dla jej dobra. Jeśli nie zawiniła, nie śmiesz tknąć.

– Chyba że na rachunek przyszłych przewin – mruknął Tomasz, a Cyryl usłyszawszy to roześmiał się.

Ligęza stał szarpiąc wąs.

– Siadaj, bracie – nakazał rudobrody cicho. – Kto teraz?

– Ja – podniósł się Zagwojski. Rumieniec oblał mu policzki. – Chciałem zapytać was, panie, czy o Marynie... czy o carowej coś wam wiadomo? bo może jakieś wieści doszły?

Wojnarowski kiwnął głową.

– Mieliśmy wieść. Nielekki jej los. W Astrachaniu z kozakami się chroni, z kozakiem Zarudzkim w grzesznym związku przestaje.

– Czy jej co grozi?

– Osaczona przez wojska moskiewskie.

Zagwojski wciąż stał. Wojnarowski, zwracając się do całego zgromadzenia, przemówił uroczyście:

– Mieczem i kłamstwem do carstwa się pięła, od miecza ginie. Wypełnia się Zakon Boży. Nie dostąpi zbawienia, kto nie żyje w zgodzie z nakazami Pańskimi. Nigdy nie wolno zapominać, że życie nasze tutaj jest tylko

przygotowaniem do tamtego, które trwa w wieczności, i że każde poczynanie zbawieniu winno służyć. Wszyscy nad losem Maryny bolejemy, ale zły ona przykład daje, stawiając królestwa i splendory, i władzę nad bliźnimi ponad życie wieczne.

Brat Moskorzewski z Rakowa podniósł dłoń na znak, że chce głos zabrać.

– Tedy macie cały dobytek wspólny? – spytał.

– Wszystko.

– Gotowizny nie ma nikt?

– Ani sakiewki, ani kalety nie używamy.

– Nie macie nic własnego! Jakże więc możecie dobroczynność czynić?

– Gmina ją czyni pospólnie – odparł brat Wojnarowski. Tomasz zauważył, że sługa Boży jest niespokojny. Jakby spodziewał się ciosu w słabe miejsce.

– Ale nie mają bracia możności wypełnienia zakonu. Powiedziano: głodnego nakarm, nagiego przyodziej. Z czego, pytamy, jeśli nic nie jest nasze?

– Gmina czyni dobroczynność w imieniu swoich członków – odpowiedział sucho Wojnarowski. – Zakon jest wypełniany.

– Ale serca ludzkie leżą odłogiem. Serce pojedynczego brata, nigdy nie wystawione na próbę, nigdy nie drgnie współczuciem, kiedy o wszystkim decyduje za niego zbór.

– Czego brat żądasz? – zapytał rozdrażniony Wojnarowski. – Są potrzeby pierwsze i są potrzeby wtórne. Najważniejsze – to Jeruzalem nowe wznieść, świątynię Panu w sercach naszych zbudować, odciąć się od owych marności i błyskotek, które królowie i carowie świata narzucili. Zakon Pański został przez rycerstwo zdradzony! Wzgardzić trzeba mieczem,

władzą, która od ludzi jest, odwrócić się do niej plecami i ku Panu zwrócić oblicze.

– Turczyn czyha! – krzyknął Moskorzewski. – Dookoła granic nieprzyjaciele zbrojni, proch i armatę gromadzą, nie może się jedna Rzeczpospolita rozbroić, kiedy tamci jak sępy nad nią krążą...!

– Odbieram ci głos – powiedział rudobrody.

– Nie odbieraj! Starszym od ciebie! Słuchaj mnie dobrze!

– Odbieram ci głos.

– Paszkwile na nas piszą! Że Turczynowi sprzyjamy! A czemu? Bo wy potrzeb Najjaśniejszej Rzeczypospolitej nie bierzecie pod rozwagę!

– Za to wy aż nadto bierzecie! A braćmi się jeszcze mienicie! Siadaj i milcz, młodzieży nie gorsz, bo rozejdziemy się i będziesz do drzew przemawiał.

Brat Moskorzewski siadł. Wtedy rudobrody rozkazał:

– Lea! Lea, pójdź z lutnią!

Wystąpiła znowu bladolica córka sługi Bożego wznosząc lutnię przed sobą.

– „Zbudujemy w sercach naszych Jeruzalem”! – zadysponował jej ojciec.

– Śpiewajmy, bracia i siostry.

Zaintonowali tę pieśń, w której o rzekach Babilonu była mowa i o ręce uschniętej, jeśliby Jeruzalem zapomniane zostało, i znowu Tomaszowi wydało się, że w głosach niektórych wyczuwa otępiałość, bezwład jakby. Jeden ze śpiewaków wyróżniał się brzmieniem głosu, silnym i melodyjnym, Tomasz odszukał go w chórze i stwierdził, że to narzeczoną Lei, brat Gabriel Kowacz. Ten wierzy ufnie i żarliwie, pomyślał Tomasz. Chmury przeciągnęły nad nimi bez opadów, więc powietrze było nadal ciężkie, duszące. Zgromadzenie rozeszło się, jedni do pracy, która i na koczowisku nie ustawała, inni do dzieci. Dało się wnet słyszeć zewsząd postukiwanie

młotków, jęk pił, zawodzenie kamieni szlifierskich. Rakowianie udali się na poufne rozmowy ze starszyzną gminy, podczas których spodziewali się znaleźć ją bardziej ustępliwą.

Brat Wojnarowski nie zapomniał o pozostałych gościach. Przysłano im do namiotu jagnię upieczone, podpłomyków, kociołek z piwem grzanym, bo nie zakazali sobie nowochrzczeńcy napojów chmielowych, tylko upijać im się nie było wolno. Zagwojski zajął się sprawiedliwym dzieleniem jadła.

– Pracują – powiedział Tomasz nasłuchując. – A wszakże to dziś niedziela, czy nie tak?

– Bo też ta grupa z Sańska sobotę czci, a nie niedzielę – wyjaśnił Ligęza.

– Na Biblię się powołują i na fakt, że Naród Wybrany niedzieli nie święci.

– Jako Żydowie – zrozumiał stary kniaź.

– W sednoś, wasza książęca mość, utrafił.

– Tedyśmy pewnie w Jeruzalem... albo gdzieś w pobliżu.

– O dwa strzelania z łuku – mruknął Zagwojski.

– Słyszałeś, panie Jędrku, co mówili o Marynie? – zagadnął go Tomasz.

– Co teraz uczynisz?

– Dalibóg, nie wiem. Ale z pomocą Marynie trzeba by pójść. Watahę zebrać i z osaczenia wyzwolić.

– Myślisz, że ci Marynę oddadzą?

– Ja nie dlatego... A zresztą, czemu by nie? Może ona z Kozakiem, będzie mogła i ze mną. Pójdiesz ze mną, panie Błudnicki?

Tomasz nie odpowiedział. Zwrócił się do Ligęzy:

– Bardzoś, waćpan, czynny w dyspucie był.

– A ciebie to zadziwiło? – odparł Ligęza.

– Trochę.

– Bo mnie nie znasz! Gdybyś znał, wiedziałbyś, że mam interes w tym, żeby serca ludzkie przebadać. I własnego chcę doświadczyć. Jakie ono jest?

Ku czemu dąży? Po co żyjemy? – Mówił to zajęty szklanicą, w oczy nikomu nie patrząc. – Pół Europy zjeździłem, żeby odpowiedź na to znaleźć. Z mędrkami rozmawiałem, z panami przemądrymi, z filozofami, niejednego dysputanta ukatrupiłem, a przecież odpowiedzi nie uzyskałem. Ci tutaj odpowiedź sobie znaleźli. Czy nie nazbyt wygodną? Powiedz: czy owo skrzętne zapracowywanie na żywot wieczny nie jest sobkostwem? Czy nie odkładanie to grosza na dno skrzyni? Cokolwiek czynią, pytają siebie: zbawi mnie to czy nie zbawi? Więc „ja” człowiecze na pierwsze miejsce się wysuwa, dbałość o swój interes, chociaż w zgodzie z Pismem. Odrzekają się od wielu uciech, prawda, ale bez szczodrości – ze strachu, z wyrachowania jakby. A gdzie hazard? Gdzie beztroska? Gdzie wielkoduszność? Bardziej one rycerzom przystoją niż to skapstwo duchowe, które oni bogobośnie objawują.

– Terazś elokwentny, panie Ligęza, ale w dyspucie z nimi toś jakby język w gębie stracił.

– Nie, młodzieńcze, wcalem go nie stracił, jenom go pohamował. Pomyślałem sobie: a jakim prawem, Stefanku, ty im będziesz nauk udzielał? Zostań z nimi, prowadź ich trudne życie, wtedy możesz je po swojemu kształtować. A tak co? Napluję im do saganka, pójdę sobie, a oni muszą tę polewkę zjadać. To już niech zjadają tak, jak im smakuje.

– Oni o jakimś odstępcy mówili – przypomniał Tomasz.

– Pewnie znudziła go jednostajność i uciekł, – Z okrutnym kontemtem go brat Wojnarowski wspomniał.

– Może żonę któremuś złasował...

– Nie widziałem tu takiej, na którą bym się połakomił – powiedział Tomasz.

– Złość rudego wyczuwałem. Pewnie za żelazem ów odstępcę zatęsknił – dodał. Ten chłopiec, któremu oczy się zaiskrzyły, kiedy na szczyrbaty

brzeszczot spoglądał.

Odstępca może dał przykład i dlatego bratu Wojnarowskiemu groźny...

– Dziadku – odezwał się Cyryl. – Smakuje wam jagnię?

– Smakuje, wnusiu. Dobrze masz serce – pochwalił chłopca stary.

– Nabierajcie sił, bo jutro w drogę – przypomniał Cyryl.

– W jaką drogę? – nie rozumiał Dziadek.

– Nie wiecie? Ku południowi. – Cyryl okiem mrugnął. – No tam... Do Jeruzalem – powiedział wreszcie, bo dziadek ani rusz nie rozumiał.

– Nie trzeba już nigdzie iść, wnusiu. Tu jest Jeruzalem.

– Ale! – zachnął się chłopiec. – Jakie znowu Jeruzalem!

– Nowe Jeruzalem, wnusiu. Nie słyszałeś?

– Słyszałem: śpiewanie takie tylko. Koczowisko kosturowców. Do tamtego nam trzeba iść, do prawdziwego.

– Tu zostaniemy. Tu pobożnych dusz obcowanie – mówił dziadek dławiąc się podpłomykiem.

– Dziadku! – zakrzyknął Cyryl. – Przecież obiecaliście! Na święty Marcin mieliśmy być. Zapomnieliście?

– Nie zapomniałem, nie, Cyrylku, aleśmy już na miejsce przybyli. Przepiórki widziałeś? Widziałeś?

– To nie to!

– To! To! Imienie ci zapiszę – kusił Dziadek.

– Nie chcę ja waszego imienia. Do Jeruzalem chcę!

– Jesteś w nim.

– Jestem? A gdzie mury obronne z wieżami? Gdzie Saraceny? Gdzie panny uwięzione w lochach? – Cyryl porwał się z miejsca. – Oszukaliście mnie! Tak! Po zdradziecku sobie poczynacie! – krzyczał chłopiec łzami się zalewając. – Ja to was spod samego Grodna prowadziłem! Może zaprzeczycie? Od Hlebowiczów chronilem! Strawę warzy! Rybki kto

łowił? Chleb kto wypraszał? A kraść trzeba było – kto kradł, wy? Ja kradłem!

– Imienie ci zapiszę – obiecywał z uporem stary.

– Nie możecie wy nic zapisać, bo prawa do własności kniahini wam odebrała! Czy to ja nie wiem? Ja nie dla waszego imienia, a dlatego kradłem, żem was za kompaniona miał. A wy ze mną po zdradziecku! – Cyryl w bezsilnej złości pięściami trząsał. – To ja też po zdradziecku! Nie powiem, com znalazł! Moje! Sprzedam i nie podzielę się! Dla mnie wszystko...! A żebyście wiedzieli, co... Ale nie powiem...! A wy czego się śmiejecie?! – wrzasnął do Ligęzy. – Ja płaczę, a wy się śmiejecie! I ty się śmiejesz – do Tomasza się zwrócił. – A jeszcze powiada: przyjaciel jestem.

Zaczęli go ponownie uspokajać. – Siadaj, Cyrylku, napij się piwa, ociążałość cię ogarnie i tak złość minie. Czy wypada, żeby rycerz krzyżowy łzami się zalewał? Pij, odurzysz się.

Cyryl posłuchał, nos na stronie wysiąkał, wytarł łzy rękawem. Siadając powiedział z nagłą rezolucją:

– Jutro pójdę sam.

– Dokąd to, Cyrylku? – przeraził się Dziad.

– Na południe. Na święty Marcin pod murem jerozolimskim stanę.

– Bój się Boga, Cyrylku! Jakże tak sam pójdiesz? Chwycą cię jeszcze Turcy i zeunuszą.

– Co zrobią? – nie zrozumiał Cyryl.

– Oskopią. Kapłona z ciebie uczynią.

– Wielkie mi rzeczy – mruknął Cyryl.

– W niewoli u nich będziesz.

– A ja ucieknę!

– W kajdany cię zakują.

– A ja rozerwę.

- Nie rozerwiesz! Pilnować będą!
- A ja sułtanównę w sobie rozkocham i razem uciekniemy.
- Zeunuszony?
- No to co? – Cyryl wzruszył ramionami.
- A w lesie upiory! – zawołał Dziadek.

Tym razem Cyryl przeraził się. Ale tylko na chwilę. Zaraz przypomniał sobie:

- A ja przeciw upiorom zakłęcie znam.

Dziadek też się nie poddawał:

– Gorszi od upiorów są borowi ludzie. Dzicy zupełnie, a na niewinność młodych chłopców strach, jacy zajadli.

- To ja starca udam!

– Zanim się do Turków dostaniesz, już cię niedźwiedź rozerwie albo wilki karpackie zjedzą.

- Nie dam się.

- Ich sfora, a ty sam.

- A ja ich mieczem raz, i raz, i raz – puszył się Cyryl.

- Miecza nie masz.

- A ja głownię żarzącą chwyć i jak pomacham, to wnet się rozlecą.

- Skąd żarzącą głownię weźmiesz, chłopaku?

– Las podpale! – krzyknął Cyryl. – Las płonący mnie od wilków odgrodzi. I od upiorów, i od borowych. Ja przodem będę szedł, a pożar za mną. Znowu się śmiejecie! – zawołał urażony, bo Ligęza za brzuch się trzymał. – Zobaczycie – pogroził. – Zobaczycie. Sam dojdę. I z niewolnicami wrócę. Uwidzicie! – zakończył.

Chłepnął jeszcze piwa, powieki zaczęły mu ciążyć. Uśmiechnął się do nich jakby przepraszając.

- Pośpię sobie czy co – mrucał.

– Śpij, rycerzyku – powiedział cicho Tomasz i przykrył go derką.

Ligęza szperał niespokojnie w puzdrze, aż znalazł flaszkę z czymś mocniejszym. Zaprosił do niej Tomasza, ale ten odmówił.

– To i lepiej, bo niewiele zostało – powiedział Ligęza. Przechyliwszy głowę wypił wszystko do dna. Przyglądał się potem z niezadowoleniem flaszy. – Nie ma – wymamrotał. – Albo mnie wzrok myli czy co? – Spojrzenie Ligęzy było zamglone, ale nie chciał się odurzeniu poddać, mówił powoli, z wysiłkiem, zeszywniały na twarzy.

– Kminkówka. Pani chorążyna Bełzecka *fecit*. To starczy za pochwałę, panie Tomaszu. Najlepsza apteczka w całym województwie ruskim. Wierz mi, bo się na tym znam, sam nowe likwory preparuję. Najlepsza – powtórzył przymykając oczy. Padł na pęk skór owczych obok Cyryła. Nie otwierając oczu poprosił: – To już mnie też przykryj albo co...

Zanim Tomasz zdążył to uczynić, Ligęza popadł w całkowite zapomnienie. Nieobecny, pomyślał Tomasz przyglądając się infamisowi, który poruszał się niespokojnie przez sen. Przez policzek śpiącego przebiegł bolesny skurcz. Wojuje, zмага się, nie ma spokoju i w krainie snu. Chyba że zdrętwieje całkowicie. Jak te ciała odcinane z szubienicy. Martwota doskonała. Nie buntowały się, kiedy zgłodniały wojak wykrawał z nich pieczeń. Nie drgnęły, nie westchnęły. I ziemia się nie otworzyła, i otchłań się nie ukazała. Jeno przede mną. Stałem blisko kotła i miałem tylko rękę wyciągnąć. Odsunąłem się i poszedłem na mury, a potem w stronę wałów i szedłem, szedłem przed siebie – na spotkanie śmierci. Chryste Panie, odpędź ode mnie myśli, spuść zapomnienie, uratowałeś mnie wtedy, to przyzwól żyć i cieszyć się wiosną...

Pójść w ślady Ligęzy. Odurzać się gorzałką... Agafia próbowała po swojemu leczyć od złych myśli, nacedziła dymki dwa wiadra, oboje się spili, on milczał, ona go w złości biła, milczał wciąż, nie pamiętał, czy to w

jej objęciach utracił przytomność, ale pamiętał, że gdy się obudził, w chacie szarzało, był świt, świt jego ucieczek. Dźwignął się z łoża, łeb pękał, chłepnął z wiadra dymki i pobiegł do stawu – żeby pójść na dno. Byłoby się udało, gdyby nie Bielka, która wrzask podniosła, na jej ujadanie Dońcy wypadli z najbliższej chałupy, wyciągnęli go z wody, po głębie sprali, i tak do życia wrócił. Potem mu już Agafia dymki nie dawała. Co z tamtej libacji w wiadrach zostało, ofiarowała Dońcom-spasicielom.

Z sąsiedniego namiotu dobiegły głosy podniesione. Rakowianie wrócili z narady bardzo czegoś podnieceni. Tomasz poczuł nagle zazdrość: że można się aż tak ku czemuś gorliwie przyłożyć. Ratujcie, myślał dźwigając się z posłania, ratujcie, bracia, bo miejsca sobie znaleźć nie mogę.

– Można do waszmościów? – spytał uchylając zasłonę namiotu braci.

– Wejdz – odpowiedział brat Hieronim Moskorzewski, który jako poseł na sejm wydawał się przewodniczyć delegacji.

Brat Felkel z Miśni, najmłodszy, tak jasnowłosy, że aż za siwego mógł ujść, nalał Tomaszowi miodu. Bracia gotowali się do snu w milczeniu. Tomasz odezwał się:

Wybaczcie najście, waszmościowie. Od myśli ciężkich nie mogę się opędzić. Ale tak widzę, że waćpanom przeszkodziłem. Bo i sami wzburzeni jesteście...

– Cóż, nie ma co ukrywać – przyznał Moskorzewski. – Odstępcami nas nazwali!

– Klątwą zagrozili – przypomniał białowłosy Felkel i oczy ze zdumienia wytrzeszczył.

– A przecież to my przed rządem za ich postęпки odpowiadamy! – pieniał się Moskorzewski. – My ich pierśią swoją osłaniamy. My, nikt inny! Dla tej przyczyny, iż ci szablą gardzą, przeciw służbie wojskowej się opowiadają, nieuznawanie urzędów zalecają – wszystkich nas, nowochrzczeńców i

antytrynitarianów, mało co zdrajcami szlachta nie poczytują. Ilem się musiał w sejmie natrudzić, żeby posłom tłumaczyć, iż niechby się niebezpieczeństwo pokazało, nie będą się oni z nieprzyjacielem łączyć. Własną krwią udowodnić to musiałem. Ja z innymi braćmi w wojskach królewskich Smoleńsk szturmowaliśmy, chociaż po prawdzie to żeśmy tej wojny nie pochwalali bardziej niż jakiej innej.

– Więc czemuście poszli?

– Żeby jezuickim paszkwilom kłam zadać. O szpiegostwo na rzecz mahometan nas pomawiają! Król temu pewnie nie wierzy, ale jeśli szlachta uwierzą, czy nie skorzystają z pomówienia, żeby braci przepędzić? Rzekliśmy im to wszystko, ale groch o ścianę. Ewangelię mi brat Wojnarowski podsuwa wskazując, że tak i tak u świętego Mateusza napisano. Jakby to dla nas nowość była. Znamy przecież i my Kazanie na Górze, i nie trzeba nam przypominać. Ale spróbuj dosłownie wszystko brać.

– Ojcowie Kościoła – wtrącił Felkel – Tertulian, Atanazy, Cyprian, kiedy przeciw władzy występowali, słusznie czynili, bo była to władza pogańska, co i Wojnarowski rozumie, że różnica jest. Inna przecież rzecz, gdy król i urząd są chrześcijańskie. Wtedy się poszanowanie należy.

– Cóż oni na to? – spytał Tomasz.

Siwowłosy brat Lubieniecki uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Nazwali nas socynianami – powiedział – co u nich obelgę stanowi. To my, według nich, błądzimy w nieprawości i fałszerstwach.

– A czym są sami, jeśli nie odstępcami od nowochrześcijańskiej wspólnoty? – oburzył się poseł Moskorzewski. – Garstką nieposłuszną, która nie chce się podporządkować większości!

– Bracie, to wszystko z pychy – rzekł młody Felkel. – Pycha z taką gorliwością często idą w parze. Nagle wydaje się takiemu, że posiadał sekret

wiary prawdziwej, on jeden wszystkich innych ma za nic.

– Prawda, że oni nam wciąż swoją wyższość okazują – mruknął stary Lubieniecki. – Ale mnie to nie pierwszozna.

– Gotowi są nam wybaczyć, tacy miłosierni, jeśli błędy swoje uznamy – powiedział poseł Moskorzewski.

Tomasz nie umiał podzielić ich oburzenia. Ci uparci nowochrzczeńcy z Sańska budzili w nim szacunek. Spytał:

– Czy ich droga nie jest prostsza?

– Co masz na myśli? – zasepił się Moskorzewski.

– Że nie szukają wykrętów. Jeśli jest w ich postawie nadto wiele pewności siebie, to obraca się ona głównie przeciw nim samym. Nie można im wszakże zarzucić nieuczciwości.

– A nam można, tak?

Tomasz nie odpowiedział. Moskorzewski modlił się przez chwilę z oczami utkwionymi w pułap namiotu. Skończywszy uczynił znak krzyża i zwrócił się wprost do Tomasza:

– Żyjemy w świecie niedoskonałym. Trzeba się z tym liczyć. Doskonałość będzie tam, w Królestwie Bożym, tutaj są królowie świeccy i urzędy, hetmani i najazdy tatarskie. Jeśli chrześcijanie za radą braci pójdą i od władzy się odrzekną, trzeba będzie wezwać mahometan i Żydów, by urzędy sprawowali. Brat Wojnarowski przyznał w końcu, że jest konieczność sprawowania urzędów. Ale, powiada, niech to czynią ci, których nie oświeciła łaska Boża. Na tym, bracie Tomaszu, ta pycha polega! Oni są przekonani, że tylko ich dotknęła łaska prawdziwej wiary. Siebie nazywają Chrystianami prawdziwymi, nas skłonni by byli uznać, gdybyśmy się z błędów Socyna Toskańczyka wydobyli. Oko Opatrzności na nich spoczywa jak na zbiorowisku wybrańców. Każda liszka swój ogon chwali, ale to nie znaczy, iż prawdę rzecze. Z nimi Bóg zawarł przymierze, ich

wyróżnił i wybrał, jak to był uczynił z dziećmi Izraela. Czemu tego nie mają o sobie powiedzieć jezuici? Albo lutrzy? Albo ci, którzy z rozkazu Zwingliego nowochrzczeńców palili? To im właśnie rzekłem. Raz: jest pychą mniemać o sobie, iż się jest narodem wybranym. Dwa: widzicie świat jako biel i czerni, dzielicie ludzi na złych i cnotliwych, na potępionych i zbawionych, a tak nie jest, jest jeszcze wiele kolorów pośrednich, i wszystkie one są pod opieką boską.

– Cóż oni na to?

– Kazali nam iść precz – odparł Moskorzewski. – Gdybyśmy byli przyszli z karą i różgą, poddaliby się ochoczo. Jako że i w cierpieniu można znaleźć ukontentowanie. I byliby pokorni i łagodni, bo dla wiary ta pokora i łagodność. Ale do dysput nie są usposobieni.

– Oni wiedzą swoje i to im wystarcza – rzekł Tomasz. – Czują, że chłodny argument nie zawsze jest po ich stronie. I cóż waszmościowie doniesiecie braciom swoim w Rakowie?

– Powiemy prawdę, jak nas tu przyjęto. Ale wobec szlachty się ich nie wyrzekniemy. Mogą nas oni wyklinać, ale my ich nadal osłaniać będziemy, bo z naszego pnia ten pęd wyrósł.

Stary Andrzej Lubieniecki, który prawie przez cały czas milczał, teraz odezwał się:

– Większość owych wizytacji na dąsach i kwasach się kończy. Czasem jeszcze gorzej. Nierzadko są one wstrząsem dla uczestników. Tak to bywa, kiedy człowiek za dużo z miejscem pielgrzymki wiąże nadziei. – Zaczerpnął tchu. – To już chyba opowiem o jednej takiej wizytacji, a najwięcej tobie, rycerzu, bo bracia tę opowieść nieraz słyszeli.

– Miodu? – spytał Felkel. – Ułóż się wygodnie, jeno nie zaśnij, żołnierzu, bo staremu bratu despekt uczynisz.

– Słucham niecierpliwie – powiedział Tomasz.

Lubieniecki zaczął opowieść:

– Byłem wtedy młodym człowiekiem, jednym z najmłodszych braci w zborze mniejszym, antytrynitarским. Nauka nasza młodsza była i wielkie czyniła nadzieje. Przyszła do nas z Moraw, gdzie wychodźcy z Monasteru się osiedlili, i dlatego braćmi czeskimi ich nazwano, chociaż wszystko to Niemcy byli. Niektórzy ich komunistami zwali, bo wszystko *in commune* mieli. Inni ich jeszcze ekonomistami przezywali, jako że wspólnota ich na gospodarce się zasadzała. Była ich gromada niemała, bo ponad dwadzieścia tysięcy osób. Wiele przecierpieli, zanim ich grafowie Kaunitzowie pod opiekę wzięli. Te ich cierpienia, a jeszcze niezłomność, z jaką je znosili, upór i wytrwałość, a potem wieści, jak pobożnie i rządnie żyją, stanowiły wzór dla nas. Wielbiliśmy ich, choć z daleka, samo ich istnienie dodawało nam ducha. Posłaliśmy do nich młodzieży trochę, niech się w wierze i rzemiośle ćwiczą, bo byli ci Niemcy rękodzielnicy zawołani, mistrzowie z dziada pradziada. I samiśmy na ich wzór wspólnotę założyli, onże Raków, przez wojewodzica Jakuba Sieneńskiego ofiarowany, Syjon nowy. Nieporadnie nam to szło, na dysputach czas trawiliśmy, za dużo w naszych pragnieniach było sprzeczności. Życie opornie poddawało się naszej nauce. Było zawilsze, niżesmy to sobie zakładali. Wtedy rzekli jedni: czemu to u owych Niemców czeskich wszystko po Bożemu jest, a nam to zgoła nie wychodzi? A jakże ma być inaczej – odparli drudzy – gdy to ich jest nauka, oni pierwsi na drogę prawdy wkroczyli? My z daleka niedoskonale jeno ich naśladujem. Uczyć nam się trzeba u nich, powiadali, rady i wzoru od starszych braci zasięgnąć. I tak postanowiliśmy udać się do nich z wizytacją. Wielu się do tej podróży paliło, bo choć gośćmi jechaliśmy, ale rozumiało się, że z czołobitnością, z hołdem, niby pasterze do Betlejem drugiego, z pielgrzymką oczyszczającą. Piętnastu nas się w końcu wybrało, a to na pamiątkę dwunastu apostołów, do których dodaj królów trzech. Z

Krakowa do granicy cesarskiej oddział wojska kwarcianego nas odprowadzał, a od granicy samiśmy na wozach podążali i pewnie byłoby źle z nami, jako że bez broni jechaliśmy, gdyby nie to, że Wszechmocny posłał zbójców, którzy wzięli nas pod swoją protekcję i przed swawolnym żołnierstwem osłonili. Wreszcie żeśmy przybyli...

– I od razu wstrząs? – spytał Tomasz.

Stary rakowianin uśmiechnął się.

– Nie, nie od razu. Żadnemu rozczarowaniu nie poddajesz się od razu. Tak to już jest, że najpierw cię to i owo zadziwia, niepokoi, ale usiłujesz tłumaczyć sobie, perswadować, jeszcze nosisz w duszy zapał, jeszcze chwytasz się resztek wiary, i dopiero po pewnym czasie wszystkie te drobiazgi, co cię niepokoiły, gromadzą do kupy. Myślisz sobie: co u licha? Więc to jest ten Syjon? To jest królestwo Boże na ziemi? Mnie tam, pamiętam, kilka rzeczy najbardziej do buntu podniecało. Raz, że nie dawano nam się spotkać ze zwykłymi braćmi, tylko skazaniśmy byli na starszyznę. Dwa, że dzieci widzieliśmy ogromnie zaniedbane. Pytaliśmy ich, czego się dzieciaczki w szkołach nie uczą, a oni na to, że mądrość i wiara jest nieuczona. Dzieci, aby poczciwe były, prawią, winny się ku rękodzielu sposobić i Pismo czytać, wszystko inne jest przemyślność szatana. Tedy nie zależy wam na szerzeniu prawdziwej wiary poprzez uczone argumenty? – pytamy. Nie, powiadają, nic uczone argumenty nie pomogą, wiara jest łaską. Toteż nasze młodzieńce, godne w nauce i językach, do cep obrócili i do siekiery... A wszyscy wokoło marnie odżywieni, piwa nie dostają, źle ubrani, podczas gdy ona starszyzna jedzą tłusto i dostatnio. Co nam się obłudne wydało. Równości tam nie ma żadnej, bo według dużości brata oceniają: kto więcej zarobi, ten doskonalszy – jak u Turków, „kto więcej gjaurów zabije”. Gdzież o podobnym mowa w Kazaniu na Górze? Pokażcie nam takie miejsce,

žadamy. Więc oni, widząc, że nasze powątpiewania rosną, coraz ściślejszą strażą nas otaczają, a to, by na jaw ich obłudne sprawki nie wyszły. Z ich braćmi już w ogóle nie mogliśmy się spotykać, bo się bali starszyzna, żeby Polacy nie rozjaśnili onym w głowie, iż to niewola egipska, a nie chrześcijaństwo. My znowu do Pisma sięgamy, na świętego Mateusza się powołujemy, ale ich starszy, brat Piotr Walpot, nożownik, powiada, że nauka ich jest jasno wyłożona w księdze „*Rechenschaft*” Petera Riedemanna, że oni tej księdze są wierni, i tak wyszło na to, że owa „*Rechenschaft*” jest ważniejsza od Ewangelii. Czego myśmy już znieść nie mogli, zabrali my nasze młodzieńce i puścili się w podróż do domu. Mało nas nie wyklęli.

– Ale nie wyklęli?

– Nie mogli się zdecydować. Ale choćby i to uczynili, nie zdołaliby i tak powiększyć nieładu i przygnębienia, które serca nam zadręczały. Wydawało się, że świat runął w przepaść. Syjon, przez tamtych wzniesiony, nie był Syjonem – czyż więc jest on w ogóle możliwy? Nie minęło i sześć niedziel, jak nas nożownik Piotr Walpot na piśmie zaczął napastować. Jakże to? – grzmiał. – Któż oni są, ci Polacy, że śmia nas pouczać, którzyśmy pierwsi na drogę prawdy weszli? – Powinnyśmy byli, zdaniem onych Morawian, pokornie przyjąć wzory, a nie poprawki wnosić. Żeby mieć do nich prawo, pisali, „musieliby Polacy przedtem przejść próby i doświadczenia, jak to z nami było”. Gdzie byliśmy wtedy, kiedy oni samotnie, pędzeni zewsząd i na stosach paleni, za prawdę ginęli? Po co im były te zasługi, jeśli teraz, przychodząc do gotowego, Polacy jeszcze niezadowolenie okazują? Brak Polakom naturalnej pokory, pisali. Wydaje im się, że mogą pouczać pierwsze zgromadzenie, dlatego że znają łacinę i obce języki. „Wielka jest ich mądrość światowa i dowcip – tak z ironią pisali – wskutek czego dzieło Pańskie wydałało im się prostackim i naiwnym...” Dzieło Pańskie – to co

myślisz, jest? Oni, ich wspólnota! Ale i myśmy im dłużni nie zostali. Bo jeśli tamci mniemali, iż mają zasługę pierwszeństwa, to my z kolei uważaliśmy, że dłuższą drogę ku prawdzie odbyliśmy. Któż to są ci Niemcy morawscy? Plebs miejski, co z dziada pradziada rękodzielnictwem się zajmował. Wywędrowali z Niemiec uchodząc od prześladowań, ale przecież nie zostawili za sobą majątności, herbów i przywilejów. Zrzekli się miecza, którego nigdy nie nosili. Oddali się pracy rąk, którą zawsze wykonywali. Stronili od przyjmowania urzędów, których nikt im nie ofiarował. Nie stawali zbrojno w obronie ziemi, która nie była ich ojczyzną, byli bowiem Niemcami między ludem słowiańskim. Inaczej my, rycerzu. Kto z nas na tę drogę wkroczył, wiele poświęcał. W samej rzeczy kark zginał dawniej hardy. Zubożaliśmy się po dobrowoli. Nikt nas z Rzeczypospolitej nie usuwał – samiśmy się od społeczności odłączali. Jakież mają nam prawo uczoność i dowcip wymawiać oni, którzy prostakami zawsze byli i nigdy do ksiąg nie zaglądali? Skąd wiedzą, czy nauka prawdziwa nie rozkwita w innych krajach, kiedy ani języków nie znają, ani interesu nie okazują? Wszakże to słowo Boże nie tylko przez usta niemiecko-morawskie przemawia. Więc byliśmy rozgoryczeni i my, którzyśmy majątności i sławę rycerską dla prawdy Bożej ofiarowali, że się nas tak postponuje i zbawienia nam odmawia. Broniliśmy tedy zasady wolnej woli, która jest dopiero warunkiem cnoty i poczciwości, przeciw ślepemu podporządkowaniu się rozkazom, czyli też przeznaczeniu, i broniliśmy nawet różnaitości ubiorów, bo gdzie suknia jednaka jest, nie ma zasługi skromności w ubiorze. Ale choć zerwaliśmy z braćmi morawskimi, uczyniliśmy to z bólem, bo gdzieś tam resztki sentymentu i onej dawnej nadziei na dnie serca się chowały.

Do namiotu wtargnął wachmistrz węgierski.

– Jegomość – powiedział salutując Tomaszowi. – Nie wiem, co robić.
Herr Kommandant śpi. Jak bela śpi. *Befehl* na noc nie dał.

– Jaki ci *Befehl* potrzebny?

– Straże czy wystawić. Gośćmi tu jesteśmy. *Wir sind Gaste, night irabr?*

– W drodze czaty wystawiałeś?

– Wystawiałem.

– To wystarczy i teraz. I niech nie śpią, a czuwają!

– *Zum Befehl!* – ucieszył się wachmistrz.

– Wozy wokół nas taborem ciasno ustawicie! Przejście na jednego chłopca tylko!

– Zrozumiałem.

– Czterech na polanie, jeden stale przy przejściu!

– Tak jest!

– Wyjdę w nocy i sprawdzę ich gotowość!

– *Jawohl, Herr Kommandant!* – zawołał wachmistrz coraz bardziej uradowany.

– *Alles wird in Ordnung sein!*

Rzuciwszy to wybiegł z namiotu. Stary Lubieniecki z uśmiechem spojrzał na Tomasza.

– Ty, żołnierzu, wojną się brzydzisz, aleś się do niej urodził.

– Tak waćpan sądzisz?

– Ożywiłeś się przy onym wachmistrzu jak nigdy przedtem – powiedział Lubieniecki.

Poruszał przez chwilę bezszelestnie ustami. Modli się Bogu w duszy, domyślił się Tomasz. Starzec ucałował Pismo Święte i znowu zaczął mówić, ale tym razem bardziej do siebie niż do Tomasza:

– Wiem, wiem, są ludzie, którym potrzeba czynnego życia, hreczkosiejstwem się nie zadowolą. A już osobliwie młódź. Odejmując im

wojaczkę, odejmujemy im *ars*, w której by wyżyć się mogli, w zamian jeno życie bogobojne ofiarowując. Co się im może mało wydać. Diabło mało – mruknął układając się do snu. – Dobranoc ci, rycerzu.

Moskorzewski zdmuchnął świecę i Tomasz usłyszał, jak Felkel modli się po ciemku. Pomyślał sobie wtedy, że zazdrości tego żarliwego szeptu młodemu kaznodziei. I pomyślał jeszcze, że pewno znowu nie uśnie. Usiłował sobie przypomnieć twarz Maryny, jej oczy ciemne, żałośliwe, palce cienkie, które to dziewczę mu na wargach położyło. Biedactwo, szepnął, moje małe biedactwo, a może nawet nie szepnął, może tylko chciał szepnąć, całował palce Maryny, a ona raczyła przytulić głowę do jego piersi i pozwoliła objąć się ramionami.

ROZDZIAŁ IV

– *Herr Kommandant! Herr Kommandant!*

Zerwał się. Był świt, rakowianie budzili się ze snu. W namiocie stał wachmistrz, nagle postarzały.

– *Herr Kommandant*, napad! Wataha sroga!

– Lisowscy?

– Nie! Rosińscy z Żurakowskimi.

– Ilu ich jest?

– Ze stu! Ligęza nieprzytomny!

– Psiakrew – zaklął Tomasz. – Wachmistrzu! Wszystkie lufy w głowę przywódcy! Żeby to spostrzegł!

– Zrozumiałem!

– Pędź!

Wachmistrz wybiegł. Brat Moskorzewski przypasał szablę.

– To i my z tobą, Błudnicki. – Zwrócił się do Felkela: – Szablę w garść!

– Wezmę – odpowiedział tamten. – Ale krwi nie rozleję...

Stary Lubieniecki milczał.

– Siłą z tą watahą nie wygramy – mówił Tomasz. – Trzeba będzie ich jakoś podejść. Ale cóż...

Wybiegli z namiotu, by przycupnąć za wozami. Na polanie w różowym słońcu mknęli z dzikim hałakowaniem jeźdźcy.

– Lubią oni Tatarów udawać – powiedział Tomasz. – Nieraz po najeździe tatarskim głowy zawojami obwiążą i tak wrzeszcząc miasteczko albo wieś do cna ograbiają, jeśli tamci coś jeszcze zostawili. Rozbojem się trudnią, a mają swoje gniazdo w górach, gdzie Komamiccy, Pamiętowsy chętnie się z nimi łączą.

– I nie masz na nich kary? – spytał Felkel.

– Panowie ich usług potrzebują. Temu w zajeździe pomogą, innemu w pomście jakiej. Mają więc swoich popleczników...

– Co uczynić radzisz?

– Zaczekajmy, może jakieś słabe miejsce odsłonią. – Ktoś biegł od namiotów.

– Zagwojski? – spytał Tomasz nie odwracając się.

– Jestem, wasza miłość.

Był obok, druh i sługa wiemy.

– Cóż tam pan Ligeza? Dobudziłeś się go?

– Wiadro wody na łeb mu wylałem. Ale tylko się otrząsnął. Posłać im strzałę? – spytał Jędrzek napinając łuk.

– Zaczekaj, biedy nie ściągaj.

Jeźdźcy pędzili ku nim gromadę kosturowców.

– Gotuj się! – zakomenderował wachmistrz sabatom, którzy uszykowali się między wozami w czworobok. – Broń do oka!

Ośmiu Węgrów przyklęło z muszkietami wycelowanymi w jeźdźców. Ośmiu innych nad nimi stało i ci też złożyli się do salwy.

– *Herr Kommandant*, strzelać? – zawołał wachmistrz wskoczywszy na wóz.

– Znasz Rosińskich?

– Nie.

– To zaczekaj. Najpierw ja hersztów rozpoznam. A na dany znak strzelisz.

Napastnicy następowali powoli. Pędzili przed sobą kosturowców, wśród których Tomasz rozpoznał rudobrodego sługę Bożego, jego syna i Kowacza. Dźgali zbójowie kosturowców długimi pikami i ci szli potykając się, padając, zrywając pośpiesznie. Nagle ktoś zaintonował pieśń, Tomasz rozpoznał głęboki i czysty głos Kowacza, przez chwilę brat Gabriel śpiewał

sam, śpiewał, choć biczem dostał przez plecy, wzmocnił tylko hymn i wówczas cała gromada kosturowców pieśń podchwyciła. Orszak zatrzymał się, napastnicy szaleli. Pieśń i jęki kosturowców pomieszały się z trzaskiem biczu i wściekłym wrzaskiem watahy.

– Strzelę – szepnął Zagwojski.

Tomasz położył dłoń na łuku.

– Jeszcze nie – powiedział. – Wyjdę ku nim.

Skoczył za wozy i z dobytym rapierem szedł wprost ku owemu piekłu. Żeby tylko pozwolili dojść, modlił się w duchu. Żeby tylko nie domyślili się strzelać. Czy go rozpozna, Każka Rosińskiego? – niepokoił się. Rozglądał się po twarzach wąsatych, ale żadna mu się nie wydała znajoma.

– Stójcie! – krzyknął. – Stójcie, mości panowie!

Kilku jeźdźców zwróciło ku niemu głowy. Zrobiło się ciszej, tylko ten i ów z kosturowców z uporem śpiewał Panu.

– Hej, wy, zaniechajcie śpiewów! – krzyknął Tomasz.

A kiedy usłuchano go i cisza zrobiła się taka, że oddechy ludzkie nagle się nad polaną rozdzyszały, Tomasz spytał: – Kto sam starszy?

– Bo co? – zachrypiał jakiś jeździec i przybliżył konia tak, że Tomasz mógł lewą ręką lejce ująć. Spod szyszaka spoglądały gniewne oczy w twarzy pociągłej, pobrużdżonej i spalonej słońcem. Teraz Tomasz go poznał. Aleś się, człowiecze, zmienił! A cóż dopiero ja, pomyślał, mnie ów watażka w ogóle się nie domyśla.

– Tyś jest Stanisław Rosiński? – spytał Tomasz.

– Jam jest. A ty kto?

Milcz, ostrzegła go nagła myśl. Nie wyjawiaj przedwcześnie.

– Żołnierz carowej Maryny – odpowiedział. – Wachmistrzu! – zawołał w stronę wozów i z zadowoleniem zauważył, że lufy sabatowych muszkietów

mierzą w głowę Rosińskiego. – Widzisz, panie komendancie, co tu się dzieje? Szesnaście rur w ciebie wymierzonych.

– I co z tego? – Rosiński starszy udał niezrozumienie.

– To, że teraz możemy traktaty wszczynać.

– Możemy, proszę bardzo – zmiękł Rosiński.

– Ale przedtem pozwól braciom się podnieść.

– Mogę pozwolić.

Stanisław Rosiński zawrócił konia i wydał odpowiednie rozkazy. Przez chwilę szeptał coś z jeźdźcem w misiurce, w którym Tomasz rozpoznał Kaźmierza. Mój rówieśnik. Nie miał i czternastu lat, kiedy w rozbojach zaczął uczestniczyć. W pliszki mu ze mną nie szło, krew się w nim gotowała, gdy płacić musiał. I w palcaty był gorszy, przypomniał sobie.

– Słucham cię, młodzieńcze – powiedział Rosiński starszy.

– Bezbronnych ludzi zaatakowałeś, panie Rosiński, a słyniesz rycerzem zuchwałym.

– Słynę? Pewnie, że słynę, dobrześ rzekł. Ale jacy to bezbronni, kiedy ludzie mają z muszkietami?

– Waćpaneś atakując o tych ludziach nie wiedział!

– Nie wiedziałem – przyznał pogodnie starszy Rosiński.

– Pana Bełzeckiego to sabaci i po to są, żeby mieszkańców jego Sańska chronić. Jeśli się na nich porywasz, to i pana chorążego będziesz miał przeciw sobie.

– A my się na nich nie porywamy! – zawołał starszy Rosiński. – Prawda, towarzysze? – Jego ludzie zaśmieli się. – My tu całkiem z inną misją, osoby urzędowe, ot co. Kaźku, ty pokaż mu papiery! Pokaż, braciszku, tyś uczony, Kaźku, ty mu przeczytasz.

Kaźko zaczął grzebać za pazuchą.

– Jaki papier? – spytał Tomasz zbliżając się do niego.

– List gończy – odpowiedział Kaźmierz. – Nakaz ujęcia i odstawienia do domu kniazia Ginwiła Achacego, któren spod kurateli małżonki swojej zbiegł. Na co jest dekret królewski. Ty zaś, żołnierzu samozwańców, oponując temu, prawo naruszasz. Oj, srodze możesz być za to pokarany, srodze...

– Na nagrodę czyhacie?

– Nagroda jest po to, żeby poczciwi o nią się ubiegali. Bij! – zawołał nagle Kaźmierz i przez cały ten niezmierny czas, który upłynął od przedźwiewienia tego słowa, wiedział Tomasz, że na ratunek już za późno i zguba jest nieuchronna.

Poczuł ból w czaszce. Więc tak, myślał walcząc z ogarniającą go ciemnością, więc tak, powtarzał nie wiadomo komu. Bezwład go ogarniał, leciał w dół, w ciemność bezdenną, nagle coś nim wstrząsnęło, twarda ziemia uderzyła go od dołu, otrząsnął się, widział ciemne głowy majaczące w świetle, chciał ku nim iść, ale nie miał sił. Wypluł krew z ust, westchnął. Nogi i ręce miał skrepowane.

– No? – zaśmiał się Rosiński starszy, nachylając się nad nim. – Kto mądrzejszy? A jeszcze na wojnie był, u carowej Maryny w oficerach służył. A Rosiński nieuczony, bez szkół, sam z siebie, a na hak przywiódł! – Błysnął kindzałem przed oczyma Tomasza. – To jak? Co powiemy sabatom? Wydaj komendę, nuże!

– Wachmistrzu, słyszysz mnie? – spytał Tomasz, nie patrząc ku wozom.

– Słyszę.

– Opuść broń.

– *Jawohl...*

– Gdyby mi się coś stało, obu Rosińskich zastrzelcie.

– *Jawohl...*

Rosiński starszy zaśmiał się.

– Kąsasz, bratku, choć już z tamtego świata. Podobasz mi się, słowo daję. Ale na nic twoje rozkazy, oficerze. Zanim cię zamorduję, wpierw twoich sabatów wyreżę. Ani jeden z życiem nie ujdzie.

Mogła to być prawda. Położenie beznadziejne. Wataha Rosińskich zamknęła ich ze wszystkich stron, piesi stali wokół sabatów z wycelowanymi samopałami, konni gotowi byli rzucić się w pogoń, gdyby komuś z osaczenia udało się wymknąć. Stanisław Rosiński z biczem w rękę stąpał przed gromadą kosturowców, którzy siedzieli na ziemi, cisi i struchlali. On szukał tego, kto by mu się na ofiarę nadawał. Wreszcie zatrzymał się przed Gabrielem Kowaczem.

– Ty! Wstań! – rozkazał.

Kowacz wstał.

– Toś ty pierwszy zaśpiewał?

– Ja – odpowiedział Kowacz.

Bicz świsnął w powietrzu. Kowacz jęknął i zaraz wargi zagryzł.

– Mocarny z ciebie chłop – powiedział Rosiński. – Przydałby się nam taki. Chodź do nas, szablę przypasziesz, chociażęś szołdra. Widzisz, jaka u nas wolność? Będziesz służył jak mąż, zamiast z babami godzinki odmawiać.

Kowacz milczał.

– Dobrze, wrócimy jeszcze do tego – mruknął Rosiński. – Tyś tu pewnie jeden ze starszyzny?

– Wszyscyśmy słudzy Boży – odparł brat Gabriel.

– Ty mnie, poganinie, nie agituj! Gdzie kniaź?

– Nie znam żadnych kniaziów.

– Nie znasz kniazia Ginwiłła?

– Nie ma tam kniaziów ani chłopów. Wszyscyśmy bracia.

– Nie wszyscy, nie wszyscy, szło dro – przestrzegł nowochrzczeńca watażka.

– Ja ci bratem nie jestem.

– Jesteś.

– Czyżbyś był szlachcicem? – zdziwił się Rosiński.

– Nie, i nigdy nie byłem.

– Więc nie jestem twoim bratem.

– Jesteś – spokojnie odpowiedział brat Gabriel.

– Sługo! – rozgniewał się Rosiński. – Waszmością panem mnie nazywaj!

– Ścisnął bicz, ale zreflektowawszy się spytał: – Gdzie kniaź?

– Mówiłem ci... – szepnął Kowacz.

Rosiński chwycił go za gardło.

– Gdzie kniaź?! – ryknął.

– Nie znam kniazia – wydusił z siebie Kowacz.

– Przysięgnij! Przysięgnij, poganinie!

– Nam nie wolno przysięgać.

Watażka tak się zdumiał, że zwolnił szyję nowochrzczeńca.

– Jak to nie wolno...?

– Nie wolno. Jezus zakazał.

– Zakazał? Pan Jezus? Co mi tu gadasz? Myślisz, że jak do ksiąg nie zaglądałem, to można mi byle co gadać? Po świecie się bywa, poganinie! Wszyscy wszędzie przysięgają! W sądzie przysięgasz, król przysięga, sam papież... papież chyba też, co? – Tego ostatniego Rosiński nie był pewny. Złość go wzięła. – Ale co papież! Ja sam mało co drugi dzień nie przysięgam!

– Łamiesz zakon jako i tamci – powiedział spokojnie Kowacz.

– Więc nie wydasz mi kniazia? – spytał ostro watażka.

– Wiesz dobrze, że kto ku nam przystąpi, tego pod opiekę bierzemy.

– Aha, czyli on jest tutaj!

– Nie dla ciebie.

– Łyku! Cały czas mnie tykasz!

– Wybacz, bracie.

Bicz przeciął powietrze i chlasnął bednarza po twarzy.

– Zaraz mnie tu nazwiesz waszmością i panem – wycedził Rosiński.

– Nie uczynię tego, bracie, bo Bóg to Pan zazdrosny.

– Uczynisz! – Znowu bicz świsnął w powietrzu. – Więc jak?

– Jeden jest tylko Pan...

– Ja, ja jestem tu panem! Ja! – szalał Rosiński. – Ja! – krzyczał biczując Kowacza.

– Zostaw go! – zawołał Tomasz.

Sznury cięły go w przegubach. Napiął się, poczerwieniał miotając się w bólu. Watażka stanął nad nim wymachując biczem.

– Bo co! – sapnął gniewnie. – Chcesz i ty? – Szarpnął się na powrót w stronę Kowacza: – Bić go? Bić pana oficera Maryny? Czy też mnie w końcu waszą miłością nazwiesz?

– Tam jest Pan – powiedział Kowacz z lekka drżącym głosem i wskazał palcem na chmurne niebo. – A ty jesteś robak marny, którego On rozdepcze.

– Ale najpierw ja ciebie! – wrzasnął Rosiński starszy podnosząc bicz.

– Za chwilę – usłyszeli głos z daleka. – Zaczekaj z tym, panie bracie.

Rosiński obejrzał się. Od strony wozów zbliżał się Ligęza w hajdawerach i w mokrej, przylepionej do ciała koszuli. Szedł zakosami, jakby się skradał, krokiem nieśpiesznym, dłonią przyglądał wilgotną czuprynę.

– Za chwilę – powtórzył zbliżywszy się. – Co się tu tworzy?

Watażka zdjął szyszak, otarł pot z czoła.

– Wasza miłość sam? Osobiście?

– A jakże. Nie wiedziałeś?

– Nie wiedziałem. Czyżbym inaczej... – Rosiński przeżegnał się. Po czym, zakładając ponownie szyszak, powiedział już mniej rozdygotany: – Wasza miłość nie powinienes zamku opuszczać. Każdy cię pojmać może i na gardle sięść.

– Uczyń to, proszę.

– Co wasza miłość prawisz! – oburzył się Rosiński starszy. – Jam nie taki. Chociaż z rozboju żyję, ale wiem, co to honor szlachecki.

Rosiński młodszy przybliżył się i hardo spojrział Ligęzie w oczy.

– A ja zgładzę – oświadczył. – Mnie choć co – chełpił się – Ligęza czy nie Ligęza, Bełzecki czy nie Bełzecki. Krew u wszystkich jednakowa!

– Zamilcz, głupi! – strofował go brat.

– Zgładzę – powtórzył z uporem Każko.

Ligęza wskazał na skrepowanego powrozami Tomasza.

– Panowie przyjaciela mojego skrzywdziliście!

– Wasza miłość, wybacz... Bardzo był niespokojny – tłumaczył się starszy z braci.

– Nie, dobrodzieju, tak smarownie to ci nie ujdzie. – Ligęza mówiąc to zachwiał się, ale zaraz odzyskał równowagę. – Stawaj mi tu zaraz, panie Stanisławie. Stawaj, będziem się bić.

– Wasza miłość szabli nie masz – odezwał się któryś z brygantów, w którym Tomasz rozpoznał Żurakowskiego.

– Nie mam? – Ligęza pomacał się po biodrze. – Prawda, nie mam. Nie szkodzi... Hej, dawaj tam który szablę.

Przybiegł Zagwojski z obnażoną szabelką. Ligęza obejrzał klingę.

– Maleńka. *Piccola la sciabola*, z kuźnic wyszyńskich. Ale ujdzie, krew i ta wypuści. Stawaj mi tu! A co? Nie ochota?

Stanisław Rosiński uśmiechnął się przymilnie:

– Wasza miłość, czy to nie wiadomo, żeś pierwszy szermierz naszych czasów? Ja śmierci nie szukam.

– No, może i nierówna byłaby to walka. A na bezbronnych napadać walka równa?

– To już taki dopust Boży, wasza wielmożność – perswadował starszy Rosiński. – Przeznaczenie żywota naszego.

– Niech cię nie znam! Aleś wyrozumował! Bogiem i filozofią się zasłaniasz... Hej, Rosiński, czy to nie umiesz do mnie bez „miłości” albo „wielmożności” się zwracać?

– Nie rozumiem waszej miłości.

– Ludźmi tylko jesteśmy, grzesznymi dziećmi Kaina, czemu mi „ty” nie powiesz?

– Jakże? Szacunek dla urodzenia... Wasza miłość przecież...

– Mów mi „ty”!

Starszy Rosiński przez chwilę milczał, jakby mocując się ze sobą, po czym rzekł:

– Nie przejdzie mi przez gardło.

Ligęza rzucił szablę Zagwojskiemu.

– Bierz, panie Zagwojski, już niepotrzebna! – Przykląkwszy pomagał rozsypać powrozy krępujące Tomasza. – Widzisz, Tomku, co za ludzie. Zgrają pochlebców, pieczeniarzy, obłudników, chociaż z szyszakami na łbach i z szablą w garści. Szlachtę i żołnierza udają. Chylić nam czoła przed kosturowcami, Tomaszku! Oni jedni znają, co prawdziwa duma.

Tymczasem Rosińscy i najstarszy z Żurakowskich naradzali się między sobą. Każko nalegał, żeby wszystkich zabić. Stanisław oponował, wyraźnie wystraszony. Ligęza, wskazywał, to ulubieniec Bełzeckiego; sabatów rzeź by nam wybaczył, Ligęzy śmierci nie wybaczy; będą mieli wszystkich Balów przeciw sobie, pół rodu Sieneńskich (bo druga połowa ze zbójcami i

Diablętami trzymała), starostę Marcina Krasickiego, Korniaktów i mnóstwo szabel *mota nobilitate*, bo wielu im jeszcze niewinnie rozlaną krew Kroguleckiego pamięta. „Ale on infamis”, przypomniał Żurakowski – prawo za nimi! I cóż z tego, wskazywał półgłosem Rosiński Stanisław, kiedy siła jest innych przypadków, gdy prawo jest przeciw nim. Kroguleckiego krew! – przypomniał znowu. „Lepiej go stąd nie wypuścić żywego”, mrucał niezadowolony Żurakowski. Tak, tak, powiedział Każko, wszakże nasza przewaga, możemy wybić wszystkich do nogi, żeby i świadek nie uszedł. „Pierwszego Ligęzę trzeba zabić” – powiedział Stanisław. „Aha, teraz tak prawisz. A czemużeś mu nie dotrzymał placu? Mogłeś go usiec w pojedynku!” „Ja jego?” „Popatrz, to już nie dawny Ligęza... już nie to oko...” „Tak, dopóki szabli w garść nie ujmie – szepnął Stanisław. – To już lepiej wyreżem ich kupą.” „A potem niech szukają wiatru w polu” – cieszył się Żurakowski. „Niech szukają”.

– Słyszałeś? – szepnął Tomasz do Ligęzy.

– Niemało. – Ligęza podniósł się. – Panowie Rosińscy, a wiecie kogoście wiązali?

– Nie podał on gniazda swojego. Żołnierz spod Moskwy, a może tylko chłop zbiegły.

– Panie Tomaszu, powiedzże im waćpan, kto jesteś.

Stał przed Kaźmierzem, któremu czarna grzywa opadała na czoło. Jak ongiś, pomyślał Tomasz, jeno tych szram jeszcze nie było.

– Jakże to, Każku? – zagadnął. – Nie poznajesz mnie?

Młodszy Rosiński zmarszczył brwi. Łajdak, pomyślał Tomasz, a rzęsy jak u panny. Oglądały się za nim chętnie szlachcianki, kiedy jako czternastolatek na koniu cwałował. Rysy piękne widziały, zęby równe i bielą lśniące, a dzikość i pustota jego pewnie mu jeszcze uroku dodawały.

– Kogoś mi waćpan przypominasz – mruknął wreszcie Każko.

– W pliszki cię ogrywałem.

– Waćpan? Mnie? – zdumiał się Kaźmierz. – Ja nigdy nie przegrywałem. Wyrzucił z pamięci niepowodzenia, pomyślał Tomasz. Więc rzekł, by nie ciągnąć dłużej zagadki:

– Błudnicki jestem z Błudnik, Tomasz, syn Jana Tomasza.

Zobaczył, że twarz Kaźmierza powoli powleka się czerwienią.

– Ty? No tak, ty – przyznał. – Więc żyjesz. Ale żebyś ty mnie w pliszki...? Żyjesz, to dobrze. Odwiedzę cię w Błudnikach. Porozmawiać nam trzeba. A myśmy cię tu już byli oplakali. To znaczy, nie wszyscy, siostra twoja w żaden sposób śmierci twojej nie chciała przyznać. Stachu, popatrz, przecież to pan Tomasz! – zawołał.

– Słyszałem – powiedział ponuro Rosiński starszy. – Witam waszmości.

– I to pan Ligęza jest twoim przyjacielem! – dziwił się Kaźko. – No, no. Wybacz, żeśmy cię tak spostonowali, ale nie wiedzieliśmy, z kim cześć... Trzeba było od razu miano podać...

Ligęza przechyliwszy lekko głowę spytał ironicznie:

– To jak, panowie Rosińscy? Nie będzie rzezi?

– Wasza miłość żartujesz.

– A waćpan co o tym sądzisz? – spytał Ligęza, zbliżając się do najstarszego z siedmiu braci Żurakowskich.

– *Win tu hołowa* – odpowiedział tamten, wskazując na Rosińskiego starszego.

– *Szczowin prikaże, tak i maje buty.*

– Rozejść się – zakomenderował Ligęza. I mruknął pod wąsem: – *Finita la commedia.*

Brat Wojnarowski zaprosił wszystkich na polewkę piwną z grzankami i kaszą jaglaną. Sarkali trochę podwładni Rosińskiego na tak skromny poczęstunek, ale że ludzie zaradni, więc tu i tam sami go uzupełniali, to

kurze zbłąkanej łebek ukręcając, to owieczkę z łuku kładąc. Tomasz wstawszy od stołu spytał Ligęzę:

– Panie Stefanie, a czemu to ci zbójcy z taką atencją mnie na koniec potraktowali?

– To Kaźmierz – zaznaczył dobitnie Ligęza.

– Czemu on?

– Siostrę twoją miłuje.

Odpowiedź ta, chociaż wniosła nieoczekiwane światło, jeszcze nie zadowoliła Tomasza. Kochać siostrę i mordować brata dla ludzi pokroju Rosińskich rzecz zwyczajna, musiało więc coś się za tym jeszcze kryć. Starszy Rosiński zbliżył się do nich z flaszą w ręku. Pociągnął łyk, a potem spytał:

– Waćpanowie raczą?

Ligęza skrzywił się jak po occie.

– Schowaj to asan – burknął.

– Jak wasza miłość sobie życzysz. – I wskazując na skraj polany spytał: – To córka onego kosturowca?

Lea tam była. Mokrym płócienkiem, w gorzałce pewnie moczonym, obmywała twarz Kowaczowi, który siedział na kłodzie. Nagle dziewczyna przyklękła i pocałowała narzeczonego w dłoń.

– Oblubienica jego – powiedział Tomasz. – Wkrótce ślub.

– Cieniutka – rzekł watażka wzdychając. – Strach, jak takie cherlactwa lubię. Popatrz waćpan, jakie te paluszki chude, jakie łokcie kościste, aż gorącość bierze... A usta przy tym pełne, całować miło. Ile lat ma?

– Szesnaście.

– Szesnaście – powtórzył starszy Rosiński. – Sporo jednakowoż. Ale nie wygląda na tyle, nie, jak Boga kocham, takie chude rączyny. I to dla nurka ten specjał, co Boga i mnie samego śmiertelnie obraził. Robakiem nazwał!

Obłudnik, do zbawienia wzdycha, a sam się poganin na ono ciałeczko lubieżnie oblizuje. Ale za wcześnie, panowie, jeszcze nie jego na wierzchu. Pogadamy sobie.

Watażka, łyknąwszy raz jeszcze dla animuszu, ruszył ku narzeczeństwu energicznym krokiem. Ujrzawszy go, Lea chwyciła za rękę Kowacza. On coś jej szepnął i powoli podniósł się z kłody. Mógłby zdusić Rosińskiego tymi swoimi łapami, pomyślał Tomasz i aż żal mu się zrobiło, że tak wielka siła drzemie bezużytecznie. Zobaczył, że od stołów biegnie ku nim rudobrody ojciec Lei z synem.

Rosiński zwrócił się do dziewczyny:

– Panienko, jak cię zwa?

– Lea – odpowiedziała cicho.

– Jak? Lea...? Żydowskie imię.

– Biblijne – sprostowała.

– Niech tam, wszystko jedno. Podobasz mi się, Lea.

– Dziękuję waści – odparła czerwieniąc się.

– Podobasz mi się, ot co. – Rosiński powiedziawszy to odczekał, jak gdyby po tym jego oświadczeniu spodziewał się od tamtych dwojga jakiejś reakcji. Ale nie doczekał się niczego, więc zwrócił się wprost do Kowacza:

– Odstąp mi ją, panie heretyku.

– Nie rozumiem cię, bracie – powiedział brat Gabriel.

– Czego nie rozumieć? Miała być twoja, będzie moja. Przy mnie szabla, przy tobie łokieć. No to odstąp lepszemu, poszukasz sobie innej.

– To niemożliwe – odpowiedział bednarz.

– Nie gadaj, że niemożliwe! Ktoś ty jest, żeby taki smakołyk zagarnąć? Te rączuchny, te usteczka, te piersiątko...

– Zaniechaj waćpan – poprosiła Lea, której twarz przybrała barwę palonej cegły.

– Wiem, co mówię! – huknął starszy Rosiński.

Jej ojciec krzyknął roztrzęsiony:

– Ty wstydlivość dziewczęcą obrażasz!

– K’rzeczy mówię! – uparł się Rosiński. I pijany, i głupi, pomyślał Tomasz i postanowił nie wkraczać, dopóki nie będzie tu jawnym gwałtem groziło.

– Obłudniście, i tyle – szarpnął się watażka. – Ten brat despekt mi uczynił, nie chcąc wedle stanu mojego do mnie się zwracać, tedy słuszne jest, żeby dziewczynę mi odstąpił. Przeciżem nie gorszy sobą od niego, a do tego *nobilis sum* czy jak to się rzecze.

– Ona Gabrielowi obiecana jest, ślub mają brać – tłumaczył ojciec.

– Ślub? A toś mnie ustrzelił! Ślub! To i ja mogę wziąć ślub! Alboż to nie mogę? Kto mi zabroni? – Wyciągnął z za pasa flaszkę. – Wezmę ślub, proszę bardzo. *Vivat* młoda para! – Pociągnął łyk i podsunął flaszkę Wojnarowskiemu. – Ty, ojciec, napij się? Pij za nasze zdrowie. I wołaj księdza, popa czy kogo tam chcesz. Ślub wezmę – kusił – uczciwie powiadam.

Bardzo się zdziwił, że jego gotowość nie spotkała się z zachwytem.

– Czemu milczycie? Hej, ojciec, osłupiałeś z radości? Leć po księdza! Albo ci się nie podobam?

– Bracie, musisz zrozumieć, że nie może Lea być oddana nikomu spoza wspólnoty naszej – powiedział sługa Boży.

– Ach, wy obłudniki niecnotliwe! Dla siebie jeno szperki zostawujecie! To tak wasze Pismo naucza? Różnicę między ludźmi czynić? I głupio to, panie bracie, szlachcicowi odmawiasz, a za chłopa gotówes córkę wydać! Pomyśl: komu pierwszeństwo się należy?

Wojnarowski zwrócił ku zebrany pobladał twarz. Głos mu drżał, kiedy przemawiał, nie do Rosińskiego, ale jakby do wszystkich:

– Złam miecz, zrzuć pychę, zostań naszym bratem, a wtedy będziesz mógł wybrać to z dziewcząt naszych, które za zgodą rodziców będzie ci powolne.

– Złamać to, rzucić tamto – ty, ryży, za wiele ode mnie żądasz. Dziewka mi w smak poszła, to mi ją oddajcie. – Zwrócił się do Lei: – Chcesz mnie, nadobna panienko?

Kowacz stanął przed dziewczyną i osłonił ją potężnym torsem: – Zabieraj się stąd – szepnął.

– Łyku! – wrzasnął Rosiński i położył dłoń na rękojeści szabli.

Ale nie zdążył jej wyciągnąć, bo Ligeza i Tomasz chwycili go za ramiona.

– Zaniechaj go, panie Rosiński – nakazał Ligeza.

Watażka szarpnął się.

– Poganin! – krzyknął. – Chrystusa ukrzyżował! Despekt mi uczynił!

– Chodź waćpan, zostaw ich – ponaglał Ligeza. – Upiłeś się i rozum ci się płacze!

– Mnie? Ja go... Dziewkę mi zabrał...! Ech, te rączulki – roztkliwił się. – Ech, te tytuszki... Tytuszki! – wrzasnął. Ligeza i Tomasz ciągnęli go w stronę polany.

Zdołał wyszarpnąć dłoń i posłać nią dziewczynie całusa. Potem, kiedy pachołek mu konia przyprowadził, zwrócił się do swoich opiekunów:

– Trzy tysiące złotych poszło z dymem przez waćpanów upór i małostkowość. Po stronie chłopstwa i pogan przeciw własnym braciom stajecie! Do ciebie, wasza miłość, żalu nic mam, tyś Ligeza, sam wywołaniec, bratem mi jesteś, z fantazją rycerz. Ale Tomko Błudnicki, ten niegodnie postępuje. Jakże tak, panie Tomaszu, więc przeciw dekretowi królewskiemu oponujesz? Zbiega spod kurateli osłaniasz?

– Waść długo tak możesz? – spytał Tomasz.

– Do grobu!

– Odpowiem ci od razu, dekret królewski o polowaniu na kniazia nie wspomina.

– Bez polowania go nie chwycisz!

– Nie za królewskie grosze polujesz, jeno za kniahini – przypomniał Tomasz.

– Nie za grosze! Za kogo mnie bierzesz? W czerwonych złotych ma być wypłacone! Siedzi księżna na skrzyni pełnej złota u krewnych w Rzeszowie i na wiadomość czeka. Aleć nie wszystko stracone. I wiadomość kniahini wynagrodzi. Choć częściowo straty zwróci... Mówię ci, panie Błudnicki, ciężkie na nas czasy nastały, Ormiany i Żydy zhardziały, gotowizny żądają, a ceny takie, że taniej wydrzeć niż kupić! To co mam kniahini powtórzyć?

– Powiedz jej waćpan – rzekł Ligęza – że jeśli jest przy niej ktoś, do kogo kniaź zaufanie żywi, niech go tu śle, może doprowadzi do spotkania. Od woli kniazia będzie zależało, czy na powrót do domu się zdecyduje.

– Syn jego z nią jest, Ginwił z poprzedniego małżeństwa.

– Jeśli się ze starym kochali, to niech przyjeżdża.

Rosiński starszy dosiadł konia.

– W drogę, towarzysze! – zakomenderował.

Jego ludzie dosiadali koni hałaśliwie, nierówno, ociągając się. Hałastra, pomyślał Tomasz ze wzgardą oficera wojsk regularnych dla dzikiej zbieraniny. Żeby mnie podstępem nie byli wzięli, rozpędziłbym ich.

Dla bezpieczeństwa obozu odprowadził wraz z Ligęzą watahę aż poza las, do ścieżki, co wzdłuż jaru wśród zapachu tarniny biegła. Wracali potem niespiesznie, słuchając beczenia owiec i porykiwania wołów. Chmury rozstały się i słońce świeciło nad nimi. Było południe. Czas do domu wracać. Przejeżdżali właśnie koło szpaleru bukowego, kiedy zniecka świsnęło Tomaszowi coś koło ucha, odchylił się odruchowo i naraz

zobaczył wbitą w pień strzałę. Jeszcze dygotała. Spojrzeli po sobie z Ligęzą.

– Rosiński? – domyślił się Tomasz.

– Ale Każko – odpowiedział Ligęza.

Wydawało się Tomaszowi, że poprzez bek owiec słyszy tętent oddalającego się pośpiesznie konia.

Zagwojski wyrwał z drzewa strzałę.

– Turecka – orzekł oglądając ją. – Droga.

– Nie żąją na cię grosza – zaśmiał się Ligęza.

– Nie rozumiem go – powiedział Tomasz. – Najpierw w pas się kłaniał, życiem z mojego powodu wszystkich obdarzył i naraz z zasłupia z łuku szyje.

– Bo refleksja nań nasza, że skrytobójczo zamordować się opłaci. Rozamorował się on w twojej siostrze, ów Kaźmierz, a bestia urodziwy i panna była mu wzajemna, ale sęk w tym, że mu ojciec twój jej nie chciał oddać.

– Bo rozbójnik?

– Nie inaczej.

– Może podejrzewał, że Rosińskiemu o majątność, nie o Elżbietkę idzie.

– Może i tak podejrzewał, ale fakt, że na ślub się nie zgadzał, chociaż od starających się tam nie kipiało. Jak ojciec waćpanów zmarł, to mogło się wydawać, że już przeszkód nie będzie, kiedy panna nagle zmieniła front. Teraz, powiada, brat mój ręką moją dysponuje i bez jego zgody za mąż nie pójdę. Taka skrupulantka, panie Tomaszu. Na próżno Kaźmierz dowodził, że cię już dawno w moskiewskiej ziemi pochowano, ona, nie wierzę, mówi, póki dowodu nie będzie. Teraz się zjawiłeś – prawdę więc mówiła panna Elżbieta, więc tym gorzej dla ciebie, bo domyśla się pewnie Kaźmierz, że

mu ręki siostry nie oddasz. Co innego, gdybyś zginął dowodnie a skrytobójczo.

Zagwojski włożył strzałę Rosińskiego do swojego sajda.

– Przyda się – rzekł. – W trybunale albo i na samego Kaźka. Co wasza miłość rozkażesz? – zwrócił się do Tomasza.

– Do drogi szykować się... Cyryla mi znajdź.

O Cyrylu wspomniał dziś po raz pierwszy. Nie było go podczas całej tej z Rosińskim przeprawy. Pewnie Dziadusia strzegł, pomyślał.

Zagwojski pobiegł do namiotu. Po chwili wyszedł zeń zakłopotany.

– Wasza miłość! – zawołał – Nie ma Cyryla!

– Dobrze się rozejrzałeś?

– Dobrze. I saka jego też nie ma.

– A koń?

– Nie wiem. Pewnie i konia zabrał.

– Koń Dydyńskiego, zwrócić miałem. A to szelma mały. Żadnych śladów?

– Napis jest, krwią na płótnie namiotu uczyniony.

– Jaki napis?

– Wasza miłość, popatrz sam.

Tomasz wszedł do namiotu. Na płótnie koślawymi literami wypisane było: JA DO JERUZALEM CYRYL. Krzyżowiec nieugięty, wędrowiec wytrwały. Tomasz uśmiechnął się do siebie. Bogdaj to brać z niego wzór. Wymknął się pewnie podczas tej całej awantury. Niech ci duchy leśne sprzyjają, chłopcze. I niech chronią od wilków, jasyru, borowych ludzi i upiorów.

Pożegnał się z kniazem, a potem zwrócił się do Zagwojskiego:

– W drogę, panie Jędrku.

Przez odjazdem uściskał dłoń pana Stefana Ligezy, banity i infamisa.

ROZDZIAŁ V

Deszcz siąpił drobny i zimny. A miało być słońce, muzyka, kmiotkowie z chlebem i solą! Wszystko nie tak. Ileż razy tę drogę w myśli odbywał! Rysował ją w śniegu, to znów w tłustej naddońskiej glebie, rozbłyskiwała mu pod powiekami tuż przed zaśnięciem i w nocy miłosiernie doń przyływała, i o świcie, kiedy tylko oczy otwierał, wszędzie gdzie przebywał – w celi turemnej, w lochu, w szałasie bydłęcym czy na robotach polnych nad Donem, gdzie już było syto i czysto, u Agafii Kozaczki. Wszędzie, wszędzie domaradem porażonemu ta droga do Błudnik się jawiła, jasna i kolorowa.

Wszystko inaczej. Doświadczył teraz, co to zawodność pamięci. Pamiętał drogę lipami wysadzaną – okazało się, że graby rosły i jawory. I wszystko przemieszczone, przesunięte w stronę, czasem aż na pół mili. Zdarzyło mu się wstrzymać konia na jakimś rozstaju, który mu wyleciał z pamięci, milczał zakłopotany, nie śmiąc Zagwojskiemu w oczy spojrzeć, aż wreszcie trzeba było zapytać chłopca, co drabiniastym wozem przejeżdżał, o drogę do Błudnik. A przysięgłby, że każdy kamień tu zna!

Ręka ludzka też się w to wdała, żeby krajobraz odmienić. Gdzie przedtem droga biegła, teraz brzózki zielenią się pięty. Gdzie indziej las wyrąbany, tylko pnie gołe w mżawce mokną. Krzyż z Męką Pańską przesunięty. Cerkiewkę odmalowano, pamiętał bierwiona myszate, teraz jaskrawożółte jak więdnące liście. Karczma przydrożna spłaszczyła się i wzdłuż rozrosła, bo z tyłu stan dobudowano. Nie powinni byli niczego ruszać, pomyślał z żalem, niczego zmieniać, dopóki nie wróce. Poza tym jednak wpływów działalności gospodarskiej nie zauważył, przeciwnie, im bliżej Błudnik, tym bardziej rzucało się w oczy zapuszczenie. Mostki dziurawe, bez poręczy, kładki zniesione. Z trudem przebyli wezbrany

potok. O dwa strzelenia z łuku za nim – nie odmieniona grobla z pękatymi wierzbami.

– Będzie ostrokół i wrota z murowanymi słupami – powiedział.

Pomknęli w szarej mżawce. Ostrokół miał koły wybite, murowane słupy wrót świeciły czerwoną cegłą. Ludzie się tam krzątali, jeden kozak dworski trzymał drabinę, a drugi stojąc na jej szczycie usiłował zielenią przyozdobić murek.

– Nie na cześć waszej miłości te ornamenty? – mruknął Zagwojski. I zwrócił się do dworskich:

– Pomagaj Bóg. Co robicie, dobrzy ludzie?

– Wrota maimy, żeby pana tutecznego godnie przywitać – odpowiedział ten, który drabinę przytrzymywał.

– A kiedy ma przyjechać? – spytał Zagwojski.

– A kto go wie! – odkrzyknął ten z góry. – Ale ino go patrzeć, bo już w Sańsku od jego miecza łby poleciały.

Ten, co drabinę przytrzymywał, przyjrzał się im nieufnie.

– A waszmościowie kto? – spytał.

– Do jejmościanki w gości.

– Aha.

– Słyszeli i my, że pan w pobliżu, i postanowiliśmy go tu czekać. Z Bogiem, dobrzy ludzie.

– Z Bogiem.

Więc nie poznali! Ale przynajmniej wiedzą już, że ożył, poprzedza go ponura wieść o uciętych łbach. Sieheń. Wojsko kaził. Zsiedli z Zagwojskim z koni, żeby przewędrować pieszo ten ostatni odcinek drogi do domu. Boże, co za żałosny powrót. Z wyszczerbioną szablą, w cudzej koszuli, z cudzym koniem. Odys dwadzieścia lat po świecie wędrował, ale go w domu Penelopa czekała, Telemak wierny, ojciec stary, piastunka, co go po bliźnie

poznała, i pies ostatnim tchnieniem do nóg mu się przywłókł. A ty czego się spodziewasz? Nie ma ojca, nie ma Penelopy, macocha tu rządzi i siostra, której prawie nie znasz, w Lublinie u bernardynek była, kiedy tyś na wojaczkę się głupi wybierał. Oto znajomy podjazd do dworu, chociaż stromszym go pamiętał. Ale kasztan, który przed gankiem miał rósć o kilkanaście łokci w stronie jest i zasłania okno od świetlicy. Usłyszał złe szczekanie, pędził ku Tomaszowi czarny kłęb, gniewny, z wyszczerzonymi kłębami, z oczyma nabiegłymi krwią. Nie ma Penelopy, przemknęło przez myśl Tomaszowi, usłyszał wołanie dziewczyny „do nogi, Cygan!” – i naraz powrót się urzeczywistnił. Przyciskał do piersi głowę okręconą czarnym warkoczem, słuchał powitań tych, którzy na ganek wybiegli, starał się wśród zamiatań czapką, ukłonów, okrzyków rozróżnić osoby. Ale nikogo z bliskich nie zauważył, tylko jedna niewiasta mignęła mu znajoma, ale wnet znikła w sieni.

Wróciłem, myślał. Nie ma Penelopy, ale nie ma i zalotników, których trzeba wybić, miejmy nadzieję. Siedział na ławie w świetlicy, ciężką szablę położył na stole, a siostrzyczka, niska, korpulentna, odpinała mu pas, potem przykląkwszy buty ściągała. Jezu miłosierny, aleś przemókł! Miednicę dajcie z wodą gorącą, nogi wyparzysz. Panem przyjacielem się zajmijcie. Głodniście pewnie z drogi. Jezu! Boże! Pochowali już cię, Tomaszku, ale ja nie wierzyłam. Dłonie grzejesz obejmując szklanicę z winem gorącym. Korzeniami pachnie. I zalew nowin. Ten zmarł, tamtego usiekli, ów za służbę podziękował, inny do klasztoru wstąpił, ktoś wieżę odsiaduje. Wszystko naraz. Za dużo tego, myślał, już nie chłonę, ludzie – rzeczy – wydarzenia przeciekały przezeń, wszystko nieuchwytnie, jak we śnie. Ojciec spoglądał z portretu, przez malarza Włocha uchwycony, taki był ten mój ojciec urodziwy, groźny i dumny, z podgolonym karkiem, dłoń na lejcu szabli nieznacznie rozluźniona, jak na mistrza nad mistrze przystało, oko

uważne i z lekka ironiczne. Obok portret macochy: dorodna pani, powłóczyście ciemne oczy, obnażone wypukłości piersi, krzyż złoty pośrodku, wargi jakby rozmarzone pocałunkami, którymi przed chwilą się napawała. Nie mogła się zdecydować, jak swą postać utrwalić, czym jest – surową panią Błudnicką czy kochanicą tego pana z portretu obok. Wróciłem. Otom w domu. Słuchał siostry i przyglądał się ścianom, powale, sprzętom. Więc to jego dom. Ja tu pan. Mogę krzyczeć, mogę rozkazać, nie muszę skomleć, nie muszę w oczy zaglądać, o jadło zabiegać, to oni mnie w oczy zagładają, to oni u progu czekają, wykonywać rozkazy gotowi. Siedzi przy stole i siorbie gorącą polewkę piwną, grzanki chleba w nią wrzuca. Po drugiej stronie stołu Zagwojski, uśmiechnięty, ale i spocony z podniecenia. Taka fortuny odmiana! I czym na nią zasłużyłem? – myśli. Nic pożytecznego nie uczynił, ot, wrócił do pieleszy. Ach, przypomniał sobie, przecież są dary, które Jacek Dydyński mu podsunął. Gorsecik wyszywany, chusta, naszyjnik – siostra wszystko przyjęła, podziękowała, a potem spytała z przekazem, wiele takich na szlaku rozdał. Gdyby wiedziała, w jakiej nędzy był! Uniknął zwierzeń dzięki polewce, której znowu z uwagą się oddał. Nagle spytał:

– Kto ci powiadał, że jestem?

– Od pana Dydyńskiego goniec przybiegł – odpowiedziała siostra. Przyglądała się ciemnymi oczyma, matowymi jak śliwki. Miłą miała twarzyczkę i niebrzydka, okrągłutką, i nos w niej tkwił mały, także okrągławy, przez co dobra i potulna się wydawała, i chociaż daleko jej było do Afrodyty, mogła się podobać. Płoniąc się dodała: – I Każko tu był z wieścią.

– Rosiński? – upewnił się.

– On.

– Prędko, przede mną zdążył. To prawda, że on cię chce brać?

– Prawda.

– A ty jego?

Sługa, który jadło był przyniósł, teraz rozpalał ogień w kominie, więc Elżbieta, rzuciwszy przelotne spojrzenie w jego kierunku, chwilę odczekała. Potem powiedziała cicho, ale twardo:

– Ja jego nie chcę.

– Powiadał mi pan Ligęza, że *conditio* mu postawiłaś, iż ja na małżeństwo wasze muszę się zgodzić.

– Ja jego nie chcę – powtórzyła.

– Tedy zgoda moja była wybiegiem tylko? – spytał przestając jeść.

– Prawdę rzekłszy...

Wniesiono drób pieczony i półmisek kaszy gryczanej. Pojawiła się znowu owa szlachcianka znajoma, pani wysoka, z piersią obfitą, biodrzasta, w stanie wcięta. Lat miała blisko czterdzieści, ale twarz świeżą, a włosy długie, ciemnokasztanowe, bez jednej srebrnej nitki. Któż to jest? – męczył się Tomasz. Ona postawiła na stole karafkę srebrną i także pucharki.

– Mój to poczęstunek, panie Tomaszu – odezwała się i z kolei głos jej, głęboki i melodyjny, wydał mu się znajomy. Nagle śmiech ją ogarnął: – Widzę, kochany, że mnie nie poznajesz. Wiktoria z Medyńskich Powidajowa jestem, siostra twojej macochy.

Głos macochy – dlatego znajomy! Głos, który wprawiał go w drżenie, który budził niepokoje w junackiej głowie, kiedy go spoza ściany sąsiedniej izby dosłyszał, jak wibruje, mieni się uczuciami... – Potem widzenia miewał, którym się dziwił, z których się i księdzu wstydział spowiadać, zagrzebał je głęboko, zdusił ich pamięć i tylko czasem we śnie wracały te widzenia głosem macochy wzbudzone – w celi turemnej je miewał i nawet na pryczy Agafii Kozaczki. I czy nie przed tym głosem wabiącym uszedł z domu, czy nie dlatego powiedział sobie, że jego przyszłość jest przy boku

Maryny, więc temu dziewczęciu w carskiej koronie będzie służył, i w samej rzeczy udało mu się kilka razy mieczem swoim ją osłonić, za co najwięcej łaski ze strony jej majestatu dostąpił. Dziwnie się to wszystko splotło. I teraz ten głos – to zdumiewające, że pani Wiktoria mogła mieć aż tak podobny. Jakby podkradła własność swojej siostrze.

Dydyński podejrzewał panią Eufrozyne, macochę, że Tomaszowego ojca zamordowała. Czy trzeba będzie nad nią sąd odprawić? Aż tak za te sny chłopięce odpokutować, żeby ich heroinę katu oddać? I czemu ona doń nie wyszła? Unika go?

Tę siostrę, panią Powidajową, przelotem tylko widywał, rzadko w ziemi sanockiej gościła, a rozmawiać chyba z nią nie rozmawiał.

– Moją nalewkę – mówiła – z moich pucharów pijcie. Mało co mi z lepszych czasów zostało. Za twój powrót, Tomaszku... W pańskie ręce, miły gościu – zwróciła się do Zagwojskiego i uśmiechnęła się. – Nikomu tego nie powiadajcie, ale likwor ten szczególne ma właściwości, odmówiłam nad nim zaklęcia, które z kabały przepisałam. No to i ja z wami – zakończyła i z pijacką zręcznością wlała w siebie zawartość pucharka.

Tomasz sączył powoli wiśniową nalewkę.

– Nie po szlachecku pijesz – zwróciła uwagę pani Wiktoria.

– Nie obrażaj się, waszmość pani, delektuję się więcej.

– Kiedym była w Warszawie, z królewskiego dworu miałam na swoją apteczkę zamówienia. Nie nastarczałam palić. Poniektórzy panowie pod takim pretekstem przychodzili, żeby apteczce się przyjrzeć. Ale naprawdę to może co innego mieli na myśli – zaśmiała się.

– Wcale im się nie dziwuję – skomplementował ją Tomasz.

– Alem ich odsyłała z niczym, bo był wśród adoratorów jeden, z którym żaden nie mógł się równać.

– Nie pan Ligęza? – zaryzykował Tomasz.

– Skądże to waści na myśl przyszło? Pan Ligęza urodziwy, wielki serc niewieścich łowczy, ale tylko szlachcic.

– Któż to więc był?

– Kto był, to był, nie wszystko mogę powiedzieć, sekret mnie wiąże. To tylko asanowi powiem, że gdybyś potrzebował czegoś w kancelarii królewskiej, to mogę tam więcej, niż przypuszczasz.

– Podkanclerzy...

– Nie powiem. Ale za nisko mnie szacujesz...

Tomasz spojrział na siostrę, ale ta tylko się uśmiechnęła. Dopiero kiedy pani Wiktorja wyszła, powiedziała:

– Wciąż ona o tym królewskim dworze gada, ale jak tam było naprawdę, Bóg to jeden wie.

– I któż miał być tym adoratorem? Nie król jegomość?

– Nigdy ona tego wprost nie powie, tylko do zrozumienia daje. Raz domyślić się można, że kanclerz, to znów prymas, to wreszcie król sam. Aż mi czasem nieswojo się czyni, kiedy swymi amatorami się przechwala w szczegóły paskudne się wdając.

– Dziwne trochę, że mając takie oparcie na dworze, w Błudnikach siedzi na łaskawym chlebie.

– A złość ludzka, braciszku? A zazdrość najjaśniejszej pani i intrygi fraucymeru? A trucizna? Na wszystko nasza Wiktorja ma odpowiedź. I tak na to jej przyszło, że zamiast łaski i urzędy rozdawać, u nas ochmistrzynią jest.

Przez chwilę jedli w milczeniu. Wreszcie Tomasz spytał:

– A macocha gdzie?

– Jak to, nie wiesz? – zdziwiła się Elżbieta.

– Co mam wiedzieć?

– Przecież nie żyje.

Tego mi pan Jacek Dydyński nie powiedział, przypomniał sobie, a przecież mówiliśmy o niej. Widać nie wiedział. Ojca śmierć głośna, bo pan na Błudnikach i przyjaciel Bełzeckiego, a pani Eufrozyny cicha, mało ważna.

– Nie o wiele pana ojca przeżyła.

– Ona Tomaszku, wcześniej od niego zmarła – sprostowała siostra.

To go zaskoczyło.

– Kiedy? – spytał.

– Będzie więcej nad rok.

Więc jego śmierci niewinna, uświadomił sobie nagle. Młodo zeszła, mogła mieć lat trzydzieści pięć. Nalał z karafki Zagwojskiemu i zwrócił się do siostry:

– Halżka! Więc ty wcale nie byłaś pewna, że ja żyję!

– Mało nadziei miałam. Wielu tu świadków twojej śmierci przybywało.

– I co Każkowi powiedziałaś, że na mnie czekasz, to żeby od konkurów się osłonić?

– Tak, braciszku.

– A ja tego twojego wybiegu małym życiem nie przypłacił!

– Jakim sposobem?

– Wczoraj twój Każko z zasłupia do mnie z łuku szył.

Zagwojski wydobył strzałę z sajdaka.

– To ta – powiedział. – W bukowej korze utkwiała.

Siostra zmarszczyła czarne brwi.

– Zabić cię chciał?

– Pewniem mu niewygodny.

– To widzisz, jaki on – powiedziała.

– Widzę, że wolisz rutkę siać, niż za niego iść.

– Stokroć.

– Masz rację – pośpieszył, żeby nie myślała, że jej paniństwo wypomina. – Czego ci do tej niewoli śpieszyć? Bez pana męża to i wyglądasz jak mała dziewczynka.

– Bom niewiele urosła – powiedziała siostra z miłym uśmiechem.

– Dziesiątki będziesz miała konkurentów.

– Na to nie liczę – powiedziała sucho siostra, a oczy jej stwardniały.

– Co z tym Każkiem? Myślisz, że cię miłuje?

– Nie wiem... Ale chyba tak, skoro się na niebezpieczne rzeczy waży.

– Z ukrycia strzelać – niewielkie to bohaterstwo. Ale, Halżuniu, wybac mi siostrzyczko, nie myślisz ty, że on dla interesu się przy tobie uparł?

– Jakiego interesu? – spytała zaczepnie siostra.

– Żeby majątności za tobą wziąć.

– Nie mamy żadnych majątności – powiedziała Elżbieta. Bez żalu to powiedziała, prawie wyniośle.

– Jakże tak? – zdziwił się.

– Mamy tylko Błudniki, od których Teleśnica Rosińskich nie gorsza albo to i lepsza. I bogatsi oni, bo co skarbów nałupili! Zrujnowani my jesteśmy, braciszku. Zrujnowani – powtórzyła.

– A Kozłów? A Wojtowa? A Głodówka? – wyliczał.

– Dożywociem te sioła ojciec trzymał, z przywileju królewskiego. Po śmierci ojca przeszły na innego pana.

– Do kogo?

– Do pana Bełzeckiego.

Zapadło milczenie. Zagwojski podniósł karafkę, żeby sobie z niej nalać, ale popatrzawszy na Elżbietę odstawił ją z powrotem. Jako żołnierz zasłużony, mógłbym się starać o inne nadania, pomyślał Tomasz, należą mi się. Sejmik by poparł, hetman by coś pomógł, wojewodzina Mniszchowa też...

– A gotowizna? – spytał. Beczki z monetami, wspomniał. Dukaty, portugaly, floreny. Lubił zanurzać w nich dłonie. Lubił ich blaski i dzwonięcie.

– Nie mamy gotowizny.

– Gdzie się podziała?

Rozłożyła ręce.

– Nie wiem. Musiał ojciec za nie coś kupować. Może te wsie.

– Jakie wsie?

– Bo ty tego nie wiesz. Mnogość wsi od pana Bełzeckiego ojciec przyjął. Myślałam, że nasze, bo jak w swoich ojciec w nich gospodarzył. Ale potem się okazało, że je dzierżawą jeno trzymał. I po śmierci ojca wróciły do pana Bełzeckiego.

– Na te dzierżawy pewnie się zrujnował.

– A może na pałac – powiedziała siostra.

– Więc i pałac...

– Przejdiesz w głąb ogrodu, to zobaczysz. Stoi nie dokończony. Nie wiem, ile gotowizny pochłonał, ojciec nigdy ze mną o tym nie rozprawiał, ale pewno siła, skoro skrzynie puste. Mówił ojciec, że chce żeby stał dla ciebie pałac, jak wrócisz. Bo ojciec, on w twoją śmierć nie wierzył.

– Będziesz miał pałac, synu, pałac, pałac – powtarzał ojciec huśtając go na kolanach. – Na dziw ludziom wystawimy. Szklany strop będzie, a nad nim sadzawka z rybkami i zieleń, a na ścianach malunki, szpalery z brokatu, kominki marmurowe, świeczniki miedziane ozdobne, pałac, pałac dla synka – szeptał ojciec podrzucając go aż do wąsów łaskoczących. Kiedy indziej przybiegło do niego to słowo z szumem liści w parku, zerwał się z trawy i pobiegł za tym pałacowym szmerem, i podprowadziło go do chłodniczka powojem okrytego – przystanął i usłyszał zduszony szept ojca: „pałac, Eufrozyno, pałac, rozkoszy moja, postawię ci go, choćbym diabłu

miał te dukaty wydrzeć, panią w nim będziesz, księżną na Błudnikach”. Macocha śmiała się cichutko i słychać było, jak obsypuje ojca pocałunkami.

Zrujnowani. Czegóż więc ten Każko rozbójnik tu szuka? Czyżby naprawdę chciał tylko jej, Elżbietki malutkiej, z buzią okrągłutką, miłą, ale teraz chmurną i zaciętą?

– Więc cię Każko miłuje, tak... A ty jego?

– Wolę szczeznąć.

– Toś mi nie bardzo odpowiedziała.

– Moje miłowanie minęło.

– Czymże on cię tak zraził?

– Braciszku. Miałam dwanaście lat, kiedy mnie macocha do bernardynek odwiozła. Wtedy widziałam cię po taz ostatni. Z Maryną poszedłeś nie pomyślawszy, żeby się z siostrzyczką pożegnać. A i przed tym tylko konno tam i sam gonieś. Małoś mnie zauważał. To już wybaczyć, że ci do końca serca swego nie otworzę.

– Aleś mu z początku była przychylna, Każkowi?

– Stare dzieje.

– Nie wadziło ci, że zbój?

– Poprawę obiecywał.

– I ty uwierzyłaś. Ale ojciec jegomość, ten nie uwierzył...

Elżbieta milczała. Uwierzył w poprawę czy nie uwierzył – może nie to było główną przyczyną rekuzy, tylko chudopacholski stan umiłowanego. Pracował przecież ojciec nad wyniesieniem rodu, pałac budował – i czyżby miał w nim na koniec zamieszkać szlachetka, co żył z rozboju, dzikus bez edukacji? Ojciec więc odmówił stanowczo, a Halzka mogła się wkrótce przekonać, że miał słuszność, bo nic z obietnicy poprawy nie wyszło. Zresztą wola nieboszczyka święta. Tomasz postanowił przejść do ataku:

- Powiadają, że ojciec zamordowany został.
- Kto tak powiada? – spytała zasepiwszy się.
- Ludzie.
- Plotą. Już ja to bym chyba wiedziała...
- Dlaczego akurat ty?
- Przecież to ja gom chowała. Na mnie to wszystko spadło – poskarżyła się.
- I od czego to ojciec zmarł?
- Czy ja wiem... Rany żadnej na nim nie było. Pochowaliśmy nie mieszkając, bo ciało mogło się psuć, kilka dni na błotach przymarzłych leżało, zanim je znaleziono.
- Na błotach? Mów po kolei. Kto znalazł? Gdzie?
- Kosturowcy znaleźli. Błota za Sańskiem – mil ze dwie. Koń tam ojcowy dreptał obok, mało nie oszalał, bylinkami się żywił.
- Koń osiodłany?
- Osiodłany. Ani rzemyka nie brakowało.
- Tedy nie rabuś na ojca się zamachnął.
- Przecież ci powtarzam, że zamachu nie było!
- Trzeba było medyka sprowadzić z grodu, niechby przyczynę zgonu doszedł.
- Po co medyka, kiedy tato już nie żył? Serce w nim pewnie pukło od nadmiaru krwi.
- Odkąd to ty na medycynie się znasz? – spytał Tomasz.
- Ja się nie znam, ale pani Wiktorcia się zna. Mówiła, że ojciec krwisty mąż, pierno jadać lubił, łatwo mu krew do twarzy biła, wciąż z ludźmi i losem się zmagał, taki rychło serce zniszczy.
- Tomasz nie podjął tego tematu. Z losem się zmagał, zapewne. Ten pałac, zadanie ponad siły, mógł go z nóg zwalić. Spytał:

– A starosta co powiedział?

– Do starosty daleko, a jurydyczny z Brzostowa owszem, przyjechał, ale już po pogrzebie. Tomaszku – obruszyła się nagle – cóż to za indagacja? Dobrze ci na mnie nosem kręcić, jak sam gdzieś tam w niewoli moskiewskiej byłeś. Niezadowolenie mi okazujesz, a ja co mogłam? Pochówek zrobić przyzwoity, na który reszta kasy poszła. Byłbyś tu z nami, tobyś był w prawie narzekać.

Tomasz milczał. Ona zaś podniósłszy się z miejsca powiedziała:

– Idźcie waszmościowie do pokojów, odpocznijcie, ogarnijcie się, ja mam teraz robotę, i waszego powodu goście się zjadą. Trzeba ich przyjąć po szlachecku.

O zmierzchu zjechali się sąsiedzi bliżsi i dalsi, kto wierzchem, kto w kolasce, ale każdy z poczem zbrojnym dla bezpieczeństwa. Zaroiło się od sług na majdanie, podczas gdy panowie rozmieścili się w sieni, świetlicy i w komnacie gościnnej, którą im oddano. Nie byli to bynajmniej równolatkowie Tomasza, przeciwnie, mało te osoby znał jako znacznie starsze od siebie. Czcigodni obywatele ziemi sanockiej i przemyskiej uznali że będzie politycznie, jeśli pierwsi przybędą by powitać walecznego żołnierza, a także szlachcica, którego kreska ważyć może na sejmiku.

Przybył więc pan Piotr Bal z Hoczwi, podkomorzy sanocki, który wygląd miał odpowiednio godny, dalej Krzysztof Głowa, sąsiad jego, z łysą, guzowatą czaszką, obaj znani z zawziętości, z jaką toczyli boje z bezprawiem Rosińskich i Żurakowskich. Przybył Stanisław Dydyński, stolnik, ojciec Jacka, chudy, wysoki, z długimi obwisłymi wąsami, tak do Jacka chwilami podobny, iż rzekłoby się: Jacek to za lat trzydzieści; dalej Jan Pieniążek, podstarości, Jan Swoszowski, poseł na sejm, prawnik znakomity, pisarz ziemi lwowskiej, i pan Cichowski, burgrabia zamku przemyskiego, i wreszcie najmłodszy z nich wszystkich Piotr Wolski,

starosta jurydyczny z Brzostowa, o którym pieśni układano jako o pogromcy rabusiów, ponieważ wiadomo było, że w pojedynku usieknął niezwycięzonego dotąd infamisa Białoskórskiego i straszliwie zalał sadła za skórę Diabłowi Stadnickiemu. Był też jeden między gośćmi szlachcic zupełnie Tomaszowi nieznajomy, niski, baryłkowaty, z gęstą siwiejącą czupryną, niezbyt chyba zamożny, bo w kaftanie wytartym, koszuli podejrzanego świeżości i pewnie podartej na łokciach, no i bez sług. Powiedział o sobie, że nazywa się Fabian Świrski, szlachcic z Sandomierszczyzny, tylko tyle, nie było czasu więcej rozpytywać, przyniesiono misy z gorącą gramatką, pan Świrski łyżkę z cholewy wydobył i dorwał się do jadła, spocił się szybko, więc palanką popijał, najchętniej do pana stolnika Dydyńskiego, w którym poczuł od razu kompana do kielicha. Nikt o panu Świrskim nic bliższego nie umiał powiedzieć: ani Elżbieta, ani ochmistrzyni pani Wiktoria, ani pan Ałmazy Toroszewicz, Ormianin, którego przedstawiono Tomaszowi jako ostatniego sługę nieboszczyka ojca. Niech tymczasem je, pomyślał Tomasz, może mu tej łyżki stawy trzeba.

Wszyscy ci panowie byli to ludzie światowi, śmiali, rozsądni, stanowili śmietankę umysłową okolicy. Ojca tu tylko brak i pana Bełzeckiego, myślał Tomasz, chodząc między nimi i lejąc wino do szklanic. Pili też, z wyjątkiem tamtych dwóch – stolnika Świrskiego i umiarkowanie, bo woleli przy rozumie być, żeby rozmową się zabawić. Nie obeszło się jednak bez toastów, okrzyków „do dna!” i uprzejmości rzuconych gospodarzowi. Pan Dydyński-ojciec opowiadał, co z ust swojego syna-lisowczyka słyszał, jak Tomasz sam jeden z szablą w ręku bronił ariańskiego zboru przeciw zgrai żołnierskiej.

– Twój syn, panie stolniku, mnie uratował! – zawołał Tomasz. – I na drogę pięknie obdarzył.

– Dobre dziecko – powiedział z zadowoleniem stary o synu-rębajle.

– A przedtem jeszcze ten młodzieniec się za mną wstawił – Tomasz wskazał na Zagwojskiego.

– Zdrowie takiej młodzieży! – zakrzyknął pan Świrski.

– Zdrowie!

– Że dzielna, to dzielna!

– Ale trochę swawolna!

Bo prawa nasze zbyt kręte, w ryzach jej nie mogą utrzymać – wstawił pan Swoszowski.

– Prawa może i niezgrabne, ale nic nam i z lepszych nie przyjdzie, kiedy egzekwować ich nie ma komu. – To rzekł pan Piotr Wolski. Chociaż człowiek młody, to skronie miał posiwiąle. – Uganiaj się samosiedm za najgroźniejszymi zbrodniarzami. A oni ci jeszcze w żywe oczy kpią, że to ty, starosto, prawo łamiesz, boś ich *in recenti* nie chwycił. Gdyby starosta miał na swoje usługi chorągiew małą, nie pożywiliby się u mnie długo krzywdziciele. Cieszę się, panie Tomaszu, żeś do dworu ojcowskiego wrócił. Pewnie mnie w potrzebie swoją szablą wspomóżesz, co?

Tomasz uchylił się od odpowiedzi, krążył wokół stołu z dzbanem w rękę powtarzając:

– Pijcie, waszmościowie. Jedzcie, waszmościowie. Rad wam jestem. Nie trzeba nam tu sług, karków zgiętych, sami sobie usłużymy, panowie bracia.

– Mądrze mówi! – pochwalił pan poseł Swoszowski. – Bodaj to wszyscy tak!

– Zdrowie gospodarza!

– Gości miłych zdrowie! – bronił się Tomasz.

– I gospodarza, i gości! – wołał pan Świrski.

– Do dna!

– Do dna!

- A opowiedz, jak Marynie służyłeś!
- Jakeś Kremla przeciw oblężeniu moskiewskiemu bronił!
- Dwa lata w osaczeniu, waćpanowie! – zachwycano się.
- Bohaterska załoga!
- Z głodu padali, a bram nieprzyjacielowi nie otworzyli!
- Opowiadaj, panie Tomaszu!

Tomasz opędział się przed nimi, jak mógł.

- Waszmościowie, po co o tym mówić? Wystrychnięto nas na dudków.
- Dobrowolnie żeś poszedł – przypomniał pan Bal.
- Pewnie, że dobrowolnie.

(A com miał tu czynić? – myślał. – Do czego się piąć? Chciałem do Wittenbergi na studia pojechać, a co ojciec rzekł? Niepotrzebne ci to, synu – rzekł – fortuny z książek nie wykujesz, choćbyś wszystkie rozумы połknął. Żeby u nas do czegoś dojść, trzeba się Firlejem rodzić, Myszkowskim. Wiśniowieckim, Potockim, Ossolińskim, Zamoyskim, a nie pana Błudnickiego szlachetki synem. Do wojska, synu, idź, szablą prędeż sobie urząd i królewszczyzny wyrąbiesz. Nie tak mówił? A tu Maryna Mniszchówna, wspominał, słodkimi oczętami na mnie spojrzała, przecież to rówieśnica moja, w Samborześmy się poznali, gdy z ojcem przyjechałem, już nie pamiętam w jakiej sprawie, i pomyślałem: dobrze, pojedę z nią, w szablím zręczny, to przypilnuję, żeby carstwa nie straciła, może mnie dygnitarzem uczyni, a zginę, to dla niej zginę – jak rycerz dla damy). Dużo nas takich duraków było – powiedział na głos – wszystko mlekososy, po siedemnaście – osiemnaście lat. Jędrék Zagwojski, ten nie więcej jak piętnaście liczył.

– No chwała Bogu, uszedłeś waćpan z życiem! – zawołał beztrosko pan Świrski.

– Tak, ja żyję...

Ale czy nie jestem cieniem? – pomyślał. Podjął znowu:

– Wszyscy radzili: jedźcie, jedźcie, jakby się zmówili, żeby nas tam wypchnąć. (A może i się zmówili – myślał – może za dużo w kraju kręciło się tej młodzieży bez zajęcia, gorącej, przy szabli. Trzeba było ich zabawić, od rokoshu odciągnąć. Pan wojewoda Mniszech królowi milion cały był dłużny dochodów ze starostw, skąd to brać, choć się powieś, aż tu nadarza się Dymitr, carem się mieni i obiecuje za pomoc cały ten dług spłacić. Innych popleczników łupami bogatymi nęcono. Byle z kraju wypychać). Tam – powiedział – w oblężeniu, w głodzie, dość mieliśmy czasu, by wszystko wstecz przemyśleć.

Pan podkomorzy Bał nachmurzył się.

– Więc powiadasz waćpan, że kruczek w tym warszawski był?

– Samego króla jegomości, panie podkomorzy. Byliśmy dla rządu niebezpieczni bo bitni, zapalni i bez przyszłości. Pomyślał sobie król Waza: niech wesprą Samozwańca, ja ręce umyвам... a potem zobaczymy. A kiedy początkowo udała się impreza, sam po koronę carską umyślił sięgnąć, chociaż każdy rozumiał, że nie pozwolą Moskwicini korony Monomacha innemu, jak prawosławnemu. Ot i cała polityka, ot i nasze dwuletnie oblężenie.

Zapadło milczenie. Chwila była ciężka, nieprzyjemna. Bo chociaż nieraz tym panom przychodziły do głowy podobne myśli, jednakże jako lojalni poddani odpędzali je od siebie. Teraz wypowiedział te wątpliwości głośno żołnierz spod Moskwy, którego chcieli czcić jako bohatera. Pierwszy odezwał się pan Krzysztof Głowa, zajadły wróg Rosińskich:

– No, może to i tak było, panie Tomaszu, ale jeśli tak, to tym większa chwała, żeście dzielnie stawali!

– Chwała! – zakrzyknął pan Dydyński-ojciec, mocno pijany.

– Zdrowie bohaterów! – wyskoczył z toastem pan Świrski. W jednej ręce trzymał szklanicę, a w drugiej, mniej sprawnej, udko gęsie.

– Zdrowie!

– Do dna!

Tomasz przytknął swoją szklanicę do ust, ale nagle jakby zreflektował się i odstawił ją. Tylko pan Wolski zauważył. Spytał półgłosem:

– Czemu się wzbranasz, panie Tomaszu?

– Ja nie mogę sobie nadto folgować. Nie na zdrowie mi idzie.

– Chodź na słóweczko.

Wyszli na dwór. Noc rozświetlona była czerwonożłotymi snopami ognisk, wokół których siedzieli służący, skracając sobie czuwanie śpiewem chóralnym.

– Słucham cię, panie Piotrze – odezwał się Tomasz.

– Nie znaleźliśmy się, panie Tomaszu – zaczął starosta jurydyczny. – Kiedyś ty z Maryną odjeżdżał, ja z podróży wieloletniej po Europie wracałem. Przyjechałem więc dziś, żeby cię poznać. Ale nie tylko. Bo także po to, żeby o śmierci ojca twojego porozmawiać.

– Sądzisz waść, że jest nad czym deliberować?

– Godziłoby się.

– Zamordowano go? – spytał Tomasz.

– Mam prawo tak podejrzewać. Ale jestem bezsilny, panie Tomaszu. Siostra twoja obwiedzenia głowy w grodzie nie uczyniła. Wiesz waszmość, że takie zaniedbanie prawo nasze surowo karze?

– Siostra twierdzi, że ojciec zmarł śmiercią naturalną.

– A waszmość jesteś pewny, że jejmościanka nic nie ukrywa?

– Nie, pewności nie mam.

– Kogo ona chce osłonić? – dopytywał się starosta jurydyczny.

– Nie wiem. I ode mnie odpowiedzi nie wymagaj. Ja przeciw siostrze mojej delatorem nie będę.

– I ja przeciw niej występować bym nie chciał. Posłuchaj jeno. Powiadają ludzie, że oblicze nieboszczyka było zmasakrowane.

– Boże mój...!

– Ale ten koń obok niego! Koń z pełnym rzędem, który znajdował się cały czas w pobliżu. Nie o zdobycz więc szło!

– Tak mi siostra mówiła: ani rzemyka nie brakowało.

– Więc ci powiem: ktoś musiał pilnować, żeby tego rzemyka nie zabrakło. Żeby w ciągu tych kilku dni, podczas których waszmościów ojciec na błotach leżał, nikt przypadkowy na nic się nie połasił. A był tam czaprak tureckiej roboty, nitką złotą obramiony. Morderca, jeśli taki był, niczego od nieboszczyka nie chciał, tylko duszy pozbawić i zemstę na obliczu wyrzucić.

– Panie starosto, a nie dopuszczasz myśli, że ów mściciel zmasakrował twarz już nieżyjącego?

– Jak powiadasz? Aha, mogło tak być, pewnie. Żal, że przybyłem po pogrzebie, już ja bym to zdołał stwierdzić. Chciałem dobyć ciało z grobu, ale siostra ekshumacji się sprzeciwiła, a nie mogłem tego uczynić bez jej zgody. Teraz za późno. Chociaż... – pan Wolski zawahał się. – Spróbowałbym. Co waść na to?

– Nie, siostrę to dotknie, ludzi wzburzy – sprzeciwił się Tomasz. – Dojdziemy do prawdy, panie Piotrze, jeśli jest jakaś inna prawda niż ta, którą dają nam do wierzenia. – Spytał: – Waćpan kogoś podejrzewasz?

– Nie, nikogo szczególnego. – Wolski uśmiechnął się. – Albo lepiej rzec: wszystkich. Wszystkich prócz ciebie. A to dlatego, że cię tu nie było.

– Co radzisz czynić?

– Patrzyć i myśleć.

– *Fecit cui prodest?* – spytał Tomasz.

– Nie zawsze, panie oficerze, nie zawsze. Jeśli morderstwo z urazy... A tu przecież na to wygląda. Rozmawiaj z ludźmi, tobie łatwiej, ty na miejscu, podpatruj, wypytuj. Zobacz, czy który miał jakie przyczyny, by ojca zgładzić. Z Wiktorią porozmawiaj, z Toroszewiczem. Z kosturowcami, bo przecież to oni ojca w błotach znaleźli. Z chłopcem porozmawiaj.

– Z jakim chłopcem? – zdziwił się Tomasz.

– Z bratem twoim.

– Ja nie mam brata!

– Owszem, teraz już masz. Macochy twojej nieboszczki syn.

– Gedeon – przypomniał sobie Tomasz. – Nie widziałem go tutaj.

– Ojciec twój go usynowił.

– Toż on więcej nie będzie miał nad piętnaście lat.

– Do zabijania już dość stary.

Prawda, pełno tu w okolicy piętnastoletnich zabijaków. Niejeden już szedł do wojska. Jak Zagwojski.

– Gdzie on przepada?

– Poluje albo konno przy świetle miesiąca pędzi. Dziki to chłopiec, krnąbrny, mrukliwy. Do książek nie zajrzy. U niego tylko koń, strzelba, łuk, a najbardziej oszczepem lubi rzucać. Po całych dniach rękę ćwiczy.

– I waćpan go podejrzewasz?

– Ja wszystkich podejrzewam.

Kiedy wrócili na pokoje, zastali gości rozgrzanych dysputami. Pan poseł Swoszowski na sejm narzekał, który jego projekt skróconego postępowania karnego najpierw uchwalił, a zaraz potem odrzucił. Panowie Bal i Głowa mu potakiwali, podczas gdy stolnik Dydyński, grając w kości z podstarościm Pieniążkiem, nie ustawał w wykrzykiwaniu, że gdyby pan hetman żył, do niczego podobnego dojść by nie mogło.

– Bez niego jak bez ojca my. I sąsiedzi ręki na nas podnieść by się nie ośmielili. Nie inaczej, tylko otruto hetmana. – Hetman żyw i zdrów – obruszył się na to pan Głowa, gotów bóść łysą i guzowatą czaszką. – Kiedy mówię „hetman” – zawarczał Dydyński-ojciec – to nieodżałowanego pana kanclerza Zamoyskiego mam na myśli, nie tych dzisiejszych. – Żółkiewski wielki *dux* – zaoponował podkomorzy Bal.

– Wielki, ale takiego jak pan Zamoyski nie było i nie będzie! – huknął stolnik.

– Zamojszczykiem zawsze byłem i zamojszczykiem umrę. Osierocił nas! – krzyknął. Zgodzili się chętnie wszyscy prócz podstarościego Pieniążka, który przez swoją stryjeczną ze Stadnickimi z Łańcuta był spokrewniony, ci zaś rodzili się ze Zborowskiej, siostry owego Samuela, którego z rozkazu kanclerza Zamoyskiego ścięto. Ale nie śmiał głośno zamojszczykom się przeciwstawiać, w milczeniu kości rzucił. Przegrał, co pewnie w duchu położył na karb zdenerwowania. – Waszmości kolej, panie stolniku – upomniał Dydyńskiego, zachowując na zewnątrz obojętność, jakby wcale dysputy nie słyszał.

Tak się na wspominki puścili panowie, że całkiem o jadle i trunkach zapomnieli, z wyjątkiem pana Świrskiego, który wprawdzie krzyczał najgłośniej, ale dobrze kufla pilnował, a z półmisków, pełnych baraniny i ptactwa, umiał wyłowić najlepsze kąski.

Tomasz zbliżył się do niego.

– Nie przeszkodzę? – spytał.

– Cherubinów kapitanie, ty? – wykrzyknął Świrski. – Zaszczyt to dla mnie, że się do mnie zwracasz.

– Rad ci jestem, panie Świrski, ale byłbym ci bardzo zobowiązany, gdybyś zechciał coś powiedzieć o sobie.

– Ale napijesz się wprzódki ze mną? – spytał pociągając Tomasza do sieni, gdzie więcej stołów było.

– Wybacz waćpan, mnie nie wolno – usprawiedliwiał się Tomasz.

Na dobroduszej twarzy pana Świrskiego zgasł uśmiech.

– Nic despekt wypadkiem chcesz mi uczynić? – spytał chmurnie.

– W żadnym razie. Nie wolno mi, i już. Pij śmiało.

Wypiwszy i obtarłszy wąsy Świrski uśmiechnął się do Tomasza:

– No, teraz ci nie zełgam, choćbym chciał. Więc tak, panie Tomaszu, pewnie chcesz wiedzieć, co w twoim domostwie robię. To ci odpowiem wprost: krzywdy swojej dochodzę.

– Któż cię skrzywdził?

– Morderca świętej pamięci ojca twojego – odpowiedział Świrski, spoglądając kątem oka, jakie wrażenie na Tomaszu uczynił. Udało ci się, pomyślał Tomasz. Świrski z zadowolenia aż się po brzuchu pogładził: – Niemała rzecz, prawda? Jednych mamy z tobą wrogów, panie Tomaszu, i tak myślę, że jak będziemy działać wspólnie, to nikt nam nie da rady.

– Ja waści nie rozumiem. Co waść masz do mordercy ojca mojego?

– To, żeśmy z tobą krewniacy.

– My?

– Tak, panie Tomaszu. Chociaż dalecy. Prawda, prawda, nie masz się co turbować, aleć zawsze krewniacy.

– Nigdy o tobie nie słyszałem.

– A któż by ubogich krewnych przed sobą wspominał? Ojciec nieboszczyk był dumny pan i nie nadto miękkiego serca. Co mu tam krewniak, co gdzieś w Sandomierskiem na małym płachetku ziemi gospodarzy? Anim splendoru nie dodawał, ani nawet szablą przysłużyć się nie mogłem bo, popatrz waszmość, lewa ręka niesprawna po złamaniu. Biedowałem, panie Tomaszu, od małego biedowałem – powiedział Świrski

i głos mu się załamał. – Tylko się nazywa, żem szlachcic, ale zdarzy się i kmieć niejeden tłuściej ode mnie jada. Do tego doszło, żem się jako asystencja szlachecka do woźnych godził po groszu od mili. Ilem tych mil wydeptał, obuwiam zdarł, kurzu nałykał. Tak, panie Tomaszu! A ja przecież pożycz lubię, i to wesoło, zjeść do woli i smaczno, popić, z dziewczkami baraszkować, piosenek posłuchać. Piękny jest Boży świat, ale biedować na nim niepięknie i niepobożnie. Żona mi niedawno szczęśliwie zmarła, niech jej ziemia lekką będzie, tytkom z nią cierpiał, do rozkoszy była jak wół do kolasy, nic dla pieszczot zrozumienia nie żywiła, nie białogłowa, ale pień brzozowy, drewno, panie Tomaszu. Teraz bym mógł się za jakąś młódką hożą rozejrzeć, ale chudopacholstwo moje na przeszkodzie stoi. Tom jak usłyszał o śmierci czcigodnego krewniaka, ojca twojego, świeć Panie nad jego duszą, tom sobie od razu pomyślał: nie, nie może inaczej być, jeno morderca mi łyzy obetrze! Już on mi tę śmierć zapłaci, i dobrze zapłaci!

– Skądże ten afekt dla ojca mojego?

– Po śmierci wybuchnął – wyznał Świrski przykładając dłoń ze szklanicą do serca. – Żal mnie taki ogarnął, że wypowiedzieć się nie da. Treny bym pisał, gdyby mnie muzy w czoło były ucałowały. Sierotą-m się poczuł, jak syn rodzony.

– Udowodnisz waćpan sądowi, że cię krzywda spotkała?

– Choćbym się w fontannę łez miał zamieniać! A ty mi w przeprowadzeniu dowodu dopomożesz, panie Tomaszu. Sojusznikami jesteśmy *volens-nolens*.

– Najpierw musimy mieć przekonanie, że ojciec został zamordowany. A ja tej pewności bynajmniej nie mam.

– Ja mam, wasza miłość. Inaczej czyżbym tu pośpieszył? Żal jeno, że tak późno wiadomość do mnie dotarła. Już morderca ślady zdołał zatrzeć. Ale ja go wysledzę! Ślady odkopię. Obiecuję ci to, panie Tomaszu! Wysledzę i

sprawiedliwości oddam. – Zniżył głos: – Pozwól mi przy dworze zostać, wasza miłość. Okoliczności poznać, ludziom się przypatrzeć.

– Zostań, krewniaku. I jak co niezwykłego spostrzeżesz, szepnij słówko.

Do sieni wszedł chłopak barczysty, niski, o nogach pałakowatych i grubych, istny bachmat. Włosy nosił długie, proste, koloru słomy nad twarzą spłaszczoną i czerwoną. W ręku trzymał strzelbę, przez ramię miał przewieszony łuk, a u boku kołczan ze strzałami. Buty wysokie, z żółtymi cholewami, pokryte były błotem. Stanąwszy w drzwiach świetlicy, ogarnął ponurym spojrzeniem obecnych i wydał ustami dźwięk, jakby splotał przez zęby.

– Gedeon! – zawołała Elżbieta. – Pokłoń się panom.

– Kłaniam – mruknął. – Witam – dorzucił. Cofnął się dwa kroki i obrócił do ustawionego w sieni stołu. – Mogę? – spytał ujmując udko gęsie.

– Umyłbyś się pierwej – powiedziała z wyrzutem pani Wiktoria.

– Dosyć już dzisiaj namokłem – odburczał. – Strach, jakem się wygłodził. Nałożył na talerz więcej mięsa, sypnął z wazy kilkoma łyżkami kaszy jaglanej.

– Pójdę jeść do alkierza, nie będę waćpaństwa gorszył – powiedział urażonym głosem, ale waćpanowie nie zwracali nań uwagi, na wypródki cnoty i przywary Zamoyskiego i Żółkiewskiego rozpatrując. Dydyński-ojciec już sporą fortunę do pana podstarościego stracił przygadując: „Idź, pieniądz, do Pieniązka”.

– Gedeonku, brat twój wrócił – zwróciła się szeptem do chłopca pani Wiktoria. – Idźże do niego, kolana mu uściśnij.

Gedeon, z pełną misą jadła, zbiliżył się do Tomasza i skłoniwszy głowę powiedział:

– Kłaniam waćpanu. – Pochwyciwszy zachęcający wzrok ciotki dodał: – Nogi waszmościne obejmuję.

– Z misą się nie rozstając? – spytał Tomasz z uśmiechem.

– Zgłodniałem – usprawiedliwił się wyrostek. I nagle pochwalił się: – Co tu na stole dziczyzny, wszystko z mojej ręki padła.

– Słyszałem, bracie, żeś łowiec znakomity – przypochlebiał się Tomasz.

– Bratem waćpana nie jestem. (Tomaszowi przypomnieli się nowochrzczeńcy: ci wszystkim narzucali się z braterstwem. Ten odwrotnie, wypiera się. Ale dlaczego?). Nie mamy kropli krwi wspólnej.

– Wiem i nie przestanę boleć nad tym – powiedział Tomasz. – Alem słyszał, że ojciec cię usynowił.

– Co z tego? – Gedeon przełknął kawałek mięsa i zagroził: – Dojdę do pełnoletności, to do nazwiska rodzicielskiego wrócę. I do wiary swojej greckiej wrócę. Waćpan mi chyba nie przeszkodzisz?

– Zrobisz, co zechcesz – powiedział Tomasz.

– Pójdę sobie stąd wtedy, nie sprawię ci kłopotu.

– Zrobisz, co zechcesz – powtórzył Tomasz i odwrócił się plecami do chłopca. Elżbieta załamała dłonie.

– Gedeon! Tomasz! Na litość boską! Gedeon, przeproś brata!

– Dobranoc – powiedział wyniośle Gedeon i odszedł unosząc misę.

– Tomaszku, nic gniewaj się – błagała Elżbieta. – On lepszy, niż myślisz. Bez ojca, bez matki...

– Wiem – powiedział.

Stał w drzwiach przyglądając się panom w świetlicy. Zapomnieli o nim, na szczęście, wspominając wiek złoty kanclerski. Ludzki był kanclerz hetman, hojny. A uczony jaki. Padewczyk. A dzielny. W przebraniu prostego żołnierza pod mury Jass się zakradł, żeby stwierdzić naocznie, jakie mają słabe miejsca. A potem – jak do szturm ruszyli! Jedyne to był

raz, kiedy multańskie ziemie widziały powodzenie oręża polskiego. Zawsze tam była klęska i mogiła. A w Inflanciech? Szósty krzyżyk hetmanowi mijał, gdy Karola Sudermańskiego na rękę wyzwał: po co, powiada Zamoyski, wojsko ma ginąć, stań mi, książę, na placu, który zwycięży, tego sprawa zwycięży. Taki był. A co ów Szwed Karol? Stchórzył, listem obelżywym się wykręcił: jakże ty, pisarczyku (to o naszym kanclerzu) śmiesz mnie, królewicza, na rękę wyzywać, już chyba wstydu nie masz, i któż ci szlachetce dał prawo do noszenia broni, panie skrybo, takie bezceństwa jego wysokości pisał.

– A wszystko ze strachu!

– Ze strachu, nie inaczej!

– Musiał pan hetman wściec się po tym szwedzkim liście, bo ród swój był wysoko wyniósł, z królami przez żonę był spowinowacony.

– Ze strachu przed hetmanem. – Oho! Raz coś niestosownego przy nim z głupoty rzekłem, zielono miałem w głowie, a ten jak brwi zmarszczył, to aż mnie ciarki... Proszę więc: Wasza dostojność, ukarż mnie stosownie. A on jak mnie w pysk nie wyrżnie. – Prawdę każesz? – Szczerą prawdę! W pysk – aż mi w oczach pociemniało. Zapamiętaj, powiada, że ci hetman w gębę dał. I ja, waćpanowie, zapamiętałem i za zaszczyt sobie poczytuję, że on sam raczył edukacją moją się zająć. Jak ojciec drugi! I to jeszcze wam powiem, waćpanowie, że żyłby pan Zamoyski, toby pewnie nie doszło do onej nieszczęsnej na wschód wyprawy, a w każdym razie... – Tomasz nie dosłuchał, wyszedł na dwór.

Ognie dogasały. Nie było widać wokół nich ludzi, pokładli się spać w namiotach i szałasach. Nisko płynący księżyc schował się za chmurę i ciemno się zrobiło. Słysząc było oddechy końskie i beczka jakaś, niewidzialną ręką pchnięta, toczyła się pusta, podskakując na korzeniach. Czemu ten chłopiec mnie nienawidzi? – pomyślał z żalem. Kiedy Tomasz z

Maryną Mniszchówną odszedł, Gedeon miał siedem lat, prawie się nie znali, zatargów między nimi nigdy nie było. Skąd ta nienawiść? Co złego mu uczyniłem? Elżbieta jak bratem rodzonym się nim zajmuje, a przecież i jej obcy.

– Sześć beczek już wypito – usłyszał głos obok siebie i zaraz poczuł ciepły blask na twarzy. Toroszewicz stał obok z pochodnią w ręku. – Dla sług jedna z palanką, dwie z brahą – wyliczał.

– Toteż na umór ich pokładło. Bardzo nas to nadwerężyło, panie Toroszewicz?

– Z zapasów wszystko, wasza wielmożność.

– Dawno waść u nas jesteś?

– Więcej roku.

– Macochę moją znałeś?

– Nie, wasza wielmożność. Po jej śmierci mnie nieboszczyk wziął, żebym mu w gospodarstwie pomógł.

– I jak zastałeś ono gospodarstwo? Powiadają, że rządna była pani.

Toroszewicz zawahał się.

– Słyszałem i ja – powiedział wreszcie.

– Ale się nie sprawdziło?

– Puste skrzynie, wasza wielmożność. Pozory świetności. – Nagle przeskoczył na inny temat. – Przepraszam waszą wielmożność, pójde zobaczyć, czy konie panów pod dobrą opieką.

Znowu majdan w ciemności tonął. Będziesz miał pałac, pałac, pałac. Pójde tam, stanę u progu. Pawiment będzie, synu, dębowy, we wzory sztucznie układany. Pająki mosiężne, jadalnia ze szklanym sufitem. A w skrzyniach pusto. Czy to możliwe? Ojciec, pan zapobiegliwy, „jak Niemiec pracowity, jak Żyd rachować umiał” – nie tak twierdził pan Jacek? Gałęzie trzeszczały w ciemnościach, gdzieś w oddali toczyła się z głuchym

łoskotem pusta beczka. Nie wszyscy śludzy śpią. Słyszać kroki. Omal nie wpadł na mur, który wyrósł nagle przed nim ciemną ścianą. Stoją puste mury, zimne i milczące, tylko w gałęziach słyszać naszeptywanie: Będziesz miał pałac, synu, pałac, pałac...

Nagle uskoczył. Obok zważyło się na ziemię ciało. Usłyszał przekleństwo, ktoś chwycił go za ramię, ktoś zdzielił go pięścią w twarz, „wiąż”, usłyszał obrócił się gwałtownie i poczuł, że napastnik przeleciał przez niego, rąbnął z hukiem o ziemię, znowu ciemności zakłęty, „z tyłu go”, komenderował ktoś chrapliwie, Tomasz padł na ziemię i w tej chwili usłyszał szcęk szabel. Biją się! Jest odsiecz! Skoczył na równe nogi, oparł się plecami o drzewo. Że też wyszedłem bez broni – pomyślał z wściekłością. Usłyszał tupot uciekających nóg i zaraz potem wesoły głos Zagwojskiego:

– Uciekli, psiawiary. Poganie! – krzyknął. – Tchórze! Znajdę was i katu oddam!

– Jędreku, a ty co tu robisz?

– Poszedłem za waszmością – powiedział Zagwojski, wsuwając szablę do pochwy.

– Przecież słyszałem, co pan Jacek mówił, że tak mu się widzi, iż na życie twoje będą nastawać. Myślę sobie: ciemno, będę nad jegomością czuwał.

– W samą porę, bo ja bez broni byłem.

– Nic się waszej miłości nie stało?

– Nic, jeśli nie rachować, że mnie jeden pięścią zdzielił. Znowu mi w uszach trochę dzwoni...

Księżyc tymczasem wynurzył się spoza chmur i położył się poświata na murach pałacu, tak iż wyglądały jak ze szlifowanego marmuru. Zagwojski skorzystał z okazji, żeby się rozejrzeć.

– Szukam – powiedział – czy jakiej magierki nie znajdę. Zdaje się, że brzeszczotem w czyjś łeb walnął. – Po chwili dodał: – Ale musiał być w misiurce, bo mi żelazo w rękę zadzwoniło. Jest! – zawołał.

– Misiurka?

– Nie, strzała. Popatrz waszmość.

Tomasz obejrzał strzałę. Turecka.

– To już druga – przypomniał Zagwojski chowając strzałę za pas.

Wrócili do dworu. Tomasz odnalazł Elżbietę.

– Był tu dzisiaj Kaźko Rosiński? – spytał.

– Przecież ci mówiłam. Chciał zostać i w powitaniu brać udział.

– Jaki miał w, tym cel?

– Pewnie żeby ci do nóg paść i o rękę moją prosić. Ale ja mu kazałam iść precz.

– Tylko że on, Halżuniu, precz nie poszedł, jeno gdzieś krążył w niedalekości. Przed chwilą na mnie w ciemnościach napadł. Trzech ich napastników było.

– Poznałeś go? – spytała siostra.

– Ślad zostawił. – Wziął od Zagwojskiego strzałę. – Taka sama. Znowu do mnie z łuku szyli i znowu chybili. Ciemno było, inaczej pewnie by swoje osiągnął. Halżka – spytał – a może ty go chcesz?

– To pozwoliłbyś mi za niego wyjść? Za rozbójnika?

– Twoja wola – rzekł Tomasz. – Jakbyś widziała szczęście w rozbójniczych ramionach, to co? Twoja wola – powtórzył.

– Tomku, jakże tak? A klejnot nasz rodowy, nie żal ci go?

– Co on wart, ten klejnot? – szepnęła. – To niewielki, nikły klejnocik bez blasku, siostrzyczko. Tyle wart, co my z tobą warci, nie więcej.

– Ja Kaźka nie chcę – powiedziała siostra. – Nie chcę – powtórzyła.

Pani Wiktoria pociągnęła go za sobą na ławę wyściełaną, co przed kominkiem stała.

– Siadaj, gospodarzu, będziemy w ogień spoglądać – powiedziała.

– Zgoda, pani.

– Udałeś mi się, gospodarzu, ojca swojego przypominasz.

„Jak Niemiec umiał pracować, jak Żyd rachować”. Nie, to nie ja.

– Mów, waćpani – rzekł – lubię twojego głosu słuchać.

Wsunęła miękką dłoń w wykrój jego kaftana, dotknęła koszuli na piersi.

– Udałeś mi się. Nie kurcz się tak w sobie, nikt nas nie widzi. A mnie waćpan nie dotkniesz?

Dotknął.

– No jak?

– Wenus.

Zaśmiała się.

– Małomównyś jak Szwed. Wiesz, kogo mi przypominasz?

– Ojca?

– Z urody. Ale z małomówności Szweda. Wiesz, kto jest królem w Warszawie?

– Wiem, Szwed. I waćpani go znałaś?

– Znałam. – Zaśmiała się. – Wiem ja o takich brodawkach na ciele króla jegomości, o jakich i szpiegowie cudzoziemscy pojęcia nie mają. Teraz już się domyślasz?

– Waćpani tego zanadto naokoło nie powiadasz?

– Ale ty milcz. Gdybyś jednak chorągwi kwarcianej potrzebował...

– Na co mi chorągiew kwarciana?

– Czy ja wiem. Jak to między wami mężczyznami – raz-dwa i do szabel. No, gdybyś potrzebował, szepnij słówko. Nie wykorzystuję ja nigdy swoich

znajomości, ale dla ciebie, kochaneczku, dla ciebie to liścik komu trzeba napiszę. Chorągiew będziesz tu miał, a to i dwie.

- Bóg zapłać.
- Najedziesz wtedy, kogo zechcesz, z nawiązką krzywdę zwrócisz.
- Tylko kogo?
- Namyśl się, a potem do mnie. Dotknij raz jeszcze.
- Lepiej nie, bo zgorzeję wnet.
- Napij się ze mną, będziesz śmielszy.
- Mnie gorzałka szkodzi.
- Z mojej karafki leczy. Zdrowie twoje, syneńku.
- Waćpani zdrowie.

Wypiję, pomyślał. I jeszcze raz wypiję. Zobaczymy, co nastąpi. Nalej no waćpani jeszcze. Dobrze. Lubię twojego głosu słuchać. Może się po chorągiew kwarcianą zgłoszę. Dziwaczka... Daj dotknąć. Wenus. Nie, Junona. Agafię mi przypomina. A Agafia Jewkę, o której pan Ligęza opowiadał. A Jewka Rachelę, dla której praojciec Jakub głowę stracił. A Rachela Ewę, co się wężowi dała skusić. Chwała dziewczce, co mi rozum zaćmi. Bodajby się taka co rychlej znalazła...

- A Marynie wciąż jeszcze wiary dochowujesz? – spytała pani Wiktorcia.
- Czy możesz już o niej zapomniał?
- Nigdy jej wiary nie obiecywał.
- Wychudłeś, nieboraku – szepnęła rozpinając mu guzy kaftana. Wsunęła dłoń pod koszulę, obmacując pierś włochatą. – Oj, schudłeś. Ale i taki w głowie mi mącisz... A rzeknij: zręczna była Maryna w miłości czy wiecznie swoim królowaniem miała myśli zajęte?
- Daj waćpani się napić.

Zobaczymy, co z tego picia wyniknie, myślał. A właściwie dlaczego tamto nie miałyby nastąpić? Niech się to już raz stanie. Tutaj byłoby

najlepiej, najgodniej, na ziemi rodzinnej, pod krzyżem jednym z matką i ojcem. Wypił duszkiem słodkiej i mocnej nalewki – jakaś przemyślna mieszanka, anyżek czuję, liść miętowy, miód lipowy, palanka żytnia – posmakował i poprosił:

– Daj waćpani jeszcze.

Uśmiechnęła się do niego samymi wargami.

– Lubię, jak mnie tak prosisz, waćpan – powiedziała śpiewnie. Nalała mu. – „Daj waćpani jeszcze”. Słodko to brzmi. Dam, nie będę żałować. – Po chwili: – Tedyś dumny, że cię Maryna do swojej carskiej osoby przypuściła?

– Już ja lepiej zmilczę.

– Dobre każesz. Nie ma się czym chwalić, bo nie tobie jednemu się ta sztuka udała. Z nazwisk samych i imion, majątności nie licząc, mogłaby broszurę ułożyć. Ja ilem się natrudziła, a przecież onemu dziewczęciu nigdy nie sprostała. Zepsucie dziś większe niż za mojej młodości.

– Kiedy go nie było? – spytał Tomasz. W głowie mu się kręciło.

– I ce dobre każesz! Mało mówisz, a w sedno. Nie wyrzucisz mnie, panie Błudnicki, z domu swojego?

– Coż bym bez pani starej począł?

– Nie wyrzucaj, myleńki.

– Mieszkaj z nami i rządź.

– Dzięki. Dobry ty i miły. Ty miałeś z carową romans, a ja ze Szwedem. Winniśmy się nawzajem eksperiencją obmienić. Pioruny siarczyste! – zaklęła. – To dopiero będzie! Ściany się zarumienią.

– Niezdolnym do ekscesów, ciotucho. Z drogi dalekiej wracam.

– Tym bardziej złakniony. Ileż to lat, jak swoją carową opuściłeś?

– Były później inne, waszmość pani.

– Ejże? A jam cię żałowała, żeś rdzewiał bezpożytecznie. Pewna, nie pozwolą baby, żeby się dobro marnowało. Napij się, kochaneńki.

– Nie będę mógł spać. Kiedy się napiję, myśli mam okrutne. Ale pozwól waćpani...

Ręce mu dygotały, kiedy pucharek do ust podnosił. Jak panu Ligezie, pomyślał.

– Panie infamisie, w twoje ręce.

Wychylił puchar, głowa mu się zachwiała, pani Wiktoria odpłynęła za błonę szklaną, na której para osiadła. Wokoło przesuwały się powoli sprzęty świetlicy. Ojciec poruszył dłonią na rękojeści szabli.

– Nie będę mógł spać – wybełkotał Tomasz.

Pani Wiktoria stała nad nim uśmiechając się spoza okularów.

– Mam ja taki kordiał, co ci sen przyniesie.

– Lubię słuchać twojego głosu.

– Nie zawieraj drzwi od gmaszku, przyniosę ci kordiału.

– Daj usta spróbować.

– Dobrze, dobrze, idź już, ludzie patrzą. Hej, dokąd ty? – zawołała widząc, że Tomasz nie wspina się do gmaszku, lecz kołysząc się między stołami w głąb sieni odchodzi.

– Do kuchni – odmruknął Tomasz.

– Aha, już ja cię przypilnuję – powiedziała patrząc za nim. – Panie Zagwojski, waść mi tu na ławie legaj, opończę cię przykryję. Waćpanom w świetlicy pościelono. Waszmość, panie Swoszowski, proszony jesteś do gościnnej komnaty.

Szybko i trochę niecierpliwie wydawała rozporządzenia. Tomasz dowlókł się do kuchni. Gorąco, myślał przebijając się przez parę. Dzwoni w uszach. Gorąco. Muchy bzyczą, trzeba światła pogasić, to się uspokoją. Kuchcik pod ścianą drzemiący otworzył oczy, poderwał się ze stołka.

– Jaśnie panie... – wybąkał.

– Śpij... nie, wstań.

– Jaśnie pan czegoś szuka?

– Czegoś. Ale czego? Czeka, przypomnę sobie... Noża!

– Chleb krajać? – pytał skwapliwie kuchcik. Otarł wierzchem dłoni pot z czoła.

– Ten? Ten?

Tomasz wziął do ręki długi, spiczasty nóż.

– Ten.

– To do mięsiwa – powiedział kuchcik.

– Do mięsiwa – potwierdził Tomasz.

Zatknał nóż za pas. Teraz wyglądam jak rzeźnik. Zwrócił się do chłopca:

– Ile masz lat?

– Czternaście na święty Jan będzie.

– Odprowadź mnie do gmaszku. – Chłopiec ujął go pod ramię. – Upiłem się, Jasiu, upiłem, a mówiła Agafia: nie pij, тебе нельзя. Nie wolno, nie wolno – powtarzał pnąc się z chłopcem po schodach. – To tu? – spytał, kiedy chłopiec otworzył drzwi do malutkiej i ciemnej izdebki.

– Tutaj, jaśnie panie.

– Idź teraz.

– Może jasnemu panu buty zdjąć? Pomogę – zaofiarował się chłopiec.

– Idź, Jasiu.

– Może światła przynieść?

– Nie trzeba. Idź.

Wypchnął chłopca za drzwi i zawarł je za nim. Zamknąć się trzeba, myślał szukając rygla. Nie znalazł go. Gospodarza tu brak. Dom w ruinie. Siostra może wyjść za Każka. Wszystko jedno. Co mi tam po nich. Śpieszyć się trzeba, bo zaraz Wiktorię przyniesie.

Odwinął lewy rękaw koszuli. Ścisnął dłoń na rękojeści noża. Westchnął i pomyślał: teraz. Zapiekło ostro, ale tylko przez chwilę. Wcale nie jestem pijany, myślał przypatrując się przegubowi, z którego wyciekała ciepła krew. Wcale nie jestem pijany. Wiem, co czynię. Wiem, myślał z zadowoleniem. Było coraz lżej.

Kiedy wszystkie światła pogaszono, pani Wiktoria narzuciła na cienką, prawie przezroczystą koszulę półszubek i szybko wspięła się do izdebki Tomasza. Nacisnęła klamkę, drzwi skrzypnęły, ale nikt się nie odezwał.

– Waćpanie – odezwała się półgłosem. – Kordiał przyniosłam. Hej obudź się, z nasięzrału napar.

Tomasz leżał nieporuszony na podłodze. Ukłękła przy nim, żeby go wytargać za uszy.

– Hej, obudź się – przemówiła szarpiąc go za ramię. – Pijanyś taki czy prawda, żeś z drogi *fatigatus*? To ci miłośnik – drwiła. I nagle krzyknęła: – Jezus Maryja! Na pomoc! A to co? – Dłonie miała we krwi. Zerwała się. – Jezusie Maryjo! Na pomoc! Na pomoc! Jasny pan życie sobie odebrał! Panie Zagwojski! Halżka! A chodźcie tu!

Rumor się zrobił na schodach. Wbiegła Halżka, wpadł Toroszewicz z łuczywami, za nim poblady Zagwojski. Pani Wiktoria, na nikogo nie zważając, koszulę na sobie podarła i tymi bindami przewięzała Tomaszowi dłoń w przegubie.

– Pomóżcie przenieść go na łożo. Razem...! Żyje, na szczęście, i pewno żyć będzie – mówiła. – Skarzył się, że spać nie może, myśli ma dręczące, tom obiecała mu kordiału nasennego przynieść. A tu, popatrz, nożem kuchennym żyły sobie przeciął. Halżka, dosyć mazania się, leć do apteczki, wódek leczniczych przynieś, trzeba mu ranę przemyć. Panie Toroszewicz, po Żyda cyrulika świtanem dwukólkę pošlij, niech go przywiozą, klamry

może trzeba założyć. A ty, panie Zagwojski, idź spać, bądź spokojny, już mu się nic nie stanie.

Zagwojski nie ruszył się z miejsca. Spytał:

– Czego on tak? Przecież już w domu i nagle... Waćpani nie wiesz?

– Nie wiem, kochaneńki. Zapytaj go, może ci odpowie. Hej, Tomaszku, włodarzu nasz, słyszysz mnie?

Tomasz otworzył oczy.

– Słyszysz, słyszysz – ucieszyła się ochmistrzyni. – A ślepiec to ma śliczne jak u psa. Panie Tomaszku, a czemuś na swoje życie się targnął? Odpowiedz nam. Czy ci źle na świecie? Czy nierad jesteś, że wróciłeś?

Tomasz spoglądał na nią znieruchomiałymi źrenicami.

– Słyszysz mnie? – nalegała. – Żyły sobie otworzyłeś. Czemuś to uczynił? Jaki miałeś powód?

– Nie pamiętam.

ROZDZIAŁ VI

Spał potem długo, a kiedy się obudził, zobaczył w smudze światła, wdzierającego się przez wąskie okno, Żyda w jarmułce na głowie i z brodą siwą.

– Reuben – szepnął.

– Jasny pan mnie poznaje – ucieszył się cyrulik.

– Posiwiałeś, Reubenie.

– Jasny pan suponował, że bez niego czas tutaj stanął? No, daj jasny pan tę rękę, obejrzę ją. Czego to panicz na swoje życie sięgnął?

– Nie pamiętam – powiedział Tomasz. Napiął myśl, usiłując sobie przypomnieć.

– Jakby ktoś mi kazał. Reubenie – wyznał – wiesz, że to już po raz trzeci?

– I zawsze po gorzałce? – spytał cyrulik.

– Pierwszy raz było bez.

W Moskwie, wspomniał. Odszedłem od kotła w ostatniej chwili. Jużem prawie rękę wyciągnął. Nie miałem wtedy myśli, rozumu, pamięci, tylko żołądek, kiszki, podniebienie, nozdrza zaatakowane zapachami, ślinę w ustach, pożądlivość bestii. I nagle wróciło człowieczeństwo: zobaczyłem dwór, ojca, który mnie huśtał, grób matki, sługi kłaniające się, „nie, pomyślałem, nie, nie”, odwróciłem się od kotła i poszedłem w tamtą stronę, na mury, na wał, zstąpiłem z niego, nasi krzyczeli za mną, żebym wracał, a ja szedłem, szedłem na spotkanie śmierci. Moskale ku mnie kroczyli, w szłomach szpiczastych na głowie, zbliżali się powoli, widziałem ich miecze nagie, dzwoniące, „bracia, myślałem, bracia, prędzej”, potem zobaczyłem oblicza brodate, miecze wzniesione, „nareszcie”, pomyślałem – i straciłem przytomność. Obudziłem się w jakiejś szopie, z łańcuchami na nogach.

Rzucono mi łomek chleba. Zeżarłem go łapczywie, strażnik się zaśmiał, powiedział: – ostrożnie, bratku, nie tak od razu, bo nogi wyciągniesz.

– Reuben – odezwał się Tomasz – a próbowałeś ty kiedy sobie życie odebrać?

– Ja nie próbowałem – odpowiedział Żyd. – Mnie próbowano.

Pani Wiktoria, obecna przy tej rozmowie, zaśmiała się. Tomasz przypomniał:

– Mnie też. I to nie raz.

– Czy ja nie wiem? – odparł Reuben. – Jasnego pana to już taka profesja. Wasza wielmożność masz szablę, oni chcą ciebie zabić, ale i ty też zabijasz.

– Do czego pijesz? – spytał Tomasz namarszczony.

– Do niczego. Waszmość suponujesz, że jak się jest Żydem, to już przez to samo się ma dość przyczyny, żeby z ochotą odejść ze świata. Wcale nie jest powiedziane...

– Więc nie znasz tej chęci, Reubenie?

Cyrulik kończył opatrywanie rany. Spiąwszy bandażę powiedział:

– Wasza wielmożność, ja dużo różnych uczuć znam, i to też. Mnie teraz co innego trapi: ja tak myślę, jaki wasza wielmożność miałeś powód, żeby sobie tę rzecz uczynić.

– Nic wiem.

– Ale jakiś powód musiał być. Przecież waszej wielmożności nie wolno sobie życia skracać, boś katolik. Potępienie jasnemu panu grozi, a komu się śpieszy do wiecznego potępienia?

– A jeśli ja w to nie wierzę?

– To tym gorzej. Bo to znaczy, że jasnego pana już niewiele trzyma na ziemi. Ja nie jestem katolik i niech Bóg broni, żebym był, wasza wielmożność wybaczone – ale czy ja mogę sobie pozwolić na to, żeby swoje życie skrócić? Ja mam dzieci, ja mam wnuków, mój syn to wielki mędrzec,

on zna całe *alefbeti* wszystkie komentarze i może innych uczyć, ale czy mnie wolno zawierzyć jemu ranę jego wielmożności? To ja muszę trwać, bo ja mam tutaj swoje powinności.

– Jąkeś to powiedział?

– Powinności – powtórzył Reuben. – One może nas najbardziej trzymają. Gdyby nie zobowiązania, zobaczylibyśmy ładne rzeczy!

– Reubenie – zagadnął cyrulika Tomasz. – Powiedz mi: jaki to człowiek był mój ojciec?

Cyrulik spojrział na panią Wiktorię, która siedząc w starym, pozbawionym części oparcia krześle uśmiechnęła się przyzwalająco.

– Mów, Reubenku – zachęciła – mów bez obawy.

– Jak waćpani uważasz – zgodził się cyrulik, choć bez przekonania. – Wasza wielmożność, można powiedzieć krótko, ze nieboszczyk jegomość był taki, jaki powinien być. Inny być nie mógł... To już ja chyba pójdę – Chował do torby bindę, nożyce i flaszeczki. – Jasnemu panu spokój potrzebny i acani tego musisz dopilnować, żeby go nadto nie niepokojono. Jak za dwa dni do sił wróci, to będzie mógł powoli wstawać. Kłaniam jasnemu panu – powiedział i wyszedł.

Zostali z panią Wiktorią we dwoje. Ona, nie patrząc na niego, mieszała płyny we flaszkach. Tomasz spytał:

– Panowie rozjechali się?

– Cóż im innego było czynić?

– Z urazą w sercu? – domyślił się.

– Myśmy z Halżką im całej prawdy nie rzekły. Jeno żeś się rozchorował. Pewnie, że niepięknie uczyniłeś. Cieszyć się wypada, że i oni głowy zaprószywszy nie wszystko pamiętali. Masz, wypij to. – Podała mu pucharek. – Będziesz po tym mocno spał, z rana prędzej się zablizni. –

Przytknęła mu pucharek do ust. – Wywar z mięty w tym jest i inne dekokty, nie pytaj jakie, bo i tak tajemnicy ci nie wydam.

– Palankę czuję – powiedział Tomasz i zachłyszawszy się zakaszłał. – Piecze – poskarżył się.

– Dobrze ci tak, na wtóry raz ani myślę cię salwować. Zhańbiłeś mnie. Honor mój dziewiczy na pośmiewisko wystawił. Koszula z jedwabiu zamorskiego w strzępy poszła, żeby tobie było czym rany przewiązać.

– Odkupię waćpani.

– Z czego, dobrodzieju? Zamiast miecza się jąć, na niedrugu się pomścić, fortunę odbudować – w siebie samego godzisz. Niech tam, moja strata, byłeś ze służby nie przepędzał, bo póki ta wydra przy moim Szwedzie lega, nie mam ja czego szukać u dworu. I czegoś to się na siebie targnął, co? Ja do niego z cudowności nasięzrałam, na wspak wszelkim obmowom pędzę, serce mi wali jak dziewczęciu, co ma pierwszy raz zakazanego owocu zakosztować, i w gieźle takim, com go lat pięć ze skrzyni nie wyciągała, bom nie chciała dla byle kogo, jeno dla ciebie, mój panie i chlebowdawco, a ten patrzeć, we krwi leży. Ech, kochanieńki, nie ode mnie ty na tamten świat zbieżać chciałeś? – Tomasz nie odpowiadał: leżał z przymkniętymi oczyma, głowę wysoko trzymając na poduszce. Pani Wiktoria sama sobie odpowiedziała: – Może i ode mnie. Bo to, widać, prawda, że jestem białka, co przynosi nieszczęście, jak mi to jeden medyk z Tuluzy na dworze królewskim wykładał. Miał prawo tak utrzymywać, bo ledwośmy romans ze sobą zaczęli, już jego ślubna z Francji zjechała, a mało nas nie przyłapawszy, tak go po onych grzesznych miejscach stłukła, że całkiem do figłów ochotę stracił. Drugi znów koniuszy królewski, jeden z najzręczniejszych jeźdźców w Koronie, nazajutrz po tym jak miał ze mną sprawę, z konia zwyczajnie spadł, kręgosłup złamał, i król go z funkcji przepędził, wcale na moje wstawiennictwo nie zważając. Tak się nań

milczek zawziął – zazdrosny pewnie był, nie sądzisz waszmość? A znowu alchemik królewski, Niemiec z Liberca, ten z kolei... Ale co ci będę wszystkie *calamitates* moje wyliczać? Uważ na ostatnie nieszczęście, i tego dosyć. Powiadają, małżonka mojego rokoszanie ubili, siostra do Błudnik mnie sprowadziła, przy niej mam nadzieję żywot spokojny wieść, a tu patrzeć, marnieje moja Eufrozyna w oczach, aż grób ją pochłonał, a po niej wkrótce i wdowiec, twój ojciec czcigodny, padół ten opuszcza. Białka, co przynosi klęskę – dobrze medyk osądził. To już ja chyba się od ciebie odczepię, myłenki, już nie będziesz musiał żył sobie ciąc, spokój masz ode mnie, panie Tomaszu, jeno mnie nie przepędzaj... Słyszałeś com ci prawiała, czyżeś spał?

Tomasz otworzył oczy.

– Słyszałem – szepnął. – Dużoś naopowiadała.

– Aż ci trudno zmiarkować, co ważne, a co lekkie. – Zaśmiała się. – Ważne, żebyś asan na swoje życie nie dybał. Jeno do zdrowia wrócił, szablę w dłoń ujął, śmierć ojca pomścił.

– A potem co?

– Fortunę odbudował, mówiłam ci.

– Waćpani te dwie rzeczy łączysz?

– Allach jeden – powiedziała pani stara i znowu się zaśmiała.

– Jakże ja się pomszczę? – szepnął.

– Jak mąż prawy. Twarzą w twarz.

– Asani. Dwa razy zasadzano się na moje życie, i zawsze z zasłupia. Ten, u kogo mam kreskę, nie chce mi jak mąż prawy placu dotrzymać.

– Miej cierpliwość – powiedziała. – Kluczyć trzeba i chytryć. Wnyki zastawiać. Wpadnie w nie zbójca.

Pomyślał: czego właściwie ona ode mnie chce? Jedną na razie znalazł odpowiedź: życie we mnie ona chce podtrzymać. Do walki pobudza. Do

onych zobowiązań, o których Reuben wspomniał. Więc nie najgorsza to pani, ciotuchna moja, na nogi stawia. Poczł zmęczenie, przymknął znowu oczy.

– Zagwojskiego mi przyślij – poprosił.

– Jutro, panie Tomaszu, teraz śpij.

Była w tym bardzo stanowcza. Przez cały dzień nikogo do niego nie dopuszczała prócz Halzki, która zjawiła się o zmierzchu, zapaliła świecę, pograła trochę na lutni, nucąc przy tym tęsknie, by zamilknąć i opuścić izdebkę, kiedy Tomasz zapadł w sen. Wtedy dopiero wpuszczono Zagwojskiego. Położył się na worze słomą nabitym, czuwając przy chorym panu. Dzień był już jasny, kiedy Tomasz otworzył oczy, promienie słoneczne zaglądały przez sześciokątne szybki, oświetlając gołą ścianę z wiszącą na niej Męką Pańską i rapierem, który sobie Tomasz u karaity wysłużył.

– Zagwojski – odezwał się cicho Tomasz.

Młodzian zerwał się z posłania.

– Tak jest!

– Jeść mi się chce.

– Chwała Bogu. Lecę, niewiastom krzyknę!

– Wróć!

– Tak jest. Do usług waszej miłości.

– Marnie wyglądasz.

– Tak jest, wasza miłość. Brzytwy muszę użyć.

– Na wstyd mnie wystawiasz, panie Zagwojski.

– Więcej tego nie będzie, wasza miłość. Już lecę.

– Czekał – powstrzymał go Tomasz. – A ten... jak go, mój morderca, wiesz co o nim? Odjechał do swojego wilczego gniazda?

– Nie wasza miłość. Cały dzień po okolicy się kręcił. Pił okrutnie aż do wieczora.

– Pewnie z rozpaczy, że mu się zamach nie udał.

– Każ wasza miłość, to doskoczę zaraz i będziesz miał jednego wroga mniej.

– Gdzie on teraz biesiaduje?

– W karczmie przy rozstaju pod Ułuczem. Każesz?

– Polewkę niech przyniosą gorącą. I dużo! – zawołał Tomasz.

Zagwojski pobiegł do niewiast z dobrą nowiną. Obudził się, jeść żąda – opowiadał szybko – ochota mu wróciła do życia, do żartów skory. Pani Wiktoria wodziła dumnym spojrzeniem wokoło, o jakimś kordiale swojego wynalazku wspomniała tajemniczo i wnet urwała. Tam, w gmaszku na górze, odbywało się mycie i golenie, potem przymierzanie pozostałych po ojcu koszul i żupanów. Pas z łośia, mocno przetarty, z klamrą srebrną. Kołpak znaleziono w skrzyni bobrowy, tu i ówdzie przez mole nadgryziony, ale kita z piór barwnych wciąż piękna, spięta kamieniem półszlachetnym. Zszedł wreszcie Tomasz na dół, podtrzymywany przez Zagwojskiego, ciągnąc za sobą szablę długą. Zebrani w sieni domownicy skłonili się głęboko. On chwilę im się przypatrywał.

– Pomagaj Bóg – odezwał się wreszcie. – Dzięki za serce. Nie przeszkadzajcie sobie teraz.

I wyszedł z Zagwojskim na dwór.

– Popatrzmy sobie na pałac, Jędrku – powiedział.

– Podwieźć waszmość w kolebce czy dojdiesz sam?

– Dojdę.

Ale szedł powoli, bo bardzo był utratą krwi osłabiony. Będziesz miał pałac, synu, pałac, pałac, tętniło pod czaszką, cienką i kruchą, jakby ze szkła była. Mury stały w słońcu milczące, zarosłe dokoła pokrzywami tak

wysokimi, że zaglądały do ciemnych, pustych okien. Ktoś śpieszył ku nim, rozdeptując żwir i gałązki. Skrytobójca chce dzieła dokończyć, pomyślał Tomasz i nieznacznie położył dłoń na rękojeści szabli. Chwilę odczekał i nagle się odwrócił. Ścieżką sunęła postać brodata: pan Toroszewicz.

– Dzień dobry wielmożnemu panu! – wołał z daleka. – Widzę, że ciągnie wielmożnego pana do tych miejsc.

– Nie mylisz się, panie Toroszewicz – odpowiedział Tomasz, kiedy Ormianin znalazł się tuż. – Ciekaw jestem, ile te mury są warte.

– Mniej, niż kosztowały, wielmożny panie. Ale może znalazłby się na nie kupiec.

– Kto? Żydzi czy twoi pobratymcy?

– Nie ci, wielmożny panie. Myślę o panu chorążym Bełzeckim. Wiem o tym na pewno, bo mnie kiedyś wzywał i wspominał.

– Chce kupić na kamień czy dokończyć wzniesione mury?

– Do uzgodnienia, wasza wielmożność.

– Cóż mu po murach, jeśli na mojej są posiadłości?

– Wasza wielmożność z nim porozmawiasz, usłyszysz, czego chce.

– To słuszna. Czy w szopach zostało coś z tego, co przygotowano dla przyszłego pałacu?

– Nie ma nic.

– Żadnych ozdób, klepek, okuć?

– Nie, wielmożny panie.

– Gdzież się gotowizna mojego ojca podziła? Pamiętam, dzieckiem będąc dłonie nurzałem w monetach. Tysiące to były.

– Wasza wielmożność jesteś pewny, że skarby te były własnością nieboszczyka jegomości?

– A czyje jeszcze mogłyby być?

– Ojciec twój szkatułą pana chorążego sanockiego zawiadował. Nigdy ci się z tego nie zwierzył?

Tomasz zawahał się.

– Mówił mi, prawda – powiedział wreszcie. – Alem myślał, że te w beczkach pieniądze nasze były.

– Nie, pana chorążego.

– Czemu więc ojciec pałac budował?

– Musiał mieć i swojej gotowizny sporo. A zresztą...

– A zresztą co?

Toroszewicz zastanowił się chwilę, zanim dokończył: – Za mało na pałac.

Nie to chciałeś powiedzieć, pomyślał Tomasz. Chciałeś powiedzieć, że ojciec nie dość ściśle rozróżniał swoje pieniądze i pana Bełzeckiego. Aleś się cofnął, bom jest jego syn. I chociaż syn niemrawy, niechętnie pomsty dochodzący, przecież duch męski każdej chwili może się w nim przebudzić. Zwrócił się do Zagwojskiego:

– Panie Jędrku, do stajen teraz. Konie nam siodłać.

W koniuszni zastali Gedeona, który zdążył już wrócić z rannej wyprawy na cietrzewie i teraz, ubłocony, z torbą pełną ustrzelonego ptactwa, rozkulbaczał konia. Był to siwy natolijczyk, wyniosły, cienkonogi, ścigły, wspaniały okaz.

– Służba, Gedeonie! – powitał Tomasz po żołniersku przyrodniego brata.

– Służba – odmruknął zaskoczony Gedeon. Widać było, że poczerwieniał na twarzy.

– Piękny turek – powiedział Błudnicki. – To nasz?

– Mój.

– Winszuję. Od ojca mojego dostałeś?

– Gdzie zaś... Pan Kazimierz Rosiński dał.

– Ten koń dwieście czerwonych złotych warta – zauważył Zagwojski.
– Trzysta – poprawił Gedeon.
– Może i trzysta – zgodził się Zagwojski. – I za cóż ci go tak ofiarował?
– A waści co to obchodzi?
– Grzecznie odpowiadaj, chłopcze, żebym zaś coś szpetnego o tobie nie pomyślał. Więc jak? Za co ofiarował?
– Za co? – Gedeon chwilę szukał w pamięci odpowiedzi, aż wreszcie odparł:
– Za nic.
– Chciał się w twoją przyjaźń wkupić?
– Nie. Wygrałem go.
– Toś ty taki niebezpieczny gracz?
– Nie w kości. Z łuku strzelaliśmy. Zakład szedł, kto bliżej środka strzeli.
On rozgorączkował się, konia postawił.
– A ty? – spytał Tomasz.
Gedeon nie odpowiadał.
– Coś ty postawił? – ponowił Tomasz. – Przecież zakład nie mógł być jednostronny.
– Siebie – odrzekł Gedeon, zarumieniwszy się jeszcze bardziej. – W niewolę mu się na dwa lata oddałem.
– Do rozbójników miałeś przystać? – naskoczył na chłopca Zagwojski.
– Jeszcze nie. Ale kiedyś przystanę.
– Gedeon! – zgromił go Tomasz.
– Waszmość mi sam nic do powiedzenia nie masz! – wybuchnął chłopak.
– A choćbyś miał, to i tak nie usłucham!
Zagwojski chwycił Gedeona za klapę kaftana.
– Szczyłu – warknął. – W gębę chcesz?
Chłopiec zadrżał z gniewu.

- Zabierz waść ręce, bo nożem pchnę! – zawołał.
- Szczyłu – powtórzył Zagwojski. – Komu grozisz?
- Poniechaj go, Jędrak! – rozkazał Tomasz.

Zagwojski puścił Gedeona, ale pchnąwszy tak silnie, że chłopiec o żłoby uderzył.

– Odpowiesz mi za to, panie Zagwojski! – warknął Gedeon.

– Spokojnie, chłopcze – wtrącił się Tomasz. – Nie podnoś głosu na żołnierza! Ani do mnie... może ja ci, prawda, ni brat, ni swat, ale ciotkę rodzoną tu masz, siostrę matki twojej nieboszczki, jej posłuszeństwo winienesz...

– Matki mojej nie wspominaj! – krzyknął chłopiec.

Tomasz spostrzegł, że zaszklily mu się oczy. Więcś ty taki, pomyślał.

– Gedeonie – starał się go udobruchać. – Nigdy ja ci nic złego nie uczynił. Przypomnij sobie. Czym ci kiedy dokuczył? Siedmiu lat nie miałeś, jakem z wojskiem odszedł, ale chyba pamiętasz... Była między nami zgoda czy nie była?

Gedeon milczał.

– Wiem, że cię do wojaczki ciągnie – powiedział Tomasz. – Za rok do rotmistrza się zgłosisz...

– Żebym hetmańskiemu prawu podlegał? Za byle co chłosta, a to i stryczek? Dziękuję.

– Więc do pana Lisowskiego idź. U nich hetmańskich artykułów nie ma. U nich swoje własne prawa.

– Do lisowczyków nie pójdę, bo oni na innowierców zajadli. A ja do wiary przodków moich i do nazwiska Medyńskich wrócę.

– Tedy zostaje ci tylko zbójecka wataha?

– Pan Kazimierz dobry szlachcic.

– Pewnie, dla ciebie dobry, bo ci konia dał. Ale na mnie dwa razy się już zasadzał i mało mnie życia nie zbawił.

Gedeon milczał. Zagwojski odezwał się:

– Chodźmy, wasza miłość, nie wdawajmy się w dysputy. Dobrze on czyni, że do zbójeckiej watahy przystaje, tam jego miejsce. Ale uważaj, bratku, żebyś pierwszej z mojej ręki nie szcezył, bom już nie takich kończył. Dokąd, wasza wielmożność? – zwrócił się po rozkazy do Tomasza.

– Do kościoła.

Starego plebana już nie było, zmarł trzy lata temu. Ten nowy, co niedawno ze szkół w Przemyślu przybył, młody, onieśmielony, czekał na pana u furty kościelnej. Po bogobojnym powitaniu, gdy tylko „na wieki wieków” przebrzmiało, spytał:

– Czego żądasz, wasza wielmożność?

– Na grób ojcowski chciałem pojrzeć.

– Tak, oczywista, poprowadzę waszmości – podjął skwapliwie ksiądz. Szli sadem w zapachu traw popod różowością i bielą wiśni i jabłoni. – Tędy, wasza wielmożność, zaraz za sadem przez furteczkę przejdziemy. – Furteczka skrzypnęła przeraźliwie.

– Posmarować trzeba, wasza wielmożność – usprawiedliwił się ksiądz. – Wszystko naraz, wasza wielmożność, wszystko naraz. Już lepiej z waćpana zdrowiem? Toć widzę, że lepiej. Wczoraj mszę odprawialiśmy na intencję powrotu do zdrowia waszej wielmożności i Najświętsza Paniienka wysłuchała, pomogła. Cokolwiek by rzec, a przecież nigdy bez nagrody, nigdy bez nagrody... Chociaż nie od razu, ale przecież... Bo też zajęta jest mocno Najświętsza Paniienka, spraw dużo, to to, to owo, wszelako o najdroższych dzieciach nie zapomni... Więc tedy, wasza wielmożność, nie spodziewaj się wiele czego, funduszów brak, krzyż stoi prowizoryczny, płytę jejmościanka zamówiła w Lesku granitową, z napisem złoconym, ale

nie wykonano, funduszków brak. Widzisz waszmość te dwie lipy? To za nimi.

– Dzięki. Zostaw mnie teraz dobrodziej samego.

Ksiądz skłonił się i odszedł.

– Ja tu zostanę na straży – powiedział Zagwojski.

Więc nareszcie będzie sam. Zapłaczę. Kroczył powoli ku dwom lipom młodym, za którymi w jasnym blasku wychynęła z traw mogiła z krzyżem. Ukłękne przy twym grobie i spróbuję się pomodlić. Ojczy mój, nic ci na grób nie rzuciłem. Ani kwiatów, ani sławy. Ani o klejnot twój zadbałem. Szablim nie wyciągnął, by śmierć twą pomścić. Wybacz, ojczy, pociechy ze mnie nie masz i już chyba mieć nie będziesz. Oto syn marnotrawny wraca, myślał, ale puste i zimne są progi domostwa, i nie ma ramion, w których bym mógł zapłakać.

Mylił się jednak, jeśli sądził, że będzie tu sam. Kiedy zbliżył się do mogiły z dębowym krzyżem pośrodku, na którym wisiała krzywo blaszana tabliczka, zobaczył postać skuloną, jak z klęczek się podnosi. Skądże ja tę gębę znam, zafrasował się, patrząc na pyzatego szlachcica otrzepującego pył z kolan. Tamten przyłożył obie dłonie do piersi.

– Witam cię, cherubinów kapitanie! Więc wstałeś z martwych?

– Pan Świrski! – przypomniał sobie Tomasz. – Cóż u licha robisz u mogiły ojca mego?

– Rozmawiam z nim, Panie świeć... O odpowiedź go proszę w wiadomej sprawie...

– Niewiele ci ta mogiła powie.

– Widzę, szanowny krewniaku, żeś niepodatny na opowieści cudowne. Ja też nie, przyznaję.

– Czemu więc tu sterczysz?

– Bo miejsce dobre do medytowania. *Genius loci*, wasza wielmożność, na to liczę. W tej mogile spoczywa zamordowany. Choćbyś się wzbraniał, musisz tu o nim myśleć. Ot, i pytania sobie rozmaite zadajesz. Na przykład: czemu tabliczka krzywo wisi, a litery na niej zmyte? Czemu płyty jakiej cudownej nie ufundowano? Czemu w kościele płyty marmurowej nie ma?

– Bieda, panie Świrski. Bieda wszystko tłumaczy.

– Ale i życzliwości dla pamięci nieboszczyka mało.

– Tak myślisz?

– Przykro o tym mówić, ale to pewna.

Popatrzyli obaj na mogiłę Błudnickiego-ojca. Pustka w głowie, pomyślał Tomasz, słowa uleciały. Darń, krzyż, tabliczka. Słońce nad nimi. Wrony kraczą w pobliskim lesie. Ból się ulotnił, ulotniła się melancholia i od tego uczyniło się jeszcze boleśniej i jeszcze melancholijniej. Wróć tu jeszcze, postanowił i powiedział:

– Chodźmy stąd, panie Świrski.

Szli w chłodzie i ciszy lipowej alei, po której obu stronach widniały obrosłe wysoką trawą mogiły.

– Dowiedziałeś się czegoś? – spytał Tomasz.

– Dowiedziałem.

Znaleźli ławeczkę omszałą, kaleką, na której przysiedli. Zagwojski stanął obok, jakby w dalszym ciągu na straży.

– Pewnie się waćpan dziwujesz, co się z waszymi majątnościami stało – zaczął pan Świrski.

– Majętności nieruchomej było niewiele – odparł Tomasz. – Trzy wsie z nadania królewskiego, które przeszły do pana Bełzeckiego.

– Tak było, panie Tomaszu, kiedyś na wojnę odjeżdżał. Ale kilka lat później pan chorąży zażądał od twojego ojca zdania rachunku i wtedy się

okazało, że cały tkwi w kieszeni swojego zarządcy. Mnogość siół dzięki skryptom zastawnym Bełzeckiemu miało na waszą korzyść uciec.

– To czemu ich nie mamy?

– Musiał je odebrać Bełzecki.

– Po śmierci ojca?

– Tak.

– Jakim sposobem? Wykupił skrypty?

– Zapytaj waćpan siostry. Ale widzi mi się, że i ona nie wie.

– Skryptów żadnych nie znaleziono – przypomniał sobie Tomasz.

– Mogły zniknąć – powiedział spokojnie daleki krewniak.

– Wać sędzisz...?

– Ja nic nie sędzę. Daj Boże, żeby cała wina na Bełzeckiego spadła. Bogaty pan i łzy moje może hojnie obetrzeć. Już by mi się bieda skończyła...

Jeśli Bełzecki winien, to pana Ligęzy ręką zabił, pomyślał nagle Tomasz. Po to infamisa na dworze trzyma, by się nim w podobnych imprezach wyręczać. Szkoda mu było tylko tej sympatii, którą dla wywołańca poczuł.

– Co wiesz jeszcze? – spytał.

– O królewskich warto pomyśleć.

– Tak, jest nad czym deliberować. Swoje odebrał pan Bełzecki, to rozumiem, ale czemu na nasze królewskie był taki zajadły?

– O dziewczkę szło – wyjaśnił Świrski – którą sobie ojciec waszmościów oblubował.

O dziewczkę! Któraż to być mogła? Ach, pewnie ona pokusa lniano-konopna... Jeśli tak, to znowu pan Ligęza!

– Jewka? – spytał Tomasz.

– Nie, nie Jewka. Jakaś Nastka...

Nastkę Tomasz dobrze pamiętał. Trzynaście lat jej było, kiedy on za Maryną się powlókł. Kwiaty mu wtedy darowała. Nadzwyczajnie rozkwitła była, wspomniał, choć za mąż wydawaj. Niezwykłej urody sieluszka, usta miała jak wiśnie dojrzałe, oczy nieco skośne, ciemne, wesołe, ślicznie pogładające, włos czarny, cerę pańską, delikatną, różową, cała jak owoc soczysty. Pamiętał jej uśmiech – miły, rozdzwoniony. Nastka! Więc nie Jewka i nie Ligęza, pomyślał z ulgą.

– Nie mógł tego przeboleć pan Bełzecki – ciągnął swoją opowieść krewniak – że ten smakołyk nie jego za pana ma. Postarał się, żeby jemu wieś przyznana została. W cztery dni po pogrzebie czcigodnego ojca twojego już donację królewską na trzy wsie okazał i zajazdem zbrojnym je wziął.

– W cztery dni? Waść nie żartujesz?

– Co słyszałem, to powtarzam.

– Tedy musiał on jeszcze za życia ojca o donację wszcząć starania.

– Tak, panie Tomaszu.

– Mord więc z premedytacją popełniony?

– Tak, panie Tomaszu.

Ligęza, nikt inny. Z mordercą ojca mojego piłem! Małom go pod nogi nie oblał. Ale jak zbrodni dokonał? Gdzie ojca dopadł? Zagwojski odezwał się:

– Wszelako to nieostrożność była ze strony pana Bełzeckiego tak śpieszyć z okazaniem donacji! Choćby z niedziel sześć odczekał... A to z miejsca podejrzenie na swoją głowę ściągnął...

– Do dziewczki mu się spieszyło – miał gotową odpowiedź Świrski.

– Dziewka królewska, jego poddanką nie jest – przypomniał Tomasz.

– Och, co tam! – Świrski machnął lekceważąco ręką. – Król daleko, a pan blisko. – Zaśmiał się, choć nic w tym uciesznego nie było. – Prawuj się

z nim, kto mocny! Lepiej dla sieluszki nie opierać się więcej, niż wstyd nakazuje, i mieć obowiązek za sobą, jeszcze meszty w podarunku dostanie albo naszyjnik nie lada jaki.

Zagwojski zagadnął pana Świrskiego:

– A waćpan skąd te wszystkie dzieje wiesz?

– Od Kazka Rosińskiego. W karczmie z nim wczoraj piłem, małym duszy nie przepił, ałem wyciągnął zeń, ilem mógł.

– Od Kaźka – powtórzył z zastanowieniem Tomasz. – Może on mieć swój interes w tym, żeby podejrzenie z siebie na kogo innego przerzucić.

– To prawda. – Pan Świrski powiedziawszy to zasumował się. – Na moją niedolę pokaże się jeszcze, że to Kaźko zbereźnik zabił. Biednemu zawsze wiatr w oczy...

– Wszelako – podjął po swojemu podejrzliwy Zagwojski – dziwna to zuchwałość, żeby taki Kaźko Rosiński oczy podnosił na jejmościankę, siostrę waszej miłości. (A ty? – odparował z miejsca w myśli Tomasz. – Alboś ty inny, co o Mniszchównie śnisz?). Czegóż on się od jegomości mógł spodziewać, jeśli nie rekuzy?

– Tak właśnie, tak właśnie – powtarzał Świrski, dziwnie czegoś ucieszony.

– Nawet i mnie ta śmiałość ubodła, bo choć daleki jeno jestem Błudnickim powinowaty i zaszczytu im nie przynoszę, przecież mniemam się lepszej krwi od całego plemienia Rosińskich. Jak to powiadają, sowa jastrzębia nie zrodzi. Nie rzekłem mu tego, myślicie waćpanowie? Rzekłem, po pijanemu wiele powiem, a on wiele zniesie. Zębami nie zgrzytnął, wyszczerzył je tylko, jednym słowem roześmiał się, a jucha urodziwy, kiedy się roześmieje, może pani z najlepszego domu w głowie zawrócić.

– Cóż on odrzekł? – zniecierpliwił się Tomasz.

– Że Błudniccy nie lepsi od Rosińskich.

– Pijane gadanie – na to Zagwojski.

– Rzekł, że jego ojciec i waszmościów ojciec jeden proceder uprawiali.

– Mój ojciec rozbojem się nie trudnił! – zaprotestował Tomasz.

– Waćpan tego wiedzieć nie możesz – odparł spokojnie pan Świrski. –

Ale on go też i o to nie winuje. Jeno to wypomina, że pan Jan Tomasz szablę swoją niezrównaną za pieniądze najmował. I że wspólnie z Rosińskim-ojcem ten proceder uprawiali.

– Jeśli w obronie prawa... – wstawił Zagwojski. – Pan Jacek Dydyński, choć stolnikowic, za pieniądze szablą prawo egzekwował, a despektu mu to nie przyniosło. Wyrokiem się zawsze osłonił.

– Pan Jacek tak, a nieboszczyk jegomość niekoniecznie. Każdy go mógł nająć, powiada Każko, żeby nieprzyjaciela swego usunąć. Połowę pieniędzy dostawał awansem, a połowę, gdy z kontraktu się wywiązał. Przybywali ci dwaj, waszmościów ojciec i Każka ojciec, na jarmark, czasem do gospody, czasem wprost do dworku upatrzonej ofiary, tam przy ludziach niecudnie, komu trzeba, przymawiali, matkę mu obrażali, najczęściej o sodomie z chłopami ją pomawiając, więc szlachcic z pianą na ustach do szabli – trach mach i po nim. Nie miał równego sobie rębacza waszmościów ojciec w całym Sanockiem. Gdy się gdzie zjawił, sam czy z Rosińskich czeladzią, już tam każdy przytomny pośpiesznie rachunek grzechów czynił. Wtedy, powiada Każko, Rosińscy byli mu dobrzy. Wtedy to przyjaciele.

– Bajdy powiadasz – szepnął Tomasz.

Świrski przeżegnał się kilkakrotnie.

– Powtarzam, powtarzam, ja jeno powtarzam.

– A trzymałbyś lepiej język za zębami – przestrzegł go Zagwojski.

– Waćpanowie! Najmilsi! Co to pomoże? Toć wszystkie wróble w okolicy o niczym innym nie ćwierkają, jeno że wy, jako nietutejsi, ich mowy nie rozumiecie... Czy nie tak? Kto synowi w oczy będzie śmiał podobne rzeczy powtórzyć? I jeszcze takiemu synowi, co rękę ciężką po jegomości odziedziczył? Jeśli ja to czynię, to bez rozkoszy, panie Tomaszu, z czystego obowiązku. Taka umowa między nami stoi, że co spostrzegę a usłyszę, to ci powtórzę. Wspólna nasza sprawa...

– Zamilcz wreszcie – powiedział Tomasz.

I ruszył sadem ku furtce, w której poblizu stały konie uwiązane. W głowie mu huczało. Ten cios gorszy od wszystkich razów, które na łeb mi spadły, pomyślał. Ale to kłamstwa! Pan Bełzecki, człek uczony, erudyta, zbieracz ksiąg, nie powierzyłby majątności i szkatuły szlachcicowi ze złą sławą. Dowieść, że to wszystko nieprawda, pomyślał. Dowieść, że ojciec był rycerski i czysty. „Waćpan ciężką rękę po nimeś odziedziczył”. Głowa Siehenia padała powoli, dotknęła wreszcie błota, potoczyła się i naraz utkwiała w zabójcy zdziwione spojrzenie.

– Panie Świrski! – zawołał Tomasz dosiadłszy konia.

– Słucham cię, wielmożny krewniaku.

– Panie Fabianie. To wszystko, co ci w onej pijanej karczmie wyłożono, są jeno chytróści i wykręty zabójcy.

– Tak myślisz?

– Znajdą się na to niemałe dowody. – Spostrzegłszy, że pan Świrski poszarzał na twarzy, nie oszczędzał jego nadziei. – To Kaźko zabił. I nadal się przy zbrodniach upiera.

Dał koniowi ostrogę i pomknął przez łąki do dworu, a Zagwojski za nim. Pan Świrski zaś zawrócił do kościoła, żeby ułożyć się z księdzem co do mszy na intencję swojego przedsięwzięcia.

Poruczywszy konie Zagwojskiemu, Tomasz poszedł szukać siostry. Znalazł ją w ogrodzie, pochyloną między grządkami. Ujrawszy brata wyprostowała się i uśmiechnęła żałośnie.

– Robić trzeba, bracie, sług mało. A ty jak, Tomaszku? Lepiej?

– Lepiej.

– Bładyś bardzo. Napiłbyś się kwasu buraczanego, to ci krwi przyda.

Podawała mu dzban, przechylił go i duszkiem napił się zimnego kwasu z koprem.

Siostra, czarno ubrana, w wełnianej sukni, zgrzała się, na okrągłej małej twarzyczce świeciły krople potu. Spytał:

– Siostro, powiedz, prawda to, że ojciec w młodości najmował się do usuwania panów braci?

– Dawne to dzieje – odparła niechętnie.

– Więc prawda! – wybuchnął.

– Z zasadzki nie zabijał. Twarzą w twarz mu stawali.

– Więc prawda – powtórzył.

– Czego się tym turbujesz? Młody był. Pieniądzy potrzebował. Myślisz, że między panami za zabójcę uchodził? W poszanowaniu był niemałym. Bano się go, i tyle.

– Halzka, przecież nie przebierał on, kto cnotliwy, a kto łotr. Jednak żelazem traktował. – Siostra milczała. Chwycił się ostatniej nadziei. – A ty od kogo o tym wiesz? Od Kazka?

– Od niego. – Tylko chwilę było źlej, bo zaraz siostra dodała: – I od innych.

– Kto jeszcze mówił?

– Pani stara.

Ona lubi zmyślać, próbował się pocieszyć. Ale czuł, że tym razem pani Wiktoria nie komponowała.

– Halżko, a jaki interes mógł mieć Każko w kupowaniu faworów Gedeona?

– Dlaczego o tym prawisz?

– Natolijczyka mu podarował za trzysta czerwonych złotych.

– Gedeon powiada, że zakład wygrał.

– Nie wierzę ja w taki zakład.

– Pewnie Każko chce go mieć po swojej stronie.

– Z powodu ciebie? – spytał.

– A ty nie wierzysz? – Obtarła rękawem pot z czoła i uśmiechnęła się.

– Mogę uwierzyć – powiedział. – Ale tam mogło pójść o co insze.

– O co? – spytała Halżka niespokojnie.

– O jakiś wspólny interes.

Halżka mruknęła:

– Wybacz. Roboty mam sporo z pieleniem.

– Zaczekaj. Powiedz: jakie ma powody Gedeon, żeby mnie nienawidzić?

Przeciem mu nic złego nie uczynił.

– On nie ciebie nienawidzi. On nam wszystkim niechętny. Wszystkich Błudnickich jednakim uczuciem darzy.

– Dlaczego? Jakiej krzywdy doznał?

– Za mać swoją nam odpłaca. Widział chłopak, jak ojciec nieboszczyk ją dla Nastki zaniedbywał. Kłótnie wtedy straszliwe między ojcem a macochą były, on to widział, do rękoczynów dochodziło. Przycichła wreszcie pani Eufrozyna, gasła w oczach, aż całkiem zgasła, a zaraz plotka poszła, że ją struto. W co ja nie wierzę. Tak czy owak, nie inaczej, jeno za przyczyną owej nieszczęsnej ojcowej namiętności zesła z tego świata pani Eufrozyna.

– I mógł chłopak zaprzysiąc ojcu zemstę?

– Do czego ty zmierzasz? – spytała siostra, podnosząc zalęknione oczy.

– Pytam: czy mogli mieć wspólny interes Każko i Gedeon w tym, żeby ojca zgładzić?

Siostra znowu obtarła pot z czoła. W wełnie czarnej i na słońcu – ciężkie niewygody dla żałoby znosi, pomyślał. Ci dwaj zabili do spółki. Przez chwilę był prawie tego pewny. Koń natolijczyk i nienawiść własna – dwa bodźce dla młodego chłopca aż nazbyt silne. Już byłby na tym rozmowę skończył, kiedy nagle coś nowego dręczyć go zaczęło.

– Halżka, a nie dziwno ci, że pan Bełzecki wraz z innymi panami się u nas nie zjawiał?

– Coś ty! Za wiele żądasz. Kto ty, a kto on?

– Pan Bal też możny szlachcic, urząd nawet znaczniejszy, a przecież uprzejmość okazał. A pan Swoszowski poseł na sejm, statysta!

– Za wiele żądasz – powtórzyła siostra.

– Nie, Halżko, nic ja nie żądam, jeno mi to dziwne. Przyjaciółmi przecież byli ojciec i pan chorąży, chociaż jeden pan, a drugi urzędnik jego, a i ja sam wielką atencją pana Bełzeckiego się cieszyłem... I oto wracam po ośmiu latach, a on mnie nawiedzić nie raczył.

– Może mu co wypadło.

– A może sumienie ma nieczyste. Przecież nas z torbami puścił.

– Swoje jeno odebrał!

– A królewsczyzny też swoje? Zagarnął je wraz z Nastką – przypomniał.

– Halżka, a kiedy to się z tą sieluszką u ojca zaczęło?

– Będzie z cztery, pięć lat temu, dokładnie nie pamiętam. Przyszła ona do dworu z opiekunką swoją i sztuką płótna pokłonić się panu, żeby jej za mąż iść dozwolił. To pamiętam, że kiedy przyszła, kolorowo ubrana, zawstydzona i uśmiechnięta, taki od niej blask bił, że księżniczka mogłaby

z inwiderii pęc. Nie widziałam ja jak żyję takiej wdzięcznej dziewczki i wcale się ojcu nie dziwuję, że łaskawość okazał i do osoby swojej przypuścił.

– Zmusił ją? – spytał zaszępiiony Tomasz.

– U nas tu zmusić niepodobna. Ja myślę, że dziewczucha sama była nie od tego.

– Ojciec był urodziwy – przyznał Tomasz.

– I pan. Bystry, śmiały, pieniądze. A ją mieli wydać za przygłupa.

Tomasz drgnął.

– Za kogo powiadasz? – spytał stwardniałym głosem.

– Za przygłupa. Za takiego, co z trudem słowo do słowa złoży.

– Przecież to Jewka wyszła za takiego...

– Ja nic o żadnej Jewce nie słyszałam – odparła siostra.

Zaraz się dowiem, pomyślał i spytał:

– Halżko, a nie w Nastce naszej kocha się pan Ligęza?

– Kocha czy nie kocha, tego nie wiedzieć, ale że wciąż tam koło Nastki przesiaduje, to pewna.

Jednak to ta! Czemuż więc ją nazwał „Jewką”? Co chciał ukryć? Powiedziała mu owa Jewka: „Alboś ty mój pan?” Czemu nie wspomniał, kto owym panem, szczęśliwszym od niego, był?

– Co z tobą? Co cię tak zalterowało? – dopytywała się siostra.

– Nic. Nic – bronił się.

Więc nie Każko i nie Gedeon, pomyślał. Ligęza! W swojej i swojego protektora sprawie. Albo wszyscy oni naraz w jednej znowie.

Siostra ujęła motykę.

– Ty z panem Toroszewiczem porozmawiaj – powiedziała. – On najwięcej ci powiedzieć może, bo ostatnią podróż z ojcem odbył.

– Dokąd?

– Do Sańska, żeby od nowochrzczeńców należności ściągnąć. Wpierwej mieli do Bolatyna wstąpić, z panem Bełzeckim wszystko ułożyć.

– A Każko gdzie był wtedy?

– Po co ci to znać? – spytała siostra, pochylona nad chwastem.

– U nas był czy gdzie indziej?

– Najpierw u nas, z ojcem rozmawiał. Rekuzę dostał, więc pomknął ku swoim jak szalony.

I mógł się za Sańskiem z watahą zacząć, pomyślał. Stał chwilę przyglądając się siostrze, jak zajadłe motyką chwasty karczuje. Potem ruszył ku domowi. Znalazł Zagwojskiego i rozkazał:

– Przyślij mi Toroszewicza do świetlicy.

Pani Wiktorja przybiegła powarkując, że Tomasz zdrowia nie szanuje, leżeć powinien, a to go nosi tam i sam, i stąd bladość. Usadowiwszy go na ławie, wsunęła mu poduszkę pod głowę, potem przyniosła piwa gorącego z imbirem. Dopiero gdy kolorów nabrał, pozwoliła wejść Toroszewicowi. Ormianin skłoniwszy się czekał w milczeniu na dyspozycje. Tomasz długo przyglądał mu się, trzymając parujący kufel u warg: broda czarna, prawie aksamitna, szeroka, nos wydatny, oczy błyszczące, zamyślane. Ubrany dostatnio, ozdobnie, w jedwabie błękitne srebrną nicią bramowane, pas miał na sobie złotymi ćwiekami nabijany. Nie mojego to ojca dostatki? – pomyślał Tomasz i spytał:

– Panie Ałmaz, tyś ostatnią podróż z ojcem nieboszczykiem odbywał?

– Tak, wasza wielmożność.

– Jaki był jej cel?

– Należności z osadników sańskich ściągnąć, wasza wielmożność.

– Czy spodziewaliście się oporu?

– Nie, wasz wielmożność. Należność była uzgodniona.

– A nie szemrali nowochrzczeńcy, że za duża?

– Nieraz szemrali. Ale inne mieli powody do niezadowolenia. Nazbyt często pan chorągwie na stacje wyznaczał.

– Buntowali się?

– Oni się nie buntują – przypomniał Toroszewicz.

A teraz się zbuntowali, pomyślał Tomasz. Tylko bunt wyrazili inaczej, niż inni by to czynili: z miasta uszli.

– Czymże się szemranie kończyło? – spytał.

– Sumę specjalną zbierali dla jegomości ojca pańskiego i on wtedy stację odmieniał. Będziesz miał pałac. Pałac. Pałac.

Spytał:

– Wiele razy tak było?

– Za mojej pamięci trzy.

Pałac, powtórzył w myśli. Idźmy dalej.

– Pojechaliście więc do Sańska – podjął.

– Naprzód do Bolatyna.

– We dwóch? – spytał Tomasz.

– Nie, jeszcze pan Lawrowski z nami był i panicz Gedeon.

– Gedeon! Czegóż on?

– Pan go wyróżniał. Tkliwą opieką otaczał. (A ten mu nienawiścią płacił). Chciał go w rządy majątnościami wprowadzić.

– A Gedeon jak fawory przyjmował?

– Milczał.

– Waćpan sam co o moim ojcu sądzisz? – zagadnął znieścacka Tomasz. – Na przykład: czemu Gedeona taką tkliwością otaczał?

Toroszewicz zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Afektem go darzył? – nalegał Tomasz.

– Waszmościów ojciec... Cóż, był osobą niezwykłą.

– Dziwne rzeczy mi prawisz.

– Nam, ludziom zwykłym, nie zrozumieć go. Toteż często go nie rozumiałem. Tomasz westchnął pokonany. Więc Gedeon był z nim do ostatnich chwil... Ale kiedy nastąpiła ta ostatnia chwila?

– Wspomniałeś, panie Toroszewicz, pana Ławrowskiego nazwisko.

– Waszmość go nie pamiętasz? Sługa waszej rodziny, rękodajny.

– Prawda, ze znamieniem na twarzy, które zwykł pukłami włosów osłaniać. Niemłody już musiał być. Ojciec wydawał się do niego przywiązany.

– Łączyły ich jakieś wspólne wspominki. Waszmość wiesz, skąd to znamię pan Ławrowski miał? – spytał z lekkim uśmiechem Toroszewicz.

– Nie.

– Wypala się takie woźnemu za złożenie fałszywego świadectwa.

– Ach, Boże.

– Nieboszczyk jegomość przytulił go do siebie, kiedy Ławrowski przepadać już miał. Uratował go, rzecz można.

– Gdzież on teraz?

– Nie żyje, wasza wielmożność.

– Nie żyje? Pan Ławrowski?

– Nie żyje – potwierdził Toroszewicz.

Jednego świadka mniej, pomyślał Tomasz i spytał:

– Swoją śmiercią zmarł?

– W burdzie karczemnej kilka dni po śmierci pana naszego. Przymówili mu do znamienia. – Ormianin pokiwał melancholijnie głową. – Dawniej tego jakby nie zauważali. Ale potem obrońcy zabrakło – dodał znacząco. – Myszy bez kota, wasza wielmożność. Nad czym wasza wielmożność tak rozmyślasz?

– Zastanawiałem się, z kim mogła być ta burda. Z Rosińskimi?

– Wasza wielmożność to chyba skądś wiesz.

Tomasz nie odpowiedział. Tak, wiem. Wiem więcej, niż mi powiedziano.

– Mów po kolei – odezwał się. – Przybyliście więc do Bolatyna. Jakże tam ojca przyjął pan Bełzecki?

– Jak zwykle, wasza wielmożność. Nie zauważyłem różnicy.

– Czyli dobrze przyjął?

– Dobrze.

– Żadnego napięcia między nimi nie zauważyłeś?

– Żadnego.

– W sprawach majątności też nie?

– Też nie.

– Jakże to możliwe? Toż w kilka dni później okazał pan Bełzecki donację królewską na wsie, które ojciec dzierżył. Trzymał za pazuchą dekret o donacji i nic przyjacielowi swojemu nie powiedział?

– Nic, wasza wielmożność.

– A to ładna przyjaźń! Piękna przyjaźń!

– Ja nie wiem, wasza wielmożność. Rozmawiali przyjaźnie. Jeszcze przydał pan Bełzecki nieboszczykowi jegomości poczet zbrojnych dla ochrony.

– Dla ochrony przed kim? – zdziwił się Tomasz. – Bo przecież nie przed nowochrzczeńcami!

– Przed Rosińskimi – wyjaśnił spokojnie Toroszewicz.

Prawda, przecież to po rekuzie było.

– Liczny był poczet? – spytał Tomasz.

– Dziesięciu kozaków dworskich z panem Ligęzą jako komendantem.

– Ligęzą!

– Tak, wasza wielmożność.

Znowu on. Do ostatniej chwili.

– I puściliście się razem do Sańska.

– Tak, wasza wielmożność.

– Mów po kolei!

– Stanęliśmy tam wszyscy gospodą w zajezdzie, który heretycy dla przyjezdnych pobudowali. Kozacy na podwórzu się rozłożyli. Pan Błudnicki swoje sprawy z kosturowcami załatwiał, nazajutrz gotowiznę mieliśmy otrzymać. Wieczorem pili panowie na umór, najmocniej pan Ligęza.

Toroszewicz urwał.

– Mów dalej.

– Rano budzę się: nie ma pana. O przedświcie musiał się wymknąć, kiedy wszyscy spali. I konia nie było. Czekaliśmy długo, chociaż bez niecierpliwości. Bośmy sobie wspomnieli, że mówił przedtem, że spotkał w Sańsku kogoś, z kim obiecywali sobie rozmowę. Więc niechybnie na tę rozmowę poszedł. Pytaliśmy potem kosturowców, ale go nie widziano. Przepadł jak kamień w wodę.

– W Sańsku – powiedział do siebie Tomasz.

– Tak.

– A w dwa dni potem na przymarzłym błocie go znaleźli.

– Tak, wasza wielmożność.

Nastąpiło ciężkie milczenie, które przerwał Tomasz:

– Gotowiznę ową kosturowcy wypłacili?

– Wypłacili.

– Gdzie się ona podziała?

– Panu Bełzeckiemu co do grosza przekazałem. Z jego to Sańska pieniądze były.

– Kwitację wziąłeś?

– Nie.

– Bez kwitacji?

– Pieniądze pana chorążego, my tylko przewoźnikami byliśmy.

– A ojciec brał kwitacje?

– Nie, wasza wielmożność. To jest... chyba nie – powiedział po zastanowieniu Toroszewicz. – Trzymał gotowiznę Bełzeckich u siebie, wydawał z niej panu chorążemu, ile tamten żądał, jakieś tam skrypty może między nimi i szły, ale je zużywszy darli, jak to między przyjaciółmi.

Po cichu o donację królewską na wypadek śmierci przyjaciela się starając, pomyślał Tomasz.

– Wróćmy do onego zajazdu – powiedział. – Więc obudziłeś się wreszcie. Gdzie był natenczas Gedeon?

– Z nami, wasza wielmożność. Jeszcze spał.

– A Ławrowski?

– I on spał. Pili z wieczora panowie – przypomniał Toroszewicz.

– A pan Ligęza, który najmocniej pił?

– Pana Ligęzy nie widziałem.

– Szukałeś go?

– Tak. Ale w zajazdzie go nie było.

Tomasz przesłonił dłonią twarz, żeby Toroszewicz nie mógł dostrzec rumieńca, który go oblał.

– Gdzie był? – spytał.

– Pan Ligęza? Po miasteczku krążył. Powiadał, że poszedł szukać waszmościowego ojca, bo niebezpiecznie mu samemu między heretykami chodzić, jako że wielu ma między nimi nieprzyjaciół.

– Kosturowcy się miecza nie imają – zauważył Tomasz.

– Takimi się deklarują.

– Waćpan w to wątpisz?

– Ani wątpię, ani potwierdzam.

– Czy ze słów pana Ligęzy można było wnosić, że próbuje kosturowców obciążyć odpowiedzialnością za śmierć mojego ojca?

Toroszewicz usiłował to sobie przypomnieć.

– Nie, nie sądzę, wasza wielmożność.

– Dziękuję ci, panie Ałmaz. Możesz iść.

Siedział potem nieruchomo, głowę ścisnąwszy dłońmi. Cóż to za upiorna tajemnica? Pojechali z nim czterej: Ligęza, Gedeon, Toroszewicz, Ławrowski. Co najmniej dwaj w tym orszaku byli nieprzyjaciółmi ojca. A jeśli wszyscy czterej? Jeśli zmówili się i bajeczkę ułożyli o jakimś przebudzeniu się, zagadkowym wymknięciu ojca, podczas gdy wszyscy spali? Ale cóż mógł mieć przeciw swojemu chlebodawcy Toroszewicz? Albo Ławrowski? Ten chyba do zмовy nie należał, toteż rychło go życia pozbawiono. Rosińscy, przypomniał sobie. Zbrodnia ciągnęła za sobą zbrodnię. Podniósł oczy, zobaczył pana Świrskiego, który zwrócił się do niego z rozjaśnioną twarzą:

– Cherubinów kapitanie! Rzekłby ktoś, żeś nie w humorze! Dlaczego?

– Bo niedobre twoje sprawy, panie Świrski. Wiesz, gdzie ojciec zginął?

– Gdzie?

– W Sańsku. A od nowochrzczeńców grosza nie wyciśniesz.

– W Sańsku, być może, ale nie kosturowiec zabił. Raczej, powiadają, własne życie odda.

– Takiś tego pewny?

– Waćpan o tym wiesz równie dobrze jak ja.

– Więc kto się tam zaczął? Każko?

– Z Kazka też grosza nie wyciśniesz – powiedział Świrski wzdychając.

– Bezkarne on jak orzeł nad chmurami. Jeden jest tylko pan, który plasterk na rany moje może przyłożyć, i on musi tej zbrodni być winien – mówił pan Świrski.

– Waćpana sprawa jego winy dowieść. To ci tylko powiem, że wiem z diabelskich gabinetów, iż ma się wkrótce skończyć moje biedowanie, Cyganka mi to przepowiedziała przeszłego roku i z układu gwiazd to samo wynika.

Tomasz przywołał Zagwojskiego.

– Jędrak, pójdę do gmaszki odpocząć. Muszę sił nabrać, bo jutro chcę panu Bełzeckiemu spojrzeć w oczy. Ty tu zostaniesz z panem Świrskim dla bezpieczeństwa siostry mojej.

– Wasza miłość, pozwól mi z sobą. Niebezpieczna to wyprawa.

– Wiem. Ale z tobą czy bez ciebie jednakże niebezpieczna.

– Ligęza tam – przypomniał Zagwojski.

– Z nim też porozmawiać trzeba. Nie bój się o mnie, Jędrak. Będę chytry jak lis. Wypytywać jadę, prawdy się dowiedzieć, a nie do oczu skakać.

– Więc będziesz pomilkiwał?

– Ile się da, Jędrak, liczę na ciebie, że na bezpieczeństwo siostry będziesz miał baczenie!

To powiedziawszy powłókł się do gmaszku. Niewiasty otoczyły go tu opieką, karmiły i poiły. Pani Wiktoria bandaże mu zmieniała, ranę maścią piekącą raz jeszcze pomazała. Spał potem Tomasz aż do północy, kiedy dźwięczne uderzenia na półzegarzu go obudziły. Zwlókłszy się z pościeli, poszukał pod pochyłością powały stołka z miednicą i nalewką. Zagwojski wiercił się niespokojnie na słomie, mamrotał przez sen, ale się nie obudził. Tomasz przemył twarz i zszedł na dół.

W kuchni, jeszcze cieplej i gęstej od pary, kuchcik spał na ławie. Wyczuwszy czyjąś obecność, otworzył oczy.

– Wszelki duch... – wykrztusił.

– Cóż to, nie poznajesz mnie? – spytał Tomasz.

Chłopak zerwał się z ławy.

– Nie dam noża! – zakrzyknął. – Nie dam! nie dam!

Tomasz uśmiechnął się.

– Nie po nóż przyszedłem, uspokój się.

– Słucham pokornie jegomości.

– Ile masz lat?

– Czternaście na święty Jan.

– Czternaście, prawda, Jasiu, wybacz, że zapomniałem. A umiesz ty konia osiodłać?

– Umieję, wielmożny panie.

– A chcesz przy mnie mieć służbę?

– Jaśnie panie... – wyszeptał zachwycony chłopiec, składając dłonie jak do modlitwy.

– No to powtórzysz świtanem panu Zagwojskiemu, że jedziesz ze mną do Bolatyna. Ubierzesz się przyzwoicie, konia mojego mi osiodłasz i niech ci pan Zagwojski jakiego podjezdka silnego wybierze. I króciwę niech ci da, i woreczek z prochem, a drugi z kulami.

– Jezus Maria!

– Nie „Jezus Maria”, tylko „służba” i „tak jest”. Głowę można w tej wyprawie stracić, więc broń ci się przyda. Jasiu!

– A co?

– Ale tę głowę trzeba wprzódy umyć, boś już nie kuchcik, ale kozaczek.

Bywaj – pożegnał go Tomasz.

A chłopiec całą noc oka zmrużyć nie mógł.

ROZDZIAŁ VII

Nagle przyszło osłabienie. Złożywszy głowę na ramieniu pani chorężyny, płakał bezgłośnie, a dreszcz wstrząsał jego ciałem. Ona uspokajała go:

– Cicho, cicho, synem mi będziesz...

Jeszcze przed chwilą czuł się mocny. Bo osaczony. Uwagę miał napiętą, myśl chłodną, rozważną. Czuł na sobie oczy nieprzyjaciół – podstępne, ukryte – podpatrywały go od chwili, gdy na ziemię bolatyńską wjechał. Spoza płotów, spoza krzewów, pni, okien. Coraz ludzie jacyś wynurzali się – zbrojni, posepni, milczący.

Spodziewano się tu mnie, pomyślał nie bez zadowolenia. Ktoś z Błudnik musiał dać znać, że ku Bolatynowi ruszył. Mam zdrajcę w domu. A jeśli i bez tego się spodziewali? A więc boją się, pomyślał, na złodzieju czapka gore.

– Strachasz się, Jasiu? – spytał swojego nowego pacholika.

– Gdzie tam! – zaprzeczył chłopiec i zaraz dodał: – Jakże się mam nie bojać...

– Nie bój się, nie od razu nam głowy utną – pocieszał Jasia – wprzódę się nami pobawią, wywiedzą się i dopiero potem.

Przy samborzu zatrzymały ich strażę zbrojne. Obejrzały ich od stóp do głów oczy ponure, ręce nieufne.

– Dwóch? – spytał z niedowierzaniem stary żołnierz.

– Przecież widzicie. – Widzę: dwóch. Przejdźcie.

– A wy przed kim tak się chronicie? – sytał niewinnie Tomasz.

– Przed Tatarami – odburknął strażnik i ponaglił ich niecierpliwą dłonią:

– Przejdźcie, przejdźcie. – Częstokół zamieniono murem solidnym, zauważył Tomasz. Sunęli stępa w szpalerze czujnych oczu.

– Jasiu – szepnął Tomasz.

– A co? – Jakby mi ktoś w łeb wypalił, zawracaj koniem.

– I co dalej? – dopytywał się Jasio.

– A potem z konia skocz i umykaj przez mur. Co sił w nogach, bo jak zginę, nie będą cię oni życiem darzyć.

– A dokąd? – spytał Jaś.

– Do pana Wolskiego.

– Do pana Wolskiego – wbijał sobie w pamięć Jasio i spytał: – A znienacka nie strzelą?

– A bies ich wie. Czuwają, i tyle.

Tak pod zamek podjechali. Niewielki, nie równać mu się z Lubomirskich czy Krasickich twierdzami, ale jednak murowany, obronny, z wieżyczkami i podjazdem kamiennym. Portal szeroki, ozdobny, nad nim jastrząb rzeźbiony gotowy do lotu („szerokie są wrota do krainy zatracenia”, przypomniał sobie Tomasz), a przed portalem dwaj sabaci węgierscy, którzy mogliby go znać, ale się z tym jakoś nie zdradzali. Jeden z nich kołatką u drzwi potrząsnął, uchyliły się podwoje i wyszedł Tatar w błękitno-złotej barwie Bełzeckich. Więc Rachmet wolności nie odzyskał, domyślił się Tomasz i kazał Jasiowi zejść z konia: przybyliśmy na miejsce. – Witaj, Rachmecie, przypominasz sobie mnie? – zwrócił się do Tatara. Rachmet nie odpowiedział. Patrzyli na siebie w milczeniu. Zestarzał się, myślał Tomasz, przypatrując się stwardniałym rysom twarzy Rachmeta, który był ledwo dwa lata starszy od niego. Pamiętam, że miał w sobie miękkość, był miły i delikatny. A on równie żałośnie ocenia mnie, zrozumiał naraz. Tylko oczy tak samo piękne jak wtedy, smutne oczy jeńca, może teraz smutniejsze niż kiedykolwiek przedtem. – Waćpana jak godność? – spytał Tatar sucho.

– Błudnicki.

– Do jego wielmożności pana chorążego?

– Tak.

– Czekać proszę – powiedział Rachmet i zniknął za dębowymi drzwiami. Czekamy, Jasiu. Znowu podwoje uchylły się i ukazał się Ligęza. Ale chmurny, uśmiechem nie obdarzył. Powiedział:

– Czołem, panie Błudnicki, proszę za mną; końmi się ludzie zaopiekują.

– Więc poszli przez sienie i korytarze, i pokoje zamkowe – Ligęza pierwszy, Tomasz za nim, dalej pachoł i Tatar. Oschłość Ligęzy nic dobrego nie zapowiadała. Tomasz patrzył na znajome sale i wydawały mu się wspanialsze, bardziej obstawione niż ongiś. Nam to wydarte, pomyślał. Mojego ojca to praca i krew. I życie, dopełnił myśl. I życie. Położyć dłoń na rękojeści szabli? Zabić Bełzeckiego i zginąć? Słyszał za sobą przyspieszony oddech Jaśka. Zginie i on, jeśli ja szaleństwo popełnię.

– Tomaszek! – usłyszał nagle. Kroczył ku niemu siwowłosy pan, w żupanie szkarłatnym, bez pasa i szabli, siedł z rękami szeroko rozpostartymi. – Tomaszek, Tomaszek, Tomku! – powtarzał czcigodny pan. – Więc zjawileś się wreszcie. Wybacz, zem cię nie nawiedził, miałem tu bez liku kłopotów, starań, długo rozprawiać, a potem wieść przyszła o tym, żeś się niecnoto sam na siebie targnął, no jak mogłeś, ledwoś z tamtych terminów się wygrzebał i wnet z własnej woli, niecnoto, w nowe się wpędziłeś. Tomku, niecnoto – powtarzał pan chorąży, więc Tomasz tą serdecznością zaskoczony tylko głowę pochylił, dłoń do serca przyłożył, ale pan Bełzecki go objął i Tomasz poczuł zapach pachnideł. Przyjemny aromat, pomyślał, pewnie pani chorążyna sama *fecit*, aromatariusz z niej zawołany, najlepsza apteczka w Sanockiem. Stał przed panem Bełzeckim i wszystko widział naraz: ogień w kominie płonący, panią Bełzecką, która z krzesła powstała, i dziewczynę, która stojąc obok okna przypatrywała mu się kpiąco, a zauważyć też zdążył, że jasne włosy miała rozpuszczone, na plecy aż opadały, a na czole przepaskę nosiła z jedwabiu błękitno-złotego,

Ligęza stał za panem Bełzeckim, dłoń na szabli, gotów ciąć, najpierw ojca zabił, teraz mnie nie zawaha się życia pozbawić. – Synem mi będziesz, Tomaszku – zapewniał przez ów przyjemny aromat głos miękki i ciepły – nie tak, asani? – zwrócił się chorąży do żony.

Nie masz dowodów, powiedział sobie Tomasz, za wcześniej byłoby szablą machać. Usłyszał szept pani Barbary Bełzeckiej:

– Tomaszku, źle ci na świecie, że chcesz z niego uciec?

Stała przed nim surowa, z wielkim srebrnym krzyżem na piersi, ze śladami barwiczki na policzkach. Nie odpowiedział. – Synem mi będziesz – powtórzyła za mężem pani Barbara. Wtedy właśnie dopiero ogarnęło go to osłabienie. Pękła tama i łzy popłynęły. Pani Barbara przytuliła go do siebie. Dreszcz wstrząsał jego ciałem ale przecież nie przestawał myśleć z uporem o jednym: a ty, pani, co ty wiesz? w czym ty uczestniczyłaś?

– Wybacz słabość, waćpani – powiedział cicho.

Przetarła mu oczy rękawem sukni, uśmiechnęła się z dobrocią:

– Bodajbym tak synów moich tulić i łagodzić mogła. Jedna mi jeno donia została. Popatrz, tam stoi: poznajesz ją, Urszulkę?

Dziewczyna uśmiechnęła się z daleka i w tym uśmiechu zauważył już nie kpinę, ale ogromną pewność siebie. Pięknaś, moja panno, pomyślał, wiesz o tym, do hołdów przywykłaś, ale po mnie ich się nie spodziewaj.

Odpowiedział:

– Poznaję. – Skłonił się głęboko. – Sługam waćpanny i ręce całuję.

Urszula skinęła głową. Pan Bełzecki wydawał pospiesznie dyspozycje. Na potem, na potem te solenności, czas mu odpocząć z drogi, odetchnąć spokojnie. Pójdiesz teraz, Tomaszku, ze swoim pacholikiem do komnaty, którą ci przydzielono. Kąpiel przygotujcie mu, odzieżą się zająć. Wieczereżę mu tam podać, niech ją spożyje spokojnie u siebie, a potem racz do nas zejść synu, będziemy gwarzyć przy winku, wspominać, przyszłość układać.

– Pana Koniecpolskiego starostę poznasz – mówił chorąży sanocki. – Już dni kilka u nas gości, względem naszej Urszulki ma projekty, ot i nie umiem się zdecydować, może ty radą posłużysz. Rachmet, ty się naszym gościem zajmiesz. Czekamy waści niecierpliwie – zakończył wskazując drogę.

Schodami na górę. Wspaniałości, pomyślał Tomasz rozglądając się. Szpalery drogocenne, zbroje, amorki, obrazy włoskiej roboty. Na to poszły owe beczki z pieniędzmi?

– Na lewo, wasza wielmożność – odezwał się Rachmet.

Znał tę drogę, nieraz ją z ojcem odbywał. Schodami na górę, a potem korytarzem na lewo. Czwarte drzwi, nie, piąte. Nad nimi krzyż z przechyloną głową Chrystusa, którego spojrzenie też wydało mu się znajome. Rachmet otworzył szeroko drzwi.

– Komnata waszej wielmożności.

Tomasz poczuł przyspieszone bicie serca. Wszystko jak wtedy! Choć mniejsze, podniszczone, wytarte jakby. Skrzynia w kącie z mosiężnymi antabami. Stół na ligarach krzyżowych, a na nim serweta lniana, pięknie jedwabną nicią obrębiona. Krzesło z oparciem plecionym. Zwierciadło w złotej ramie, a pod nim stolik z miednicą, nalewką i kubkiem cynowym. Piec majolikowy. Ława pod ścianą – tak, z tym samym kobiercem chłopskiej roboty, w kwiaty i serca haftowanym. Sekretarzyk tureckim sposobem inkrustowany. Pamiętali! Rozbraja mnie przebiegły pan Bełzecki, obezwładnia. Tatar przypatrywał mu się w milczeniu.

– Rachmet...

– Słucham waszmości.

– Tę komnatę sam pan chorąży mi wyznaczył?

– Tak, wasza wielmożność.

– Wiesz, że to komnata, w której zatrzymywał się mój ojciec nieboszczyk?

– Spodziewałem się tego, wasza wielmożność.

– Czy trzeba było jakichś specjalnych przygotowań, żeby dawny wygląd przywrócić?

– Ten kobierzec przynieść – Rachmet wskazał na ławę. – I tę Marię. – Wskazał na obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem. Dodał z uśmiechem: – Zwierciadło też. I to.

Sekretarzyk jeszcze. Znawca dusz, pan chorąży. Tatar stał czekając na rozkazy.

– Rachmet, więc nie przysłano za ciebie okupu?

Tatar odpowiedział ledwo słyszalnie:

– Wyrzekli się Rachmeta. – Potem westchnął: – Wasza wielmożność i to pamiętasz...

– Pamiętam. Ale pewnie ci tu dobrze, Rachmecie?

– Dobrze. Pan Bełzecki łagodny. Waszmość widzisz na mnie tę barwę? Z najdroższej materii.

– Czyli nie chcesz na Krym wrócić?

– Chcę, wasza wielmożność, ale okupu nie przysyłają.

– Czemu cię pan chorąży na parol nie zwolni?

Tatar nie od razu odpowiedział.

– Jego wielmożność nie taki człowiek, żeby na parol puszczał. – I dodał: – Chociaż jego samego Turcy na parol puścili.

– Kiedy byłem tu przed laty, pamiętam, że drwa rąbałeś i wodę do kuchniś nosił. Teraz cię pan chorąży pokojowym uczynił, co by świadczyło, że darzy cię zaufaniem.

– Wasza wielmożność – powiedział Rachmet dumnie – jam jest Tatar wysokiego rodu. Mnie się w moich krajach buzdygany należą i niewolnicy,

i wory ze złotem.

– Pewnie dlatego woleli o tobie zapomnieć – mruknął Tomasz.

Rachmet nie odpowiedział. Skwapliwie zajął się Tomaszem i pacholikiem. Po kąpeli i wieczerzy wniósł świece i przy ich blasku pomógł Tomaszowi się przebrać. Gość dopinał kaftan, kiedy do drzwi rozległo się pukanie i głos paniński zawołał:

– Waćpan gotowy?

Otworzył drzwi. W półmroku korytarza stała Urszula i spoglądała nań kpiącymi oczyma.

– Wejdz waćpanna – powiedział skłaniając głowę. – Tylko popatruj w stronę, bo guzy dopinam. – Weszła. – Siadaj waćpanna. – Siadła bokiem, ale zerkała w jego stronę na złość, niby strasznie rozciekawiona. – Wybacz, jeśli... – zaczął i urwał.

– Jeśli co? – podchwyciła.

– Nic. Tak w ogóle wybacz.

– Bardzoś asan elokwentny.

– Na wojnie zgubiłem retorykę.

– I uprzejmość też?

– Bo co?

– Spojrzeć na mnie nie raczyłeś.

– Kto wie – mruknął.

– A ja może o tobie śniłam.

– Waćpanna nie kpij ze mnie. Bo ci i nie przystoi.

– Czemu?

– Stan swój paniński na szwank wystawiasz.

– Och! – zawołała – Ach! Ech! I uch! – dodała składając ceremonialny ukłon.

– Teraz kontent jesteś waćpan?

– Czego ode mnie chcesz? – spytał szorstko.

– Żebyś był uśmiechnięty.

Serce mu zabiło. Co za napaść! Spytał:

– Pannę chorążankę ojciec tu przysłał?

– Ojciec.

– Zaszczyt to dla mnie niewypowiedziany – mruknął. Tylko nie zakochaj się w córce mordercy, pomyślał, tylko tego sobie oszczędź. Widziałem piękniejsze, zbuntował się naraz. Nie dam się usidlić! Spytał znowu szorstko: – A można wiedzieć, po co pan chorąży waszmościankę fatygował?

– Żebym cię spytała, nie trzebali ci czego. I żebyś się pospieszył.

Założył swój pas ze srebrną sprzączką. Sięgał już po szablę, kiedy nagle dostrzegł uważne i – tak, jakżeby inaczej – kpiące spojrzenie Urszuli. Chwilę trzymał broń niezdecydowany. Potem spytał:

– Można ku nim bez szabli?

– Pewno, że można. Nie obrażą się, bądź pewien. – Roześmiała się przy tym.

– U nas łbów ucinać nie trzeba.

Zachmurzył się.

– Waćpanna to wiesz.

– Wciąż jakieś nadzwyczajne wieści docierały.

– Jak o Kainie – burknął.

– A co z twoją ręką?

– Już dobrze – mruknął. – Rachmet opatrzył.

– To i Rachmeta pamiętałeś? – podziwiała.

– Wszystko pamiętam.

– Nie, nie wszystko – powiedziała stanowczo. – Idziemy – pchnęła go do drzwi.

Wyszli na korytarz. Przybiegł pachoł z pochodnią i poszedł przodem. Urszula mówiła:

– A ja pamiętam, żeś był do żartów skory. Śmiałeś się dużo i łatwo. Ktoś cię, mój panie, odmienił. Straciłeś na tym...

Straciłem. Wiem o tym, pomyślał, ale wesołości swojej nie pamiętam. Jakby z książki ta wiedza, brak w niej pamiętki przeżyć własnych. Ona zagadnęła go nagle:

– Waćpanie, do domu przez Zadnieprze wracałeś?

– Tamtędy.

– A szarańczęś widział?

– Przeszłego roku.

– Prawdali to, że szarańcza ma na skrzydłach słowa chaldejskimi literami wypisane?

– Jakie słowa? – zainteresował się.

– BOŻY GNIEW.

– BOŻY GNIEW? Nie słyszałem ja o tym. Widziałem, że jakieś znaki ozdobne ma, ale czy to chaldejskie litery, tego nie wiem.

– Należało te znaki odrysować i przywieźć – powiedziała niezadowolona.

– Co by to dało? – spytał.

– Sprawdzilibyśmy między uczonymi ludźmi. Ot, Mniszchowie alchemika u siebie trzymają, a ten, powiadają, chaldejskie traktaty czytuje.

Pan Bełzecki, ujrawszy gościa z córką, powstał z ławy. Szedł ku nim, trzymając przed sobą puchar napełniony po brzegi, tak że krople z niego wylewały się na wzorzystą posadzkę.

– Jesteś wreszcie! Pij, Tomaszku! To twój puchar! Pij asan! – Wręczywszy gościowi puchar skłonił się głęboko. – Uczcić cię chcemy starym obyczajem.

Tomasz nadpił, ale tylko trochę. Pan chorąży nie nastawał. Był to człowiek wykształcony i nie wszystkie twarde obyczaje kultywował. W Bolatynie panował obyczaj zachodni, bardziej zamojski niż łańcucki. Tomasz dostrzegł zadowolenie gospodarza, kiedy ten stwierdził, że gość szablę w komnacie zostawił. Pewnie, żeś kontent, pomyślał, odetchnąć swobodniej możesz. Więc się mnie boisz! Przedstawił go chorąży staroście będzińskiemu, panu Zygmuntowi Stefanowi Koniecpolskiemu, równolatkowi Tomasza lub może rok – dwa starszemu. Jego wysoki wzrost, szerokie bary, ruchliwość postaci, krótka słomiana czupryna na podgolonej głowie, wąs starannie podkreścony, kontrastowały dziwnie z małą uśmiechniętą twarzą i zdziwionymi jak u dziecka oczyma.

– Waćpaneś pod Moskwą był, słyszałem? – spytał Koniecpolski.

– Pod Moskwą i w Moskwie – odparł Tomasz z miejsca najeżony.

– Tedy pewnie Stanisława, mojego brata stryjecznego znałeś?

– W innych ja wojskach służyłem – odpowiedział Tomasz – i nie miałem szczęścia się z nim zetknąć, ale o jego waleczności wiele słyszałem.

– W wielkich on faworach u pana hetmana Żółkiewskiego – powiedział Koniecpolski. – Będziesz do niego potrzebował protekcji, to powołaj się na mnie.

– Dziękuję waszej wielmożności, ale nie myślę, żeby mi czyjakołwiek protekcja na coś się zdała.

– Takiś waćpan koligat?

– Zgołam nie koligat. Ale służyć więcej nie zamierzam.

– Szkoda, dzielnieś zaczął. Mógłbyś z czasem i do pułkawnikostwa dojść.

– Nie nęci mnie to – odparł z oznakami zniecierpliwienia Tomasz.

– Na mnie się radniej powołaj, panie Tomaszku! – zawołała Urszula. – Będzie mi ów waleczny Koniecpolski powinowatym, to pewna, że go sobie

dokoła palca owinę. Bo musisz wiedzieć, że pan starosta o moją rękę się stara, a ja nie przeciw.

– Urszulko! – zgromił ją ojciec, a Tomasz spostrzegł, że Koniecpolski zarumienił się.

– Och, panie starosto – powiedziała z uśmiechem dziewczyna – to w swaty mogłeś posyłać, a ludziom w oczy spojrzeć nie śmiesz? Nie wiem, czy mi się na męża nadajesz, taki nieśmiały.

– Urszulko! – błagał ojciec.

– Panie Tomaszu – mówiła dalej – wiesz, kto sam do nas w niedzielę przewodnią od pana starosty przybył? Książę Ostrogski! Ni mniej, ni więcej. On do nóg mi padł! No, ale mi głupio było! Szkoda, że Tomaszek tego nie widział. Odmalować i na ścianie powiesić. Książę w roli posłańca miłości, ja niby jaka Betsabe czy inna jawnogrzezniczka.

– Urszulka!

– A tu obecny pan Koniecpolski za króla Dawida! Żal tylko, że psalmów nie układa. - Zwróciła się do czerwonego jak burak starosty: – I po co waćpanu było księcia pana niepokoić. Nie mogłeś sam ojcu do nóg paść?

– Nie śmiałybym wbrew zwyczajowi – bąkał pan Koniecpolski. – Despekt by... Że to panna chorążanka jako chorążanka...

– Urszulko, posłuchaj mnie – wtrącił stanowczo ojciec. – Pan Koniecpolski ma ci coś bardzo ważnego do powiedzenia.

– Co takiego?

– On sam ci powie, a ty wysłuchaj i zastanów się. Pan Koniecpolski dobrze chciał, ale... Panie Zygmuncie, idźże z panną do biblioteki, wytłumacz jej co zaszło, i daj Boże, by ci wybaczyła.

Urszula nagle spoważniała.

– A co zaszło? – spytała chmurnie.

– Idź, idź, córuniu, pan Zygmunt ci wytłumaczy.

Kiedy tamci dwoje wyszli, wstał z za stołu Ligęza i podniósłszy kielich zadeklamował:

*Le donne, i cavallier, l'arme, gli amori, le cortesie, l'audaci imprese
io canto...*

Był pijany. Obszedł stół i stanął przed Tomaszem.

– Ariosto – powiedział. – Nie ma dziś Orlandów Szalonych! – Zachwiał się.

– Nie ma miłości, śmiałych imprez, bohaterów. Ostatnich diabli wzięli. Czemu ja do tego kraju wróciłem, zamiast włoskie księstwka do góry dnem wywracać?

– Jeśli-ć tam czekają, możesz jechać – powiedział Bełzecki.

„Zrobił swoje, już mu niepotrzebny. Już mu ciężki”.

– Ty mnie tu wezwałeś, nie tak, Łukaszku? – mówił Ligęza. – *Salvus conductus* obiecałeś, żebym mógł bezpiecznie po kraju jeździć. Gdzie on glejt? Nie ma! I miłości nie ma. I rycerzy. *Le Donne, i Cavalier, l'arme...* Nic nie ma!

– Idź spać, Ligęzo – poradziła pani chorążyna.

– *La lingua italiana suona come musica. Come musica!* – wołał Ligęza.

– Spać, Stefanku – ponaglała pani.

– Nie! – wrzasnął Ligęza. – Słuchać mnie trzeba. – Muzyka! – uderzył dłonią w stół, aż szklanice podskoczyły, a Bełzecki pobladł. – Muzyka – powtórzył infamis. Westchnął pełną piersią, po pijacku. – Ech, stęskniłem się! Do arii, do instrumentów. Co wy wiecie... Jedna jejmościanka mnie rozumie, ale już ją jakiemuś wąsaczowi zbywacie, już w baby przeobrażacie... Łukasz! – Tomaszowi wydawało się, że Ligęza nagle otrzeźwiał. Spojrzenie jego ciemnych oczu było skupione i złe. – Łukasz, powiedz chłopcu, co się z jego ojcem stało. Nuże! Przecież po to tu przyjechał. Po co rzecz odkładać?

Pan chorąży, stojąc do nich plecami, poruszył ożogiem w kominie. Strzeliło ogniem, jakby kto chrustu suchego dorzucił. Chorąży rzucił przez ramię:

– Nie byłem przy jego śmierci.

– No, ale swoje wiesz – upierał się Ligęza.

– Wiem może więcej niż inni – powiedział pan Bełzecki, odwróciwszy się ku nim. Twarz miał spokojnie smutną, nie bez tego lekkiego uśmiechu, który smutkowi nie przeczy, na odwrót, wyraża sympatię dla rozmówcy. – Zwierzył mi się ojciec twój nieboszczyk, że ogień go we wnętrznościach trawi. Radziłem mu medyka z Przemyśla sprowadzić, jest tam Włoch doświadczony, ale nie doszło jakoś do tego. Ale na wyjeździe, powiadał, medyka odwiedził.

– W przeddzień śmierci był tutaj – wrócił Tomasz.

– Był – potwierdził Bełzecki. – Rachunki mieliśmy czynić. Ale prawdę mówiąc, niesporo to szło. Bóle miał.

Tomasz milczał.

– Czy chcesz jeszcze coś wiedzieć? – spytał Bełzecki.

Pytania cisnęły się na usta. Ale uważaj, pomyślał, nie wygarniaj niczego przedwcześnie.

– Dzięki waszej wielmożności i za to – powiedział.

– Mów, Łukasz, mów wszystko – powtarzał Ligęza.

– Upiłeś się, idź spać – pędził go Bełzecki.

– Mów. – Ligęza powtórzywszy to zachwiał się i oparł o stół.

– Tomaszek wie wszystko. Wie, że rodzica jego afektem darzył. Wie, ile on mnie zawdzięczał.

Tomaszek odparł oschlej, niżby sobie życzył:

– Tego, żałuję, ale nie wiem, wasza wielmożność.

– Nie wiesz? Ojciec ci nie mówił? – zdziwił się chorąży. – A to, że ojciec do rąbania się najmował, mówił?

– Tak – skłamał Tomasz.

– Łukasz – upomniała pani chorążyna męża. – Po co teraz te wspominki?

– A co w tym wstydlivego szablą rąbać? Szlacheckie zajęcie. Waszmość pani idź do biblioteki, do młodych, nie wolno im nazbyt długo na osobności przebywać, bo co sobie pan Koniecpolski o nas pomyśli.

Pani chorążyna posłusznie wyszła. Bełzecki zwrócił się do Tomasza:

– A że w niewoli tureckiej ojciec twój był, wiesz?

– Wiem.

– A kto go stamtąd wykupił?

– Kto?

– Ja – powiedział pan Bełzecki. Zaśmiał się. – Któż by inny...

Tomasz milczał.

– Opowiadać? – spytał pan Bełzecki.

– Racz waszmość.

– Spotykałem twojego ojca to sam, to tam, jakeśmy jeszcze młokosami byli, aleśmy się bliżej nie znali, bom wolał mu w drogę nie wchodzić. Co prawda, to prawda. Nie najlepszą miał sławę przy mistrzowskiej ręce. Może jeden Stefan Ligęza dałby mu radę, ale wonczas to się on jeszcze maminej zapaski trzymał. Bliżej poznałem pana Jana Tomasza na Multanach, kiedy hetman Zamoyski Mohiłę na gospodarstwie w Jassach osadzał. Otóż my dwaj, ojciec twój i ja, my nie z hetmanem, ale na własny rachunek gospodarowi najeliśmy się, ja z poczem zbrojnym nie miałym, a ojciec twój samoszost albo i tego mniej. Obaj świeżo żonkosiami byliśmy, obajśmy się na onej wojaczce wzbogacenia nadzwyczajnego spodziewali. Ja, prawdę powiedziawszy, i sławy szukałem, bom, tak myślał: poszczęści mi się, to o

dygnitarstwo się upomnę, posłować może do Turek będę. Zaś twój ojciec chciał się na koniec z biedy wysforować, bo mu się pierworodny urodził. (– Czyli ja – wtrącił Tomasz). Dobrześ odgadł. No i cóż, hetman, ten swoją kolejną wiktorię odniósł, nam nieborakom nie poszczęściło się, zamiast guzów diamentowych na żupany i łupów tureckich guzy na łbie, a na ostatek do niewoliśmy się dostali. Długo okup nie nadchodził, więc się bisurmani gniewali, przeżywaliśmy ciężkie chwile, osobliwie ojciec twój, jako że wiedział turecki nassir, że gotowizny nie ma żadnej, za to rękę ciężką. Ale że umiał Jan Tomasz ludzi zauroczyć, więc w końcu i kapuczich sztuczkami i wdziękiem podbił i kiedym ja zachorzał, on mnie pielęgnował, dekokty od nassirowej wydobywał (która to Turkini, choć obyczaj tam srogi, a przecież znachodziła z narażeniem życia swojego sposób, żeby ojcu się pokazać), no i tym sposobem postawił mnie na nogi. Ale nie myśl, żem mu się brzydko odwdzieczył, Tomaszku. Kiedy Turcy mnie na parol puścili – nie mój parol, a kupców ormiańskich naszych – to ja, synu, będąc już wolnym, o panu Błudnickim nie zapomniałem, za pośrednictwem rzeczonych Ormian okup przekazałem także i za niego. A potem na spotkanie mu ażem pod Białogród wyjechał, tamem go z kapuczich rąk odebrał i do siebie zawiozłem. Obajśmy mieli po tych przejściach dość wojaczki, ja, że zdrowie nadszarpnąłem, ojciec twój zaś, że matka twoja rozstania znieść nie mogła. Powietrze wtedy ludzi kosiło, my i przez to przebrnęliśmy, bo do Bolatyna nie dotarło. Tak byliśmy na śmierć związani. Tedy mu powiadam: janku, druhu wierny, po co ci gdzieś po świecie szczęścia szukać, ja tobie ufam, a wiem, że masz i głowę kanclerską, i szablę w garści. Co rzekłszy, oddałem mu w zarząd dobra i szkatułę. – Bełzecki chwilę pomyślał, zanim nieoczekiwanie zakończył: – I to wszystko.

Ligęza od pewnego czasu drzemał nad szklanicą. Tomasz spytał:

- A jak ojciec majątkami waszej wielmożności zarządzał, dobrze?
 - On? Bardzo zręcznie. Bardzo – powtórzył Bełzecki. – Skarbnikiem koronnym jemu było być.
 - Waszmość, panie chorąży, na tym jego zarządzaniu nie straciłeś? – pytał nieustępliwie Tomasz.
 - Ja? Nie. Czemu bym miał stracić? Nie, nie. Ale i ja o jego interesy dbałem.
 - W jaki sposób?
 - A w taki, że za pośrednictwem pana Stadnickiego z Leska o królewskiej w dożywocie mu się postarałem. Którego by sam nigdy z łaski królewskiej nie dostał jako, uczciwszy uszy, chudopacholek i bez zasług publicznych.
 - Kozłów? I – upewnił się Tomasz.
 - Kozłów, Wojtkowa i Głodówka. Moje to mogło być, ale ja panu Stadnickiemu powiedziałem: Błudnickiemu dajcie, niech trzyma w dożywocie i niech sobie gospodarzy.
 - Ojciec wiedział, że waszmości sioła te zawdzięczał?
 - Jakże miał nie wiedzieć! Toć ja na nie od lat donację królewską miałem, przyznaną na wypadek śmierci ojca twojego.
 - Od lat ilu? – spytał chłodno Tomasz.
 - Od pierwszej chwili. Jeden z pierwszych aktów w stolicy nowej warszawskiej wydany...
- Tomasz milczał. Ligęza otworzył oczy i wymamrotał:
- Mów wszystko, Łukasz. Albo – albo.
 - Idź spać.
 - Pójdę. – Ligęza powstał z ławy. Znowu wydawał się przytomny. – A waćpan mnie odprowadzisz – zwrócił się do Tomasza.
 - Uczynię to z chęcią – zaofiarował się Tomasz.

Ligęza wsparł się na jego ramieniu. Czuł ciepło ciała infamisa, słyszał świszczący pijacki oddech. Zabójca twojego ojca. Przeszli amfiladą sal do alkierzyka. Ligęza zatrzymał się w drzwiach.

– Zadowolonyś z opytu? – odezwał się kpiąco.

– A to prawda, co mówił pan chorąży? – spytał Tomasz.

– Prawda prawd.

– I o tych siołach?

– Wszystko.

– I że ojca ogień trawił?

– Kogóż jakiś ogień nie trawi?

– Waćpan jednak tego dosłownie nie bierzesz – zauważył Tomasz.

– Niczego.

– Panie Stefanie...

– Słucham waszmości.

– O intymne twoje sprawy rad bym się zapytał. Można?

– Siecz!

– Jakże cię Jewka przywitała?

– Nijak. Nie pokazywałem się u niej.

– Czemu to?

– Nie rozumiesz? Bo chcę zapomnieć. Zdławić chcę. Tak, żeby i z oczu, i z serca! Tomasz uśmiechnął się:

– A może nie masz odwagi?

Ligęza westchnął.

– Przenikliwy jesteś, młodzieńcze. A więc tak, *corpo di Dio!* Nie mam odwagi.

– Wszelako ja bym się chciał z sieluszką twoją zobaczyć.

– Po co? Ach! – domyślił się Ligęza – żeby o ojca przepytac.

– Ty też jesteś przenikliwy. Naprowadzisz mnie do niej?

Ligęza chwilę gryzł wargi.

– Dobrze – powiedział wreszcie. – Pójdziemy. Z tobą mogę iść. Jutro rankiem na folwark skoczemy.

– Dzięki. Panie Stefanie, a to prawda, że pan chorąży także się w Nastce rozmiłował?

– Prawda.

– To pewnie inwidia go trzęsła, że Kozłów ojcu przynależy.

– Tego możemy się tylko domyślać.

– Ale teraz jej sobie nie bierze?

Ligęza położył dłoń na szabli.

– Nie – powiedział.

– A właściwie czemu nie?

– Możesz go waść zapytać. Dobranoc.

– Jeszcze jedno – poprosił Tomasz.

– Mów.

– Czemu to waćpan cały czas dobrze mi znaną Nastkę jakąś Jewką nazywałeś?

– Z pewnością nie ze strachu przed tobą – odpowiedział infamis. A kiedy Tomasz milczał, spytał: – Nie wierzysz?

– Jednakowoż – czemu?

– Bo... – Ligęza pokręcił z uśmiechem głową. – No, bo Ewa! Nie rozumiesz? Ewa – wcielenie cnót i przywar białogłowskich. Ewa. Jewka. Teraz już wiesz?

– Tomasz kiwnął głową. Pan Ligęza powiedział: – Do południa bądź gotów. Zdamy do przygłupów na polewkę. *Addio, caro mio* – szepnął i zniknął w ciemnym alkierzyku.

"*Caro mio*", powtórzył w myśli Tomasz. Poczekaj, bratku, niech dowód zdobędę, to natenczas tobie albo mnie śmierć, nic ci nie pomoże, ani twoje

uśmiechy, ani uroki, ani dzielność i mistrzostwo. Szedł długim, pustym korytarzem, którego ściany coraz to różowiły się od mdłego blasku lamp, to znów tonęły w pomroce. W takim mrocznym miejscu napotkał Jasia.

– Czego tu się włóczysz? – zburczał pacholika.

– Ja za jasnym panem.

– Czego znowu?

– Bo jasny pan bez broni.

– I co byś pomógł? Wracaj do izby i legnij sobie.

– Az waćpanem co będzie?

– Nikt tu na mnie nie czyha, to mnie się obawiają.

– To burdy nie będzie?

– Dzisiaj nie.

– Bóg miłościw... Panie, jaką ja tu izbę widział! Od dołu do powały po ścianach ino księgi a księgi. Chyba sam książkę ciemności więcej ksiąg nie przeczytał...

– Myślisz, Jasiu, że księgi tylko praktykom szatańskim służą? Gdzież ta cudowna izba?

– Po drugiej stronie schodów.

W bibliotece zamkowej natrafił Tomasz na niemą scenę, jakby teatr cieni się odgrywał: panna Urszula siedziała przy stole rzeźbionym, dłońmi wsparła opromienioną złotym blaskiem głowę, a obok w lichtarzu trójramiennym dopalały się świece. Pan Konięcpolski wzburzony przechadzał się między ławami, zaś pani Barbara stała oparta o marmurowy blat zimnego komina, nieruchoma jak posąg. Usłyszawszy kroki Tomasza, Urszula podniosła głowę.

– Waść tu – powiedziała z miną tragiczną. – O Boże, co za głupia historia! Czuję się stara, jakby mi dziesięć lat przybyło. Nie mówcie mu! – krzyknęła nagle.

– Piękny księgozbiór – odezwał się Tomasz myśląc: niepotrzebnym tu, trzeba uciekać.

– Ach, księgozbiór – usłyszał głos Urszuli. – Pewno, że piękny. Na utrapienie moje ojciec to zbierał.

– Czemuż to? – spytał Tomasz.

– Bom siła tego przeczytała i teraz nie wiem, na co mi się to wszystko zda. Do przędzenia, do uprawiania wirydarzyka żadnej z tych ksiąg nie trzeba. Pary dla siebie nie mam w okolicy! Przyjaciółki głupie mi się wydają, a i pewnie są takie. Powiem im o czymś ciekawszym, to one oczy w słup, buźki rozewrą i cudują się: Ulka, nie breszysz? Nie żarty to? Oj, Ulka, ile ty tego wiesz! Jeszcze ci się co złego stanie...

– Nie przesadzasz waćpanna ze swoją wiedzą? – spytał Tomasz.

– Czy ja mówiłam, że dużo wiem? Mówiłam tylko, że inna gęś od tamtych gęsi, i to wszystko. Jeślim tego kiedyś nie rozumiała, to teraz dobrze rozumiem, że wiedza to jak morze. Nie zgłębić i nie zmierzyć. I nie dla mnie! Bo po co? Może nad księgami siedzieć ktoś, dla kogo to cel życia. Ale moje przeznaczenie zgoła inne.

– Jakże? – spytał Tomasz.

– Zapytaj waćpan pani matki, to ci odpowiedzą. Od kilku lat piątki suszy, żeby mnie godnie za mąż wydać.

– I szczęśliwie – ożywił się pbsąg przy kominie.

– Tak, szczęśliwie – potwierdziła z przekąsem córka. – No i co? Cóżes tym postem uzyskała?

– Będziesz szczęśliwa.

– A jakże! Mnie tu rekuza ze strony jegomości pana starosty spotkała.

– Waćpanna tak nie mów! – zawołał Konięcpolski.

– Miałaś milczeć – przypomniała matka.

– Och, co tam, chyba mu powiem – powiedziała z rezygnacją Urszula. – Przecież i tak ojciec chcieli rady pana Tomasza zasięgnąć. Bo to, Tomaszku, nie wiem, czy się śmiać, czy płakać. Straszliwie głupia sytuacja. Pojrzyj na pana starostę. Podoba ci się ten młodzieniec?

Tomasz mimo woli spojrział na Koniecpolskiego, który rękami zatrzepotał w bezsilnym proteście.

– Cóż mam rzec – bąknął Tomasz. – Chyba czas mu się ożenić.

– On też tak myślał. Gościł u nas, rozmawialiśmy i nawet spodobał mi się.

– Ręce jejmościance całuję – odezwał się pan Koniecpolski.

– Spodobałeś się, ale jeno w miarę – przycięła mu panna. – Ma być inny, niech już będzie ten, pomyślałam. Dość młody, żeby w tany poszedł, i pogadać można, chociaż nie o wszystkim, i nawet Horacego czytał. W ogóle raczej małomówny. Ale stwierdził, że mnie z całej duszy miłuje. Nie tak mówiłeś, panie starosto?

– Czysta prawda – potwierdził Koniecpolski. – Ale dajże już waćpanna spokój.

– Co prawda, dziwne to kochanie, bo wciąż mówił, że usta, ząbki i drobiażdżki... No, ale co to szkodzi, nie mam nic przeciwko temu, żeby moje drobiażdżki żądze w panu mężu wzbudzały.

– Urszulka! – zatrząsł się posąg przy kominie.

– Dobrze już, mamo, dobrze. Ale czy nie na tym uczucie panów małżonków zasadza się? Posłuchaj, Tomaszku. Pytał mnie nieśmiało pan starosta: to jak, przyjmiesz wdzięcznie swatów? Przyjmę, odpowiadam. I przyjeżdża swat. Nie uwierzysz waćpan, kto...

– Książę kasztelan Ostrogski.

– Właśnie! Aha, mówiłam ci już. Miły i schludny starowina. Rozmawiamy o tym i owym, staruszek całkiem zamroczony. Wciąż

powtarza: sługam uniżony, do nóżek padam, nóżeczki całuję, panu Koniempolskiemu zazdroszczę. I o posag się nie swarzy – waćpanna warta, żeby cię księstwo obsypać, perły i sobolami. Dziękuję, mówię, nic mi nie trzeba. Więc chcesz pana Koniempolskiego? – pyta księżę. Tak, odpowiadam. Aż tu – uważaj, Tomaszku, siadaj na ławie i trzymaj się mocno, bo na łeb zlecisz – aż tu zjeżdża mój wyśniony, pan Koniempolski, trzeci dzień bawi, łązi, pojękuje, kluczy, wreszcie rzecz wyklada. Teraz on nie narzeczony, ale sam swat – i to w czyim imieniu? Księcia pana!

– Co było robić – mruknął starosta.

– Słyszysz go?! – zawołała dziewczyna.

– Waćpanna jak dziecko się dziwujesz. Księżę sam do mnie pisał, żebym mu waćpannę odstąpił!

– A to jakim czołem? – oburzyła się panna, ale wyglądała tak, jakby z trudem dusiła śmiech.

– Po starszeństwu – tłumaczył Koniempolski. – Tak do mnie napisał. Waszmość, napisał, sobie inną oblubujesz, tyle życia przed tobą, a ja stary, nad grobem, już nie zdążę, a chciałbym, żeby mnie panny chorążanki wdzięki ostatnie lata umilały...

– Słyszałeś, panie Tomaszku?! – krzyknęła.

– Co było robić – powtórzył swoje starosta. – Nie sposób z księciem za pasy się brać. Jedź, pisał, i proś za mną. Tom pojechał.

– A gdzie twoja miłość? – spytała zaczepnie.

– Kiedy to pierwszy senator Rzeczypospolitej!

– Któremu moje wdzięki mają starość umilać. Pytam waszmości: co mi z tego przyjdzie?

– Księżną będziesz.

Urszula nachmurzywszy się powiedziała:

– Księżna czy starościna, czy prosta szlachcianka – jednako puste życie. Co z tego, że komnat więcej i służby mnogość? Nuda ta sama.

Tomasz spytał:

– A jakie inne życie waćpanna byś prowadzić chciała?

– Nie wiem – odparła. – Ale jest pewno jakieś inne.

Przeszli potem do sali, w której czekał na nich pan chorąży. Urszula nadal nie mogła się uspokoić. Stanąwszy przed swym byłym narzeczonym, rzuciła mu w oczy:

– Gdybym miała rycerza, wnet by cię na ostre wyzwiał, panie Konięcpolski. Ale dobrze pan Ligęza powiada, że nie masz już prawdziwych rycerzy, jeno zbójnicy najemni.

– Czego waćpanna ode mnie chcesz? – nie rozumiał nieszczęsny starosta.

– Waćpan może się na starostę nadajesz, ale do amorów się nie bierz!

– Jakie znowu amory? – bronił się pan Konięcpolski. – Ja się żenić chciałem.

– A ja ukochanego chciałam! W samo serce mnieś ugodził, panie Zyguncie! Więc mnie tak łatwo porzucić? Więc tak łatwo przestać o mnie śnić?

– Cóż uczynić miałem?

– Odmówić. Powiedzieć: raczej mi umrzeć, niż tej dziewczki ustąpić.

– Waćpanna nie wiesz, co pleciesz.

– Zabić księcia!

– Jezus Maria – westchnął pan Konięcpolski i Tomasz pomyślał, że pewnie gratuluje sobie, że się od tego małżeństwa odrzekł.

Urszula nagle roześmiała się.

– Dobrze, zaniechajmy tego. Cieszę się nawet, że tak się to obróciło.

– Księżną będziesz – przypomniał Konięcpolski. I dodał: – I moja to będzie zasługa. Na cały twój ród splendor spłynie.

Zrazu nikt mu nie odpowiedział. Potem pan Bełzecki odezwał się:

– Panie Konięcpolski, ja o splendory Bełzeckich dbam coraz mniej. Nie masz już moich synów... Gniazdo bolatyńskie na brata przejdzie, żeby przy nazwisku zostało. Jedną ją mam, donię moją, i to ona urodą cudzemu rodowi splendoru przyda... Wcale mi nie śpieszno, żeby córuchnę swoją starcowi, choć to pierwszy senator Rzeczypospolitej, oddawać, i jeszcze majątności za nią.

– Książę jej w dożywocie wielkie sumy i rozległe posiadłości zapisze – obiecywał pan starosta. – Po jego śmierci uczyni ona ze sobą, co zechce.

– Co powiesz, Ulka? – spytał ojciec. – Chcesz być księżną?

– Pan ojciec mnie ostatnie słowo zostawujesz? – spytała Urszula.

– Ja nie nalegam.

Urszula przyklękła, pocałowała ojca w dłoń.

– Tedy do jutra namysł odkładam – powiedziała.

Pan Konięcpolski skłonił się i odalił. Chorąży popatrzawszy za nim odezwał się:

– Zaczego rodu to człowiek, ale trudno nam się porozumieć. Coraz trudniej, Tomaszku – dodał melancholijnie. – Bardzośmy się tu Bełzeccy obcy uczynili. Po Urszuli to widać, jak sobie miejsca znaleźć nie może. A ty, Tomaszku, co zamyślasz robić?

– Jeszcze nie wiem.

– Gospodarzyć?

– Niewiele na swoim płachetku wygospodarzę.

– Ja ci powiem, co czynić. Ty ziemię siostrze zostaw albo puść w dzierżawę, a sam do mnie na służbę wstąp. Lafę otrzymasz, strawę i odzież. Mnie tu ludzi zaufanych trzeba i pocziwych. Tym więcej, iż z pana Ligęzy, jak sam widziałeś, coraz mniej pociechy.

– Bo pije?

– Pije, ale nie tylko to. Niespokojny. Wyrok nad nim wisi, dwór bolatyński go osłania, ale niech coś nowego przeskrobie, chwyci go pan Wolski i katu odda. Ja bronić nie będę – zastrzegł się chorąży. – Ja deptania praw nie pochwalam.

– Ale przecież pan Ligęza już raz był prawo podeptał.

– Nie raz. – Bełzecki uśmiechnął się. – Ale to przedtem.

Nie teraz, kiedy spełnił, co do niego należało, pomyślał Tomasz. Usłyszał ojcowski głos chorążego:

– To jak, Tomku? Pójdiesz do mnie? Ja szczerym sercem. Pomogłem twojemu ojcu, to pomogę i tobie.

– Nie wiem jeszcze, wasza wielmożność. Muszę się rozejrzeć. Z ludźmi porozmawiać.

– Z kim? – spytał Bełzecki.

– Z sieluszką jedną – powiedział Tomasz i zerknął kątem oka na panią Barbarę. Nie poruszyła się. Machinalnie przebierała w palcach paciorki różańca.

– Z sieluszką – powtórzył Bełzecki. – Nie z Nastką?

– Z nią.

– Porozmawiaj. Ale uważaj, nie bisurmań, bo ci bykowego nie daruję. Porozmawiać trzeba. Urodziwa dziewczka i obyczaj prostego. – Dotknął serwety lnianej, która stół pokrywała. – Widzisz ten haft? Nastki robota. Małżonka moja często u niej płótno kupuje. Smak pokazuje w tej robocie zadziwiający.

– Nieszczęsna z tym mężem – odezwała się pani Barbara.

– Wstręt bierze patrzeć – przytaknął chorąży.

Urszula siedziała cały czas zamyślona. Nagle spytała;

– Lubisz obserwować zwierzęta, panie Tomaszu?

– Choćbym i nie lubił, jakże na wsi bez zwierząt?

– A czy zwierzę może umrzeć ze strachu? Taki zając, jak go psy osaczają? Przecież on się boi. A wiadomo, że człowiekowi niejednemu ze strachu serce pęknie...

– O jakim człowieku waćpanna prawisz?

– W ogóle.

– Bo o moim ojcu Elżbieta powiada, że mu pewnie serce pukło.

– Kto to stwierdził? – spytała Urszula.

– Nikt.

„Nie wezwano medyka. Pochowano pośpiesznie”.

– To jak ze zwierzętami? – dopytywała się Urszula. – Gdzie by na to odpowiedź można znaleźć?

– Czemu waćpanna o to pytasz?

– Dlatego, że... Nie wiem. Tak mi do głowy przyszło, pytanie takie. Tak mniemam, że gdybym ja była zającem, a psy by mnie osaczyły, wolałabym, żeby mi się serce rozdarło i koniec. Tak uniknęłabym kłów. Nie myślisz waćpan, że byłaby w tym oznaka miłosierdzia natury?

– Boga – poprawiła matka.

– Masz rację, mamó. Natura nie zna miłosierdzia.

Tomasz wstał.

– Dosyć niespokojności waćpaństwu przyczyniłem.

– Tomaszku! – zakrzyknął pan Bełzecki. – Ten dom jest dla ciebie na ścieżaj otwarty.

– Dzięki.

– A jak twoje skaleczenie?

Tomasz poruszył palcami lewej dłoni.

– Lepiej – odpowiedział.

– Nie mogę cię zrozumieć – ubolewał pan Bełzecki. – Co to cię napadło? Jakby w tobie dwu ludzi siedziało. Jednego dnia lisowczykowi głowę

odrąbujesz, drugiego – po swoje życie sięgasz. To pierwsze łatwiej się tłumaczy – *in defensione* przecież. Ale to drugie...? Kiedyżeś już doma? Dlaczego? Przeciw komu ten czyn?

Tomasz zastanowił się, potem odpowiedział:

– Przeciw bólowi. – Wskazał na serce. – Zamiast krzyku.

– Zamiast modlitwy – poprawiła pani Barbara.

Tomasz popatrzył na nią i kiwnął głową.

– Tak, wielmożna pani. To bardzo możliwe.

Pachołek z pochodnią odprowadził go aż do drzwi.

– Dobranoc wielmożnemu panu.

– Dobranoc... nie, zaczekaj.

Za drzwiami obok ktoś nucił pieśń w dziwnym języku, było to coś wschodniego, pewnie jakaś modlitwa, bo Tomaszowi wydało się, że rozróżnił słowo „Isus”. Wygrzebał z kalety grosz i dał pachołkowi.

– Kto to śpiewa? – spytał.

– Pan włodarz – odpowiedział pachołek. – Modli się po ichniemu.

– Chrześcijanin?

– Kto go rozumie. Ormianin.

– Dziękuję, możesz iść.

Włodarz, dobrze się składa, zapytam go o te ojcowskie wsie, pomyślał. Pchnął drzwi – ustąpiły. Ormianin, w nocnej koszuli i czepku sypialnym na głowie, przerwał modlitwę i zerwał się z klęczek.

– Kto? – zawołał.

Tomasz zbliżył się i nagle stanął jak wryty.

– Toroszewicz – wybąkał.

– Ja, wasza wielmożność – odparł Ormianin.

– Cóż tu u licha czynisz? – szarpnął się gniewnie Tomasz. – Kto ci zezwolił?

– A kto mi miał zezwalać? Tu moje miejsce.

– U Bełzeckich?

– Gdzież by indziej?

– A w Błudnikach coś robił?

– Waćpan bierzesz mnie za mojego brata Ałmaza – powiedział z uśmiechem brodac z w koszuli. – Teraz rozumiem.

– Ja jeszcze nie wszystko. Ty kto jesteś?

– Lazor Toroszewicz, starszy od niego o trzy lata. Ale podobniemy jak bliźniacy. Jeno ja mam więcej srebrnych nitek w brodzie, popatrz waszmość.

Tomasz podniósł zapalone łuczywo. Rzeczywiście, ten Toroszewicz miał brodę bardziej oszronioną.

– Czemu cię w zamku dziś nie widziałem, panie Toroszewicz? – spytał Tomasz.

– Zajęty byłem, wasza wielmożność.

– Dawno u Bełzeckich pracujesz, panie Toroszewicz?

– Od dziecka, wasza wielmożność. Jeno ja u halickich zatrudniony byłem.

– Tedy ojciec mój cię nie znał?

– Nie znał mnie, wasza wielmożność, pókiśmy się w Przemyślu na targach nie spotkali. Spytał, czy nie znalazłbym dla niego jakiegoś pomocnika. To ja mu swojego brata rekomendowałem.

– Kiedy to było?

– Lat temu trzy.

Trzy. Zdaje się, że Ałmaz twierdził inaczej. Mniejsza, pomyślał i spytał:

– A po co ojcu mojemu pomocnik był potrzebny?

– Bo sprawy mu się wielce rozrosły.

– Waćpan dość dobrze wiedziałeś, co się w Błudnikach na dworze dzieje, nie tak panie Toroszewicz?

– Trochę wiedziałem.

– I co powiesz? Zabito mojego ojca?

– Chyba nie, wasza wielmożność.

– Pan Piotr Wolski twierdzi, że go zabito.

– Pan Wolski wszędzie kryminalistów widzi, bo to jego profesja.

– Jak dawno jesteś w Bolatynie?

– Od jesieni, wasza wielmożność.

– Od śmierci ojca mojego? – upewnił się Tomasz.

– Tak jest, wasza wielmożność.

Tomasz ciężko oddychał.

– Czy wiesz panie Toroszewicz, że jestem zrujnowany? – spytał nagle.

– Tak mi Ałmaz powiadał.

– Musiał on źle gospodarstwem zarządzać, twój braciszek.

– Wasza wielmożność, cóż on mógł? Jegomość nieboszczyk chciał pałac postawić...

– Za wysoko mierzył, powiadasz?

Lazor Toroszewicz milczał.

– Panie Toroszewicz, kazano ci mnie dziś unikać, nieprawdaż? Więc i nadal mnie unikaj. Nie widzieliśmy się, pamiętaj. A spróbujesz mnie zdradzić, panie Lazor, to cię znajdę i policzę się z tobą. Tu czy u halickich Bełzeckich – nie ukryjesz się przede mną. Rozumiesz mnie teraz?

– Tak jest, wasza wielmożność.

Tomasz opuścił komnatę wzburzony. Wiedział, że natrafił na coś ważnego. Ale jeszcze nie wiedział, co to znalezisko ma oznaczać. Siedząc na łóżku i zdejmując but, nagle zdrętwiał. Więc ojciec miał w domu szpiega! Dobrowolnie go sobie wziął, od Lazora Toroszewicza, o którego

związkach z Bełzeckim nie wiedział. I potem cokolwiek czynił, dokądkolwiek się udał – zawsze miał na sobie szpiegowskie oczy. O wszystkim pan Bełzecki był powiadomiony! Ojcu pomogłem, to i tobie pomogę. Bolało. Krzyczeć by! Tomaszku, mówiła Urszula przenikając go błękitnym spojrzeniem, a czy zając może umrzeć ze strachu? Umrzeć, zanim cios śmiertelny spadnie, zanim kły się w gardło werzną, myślał przymykając oczy.

ROZDZIAŁ VIII

Nazajutrz, kiedy dojechał z Jasiem poranną gramatkę z twarogiem, zaszedł ku nim Tatar Rachmet i zameldował:

- Wasza miłość, koń waszej miłości czeka osiodłany przed zamkiem.
- Nie kazałem siodłać – zauważył Tomasz.
- Panna kazała.

Cóż by to miało znaczyć? – zastanawiał się. Twarz Rachmeta była nieprzenikniona. Nie, od niego się nie dowiedzieć.

– Dobrze. Powiedz, że wnet się zjawię. Jasiu, podaj szablę! Zostaniesz tu i będziesz miał baczenie na wszystko.

Jego koń, którego przed podjazdem pilnował chłopak stajenny, miał na sobie czaprak nowy wołoskiej roboty, a do siodła z prawego boku przytroczoną strzelbę. Zaraz też, jak się tego spodziewał, przycwałowała na pięknym gniadoszu Urszula.

– Witam waszmości – zawołała. – Melankolia przeszła?

– Witam waćpannę. Mogłabyś mi rzec, co to ma znaczyć? – spytał wskazując na czaprak i strzelbę.

– Dla waszmości. Od pana chorążego podarunek! Racz przyjąć i nie marszczyć nosa. Siadaj waszmość, pojedziemy w okolice.

– Nigdzie nie pojedę – powiedział stanowczo Tomasz. – Z panem Ligęzą na folwark kozłowski się wybieram.

Urszula westchnęła.

– Od świtu niepowodzenie. Ale możesz dziesięć pacierzy mnie poświęcić?

Zrobiła taką błagalną minkę, że Tomasz nie wytrzymał, powiedział:

- Zgoda. Do parowu i z powrotem.
- Po staremu? – spytała z uśmiechem.

– Po staremu.

To znaczy: które pierwsze. Wtedy, przed laty, Tomasz zawsze konia powściągał, żeby Ulka płowokosa mogła go wyprzedzić. Radości ile z tego było! Widzisz, ja pierwsza, ja, Tomaszku, Tomaszeńku, stryjaszku, waćpanku, złociaszku, kochanieńku, pierwsza, pierwsza... Teraz konia nie wstrzymywał, ale też z trudem nadążał, a ona waliła przed siebie, biorąc skokiem przeszkody – płoty, rowy, wzniesienia. Aż wreszcie parów się ukazał, a w poprzek niego jawor zwalony, ociosany z gałęzi. Urszula spięła konia i przesadziła przeszkodę, Tomasz swojego konia powściągnął.

– Wygrałaś – zawołał i zeskoczył na ziemię.

– Wygrałam! Po staremu!

Zeskoczywszy z konia, siadła na zwalonym pniu. Policzki miała zarumienione, nos zadarty ku oczom uśmiechniętym spozierał. Położyła dłoń na swojej piersi.

– Ale mi się to rozfigłowało! – zawołała przyglądając się z zaciekawieniem rozfalowaniu piersi. – Chryste Panie. I pan Koniecpolski takimi skarbem wzgardził. Tomaszku?

– Słucham, asanno.

– Gdybyś umiał malować, tobyś mnie wymalował?

– I bez umiejętności rad bym tego spróbować.

– Myślisz, że mnie malować warto?

– Na pewno.

– Ale ja chciałabym się dać wymalować nago.

– Cicho ty! – Tomasz obejrzał się mimo woli.

– Co w tym złego? Jak byłam z ojcem w Warszawie, to w tamtejszych pałacach siłam takich obrazów widziałam, na których niewiasty gołe były.

– Artysta je sobie tak wyobraził.

– Gadaj zdrów wiesz komu? Z żywych niewiast wizerunek brali! A wiesz, mnie one się wcale wszeteczne nie wydały.

– A jakie?

– Nadobne. Sobą były. Jak Bóg je stworzył.

– Po co mi o tym mówisz?

– A komu mam mówić? Tak myślę, że tobie można. Ty mnie za te słowa nie potępisz.

– Kto wie.

– Nie potępisz – powtórzyła z przekonaniem. – Tomasz, czy ten pan starosta nie głupiec?

– Głupiec. Ale przecież tobie ten głupiec się podobał.

– Bo ja wiem. Przystojny. Chociaż fujara. Powiedziałam „tak”, bo za mąż chciałam iść, może by z tego co ciekawego wynikło. Wiesz, przyjaźniłam się u dominikanek z dziewczęciem, co okrutny pociąg miało do wszeteczności. Czego i z kim nie wyprawiała! To na koniec za luterskiego pastora się wydała.

– Nawróciła się?

– Ech, gdzie tam! Z czystej ciekawości to uczyniła, strasznie chciała do sekretu się dostać, jak to z takim świętym się żyje. Ale wszystko jedno, głupio mi i dotkliwie, że pan Konięcpolski tak łatwo się odmienił. A ty co mi radzisz?

– Waćpanno, od rad mnie zwolnij.

– Tobie mój los obojętny – powiedziała z wyrzutem.

– Czego ode mnie chcesz? – spytał niecierpliwie.

– Bo ja rozważam, czy się woli księcia pana nie poddać. Za kilka lat będę najbogatszą wdową w całej Małej Polsce.

– Sama wspominałaś, że co ci po tym – przypomniał Tomasz.

– A znasz opowieść o Fortunacie? – spytała. – To ci przypomnę. Fortunata wielki czarownik spytał, którą by własność cudownym sposobem chciał osiąść: urodę, siłę, zdrowie, mądrość czy mieszek niewyczerpany. – Urwała i przyjrzała się Tomaszowi. – A waćpan co byś wybrał?

– Król Salomon wybrał mądrość.

– A Fortunat – mieszek cudowny! Za złoto miał wszystko.

– Zdrowie też? – spytał Tomasz.

– No, przecież to bajka! Ale morał tu masz: złoto, złoto nad wszystkim.

– Morał niemoralny.

– Ale praktyczny.

– Więc powiesz księciu: tak?

– Toć od ciebie rady chcę.

– Dlaczego ode mnie?

– Bo cię tam w środku coś boli. Tedyś trochę inny niż wszyscy.

– Waćpannie moje rady na nic. Ty szczęścia potrzebujesz, miłości, uciechy...

– Pewnie, że chcę szczęścia, ale żeby ono wiesz jakie było? Żebym sobą nie gardziła. Żeby żyć niegłupio. Co radzisz?

– Nic. Sama siebie znasz najlepiej.

Urszula poprawiła włosy.

– Tegom wcale nie taka pewna – powiedziała i uśmiechnęła się.

– To twoja myśl z tą strzelbą? – spytał Tomasz.

– Moja. A co, źle?

– I z tym czaprakiem kosztownym?

– To już jedno przy drugim – powiedziała z uśmiechem.

– Owinęłaś sobie ojca dokoła palca!

– Co prawda, to prawda – przyznała.

– Ojciec twój hojny wielce.

– Tak już jest. – Uśmiechnąwszy się zagadkowo (jak mu się zdawało) zauważyła:

– Ojcowie zawsze są szlachetni, nieprawda?

– Prawda. – Ślicznie wyglądasz, panienko, z tym chytrym uśmieszkiem, pomyślał. Więc powiedział, głównie po to, żeby nastrój trochę zmącić: – Jeno nie wiadomo, skąd tyle łajdactw na świecie.

– A to już cudzy ojcowie czynią – powiedziała i znowu się uśmiechnęła, i znowu była śliczna.

Czy ona nie chce mi czasem w głowie zaproszyć – przeraził się. Spytał:

– A w Warszawie kiedy z ojcem byłaś?

– Będzie dwa lata.

– W sprawach jakichś czy na pałace popatrzeć?

– Najpierw spraw trzeba było dopilnować w kancelarii królewskiej.

– To pewnie z donacjami te sprawy?

– Tak.

– Na Kozłów i Głodówkę?

– Na Kozłów, tak – przypomniała sobie.

Twój szlachetny ojciec to niezgorszy kłamca, pomyślał. Nie, panienko, nie uda ci się zawrócić mi w głowie.

– Tomaszku – powiedziała nagle – jak myślisz, czy imć Tasso, gdyby sam u nas żył, mógłby na moją cześć sonet napisać?

– Nie umiem ci odpowiedzieć.

– Spróbuj.

– Są poeci, u których za dukaty możesz zawsze sonet zamówić. Narymuje ci komplementów takich, że cukier ci się po krwi rozleje.

– Czemuś taki nieuprzejmy? – zgorszyła się – Gdybyś ty miał talent Tassa...

– Mnie z tego wyłącz.

– Ani mi się śni!

– Wyłącz. Tyś jest Bełzecka, a ja Błudnicki. Księciem nie jestem, starostw nie dzierzę.

– Ja też ciebie w narzeczonych nie proszę.

– Chwała Bogu.

– Och, Tomaszku, więc jak ja mam wiedzieć, com jest warta? Do czego się urodziłam? Żeby chociaż w kości grać, zawsze by się człowiek przekonał, czy szczęście ma szczególne. Tak mi się czasem wydawało, że łaska Najświętszej Panny nade mną osobliwa. Że mnie sobie na ukochaną córę wybrała. To ciężko żyć z przeświadczeniem, że się jest kimś, kto się z tłumu niczym nie wyróżnia.

– Bełzecka jesteś – przypomniał Tomasz. – A wkrótce Ostrogska! A potem, po szczęśliwym zejściu księcia, może Lubomirska, Ossolińska, Zamoyska!

– Opacznie mój niedosyt pojmujesz, Tomaszku. Ja nie dzięki nazwisku chcę się czuć wyróżniona, ale dzięki zaletom własnym. Ot, gdyby mnie sobie jakiś poeta na muzę upodobał – to fawor, rozumiem. Albo malarza mistrza wybranką być. Rafaelowi pozować! To rozumiem, godny białogłowy los.

– Skąd go tu brać, malarza wielkiego?

– Ba, skąd! Mam ja dwa konterfekty swoje przez lwowskiego pacykarza uczynione, płacić trzeba było, że raczył pędzlami smarować. Ani w nich życia, ani oblicza wdzięcznego. Ojciec mi mówił, że chce cię do służby wziąć – odmieniła nieoczekiwanie temat.

– A ty przeciw?

– Nie. Ucieszyłam się.

– Miałabyś kogo dysputami męczyć.

– I co byś na tych dysputach stracił?

– A co bym zyskał?

– Znowuś nieuprzejmy. Mnie miło z tobą, bo oczy masz mądre i różnych głupstw za drugimi nie powtarzasz. A sam wściec się można w tym zamku. Przecież to odludzie. Wiesz, Tomaszku, że ja śpiewam bardzo uczenie?

– Książę kasztelan jak się dowie, to ci siła zamków zapisze.

Urszula nie zwracając uwagi na ten przycinek opowiadała:

– Kiedym w Krakowie u dominikanek była, to mnie muzyki i śpiewu uczono. No i potem w domu raz i drugi się ariami popisywałam. Wszyscy zachwyceni. Włoskich mistrzów kompozycje – uwierzysz? No, ale co dalej z takimi talentami czynić? Nie wiadomo. I mnie, i moim się słuchanie znudziło. Więc obiecał ojciec szlachtę okoliczną sprosić na koncert. Zjechali się tłumnie, ale jak to po szlachecku, najpierw puchary wielkie z miodem i gorzalką gościnnie rozdano, popili się, natenczas ja zaśpiewałam, a tam gwar, śmiech, facecyjki. Potem klaskali hucznie, aplauz wyrażali, ale ja dobrze wiedziałam, że na wiarę to czynili, z uprzejmości, bo nie słuchali. Tom się popłakała.

– Biedna Ulka.

– Nareszcie cię sumienie ruszyło. To ci coś jeszcze opowiem. W Warszawie zetknął się ojciec z karłem jednym, co siła wszetecznych fraszek znał i sam do rymu mówić umiał, z tym to wesołkiem ojciec traktował, ażeby przy nas zamieszkał i pociechą był. Ale takie ów błazen *conditiones* postawił, że taniej byłoby z Włoch artystę sprowadzić. Za kogóż on się miał, ów człek, tylko dlatego że nie wyrósł jak inni i rozśmieszać umie. – Znowu westchnęła. – Pewno się drożył dlatego, że nie chciało mu się na odludzie.

– A pan Kochanowski poeta z własnej woli stolicę porzucił i na wsi się schronił!

– Jemu poezja wystarczała – powiedziała w zamyśleniu. – Sobą potrafił żyć. Wewnątrz więcej. Filozof, poeta łaskotek nie potrzebują. Zresztą jak który. Jam tylko białogłowa i inna być nie mogę. A wiesz, gdzie mi najweselej było? Oto u dominikanek w Krakowie. W gromadzie rówieśnic. Tam intrygi, tam plotki, amory i żelozje, tam walka o serce przełożonej, o uśmiech nadzorczyńni i wszystkie makiawelskie sztuczki, żeby w górę, żeby bliżej tronu, jak na lilipucim dworze królewskim.

– W to ci graj.

– Żebyś wiedział! Nie gorsz się, zrozum. Ja się tam dobrze czułam, bo to było to, co dla was panów boisko, na którym się z Wołochami i Tataram potykacie. Było się do kogo przymierzyć. Wciąż wystawiona na próby. W muzyce byłam najlepsza. Albo biegałyśmy w sukienkach, co nam kroki krępowały, która prędzej, przez cały dziedziniec, od muru do muru. Czwarła byłam. Czwarła! A za mną jeszcze dziesięć innych.

– Czemuś stamtąd tak wczas wróciła?

– Sprowadzili mnie państwo Bełzeczcy, jak drugi brat poległ.

– A ty jak z braćmi żyłaś?

– Prawiem ich nie widywała. Jak ty przyjeżdżałeś z ojcem swoim, to więcej się mną zajmował niż rodzeni moi. Ale pamiętam, jak lekcje łaciny brali, ja się przysłuchiwałam, to chociaż pięć lat starsi, za mną nie nadążali. Ale mnie tego nie dawano się uczyć. „Co ci po tym? Przecieżeś dziewczka...”
Czy to słuszna?

Tomasz podniósł się z pnia.

– Idziesz? – spytała z wydłużoną miną.

– Czas na mnie.

– Szkoda. Jeszcze cię chciałam o coś zapytać.

– O co?

– Jak się w Moskwie bijales.

– Na koń, panienko!

Dosiedli koni. Urszula spytała:

– Widziałeś nad Dnieprem dzikie konie?

– Widziałem.

– Ojciec powiada, że z wiekiem całkiem im nogi wokół kopyt rogowacieją i że stają się przez to niezaradne. I jeszcze powiada, że widomy to dowód, iż koń przez Boga dla człowieka został stworzony, bo bez opieki ludzkiej zginie.

– Dziwny pogląd – powiedział Tomasz.

– Prawda? – ucieszyła się. – Ja też tak mniemam, że wymyślone to przez ludzi po to, żeby usprawiedliwić niewolę tym zwierzętom narzuconą.

Tomasz położył jej dłoń na ramieniu.

– Ty, Urszulka, naprawdę jesteś niegłupia.

– Jesteś pierwszym panem, który to spostrzegł. Pan Konięcpolski ze swoim księciem jeno wdzięki moje sławią.

– Taki obyczaj.

– A ja ten obyczaj... – urwała. Mrugnęła do niego okiem. – Tomasz, a znasz ty słowa niewstydlive?

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Cóżeś osłupiał? – zaśmiała się. – Przecieżeś żołnierz! Znasz ty słowa chutliwe bezwstydlive? Jakżebyś mógł nie znać?

– Urszulko...

– No to rzeknij. Dalej, mów!

Nabrał tchu i żeby zyskać na czasie spytał:

– A ty znasz?

– Pewno, że znam! I jeszcze jakie!

Wkrzyknęła mu pośpiesznie do ucha kilka słów bezwstydlive i zanim się opamiętał, spięła konia i puściła się w cwał do zamku. On za nią.

– Ty larwo! – krzyknął. – Ty larwo wszeteczna!

Dopędził ją w alei w pobliżu zamku, gdzie nie sposób było galopować. Zaczekała na niego, aż przykłusuje. Znowu rumieńce miała na policzkach.

– Larwo – szepnął jadąc obok niej.

– Zamilcz – przykazała. – Już nie chcę. – I zaraz przygroziła:

– Tylko nie powiadaj nikomu, pamiętaj.

Oddychała szybko, pierś falowała.

– Rozfiglowało się – powiedział.

Urszula nie podjęła słowa. Przed zamkiem czekał konno pan Ligęza.

– Jesteś wreszcie – powiedział skłoniwszy się czapką. – Do folwarku mamy półtora mili.

– Wiem – odpowiedział Tomasz. – Ruszajmy.

Zwodnicza pamięć płatała mu w drodze podobne niespodzianki, co w Błudnikach. Tu drzew brakło, tam aleja chłodnicza krótsza się okazała, niż się spodziewał, to znów gdzie on lasu gęstego się spodziewał, stał bór rzadki, cienkopienny. Wysoko pomiędzy gałęziami sosen rozkrakała się ruchliwa wronia chmura. Sunęli stępa po piaszczystej ścieżce, z rzadka dzieląc się uwagami. Konie zaorywały głęboko kopytami wzbijając kurz. Było gorąco.

– Piękny czaprak – zauważył w pewnej chwili Ligęza.

– Jeszcze jest strzelba – uzupełnił Tomasz.

– Widać kocha się w tobie pan chorąży.

– Zazdrość cię gryzie?

Infamis zaśmiał się.

– Gorąco się robi – powiedział. Potem zauważył: – Łukasz zdolen jest raz-dwa substancję rozposazyć.

– Ale nie rozposazył. Jeszcze więcej jej ma niż dawniej.

– Tak powiadają.

– Nie może się więc na ojca mojego skarżyć.

– Nie słyszałem, żeby się skarżył.

– Dużo cennych przedmiotów dla zamku nabył.

– To znawca, panie Błudnicki. *Vir eruditus*, jako powiadają. Inni dzieła mistrza od malowidła jarmarcznego nie rozróżniają. *Lui – c'est un connoisseur veritable.*

– Mów waszmość po polsku.

– Tęsknię za cudzoziemskimi krajami, w tym rzecz. Chyba wezmę i pojedę. Nowych przygód szukać. Myślisz, żem za stary?

– Tegom nie powiedział.

Jechali jakiś czas w milczeniu polem otwartym. Kiedy znowu się w borze schowali, spytał Ligęza:

– Chcesz się ze mną bić?

– Jeszcze nie.

– Kiedy zechcesz?

– Kiedy rzecz wyświetlę.

Infamis mruknął coś do siebie, może się zaśmiał, Tomasz spytał:

– A waćpan masz ochotę się ze mną zmierzyć?

– Najmniejszej.

– Ublżasz mi!

– Ani trochę. W ręku jesteś słabszy, a jam Ligęza, nie rzeźnik.

– A możem lepszy?

– Nie, nie ma ode mnie lepszych.

Wyjechali z cienia na słoneczną łąkę. W oddali, jak w niecce, ciemniały strzechaste chałupy. Słysząc było klekot bociani. Tomasz przytrzymał konia Ligęzy za uzdę i powiedział patrząc infamisowi w oczy:

– Słuchaj waszmość. Chociażes takiego dobrego mniemania o sobie, to ci tylko jedno powiem, że cię sam Bóg przede mną nie uratuje. Jeśli zajdzie

konieczność – dodał.

– A na razie konieczności nie ma? – spytał kpiąco Ligęza.

– Na razie nie.

– Dzięki i za to. Puszczaj uzdę.

Ruszyli w dalszą drogę. Ligęza przechylił się z kulbaki ku Tomaszowi.

– Powiem ci coś w zaufaniu, jeno nikomu nie rozpowiadaj.

– Słucham waszmości.

– O Bogu, który miałby mnie przed tobą uratować. Otóż ja na Niego nie liczę. Ja z szatanem przymierze zawarłem. Nie wierzysz? Ej, panie Tomaszu, widzi mi się, że ty w nic nie wierzysz. – Kiedy Tomasz nie odpowiedział, Ligęza znowu zabrał głos: – Dobrze czynisz, że milczysz, bo lepiej się z tym nie wyjawiać. Już raczej tam woła, gdy ktoś nieprzyjacielem jest Pana Boga, jako ja jestem, niż kiedy obojętność Mu okazuje. Ty, panie Tomaszu, myślisz, że ja jestem banit, i tylko? Że za nieposłuszeństwo wobec prawa infamią mnie obłożono i ot, mógłbyś mnie na przykład z tyłu pchnąć bez kary żadnej i na tym koniec?

– Nie rozumiem, ku czemu zmierzasz waszmość.

– Wnet zrozumiesz. Bo ja wyklęty jestem. Tak, panie Tomaszu. Wzbroniono mi ognia, wody i jadła. Ekskomunikowany uroczyście w Krakowie na synodzie, „Przeklęty niech będzie w domu i na dworze, przeklęty w mieście i na roli, przeklęty niechaj będzie siedząc, stojąc, jedząc, pijąc, robiąc i śpiąc. Przeklęty niechaj będzie tak, iż w nim zdrowego członka nie będzie, od wierzchu głowy aż do stopy nożnej. Niechaj wypłyną wnętrzności jego, a ciało jego niechaj robactwo roztoczy” – delektował się Ligęza.

– Na pamięć się wyuczyłem. Przeklęli mnie wraz z Judaszem zdrajcą, Ananiaszem i Zafirą, i Kainem mężobójcą. Przeklęty z diabłem i anioły jego. Fiat, fiat, fiat! I tak mnie wyklinali po kościołach w niedzielę i w

każde święto. A ja, po prawdzie, okrutnie ciekaw był, co z tego wyniknie. Otóż nic. Niebo się nie rozwarło, pioruny nie uderzyły. Mam ja ci z tego trochę ziemskich kłopotów, nic więcej. Bezsilny jest ów władarz niebieski. A jam myślał, że będzie wreszcie kogo na rękę wyzwąć – zakończył z żalem. Po chwili milczenia Ligęza zagadnął:

- A wiesz, po co ci to wszystko powiedziałem?
- Nie odgadnę.
- Po to, żebyś wiedział, że Ligęza na rozkaz nie zabija.

ROZDZIAŁ IX

Trawa zielona, a na niej płótno w słońcu: długie płaty lnu, jeszcze wilgotne, już bielejące. Nastka stała oparta o żerdzie płotu, z motyką przerzuconą przez ramię, w spódnicy konopnej do połowy łydek, w koszuli lnianej wyrzuconej na wierzch, z wycięciem aż po obłóść piersi. Uśmiechnęła się do nich, rozchylając soczyste wargi. Z trudem rozpoznawał jej oczy – dawniej w ich skośnym wykroju igrały iskierki rozbawienia, teraz patrzyły łagodnie, po macierzyńsku, było w tych ciemnych źrenicach spokojne rozmarzenie. Nie ruszała się z miejsca, przypatrywała się panom, jak konie powściągają, jak lekko na ziemię zeskakują.

– Wasyl! – zawołała gdzieś w stronę obór folwarcznych. – A, Wasyl! Pódź sam! Podziwuj się, kto ku nam zajechał!

Poruszyła się i Tomasz pomyślał, że prawdę mówił Ligęza o tym jej ruchu pląśliwym, biodra zakołysały się, dłonią zagarnęła powietrze jak pewna tancerka stambulska, co u Mniszchów wykonywała taniec chutliwy, rękami przebierając.

– Wasyl! – krzyknęła. – Panowie przyjechali!

Ruszyła ku nim śmiało i nagle przystanęła.

– A ten drugi to kto? – spytała przypatrując się pilnie Tomaszowi. – Synek! – zawołała nagle. – Synek wrócił! Przyjechał! Żyjesz, syneńku! Tak i powiadali! Tak i powiadali, żeś wrócił! Szkoda, że ojciec nie dożył; to by radość była, to pociecha!

Pochyliła się i w dłoń go pocałowała, niedawna poddanka ojцова, a potem obtarła sobie zwilgotniałe oczy. Więc to wyrosło z dziewczki, która mnie na noc do stodoły na bicie lnu zapraszała. O tym nocnym biciu lnu powiadano w okolicy, że barszkowała podczas niego młodzież wsiowa

swobodnie i mało która dziewczucha z wiankiem zostawała, a starsi nie mieli za złe, taki był obyczaj. Przypomniał sobie jej oczy, kpiące i zawstydzone zarazem, kiedy mówiła: paniczu, a nie bojalibyście się ze mną len bić? On, siedemnastolatek, dreszcz poczuł i strach go obleciał, a jej może na myśl nie przyszło to co jemu. Teraz stała przed nim wzruszona niewiasta, kochanica ojca nieboszczyka, łzę z oczu wycierała, a on wokół tych oczu widział nagromadzające się zmarszczki, chociaż ich nie było. Trzy-cztery lata jeszcze, pomyślał, i umknie świeżość, nie będzie Nastki-pokusy...

Wasył Majba zbliżał się krocząc między żerdziami płotów, widły ugnojone trzymał w ręku. Bosy, niewielki, w przykrótkich konopnych portkach, z rzadkim i ostrym porostem na ogorzałej twarzy. Stał przy płocie, ścisnął żylastą dłońią żerdź. Otworzywszy usta najpierw parękroć zaczerpnął tchu, zanim powiedział:

– Niech będzie pochwalony.

Jednak składnie to wymówił. I to oni dwaj, panowie, odpowiedzieli swoje „na wieki wieków” bełkotliwie. Nastka popędziła męża do koryta z wodą, żeby się umył, a sama pobiegła do chałupy. Sonety pisać, pomyślał Tomasz spoglądając za nią, nago wymalować, drobiażdżki sławić. Ojciec głowę stracił i nic dziwnego, teraz z kolei Ligęza. A Bełzecki? Dowiemy się jeszcze, i to koniecznie.

Ligęza stał obok jabłoni, do której konia przywiązał, dziwnie onieśmielony, zmieszany.

– Poszła pijawkę karmić – mruknął.

– Zajrzę ja tam do nich.

– A to po co?

– Tak sobie. Chcę zobaczyć jak waszmości Meluzyna mieszka.

Otworzywszy drzwi do izby, znalazł się w duchocie i mroku. Czar trwa, dopóki się tutaj nie wejdzie, pomyślał. Poczuł ostrą woń świńskiego gnoju.

Na noc wprowadza się pewnie prosiaki do izby. Polepa gliniana. W kącie izby dwa obrazy święte niezdarnie złotem i purpurą malowane. Na łóżku pośród pierzyn siedziała Nastka i piersią karmiła niemowlę. Pijawka, przypomniał sobie słowa Ligęzy. Duże było, chyba roczne.

– Zębiska już ma dwa – powiedziała. – Czasem jak chwyci, to aż zaboli.

– Uśmiechnęła się. – Najpierw on popołudniuje, a potem my.

Jędrną ma pierś, pomyślał, kształtną, ale mnie nie bierze. I prawda, że skrepowania ona nie zna żadnego. Znowu się uśmiechnęła:

– Synku. Dawno znasz pana Ligęzę?

– Dni kilka.

– Jaki on ci się wydaje?

– On...? Jest w nim coś...Uroda jakaś.

– Prawda? A o mnie co mówił pan Ligęza?

– Słów dla ciebie nie ma.

– Nie breszysz?

– Nie. Zauroczyłaś go.

– To czemu tyle dniów się nie zjawiał?

– Zapytaj go – odpowiedział i wymknął się na dwór.

Odetchnął głęboko. U Agafii było przestronniej, czyściej i widniej, pomyślał. Podłoga była tam drewniana, przypomniał sobie, i całą izbę w myśli ujrzał, więc tę podłogę po myciu schnącą, ikony pozłociste, piec duży bielony, okna z szybkami. Prawda, Agafia człowiek wolny, Kozaczka, esauła żona, a Nastka poddanka, przygłupa małżonka.

Ligęza zbliżywszy się zagadnął:

– Widzę, żeś waćpan nieswój. Do głowy uderzyło?

– Tak, duchota. Bieda i muszyska. Ojciec mój nie próbował jej izby lepszej ofiarować?

– Waćpanów ojciec takich głupstw nie robił. Mędrzec to był, człek i eksperiencją, i wiedział, że dziewczek rozpaskudzać nie należy. Pokazać im korzyść, to wnet ladacznicami się staną.

– Więc nic ona z tej bliskości nie miała?

– Fawor pański, czy to mało? – rzekł Ligęza i roześmiał się.

Nastka wyszła z chaty. Obok niej kroczyło starsze dziecko, dziewczynka dwuletnia, w koszulinie długiej, twarzyczka śniada, spalona słońcem, na ramionach podskakiwały jej czarne warkoczyki, schludnie czerwonymi wstążeczkami przewiązane. Wdrapała się na ławę i usiadła za stołem ocienionym przez gałęzie kwitnącej jabłoni. Nastka podziwiała rezolucję córki.

– Patrzajta, jak się do jadła śpieszy, pocieszna. Natałka, a pokaż panom, jak pop nabożeństwo odprawuje.

Natałka zmarszczyła się i zaciągnęła: – Iisuusieeee!

– Ach, ty pociecho moja! – zawołała Nastka i pocałowała śniadolicą dziewczynkę. – Śliczności panna, nieprawda, wielmożni panowie?

Wasył klęczał na ziemi, rozdmuchując ogień pod sagankiem. Zaleciało błękitnym śwędem. Nastka chwilę przyglądała się bosym piętom męża, zgrubiałym jak podeszwa, i nagle zwróciła się gniewnie do infamisa:

– A ty gdzieś się podziewał?

Szlachcic spojrział na nią zaskoczony.

– No, gdzie? – napierała Nastka głosem nabrzmiętym gniewem i żalem. – Całkiem o mnie zapomniałeś!

– U nurków z sabatami byłem – tłumaczył oszołomiony Ligęza.

– U nurków, u nurków... Kiedy to było? Ile już dniów, jak od nich wróciłeś? Myślisz waćpan, że nie wiem? I aniś się pokazał!

– Nastka – szepnął Ligęza poblady. – Nie tuszyłem, że ci zależy...

– Co ma nie zależeć – burknęła. – Tak mi bez ciebie było jak bez ręki. Jużem się wzwyczała, że kręcisz się koło mnie i bajesz różności. Doję krowy i raz po razie się oglądam: gdzie mój pan? A on zdrajca gdzieś w Bolatynie za diwczatami lata.

– Nastka – szepnął Ligęza chwyciwszy ją za rękę.

– Odstąp, zdrajco. – Wyrwała rękę. – Znać cię nie chcę. – Zwróciła się do Tomasza, biorąc go na świadka: – Takie to szczere kochanie. Ażem się popłakała wczoraj...

Wasył wstał z klęczek.

– Ogień dobry, wnet zakipi – powiedział. Przez chwilę usiłował sobie coś przypomnieć, aż wreszcie uśmiechnął się i wymówił z zadowoleniem: *Fertig* bude. *Fertig*, a? – powtórzył tocząc dokoła zwycięskim spojrzeniem.

Siadł do stołu. Ligęza nie mógł oderwać wzroku od wycięcia w koszuli na piersi Nastki.

– Jewka – powiedział półgłosem. – To już teraz dopuścisz mnie?

– Zjeść musimy – odpowiedziała unikając jego spojrzenia i Tomasz zauważył rumieniec na jej twarzy. Ruchy miała teraz niezgrabne, skrępowane. – Wielmożni panowie polewką mleczną nie wzgardzicie? – spytała.

Siedli za stół. Nastka dwie misy przyniosła: jedną dla siebie z mężem i córeczką, drugą dla panów. Przyszła stara Majbutnia, stryjna Wasyla, wysoka, kłodziasta, cała w czerni, ze sznurem koralu na szyi, z pierścieniami zwisającymi z uszu, pochwaliła Boga i przymówiła się o łyżkę stawy. Nastka pokazała jej miejsce obok siebie, Majbutnia wyjęła łyżkę z torby i wzięła się do wyławiania kluchów z mleka. A kiedy Nastka spytała, czemu taka wystrojona jakby na niedzielę, odpowiedziała wzgardliwie:

– U mnie co dnia niedziela.

– *Fertig* – odezwał się Wasył.

Tomasz zerknął nań i Wasyl uśmiechnął się zadowolony.

– Pan nie wie? – spytał. – *Fertig* to po ichniemu.

– Po czyjemu?

– Po ichniemu. A po naszymu: hotowe. Ja umiem – pochwalił się. I zaczął się popisywać. – *Herr Gott* tam – podniósł palec do góry – znaczy: Pan Jezus w niebie.

Po ichniemu tak: *Herr Gott*. – Dotknął swojej głowy. – Waśko rozumie. Waśko łebski. – Zmarszczył brwi, aż sobie przypomniał. – Kopf!

Nastka wyjaśniła:

– Stali tu we wsi sabaci i Wasyl im posługiwał. I nauczył się trochę po niemiecku.

– *Ja, ja* – przytaknął ucieszony Wasyl. – *Hab Acht! Feuer!* – Nabrawszy tchu dodał: – *Fertig*.

Nikt się nie odezwał. Nastka dolała z saganka do mis, potem pomagała córeczce trafić łyżką do ust. Od czasu do czasu rzucała szybkie, ukradkowe spojrzenia na Ligęzę. Więc zdecydowała się, pomyślał Tomasz. Nie przychodził i nagle zrobiło się bez pańskich pieścotliwych słów pusto i beznadziejnie, życie twarde, bez uśmiechu. Między jednym karmieniem a drugim, między dojeniem a pojeniem przyszła tęsknota, westchnęło jej się, pomyślała, jaką pociechą byłyby pańskie ramiona. Jewką będzie, białką inną niż wszystkie z wiochy, wywyższoną przez uwagę rycerza wspaniałego, potomka rodu starożytnego, wywołańca bez strachu. Spojrzał na jej oczy powiekami przykryte, na wargi soczyste, piersi swobodnie rysujące się pod płótnem koszuli – śpiesz się, Jewko, pomyślał, przewiedną te cudowności rychlej, niżby kto mógł się spodziewać.

Nastka wstała, zabrała puste misy i włożyła do koryta z wodą.

– *Fertig* – mruknął Wasyl i splunął w dłonie. Ugnojone widły stały pod ścianą chałupy. Nastka zwróciła się do męża:

– Wasyl, a popilnuj dzieciaków, ja kijankę wezmę i z panem do Tarnawki zejdem, koszule mu przepiore.

Infamis podniósł się zza stołu. Był blady. Serce rozkołatało się, domyślił się Tomasz. Nastka uśmiechnęła się do infamisa i wzięła go za rękę.

– Chodźcie, panie – powiedziała cicho.

Po chwili znikli oboje za płotami. Nad samą Tarnawką rozciągały się gęsto zarośla. Tam legną, pomyślał Tomasz, tam Ligęza dostąpi swojego szczęścia. Wasyl kręcił się po obejściu, między kurami, które uciekały mu spod nóg. Stara Majbutnia drzemała, oparłszy rozlane piersi o stół. Południca, pomyślał nagle, węszy tylko, gdzie by zaszkodzić, tak je przedstawiają, te sprawczynie nieszczęść, z piersiami obwisłymi, które na plecy zarzucają, skrzekliwe, swarliwe. Nienawidzi się staruch, myślał, miejsce zabierają, I pożytku z nich żadnego, nawet chłopu już nie posłużą. Majbutnia chrapnęła raz i drugi, zgrzytliwie jak nie smolona piasta. Tomasz szturchnął ją z lekka, chrapanie urwało się i zaczęły poświsty. Drzewa stały nieruchomo, trwała poobiednia cisza, tylko kaczki mąciły ją, taplając się w błocie obok studni. Wasyl zajrzał do izby, zaraz wrócił, rozejrzał się po zagrodzie, napotkał spojrzenie Tomasza i znieruchomiał. Naraz westchnął ciężko. Potem ujął siekiere w pień wbitą, wyrwał ją i obejrzał ostrze. Zabije, pomyślał Tomasz.

– *Gut* – odezwał się Wasyl i uśmiechnął się. Pogładził ostrze dłonią. – *Gut* – powtórzył.

Zamachnąwszy się, wbił siekiere w kloc.

– A? – zagadnął Tomasza. – *Gut?*

Tomasz skinął głową. Wasyl siadł przy stole naprzeciw Tomasza. Wiatr zakołysał młodymi liśćmi, ktoś gdzieś kogoś całował, ktoś szeptał i wzdychał. Zagdakała kura. Za rzeką, nad wzgórzem, co je Huczkiem zwano, krążył orzeł. Wasyl i Tomasz milczeli. Nagle Wasyl odezwał się:

– Pan Błudnyćky?

– Błudnicki.

– Syn onego?

Skądś to znam, pomyślał Tomasz. Odezwało się echem. Niedaleko pada jabłko od jabłoni, przyniosło echo. A ludzinę jadłeś?

– Syn – potwierdził Tomasz.

– Ojciec srogi pan – powiedział Wasyl.

– Powiadasz? – Tomasz poczuł zmieszanie.

– Wełyky pan.

– Nie żyje – mruknął Tomasz.

– *Fertig* – na to Wasyl. Tomasz usłyszawszy to, czekał, że się przygłup roześmieje. Nie roześmiał się jednak. – Pan wełyky, *Herr Gott* większy – mówił Wasyl surowo, jakby z upomnieniem. – Pan silny, *Herr Gott* silniejszy.

– To pewna – przyznał skwapliwie Tomasz.

– Pan zły, *Herr Gott* – i czerwony palec powędrował w niebo – *Herr Gott* gut.

– Wasyl chwilę przypatrywał się pilnie Tomaszowi. – Nie rozumie? – Powiedział chełpliwie: – Po ichniemu. A po naszymu Pan Jezus dobry.

– Tak, to prawda – zgodził się Tomasz.

Zapiał kogut, zakwakały taplające się w błocie kaczki i Majbutnia ocknęła się. Gdzie podczas snu przebywała, nie wiadomo, ale to pewna, że przebudziwszy się, zapomniała o tamtych miejscach i bystro, trzeźwo rozglądała się wokoło.

– Nie ma jej – stwierdziła. – Słońce świeci, dzień biały, a ona co wyprawia.

– Kosmate macie myśli – próbował bronić Tomasz.

Stara nie zwróciła uwagi na jego słowa.

– Czaruje Nastka, czaruje duma – powiedziała. – Ot, i nieszczęście sobie naczaruje.

– Nie mówcie takich rzeczy – przestrzegł ją Tomasz. – Licho ściągniecie.

– Kiedy prawda. Albo bez czarów tak by panów wiązała? Powiadają we wsi, że nago do lasu o północy chodzi i tam ziele zbiera. Potem jak da któremu wywaru, to za nią świata nie widzi.

– Postrzegł ją kto w tym lesie? – spytał Tomasz.

– Co to, to nie. Czatowali, czatowali, ale nie przydybali.

– Widzicie, że bajdy.

– Ha, jakie bajdy! – oburzyła się stara. – Alboż to wiedźmę podpatrzycie? Hyc na gałąź i nie ma jej.

– Głupstwa powtarzacie – powiedział z gniewem Tomasz. – Nastka w waszej izbie wyrosła, sami wiecie najlepiej, że nie wiedźma.

– A co ja wiem, co ja wiem? – zaniósła się udanym biadaniem Majbutnia. – Szczo meni znaty, zwidky meni znaty? Sama už ne znaju. Jakby mene ludy pytały, to mogę powiedzieć słowo i za, i przeciw. Jak wypadnie.

– Jak się opłaci – podpowiedział Tomasz.

– Ludzka rzecz – zgodziła się Majbutnia. – A pany jeden po drugim dla niej głowy tracą. Masz wasza wielmożność dowód, że czary.

– *Herr Gott* silniejszy – odezwał się nieoczekiwanie Wasyl.

– Nastka dziewczka urodziwa i wdzięczna, ot i cały sekret – powiedział Tomasz.

– Insze też urodziwe. Takoż mają, co trzeba, a pany głów nie tracą.

– Gładka ona nad podziw.

– Gładka to gładka, a bez czarów by panów nie związała – upierała się Majbutnia. Tomasz wstał od stołu i poszedł w kierunku płotów. Obejrzał się: Wasyl szedł za nim. Tomasz przystanął i Wasyl przystanął. Nie było już

orła nad świerkami Huczka, ale wiatr wciąż wzdychał między młodymi liśćmi. Tomasz rzucił za siebie:

– Słońce grzeje.

– Ano – przytaknął Wasyl.

– Koszula prędko wyschnie.

– Ja, ja – zgodził się znowu Wasyl.

– Wyschnie koszula, to przyjdą – powiedział Tomasz. – Wróćcie się, Wasylu, dziecka trzeba stróżyć.

Wasyl przyłożył dłoń do ucha.

– Płacze – powiedział.

– Nastka?

– Myćko płacze. Mokro mu – powiedział Wasyl i zawrócił do izby.

Błudnyćky nicht gut, pomyślał Tomasz. Szedł ścieżyną między żerdziami płotów obok wyłoczonego rowu, którym podczas deszczów musiał spływać do rzeczki kleisty gnój. Do Tarnawki schodzę, uświadomił sobie naraz Tomasz i zatrzymał się. Stał oparty o żerdź, myśląc o tym, czy też ten przygłup jest w stanie wyobrazić sobie, co jego Nastka wyczynia nad rzeczką z panem Ligęzą. Czy umie podejrzewać? Czy zna uczucie zazdrości? Może jest na tyle przebiegły, by rozumieć, że taka Nastka nie może wyłącznie do niego należeć, parobasa z widłami, że winien już tym szczęśliwym być, iż raczy go ona w objęcia brać i dzieci mu rodzić, Jewka, co wykwitła tak, że możni dla niej głupieją i do swojej osoby podnoszą. Mojego ojca jednak przygłup nienawidzi, pomyślał. Ale za co? Że mu Nastkę swadźbił czy tak w ogóle, jak poddany może nienawidzić srogiego pana?

Ktoś przemykał się kustami. Usłyszał stamtąd głos Nastki: – Teraz to już mi nie znikniesz... już mi się musisz opowiadać. – Nie ma takiego musu –

odpowiadał wesoło Ligeza. – Ale! – mówiła zadziornie Nastka. – To jakby przed Bogiem ślub.

– Ja wolny ptak i Boga nie przyznaję.

– Nie grzesz, niecnoto.

– A ty coś ze mną czyniła? Nie grzech?

– Taki grzech Jezus wybacza.

– Niby dlaczego?

– Jezus lubi, jak ludziom dobrze. Kochać się kazał.

– To ci było dobrze?

– Och, panie...! – Rozmowa i kroki urwały się. Teraz pocałunki, domyślił się Tomasz.

– Toś już mój, panie – przybiegł szept Nastki.

– Jam niczyj.

– Mój – upierał się szept – przeciwnie cię nożętami objęła.

– A co z tego?

– Niecnoto. Zberezniaku. Panie mój. Panie cudny... – słyszał gorący szept. Szli kustami roztrącając gałęzie, a Nastka mówiła: – Mój pan śliczny. Mój jedyny. Nie pędźże tak.

I nagle, wynurzywszy się na ścieżkę, ujrzała Tomasza.

– Synek – powiedziała z uśmiechem. – Warujesz, synku? Dzięki ci. – Po chwili spytała: – Wasyl co powiadał?

– Spokojny – odpowiedział Tomasz.

Na twarzy Ligezy błąkał się nikły uśmiech, nieśmiały znak zwycięstwa. Ale kiedy Nastka objęła go ramieniem, tuląc policzek do pańskiego policzka, odsunął ją od siebie stanowczo.

– Daj pokój, Jewka – powiedział.

– Kiedym szczęśliwa.

– *Fertig* – powiedział Ligeza i zrobił znak krzyża w powietrzu.

Wracali w milczeniu do zagrody, Nastka i Tomasz przodem, Ligeza włożył się z tyłu. Przed samą furką Tomasz spytał:

– Koszula wyprana?

– Czysta była. Jezus, kijankęm zostawiła w krzakach! No nic, nie przepadnie.

– Nagle wybuchnęła błaganiem: – Ty mi, synek, wybac. Wybac, wielmożny. Opętał mnie ten bies, oczarował.

– Ja to już nie mam ci czego wybaczać.

– Jak zły duch – ciągnęła biadanie.

– Nastka, a Majbutnia powiada, że ty czarami panów wiążesz.

– Ja? – zdziwiła się. – Ani się na tym znam.

– Bajdy o tobie powtarza. Że o północku nago do lasu chadzasz ziele rwać.

– Ot, stara podluka. I po cóż by ja miała panów czarami zwodzić? Czy ja nie wiem, czym ja ich czaruję, knurów zajadłych?

– Strzeż się jej języka, Nastka. Jakby co groziło, ślij do mnie, już ja z niej duszę wypuszczę jak powietrze z pęcherza.

– Dzięki ci, synku.

Wasył się ukazał z widłami na ramieniu.

– Do roboty, tatulu? – spytała go Nastka.

– Ano. – Spojrzał na słońce. – Czas.

– A nie głodnyś?

– Nie.

– Czekał, weź chleba.

Odkroiła mu chleba z dużego bochna i włożyła za koszulę.

– Idź, tatulu – powiedziała – i pomagaj Bóg.

Wasył skinął głową, odwrócił się i znalazł się przed Ligezą.

– Pomagaj Bóg, Wasylu – odezwał się infamis.

Chłop skłonił się nisko.

– Dzięki wielmożnemu panu. – Dotknął palcami atłasowej koszuli pana Ligęzy.

– *Fertig?* – spytał.

– *Fertig* – odpowiedział Ligęza. Wyjął srebrnego talara i rzucił na stół.

– Jewka! – zawołał, jakby Wasyla w ogóle przy nich nie było. – Dobądź skądś gorzałki. Napijemy się!

Wasyl odszedł. Ujrzawszy szaflik z gorzałką i czerpakiem na stole, stara Majbutnia przysiadła się i przymówiła. Wypiła kubek prośnianej palanki i pogładziła się z zadowoleniem po wydętym brzuchu.

– Grzeje – powiedziała. – Dobrze tobie, Nastka, za grosz gorzałki dasz, a talara srebrem dostajesz. Pewnie nie za gorzałkę jasny pan taki pieniądz płacisz?

– Zamknijcie gębę, kumo! – warknął infamis. – Będziecie wsuwać dziób w nie swoje sprawy, to go wnet straciecie. I to wraz z głową – zagroził.

Majbutnia nie zrażona mówiła dalej:

– A mnie się od wielmożnego pana mohorycz należy.

– A niby za co?

– Wielmożny pan swoją uciechę z Nastką miał, a Nastka czyja wychowanka?

– I co z tego?

– A czyja zasługa, że dziewczka taka krasna? Daj mohorycz! – Majbutnia wyciągnęła dłoń.

– Słuchaj, starko – powiedział Ligęza ze złością. – Nie wierzę ja w twoje zasługi, skoro teraz handlować wdziękami chcesz.

Tomasz szepnął mu do ucha:

– Daj jej talara, baba groźna.

– Czym? – spytał Ligęza, rzucając od razu talara na podolek Majbutni. Stara obejrzała z bliska monetę i skinęła głową.

– Tym – szepnął Tomasz Ligęzie – że waćpan sobie pójdiesz, a Nastce tu żyć wypadnie.

Ligęza skinął głową.

– To i racja.

– Starej trzeba gębę zatkać, bo o czary Nastkę pomawia.

Ligęza spojrział na Tomasza z zastanowieniem.

– Może to i czary były – powiedział.

– Waćpan tego serio nie mówisz.

– Smutek w sercu czuję, panie Tomaszu.

– Niezadowolonyś?

– Coś uleciało. Dym, panie Tomku, dym.

Tomasz spytał, nie patrząc Ligęzie w oczy:

– Jakżeż było?

I usłyszał odpowiedź tak cichą, że może i nikt jej nie udzielił:

– Jak z każdą.

Nastka tymczasem pracowicie zwijała podeschłe płaty lnu.

– Pięknie mi się w słońcu wybieliło! – wołała rozradowana. – Podziwujcie się, wielmożni panowie, jaka robota czysta. A mocne jak bułat. Hej, jasne pany, nie kupicie mojego lnu?

– A po wiele chcesz? – spytał Tomasz.

– Dla ciebie, synku, po dziesięć groszy łokieć.

– Pietnaście dam, Nastko.

– Panie, toż to sześć złotych będzie! – ucieszyła się. – Dzięki ci, synku, dzięki, wielmożny. Że ty u Nastki płótno kupujesz, to ci będzie policzone. Pamiętaj, jaśnie panie, nie zdradzaj mnie. A ty, wielmożny panie – zwróciła

się do Ligęzy, który położył się w trawie pod jabłonią – ty mojego płótna nie kupisz?

– Ja śpię – mruknął Ligęza i przykrył sobie twarz łopianem. Majbutnia odeszła. Nastka zajrzała do dzieci, potem koło chudoby porobiła. Ligęza spał. Nastka wyniosła ze stodoły wiązkę słomy i wsunęła infamisowi pod głowę. Pochwyciła badawcze spojrzenie Tomasza i zakłopotana uśmiechnęła się, jakby chciała go za coś przeprosić. Tomasz zwrócił się do niej:

– Wiesz ty, Nastka, po com tu przybył?

– Pewnie starą znajomość odnowić.

– To też. Pamiętam, żeś mnie na bicie lnu wołała.

– Jezusie, takam płocha była! – zdumiała się.

– Teraz też gospodyni.

– Ano cóż. Dzieciska są. – Dodała: – I trzecie bym chciała, jak Pan Jezus nam pobłogosławi.

Tomasz spojrział na śpiącego Ligęzę. To o nim myślała?

– Nastka, ja po tej starej znajomości o panu ojcu moim chciałem i tobą pogwarzyć.

Pokazała mu miejsce na przyzbie. Siedli, kury kręciły się między nogami. Kot wskoczył Nastce na kolana. Pogłaskała go w zamyśleniu i zaraz zrzuciła.

– Co byś chciał wiedzieć? – spytała.

– Powiadają, że ojciec nie swoją śmiercią zmarł. Wiesz coś o tym?

– Takie we wsi bałakanie szło. Że go, pana mojego, ubili. Ale tego nikt z pewnością nie wie.

– Pan Ligęza w tej materii nic nie wyjawiał?

Nastka nasepiła brwi.

– Ty się, synku, pana Ligęzy nie czepiaj.

– Ja prawdę chcę znać!

– Prawda taka, że jeśli go gdzie ubili, to w Sańsku. Ale na pewno to nikt nie wie. Wasyl tam onego dnia był, ale wiesz jaki on, nie słyszał i nie widział.

– Wasyl tam był? – zdziwił się Tomasz.

– A co w tym takiego? On każdej niedzieli do Sańska chodzi na nurków popatrzeć. Jemu ich życie się podoba, a choć mówią, że on ma słabą głowę, przecież niejedno rozumie. On wie, że tam prawdą a słowem Bożym żyją. No i chodził on do Sańska, jeno ta mu niewygodą była, że u nas niedziela, a u nich dzień roboczy. Ale zgromadzenia się odbywały, to mógł słuchać, jak Lea na luteńce gra, i hymnów posłuchał, a jak się do nich odezwał, to go bratem nazwali. On, synku, do dobrego tęskni. Do Królestwa Bożego, bo tam każdy u Ojca równy. O nic on się teraz nie martwi, bo powiada, że kto jest wywyższony, będzie potępiony, a kto maluczki, będzie wywyższony. Jemu spokój nurkowie przywracają. Ale ja to chyba zbawienia pewna być nie mogę, bo tak czuję, że nad inne dziewczki wywyższona, nie tak, synku?

– Więc Wasyl tam tego dnia był? – spytał z naciskiem Tomasz.

– Był. A waćpan co z tego wysnuwasz?

Tomasz nie odpowiedział. Byli w tym Sańsku wszyscy, uprzytomnił sobie, wszyscy, którzy na duszę ojcową czyhali – jakby w zмовie jednej: Ligęza, Toroszewicz, Gedeon... I Rosiński zaczajony gdzieś przy drodze. I Wasyl Majbą zwany, którego Nastkę ojciec sobie brał do woli. Majba ostrze siekiery pilnie oglądał.

– Nastka. A powiedz mi, jak to z ojcem u ciebie było? Po pańsku cię wziął? Po niewoli?

Nastka zerknęła na śpiącego pod jabłonką Ligęzę.

– A czy to ważne? – spytała.

– Wszystko może być ważne.

– To już chyba powiem jak na spowiedzi – szepnęła. – Nie, synku, żadnego w tym gwałtu nie było. W naszych stronach tego nie ma, żeby mus był panu wianek ofiarować. Jeno przed ślubem pozwolenstwo pańskie trzeba mieć. A ja, synku, grzeszna, na pana Błudnickiego dawno się zapatrzyła. Ledwo mnie pierwsze gorącości zaczęły nachodzić, już ja o nim po nocach śniła. Na wszystko ja gotowa była. Ja i po to za Majbę za mąż godziła się iść, żeby jego wielmożność rychlej mógł ze mnie szatki zdjąć.

– Jakże tak?

– Bo o tym pozwolenstwie pomyślałam. Poszła ja z Majbutnią i zwojem płótna do jego wielmożności, pokłonić się. A on, raczywszy wyjść ku mnie, to jak ogarnął mnie spojrzeniem, jak popatrzył, to jużem była pewna, że mu się okrutnie spodobała, całkiem się pan zapatrzył. A ja cała w ogniu i jękałam się z przejęcia. Pan też jakiś onieśmielony. Za płótno miło dziękuje i powiada naraz, żeś ty cudnie Nastka wyrosła i że aż zazdrość Wasylowi, że taka łania mu się dostaje. Ja na to: Wasza wielmożność panem naszym jesteś i we wszystkim możesz mieć pierwszeństwo. Tak śmiało mówię, a w środku boję się, czy mu się od tych słów wstrętne nie wydam. On na to szepem: przyjadę do ciebie wieczorem. Przyjechał, Majbutnia gorzałkę przyniosła, mohorycz dostała.

– A potem co?

– Ciągnęło się to, wasza wielmożność. Rozmłować się we mnie pan raczył. Takie mi ojciec twój słodkości prawił, że druga, choć i pani, choć w jedwabiach, a setną część tego w życiu nie usłyszysz. I wciąż albo słał po mnie, albo sam przyjeżdżał i nieraz on, pan, w chłopskiej stodole na sianie nocował.

– Ale cię do dworu nie wziął i lepszej izby nie przydzielił.

– Mnie i ta dobra – powiedziała spochmurniawszy. – Płótno kupował – dodała.

– A ja starannie robiłam, żadna tu w Kozłowie tak mocnego płótna nie zrobi, zapytaj, kogo chcesz. I krosna, coś je w izbie widział, kazał majstrowi przypisanemu dla mnie zrobić, za co mu Bóg zapłać. Już ja starości się nie boję. Choćbym pociemniała, to jeszcze i po omacku dam radę tkać. – Nagle powiedziała: – Ja, synku, na kochaniu korzystać nie chcę. Ja, żebym swojego pana nożętami ścisnąć mogła, to najbardziej szczęśliwa. Nie ma tu w majątnościach okolicznych szczęśliwszej ode mnie sieluszki. I pan mój dlatego lepiej się czuje, że wie, że to z miłowania wszystko, a nie z chytróści. Nie tak, synku?

– A twój Wasyl się nie domyślał?

– Nie wiem – odpowiedziała.

– Przecież ma oczy!

– Nie wiem – powtórzyła z uporem.

– Ty, Nastka, sobie tego nie wmawiaj. Wasyl nie ślepy.

– Wasylowi dobrze. Po nogach całuje.

– Ale serce boli.

– O panów on nie zazdrosny. Panowie i tak potępieni będą. On spokojny.

Był w Sańsku, pomyślał Tomasz. Wyjął siekierę, obejrzał ostrze. Co ty możesz wiedzieć, miła Nastusiu, Jewko grzeszna, zaślepiona.

– A pan Belzecki do ciebie nie przystaje?

– Nie – odpowiedziała.

– Aż dziwne.

– Może i dziwne. Bo ja to widzę, jak on na mnie spogląda... A wiesz, to twój ojciec nieboszczyk mnie panu Belzeckiemu pokazał. Konno tu obadwa przyjechali. Akurat siano na łące zgrabiałam. Woła ojciec: – Nastka, pójdź sam, jego miłość chce cię powitać. Nie mógł się oprzeć mój pan, serce moje, żeby się przed jegomością nie pochwalić. Jak dzieciuch jaki. Ja z grabiami stoję, spocona, czerwona na gębie, brzuch między zapaską a

koszulą golusienki, aż pępek wyziera, powiadam ci, tak stoję, ci się na mnie dziwiają. Jezu, myślę, żeby ten Bełzecki czegoś w lichą godzinę nie wypatrzył. A on – to ta? – spytał. – Ta – odpowiedział mój pan. A na to pan Bełzecki: Foremna. A potem dodał: – Diana... – Ja później do ojca twojego ze swatem: – Suką mnie ten waszmościów przyjaciel nazwał (bo we dworze suka była, co ją Diana wołali), już byś, panie, co na moją obronę rzekł, a on śmiał się i powiedział, że Diana to boginka pogańska, w krótkiej zapaseczce, z gołymi kolanami, nadobna wielce, w pasie wcięta a chutliwie wyglądająca. Prawda to? – spytała.

– Słowo w słowo – potwierdził Tomasz. – Kiedy to było?

– Będzie dwa lata.

– A potem kiedy się chorąży u was zjawił?

– Potem? Poczekaj... Bo on, pan Bełzecki, zaraz do Warszawy het pojechał. A jak wrócił, to owszem, po płótno przycwałował. Zaś w cztery dni po pogrzebie ojcowym zjechał tu z sabaty, włościąństwo zwołał i zapowiedział, że teraz on tu panem, na co ma pismo królewskie. I mnie na miejscu wyróżnił, bo z gromady przywołał i spytał, czy wiem, że jego jestem teraz poddanka. Ja na to, że nie jego, jeno królewska. A on, że wedle ichniego prawa wraz z onym pismem wszystko na niego kozłowskie przechodzi. – Rozumiesz ty to? – pyta. – Rozumiem, wasz miłość – odpowiadam.

– Płótno nowe masz? – pyta. – Po niedzieli będzie – odpowiadam. – To przyjdź i nim. I przędzywo, powiada, z zamku dostaniesz. Co było robić, przysłałam. A on wyszedł do mnie, płótno wziął, zapłacił, potem mrucał, mrucał, pod brodę ujął, popatrzył mi w oczy. To ja swoje spuściłam. To on: – No, idź, Bóg z tobą. – Wzięłam przędzywo i poszłam sobie. Tak mnie bez niczego odpuścił.

– Nie widziałaś mu się?

– Jakże, gorzał cały. I nieraz do siebie potem wzywał, i nieraz tu ku nam zachodził, i się dziwował, i mówił: rób, rób, nie przeszkadzaj sobie. A robić pod jego spojrzeniem było nijako, bo to tak, jakbym go sobą wabiła. Ale on popatrzał, pomilczał – i nic.

– A z Ligęzą kiedy się zaczęło?

– Kiedy, pytasz? Wtedy właśnie ja go poznała, kiedym do onego zamku z płótnem pierwszy raz przysła. Wyszedł za mną na ganek i bezwstydnie coś zagadał. Ja na to w złości: – Odczep się waćpan beś nie mój pan. – A czym przez to gorszy? – spytał.

– Nie wiem, czyś gorszy, czy lepszy, ja w żałobie jestem po kochanku i to uszanować proszę. – To on ustąpił, a potem zjawiał mi się to w chacie, to na folwarku, kiedy ja krowy doiła, i już miły był i uważający.

– To pan Bełzecki człowiek życzliwy? – spytał Tomasz.

– Wilk człowiekowi tak samo życzliwy – odpowiedziała Nastka.

W ciemnych oczach więcej było rozżalenia niż gniewu. Czy z powodu ojca? – pomyślał i serce mu zabiło z podniecenia, że się zaraz czegoś dowie. Spytał:

– Co on przeciw tobie wyczynił?

– Majbie mojemu kazał wyliczyć dwadzieścia kijów. Jak tylko panem tu zostałem, zaraz Wasyla wezwał i sabatom kazał go oćwiczyć. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, dlaczego. Wasyl jak Wasyl – pan ćwicz, pewno tak ma być, co tu od potępieńca sprawiedliwości żądać? Portki naciągnął i do domu się przywłókł. Palanką ja mu plecy obmyła, leżał bez jęku, ale ja się popłakała nad jego dolą. Minał tydzień – i kłodą mu karbowy zagroził. Dlaczego? Pan kazał! A za co – znowu nie wiadomo. Ale do kłody już nie doszło. Tam pono Ligęza za Wasylem słowo przemówił.

– Posłuchaj, Nastka, są poszlaki, że ojca jednak zamordowano. Rzeknij, tyleś z nim przebywała. Czy on się śmierci z czyjejś ręki spodziewał?

– Nigdy mi nic takiego nie powiadał.

– Ja wiem, że on w tych Błudnikach miał szpiega. Bełzecki go nasłał.

Czy ci kiedyś o tym wspominał?

– Nie, nigdy.

– Nie skarżył się, że jest szpiegowany?

– Nigdy – powtórzyła Nastka. I spytała ciekawie: – Kto to był?

– Toroszewicz.

– Ojciec mu ufał – przypomniała sobie.

– A tyś ojcu o tych wizytacjach Bełzeckiego napomknęła?

– Jakżeby inaczej. Śmiał się. Chciałoby się, mówił, do miodu, ale nie dla każdego on, mówił.

– A sama ty jak myślisz: mógł pan Bełzecki nieboszczyka ojca mojego nienawidzić?

– Teraz myślę, że mógł.

– I śmierci jego pragnąć?

– Mógł.

– Bełzecki tę śmierć przewidywał, Nastusiu. On ją przygotował. Do Warszawy po donację na Kozłów za życia ojca mojego pojechał. A przede mną zełgał wczoraj, że od lat ją posiadał. Dlaczego zełgał? – spytał Tomasz i sam sobie odpowiedział: – Żeby podejrzenie z powodu koincydencji odsunąć. Ale że zełgał, to błąd jego, bo kto łże, ten ma w tym interes, chyba że głowę ma popsowaną i łągać musi. Bełzecki do takich nie należy. Więc powiadasz, że bardzo być może, iż ojca nienawidził nasz pan Bełzecki. A przecież ojciec mu ufał i zgola się z tej strony zbrodni nie spodziewał. Tedy znaczy to, iż grał komedię przyjaźni pan Bełzecki, grał lata całe, od chwili kiedy powód powstał, żeby ojca znienawidzić. Bóg wie, jak długo takim fałszem żył. Po co Ligęzę do kraju z Włoch wezwał? Po co mu glejt królewski obiecywał? Nie po to, żeby ów infamis ojca mojego zgładził?

– Synku, bój się Boga, co ty wygadujesz! – wystraszyła się Nastka.

– A jeśli tak, jeśli ów przyjazd Ligęzy kalendarz jakiś dla nas stanowi, tedy więcej pięciu lat wstecz ta zapiekła nienawiść sięga. Dziw, że mu wątroby nie zjadła.

– Domysły to jeno, panie.

– Śpi on teraz, Ligęza, umorzony po trudach przyjemnych. Wiem, Nastusiu, jakim uczuciem go darzysz. A ja ci co dziwniejsze powiem: oto ja sam mu rad jestem, coś w nim jest takiego, co mnie zniewala. Ale pomyśl: jeśli kto dla pana Bełzeckiego przeciw ojcu żelazo wyciągnął, to tylko on. Był on wtedy w Sańsku z ojcem i rankiem obu ich w zajezdzie nie zastano.

– On tego nie uczynił – powiedziała. I dodała cicho: – Przecież ci już powiadała, że poznał mnie po śmierci ojca twego. Chyba że podejrzewasz, że me z mojego powodu.

– Tak właśnie myślę.

– Pan Stefan jest rycerz – powiedziała Nastka.

„Ligęza na rozkaz nie zabija”, przypomniał sobie. Och, ileż takich pięknych frazesów słyszał!

– Banit i infamis – powiedział gniewnie. – Przez synod wyklęty. Gardłem odpowiada.

– Ale rycerz – powtórzyła Nastka. – Prawo choć naruszył, lecz nie tak, żeby komuś gwałt zadać. Bez hańby sumienia swojego! – broniła kochanka.

O dwóch podejrzanych lepiej w jej obecności nie wspominać, pomyślał, broni obu po równo, męża i kochankę. Gedeon konia w darze dostał, przypomniał sobie, za współudział czy za milczenie tylko?

– Chłodno się robi – powiedziała Nastka porwawszy się z przyzby.

Wyniosła z domu derkę wełnianą, którą przykryła śpiącego Ligęzę. Otworzył oczy, ona pocałowała go w usta. Poprosiła:

– Śpij, panie. Ja tu z Tomaszkiem mam jeszcze do pogwarzenia.

Ligęza posłusznie przymknęła oczy, ona wróciła do Tomasza.

– On słucha – szepnęła.

– Nie szkodzi. Nastka, powiedz, a nie pamiętasz, czy ojciec się na chorobę jakąś nie skarżył?

– Nie.

– Bo pan Bełzecki twierdzi, że ojca ogień trawił.

– Nie wiem, synku. Ojciec do chorób ni do starzenia nie był chętny się przyznawać. Mało nie trzydzieści lat starszy ode mnie, to mu niewygodą była przede mną słabować. Chciał mi się krzepkim wydać... Aż czasem czułość brała...

– Do doktorów po lekarstwa nie jeździł?

– Nie... Chociaż, poczekaj... Mógł w mieście u medyka być, kiedy na Podole do majątności swojej się wybrał.

– Nie wiem ja nic o żadnej majątności na Podolu.

– Ale było tam jakieś sioło. Na pewno.

– I co się z nim stało?

– Nie wiem.

Siostra nie wspominała, uświadomił sobie. Dziwne.

– Wracamy? – usłyszał głos Ligęzy. Stał obok przyzby, zapinając pas na kaftanie. – Chłód bierze – powiedział i wstrząsnął się.

– Napijcie się, panie – zachęcała Nastka.

– Dobrze radzisz.

Ligęza zaczerpnęła palanki z szaflika. Wypiwszy przyznał, że mu cieplej.

– Czas na nas – mruknął.

Panowie odwiązali konie, wzmocnili popręgi. Z izby dobiegł płacz dziecka.

– Zaczekajcie! – zawołała Nastka.

Wbiegła do chaty, na chwilę tam marudziła, słycać było jej monotonne „no, no, no, Myćko, no”, dziecko wciąż płakało. Wróciła Nastka do nich niespokojna, oczy miała rozbiegane.

– Cały w gorączce – powiedziała. Westchnęła: – To już chyba tak na świecie, że wszystko nie może być szczęśliwie.

– Przejdzie mu – mruknął Ligęza.

– W Bogu nadzieja. – Objęła kochanka. – A ty, mój panie, kiedy mnie znowu nawiedzisz?

– Nie wiem jeszcze.

Dziecko płakało.

– Słyszycie? – spytała strwożona.

– Panienkę z apteczką ci przyślę – powiedział Ligęza. – Ona na lekarstwach się zna.

– Dziękuję pokornie. I sam przyjeżdż. Jutro po nabożeństwie racz ku nam. Nie zapomnij Nastki – prosiła.

Panowie dosiedli koni. Nastka podała Tomaszowi zwój płótna. Pokłoniła się nisko.

– Bywajcie zdrowi, wielmożni panowie.

Mała Natałka szarpnęła ją za zapaskę:

– Mama, mama, Myćko płacze.

– Słyszę – odpowiedziała Nastka. – Słyszę, Jezu kochany. Że też na tym świecie, żadna radość nie może być niezmacona. – Powiedziawszy to zalała się łzami. Szepnęła w ślad za panami: – Tak to jest, jak się ożenił, tak się odmienił.

Weszła do chaty. Dziecko nadal płakało.

ROZDZIAŁ X

Płakało jeszcze wtedy, kiedy siedział przy stole Bełzeckich, a wokół krążyli słudzy w złocie i błękitach, obnosząc półmiski z pieczonym drobiem. W powietrzu unosił się mocny zapach korzeni i sosu cebulowego, i wina, a także ów delikatny aromat pachnideł, którymi się państwo chorążostwo skrapiali. Płakał Jewczyny synek, Urszula uśmiechała się spod na wpół opuszczonych rzęs, pan Koniecpolski siedział uroczyście, strojny, cały srebrno-szkarłatny, na stole grały lśnieniami srebra i kryształy – tamto wszystko wciąż trwało i było obok, tuż. Szeptano w listowiu, całowano się, czuł zazdrość, nie o Nastkę, tylko o to zapamiętanie, do którego nie był już zdolny. Nie istniejące zmarszczki zbierały się wokół oczu Nastki, widział, jak podkradały się, jak utwardzały jej cerę, zżerały wdzięk i świeżość dziewczęcą. Dziecko płakało. Majba oglądał ostrze siekiery. Mój pan, mój, nożętami cię objęłam. Czarami Nastka panów wiąże, czarami. Orzeł krąży wciąż nad Huczkiem, nad Tarnawką, zarośla falują westchnieniem. Siedział przy stole i szedł na moskiewskie miecze, na spotkanie śmierci.

– Co z waćpanem? – spytała Urszula.

Potem była ciemność. Ale przecież żyję.

– Nic – odpowiedział.

– Nie pijesz.

Ligęza rzucił się na pomoc:

– Pana Tomasza do picia mi nie namawiajcie.

Nikt się nie sprzeciwił. W ciszy słychać było nalewanie win i dzwonienie szklanicy.

– Pokaż dłoń – zażądał nieoczekiwanie infamis. Tomasz rozwarł lewą pięść.

– Władasz nią? – spytał Ligęza.

– Trochę lepiej – odpowiedział Tomasz.

Dziecko płakało. Że też na tym świecie nie może być niezmaconego szczęścia.

– Przyszłość ci przepowiem – mówił Ligeza spoglądając na rozwartą dłoń Tomasza. – Linia życia długa. Będzie gotowizna i podróż daleka.

– Ciekawym, dokąd.

– Może za ocean.

– Z gotowizną to komponujesz, panie Stefanie.

– Jam jest wieszczek, co woli przyjemną przepowiadać. Pomnym, co się stało w Ferrarze, gdzie księżę d’Este kazał astrologa, pana Guarico, powrozami bić za przepowiednie niemiłe. Musiałem potem biedaka maściami smarować, żeby do siebie doszedł. I byłby mi wdzięczny, gdyby nie to, żem go na koniec zapytał, czemu w gwiazdach onego wyłożenia skóry swojej nie wyczytał.

Urszula roześmiała się, ukazując duże, silne zęby. Niby bardziej sobą włada od innych panien, pomyślał, niby rozum jest własny, a przecież dopiero co iść chciała za nudziarza Koniecpolskiego, a za niewiele czasu, niech jeno rozochocimy się, oznajmi nam, że podporządkowując się woli starszych oddaje rękę księciu kasztelanowi. Po com tu przybył? – zapytał z żalem sam siebie i nie od razu przypomniał sobie: żeby mordercę odkryć. A ta dziewczka, ku której ukradkiem zachwycone spojrzenie rzucasz, to może mordercy córka.

Poszukała jego dłoni, rozprostowała ją palcami, tak że omal go nie drasnęła pierścionkiem swoim zdobnym w krwawnik szlifowany.

– Ja ci, Tomku, powrózę – powiedziała i chuchnęła na jego dłoń. – Pan Ligeza to bazarz sławny, cyganić rad, a Urszula prawdę ci powie, nic nie ukryje. – Zmarszczyła brwi udając, że zamyśla się nad dłonią Tomasza. – Widzę – powiedziała. – Zamek widzę. Szczęście. Dużo szczęścia. Dobrześ

rzekł, panie Ligęzo: będzie gotowizna i będzie podróż. Ale najpierw ślub uroczysty.

– Świadkiem będę?

– To zależy. Będiesz wobec panien uważający i serdeczny i młodość serca okażesz, to pojdziesz szlachciankę posażną, z dobrego domu, urodziwą, z rozumem nadzwyczajnym.

– Z czym proszę? – przepytał Ligęza.

– Z rozumem nadzwyczajnym – powtórzyła panna.

– Tego nie bywa – mruknął infamis.

– W Italii twojej może i nie bywa, ale u nas w Sanockiem, na pęczki. Czeka cię, panie Tomku, piękna przyszłość u boku wybranej.

– A mnie co przepowiadasz? – spytał pan Zygmunt Konięcpolski.

– Waści nic, bo ja waścinego serca nie rozumiem. Waści nie z mojej parafii.

– Uczyłem się i ja rymy składać – przypomniał Konięcpolski, który zrozumiał z jej napomknięcia więcej, niż mogła oczekiwać.

– A za Inklusę w świat szedłeś? – spytała.

– Co za Inkluzę? – zmieszał się starosta.

– Dziewczę, które rycerzowi się przyśniło. Cudna była okrutnie, więc gdy tylko się przebudził, postanowił, że ją odszuka. I przypasawszy miecz pojechał szukać.

– Dziewczęcia ze snów?

– Nie inaczej.

– Nie chcesz waćpanna rzec, że on to dziewczę znalazł?

– W opowieści znalazł, a w życiu nie takie ważne, czy znalazł, ważne żeby szukać. Nie wierzysz waćpan? Bo i nie potrafisz. A pan Błudnicki tak właśnie uczynił jak ów rycerz. Nieprawda, Tomku? Nie Inklusę w Moskwie szukał?

Tomasz uśmiechnął się.

– Już teraz nie pomnę, czegom tam szukał, ale to pewna, że nie to znalazł.

Ojciec Urszuli zadzwonił pucharem.

– Córeńko – zaczął. – Nie chcę ja cię ponaglać, ale raz, nie wypada pana starosty w niepewności trzymać, dwa, że lepiej dyskurs prowadzić, póki nam się łby nie kurzą. Obiecałaś nam dziś odpowiedź.

– Właśnie chciałam do tego przejść.

Pan Bełzecki klasnął w dłonie.

– Rachmet! Napełnij puchary!

Podczas gdy Tatar w milczeniu zabrał się do rozlewania wina, Urszula powiedziała:

– Po co tak solennie? Skończyłeś, Rachmecie...? – Urszula wstała. – Panie ojczy, pani matko... Panie Konięcpolski drogi... Nic, żeś mną tak wzgardził lekko, już ja ci to dla starego sentymentu wybaczę... Ale ten list od księcia pana, który mi przywiozłeś, wzburzył mnie niemało. Dużo tam komplementów nieznośnych. Płeszce zazdrości księżę jegomość, że po moich ślicznościach skacze, co jest i lubieżne, i nieprawda, bo my tu w Bolatynie pcheł nie żywimy...

– Wybacz, waćpanna, księciu – pośpieszył pan Konięcpolski. – Gorzeje on, świata za tobą nie widzi a komplementuje po staroświecku.

– Że gorzeje, to jego sprawa. Nie zna on mnie nawet.

– Widział cię przecież!

– Ale nie zna. Same dworności i łgarstwa zamieniliśmy, z niczego mu się nie otworzyłam. Ja małżonka mogę mieć, na to zgoda, ale za nałożnicę nikomu służyć nie chcę, choćby to miał być harem jednoosobowy.

– Panią jego będziesz i przyjaciółką życia – bronił księcia swat starosta. – Państwo Bełzeccy, czemu głosu nie zabieracie? Dobrodziko! – zwrócił się

do pani Barbary.

Tak do odpowiedzi wezwana, zabrała głos matka. Mówiła zawile, zdania w pół słowa urywała, jakby trudno jej było myśl wyrazić. Może i do końca nie miała jej ukształtowanej, myślał Tomasz, przypatrując się matronie, która mu wczoraj „synem moim będziesz” rzekła. Musiała być niegdyś urodziwa, ta chłodna pani, której teraz wokół ust, brodawką oszpeconych, błąkał się złośliwy uśmieszek. Oczy jasne, duże i zimne jak woda źródłana. Zimne czy wystygłe? Szczęściem nic Urszula do niej nie podobna, po ojcu ma urodę, a najwięcej sama z siebie, te jej oczy jasnoszare, marzycielskie i wyzywające, rezolutne i przekorne (przekorą trochę dziecinną), ironiczne i – jakie? – myślał, jakie? – jednak czułe, ciepłe, ciekawe, całe ku życiu zwrócone, więc nic nie ma z matki i dlatego nie możesz wróżyć, jak z nią będzie, kiedy się zestarzeje. Pani Bełzecka o doświadczeniach swoich mówiła. O życiu okolicznym, jak je widzi. Pan chorąży, który tu nam za stołem przewodzi, trzecim małżonkiem jej jest. Uważcie waszmościowie, jaki sens z tego. Najpierw ją za starca wydano, pana Krasickiego, który szybko na lepszy świat się przeniósł, świeć Panie nad jego duszą... Dzeduszycki, następny, młody był, ten w burdzie usieczon, po nim pogrobowiec został, którego Łukasz raczył usynowić. Poległ on pogrobowiec Smoleńsk szturmując. Taki białogłów los: albo same w połogu umierają, albo, kiedy żywot w nich uparty, raz po raz we wdowieństwie chodzą. Łukasz nie taki teraz gorączka, jak bywał, rozważny, tym ona na koniec szczęśliwa. Tak czy siak, waszmościowie, niedłgie w małżeństwie szczęście niewiasty, więc trzeba, żeby szczęściem było. Ano trzeba, skwitował to mruknięciem pan Koniempolski. A jakież to szczęście ze starcem, podjęła ona, choćby to i pierwszy senator Rzeczypospolitej był? Nie zazna z nim ona tych rozkoszy, które się słusznie płci białej od małżonków należą. Koniempolski zmieszany mamrotał, że wstyd mu z

niewieścich ust takich słów słuchać. Czemu wstyd, nie rozumie matrona, wszakżeśmy ludzie dorośli, a ma się dziewczka po próznicy w łożu obracać, to już lepiej Bogu ją poświęcić i do klasztoru... Koniecpolski nie wiedział, gdzie oczy podziać, a Urszula, zadowolona, śmiech dusiła.

– Miej odwagę – zwróciła się matka do starosty – spójrz na rzecz, jak na statystę przystało. Ja, matka, chciałabym dla córki najlepiej. I dlatego jej decyzję zostawuję.

– To może ja już do końca dopowiem – odezwała się Urszula, która cały czas stała. – Miły panie starosto! Kiedym jeszcze dziewczątkiem małym była, ojciec mój i szlachcic pewien, przyjaciel jego, ułożyli sobie, że ich dzieci w przyszłości się pobiorą. Widzę, panie Tomku, żeś zbladł – zauważyła z uśmiechem.

Tomasz może i lekko przybladł, za to pan Bełzecki spąsowiał.

– Do czego zmierzasz, córuniu? – spytał usiłując opanować wzburzenie.

– Do tego, że mogliśmy pertraktować z panem starostą, póki byliśmy przekonani o śmierci tu obecnego Tomasza Błudnickiego. Ale żyje on, wrócił mój obiecany i do niego tylko należeć mogę. – Podała przez stół dłoń Tomaszowi. – Mogę być jeno twoja, jeśli mnie nie odrzucisz.

– Nie odrzucam – powiedział.

– Ucałujże moją dłoń, panie Błudnicki.

Tomasz przylgnął ustami do palców Urszuli. Pierścionek z krwawnikiem dotknął wargi. Podniósłszy głowę, Tomasz nie bez ubawienia zerknął na Bełzeckiego. Ten nie tylko spąsowiał, ale i oddech stracił, jak pięścią zdzielony. Ale wnet przyszedł do siebie. Chwyciwszy puchar podniósł go do ust, ale nie pił, wąsy w nim tylko zamoczył.

– Niepotrzebnie, Ulka, tyle wagi do dawnych ślubów przykładasz – powiedział spokojnie. – Ja cię z obietnicy zwalniam.

– Tatulu? – Córka spojrzała na ojca z ukosa, ironicznie.

– Szanuję Tomasza, Bóg świadkiem, bo żołnierz dzielny, serce czułe i szczęścia mu życzę. Ale przecież mniemam, że on księciu pierwszeństwa ustąpi. Prawda, mój zacny chłopcze?

– Tato, a twój ślub...? – zawołała córka.

– Ksiądz mnie zabsolwuje.

– Pewnie, ciebie ksiądz zabsolwuje, a mnie nieboszczyk pan Błudnicki z tamtego świata będzie furiami ścigać. Dziękuję pokornie waszej wielmożności, nie ma zgody.

– Ulka! – Bełzecki znowu spąsowiał. Szukał ratunku w Tomaszu, który siedział milczący, prawie obojętny.

– Nie ma zgody! – krzyczała córka. – Veto!

Konieczpolski postanowił mękę swoją skrócić. Zwrócił się wprost do dziewczyny:

– Czyli rekużujesz waćpanna?

– Rekużuję, bom nie jest wolna. Oto mój wybrany.

Tomasz skłonił w milczeniu głowę. Swat starosta zmierzył go spojrzeniem, Tomasz odwzajemnił mu się wyzywającym uśmiechem. Wtem starosta załamał rękę:

– I cóż ja teraz księciu powiem? Toż on mnie psami poszczuje!

Nie spodobała się ta małoduszność chorążemu.

– Starostą jesteś! – przypomniał. – Wysokim urzędnikiem!

– Nie dla księcia, waszmość panie chorąży, nie dla księcia...! Dla niegośmy wszyscy człowieczkowie mali. Nie ma co, musisz mi waćpanna wygotować pismo, w którym rekużę tłumaczysz, inaczej nie ruszę się stąd.

– Nie, nie! nie Ulka – przeraził się pan chorąży. – To już lepiej ja sam odprawę ułożę.

Kończyli wieczerzę w milczeniu, nie było nastroju do gawędy. Pan Konieczpolski podziękowawszy wstał i odszedł do wydzielonej mu komnaty.

Tam miał czekać na listy, by nazajutrz o świcie ruszyć z tego zamku, gdzie go goryczą, choć tylko jako swata, napojono. Pan Bełzecki zawarował sobie jeszcze na dzisiaj rozmowę w cztery oczy z Tomaszem. Pani chorążyna zaś na odchodnym oblała go spojrzeniem swoich zimnych oczu mówiąc:

– Obiecałam ci, Tomaszu, że synem moim będziesz. Ale nie zięciem...!

Pamiętaj o tym.

– Tak, pani – powiedział cicho Tomasz.

Urszula pociągnęła go za sobą.

– Ty ze mną, Tomku! Godzi się nam porozmawiać na osobności – dodała, skłoniwszy się ojcu. Chorąży milczał. – Chodź – powiedziała i ująwszy dłoń Tomasza poprowadziła go do świetlicy.

Pogasiła tu wszystkie świece prócz jednej. – Tak milej będzie – tłumaczyła. Poruszyła ożogiem w kominie i wnet płomień buchnął, a jej twarz rozbłysła w półmroku ciepłą różowością. Następnie wskazała Tomaszowi stołek obity wytłaczaną skórą.

– Siadaj, Tomku, rozchmurz się. Dzięki ci, żeś pomógł wyratować się z książęcej niedoli. A i ty sam, jeśli mnie lubisz, powinienes być z tego rad.

– Nic by ci, panno, nie pomogło, gdyby rodzice przy onym ślubie się upierali – zauważył. – Ale jakoś chyba i oni sami nie mogli się rezolwować.

– Pewnie, że tak. Chciałabym za księcia pójść – przystaliby z ochotą. A iść nie chcę – i na to przystają.

– Ale na mnie się nie zgodzą.

– Kto wie – powiedziała i uśmiechnęła się do niego.

Zaprzestań tych czarów, myślał, zaprzestań, bo głowę stracę.

– Srodze ty, Ulka, nad ojcem panujesz – mruknął.

– Chyba tak – pochwaliła się.

– A nad panią matką?

– Pani matka sama nie wie, czego dla mnie żądać. Chciałaby i żebym księżną była, i żeby mąż był urodziwy i młody, a to w kupie nie bywa.

– Pani matka także romansów czytelniczka?

Urszula nie odpowiedziała. Palcami przebierała po naszyjniku bursztynowym. Powiedziała w końcu:

– Jednakże mógłbyś mnie, Tomku, pocałować.

– A to po co? – rzekł szorstko.

– Żeby moje słowa zapieczętować.

– Igraszki to tylko były.

– Gdyby nawet... Czym ci wstrętna?

– Nie – powiedział.

Przymknęła oczy. Różowy blask prześwietlał jej policzki. Pocałował ją leciutko i zaraz poczuł tamten zapach, aromat apteczki pani chorążyny. Córka mordercy, przemknęło mu przez myśl i w tej samej chwili jej wargi chwyciły jego usta i poczuł ssanie i ból zadany jej przednimi zębami, których nie widział, ale je pamiętał. Jeszcze, myślał, błagał, ale ssanie i ból ustały i usłyszał jej zduszony głos:

– Siadajże...

Po chwili:

– Tam. Daleko ode mnie.

Usiadł i słuchał skwierczenia w kominie.

– Szatan jesteś – powiedziała. – Wstrętny kusiciel.

Co ona o mnie wie, pomyślał z rezygnacją. Przypisuje nam się właściwości, których nie mamy, tak już jest. Tworzą nas sobie na obraz i podobieństwo własnych zachceń.

– Urszulko... – odezwał się.

– Tak?

– Pan chorąży chce ze mną mówić.

– Poczeka.

Szepnął:

– Ty larwo...

– Zamilcz. Błagam cię.

– Wymyśliłaś to z tym układem między naszymi ojcami?

– Może nie – odpowiedziała.

– Wymyśliłaś. Ja bym wiedział.

– To już oni po twoim z Maryną odejściu ułożyli.

– Nie, żadnego układu nie było, wszystko to wymyśliłaś.

– Wymyśliłam – przyznała wreszcie. – Ale mogli się przecież nasi ojcowie tak ułożyć.

– Nie, nie mogli.

– Dlaczego?

– Boś ty Bełzecka, a ja Błudnicki.

– Nie powiadaj!

– Bo twój ojciec, choć się innym pokazuje, miał pana Błudnickiego za nic. Może zaprzeczysz?

– Nie wiem ja tego. Nie mówmy o tym. Mnie to przyszło do głowy dziś rano w parowie. Jak swój pobyt u dominikanek wspomniałam. Bośmy tam, strach, jak jedna drugiej łąły. Każda o swoim umiłowanym opowiadała. A jak mnie zapytały, czy mnie z jakim oblubieńcem zmówiono, to nasamprzód nie wiedziałam co odrzec, ale zaraz przypomniałam sobie, jakieś ty mnie uczył z łuku szyć i szablą robić, i jak dla mnie, smarkatej, łątki sporządzałeś, i to wszystko, wszyściutko wspomniawszy, odpowiedziałam: „Mam oblubionego”. „A gdzie on?” – pytały. „A na wojnie”. „Gdzie ta wojna?” „U carowej Maryny w wojsku on”. I dalej o tym, jaki z ciebie rycerz nieustraszony, zręczny i szlachetny. Aleś ty nic o

tym nie wiedział, a jak się nareszcie po latach wczorajs pokazał, toś się bardzo nieuprzejmie zachował, aniś komplementem nie obdarzył.

Westchnął:

– Wskrzesałaś więc stare łgarstwo.

– Nie nazywaj tego łgarstwem, co było marzeniem. A zresztą, gdyby nawet... Powiada nasz pan Ligęza, że na dworach włoskich czy francuskich zabawiają się grą, którą nazywają „sądami miłości”. Rzuca się do pudła kartki z imionami dam i panów, a potem los kojarzy je w pary. Kogo tak zwiąże, przez cały rok parę muszą stanowić. Choćby się przedtem nienawidzili, muszą sobie służyć i uprzejmości okazywać jak zakochani. Możemy i my tak...

– Mnie nie los z tobą związał, moja panno. Toś ty sama mnie wybrała i do gry tej naznaczyła.

– Ale mógłbyś się dostosować.

– A co jeśli – od łyczka do rzemyczka – i patrzeć, a ja w tobie rozmiłowany, hę?

Uśmiechnęła się:

– Tym lepiej.

– I zechcę, byś była naprawdę moja?

– Musiałabym pomyśleć.

– A jam jeno Błudnicki...

– Mówiłam ci: przestań o tym.

– A zechcesz ty mnie?

Zmieszła się.

– Nie wiem jeszcze – odpowiedziała. – To się wyjaśni, prawda? – mówiła próbując dodać mu otuchy. Nagle, jakby coś ją tknęło, spytała: – A ty mnie chcesz?

– Nie – odpowiedział.

Zerwała się z ławy. Stała nad Tomaszem wznosząc zaciśnięte pięści.

– Dam w pysk – powiedziała przez zęby.

Chwycił ją za ramiona i usadził na powrót na ławie.

– Posłuchaj, moja panno – powiedział patrząc jej w oczy i przez mgnienie mu się zdawało, że w tych oczach widzi strach, strach pełen tkliwości, przemknęło mu przez myśl. Omal nie stracił wątku. Ale nie, pamiętał dobrze, co chciał rzec. – Cóżes się tak rozdygotała? Cóżes się tak wzbiesiła? Raz coś nie wedle twojej woli i już w pysk chcesz dać, już byś pasy darła. – Milczała, on ciągnął dalej: – Dlatego właśnie powiadam: nie. Bo ty mojej wzajemności nie szukasz ani mi jej nie dajesz – ty mnie sobie bierzesz. Najpierw ojciec twój czaprakiem mnie i strzelbą obdarza, potem ty zamki prorokujesz, potem o naszym ślubie, choć udanym, decydujesz. Ja nie mam chęci być obdarowywanym! Ani woli swojej pozbawionym! Ani w podziękowaniach się rozplýwać! Może do nóg bym ci padł i bił przed tobą czołem o tę posadzkę twardą, gdybym się czuł silniejszy, nie tak z wszystkiego wyzuty. (– Biłbyś czołem? – szepnęła. – Nie breszysz). Może, nie wiem. Gdybyś mi rzekła: ucieknijmy stąd, rzućmy te zamki, byle razem (– To co? to co? – dopytywała się – uciekłybyś ze mną?), no to nie wiem, może byłoby o czym myśleć. (– Okrutnieś ostrożny – zaintonowała rozczarowana), tak, muszę być ostrożny w słowach, wyznaniach, uczynkach, nie znam swoich uczuć i nie znam twoich; to wiem, że jesteś zuchwalsza niż inne panny, śmielsza, rezolutniejsza, ale to wiem, też, że za tą rezolucją, zuchwałością stoi fortuna Bełzeckich (– Co waść gadasz!), tak, fortuna ogromna, pola, lasy, karki zgięte, a jeszcze miłość rodziców, których prowadzisz na postronku, to ci daje pewność siebie, igrasz sobie mną, dla kaprysu wybierasz mnie na oblubieńca, jak w tych sądach miłości, bo wszystko ci wolno, moja panno, każdy niestatek ci ujdzie, każda

samowola. Czemu się uśmiechasz, do czarta, kiedy ja ze skóry wychodzę?
– rozgniewał się.

– Bo ci się chcę spodobać.

– Podobasz się i tak – zaburczał gniewnie.

– Więcej mi nie trzeba – oświadczyła uradowana. – Ja jak ów Macedończyk u Plutarcha, pamiętasz?

– Do diabła z twoją uczonością – nie pamiętam!

– A to źle. Więc o to tylko chodzi? Że wybór ode mnie wyszedł?

– Mało ci jeszcze? To rzecz najważniejsza! – wołał pieniąc się, że ona go nie rozumie, albo źle rozumie. – Najważniejsza!

Ona przyglądała mu się z uśmiechem, zupełnie jakby ją coś wprawiało w zachwyt.

– Wszelako – powiedziała – prawdę rzekła pani matka, że straszna jest pycha męska, próżność okrutna. I ty, widzę, nie inny.

– Jednak mnie nie rozumiesz – stwierdził.

– To źle. Co mam rozumieć?

– To, że ja chcę wiedzieć, za kogo ty mnie właściwie masz. Bo posłuchaj – powiedział już zupełnie spokojnie. Nie dbam ja o gniew pana Koniecpolskiego ani nawet o jego stryjecznego, chociaż to srogi rębajło i młodzieniec pyszny a okrutny. Ale księżę jegomość... Nie pomyślałaś o tym, że potęga jego może się przeciw mnie obrócić?

– Boisz się? – spytała.

– Nie w tym rzecz, czy ja się boję, jeno czyś ty o tym pomyślała.

– Nie – przyznała. – I w głowie mi nie powstało. Przepraszam cię, Tomku miły.

– Nie przepraszaj, teraz mi lepiej... Bo gdybyś pomyślała, a mimo to na szwank mnie wystawiła...

– Tomku, jeśli obawiasz się, że ten piekielny staruch może cię zemstą dosięgnąć, to już lepiej ja się na niego zgodzę...

Wstała z ławy, jakby zaraz miała zamiar pójść i zmianę woli oznajmić. Pośpieszył, ją uspokoić:

– Nie trzeba, Ulka. Ja się księcia nie boję.

Ona jednak już uchwyciła się tej myśli.

– Dobrze, zostanę księżną. Za to pospołu będziemy panu mężowi rogi przyprawiać.

– Wolne żarty.

– Nie, lepiej zostanę księżną – upierała się. – Bo ja może głupia jestem, że się wzbraniam? Na dwór królewski bym z księciem pociągnęła i tak bym sprawy poprowadziła, że żadne starostwo, żadne podkanclerstwo bez mojej zgody obsadzone by być nie mogło. Zechce Porta szukać pokoju – do mnie posłów z darami musi słać.

A zechce Moskwa nowego cara – księżna Urszula Ostrogska jej go wyznacza. I ty byś się za nami na dwór udał i zaraz byśmy cię posłem albo i jakimś marszałkiem wielkim koronnym mianowali. A tu jeno patrzeć, a mój staruch mnie na zawsze opuszcza, wieczne mu odpoczywanie. Siła, powiadają, było senatorów i hetmanów, co ożeniwszy się z miódkami, w kilka tygodni na tamten świat się przenieśli. Czegoś oczy wytrzeszczył? Nie od trucizny przecież, jeno że chcieli młodszej krwi dorównać. I swoją ostygłą krew rozniecali nasięzrałem, rutą, rumbarbarum, dziewięciornikiem, szałwią, pietruszką, muchą hiszpańską – wyliczała. – I co się dziwić, apetyt przy młódce nadmierny, a tęgości już brak...

– Ty, Ulka, w samej rzeczy prawisz, jak pannie nie przystoi.

– Jak ma ciebie wendetą prześladować, to już lepiej ja się poświęcę – upierała się.

– Ja się jego wendety nie boję.

– Ale skoro ty mnie nie chcesz...

– Nie chcę – powiedział w nagłym olśnieniu, że to na nią sposób najlepszy.

– Pójdę za księcia. Zamęcę go amorami i księżną wdową zostanę.

– Twoja wola.

– Sukinsyn – powiedziała przez zęby dziewczyna.

Skrzypnęły drzwi. W progu stał pan Konięcpolski – wysoka, ciemna postać.

– Pamiętaj – zdążyła Tomaszowi szepnąć dziewczyna.

– Nie bój się – odszepnął.

– Pan Błudnicki? – zapytał od progu starosta będziński.

– Jam jest – odparł Tomasz i przygarnął do siebie dziewczynę. –
Waszmość co życzysz?

Konięcpolski energicznym krokiem zbliżył się do kominka. Tutaj zadzwonił ostrogami.

– Żebyś mi placu dotrzymał – powiedział.

– Kiedy? – spytał Tomasz, ale takim tonem, jakby nim tylko ciekawość powodowała.

– Choćby zaraz.

Urszula przytuliwszy się do Tomasza rzekła:

– Nie będziesz, panie starosto, w moim domu burdy wszczynać.

– Możemy się zmierzyć poza twoim domem – odparł pan Konięcpolski.

– Ale co ci pan Błudnicki winien?

– Mnie osobiście nic, ale ja tu osobę księcia przedstawiam, któremu pan Błudnicki w drogę wszedł.

– Tedy o mnie bić się macie? – spytała.

– O waćpannę – potwierdził Konięcpolski.

– Jezus Maria! – zawołała. – Nie rozumiem cię, panie starosto. Czemuś taki zapalczywy nie był, kiedyś sam w konkury szedł? To w swojej sprawie pokorny byłeś, a dla księcia chcesz głowę kłaść?

– A kto ci, panno, powiedział, że ja głowę położę?

– Bo panu Błudnickiemu nikt nie dorówna.

Konieczpolski chwilę milczał, potem rzekł:

– Dobrze, niech mnie posieka.

– Ani mi to w głowie – odezwał się Tomasz.

– Nie chcesz się ze mną bić? – zdumiał się starosta.

– Nie.

– Waćpanie! Księciu staremu despekt uczyniłeś...

– Tym, że nie zginąłem? Słyszałeś, wasza wielmożność, jaki układ między ojcami stał.

– Twoim obowiązkiem, mości panie, z układu się wycofać i pierwszemu senatorowi Rzeczypospolitej ustąpić!

– Nie znam ja takich obowiązków – powiedział chłodno Tomasz.

– Tedy bij się ze mną!

– Nie.

Konieczpolski stracił panowanie nad sobą.

– Mospanie, teraz mojej osobie despekt czynisz!

– To mogę waćpana uniżenie przeprosić.

Obojętny głos Tomasza najwidoczniej rozdrażniał starostę.

– Nie rozumiem ja was, młodych! – zapienił się. – Gdzie honor? Gdzie godność rycerska? Wstydz się! Panna tu obok stoi! Słucha i się zdumiewa. Szlachcianka wysokiego rodu!

– Ta szlachecka córka woli zapewne, żebym ja żył, niż żebym w nikomu niepotrzebnym pojedynku usieczony został. Prawda, Ulka? I nawet tego nie życzy sobie, żebym ja waszmości wąsy przyciął.

– O, co to, to bardzo proszę! – zaprzeczyła żywo Urszula.

– Zamilcz panna – uspokoił ją Tomasz. – A co do mojego honoru... nie troszcz się asan o to.

– Powiadają, żeś był bohaterem – powiedział z przekąsem Koniecpolski.

– Ja tak nie powiadam.

Koniecpolski stracił język w gębie. Zastanawiał się, co te słowa mają oznaczać. Skromność? Rozgoryczenie? Wyzwanie?

– Nie byłeś bohaterem? – spytał.

– Nie.

– Nie wierz mu, panie starosto! – zawołała Urszula.

Tomasz objął ją ramieniem.

– Nie zabieraj głosu, Urszulko – powiedział – bo nie znasz, co to pole bitwy. Ale pan starosta rzecz rozumie, sam w ogniu się smażył, Smoleńsk szturmował. Waszmość chcesz wiedzieć, jak to ze mną było tam, oko w oko z nieprzyjacielem? No to racz cierpliwie wysłuchać. Przyzwyczajeni jesteście do chełpliwych opowieści, jak to jeden dziesięciu ściał, jak od miecza naszego kupa nieprzyjaciół padała, my lwy, a oni zajęce, my jeno bij-zabij, a dusza w nas zawsze wielka i z Bogiem w zgodzie. Chceszli takiej opowieści, to jej się ode mnie nie doczekasz.

Jakże mogłem bohatersko stawać, myślał, kiedyśmy tam napastnikami byli? Obrońcy – co innego. Swojej ziemi bronili, ich zajadłość była usprawiedliwiona.

A naszą czym mogłeś pobudzić? Że łupy? Że złoto? Nad cudzym językiem panowanie? Wiarę cudzą deptać i własną narzucać? Szkoda, że nie myślał o tym, kiedym za Maryną szedł. Ale to sobie muszę przyznać, że się szybko tam wyedukowałem, szybciej niż na padewskim uniwersytecie. Com pałką po głowie wziął, to i myśli nowe z uderzeniem wbijano.

– Pamiętam – powiedział – jakieśmy monastyr Siergiejewski oblegali. Nas wielu, a obrońców garstka. Jednak moce niebieskie nie po naszej stronie były. I czegoż to nasi żołnierze w niepokoju swoim nie dostrzegli! Dwaj starcy mieli się unosić w powietrzu wołając na nas: „Uchodźcie, nieszczęśni”! Duch całkiem w nas upadł, a kiedy Moskwa wypadłszy z klasztoru siekli, tumult się uczynił i gorze by nam było, gdyby nie Kozak Zarudzki, który ze swoimi Dońcami strzelbą wstręt im uczynił. Tak, panie starosto, mały to honor cudze kraje najeżdzać. Ale wejdzie wróg w nasze ziemie, to natenczas my będziemy bohaterami, nas będą starcy cudowni unosząc się w powietrzu od kul osłaniać. A ja to tylko chcę rzec, że po takiej potrzebie nikt nie jest bez plamy na honorze.

– Oskarżasz się waćpan – powiedział Koniiecpolski zmieszany trochę tą otwartością.

Urszula zaś zaniepokoiła się.

– Ależ, Tomku miły, co ty wygadujesz! Jakie znowu plamy!

– Choćby ta, żem w nieludzkości nie przeszkodził, jenom się od niej uchylił.

– Jakiej nieludzkości? – spytali tamci oboje.

– Jakiejś – odpowiedział niechętnie.

Spoglądał w ogień. Spojrzenie tego drągala, wspomniał, gdy ku mnie głowę obrócił, kiedym na dwór wyszedł. Do pasa wzrokiem sięgnął, zauważył, żem bez szabli. Żądza się w tym spojrzeniu malowała, głód – i taka zbrodnicza przebiegłość, chytrość mordercy. Pasował się ze sobą, widziałem to, cierpiał. A między nami topór wbity w kloc. Skoczyłem – ja pierwszy i pierwszy się przy toporze znalazłem. Umknął – zdziwił się w myśli – umknął przede mną, bo tak sądził, że i ja tęże myśl miałem! Mógł tak mniemać, mógł. Pamiętasz, jak ten zapach poczułeś, co od kotła bił, i był ci ten zapach miły, dom mi się przez chwilę zwidział, izba jadalna... I

nagle mdłości – jak zbawienie... Odszedłem od nich – i na mury... I zszedłem z nich, i na wały wstąpiłem, a naprzeciw szli zakuci w hełmy Moskwicini. Miecze mieli dobyte. Ja ku nim i pytałem sam siebie, czy jest taka rzecz na świecie tego upodlenia warta – wszystkie korony, carstwa, królestwa, honory, karność, służbistość, przymierza święcie dochowane, dzielność rycerska, wszystko to, czym nas tam trzymano, żebyśmy wytrwali, nikomu niepotrzebni, bez odsieczy, bez wieści z ojczyzny – czy wszystko to, co każą nam czcić, wniwecz się nie obraca wobec tej jednej rzeczy: że człowiek na człowieka jak na pieczeń zerka. Wiedziałem już, że ktoś mnie oszukał. Rzuciłem szablę i szedłem ku tamtym, by spotkać śmierć. Zobaczyłem ich szłomy szpiczaste, szronem były pokryte, zobaczyłem jak wznoszą się miecze, i ciemno się zrobiło. Chyba nie zdążyli uderzyć. Chybam padł sam – z wyczerpania.

Nie, nie zrozumie on mnie, pomyślał Tomasz spoglądając na chmurnego szlachcica. Żeby dorównać mi, musiałby choć na chwilę zbuntować się. Nie jak Zebrzydowski i Stadnicki Diabeł, którzy rokosz podnieśli, bo temu kamienicę król odebrać chciał z powrotem, a tamtego starostwo upragnione ominęło. Nie o takim buncie mowa, który jest pijaną obroną interesu własnego, obroną wolności złotej szlacheckiej. Odwrotnie, trzeba umieć podeptać w myśli wszystko, co zastane. Dopuścić zwątpienie, zbadać, czy fałsz nie dotyczy rzeczy najważniejszej, najświętszej. Powiedzieć sobie: jeśli tak jest, to będę inny niż wszyscy. Przeciw wodzie. Przeciw owczemu pędowi. Samotny będę. Ale do prawdy dotrę. Ale jakże on ma tak sobie powiedzieć, pan starosta, kiedy świat mu się wydaje doskonały, a jeśli nawet są na świecie jakieś skazy, to wszystkie z woli boskiej. Raz na zawsze porządek ustalony – ten w górze, a ten w dole, sowa jastrzębia nie zrodzi, kmiotki od Chama, my od Jafeta, i w miastach nie inaczej, syn szewca ma być szewcem, syn bławatnika bławatnikiem. Wszystko

wiadomo: to cześć przynosi, a to hańbę; to zasługi przydaje, a tamto znowu poniża. Boże, skąd ta pycha i pewność, że szlachtę polską Matka Boska szczególną protekcją darzy? Ma w tej chwili Rzeczpospolita nieprzyjaciół, ale to tałatajstwo, dzicz hań- łakująca, bezsilna przeciw jeździe naszej pancерnej. Ale kto wie, czy właśnie teraz jakaś nowa potencja się nie rodzi, na zachodzie czy na wschodzie, niezliczona, zdyscyplinowana, bezwzględna, w stal zakuta. Pan Konięcpolski ani o tym kiedy pomyśli. Co po przodkach odziedziczone, to święte, wieczne i niezienne. Niezmięnością cała budowla się trzyma.

Pan Konięcpolski powiedział, kładąc dłoń na rękojeści szabli:

– Wszelako ja jako obrońca cnót tej Rzeczypospolitej nie mogę dozwolić, by się krew podlejsza z lepszą mieszała. Przeciw temu chcę wystąpić, panie kawalerze, i nie z zasłupia, lecz twarzą w twarz. Honor ci czynię, panie Błudnicki, że piastując urząd wysoki daję ci pole z szablą w ręku.

– Doceniam – odpowiedział krótko Tomasz. Ale serce mu zabiło od obraźliwych słów starosty i pot wystąpił na czoło.

– Więc jak, bijemy się?

– Nie.

– Młodzieńcze – powiedział surowo starosta. – Wiedz, że odtąd nie mam cię za szlachcica.

– Mniejsza – zlekceważył to Tomasz i lekko się uśmiechnął. Serce uspokajało się. Lekceważyć to dobry sposób, pomyślał. Spojrzał na Urszulę, ale ona uciekła wzrokiem.

– Waść sobie zdajesz sprawę, że ja tę rzecz rozgłoszę? – zagroził pan Konięcpolski.

– Głoś sobie.

– Powiadano mi, żeś mocny w szabli...

– Nie przejmuj się tym, panie starosto.

– Waszmość mnie zadziwiasz!

– Rad jestem – odpowiedział Tomasz.

– Diogenes – uświadomił sobie nagle Koniecpolski. – Diogenes-stoik, co dobrowolnie w beczce zamieszkał, nieprawdaż? – zwrócił się do Urszuli. Panna milczała.

Z półmroku zapytano: – Pan starosta tutaj?

Zbliżył się ku nim Rachmet z rulonem papieru w ręku.

– Oto pismo, którego wielmożny pan żądałeś – powiedział. – Od pana chorążego do księcia pana.

– Daj. – Koniecpolski rozwinął rulon, zerknął na list. – Dobrze. To ja już pójdę. Padam do nóg waćpanny. A z tobą, młodzieńcze, z tobą... – urwał szukając słów. – Jeszcze cię dopadnę! – zagroził.

Wykonał po żołniersku w tył zwrot i odszedł. Rachmet oznajmił:

– Jego wielmożność kazał powiedzieć, że czeka w bibliotece.

– Dobrze, idę – odpowiedział Tomasz. Ale nie szedł. Spodziewał się jakiegoś gestu ze strony Urszuli. Znaku, że rozumie, że współczuje. Dziewczyna zamknęła się w milczeniu. Chciałbym z nią leżeć w zaroślach nad Tarnawką, pomyślał nagle, żeby orzeł szybował nad wzgórzem, żeby szeptała mi do ucha słowa szczęścia, a potem zachwalała biel i moc płótna. Nic z tego. To jest panna Bełzecka, a jam jest Błudnicki.

– Urszulo, ojciec twój mnie wzywa – powiedział.

– Słyszałam.

– Nie pójdziesz ze mną?

– Nie.

Ujął ją delikatnie za rękę.

– Miałem się z nim bić? – spytał.

Nie odpowiedziała.

– Dlaczego milczysz?

– Puść mnie – odezwała się cicho. Potem dodała: – Boję się ciebie.

Diabli nadali całą tę gmatwaninę, myślał idąc za Rachmetem do biblioteki. Boi się – cóż to za nowy ćwiek? I żeby o mnie – przecieżem ja tu zagrożony – nie, to mnie ona się boi. Czyżem taki straszny? Grozę jej czymś?

– Tutaj, wasza miłość – powiedział Rachmet zatrzymując się przed drzwiami.

– Słyszałeś, Rachmecie, co się podczas wieczery wydarzyło?

– Tak, wasza miłość. Ogłoszono twoje zmówiny z panną Urszulą.

– To ona je ogłosiła.

– Tak, wasza miłość, ona tu rządzi.

– A ty co o tym myślisz?

Tatar uśmiechnął się nieznacznie.

– Ja nie myślę – powiedział – ja sługa.

– A jednak?

– Wasza miłość będziesz z tym miał jeszcze niejeden kłopot.

– Ze względu na pannę czy ze względu na księcia?

– Ze względu na siebie samego.

– Zdaje się, żeś utrafił. A co byś na moim miejscu uczynił z panem Koniempolskim?

– Na waszej miłości miejscu? – Rachmet znowu uśmiechnął się. – Jakbym ja był jeszcze szczery Tatar, tobym go wysiekł bizunami, a potem co Allach da. Ale ja już nie Tatar, ja... cóż, ni to, ni sio.

– Rachmet, a chcesz ty na Krym wrócić?

– Wasza miłość, czy ja chcę! – wybuchnął Rachmet. – Wasza miłość wiesz, że jak jechali posłowie na Krym, to ja pismo dałem – przypomnieć o sobie. Żeby okup przysłali. Wiesz wasza miłość co mi bracia moi murzowie

odpowiedzieli? Żem pies, a nie Tatar. Chcieli dobre imię odzyskać, to winienem uciec stąd samopas, konno, z głową lacką przytroczoną do siodła. Czyją głową – pytam waszmości. Panny Urszuli? Pana Bełzeckiego? Ligęzy? Wasza miłość, ja chcę tam wrócić, mnie moja ziemia rodzinna pachnie, mnie ona nocami się śni i w dzień ją widzę, ale ja głowy niczyjej do siodła przytroczyć nie mogę. Ja już nie ten.

– Odtatarzony jesteś – stwierdził Tomasz.

– Tak, wasza miłość – powiedział Rachmet przez ściśnięte gardło. – Nie ma już miejsca na świecie, gdzie byłbym się czuł u siebie.

Nie rozplączesz się chyba, Rachmecie, nie uczynisz mi tego, tatarski kniaziu. Ale Rachmet już zdążył się opanować i skłoniwszy głowę zwykłym swoim sposobem rzekł wskazując na drzwi:

– Jego wielmożność czeka.

Bełzecki czekał nie sam, lecz z Ligężą. Nie mieli broni, ale na ścianie mrocznej biblioteki wisiało jej dość, by w każdej chwili można było rzeź zacząć. Obaj panowie wydawali się mocno odurzeni napitkami. Nie poruszyli się prawie na widok Tomasza, Bełzecki tylko mruknął:

– Aha, jesteście wreszcie. No siadaj, napij się z nami.

– Jemu pić nie wolno – przypomniał Ligęza.

– Nie przypuszczam. Rób jak chcesz, Tomaszku. Ale najpierw knoty przystrzyż, bo w kopciu siedzimy. – Podczas gdy Tomasz objaśniał świece, chorąży mówił:

– Księgozbiór mój obejrzałeś? Weź do ręki ten lichtarz żydowski, przyjrzyj mu się. Hebrajczycy z Pers go rzeźbili, nie masz drugiego takiego w całym województwie! Popatrz tam, księgi z biblioteki Erazmusa z Rotterdamu, ojciec mój jeszcze od Łaskich odkupił. Pierwsze druki krakowskie. Najstarsze wydania z oficyny Manucjusza. Są i wolumina klasztorne, rękopiśmienne, cudnie ilustrowane. Brat mój, stolnik, pan

Bełzca, straszną inwidię o te książki czuje i rzekł mi raz, że jeśli mnie kiedyś najedzie, to nie dla czego innego, jeno żeby księgozbiorem zawładnąć. Wiesz, com mu na to odrzekł? Wiesz?

– Nie wiem.

– Że niepotrzebnie by ludzi trudził, bo ja już Bełzcowi księgozbiór zapisałem. Po mojej śmierci bratankowie go dostaną. A ty byś pewnie chciał, żeby Urszula, co? – zapytał Bełzecki z chytrą miną i zaśmiał się.

– Dlaczego tak mam chcieć? – spytał niewinnie Tomasz.

– Pewnie dlatego, że jej sprzyjasz.

– Któż by jej nie sprzyjał...

– To racja! Dobrześ rzekł! Nalej mi piwa, panie Tomku. – „Nalej, przyszyż, wstań, siadaj”. Z góry mnie traktuje pan chorąży, myślał Tomasz. Ale niech mu tam, przecież człowiek starszy. – Dzięki. I sobie nalej. Przemyskie piwo. Na pszenicy warzone. Posmakuj: no jak, dobre?

– Dobre.

– U Bełzeckich wszystko dobre. Widziałeś, jak moja dońka księcia pana wykołowała?

– Bardzo to sprytnie uczyniła.

Bełzecki otarł spocone czoło. Potem wypił trochę owego chwalonego piwa.

– Tylko nie myśl – odezwał się – że między mną a twoim ojcem stał jakiś układ.

– Nie myślę.

– I ani przez chwilę nie myślałeś?

– Ani przez chwilę.

– Toś mi przyjaciel – powiedział Bełzecki i zaśmiał się. – Zuch, żeś Urszuli nie zaprzeczył.

– Wasza wielmożność – powiedział Tomasz. – A nie boisz się książęcego gniewu? Toż on zapieni się, że wydrwiony został?

– Jego gniewu? Poczekaj, niech myśli zbiorę. Gniewu, powiadasz. – Bełzecki pił i pocił się obficie. – Nie, nie boję się. Mnie by jakaś mała wojenka dobrze zrobiła. Całkiem jużem był zardzewiał. Kmieciem się stałem, kmieciem, co jeno pory roku rachuje. Jak myślisz Ligezo, może ulituje się kniaź i szlachcica zaczepi? Panów braci okolicznych przeciw niemu podniosę, wszystkich co do urzędów nie pretendują, co u klamki pańskiej nie mają potrzeby wisieć – wszyscy oni za mną by przeciw księciu poszli. Paliłoby się, ścinało, z Rosińskim na spółkę!

– Wasza wielmożność facecje opowiadasz – mruknął Tomasz.

– A kto wie?

– Facecje, Łukasz – wtrącił Ligeza. – Nikt by się przeciw księciu nie odważył wystąpić. Po gumnach by się wszyscy pochowali... ale nie sumuj się, bo powiadają o nim, że starzec nie najgorszy. I na wojnę z Bełzeckimi nie zdecyduje się. To już raczej ty, panie Tomku, winienesz go się teraz strzec.

– A mnie co on uczynić może? Jam nędzarz... Chwyci najwyżej przez hajduków i oćwiczyć każe – ha, trudno, wyliżę się, to do gardła mu skoczę.

– Ja z tobą – zaofiarował się Ligeza. – Będziesz potrzebował przeciw księciu mojej szabli, to ci nią służyć. Na zamek się wędzjemy, strażę zgładzimy – marzył głośno infamis. – Do sali dotrzemy i tam starcowi sztych do gardła przyłożymy, aż nam skwituje wszystko! – zapalił się. – A nie podpisze, pchnę!

– Pchniesz, Stefanku – potwierdził Bełzecki. – Ale najpierw, mój miły, bykowe mi zapłacisz.

– Jakie bykowe? – zachnął się Ligeza oprzytomniawszy nieco.

– Nic udawaj, Stefanku. Za tę poddanę moją, którąś dziś się cieszył. Za Nastkę – dodał, żeby było bez niedomówień.

– Ty skąd o niej wiesz? – zdziwił się Ligęza.

– A stąd, zem tu pan. Szpiegi mi wszystko doniosą. Jeszczeście się z onych zarośli nad Tarnawką nie podnieśli, a już do mnie oklep z wieścią przybieżano. Relację mi zdano szczegółową. Chcesz, to ci mogę opowiedzieć wszystko, coś tam z dziewczką moją wyczyniał. Chcesz?

Ligęza poruszył gniewnie szczękami.

– Nie, oszczędź sobie.

– Ha, jakiześ drażliwy. Nie Stefanku, to ci na sucho nie ujdzie. Zapłacisz mi bykowe jak każdy inny panek, co nie na swoim hasa.

– Z czego płacić? Jaćmierz coraz mniej mi pieniędzy przysyła, a ty mi, Łukaszu, lafy skąpisz.

– Narzekasz – warknął Bełzecki.

– Patrzyć, a gołymi pośladkami świecić będę.

– Źle ci tu u mnie, to możesz mnie porzucić.

– Wypędzasz mnie? – zawołał Ligęza wstając.

– Nie wypędzam. To ty narzekasz.

– Bo każesz płacić za Jewkę!

– Nastkę! Nastkę! – zakrzyknął spąsowiały Bełzecki. – Gracz! Poeta! Wszystko dokoła musi własnymi nazwami upiększyć. Wiedziałeś przecież, że mi się ta dziewczka podoba! Wiedziałeś, że mi jej śliczności spać nie dają! Czemuś do niej polazł? Czemuś ją zbałamucił, zdrajco? – Bełzecki trzasnął pięścią w stół. – Gdybyś ją gdzieś przyłapał po pańsku, po niewoli, jak drygant na wiosnę, nic bym nie rzekł. Maj, wszystko kwitnie, puchnie, wiór na wiór się kładzie. Aleś ty piękne słówka cedził, oczyma wywracał, ażeś jej serce do siebie rozmiękczył, chociażem ja kiedyś ci rzekł, żebyś tę myśl zarzucił... Myślisz, że nie wiem? Powtórzono mi i jej słóweczka.

Rozamorowałaś ją w sobie, panie Ligęza! Całkiem się dziewczyna zadurzyła. – Bełzecki siadł posapując. – Zapolowałaś na moim – powiedział spokojniej – to płąć.

Ligęza powinien szablę wyciągnąć, myślał Tomasz. Powinien krzyknąć: zdrajcą mnie nazwałaś, bij się ze mną. Ligęza jednak milczał. Gorzej: wstał i sięgnąwszy po dzban napełnił Bełzeckiemu szklanicę. Jakby nic się nie wydarzyło. Potem odezwał się:

– Ale ty dziwny, Łukasz. Skąd ja mogłem wiedzieć, że ty wciąż jeszcze masz na nią chrapkę, jak ty nic a nic? Przywołasz ją, płótno bierzesz, a potem odsyłasz z niczym. Twoja wola była ją mieć. Ja co innego. Ja musiałem czarować, słówka szeptać, bom ja tu obcy, infamis, przybłąda, w oczy mi się roześmiała, kiedym jej pierwszy raz przymówił, ale ty jej pan, a przy tym mąż nieszpety... Nie bierzesz, to znaczy, że ci nie zależy.

– Bodajeś skisł – burknął Bełzecki. – Aleś wykoncypował! Całkiem to inna przyczyna, Ligęzo, całkiem inna zawiałość... Iż ma męża, co mnie wstrętem przejmuje, to jest przyczyna, że brzydzę ją sobie. Wstrętnym mi jest to współnictwo. Ani gęby ucałować, ani ciała bez wzdrygnięcia popieścić. Chciałem, przez miły Bóg, nieraz ją wziąć chciałem, ale jak pobrukana mi się wydała. Insza rzecz – dodał z przebiegłym uśmiechem – kiedy mąż miły, grzeczny, zdrowy. Taki współnik nie zawada.

– A mnie poetą nazwał – mruknął Ligęza.

– Tobie owo współnictwo może apetytu dodaje.

– Zamilcz! – krzyknął Ligęza i teraz on uderzył pięścią w stół, aż szkło zadzwoniło.

– *Porco di Dio!* Ani słowa więcej!

Na Bełzeckiego kolej była zareagować. Nie za szablę chwycić, rzecz prosta, bo w tym by Ligęzie nie dorównał, ale sługi zawołać, infamisa związać, oćwiczyć i precz przepędzić. Ale Bełzecki tylko się uśmiechnął.

Nie mogą żyć bez siebie ci dwaj, pomyślał Tomasz. Po chwili jednak przyszło mu do głowy, że ów uśmiech Bełzeckiego nie musiał być szczery. Nie może pan chorąży pozwolić na to, żeby wprost zadrzeć z Ligęzą, który potrafi być groźnym, gotów jest i księciu do gardła sztych przyłożyć. Lepiej go się pozbyć jakoś inaczej, może za obopólną zgodą. Bełzecki potrafił urazę do ojca lata całe chować, i to tak głęboko, że ojciec mu całkowicie ufał. Czasem go pasja szlachecka poniesie, pana chorążego, wybuchnie na krótko, ale wnet się za swój uśmiech schowa, za swoją czuprynę siwiejącą i półki z książkami drogocennymi. Tomasz zwrócił się do chorążego:

– Nie mógłbyś wasza wielmożność uczynić czegoś dla Rachmeta?

– A co? – spytał Bełzecki zaskoczony.

– Zwolnić go na słowo. Toż każdemu się należy powrót do rodzinnych stron.

– Czemu cię to, panie Tomku, Rachmet obchodzi? – zaciekawiał się chorąży.

– Może dlatego, że i ja w niewoli byłem.

– Rachmet nie w niewoli. Dobrze mu sam u nas. A mnie się za niego okup należy. Należy, i kwita. On mój Tatar, trzymam go *iure belli*, moja własność. Posyłałem do braci jego, murzów, do Bachczysaraju, przypominałem, ślijcie, Tatary, dukaty. Ale oni nie chcą go widzieć. Wręcz odmawiają. To co zrobić?

– Zwolnić go. Niech jedzie. Będzie mu źle, odtrąca go swoi, to wróci do waszmości.

– Tomasz ma serce miłosierne – zauważył bez uśmiechu Ligęza. – On i za kosturowców łba nadstawiał.

– Całkiem niepotrzebnie – powiedział Bełzecki. – Kosturowców sprawę ja załatwię. Już niedługo. Posłałem Kurdwanosia do pułkownika Lisowskiego, żeby nowe propozycje uczynił. A ty mi z Rachmetem nie

bruźdź, Tomaszku. Niby dlaczego ja mam się murzy tatarskiego pozbywać, który mi służy wiernie? I jeszcze za darmo. Niby dlaczego? On tych komnat jest ozdobą, goście jak się sam zjadą, to na tę znakomitość tatarską chętnie poglądają. Mam ja się zubażać dla jego pięknych oczu? A czy mu się źle dzieje? A czy mnie Turki, jego braty pohane, z niewoli bez okupu wypuścili? Albo ojca twojego? W łańcuchach nas trzymali, do roboty ciężkiej pędzili! Nie, kochany, ty mi takich rad nie powiadaj, bo to z twojej strony głupio. Sam sobie wrogiem jesteś.

Tomasz nie zrozumiał. Bełzecki zauważył i zaśmiał się.

– Chcesz – będzie Rachmet twoim sługą. I dzieci będzie ci niańczył, i u ciebie w służbie zniedołężnieje. Wciąż nie rozumiesz? A donia moja ci się podoba?

– Kiedy... – bąknął Tomasz.

– Podoba czy nie?

– Podoba – przyznał Tomasz i czekał z zapartym tchem na dalsze słowa Bełzeckiego.

– To ją sobie bierz – usłyszał. – Bierz ją sobie, Tomaszku. I zamek, i Rachmeta, i te wolumina z księgozbioru, które sobie z Urszulką oblubujecie. Zaniemówiłeś?

– Nie wierzę własnym uszom.

– Bierz sobie Urszulę, bierz. Ja widzę, że ona cię chce, a jej szczęście dla mnie pierwsze. Ty, Tomaszku, prawdę mówiąc, dość mi się podobasz. I nawet to, żeś za kosturowców łba nadstawiał, to też. Co było, to było, a teraz niech będzie po nowemu. (A co było? – pomyślał Tomasz. Co on chciał wyrazić?) Prawda, żeś nam nierówny, choć i leliwczyk... Gdzie Błudnicki, a gdzie Bełzecki? – Chwilę mruzczał coś nad szklanicą. – Bierz ją – podjął. – Ja nie taki, żeby się krwią swoją chełpić. Głośno, tym nie wystąpię, ale wam tu dwóm wyznać mogę, że nie bardzo ja w ogóle wierzę

w wyższość szlacheckiej krwi. Choć czytałem w książkach i za, i przeciw. Miałem jeszcze w tej materii niejakie złudzenie, dopókim Nastki nie poznał. Od razu mnie to przy niej zastanowiło. Patrzę na nią i myślę: czym to my, z dobrej krwi urodzeni, możemy się chełpić? Toć my tu wszyscy, panowie, po kolei za nią głowy tracimy! Jak ta dziewczka chodzi, jak spogląda, jak się uśmiecha.. A jak mówił Czym ona gorsza od ... choćby małżonek naszych? Hę? Odpowiedzcież! Zatkąło? Bo niczym! Powiadam wam: niczym. Pierwszego rodu to dziewczę, Radziwiłłówna przy niej dójką by się zdała... Dobrze, że takiej Nastce nikt tego nie mówi. Póki im, chłopom naszym, samym na rozum nie przyjdzie, że są ludzie jako i my, mozem w zamkach naszych mieszkać, do roboty pędzić, kijami ćwiczyć. Ale niech przejrzą, Chryste Panie, co to będzie!

Żyjemy na beczcze z prochem, panie Tomku. Groza się zbliża. Gdyby ptaki, co nad nami krążą, zmówiły się, pobuntowały i rzuciły na plemię ludzkie, snadniej nam byłoby się obronić niż przeciw chłopstwu, gdy się zbuntuje... Strach przed Tatarem najmocniej ich trzyma w posłuszeństwie. Taka od wieków była umowa: oni za nas orzą i sieją, a my ich od najazdów chronimy. Ale niech się inny obrońca znajdzie, niech onże Tatar po chłopskiej stronie stanie, niech się poddani skrzykną między sobą – zgroza pomyśleć. Nie wygrają, bo i w Niemczech lat temu sto nie wygrali, ale pali ile trzeba będzie nastrugać, ile szubienic ponastawiać... – Z tym wszystkim Bełzecki zwracał się do Tomasza, miał w tym jakiś cel, żeby młodego przekonać, że co o równości mówił, z przekonania było, a nie dla chytrności jakiejś. Teraz nagle zwrócił się do Ligęzy: – Dlatego właśnie, Stefanku, nowochrzczeńców popieram. Dlatego. Bo oni, choć pańskość negują, ale pokorę sławią. Poddać się każą, nie buntować. Wygadują na nas, możnych – cóż, przebolejemy, ale siekiery zabraniają wznosić. I to najważniejsze. Tamci się rozbiją, zaś my przy mieczach zostaniemy. Rozumiesz teraz?

– Rozumiem – burknął coraz bardziej pijany Ligęza. – Sto razy klarowałeś.

Więc stała jego śpiewka. Tomasz podniósł się z zydlą.

– Do nóg padam waćpanom – powiedział kłaniając się.

– Hej, kawalerze! – zawołał Bełzecki. – Nie odpowiedziałeś mi. Powtarzam ci raz jeszcze: zięciem moim będziesz.

– Dziękuję pokornie waszej wielmożności, alem tego zaszczytu niegodny.

– Godny niegodny, mniejsza... Chcesz Urszulę, to ją bierz.

– Daj mi czas, wasza wielmożność. Niech swoje gardłowe sprawy załatwię.

– A jak załatwisz, to już będziesz jej godny?

– Tak, wtedy będę – odpowiedział.

– Jak chcesz – mruknął Bełzecki. – Jam ci swoje powiedział.

Nareszcie mógł wrócić do swojej komnaty. Znalazłszy się w niej, siadł na łożu czując, że jest wyczerpany przeżyciami całego dnia. I wtedy zobaczył na poduszce książkę pięknie oprawioną w skórę, ze złożonymi literami wytłoczonymi.

– Co to jest? – zwrócił się do Jasia.

– Księga, panie.

– Widzę, że księga, gamoniu! Ale skąd się wzięła?

– Panna przyniosła.

– Panna Urszula? – upewnił się.

– Musi Urszula.

– Gamoń jesteś – zburczał go Tomasz i otworzył książkę.

Jana Kochanowskiego poezje. W kilku miejscach były uczynione zakładki, jakby Urszula nakazywała: przeczytaj waść. Zaczął czytać:

*Imię twe, pani, które rad mianuję,
Najdziesz w mych rymiech często napisane,*

*A kiedy będzie od ludzi czytane,
Masz przed inszymi, jeśli ja co czuję.*

Sonet.

Przymówka, żebym i ja jej hołd złożył? Naści pióro, panie kawalerze, siadaj, pisz – słyszał jej dźwięczny głos. Wszystko w niej harmonijne, pomyślał ze wzruszeniem – głos, postać, oczy, włosy, śmiech, zachowanie – wszystko z sobą niesprzeczne, jedne może tylko te słowa bezwstydnne, które mu szybko rzuciła, tylko one są jakby zgrzytem, jak natrętny głos, niski i chropowaty, który się przez chór anielski przebija, ale które to słowa wciąż słyszysz, wciąż ci na powrót w uszach rozbrzmiewają i nigdy ich nie zapomnisz.

Jasiek nalał wody do miednicy. Chciałbym ją teraz pocałować, pomyślał Tomasz nagle. Szyję jej odsłonię i tam u karczku usta do skóry przycisnę.

Zanurzył głowę w wodzie. Usłyszał: a znasz waćpan słowa niewstydlive? Ty larwo, szepnął. Jasiek podał mu ręcznik. Ty, ty... Śmiała się cichutko. Wytarłszy się rzucił Jasiowi ręcznik i wyszedł na korytarz.

Zamek tylko pozornie pogrążony był w uśpieniu. Korytarz stanowił ciemną lufę, u której wylotu pełgał płomyk łojówki. Słyszać było kroki straży na dziedzińcu. U dołu, w sieni pod schodami, nucono cicho i nosowo coś, co przypominało pieśń rusińską – pewnie Kozak czuwa. Tomasz usłyszał skrzyp obuwia – ktoś zbliżał się miękko i czujnie.

– Rachmet? – rozpoznał Tomasz.

– Ja, wielmożny panie – odpowiedział Tatar stanąwszy przed nim.

– Próbowałem coś dla ciebie uczynić.

– I jak?

– Nic, Rachmecie. Ale nie traćmy nadziei. Będę jeszcze próbował.

– Dziękuję waszej miłości. Wasza miłość czegoś potrzebujesz?

– Powiedz mi: czy panna już śpi?

– Kładzie się właśnie.

- Kto z nią jest w pokoju?
- Siostra Melchiora, bernardynka z Lublina.
- Nie mógłbym panny teraz zobaczyć?
- To wykluczone, wasza miłość.
- A ty mógłbyś?
- Mnie siostra Melchiora wpuści. Ja sługa...
- Idź i powtórz coś ode mnie panie Urszuli.
- Tak jest. Co powtórzyć?
- Że ją miłuję. Zrozumiałeś?
- Tak jest – powiedział machinalnie Rachmet.
- To powiesz jej coś jeszcze.
- Co?
- Że ją miłuję.

Upajał się słowami jak dzieciuch rymowanką. Że ją miłuję. Że ją miłuję. Tatar wciąż nie odchodził.

– Czyś mnie zrozumiał? – spytał Tomasz.

– Tak, wasza wielmożność, zrozumiałem. Łatwo zrozumieć – dodał z westchnieniem.

I odszedł miękko, czujnie, krokiem lekkim, jak na posła miłości przystało.

– Rachmet! – zawołał za nim Tomasz.

Tatar zatrzymał się. Tomasz podbiegł ku niemu.

– Wróć – powiedział. – Nic nie mówi.

Córka mordercy. Uczucie skazane na klęskę. Tatar stał milczący, ale jakby me zdziwiony.

– Błagam, nic nie mów.

– Sługa-m waszej miłości.

– Pamiętaj, nie zająknij się.

– Tak jest.

Tatar skłonił się i odszedł.

Był sam w korytarzu. Cóż to takiego jest ta miłość, pomyślał zbuntowany, żeby jej podporządkowywać każdy krok! Zwalczyć, zdusić i zapomnieć. Dla niej lepiej – i dla mnie. Bo to pan chorąży zabił. Nie własnymi rękami, na to zbyt jest czysty, zbyt przebiegły, zbyt wiele ma sług. Że ją miłuję, usłyszał nagle własne słowa. Trzasnęły jakieś drzwi. Na dole umilkła pieśń rusyńska, teraz donosiło się stamtąd chrapanie. W pobliżu za dębowymi drzwiami modlono się śpiewnie. Toroszewicz, przypomniał sobie Tomasz. Zgroza, pomyślał, zgroza, chłopaku, opamiętaj się, nie daj się pogrążyć, w tym to zamku spisek przeciwko twojemu ojcu uknuto, dookoła szpiegi, donosiciele, a ty dajesz się omotać, mięknie, zapomnieć gotowyś. Że ją miłuję...

Znalazł Ligęzę w pokoju, ślaniającego się nad stołem z dzbankiem i kubkami. Trzymał jeden but w ręku, drugi miał jeszcze na nodze. Usłyszawszy skrzyp drzwi, infamis podniósł głowę znad stołu, zerknął jednym okiem.

– Ach, to ty. Wejdz – przyzwolił i opadł głową na stół.

– A ty myślałeś, że kto?

– Że ty. Potrzebny mi jesteś.

– Ściągnę ci but – zaofiarował się Tomasz.

Przesunął Ligęzę na ławę i tam, nie bez trudu, ściągnął z niego drugi but. Infamis dotknął bosymi stopami posadzki i to jakby go otrzeźwiło.

– Chciałem cię widzieć – powiedział.

– Żeby szablę mi ofiarować?

– Nie. Raz ofiarowałem i czołem, bywaj zdrów. Pamiętaj!

– Tak jest.

– O Jewce chciałem coś rzec. Można?

– Mów, mów.

– Ale nie dworuj ze mnie. Tęsknię za nią – powiedział Ligęza i zaraz głowa mu tak zaciężyła, że mało z ławy się nie obsunął.

– Ach, jednak... A waćpan wydawałeś mi się czegoś niezadowolony – przypomniał Tomasz.

– Teraz znowu tęsknię. Diabelnie.

– Więc jednak miło wspominasz.

– *Porco di Dio*. Nie pamiętam drugiej takiej.

– A mówiłeś: jak z każdą.

– Tak mówiłem? Nie, to chyba niemożliwe. Nie było jak z każdą.

– Szczęśliwyś, panie Ligęzo.

– Co waść...

– Jutro pójdziesz do niej i znowu ją przytulisz...

– Tak, pójdę. Ale Łukasz nie może tego znieść. Kipi w nim wszystko. Precz mnie pędzi. Źle to się skończy, Tomaszku... A ty z czym do mnie przyszedłeś?

– Panie Stefanie, powiedz, co pan Łukasz ma w tym, żeby ze mnie zięcia sobie uczynić.

– Ot, fummy pańskie.

– Co on chce zagłodzić? Co w zapomnienie podać? – dopytywał się Tomasz potrząsając półprzytomnym Ligęzą. – Mów, nie ukrywaj. Sumienie go ruszyło? Przekupić mnie chce? Boi się mnie? Mówże! Mów, infamisie zatracony!

– Podaj mi szklanice.

– Odpowiadaj, na miły Bóg!

– A ja, u licha, skąd mam wiedzieć – fuknął Ligęza. – Pewnie wszystko w nim naraz siedzi. Sumienie? – Głowa mu się zachwiała. – No, może... Ale chyba nie.

– Boi się?

– Może, trochę. – Ligęza czknął, dłonią zasłonił usta. – Może się i bać. Tyś niestateczny, gorszy od kniaziów.

– Przekupi mnie wspaniałym małżeństwem, to będzie spokój.

– Przekupi? Może. Może i to... Nie! – wybuchnął Ligęza nagle. – Nie! Wszystko z pychy! Książę się naczytał, mądrości nałykał Łukasz bezecny. Wyda córkę ukochaną za prostego szlachcica, to się będzie mógł pysznić, że szlachetny, że mędrzec, czytelnik Modrzewskiego, Makiawela, Erazma, Montaigne'a, różny od zakutych łbów, wyższy. W *silva rerum* to zapisze, wierszem ułoży, do Rakowa pośle, żeby drukiem wydali poemat, co się będzie zwał... poczekaj, mam tytuł: „Do córki, co za ubogiego szlachcica poszła”, dobry tytuł, *non e vero*? Co w zwierciadło na swoją wysoko urodzoną gębę pojrzy, to się z ukontentowania aż zachłyśnie: takim szlachetny, takim dostojny, takim głęboki, poczciwy, Sokrates i święty Franciszek w jednej osobie!

– Waćpan swojego dobrodzieja nie nazbyt lubisz – zauważył Tomasz.

– Jak w życiu, *caro mio*. Raz lubię, raz nie lubię. Co radzisz? – spytał nagle. – Mam stąd odejść, panie Tomku?

– Nie wiem, co radzić. On coś ukrywa i ty, panie Ligęzo, wraz z nim.

– Wrócić tam – mówił Ligęza do siebie. – Żałosny to będzie powrót. Książęta na italskich dworach już się pozmieniali, damy wokół nich także nowe... I ja nie ten.

– Powiedz: co ukrywacie? – domagał się Tomasz odpowiedzi.

Ligęza jakby go nie słyszał.

– Na śmiech mnie wydadzą – mówił. – Chwycę za szablę, już nie ta szabla. Spojrzę uwodzicielsko, a tu wszyscy w rechot, panie Ligęzo, już nie to spojrzenie, nie te uroki. Jakby błazen dawnego Ligęzę przedrzeźniał.

– Nie chcesz wyjawić – powiedział z żalem Tomasz.

– A zdrowie? – ciągnął infamis. – Zdrowie już nie to, panie Ligęzo. Nałykasz się wstydu, kiedy cię białogłowa z hańbą przepędzi, miłośniku nieporadny. Widywałem ja takich na dworach, co wspaniałość junacką w późnym wieku chcieli odgrzewać. Kurom na śmiech. Boże mój, wszystko, jeno nie to. Gotówem się nawrócić i godzinki odmawiać, bylebyś mnie od tych upokorzeń wybawił. Doprowadź mnie do łoża. Tomku... Kiedy już leżał, a Tomasz świece był pogasił, odezwał się nagle Ligęza w ciemności:

– A szablę moją masz, panie Tomku, na usługi. Pamiętaj o niej: niezawodna.

ROZDZIAŁ XI

Że ją miłuję... Ktoś tu jest, uświadomił sobie, ktoś się nade mną nachyla, cień ogromny i bezszelestny. Otworzył oczy. Ten ktoś szarzał pod ścianą. Domyślił się, kto.

– Rachmet?

– Ja, wasza miłość. Wstawaj, jacyś ludzie do ciebie.

Poderwał się.

– Gdzie ich masz?

– W sieni, wasza miłość.

Zeskoczył z łoża.

– Jacy ludzie? – spytał.

– Twoi.

Zdziwił się. Nie mam ludzi. Zagwojski? Więc od siostry wiadomość, pomyślał. Za oknem szarzało, ptasie piski i zgrzyty cięży ostro jak klingą. Czemu mi tak dobrze? – pomyślał. Skąd to uczucie ciepła w całym ciele? Od słów dziewczęcych, pomyślał, od spojrzeń. Dotknął językiem wargi. Ty larwo... Więc są w sieni, zebrał nagle myśli, na pokoje byle komu iść się nie pozwala, dom jest strzeżony. Zegar na dole uderzył czterokrotnie. Jasiek poruszył się na swoim posłaniu.

– Jak wyglądają? – spytał Tomasz.

– Chłopak jeden rudy, a drugi starszy, jasnowłosy, ten zbrojny, żółte ma cholewy – opisywał Tatar.

– Zagwojski – domyślił się Tomasz.

Tylko kto ten rudy? Nie potrafił sobie przypomnieć. Pewnie ktoś ze służby. Ciągnąc za sobą szablicko schodził na dół. Coś musiało się stać. Teraz dopiero przypuściły doń szturm czarne myśli. Coś z siostrą. Szykuj

się na nowy pogrzeb, panie Tomaszu. Grób rodzinny się zapełni. Pan Świrski będzie zacierał ręce i łzy wylewał, żeby zarobić na obtarcie.

Uderzył pochwą szabli o posadzkę. Senny strażnik kiwnął dłonią w półmrok sieni.

Z ławy zerwali się dwaj młodzieńcy. Jeszcze nie weszli w krąg światła, a już wiedział: ten drugi to Maciek Wojnarowski.

– Lea porwana! – wybuchnął.

Złotowłosey. Powinienem się był domyślić. Spytał:

– Rosiński?

– On.

– Dokąd powiózł?

– Do siebie. Na Teleśnicę.

– Rachmet, budź mego pachółka! – rozkazał Tomasz. I zwrócił się do Macieja:

– Dawno?

– Dwa dni.

– On z wieścią najpierw do Błudnik przygnał – wtrącił Zagwojski – ale waćpana nie zastał, więc siadłem na koń i po nocy z nim do waszmości.

– Koń mi jeden padł – opowiadał Maciej – tak gom zagnał.

Tomasz obejrzał chłopca od stóp do głów.

– Widzę, żeś bez szabli – powiedział.

– Bez, pewnie.

– Mały z ciebie pożytek będzie. Ojciec twój wie, żeś po pomoc skoczył?

– Wie. Ale zbrojno występować zabronił.

– A jak Kowacz?

– Do Teleśnicy się udał, zmiłowania prosić.

– Też bezbronny?

– Też, jakże inaczej.

– Rosiński go zabije – powiedział Zagwojski.

– Nie ośmieli się...

– Ośmieli się na wszystko. Jemu choć co – mówił Zagwojski. – Przepadła twoja siostra w zbójceckich rękach – wieszczył.

– Bodaj cię! – wspienił się chłopiec. – Kraczesz jeno.

– Ja prawdę mówię – odparł bezlitosny Zagwojski. – Wolisz się łudzić – wola twoja. W sieni pojawił się Rachmet.

– Wasza miłość, twój mały sługa przygotowuje się do drogi.

– Dobrze. – Coś Tomasza zastanowiło. – To ty mu kazałeś?

– Ja.

– Dobrze, dzięki – powiedział. – Daj moim ludziom coś przekąsić i zadbaj, żebyśmy i na drogę coś w jukach mieli.

Ligęza spał. Na próżno Tomasz szarpał ramię infamisa – nie otwierał oczu. Śpi jak zabity. „Szablą ci służę, niezawodna”. Bodaj ci tak w piekle czarty służyły, miałbyś lekkie potępienie. Wylał kubek wody na twarz śpiącego. Ligęza na chwilę oczy otworzył i zaraz na powrót je przymknął.

– Panie Ligęzo! Stefanie! – wolał Tomasz.

Infamis odpowiedział warknięciem.

– Panie Ligęzo, sprawa jest! Szabla mi twa potrzebna!

– Hę! – wydobyło się z ust pijanego.

– Lea porwana.

– Co?

– *Raptus puellae!* Bić się trzeba!

Ligęza otworzył oczy.

– Odejdź – wymamrotał nieprzyjaźnie. – Odejdź. – Potem, znowu w sen zapadając, mruknął: – Ja nie ten... szabla nie ta...

Prawdę rzeczesz, pomyślał Tomasz. Martwy pień, szkoda, nic się z niego nie wykrzesze. Poszedł do swojej komnaty. Jasiek zatykał króciwą za pas.

– Gotowyś? – spytał Tomasz.

– Tak jest. Juki załadowałem chlebem i słoniną. Dwie flasze gorzałki.

– A księgę?

– Którą? – Jasiek wybałuszył oczy.

– Jak którą? Tę od panny! Szybko mi ładuj!

– Tak jest!

– Pacierze zmówiłeś?

– Nie, panie, jeszcze nie. A trzeba? – spytał przestraszony Jasiek.

Tomasz uśmiechnął się.

– Zmówisz po drodze. Jasiu, do zbójców jedziem, którzy szast-prast życia zbawiają.

– Jezus Maria! – szepnął chłopiec i zaraz wspomniawszy na coś powiedział: – Służba, wasza miłość!

– Ja cię do tej imprezy zmuszać nie będę – rzekł Tomasz. – Namyśl się.

Jasiek posadził gruby palec z miną, jakby rzeczywiście rozważał za i przeciw.

– Ja z waszą miłością – powiedział wreszcie.

– Idziemy.

Wyszli na dwór. Niebo nabierało kolorów, błękitniało i dzień zapowiadał się pogodny, może nawet upalny. Zaspani koniuchowie przyprowadzili osiodłane konie. Nad wieżą zamkową krążył klekoczący bocian. Tomasz zwrócił się do Zagwojskiego:

– A Błudniki pod czyją opieką?

– Pana Świrskiego. Sam on szablą nie włada, ale obronę zorganizował porządnie. Jakby co, to i oblężenie małe wytrzymają.

Na ganku pokazała się dziewczyna w półkożuszkach na ramiona narzuconym, w kierpcach góralskich na bosych nogach.

– Tomku! – zawołała i zbiegła ku niemu.

„Że ją miłuję”.

– Tomku, dokąd waćpan? – pytała stanąwszy przed nim. Usta wpółotwarte łowiły oddech szybki, ukazując koniuszki zębów.

– Do Teleśnicy – odpowiedział. – Watahę szturmować.

Spojrzała na jego ludzi: Zagwojski, jakiś złotowłosy wyrostek bez szabli, pacholę z króciwą. Zgarnęła dłonią włosy z czoła. Rozfiglowało się toto, pomyślał ujrzawszy, jak pierś jej faluje. A ona:

– Z tymi na watahę? – wyraziła powątpiewanie. A kiedy nie odpowiedział, zapytała: – A co się stało?

– Temu oto kawalerowi siostrę porwano.

– I ty musisz iść?

– Muszę. Szesnaście lat ma dziewczę.

– Twoje ono? – spytała unosząc brew.

– Nie. Ale iść muszę.

– Jakże pójdiesz? – mówiła Urszula. – Lewą dłonią nie władasz. Blizny ci pękają.

– Nie zostawimy bez pomocy niewinnego dziewczęcia.

Pociągnęła go na bok, dalej od ludzkich uszu. Stali pod rozkwitającym dębem.

Z młodych liści kapała zimna rosa.

– Obiecałeś waćpan być moim rycerzem!

– Nie ma dziś rycerzy.

– Rycerzem i oblubieńcem – przypomniała.

– Dworujesz sobie.

– Nie, obiecałeś. Cały rok masz mnie słuchać. Rok minie, ty uczynisz z sobą, co zechcesz, a teraz iść ci zabraniam.

– Posłuchaj, Uleńko. Choćby dlatego, żeś mnie na rycerza wybrała, nie wolno mi chować łba w piasek.

– Łżesz.

– Czemu tak mówisz?

– Bo gdybyś do mnie coś czuł, zostałbyś przy mnie!

– I w oczy ci spoglądał?

– Tak, w oczy. Służyłbyś mi jak piesek. Tylko jeden rok, Tomku. Nawet tyłem nie warta?

– Jadę tam, żeby ci służyć.

– Sam sobie łżesz. Chcesz, to ci powiem, po co tam jedziesz. Żeby reputację Błudnickich poprawić!

– Co waćpanna wygadujesz!

– Ja to rozumiem. Waćpan swojego ojca miłujesz, ojcem chciałbyś się szczyścić, a jego w błocie choć zamarzniętym znaleźli i to błoto do sławy jego przyłgnęło. To ty chcesz ją z błota obmyć choćby krwią swoją.

– Konia! – rozkazał Tomasz.

Jasiek podprowadził konia pod konary dębu. Tomasz w milczeniu dosiadł wierzchowca. Że ją miłuję. A ona mnie nożem w serce, w samo serce. Ale nie obrażaj się, pomyślał, nie zacinaj w milczeniu, dowiedz się raczej czegoś. Z trudem przecież, ale przemówił:

– Waćpanna jakie błoto masz na myśli?

Urszula wstrząsnęła się.

– Ja? Żadne... Ja tak w ogóle...

– Nie wykręcaj się teraz. Jakie to błoto do sławy mojego ojca przyłgnęło? Co ty wiesz?

– Nic, nic. Tak mi się jeno rzekło. Dopiec ci chciałam – mówiła szybko Urszula.

– Że mnie tak zostawiasz. I dla jakiejś dziewczki na złamanie karku lecisz.

– Wykręcasz się!

– Dla mnie, bądź pewny, nie poleciałbyś.

Nie, nic z niej teraz nie wydobędę, pomyślał. I odpowiedział:

– Kto wie. Niech cię jeno porwą.

– A ot, z panem Koniecpolskim bić się o mnie nie chciałeś.

– Bo głupi. Bez przyczyny z głupcem szable krzyżować, krew rozlewać –
po co to?

– Tomku...

– A co?

– Tak mi się widzi, że na pewną śmierć jedziesz.

– Niekoniecznie.

– Masz ty onym zbójom co do zaofiarowania krom szabli?

Zastanowił się i powiedział:

– Mam.

– A co?

– To, czego najbardziej chcę. – Ale swojej myśli nie wyjawiał. Spytał
zaczepnie:

– A będziesz mnie opłakiwać, jak tam padnę?

– Ani myślę. To wiem, że za ciebie się nie wydam. Jak już wdową młodo
zostać, to lepiej po kniaziu.

– Urodzie twojej, moja panno, rozum twój wyrówna, a rozumowi
cnota...

– Łajdak – syknęła. Potem spytała: – Tomku, a znasz ty tę dziewczkę?

– Znam.

– Jaka ona?

– Krucha – odpowiedział. Te rączuchny, przypomniał sobie zachwycone
słowa watażki, te piersiątko. Przechyliwszy się z konia szepnął: – Nie
wspominaj mnie źle, panienko. Za tę księgę jam ci wielce wdzięczny.

– Naprawdę?

– Tak, panienko. Wielcem ci wdzięczny. Wziąłem ją na drogę – powiedział. – Jak znajdę co w tych wierszach dla siebie, to ci rzeknę, co. – I zwróciwszy się do swoich rozkazał: – Za mną!

Była niedziela. Zanim do piasków pod Kozłowem dobrnęli, rozdzwoniło się dokoła na jutrznię i niesło między wzniesieniami podwojone echem. Z domostw i chałup wychodzili chłopci, leniwo i świątecznie, gwarząc, strojom swoim się przypatrując. Na drodze za wsią rozdzielili się na dwie grupy: ci, co pańskiej wiary i mowy byli, do bolatyńskiego kościoła się skierowali, prawosławny zaś lud do Baligrodu szedł. Tomasz ze swoimi skręcił obok folwarku na południe, kiedy zerknąwszy za siebie ujrzał w tłumie kmiecym Nastkę z czarnowłosą Natałką na ręku, obok stał jej mąż przygłup, podwójnie niezgrabny w odzieży świątecznej. Nastka, choć barwnie i wzorzysto przyodziana (zapatrzył się Tomasz szczególnie na pstruchę narzuconą na ramiona), wydawała się czymś przygnębiona, nie grzechem pewnie, inny frasunek ją toczy, może Myćko wciąż nie dobrzeje. Kiedy go jednak dostrzegła, Tomasza-„synka”, rozjaśniła się uśmiechem, rękę swobodną podniosła i nieznacznie nią pomachała. Odpowiedział jej podobnym gestem i pomyślał zaraz o Ligęzie, infamisie kochanku, że leży beznadziejnie pijany.

Droga była niełatwa. Raz po raz wspinali się w górę, co trudziło konie i po każdym takim wzniesieniu trzeba je było puścić swobodnie na łąkę, między bodiaki i złote czareczki jaskrów. Przecinały im drogę potoki i rzeczutki, niegłębokie, ale wartkie i zimne, kłopotliwe do przebycia. Przeprawili się tak przez Rabiański Potok, potem przez wody Jabłonki, dalej droga prowadziła gęstwiną pod wzgórzem, któremu jawory i cisy dodawały wyniosłości. Widniało jeszcze nad nim słońce, ale już tylko przeblaskując drażniąco między pniami drzew. Z dalekich bacówek słyhać

było fujarki owczarzy, dzwoniły i pobekiwały stada. Tomasz powściągnął konia i obejrzał się za siebie.

– Słońce za cisy się chowa, Maćku – powiedział zafrasowany. – Nie dotrzemy przed świtem do Teleśnicy. Trzeba nam gdzieś zatrzymać się na noc, jeśli nie chcemy koni wilkom podarować. Może owczarzy o gościnę poprosić?

– Nie trzeba, wasza miłość – odezwał się Zagwojski. – Niedaleko stąd jest osada, tyle że musimy na południe wyboczyć. Nie więcej jak trzy czwarte mili.

– No to prowadź, panie Jędrku.

Znowu mocowali się przez pewien czas z trawą po pierś i ze złościwością bodiaków, potem pięli się na zbocza koniczynką porośłe, ale kiedy je przebyli, znaleźli się na trakcie ziemnym, którego koleiny zapowiadały osiedle. Popędzili konie i wnet się też spoza drzew dymy przebiły, potem ściana trzemchy białym kwieciem zapachniała, usłyszeli szczekanie psów, leniwe głosy ludzkie. Zapach trzemchy uciał się nagle i ukazała się osada, długa drewniana ulica, gorzejąca w zachodzącym słońcu złotem strzech, z cerkiewką z desek zrudziałych u drugiego wsi końca.

Pierwsza od skraju stała lepianka kurna, potem chata dwuokienna, z bali brzozowych zbita, i zaraz za nią była karczma. Wydawała się Tomaszowi skądś znajoma, jakby tu już kiedyś był, gdzieś w głębokim dzieciństwie, szczególnie zaś kogut z blachy wycięty, który skrzypiał nad drzwiami, kołysał mu się w pamięci. „Pod kogutem” – nie tak tę karczmę nazywano? Dom bardziej przypominał strażnicę niż zajazd, miał nie tylko nadbudówkę z balaskami wokół izb, ale i wieżyczkę drewnianą na podobieństwo zamkowych, a w niej okno wychodzące na kryty słomą dach głównego zabudowania.

– Goście są – powiedział Zagwojski wskazując na konie, co za ogrodzeniem stały. – Ciekawym, kto: szlachta czy zbójcy.

– Cóż, przyjrzyjmy im się – powiedział Tomasz i pchnął drzwi.

Znalazł się w sieni. Wszedł ku niemu wysoki jasnobrody Żyd i pokłoniwszy się nisko powiedział strapionym głosem: – Nie mam izb, wielmożni panowie. Wszystkie zajęte.

– My aby do świtu.

– Po kilku panów mam w każdej izbie, wybacz, jasny panie.

– My przy szynkwasio przesiadamy.

– Kiedy panowie nie kazali nikogo wpuszczać.

– Jacy panowie?

– Panowie dziedzice – odpowiedział karczmarz.

Zagwojski chwycił go za brodę.

– Gadaj jak człowiek – warknął – bo wnet bez kłaków zostaniesz!

Tomasz z miejsca wkroczył.

– Puść go – rozkazał.

Zagwojski usłuchał, chociaż niechętnie.

– Zostaw to mnie – powiedział Tomasz i zwrócił się do karczmarza: – Jak ci na imię?

– Froim, jasny panie.

Froim – i to imię wydobyło się z niepamięci. Jak skrzyp owego koguta z blachy. Jak wieżyczka z oknem na dach strzechasty wychodzącym.

– Czyśmy się nie znali, Froimie? – spytał. – Bywałem tu niegdyś z ojcem, chociaż prawda, że dzieckiem będąc.

– To był chyba inny Froim, ten, któremu zbójcy całą rodzinę porznęli.

– I ty zgodziłeś się po nim karczmę wziąć?

– A co miałem robić?

– I nie boisz się?

– Ja tu jestem pod dobrą opieką. A jeśli jasny pan tu jeszcze dzieckiem bywał, to jasny pan jest młody pan Błudnicki, zgadłem?

– Zgadłeś.

Karczmarz zafrasował się.

– To co teraz zrobię? Panowie wpuszczają nie kazali... Jegomość mocno zajęty.

– Czym?

– On się weseli. Grać sobie kazał. Tańcował...

– Nie słychać nic.

– Bo śpi, pewno śpi.

– Froimie, przenocujemy siedząc przy stole, a świtem ruszymy w drogę. Nic twojemu wesołemu panu nie przeszkodzimy.

– To już będzie na panów odpowiedzialność. – Froim otworzył drzwi do mrocznego szynku. Ktoś siedział w głębi, zwałista pochylona postać męska.

– Proszę panów.

– A do kogo ta karczma należy, Froimie?

– Do jaśnie wielmożnych panów Rosińskich – odpowiedział Żyd.

Maćkowi wyrwał się okrzyk. Zagwojski zgromił go wzrokiem. Tomasz upewnił się:

– I on jest tutaj, pan Rosiński?

– Tak.

– Stanisław?

– Tak.

– To dobrze – powiedział Tomasz. – Właśnie do niego mamy słówko.

– Jasny pan zabronił przeszkadzać.

– A my zaczekamy, aż on znajdzie czas. Sam jest czy z dziewczką?

– Jasny panie, a dla kogo innego on by muzykę sprowadzał? A z kim innym on by tańcował?

Maciek wysunął się do przodu.

– Powiadasz, że z nią tańcowałeś?

– Jak była muzyka...

– Jesteś pewny?

– Tak, paniczu.

Maciek zwrócił się poblady do Tomasza:

– Naszym nie wolno tańcować.

Zapadło ciężkie milczenie. Tomasz zagadnął półgłosem karczmarza:

– Pop przy onej cerkiewce jest?

– Jest – odpowiedział karczmarz – chociaż ubożuchny.

Tomasz wziął na bok swojego pachółka.

– Jasiu, nic tu po tobie, pomocą nam nie będziesz. Skocz do popa i o nocleg proś. A potem z pierwszym kurem pędź po pomoc.

– Do kogo?

– Żebym to wiedział... Do lisowczyków chyba! Tak, na Sańsk ruszaj! Pana Jacka Dydyńskiego szukaj, niech tu do nas kupą pędzi. Może jeszcze przy życiu zostanie...

– Wasza wielmożność, zabiją cię zbójniki – wyszeptał Jasiek. – Wycofaj się.

– Nie, mój synu. Ale ty, Jasiu, ratuj się, w tobie cała nadzieja.

Pozbywszy się Jasia weszli do szynku. Zwalista postać w kącie obok hruby poruszyła się na ławie. Maciek pierwszy nieznajomego rozpoznał. Zawołał:

– Gabrielu!

Brat Kowacz przyłożył palec do ust.

– Tss... cicho... – Wskazał na powagę. – Ona tam.

Męka w tym głosie, pomyślał Tomasz i dotknąwszy twardej dłoni bednarza powiedział:

– Przybyliśmy ci pomóc, Gabrielu.

– Na nic tu pomoc, bracie.

Siedzieli w milczeniu ciężkim, jak głaz pierś gniotący.

– Dawno tu jesteś? – spytał wreszcie Tomasz.

– Od wczoraj – odpowiedział bednarz.

– I oni o tobie wiedzą?

– Wiedzą.

– Zabiją cię.

Kowacz wzruszył ramionami. Tomasz spytał:

– Pytałeś ich o dziewczkę swoją?

– Tak. Powiedzieli, że jest.

– I więcej nic?

– Czekać kazali.

– Czekać? – zdumiał się Tomasz. – Nie pędzili precz?

– Nie. Czekać – powtórzył Gabriel. – To czekam.

Zamilkł i pogрузzył się w rozmyślaniach. Karczmarz wniósł światło, potem kielbasę gorącą z chrzanem i chleb. Gabriel pokręcił tylko głową na znak, że jeść nie będzie. Nagle odezwał się:

– Tańce tam były. – Jego wzrok powędrował ku powale, gdzie na brunatnej farbie migotały złotawe odblaski ognia. – Muzyka.

Tomasz milczał. Gabriel westchnąwszy powiedział:

– Tańcami kusili. Siostrzyczka onego diabła nogami przebierała. Ja słyszałem. Tańcuj, śpiewała, tańcuj jako ja... Moją to ptaszynę tak kusiła. – Gabriel urwał, powiódł po nich ciężkim spojrzeniem, a potem wyszeptał niby tajemnicę: – Ale ona się nie poddała.

Na górze kroki się rozległy, jakieś głosy podniesione, przytupywanie. Bednarz nie spuszczał oka z powały.

– Tam ona jest – szepnął.

Otworzyły się drzwi i do szynku wkroczył młody, rosły mężczyzna, śniady i ciemnooki, w półpancerzyku, z szablą u jednego boku, z nożem w długich nożnach u drugiego.

– Brat Gabriel! – zawołał, jakby na audiencję miał prosić.

Bednarz podniósł się z ławy i poszedł ku niemu ciężkim krokiem.

– Słucham waszmości – powiedział, a Tomasz uderzyła nienawiść w jego głosie.

– Bracie, czy wciąż czekasz na swoją dziewczkę?

– Tak, waćpanie – odpowiedział Gabriel.

– Pan Rosiński pyta, czy jesteś gotów ją wziąć. Bo jeśli już jej nie chcesz, czemu się nie dziwię, to zostanie ona tutaj, posługami na żydło zarobi. Zastanów się.

Gabriel ciężko oddychał.

– Boże wielki – usłyszeli nagle gorący szept Macieja. – Przyzwól mi złamać Twój zakon i na zbrodnię odpowiedzieć zbrodnią.

– Chcesz ją czy nie? – domagał się odpowiedzi szlachcic w półpancerzyku.

– Po nią przyszedłem – powiedział Kowacz.

– No, toś się jej doczekał. Lea! – zawołał szlachcic.

Ukazała się w progu – drobna, szczupła, z pochyloną głową. Ów szlachcic w półpancerzyku pchnął ją ku Gabrielowi.

– Idźże do niego.

Potoczyła się kilka kroków do przodu i zatrzymała się przed swoim przyszłym mężem, wciąż mając wzrok opuszczony. Maciek westchnął ciężko. Bednarz odezwał się:

– Lea. Ty jak? Zdrowa?

Skinęła głową.

– Pójdiesz ze mną? – spytał.

Znowu skinęła głową. On otoczył ją ramieniem i pogładził po włosach przewiązanych zieloną wstążką niby wiankiem. Ona nadal milczała.

– Bracie Gabrielu – powiedział głośno Tomasz. – Złóż u pana Wolskiego skargę, ja świadczyć będę, że raptu dokonano.

Nowochrzteniec pokręcił głową.

– Ja skarżyć nie będę – wydusił z siebie.

– Trzeba, żeby prawo wkroczyło i sąd się odbył! – zawołał Tomasz porywczo.

– Inny sąd się odbędzie – odpowiedział Kowacz – i inne prawo wkroczy.

– Lea! – zwrócił się Tomasz do dziewczyny, – Ty skargę podaj! Wszakżeś skrzywdzona! My z panem Zagwojskim przysięgę złożymy.

Lea trwała nieporuszona. Powiedziała bezdźwięcznie:

– Ja skarżyć nie będę.

Jak echo, pomyślał Tomasz, i po raz pierwszy spojrzął na dziewczynę nieprzyjaźnie.

– Pójdziemy – powiedział do niej brat Gabriel. – Dalej od tego gniazda plugawego. Zły tu mieszka. Przenocujemy w cerkwi, a o świcie w drogę. – Znowu pogładził Leę po rdzawych włosach. – Ślub weźmiemy. Życie pobożne zaczniemy. – Dziewczyna milczała. Wtedy on dodał: – Nie nasz grzech, Lea. Kto w myślach czysty został, to i ciało ma czyste.

Dziewczyna milczała. W sieni rozległy się kroki i głosy huczące. Do izby wkroczył na czele swoich kompanionów Stanisław Rosiński, w koszuli rozchełstanej na piersi, chociaż z szablą u boku.

– Hej, stój! – zawołał. – Dokąd po nocy? Co wam tak śpieszno? Patrzcie, ile siły w tej chudzinie! Ja ledwo na nogach się trzymam, a ona choć zaczynaj od nowa – terkotał. – Lea, podarunek mam dla ciebie! Weź, panno, zasłużyłaś sobie!.

I wcisnęła jej w rękę sztukę atłasu czerwonego. Stała z tym atłasem, zakłopotana i milcząca, podczas gdy watażka paplał bez troski:

– Bierz, nie krępuj się. Dużo za tę sztukę nie zapłacił, z gościńca zdobycz. A będzie okazja, to ci trzewiki czerwone dorzucę. – Obrócił się ku Gabrielowi. – W czerwonych trzewikach jak zatańczy, jak nóżkami tupnie, uradujesz się żonką, panie majstrze! Marnuje się ona w waszym heretyckim zborze, powiadam ci, do wesołego życia stworzona, pierwsza to w powiecie tanecznicą! Puściłbyś ją na dwie niedziele do Krakowa, toby ci z worem dukatów wróciła!

– Tańcowałaś? – spytał Gabriel puszcżając jej ramię.

Nie odpowiedziała. A Rosiński huknął:

– O ho, ho!

Tomasz postąpił krok do przodu.

– Zamilcz wasze – syknął.

– Bo co?

– Bo nieprzystojny masz język.

– Już milczę. Milczę – powtórzył Rosiński i zaśmiał się.

– Chodź – powiedział brat Gabriel do Lei. Zabrzmiało to ostro, jak rozkaz. Dziewczyna poszła za nim posłusznie. Rosiński charknął śmiechem. Lea zatrzymała się. Odwróciwszy się popatrzyła uważnie po izbie, jakby chciała wszystko zapamiętać: ludzi milczących, powałę, po której blask lampki oliwnej pełgał, grubą zimną, szynkwę – wreszcie wzrok na watażkę zatrzymała. Wciąż trzymała ową sztukę atłasu w ręku. Rosiński palcem w jej stronę pogroził i Tomaszowi wydało się, że przez twarz dziewczyny przemknął cień uśmiechu.

– Siostrze – odezwał się złotowłosey Maciek podszedłszy do niej – nie zapomniłaś czegoś uczynić?

– Czego? – nie domyśliła się.

Wtedy Maciej wyrwał z jej rąk atlas czerwony i rzucił na ziemię pod nogi watażki.

– Teraz możemy iść – powiedział i pociągnął gwałtownie siostrę ku wyjściu.

Ciężki, niedźwiedziowaty bednarz powlókł się za nimi. Przed samymi drzwiami zastąpił im drogę szlachcic w półpancerzyku. Skłoniwszy głowę rzekł:

– Z Bogiem, bracie Gabrielu.

Bednarz nie odpowiedział. Szlachcic chwycił go za rękaw i szepnął:

– Bracie...

Kowacz zmierzył go ciężkim spojrzeniem.

– Puszczaj waćpan – wycedził przez zęby.

A kiedy szlachcic usłyszawszy puścił rękę, Kowacz otrzepał się jak od robactwa.

Drzwi zamknęły się ciężko. I od razu Rosiński zaczął się śmiać.

– Kłopot z głowy! – wrzasnął. – Zabrał ją, zabrał, zmiłował się, mości panowie! Do ołtarza zaprowadzi! Ciekawe, czy ślub we wianku będzie brała? We wianku, na pewno we wianku! – wołał czerwony z uciechy. – Przecież słyszeliście, jak mamrotał, że byle ciało czyste... nie, nie ciało, coś tam o duszy czystej było – ot, durny heretyk, dobrze mu tak... Baba z wozu! Jej, alem się zamartwiał, co mi z nią czynić... Wiecie waćpanowie, nietrudno dziewczkę pochwycić, nietrudno ją do onej rzeczy nakłonić, odczepić się od niej trudno. Topić czy co? Przecież to nie kocię!

Nagle, jakby dopiero teraz rozpoznał Tomasza, zwrócił się do niego:

– A waćpan, mój panie, tu czego? Dziewkę odbijać przybyłeś?

– Po nią – przyznał Tomasz.

– Śmiałyś, bratku. Raz mi się od miecza wymigałeś i znowu w niebezpieczeństwo leziesz?

– To twoja karczma, panie Rosiński?

– A czyja? Pewnie, że moja.

– Tedy gościem twoim jestem. I wiem, że jako takiego mnie uszanujesz.

Rosiński nie od razu zrozumiał, jakie mu się stawia wymogi, ale zrozumiawszy wreszcie przytaknął z ochotą:

– Prawda, jakem szlachcic! Gościem moim jesteś! I ty, młodziku, też! Siadajcie bez obawy, włos wam z głowy nie spadnie! Froim, przynieś światła, Judaszu przeklęty, weselić się będziemy! Gorzałę stawiaj! Gęś z kluskami! Hej, waćpanowie, baba z wozu! – wołał, podczas gdy jego kompani się schodzili i za stołem siadali. Ponure gęby, groźne, spode łba patrzące. Trzej Żurakowscy, Pamiętowski cały w szramach. Zbijewski młody i głupio hałaśliwy, Siemaszko, Nietyksa, Wronowski – Diabląt Stadnickich towarzysze, wreszcie Każko Rosiński, milczący i smętny. Spostrzegłszy Tomasza mruknął:

– I waćpan tutaj... Po coś przylazł?

– Żeby ci w oczy spojrzeć – odpowiedział Tomasz uśmiechając się.

– Czemu w oczy?

– Bo nie lubię z zastupia strzelać.

Każko kładł już dłoń na rękojeści szabli, kiedy Stanisław krzyknął:

– To nasz gość, Każku! Mój gość! Ani się waż czepiać!

Młodszy brat siadłszy za stół naprzeciw Tomasza powiedział:

– Mogę ci i twarzą w twarz stanąć.

– Nie uczynisz tego – ośmielił się rzec Tomasz.

– A to czemu?

– Bom jest bratem twojej umiłowanej.

Każko pochylił głowę. Potem szepnął:

– Ty wiesz...

– Wiem.

– Gościem moim jesteś! – wykrzyknął Rosiński starszy i zaśmiał się.

Inni też się zaśmieli, głośno i rehotliwie, jakby najlepszą facecję im powiedziano. Szturchali jeden drugiego i co na Tomasza spojrzeli, to wybuchali śmiechem. Głupia zgraja, bezmózgie bestie, myślał z gniewem w sercu Tomasz, ale co tam, byle przetrzymać, nic mi nie uczynią, znajdowali się z Zagwojskim pod ochroną Rosińskiego starszego – póki co, nic nam nie grozi. Jednakże ten Stacho Rosiński pił niebezpiecznie dużo i coraz bardziej język mu się plątał. Był jeszcze Każko, ale Każko milczał i nawet nie pił za wiele. Czeka sposobności, domyślił się Tomasz, czeka, żeby brata starszego zamroczyło, wtedy z kompanami na mnie skoczy i kindząłem swoje uczyni. Był między zgrają jeden, który wzroku z Tomasza nie spuszczał, to ów smukły, śniadolicy szlachcic w półpancerzyku, który Leę do szynku był wprowadził. I ten w picciu się powściągał, ale podczas gdy na niego nikt uwagi nie zwracał, to Tomasza pilnowano, żeby puchary spełniał. Wykrzykiwali:

– Pij, panie bracie! Czemu nie pijesz?

– Obrażasz nas?

– Śmierdzimy ci, panie Błudnicki?

– A któż to taki jest Błudnicki?

– Jak to? Nie wiecie? Syn największego rębajły!

– Co ty możesz wiedzieć!

– Ojcowie powiadali.

– Alboś to kiedy miał ojca!

– Zamilcz, ty złej matki synu!

– Powtórz to!

Już szabel dobywali, kiedy starszy Rosiński walnął obuszkiem w stół.

– Spokój! Spokój, waćpanowie! Zdrowie pijemy!

– A czyje? – zawołał najmłodszy Żurakowski i mrugnął okiem przebiegle.

– Jaśka kuchcika – powiedział Rosiński starszy i zaśmiał się.

Zamilkli z wrażenia i dopiero po chwili wszyscy huknęli: – Zdrowie kuchcika! – wszyscy, prócz owego w półpancerzyku i Kaźka, który mruknął: – Pomyleńcy, już zaczynają.

Ow w półpancerzyku zagadnął Tomasza:

– Waćpan nie pijesz?

– Nie.

– Kuchcikiem gardzisz?

– Nie. Kuchcika zdrowia gotów jestem zawsze bronić.

Kilku panów zaśmiało się na to. Tomasz spytał:

– A waćpan czemu mi się tak przypatrujesz?

– Mam powody – odparł śniadolicy szlachcic i Tomasz zauważył, że po tych słowach się uciszyło.

– A to jakie? – spytał.

– Miarkuję, czy nie jesteśmy podobni do siebie.

– My dwaj?

– Właśnie. Krewniacy jesteśmy.

Jeszcze jeden, przemknęło przez myśl Tomaszowi. Spytał:

– Jak się zowiesz?

– Nie Błudnicki. Witoszyński jestem Andrzej.

– Rad jestem. Chociażem nie słyszał.

– Bij się z nim, Witosza! – zakrzyknął Rosiński, – Stawajcie, panowie! Obaczym, który krewniak lepszy.

– Po co mielibyśmy się bić? – bronił się Witoszyński.

– Jak w rodzinie! Powód się znajdzie! Nieprawda, Witosza?

– Odczep się waćpan.

– Do szklanic, mości panowie! – krzyknął Pamiętowski. – Zdrowie naszego drogiego gościa, Jasia kuchcika!

Zagwojski spytał marszcząc brwi:

– Czemu waćpan pijesz zdrowie sługi przed pańskim?

– Bo sługa lepszy! – krzyknął Pamiętowski i podniósł się.

Każko trzepnął go w plecy:

– Siadaj, dumny!

Zagwojski mruknął:

– Waćpanowie zaczepki szukacie. Mocniście: was wielu, a my dwaj jeno.

– Gośćmi moimi jesteście! – wybuchnął Rosiński starszy.

– To bacz, żeby nas tu nie obrażano.

Tomasz podniósł wzrok i zobaczył utkwione w sobie spojrzenie Witoszyńskiego. Krewniak, jeszcze jeden. Czy też chce na ojcowej śmierci zarobić? Wpadliśmy w okrutne terminy. Przy stole wyczuwało się rosnące napięcie. Froim postawił jeszcze kilka dzbanów, dolał oliwy do kagańców i przezornie się usunął. Rodzinę zamknął w izbie. Rozluźnić cięciwę, pomyślał Tomasz, rozluźnić, by nie mogła strzały wyrzucić. Zwrócił się do starszego Rosińskiego:

– Pamiętam, trzeci był jeszcze u Rosińskich braciszek; najmłodszy. Gdzie on?

– O Jurku mówisz? Usieczon Jurko. Popatrz, Każku, on pamięta.

– W burdzie usieczon?

– Na jarmarku w Rzeszowie. Biły się Ligęzy ze Stadnickimi. Każku, po czyjej stronie stawaliśmy?

– Stadnickich – powiedział Każko.

– Ano tak. Ale nie warto, jeno guzyśmy z tego wynieśli. A mać nasza skórę mi za Jurkową śmierć złoła, nie daj Boże. Bodajś ty radniej był zdechł, wrzeszczała mać, słota nasza jedyna, i tak mnie różgą przez gołę

plecy siekła, jak wienikiem w łaźni. Sroga ona u nas, maty nasza, ale sprawiedliwa.

– A stary ojciec żyw jeszcze?

– Żyw, żyw, ale całkiem go skreśliło, chodzić nie może, na narach leży i powarkuje: tego najedź, tamtego usiecz, z tym się łącz, tego opuść. Całkiem nie w swoim świecie żyje. Wciąż mu się, batkowi, wydaje, że rządzi, a my potakujem i robim swoje. I dobrze mu z tym, chociaż po prawdzie, to nigdy jego rządy nie były, jeno matczyne. Ona watahę za pysk trzymała, złota nasza jedyna.

– A jest jeszcze siostra – pochwalił się pamięcią swoją Tomasz.

– Zośka, jest, jest. A wiesz, gdzie ona teraz? Nie zgadniesz. Oto nad gmaszkiem.

Zaśmiał się. – Rzepa dziewczucha. Z Leą tańcowała. Bardzo się one pokochały.

– Dziwno mi, żeś Lei do Teleśnicy nie podwiózł.

– Pod mamin dach? Nie głupim! Mama strach, jak nie znosi obcych niewiast! Chyba żeby jej służyć miały. Lepiej się naszej macierzy z babą na oczy nie pokazywać. Życie zatruje.

Tomasz zwrócił się do Kazka:

– Słyszałeś?

– Czy ja nie wiem – odmruknął Każko.

– To na taki los chcesz moją siostrę skazać?

Każko powiedział nie podnosząc oczu:

– Ja bym się z nią z domu wyniósł.

– Każku! – naskoczył nań groźnie Stanisław.

– Wy z panią matką mną rządzić nie będziecie – powiedział Każko podnosząc się.

– Zamilcz! Zamilcz, jeśli ci życie miłe! – krzyknął przestraszony Stanisław. I zagroził: – Będę ja musiał się za ciebie wziąć.

Każko zerknął na brata z widoczną pogardą. Potem zwrócił się do Tomasza:

– Nie słuchaj go. Niechby się Halzka tylko zgodziła... Panią będzie, choćby łby miały w rodzinie polecieć.

– Ale ona nie chce.

– Przez ciebie.

– I dlatego chcesz mnie usunąć?

– A co robić? – spytał naiwnie Każko.

– Przecieżem jej brat. Jakże tak, chcesz ją dźgnąć w samo serce? W tym, co ona kocha najbardziej?

– A ja bym cię tak skończył, żeby ona nie wiedziała, kto...

– Choćby dzisiaj?

– Można i dzisiaj.

– A z tym kawalerem co będzie? – Tomasz wskazał na Zagwojskiego.

– Z nim? To i jego też.

Jest jeszcze Jasiek kuchcik, pomyślał Tomasz, ale nie powiedział tego na głos.

– Czemu więc nie zabijacie?

– Bo gośćmi jesteście – powiedział Każko. – Chociaż nie moimi...

Tomasz spojrział po zgrai. Przyglądali mu się w milczeniu. Chciwość w tych oczach, skupienie bezmyślne – jak kiedy kot ną mysz poluje. Tylko w spojrzeniu Witoszyńskiego było coś innego: jakaś czujna obserwacja, namysł, odrobina współczucia czy może ironii. Tomasz spytał:

– Każku, a nie domyślasz się, czemu Elżbieta rekuzuje?

– Przez ciebie.

– Nie, Każku, to wybieg.

– Może i wybieg, ale ty i tak jesteś przeciw!

– Ani za, ani przeciw. Halżka uczyni, co zechce.

Każko odetchnął głęboko.

– Prawdę mówisz? – spytał.

– Prawdę.

– Nie fortel to?

– Nie. Nie myśl jeno, żem twoim procederem zachwycony. Alem słyszał, i to od Halżki, żeś porzucić go obiecał.

– Obiecałem i niech „tak” usłyszę, dotrzymam.

– Ja ci wierzę. I masz u mnie to na dobro swoje wpisane, że ją miłujesz. Co ci się chwali, żeś do tego uczucia ku takiej cichej, delikatnej pannie zdolny!

– Świat mi bez niej niemiły. Wierzysz?

– I jeszcze to na twoje dobro wpisuję, że i ona ciebie miłuje.

– Tak powiadasz? – spytał Każko szarzejąc na twarzy.

– Tak, miłuje ona ciebie. I cierpi wiele, że cię musiała oddalić.

– Ale czemu to uczyniła, na miły Bóg?! – wykrzyknął Każko.

– Więc ty się nie domyślasz?

– Niech skonam.

– Elżbieta cię o ojca naszego śmierć posądza – powiedział Tomasz dobitnie. Każko siedział bez tchu. Ktoś zaśmiał się cicho. Witoszyński zaczął rozlewać napoje.

– Tak, teraz rozumiem – usłyszał Tomasz niepewny głos młodzieńca. – Ale nie ja to uczyniłem. Przysięgam.

Nalano Tomaszowi piwa do kufła, ale ręką niepewną i parę kropel rozlało się na deskę stołu. Tomasz spytał:

– Któż więc zabił?

– Nie wiem – odpowiedział Każko.

– A jak sądzisz: zabito go czy swoją śmiercią zmarł?

– Nie wiem – powtórzył z uporem Każko.

– Elżbieta utrzymuje, że swoją śmiercią zmarł. A wiesz, dlaczego się przy tym upiera? Żeby ciebie od katowskiego miecza osłonić. Jenó znać cię nie chce.

– Boże jej błogosław – szepnął Każko. – Ale ja w tym ręki nie maczałem.

– Darowałaś Gedeonowi natolijczyka? – spytał Tomasz.

– Tak.

– *Cui bono?*

– Taką miałem fantazję.

– Żeby go skaptować?

– A co, nie wolno?

– A Gedeon nie mógł z twojej namowy ojca zabić?

– Jużem ci rzekł: ja w tym ręki nie maczałem.

– A Gedeon? – spytał Tomasz.

– Nie wiem.

– Każku, sam miarkujesz, że byłoby z korzyścią dla ciebie, gdybyś mordercę odkrył.

– Może i tak, ale ja się tym zabawiać nie będę. Ktokolwiek mordu dokonał, mógł mieć po temu sprawiedliwe powody.

– Jakie?

Każko wąs potarł, spojrział na prawo, spojrział na lewo. Potem uśmiechnął się.

– Chytryś. Jakie miał, to miał. Mnie nic do tego.

– Wszelako ty uważasz, że mój ojciec na śmierć zasłużył?

– Tego nie powiedziałem – zastrzegł się Każko.

– Ty jednak mordercę znasz – powiedział ostro Tomasz.

– Choćbym i znał, nic byś ze mnie nie wyciągnął. Ale tyle wiem, co i ty.

– Zdrowie Jaśka kuchcika! – huknął znowu pan Pamiętowski.

– Stul pysk! – wściekł się Każko.

– A ty czego znowu? – oburzył się brygant.

– Stul! – Każko podniósł się. – Waćpanowie tej rozmowy byliście przytomni - powiedział podnosząc swój kubek w górę. – Czy mi się zdaje, czy też wielmożny pan Tomasz Błudnicki sam oznajmił, że nie będzie się małżeństwu mojemu z panną Elżbietą sprzeciwiał?

– Tak oznajmiłem – powiedział Tomasz.

– Tedyś jest pod moją opieką i nikt ci krzywdy nie śmie uczynić. Słyszeliście, druhowie zacni?

– Zdrowie Jaśka kuchcika! – krzyknął Pamiętowski i dwaj młodszy Żurakowscy to podchwycili.

Każko odstawiwszy kubek położył dłoń na rękojeści szabli.

– Co to? – warknął. – Zmowa? Burdę prowokujecie?

– Ty, Każku, się nie odzywaj – powiedział dobrotliwie starszy brat. – Siedz i milcz.

– Ja ci pomilczę!

– Ty, Każku, masz umysł dziewczką zamroczony.

– I co z tego?

– A to, że byłbyś ty zdrów na umyśle, tobyś pamiętał, co maty kazała. Tomasz nastawił uszu. Każko mruknął:

– Co mać powiadały, to się dzisiejszego czasu nie tyczy. Teraz insze jest.

– A co matka wam powiedziała? – zaciekawiał się Tomasz.

– Brać pannę Błudnicką po tatarsku! – zahuczał starszy Rosiński. Pamiętowski zaśmiał się. Witoszyński pochwycił spojrzenie Tomasza i uśmiechnął się, ale jakoś inaczej niż inni, z pewną pobłażliwością wobec

tamtym. Krewniak jednakowoż, pomyślał Tomasz. Rosiński mówił: – Nie rozumiesz, panie Tomaszu? Dziewkę na koń i hajda w góry!

– Rapt! – zawołał Zagwojski.

– Nie rapt, nie rapt, bo księdza sprowadzić każe i ślub wziąć. A nie zechce księżulo, to mu kindżał do karku przyłoży.

– Piękny ślub – powiedział Zagwojski. – Przed Bogiem nieważny.

– Ale przed diabłem ważny. Jak zakłęcie, tak czy nie? Przysięgła wierność i już się nie wykręci, boby język usechł. Głupi ty, Każku, że naszego gościa chcesz żywić. Nie będzie go, to Błudniki twoje razem z dziewczką.

– Nie, ja Elżbiety gwałtem brać nie chcę – powiedział Każko stanowczo.

– A mać co mówiła?

– Dajże ty mnie spokój!

– Synu wyrodny! – wrzasnął Rosiński starszy. – Macierzy się sprzeciwiasz! Będzie ci gorąco na tamtym świecie! Wyrodku bez sumienia!

– Panie Stanisławie – odezwał się Tomasz. – Racz się uspokoić. Twierdziłeś, że gośćmi twoimi jesteśmy.

– Gośćmi, prawda – przyznał watażka trzeźwiejąc. Podumał chwilę, potem rzekł:

– Jednakże i z gośćmi różnie bywa... Wypadek może się zdarzyć...

– Jak z Kroguleckim – przypomniał najstarszy Żurakowski.

– Kroguleckiemu głowę ucieliśmy.

– A gość był – napierał się Żurakowski.

– Właśnie, gość. A hołowa bęc, na ziemię.

Każko zwrócił się do Tomasza.

– Nie obawiajcie się, waćpanowie. Nic wam brat nie uczynią. Kto zechce was zaczepić, pierwaj ze mną będzie miał sprawę.

Wydawało się, że wszyscy przyjęli to do wiadomości. Jedli i pili bez pośpiechu, popatrując na siebie spode łba. Żurakowski średni i Pamiętowski wyszli na dwór wodę odlać, a kiedy wrócili, Żurakowski powiedział z nutką tęsknoty Bóg-wie-za-czym w głosie:

– Miesiąc się chowa. Musi już dobrze być po północy.

Tomasz podniósł się:

– Czas zdrzemnąć się, mości panowie.

– Zaczekaj, miły gościu – na to Rosiński starszy.

– Nie zwracajcie na nas uwagi, waćpanowie. My tu z panem Zagwojskim w kącie posiedzimy.

– A nie pobawić się nam wprzód, panie Błudnicki? – zagadnął Pamiętowski.

– Jak?

– A ot, z łuku postrzelamy. Sajdak grzeczny w sieni znalazłem. Strzał siła.

Zagwojski powiedział:

– To mój sajdak, waćpanie.

– A mój łuk – odparł Pamiętowski.

Wyjął strzałę, napiął łuk i strzelił wprost na belę. Grot w niej utkwiał, ale brzechwa się złamała. – Bęc! – zawołał Pamiętowski i wyjął z sajdaka następną strzałę.

– Zostaw waść sajdak! – zakrzyknął Zagwojski.

Pamiętowski napiął łuk i strzelił: bęc! I znowu się brzechwa ułamała.

– Waść mi strzały niszcysz! – krzyknął Zagwojski.

– Spokój, Jędreku – szepnął Tomasz.

Ale już Każko wkroczył, już Pamiętowskiego za ramię chwycił.

– Zostaw ten sajdak, gadzino – wycedził przez zęby.

Pamiętowski rzucił torbę ze strzałami na ziemię. Potem, stanąwszy za stołem, nalał sobie piwa do szklanicy.

– Przepraszam cię, kawalerze – zwrócił się do Zagwojskiego. – Widzę, żeś nerwowy. Jakże cię zowią?

– Zagwojski.

– Zaczny ród Zagwojskich – mówił Pamiętowski, przypatrując się swojej szklanicy. – Znam trzy rodu tego odnogi. Tak miarkuję, z której ty jesteś.

– Z Zagwoździa.

– Z Zagwoździa – powtórzył Pamiętowski. – To już wiem. Pierwsza gałąź Zagwojskich z chłopów poszła, tych, co się do cudzego herbu przyssali.

– Mospanie!

– Ale to nie twoi – ciągnął Pamiętowski. Popiwszy nieco mówił dalej:

– Druga gałąź od ladaczniczy przemyskiej poszła i w tej rodzinie już stale tak: kto matka, wiadomo, a ojca szukaj między krzakami. Ale to nie twoi – uprzedził oburzenie Zagwojskiego i wziął się jak gdyby nic do piwa.

– A moi?

– Twoi od trędowatych ród wiodą.

Nastała cisza, w której słyhać było sapanie mężczyzn. Nagle rozległ się głos Tomasza:

– Spokojnie, Jędreku, to szaleniec. On chce, byś ty go na ostre wyzwiał.

Widzę – powiedział Zagwojski, i choć pobladł mocno, to jednak uśmiechnął się – Więc od trędowatych?

– Tak.

– Lmasz na to dowody?

– Nie muszę mieć. Mówię, że z trędowatych jesteś, i to wystarczy. Zadajesz mi kłam?

– Tak.

– Jędrak – przypomniał Tomasz.

– Jak powiadasz, że łązę – powiedział Pamiętowski – to udowodnij, że jest inaczej. Udowodnij, że w tobie dobra krew płynie.

– Można do papierów zajrzeć.

– Twoje papiery takie łgarstwo jak i ty – mówił Pamiętowski. – Moje są całkiem inne. Wiesz, skąd prawdę o tobie wiem? Z ksiąg!

– Czytujesz waćpan księgi?

– Ja nie muszę. Inni czytali – mówił nie zmieszany Pamiętowski. I dodał:

– I poznać można, żeś z trędowatych, pojrząwszy na ciebie.

– Jakim sposobem?

– Tym, że włos masz jasny, a policzki białe z rumieńcami.

– Takich ludzi jest tysiące, waćpanie. Poroda taka.

– Insi mają od porody, a waćpan od trądu.

– Spokojnie, Jędrak – szepnął Tomasz.

Zagwojski kiwnął mu głową i zwrócił się do Pamiętowskiego:

– Waćpan sam nie wierzysz w to, co mówisz.

– Skąd ta myśl?

– Bo trąd – niemoc przyrzutna, a waćpan cały czas z mojej szklaniczki pijesz.

– Z twojej?

– Z mojej własnej.

Pamiętowski obejrzał szklanicę, którą trzymał w ręce, i nagle rzucił ją w ścianę.

– Nagła krew! – zaklął. – Prawda! Teraz i ja trędowaty będę!

Wyjął szablę i zaczął siec dzbany na stole.

– Chłystku! Mlekososie! – wrzeszczał. – Nie wywiniesz mi się! Stawaj mi tu! Uszy obetnę!

Każko skoczył ku niemu z nagą szablą.

– Pamiętowski!

Zbój wyprostował się, łypnął oczyma.

– Tak jest!

– Przepróż jegomości.

Pamiętowski zerknął na starszego Rosińskiego. Ten skinął głową. Pamiętowski zadzwonił ostrogami.

– Tak jest. Przepraszam.

Usłyszawszy te słowa, Każko schował szablę do pochwy. Ledwo przedzwoniła, już go starszy brat i niedźwiedziowaty Nietyksa za ramiona schwycili i ręce do tyłu wykręciwszy skrępowali. Żurakowski średni przystawił Tomaszowi pistolet do piersi.

Ktoś inny wyciągnął mu szablę z pochwy.

– Nie ruszaj się, bracie – przestrzegał Żurakowski. – Chudo bude.

Pamiętowski stanąwszy przed Zagwojskim spytał:

– To jak, będziesz się ze mną bić?

– Nie – odpowiedział Zagwojski.

– Ty złej matki synu!

Zagwojski zaśmiał się:

– Szczekaj sobie. Wolno Kurcie i na Bożą mękę ujadać.

– Ty złej matki synu – powtórzył Pamiętowski. – Za ladacnicą na Moskwę poszedłeś. Myślisz, że nie wiem?

Zagwojskiemu poruszyła się szczęka.

– Coś rzekł? – spytał cicho.

– Że twoja carowa ladacnicą jest. Kto żyw, w pierzynach się z nią turlał, tylko tobie głupkowi nie dała.

– Waćpan tych słów pożałujesz – powiedział Zagwojski zmienionym głosem.

– Durny ty. Małpie szablę ofiarowałeś. Gziła się z Dońcami jak klacz na wiosnę.

– Chcę się bić – wycharczał Zagwojski.

Pamiętowski odetchnął głęboko.

– No, nareszcie. – Skłonił się: – Ja do usług.

– Dobywaj szabli! – krzyknął Zagwojski.

– Nie, bratku, nie tutaj. Na dworze.

– W ciemnościach?

– Nie szkodzi. Zabawimy się w kotka i myszkę. No jak, zgadzasz się czy nie?

Tomasz poruszył się, ale Żurakowski przypomniał poruszając pistoletem:

– Chudo bude.

Zagwojski kiwnął głową.

– Idziemy.

Wyszli na dwór: Zagwojski, Pamiętowski i dwaj Żurakowscy – starszy i młodszy. Ten średni stał wciąż przed Tomaszem z pistoletem w ręku. Nietyksa i Siemaszko wiązali Kazka, podczas gdy Witoszyński siedział nieruchomo przy stole, przyglądając się z uporem jednemu tylko człowiekowi: Tomaszowi.

– Stacho – odezwał się uwiązany Każko. – Gorzko ja swoim szczęściem za twoją samowolę zapłacę.

– Robię, co maty kazała – na to Stacho.

– Serce mi depczesz – skarżył się leżąc na ziemi. – Niech włos z głowy mu spadnie, nie dostanę ja swojej dziewczyny.

– Głupi ty – na to brat starszy. – Będziesz miał i ją, i Błudniki. A będzie kiedy oporna, różgą oćwiczysz.

– Balowie mścić się będą jak za krew Kroguleckiego...

– Furda Balowie. Za to pan chorąży pochwali.

– Stachu...

– Daj mu przez łeb – rozkazał brat starszy niedźwiedziowatemu Nietyksie. – Niech zacichnie.

Nietyksa obuszkiem czekana uderzył Kaźka po ciemieniu, nie za słabo, nie za mocno, w sam raz, żeby młodszy Rosiński zapadł w niepamięć.

– Dobrze – pochwalił Rosiński starszy. – Mógłbyś woły głuszyć. Cichajcie. Biją się...

Spoza okna słychać było szcęk szabel i głosy podniesione.

– Nie biją się, lecz mordują – odezwał się Tomasz.

– Co waść gadasz – ofuknął go Rosiński.

– Słychać więcej niż dwie szable.

Szcęk broni stawał się coraz gwałtowniejszy, coraz bliżej okna podchodził, tak że słychać już było oddechy przyśpieszone. Nagle rozległ się krzyk zwierzęcy. Witoszyński drgnął i opuścił oczy. Ktoś tam padł, ktoś sapał głośno. Potem słychać było, jak się naradzano półgłosem. Wreszcie drzwi się otwały i na progu stanął Pamiętowski. W półmroku nie widać było rysów jego twarzy, ale Tomaszowi wydało się, że dostrzega usta przekrzywione w złym uśmiechu.

– Gdzie on? – spytał Tomasz. – Gdzie Zagwojski?

Nikt nie odpowiedział. Wtedy Tomasz odepchnął Żurakowskiego, który nie wystrzelił ze swojego pistoletu, i podszedł do tamtego w drzwiach.

– Zamordowaliście go – wydusił z siebie.

Pamiętowski wyciągnął przed siebie pokrwawioną koszulę.

– Jego – pochwalił się. – Poznajesz?

– Niech ją włoży! – zakrzyknięto z głębi izby. – Niech włoży koszulę po przyjacielu swym!

– To jego krew, panie Błudnicki. Chyba się nią nie brzydzisz?

Tomasz zwrócił się do starszego Rosińskiego:

– Zbójecki to wyczyn, panie Rosiński.

Watażka zaśmiał się.

– Mać tak uczyła – powiedział – bij z tyłu, a prędko.

– On walczyć chciał, a wyście go zamordowali. – Obrócił się ku zgrai.

– Waćpanowie szlachtą się mienicie. Nie wstyd wam niewinnych ludzi mordować?

Tamci uśmiechali się złowrogo. Więc teraz na mnie kolej, zrozumiał i krzyknął:

– Uważajcie, waćpanowie, zemsta się zbliża! Za moją krew gorzko odpowiecie! Już tu odsiecz pędzi i jeśli mnie żywego nie zastaną, gorze wam!

– Obiecujesz nam łaskę, jeśli cię puścimy? – spytał Rosiński.

Zbroczona krwią koszula Zagwojskiego leżała na podłodze.

– Obiecuję – powiedział Tomasz. Jeszcze jedna zdrada, pomyślał zgnębiony.

– Ho, ho! – zdziwił się Rosiński. – Aleś łaskawy! Pamiętowski!

– Słucham cię, Stachu.

– Pokaż mu jego odsiecz.

Pamiętowski otworzył drzwi i ryknął:

– Dawać tu kuchcika, bindasy!

Wepchnięto Jasia. Ręce miał przewiązane do tyłu.

– Jasiu – szepnął Tomasz. – Dałeś się schwycić.

– Wybacz, wasza wielmożność – przemówił kuchcik i zapłakał.

– Otrzyj łzy! – zburczał go Tomasz.

– Kiej ręce mam związane.

Tomasz podszedł do kuchcika i otarł mu rękawem łzy. Rosiński odezwał się:

– Powiedz, Jasiu, powiedz swojemu panu. Dalekoś od karczmy uskoczył? No, gadajże.

– Nie będzie i pół strzelenia z łuku – odpowiedział chłopiec.

– Widzisz, panie Błudnicki. Marne twoje losy...! Wyprowadzić chłopca! Jeść mu dać! – krzyknął za wychodzącymi. – Winem napoić. Od jutra nam będzie służyć.

Kiedy zawarły się drzwi za Jasiem, Tomasz odezwał się:

– Niecierpliwie się moim dobrem rozrządzasz, panie Rosiński.

– Tak, bratku, ręka mnie swędzi. Jutro wejdę w Błudnik posiadanie.

– Brat cię znienawidzi.

– Każko? Niech jeno maty nogą tupnie! – Ciszej dodał: – Niech jeno siostrę twoją przygarnie...

Tomasz na to nic nie powiedział. Rosiński przechadzał się marsowym krokiem po izbie i tak chodząc, niby hetman przed bitwą, wydał solenny rozkaz:

– Ręce mu zwiążcie. – Nietyksa i Żurakowski średni skoczyli do Tomasza. – Do tyłu – nakazał Rosiński.

Potem stanął przed swoim więźniem.

– Miłyś ty, bratku, że oporu nie stawiasz. Tylko krzyk by z tego powstał, a skutku żadnego. No cóż, panie Tomaszu, dysponuj się na śmierć.

Tomasz nie odpowiadał.

– Może jakieś słowa komu powtórzyć? – pytał Rosiński. – Coś oddać?

Księgę, pomyślał Tomasz. Słowo ostatnie: że ją miłuję.

– Nie trzeba – powiedział.

– Pacierz zmów.

– Nie trzeba.

Rosiński zwrócił się ku swoim ludziom.

– No, waćpanowie, kto na ochotnika? Kto zasługę chce mieć?

– Ja – powiedział Witoszyński dźwigając się zza stołu.

Kilku innych zakrzyknęło, że i oni nie od macochy.

– Pozwól mnie, panie komendancie – przymawiał się Witoszyński. – Mam ja z tym kawalerem swoje porachunki.

– Ty też?

– Jak to między krewniakami – rzekł Witoszyński zbliżając się do Tomasza.

I wyjąwszy ze skórzanych nożen długi spiczasty nóż, tknął nim więźnia w pierś.

– Lubisz być zarżnięty jak wieprz, panie Błudnicki?

– Nie wiem – odpowiedział sucho Tomasz – nigdy jeszcze takiej śmierci nie próbował.

– To spróbujesz... Ale to już będzie twoja eksperyencja ostatnia. Panie komendancie, dom obstawiony?

– Mysz się nie przecisnie.

– To zaprowadzę go do alkierzyka. Głowę mi, bratku, złożysz w misie cynowej, żeby nam się pawiment nie pochlapał. Ale najpierw pogadamy sobie w cztery oczy. Mamy o czym, panie Błudnicki.

– Dobrze, porachujcie się – powiedział Rosiński. – Tylko nie próbuj uciekać, bo na pal wbijemy – przestrzegwał Tomasza. Nachyliwszy się Witoszyńskiemu do ucha radził: – A tnij po gardle powoli i niezbyt głęboko, niech się najpierw krwią zachłyśnie. Proszę, mości panie Błudnicki. – Otworzywszy drzwi do sieni, zgiął się watażka w pas przed Tomaszem. – Kłaniam waćpanu na ostatnią drogę – rzekł.

Tomasz usłyszał śmiech zgrai, potem trzaśnięcie drzwi – i znalazł się w półmroku sieni. Poczł oddech tamtego i zaraz dotknięcie noża w plecach. Już mu nie umknę.

– Dokąd teraz? – spytał.

– Na prawo – usłyszał. – Do schodów.

Doszli do schodów. Nie umrę, pomyślał, jeszcze nie, coś się stanie, jeszcze muszę żyć. Ostrze noża znowu dotknęło pleców. Był to znak: nie mieć nadziei, poddać się z pokorą.

– W górę? – spytał.

– W górę – odpowiedział tamten. Ma coś do mnie, ale co? I nagle szept gorący owiał mu szyję: – Nie bój się, idź śmiało.

Nie umrę. Znaleźli się w ciemnym korytarzyku nad schodami.

– Odwróć się – usłyszał.

Odwrócił się, zobaczył zarys pociągłej twarzy Witoszyńskiego, błysk zębów i oczu.

– Wskoczysz tędy i na strzechę.

Po tamtej stronie strzechy był stan otwarty, strzelały z niego czerwone odblaski pochodni.

– Obstawione – mruknął Tomasz.

– Prześlizniesz się – szepnął Witoszyński i stanąwszy za nim przeciął mu więzy na rękach.

Nie umrę.

Stali w ciemnościach. Dlaczego to zrobił? – myślał Tomasz, słuchając przyśpieszonego oddechu tamtego. Co w tym ma? Jaki to podstęp? Usłyszał szept:

– Trzaśnij mnie głową w pysk. Ale tak, żeby ze schodów zleciał.

– Prawdziwie?

– Prawdziwie. Żeby znak był. – Witoszyński rzucił nóż na dół. Zadzwoniło i wtedy szept się rozległ: – Teraz...

Uderzył łbem w samą szczękę tamtego, Witoszyński wciąż stał, więc pchnął go rękami w dół, „dobrze” – usłyszał i naraz krzyk: „Jezus Maria! Zdrada!” Huk się rozległ, ciało padało ze schodów i wnet drzwi na dole

skrzypnęły, zamigotało ciepłymi poblaskami, rozległy się tupoty, przekleństwa, wołania. A on już na strzechę karczmy wyskoczył, już ku kalenicy się piał. Nie umrę. – Trzymaj! Łapaj! – wołano z dołu, od podwórza i od sieni. Był bezbronny, bez szabli, króciicy, noża. Naraz błysnęło płomieniem na podwórzu i zaraz huk i świst koło uszu – strzelają do mnie, przemknęła myśl i padł plackiem na strzechę, nad uchem znów gwizdnęło, usłyszał krzyk wystraszonych koni i wrzask: – Łapaj! Trzymaj! – Tędy, mości panowie! – Poddaj się zdrajco! – Na męki weźmiem! – Drabiny, drabiny przystawiaj! – Spojrzał w dół, na podwórze, rozpłomieniło się od pochodni, ludzie biegli jak ogłupiałe mrówki, bili do niego ze strzelb i samopałów. Umrę, pomyślał z nagłą rezygnacją. Mordercy zatriumfują. Na dole leżał na brzuchu Zagwojski, bez koszuli, cały we krwi, obok ze strzelbą klęczał, używszy trupa za podpórkę, jeden z Żurakowskich i mierzył w górę. Co teraz? Skoczyć w dół i na koń? Żurakowskiemu na szyję? Rozglądał się gorączkowo, żeby znaleźć jakieś wyjście, cień ratunku. I nagle zobaczył otwarte okno w wieżyczce. Zbawienie! Podniósł się ze strzechy i trzema susami dopadł do okna. Strzelono, ale on już znajdował się w izbie. Zatrzasnął okno pod wtór przekleństw i krzyków:

– Nie strzelać! Nie strzelać! Zocha tam!

Prawda, Zocha. Watażki siostra! Usłyszał jej zalękniony głos z głębi izby:

– Kto sam?

– Przyjaciel – odmruknął. – Leż waćpanna spokojnie, to ci się krzywda nie stanie.

– A jak wrzask zrobię?

– To zginiemy oboje – powiedział. – Cichaj aścka, chcę posłuchać, co mówią.

Z głosów zrozumiał, że na razie atakować nie zamierzają. Dopóki dziewczyna jest z nim, nie zdecydują się. Żeby tylko świństwa nie zrobiła, nie opuściła izby ukradkiem, kiedy on się zdrzemnie. Trzeba ją przeciągnąć na swoją stronę, pomyślał. Rozamorować czy jak? Gdybyż to talenta pana Ligęzy mieć, co w Mediolanie trzy Viscontiówny naraz miał. Ale tu i Ligęza nie dałby rady, ciemno, okiem nie strzelisz, węża nie podkręcisz, uśmiechem nie oczarujesz.

– Hej! – krzyczano z dołu. – Wyłaż stamtąd, kawalerze!

– Mam czas – mruknął.

– Czego oni tak krzyczą? – spytała dziewczyna z mroku.

– Żebym opuścił izbę.

– A ty nie chcesz?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo wolę być z tobą.

– Jejku – pisnęła. – Ale breszesz. Kto waćpan jest?

– Smok.

– Smok? – zdziwiła się. – Prawdę mówisz?

– Prawdziwy smok. Ogniem zionę.

– Jejku! – krzyknęła Zocha z łoża i naraz roześmiała się. – Breszesz.

– Nie.

– Jak ogniem zioniesz, to chuchnij i kaganiec zapal. – Tomasz nie odpowiedział.

– A co? Myślałeś, że się dam oszukać?

– Nie myślałem. – Głupie dziewczynisko, rany boskie. Powiedział: – Słyszałem, żeś panna rezolutna.

– Od kogo słyszałeś?

– Ludzie mówią. I żeś urodziwa – dodał.

– Tak mówią?

– A jakże. Dlatego tu przyszedł, na własne oczy przekonać się.

– No i co?

– Nic. Ciemno. Ale nie szkodzi, ja po omacku odgadnę.

– Palcami? Prawda – przypomniała coś sobie. – Dziad stryjeczny jak zniewidział, to mnie czasem brał na kolana i po twarzy palcami suwał. A tak przy tym mówił: oj, krasna ty, Zośka, oj nosek jaki, oj usteczka.

– A ty o sobie jak myślisz? – spytał Tomasz nasłuchując tymczasem, co się dzieje na zewnątrz.

Z dołu dochodziły przekleństwa. Rosiński uspokajał. Dziewczyna opowiadała o swojej urodzie: w okolicy ładniejszej nie ma, a dalej to ona nie wie. Ale chyba też mało gdzie znajdzie się urodziwsza. Stryjko mówił. Pan Pamiętowski całkiem głowę stracił...

– Przekonać się chcę – powiedział Tomasz.

– Po omacku?

– Tak.

– No to już.

Dotknął dłonią czoła dziewczyny. Włosy gęste, nieco szorstkie. Spytał: – jakiej barwy włos?

– Wroni – odpowiedziała.

– To lubię. Jak Każko, co? Oj, ale nosek. Oj, te usteczka. A szyjka jaka. A ramionka... Gładziutkie... Smagłe, co? Mocna z ciebie dziewczucha, waćpanno, mogłabyś z kosiarzami w pole iść. – Słyszał szybki oddech dziewczyny. – Tytuszeki, tak, miłe, śliczności tytuszeki, będziesz ty mleko dawać...

– Oj...

– Rozfigłowały ci się – powiedział nagle. – Brzusio – adas... Pępuszek... Miły gaiczek... miły, miły...

– Jejku! – westchnęła dziewczyna.

Tomasz odszedł do okna.

– Czegoś odszedł? – spytała.

– Rozpamiętywać chcę.

– Aha. A po co? – spytała.

– Na doniosły krok mam się ważyć, nie można tak łapu-capu. Pod palcami ślicznaś, moja panno. Ale trzeba, żebyś i ty mnie obejrzała. Może ja naprawdę potwór jaki, nie?

– Ech, nie wierzę. Dłonie mi się twoje spodobały.

Usłyszał kroki jej bosych stóp. I zaraz objęły go z tyłu ciche niewieście ramiona.

– Ty – szepnęła. – Ty, powiedz. Co to za krok doniosły, na który masz się ważyć?

– Żenić się chcę.

– Jejku! – Poczul dotknięcie warg za uchem. – Ze mną?

– Radzili mi starkowie, żeby z tobą.

– A ktoś ty jest?

– Tomasz Błudnicki.

– Jejku! – krzyknęła dziewczyna odskakując. – Wszelki duch! Zgiń, przepadnij! Tfu, tfu! Na pomoc! – wrzasnęła.

Tomasz przypadł do niej i zatkał jej dłonią usta.

– Czego wrzeszczysz? Chcesz nieszczęście sprowadzić?

Ona wybełkotała mu pod dłonią:

– Przecież ty nie żyjesz.

– Żyję, jak widzisz. Uff – westchnął pchnąwszy ją na łóżko. – Siedź tu, głupia, i nie ruszaj się. – Po chwili spytał: – To nic ci braty nie mówiły, żem wrócił?

– Nic.

– Pewnie w ogóle niewiele z tobą rozmawiają.

– To mruki.

– Ja z tobą więcej rozmawiać będę.

– Naprawdę? A kiedy się o mnie pokłonisz?

– Jak stąd wyjdę żywy.

– Zabić cię chcą?

– Coś ich napadło.

– Pamiętowski?

– Dlaczego akurat Pamiętowski?

– Bo pewnie zazdrość mu, żeś do mnie polazł.

Aha, pomyślał, zaraz się różności dowiemy. I powiedział:

– Stanisław chce mnie zabić. A Każko bronić chciał. To go związali. Ty którego brata wolisz?

– Obaj dobrzy.

– Ale mnie sprzyjasz?

– Czy ja wiem. Zręcznieś to ty ze mną tymi rękami... – Westchnęła na samo wspomnienie: – Jejku...

Stał obok okna milcząc. Pochodnie pobladyły w nadciągającej od ulicy szarości. Konie prychały niespokojnie. Między żerdziami płotów przesuwali się ludzie. Czuwają, zrozumiał. Usłyszał głos Zochy:

– Nie legniesz obok mnie?

– Nie trzeba tak, Zosiu – perswadował. – Ja się chcę z pocziwą żenić.

– Gdybyś mnie chciał, tobyś legnął.

– Chcę. Pewno, że chcę. Gorąco mi aż od tej ochoty. Ale czuwać muszę. Bo inaczej nas braty zaskoczą i stracisz narzeczonego.

Zocha trochę pomilczała, potem odezwała się z przekonaniem:

– Nie, cyganisz, ty mnie wcale nie chcesz.

– Gadasz!

- Gdybyś chciał, tobyś zapytał, co za mną maty da.
- A co da?
- Nic ona, zołza, nie da! Skąpa. Przy sobie mnie chce trzymać!
- Ja cię wezmę i bez wszystkiego.
- Nie – powiedziała Zocha. – Brzesiesz ty. – Westchnąwszy dodała: – Takich nie ma.

Szarość zakradła się do izby i rozpełzła po ścianach. Tomasz zbliżył się do łoża, z którego patrzyły nań wąskie ciemne oczy schowane za pełnymi policzkami. Nos był grubawy, ale w ogóle dziewczyna brzydka nie była, wargi miała ładnie wykrojone, pełne, krwiste.

- Nieszpetna jesteś – powiedział kładąc się koło niej.
 - Ja tobym chciała, żeby znowu było ciemno – szepnęła.
 - Dlaczego?
 - Dobrze wtedy było.
 - To przymknij oczy.
 - A ty znowu jak wtedy?
 - Jak wtedy.
- Przymknęła oczy i szepnęła.
- Znowu dobrze. Jejku! – Westchnęła.

Zasnął potem krzepiącym, krótkim snem. Kiedy otworzył oczy, w izbie było widno, rozwieszona na ścianie broń połyskiwała słonecznymi lśnieniami. Zocha wciąż spała, czarny zmierzwiony warkocz oplatał mu szyję, okrągłe ciepłe ramię przyciskało Tomasza do wypukłości piersi. Koncerz, szabla i pałasz husarski, myślał spoglądając na ścianę.

Wezmę pałasz, zdecydował. Uwolnił się od ramienia dziewczyny, wstał z łożka i podszedł do ściany. Pałasz nie gorszy od szabliska zostawionego w szynku. Uporządkowawszy odzież stanął obok okna. Na strzesze leżał

plackiem brygant i patrzył w jego stronę. Tomasz pogroził mu palcem. Tamten mrugnął pogardliwie i zaczął zsuwać się ze strzechy.

Dziewczyna wciąż spała. Ległem z nią *in articulo mortis*, pomyślał nagle. Powinienem zostać rozgrzeszony – ale przez kogo? Urszula? Cóż to ją może obchodzić. Nie myślał o tym. Wyjść stąd cało, pomścić wszystkie bezeceństwa, otoczyć siostrę opieką – oto całe twoje zadanie.

– Tomku – usłyszał nagle głos dziewczyny. – Śniło mi się, żeś uciekł.

– Jestem.

– Co taki sen może znaczyć?

– Że się nie rozstaniemy.

– Nie patrz się teraz...

Tam w dole między koźmi poruszali się sennie ludzie. Słyszał, jak Zosia wyciąga spod łoża naczynie potrzebne, potem strumyk zabrzączał. Niewygoda, pomyślał i spytał:

– A ty czemu tu jesteś z braćmi, w tej karczmie?

– Braty mnie przywieźli na tańce.

Żeby się Lei nie nudziło, domyślił się.

– I jak? – spytał. – Wesoło było?

– Och! – wykrzyknęła. – Do upadu!

Stała obok niego w zapasce i wyszywanym gorseciku na koszuli.

– A tamta tak samo? – spytał.

– Lea? Najpierw smutna była. A potem tak samo. Skoczno grali, jejku!

Tomasz nie odzywał się.

– Nie pocałujesz mnie, panie mężu? – spytała wydymając usta.

Pocałował. Ona naraz roześmiała się.

– Czego się śmiejesz?

– Bo to śmieszna po ciemku się żenić, nie? A dopiero rano patrz, co za kota w worku kupiłaś. Ale ty mi się całkiem widzisz, panie kocie. Żal, że

zasłon w oknie nie ma, tobyśmy sobie znowu legli. Braty nic na wstydlivość pozoru nie mają. Panie Tomku!

– A co?

– A po co ty się jeszcze chowasz? Teraz się już przecież swój. Wyjdę ja i powiem, żeś mój mąż, to ci życie darują.

– Pan Pamiętowski na mnie zawzięty.

– Co ci tam Pamiętowski!

– On zły. Przyjaciela mojego podstępnie zabił.

– Jak Stacho tupnie, to Pamiętowski pod ziemię zapadnie.

– Nie wierzę ja i Stachowi.

– Obaczym. Wyjdę i zakrzyknę, żeby ci dali spokój.

– Nie czyn tego!

– Kiedy mnie się jeść chce...

– Trudno, pocierp ze mną, kiedym twój wybrany.

Ona zerwawszy się podbiegła do okna. Złapał ją, kiedy już do klamki się dobierała. Wykręcił jej rękę.

– Marsz! – rozkazał pchnawszy ją w kąt. – I ani się rusz!

– Ach, to tak? – zasyczała kozica rozjuszona. – To tak się ze mną żenić chcesz?

– Zosiu, ty po mojej czy ich stronie?

– Chcesz się żenić, to po twojej. Krzyknę im, to ustąpią!

– Nie ustąpią. – Terazem się ubrał, pomyślał. Księżdz przyprowadzą, ręce nam stułą zwiążą. Szlachta wyśmieje. Urszula jak robaka zdeptanego potraktuje. Lepsza śmierć. Zaczął perswadować: – Zaczekajmy do wieczora, wymkniemy im się po ciemku. Oboje.

– Nie, cyganisz ty, wcale się ze mną żenić nie chcesz – powiedziała.

– Chcę.

– Breszesz.

Nie odpowiedział. Zmęczyło go to wszystko. Usiadł przy stole popatrując nieufnie to na okno, to na Zochę, która wzięwszy grzebień rogowy z komódki zaczęła rozczesywać długie czarne włosy.

– Czego mi się dziwujesz? – spytała z uśmiechem.

– Boś gładka.

– Cyganisz – powiedziała.

Uplótnszy warkocz podeszła do niego. Znowu się uśmiechnęła i choć głupoty ten uśmiech z jej pyzatylic nie starł, przecież miała Zosia przez chwilę wdzięk i świeżość.

– No, rozchmurz się – powiedziała. – Ja ci cyganowi nie wierzę, ale co tam, mnie się i tak podobasz. Lepszyś niż Pamiętowski, co dobrego słowa nie rzeknie. Nie chcesz mnie brać, to nie bierz, trudno. A zechcesz kiedy ze mną po ciemku się spotkać, to tylko daj znać. Już ja do ciebie, cygana, przylecę. No jak, można żyć z Zochą?

– Można – przyznał. I pocałował pyzată.

Siedziała koło niego nucąc. On, głowę podparłszy dłońmi, rozmyślał. Byle do zmroku dotrzeć. Kiedyś czujność tamtych musi osłabnąć. Albo sami precz ustąpią. Puścił mnie ten Witoszyński – dlaczego? Że krewniak? Stacho powiedział, Bełzecki mord pochwali. Pochwali, pochwali, pochwali, myślał jednostajnie, jakby w nim zegar tykał. Boże, jak mnie sen morzy. Czy można tej Zośce zawierzyć? Skłoniwszy głowę na stół myślał: chwilę tylko tak, jedno mgnienie... Urszula musnęła go wargami, zapytała: a znasz ty słowa niewstydlive? Ty larwo – szepnął. Roześmiała się.

Wyrwał go z drzemki zgrzyt otwieranego okna. Skoczył z krzykiem na równe nogi. – Stój! Stój! – Za późno, Zocha wspinała się już na kalenicę wydzierając się:

– Bierzcie go! Bierzcie go! Głowę mu utnijcie!

Małpa wredna! Porwał pałasz ze stołu i wskoczył na okno. Na dworze krzyk się podniósł, ludzie biegli do drabin.

– Dla mnie on! Dla mnie! – rozróżnił głos Pamiętowskiego.

Zocha stojąc na strzesze palcem wskazywała na okno, jakby bez niej drogi nie znali, podbechtując wrzaskliwie, żeby go brali, cygana, głowę ucięli cyganowi.

– Tam, tam on, łgarz przeklęty! – krzyknęła zobaczywszy Pamiętowskiego. – Do łożnicy dopadł! Czci pozbawił!

– Zamknij gębę – warknął Pamiętowski.

Tymczasem Żurakowski średni i niedźwiedź Nietyksa skoczywszy po strzesze do przodu, dopadli z dwóch stron okna. Głowy, głowy polecą, myślał gorączkowo Tomasz, obracając potężnym pałaszem. Podbił szablę Żurakowskiemu, ten zachwiał się chcąc uchwycić ją w powietrzu, Tomasz kopnął go w podbrzusze i Żurakowski wywinąwszy kozła ześliznął się z dachu. Nietyksa widząc to znieruchomiał z gębą rozdziawioną, Tomasz dźgnął go w udo, niedźwiedź ryknął, uskoczył i pośliznąwszy się zjechał z dachu za tamtym. Po chwili zadudniło tam w dole i wycie się rozległo i wzywanie Jezusa.

Ale już następni po drabinach na dach się wspinali. Jednakże Pamiętowski powstrzymał wszystkich.

– Stać, psie syny! Mój on!

I zbliżywszy się do okna spytał jadowicie:

– Nie wyjdiesz na dach, panie Błudnicki?

– Nie.

– Boisz się?

– Tak. Boście są zbójcy, co z tyłu napadają.

– Broń się! – krzyknął Pamiętowski i machnął szablą.

Tomasz odparował cios i powiedział:

- Odstąp, ujdiesz z życiem.
 - Darujesz mi je, łaskawco?
 - Tak, chociażżeś zdrajca i morderca.
 - Zginiesz.
 - Najpierw ty – odpowiedział Tomasz i cofnął się w głąb izby.
- Pamiętowski zawahał się.
- Chcesz mnie zwabić do pułapki? – spytał nieufnie.
 - Równe szanse w izbie, panie morderco.

Pamiętowski natarł na okno, Tomasz usunął się i morderca Zagwojskiego stracił równowagę. Padając do izby zaczepił o stołek, wywrócił go i runął ciałem na stół, rękami do przodu. Tomasz wzniosł pałasz. Ciął – i krzyk straszny wstrząsnął izbą. Pamiętowski zwałił się na ziemię, a na stole zostały dwie rozczapierzone krwawe dłonie, jedna z nich wciąż jeszcze rękojeść szabli ścisnęła.

Ręce mordercy, pocieszał się Tomasz, przyglądając się dwom krwawiącym ochłapom. Znowu na mdłości się zbierało. Do okna, na powietrze, myślał odchodząc od straszliwego widoku. Wygramolił się na górę. Poddam się, niech zginę. Ale nikt go nie atakował, nikt nie biegł ku niemu po strzesze. Na ziemi leżały porzucone w nieładzie drabiny. Pod ścianą jęczał Nietyksa.

– Panie Tomku! – usłyszał gdzieś z głębi domu znajomy głos. – Panie Tomku, hej!

Wskoczył do izby i otworzył drzwi na korytarz. Stał przed nim uśmiechnięty Ligęza.

– Żyjesz! – zawołał i chwycił Tomasza w ramiona. Uścisnął go i odsunął od siebie, żeby mu się przyjrzeć. – Żyjesz – powtórzył. – Aleśmy pędzili! Małom podków nie pogubił!

– Gdzie oni?

– Uciekli, jak sabatów moich zobaczyli! I twój wybawca z nimi!

– Kto?

– Ten, jak go tam... Jakiś twój krewniak. Myśmy z odsieczą na Teleśnicę pomknęli, szczęściem on nas spotkał i tutaj przywiódł. A to co? – Ligęza odsunął Tomasza i podszedł do stołu, na którym dwie krwawe dłonie leżały.

Przez chwilę spoglądał Tomaszowi na ręce, jakby chciał sprawdzić, czy mu dłoni nie brak. – Czyje? – Pamiętowski leżał u jego stóp rzeżąc. – Twoje to, panie Pamiętowski?

Tamten przymknął oczy. Tomasz powiedział:

– Tymi rękami Zagwojskiego zdradziecko zabił.

Ranny zawył. Ligęza powiedział wstrząśnięty:

– No, no, panie Tomku. No, no. Wolę żebyś urazy żadnej do mnie nie chował. – Tomasz nie odpowiedział. Ligęza nachylił się nad Pamiętowskim i krzyknął mu w samo ucho: – Wart jesteś, żeby cię katu oddać, waćpanie. Ale na razie rany ci przepalimy, *porco di Dio*, i zabindujemy! Wachmistrz!

– *Zum Befehl!* – zakrzyknięto od progu.

– Opatrzyć ранnego!

– *Jawohl, Herr Kommandant!*

Tomasz i Ligęza zeszli na dół do sieni. Karczmarz Froim uchylił drzwi i ujrawszy żywego Tomasza szepnął: „Bogu dzięki, Bogu dzięki”. Od nadworza stali w dwóch rzędach konni sabaci. Było ich ze czterdziestu, mieli błękitno-złote barwy Bełzeckich.

– Panie Ligęzo – odezwał się Tomasz. – Dziękuję ci. Bóg waści natchnął, żeś mi z odsieczą ruszył.

– Nie Bóg – odpowiedział Ligęza. – Prędzej już anioł.

– Czyżby?

– Tak. Panna Urszula.

ROZDZIAŁ XII

Zagwojski leżał na brzuchu, z twarzą w sieczce, lepkiej od wilgotności. Nagie plecy trupa były pocięte, krew na nich zakrzepła, a w karku rana znaczyła się tak głęboko, że aż kręgu szyjnego sięgała. Więc to tak zamordowali go, pomyślał. Słyszał głos Ligęzy, który wydawał rozkazy, porządkował teren – dobrze, że ktoś to na siebie bierze, ja bym nie mógł, myślał osłabiony – Boże, myślał, czy po to do domu wróciłem, żeby i mieczem się nie rozstawać? Biedny Jędrak, niedługo mi służył, nic na mojej lafie nie zyskałeś, bracie, śmierć jeno prędką znalazłeś, co może i nie najgorzej. Jasiek kuchcik, pacholik, co przy swoim panu zdążył już cięgi wziąć i śmierci zajrzeć w oczy, pochlipując wykrztuszał z siebie jakieś przekleństwa. Przez podwórze przeszedł ostrożnym krokiem Froim i stanął obok Tomasza.

– Zginął twój wróg, Froimie – odezwał się Tomasz.

– Dlaczego mój wróg? – spytał z lekką trwogą w głosie karczmarz.

– Pamiętam, że cię za brodę chwycił.

– Wasza wielmożność tego nie mów, bo się zaraz tak czuję, jakbym to ja tej śmierci był winien.

– Miałbyś prawo rzec: „dobrze mu tak”.

– Nie, wasza wielmożność, dlaczego, skąd... To może nie był zły człowiek. Że on Żydka za brodę chwycił, to jeszcze nic nie znaczy, jeszcze przez to on nie był ani zły, ani dobry, jemu tylko nikt nie powiedział, że moja broda jest tak samo ważna jak jego wąsy, nie, nikt mu tego nie powiedział... Precz! – krzyknął nagle spostrzegłszy, że przez uchylone drzwi wyglądają głowy dzieciaków. – Precz! Do izby! Nie ma tu dla was nic do patrzenia!

Pochowali Zagwojskiego w ogródku przycerkiewnym. Pop starzec, mały, łysy biedak z postrzępioną brodą, odśpiewał nad trumną prawosławne modły, a potem, kiedy kopiec mogilny usypali, krzyż wbili weń katolicki, brzozy. Skończywszy z tym, ruszyli w powrotną drogę na północ, ku Kozłowu i Bolatynowi. Troje nowochrzczeńców, jak powiedziano Tomaszowi, już wcześniej osadę opuściło, kierując się na południe, ku koczowisku.

Tomasz, zmordowany przejściami, podróżował w kolebce uwiązanej między dwoma końmi, a pan Ligęza dotrzymywał mu towarzystwa jadąc obok na wierzchowcu. Opowiedział pan Ligęza, że rozmowy Kurdwanosia z lisowczykami doprowadziły do ugody głównie z tego powodu, że wiosna w pełni, nie czas żołnierstwu chleb darmo wybierać, więc otrzymał rotmistrz Pobidziński nakaz, żeby chorągiew bliżej granicy węgierskiej przesunąć. Stanęło na tym, że kosturowcy wrócą do swoich domostw w Sańsku, lisowczyki zaś zajmą ich koczowisko w lasach bukowych.

Tomasz sprowadził rozmowę na swojego rzekomego krewniaka. Witoszyński się nazywa, Witoszą go zowią. Dwa razy życie na szwank wystawił, żeby drugiego Leliwę uratować. Dzielny jakiś człowiek, bitny – a jednak do bandy przystał. Ligęza nie potrafił nic na temat tego człowieka powiedzieć. Nigdy o nim nie słyszał, pewno od niedawna w tych stronach bywa. W półpancerzyku chodzi, co by oznaczało, że był w wojsku, może w jeździe pancernej, jak i Tomasz. Kiedy w pobliże karczmy przybyli z odsieczą, odłączył się od nich Witoszyński i odtąd go nie widzieli. Szukał go Ligęza, ale bez skutku, pewno ze zbójami owymi zbiegł, ale czy nie zauważyli jego czasowej nieobecności, to niewiadoma. Czemu mnie salwował? – zastanawiał się Tomasz.

A ty czemuś po Leę na złamanie szyi skoczył? – odpowiedział sobie pytaniem. Mnie wezwano, nie sposób było się uchylić. On dzielniejszy,

myślał, on bez wezwania...

– Panie Ligęzo – odezwał się. – Nie sądzisz, że winienem panie Urszuli pokłonić się i za ratunek podziękować?

– Chyba winieneś. Ale najpierw masz się ekskuzować, panie Tomku, przede mną.

– Z czego?

– Żeś mnie o pomoc nie prosił. Jakbym był niegodny...

– Prosiłem przecież – powiedział Tomasz.

Ligęza wstrzymał konia.

– Waść sobie kpisz? – spytał.

– Bynajmniej. Prosiłem cię, aleś iść nie chciał.

– Kiedy to było? – pytał nie patrząc na niego Ligęza.

– Wczoraj o brzasku.

– *Porco di Dio!* Cóżem odrzekł?

– „Ja nie ten i szabla nie ta”.

– Wszyscy diabli! Chociaż to prawda, czysta prawda, że nie ten i że nie ta. Ale że też nic nie pamiętam – rozpacział Ligęza. I upewnił się raz jeszcze: – Na pewno ze mnie nie kpisz?

– Na pewno.

Dalej jechali w milczeniu. Tomasz zagłębił się w księdze poezyj Jana Kochanowskiego, a kiedy się rymami już nasycił, ułożył się w kolebce na wznak i poddał kołysaniu. Górą przepływała zielona sieć, przez której oka przebłyskiwało światło, przed nim unosiły się i opadały plecy Jasia. Tomasz zasnął, a kiedy się obudził, znajdowali się już na oblanej czerwienią równinie, słońce świeciło z lewego ramienia – zachodzące.

– Gdzie jesteśmy? – spytał Tomasz rozglądając się.

– Nie poznajesz? Kozłów – odpowiedział Ligęza.

– Waszmościne strony.

– Tak, teraz moje – potwierdził z satysfakcją Ligęza.

Wjechali między grodzone płotami sady. Drzewa w bieli i różowości sunęły jak gromady tanecznic. Moje to kiedyś było, myślał Tomasz, moje wiśnie, jabłonie i trześnie, i ten rząd domostw słomą krytych, i Nastka moją poddanką miała być. Wyzuł mnie z tego Bełzecki, rozmyślał, na zimno donację zawczasu wygotował, żeby mnie i siostrze nie przypadło, a ja, dziwna rzecz, wcale przeciw niemu zawziętości nie czuję. A jeśli czuję, to nie o to, jeno o tę tajemnicę, którą na cmentarzu błudnickim pochowano.

– Stój – rozkazał.

Jasiek wstrzymał konie.

– Pojadę wierzchem – powiedział Tomasz.

Opuszczono kolebkę. Tomasz wygramolił się z niej i przy pomocy Jasia dosiadł konia.

– Jakże tam ręka? – spytał Ligęza.

– Krwawi.

– Zmarnujesz ją wać – mruknął infamis. – Trzeba doma leżeć i wypoczywać, aż się zablizni.

– Tak, tak, z pewnością masz waćpan słuszność – mówił Tomasz rozmyślając o czymś innym. – Waćpan u swojej Jewki zostajesz?

Sunęli stępą między sadami ku zagrodzie Majbów.

– U niej – potwierdził Ligęza.

– Nie boisz się Wasyla?

– Ja miałbym się go bać? – zdumiał się infamis.

– Chłopska siekiera ostra.

Ligęza uśmiechnął się i nic nie odpowiedział.

– Wiem, co waćpan chciałeś rzec – powiedział Tomasz. – „Znosił Wasyl twojego ojca, to zniesie i mnie”. Bodajes się nie mylił. A wiesz waćpan, że Wasyl co niedziela do Sańska łąził?

- I co z tego?
- Że tamtej niedzieli także tam był.
- Której niedzieli? – Ligęza nie od razu powiązał. – Ach – zrozumiał nagle – waćpan o tym... Nie, ja nie myślę, żeby to uczynił Wasyl.
- Masz waćpan pewność, że to nie on? – spytał Tomasz.
- Tak, mam pewność.
- Wstrzymaj konia, jeśli łaska – rzekł Tomasz.
- Wedle rozkazu – Ligęza wstrzymał konia. – Słucham cię, panie Tomku.
- Waćpan mi tu niezmiernie ciekawe rzeczy wyznałeś.
- Jakie to?
- Raz, że masz pewność, że to nie Wasyl zabił ojca mojego. Tedy musisz się domyślać, a może nawet wiedzieć, kto.
- A dwa?
- Dwa, że ojca jednak zabito. A przedtem zaprzeczałeś.
- Nie, źle pamiętasz panie Tomku, nigdy niczemu nie zaprzeczałem. To Łukasz stwierdził, że ojca twojego ogień trawił. A ja tyłem ci jeno powiedział, że każdego jakiś ogień trawi. Nie tak?
- Tak – powiedział Tomasz. Aleś rzekł także, żeś w ogóle nie słyszał, jakoby go zabito, pomyślał. Nie, nie wdawać się teraz z nim w dysputy, zdecydował, podejść go raczej jakoś. Spytał: – Wiesz coś o tym, jak mój ojciec zginął?
- Nic nie wiem. Ani nawet tego, czy w samej rzeczy ktoś mu się przysłużył. – Tomasz milczał. Ligęza uśmiechnął się.
- Widzę, że mnie podejrzewasz z nową siłą, Tomaszku. Żal mi cię, nie ukrywam. Boś się wplątał w trudne dla sumienia twojego terminy. Oto ja, Ligęza infamis, życie ci uratowałem, chyba nawet już po raz wtóry. Wdzięczność mi winieneś, chociaż to prawda, że jeno winieneś, ale może jej zgoła nie żywisz, jako że sam się swoją ręką zabić chciałeś.

– Za dzisiejszą odsiecz wielcem ci wdzięczny – powiedział Tomasz nie patrząc na niego.

– Jednak...! Cóż byś więc uczynił, gdyby się okazało, że to ja, twój wybawca, mordercą jegomości jestem? Nie odpowiadasz. Cóż byś uczynił, he?

– Waćpan lubisz szarady układać.

– A ty od odpowiedzi się uchylać.

– Bo i nie wiem, co bym uczynił...

Jechali stępa. Tomasz pochylił się nad koniem, przytulił głowę do grzywy. Pot zapachniał znajomo. Koń stał się przyjacielem i budził ufność.

– Czemu mnie męczysz? – odezwał się Tomasz. – Nie, nie wierzę, że to ty ojca mojego zamordowałeś! Ale to czuję, że wiesz więcej, nie chcesz powiedzieć. A teraz, skoroś już pułapkę na moje sumienie sklecił, bawisz się myślą, czy nie mógłbyś swoją osobą prawdziwego winowajcy osłonić. Siebie jako mordercę wysuniesz, mnie w rozterkę wtrącisz, i jeszcze rozkosz będziesz czerpać z mojej udręki niby z ucieznego widowiska. Czemu mi się waść tak przyglądasz?

– Bo myślałem, że cię znam, a widzę, że cię nie doceniłem. Tomku drogi, niech mnie spalą na stosie, jeśli widział kiedy szlachcica o tak wydelikacowanym sumieniu jak twoje. Mógłbyś dramy pisać o mękach dusznych i w pierwszych teatrach londyńskich wystawiać. Ładnieś to skomponował, zawile i przemyślnie, ale, *porco di Dio*, nie gniewaj się – kulą w płot. Nie, kochany, to już nazbyt cienka przędza. Jeśli był tam jakiś mord, to zgoła nie tak wymyślny. Chceszli się do niego dobrać, to rozumuj bardziej po prostacku.

A jednak on coś wie, pomyślał Tomasz.

Ligęza powiedział:

– Patrz, kto stoi przed zagrodą Majbów, popatrz jeno. – Zobaczył proste jasne włosy wstążką zieloną przewiązane. Że ją miłuję, pomyślał. Ligęza mówił: – Dam głowę, że wiedziała, iż tędy jechać będziemy.

– Waćpan zbyt łatwo głową szafujesz – powiedział Tomasz i zeskoczył z konia.

Stali potem z Urszulą, przyglądając się sobie bez słowa, podczas gdy Ligęza prowadząc za uzdę konia wszedł do obejścia. Tłusty biały kogut wskoczył na górną żerdź płota i zaniósł się pianiem. Trzeba było przeczekać, aż zamilknie. I wtedy:

– Do nóg padam waćpannie – powiedział cicho Tomasz i pochylił głowę.

– I ja waćpanu. – Uśmiechnęła się do niego inaczej niż zwykle, czulej. Usta miała małe, nieregularne jakby od różowej obrzękłości. Rozchyliwszy je powiedziała: – Do nóg...

– Ręce waćpannie całuję.

– I ja twoje – powiedziała szeptem.

– Dzięki za nadesłaną pomoc.

– Ach, Tomku, czyż nie przyrzekliśmy sobie rok cały zakochanych udawać?

– Prawda, przyrzekliśmy to.

– Ja swoich obowiązków lekce sobie nie ważę. Cóż twoja ręka?

Podał jej lewą dłoń. Zmarszczyła się.

– Nadwerędziłeś?

– Tak.

– Bładyś mocno.

– Mój Boże – westchnął. – Dziw, że żyję. Pan Ligęza przybył w ostatniej chwili.

– Mnie życie zawdzięczasz – powiedziała uśmiechając się.

– Tobie – przyznał poruszony. Ukląkłby teraz i pocałował jej rękę, ale tylko rękę, bo bał się spojrzeń szpiegowskich. – Dobrze, iż cię widzę, moja panno. Tę księgę, którą mi ofiarowałaś, wciąż na popasach czytałem.

– Znalazłeś coś dla siebie?

– Znalazłem. Jak ci się ono zda? „Próżno uciec, próżno się przed miłością schronić.

– Bo jako lotny nie ma pieszego dogonić?”

– Piękne.

– To o mnie napisał. To właśnie chciałem ci ja rzec.

– Powiedz własnymi słowami.

Szepnął:

– Miłuję cię, moja panno.

Urszulka odgarnęła włosy z czoła. Widział, że się zarumieniała.

– Och, Tomku – powiedziała – to ładnie. Ale nie wiem, co ci na to rzec.

– Nic nie mów. Nic zgoła nie trzeba. Czy ja nie wiem, żeśmy nie dla siebie? Ja wszystko to rozumiem i jeszcze więcej, niż domyślać się możesz. Ale pamiętam, że chciałaś wiedzieć jaka jesteś, czy można przez ciebie rozum stracić, więc oto i odpowiedź: tak, można. W głowie mi się od tego miłowania mąci. Strach, jak ginąć nie chciałem. Strach, jak chcę teraz żyć. Żeby cię móc, moja panno, miłować. Żeby czasem na ciebie pojrzeć. Nie, nawet i tego nie żądam. Żeby czasem móc o tobie pomyśleć. O twoim wdzięcznym uśmiechu. Wspominać głos twój, słowa twoje. Tyś mnie, moja panno, przywróciła życiu.

– A tamta? – spytała nieufnie. – Ta krucha?

– Wrócona mężowi.

To ją uspokoiło.

– Tedyś zwycięski? – spytała z uśmiechem.

– Nie, to była klęska.

– Nie rozumiem.

– Lepiej, żebyś nie rozumiała. Od początku do końca klęska. – Gorąco mu się zrobiło na samą myśl, że miałyby jej wczorajsze przypadki opowiedzieć. Lea tanecznica ze sztuką atłasu, darem swojego gwałciciela. Zagwojski wyzywany od trędowatych i podstępnie zamordowany. Jego koszula we krwi. Witoszyński wybawca. I potem on z Zochą w łożu. Żeby wyżyć. Tylko żeby wyżyć. Dwie krwawiące dłonie na stole.

– Zapomnienia mi trzeba, Urszulo – powiedział. – Snu długiego. Napojem jakimś się odurzyć. Tylko zapomnienie może ulgę przynieść.

– Tomku – powiedziała gładząc jego poranioną dłoń. – Co teraz z nami będzie?

– Nie wiem... Chyba za mąż wyjdiesz, księżną zostaniesz i czasem wspomnisz mnie ciepło.

– Nie myślisz ojcu mojemu do nóg paść?

– Nie, to niemożliwa – odpowiedział. A przecież ojciec twój ofiarował mi cię, pomyślał, wcale nie żartem to uczynił.

– Ale czemu niemożliwa?

– Bom jest Błudnicki.

– Nie mów tak!

Objął ją, przytulił jej głowę do swojej, ale zamiast ją pocałować, jak tego oczekiwała, wyszeptał do ucha największą tajemnicę:

– A co, jeśli twój ojciec zabił mojego?

Szarpnąwszy ciałem, wyzwoliła się z jego objęć. Odstąpiła kilka kroków, jakby uznała, że nie może zbyt blisko niego się znajdować. Potem dopiero powiedziała sucho i wyniośle:

– Mój ojciec nie mógł takiej rzeczy uczynić.

Tomasz się nie odzywał.

– Nie, nie mógł – powtórzyła. Ale już bez wyniosłości. Z uporem. Trochę dziecinnym, jakby wcale nie była już pewna swego, tylko poddać się nie chciała. Tomasz zaciął się w milczeniu, ona głos podniosła: – Skąd wiesz, że w ogóle popełniono mord? Głowy w grodzie nie obwiedziono, skargi nie było, trupa nie egzenterowano więc jak? Najpierw rzecz zbadaj, bo może tylko siebie i drugich dręczysz.

– Masz słuszność – powiedział. – Tak uczynię.

– Dobędziesz trupa?

– Tak, dobędę. – Postanowił sobie, że uczyni to niezwłocznie.

– Zrób to. Niech się ta udręka skończy...! Mój ojciec nie mógł tego uczynić.

– Dlaczego?

– Bo to mój ojciec.

Pochyliwszy głowę szepnął:

– Daj Boże, byś się nie myliła. Zagwojskiego mi zabili – powiedział nagle.

– Kogo? – zdziwiła się.

– Prawda, nie znasz go. To ten, który po mnie do Bolatyna przyjechał. Młody żołnierz, który będzie dni dziesięć, jak do mnie na służbę wstąpił. Nie poszczęściło mu się ze mną. A miły był chłopiec i oddany.

– Żal mi go, Tomku, choć go nie znałam. Ale jeszcze więcej mi żal ciebie. Rozumiem teraz zgryzotę twoją.

– Dłonie zbójckie leżały na stole i posoka płynęła. – Kiedy to mówił, przyglądała mu się z przestraczem. – Dłonie, które ja broniąc się obciąłem.

– Chryste Panie! – szepnęła.

– Nie, żebym wyrzuty jakies z tego powodu czuł, to były dłonie mordercy Zagwojskiego i życie moje wchodziło w grę, aut-aut, on lub ja.

Tylko zmęczony jestem tym, że żelazo wciąż w robocie. Jak rzeźnik. Tyle w człowieku krwi, mięsa, kiszek...

– Drugi by się zręcznością chwalił – zauważyła.

– I ja kiedyś gębę miałem pełną samochwalstwa. Ale już z tego wyrósł. Ukarany został morderca, a mnie od tego nie lepiej. Jego krew też była czerwona i lepka...

– Nasz ksiądz by ci na to rzekł: „sprawiedliwe wyroki Boże”. Ale ja wolę zmilczeć. Tomku kochany, wszak gramy dalej, cośmy sobie postanowili?

– Przed ludźmi jesteśmy jak zaręczeni.

– Tedy pocałuj mnie, mój oblubiony, bo na mnie czas.

Po to wyżyłem, myślał całując z przymkniętymi oczyma. Po to, by smakować tych warg. Otworzył oczy i zobaczył jej drżące rzęsy.

– Miłuję cię, moja panno – szepnął.

– Ach, co ty...

– Wierszów mam pełną głowę.

– Ja je we krwi swojej słyszę.

– Bodajby dla ciebie polec.

– Żyj – powiedziała. – Lepiej żyj.

Ligęza, który od pewnego czasu przyglądał im się spoza płotu, spytał z uśmiechem:

– Powiedzieliście sobie wszystko? No to na koń, Urszulko, wrócisz z sabatami do zamku, ja sam zostaję. Wachmistrzu!

– *Zum Befehl* – zawołał wachmistrz podbiegając.

– Głową odpowiadasz za pannę Urszulę!

– *Jawohl, Herr Kommandant!* Za godzinę będziem w Bolatynie!

Nastka przybiegła z czarnooką Natałką pochylić się pannie do kolan. Podziękowała wylewnie za lekarstwa, zapewniła, że pamięta dobrze, co i kiedy dawać. Śpi Myćko, powiedziała i oddech ma równiejszy, a ciało nie

takie gorące. Matko Boska Milatyńska, czuwaj nad panienką... Urszula dosiadła swojej białej klaczy. Kiedy Tomasz sprawdzał popręgi, dziewczyna schyliła się ku niemu z siodła.

– Tomku – powiedziała szeptem. – Nie trzeba im mówić, że są nieszczęśliwi, prawda? Jak im się nie powie, to nie będą wiedzieli... Prawda, że nie będą wiedzieli?

– Nie wiem – odpowiedział. – Jedź do domu, moja panno, i śpij spokojnie. – Dodał znużonym głosem: – Tego wszystkiego i tak nam myślą nie ogarnąć.

Ruszyli sabaci z Urszulą przy zapalonych pochodniach. Dzień dogasał w zagrodzie Majbów. Nastka wydoiwszy krowę zaprosiła obu panów do mlecznej polewki. Wasyl spróbował, powiedział: „*Gut*”, jadł spokojnie, z rozważą, a kiedy skończył i łyżkę oblizał, mruknął: „*Fertig*”.

– Nie byliście dziś w Sańsku, Wasylu – zwrócił się do niego Tomasz.

– A nie.

– Dlaczego?

– Sańsk teraz *nicht gut*. Wojsko tam.

– Wojsko ma odejść.

– Oho.

– Słudzy Boży wróca.

– *Gott gut*.

– Mojego ojca w tym Sańsku zabili.

– Zabili? – Wasyl wytrzeszczył oczy. Chytrysz, pomyślał Tomasz i powiedział:

– Zabili, przecież wiecie o tym.

– A tak, wiem – przypomniał sobie Majba. – Całkiem zabili.

– Wyście wtedy byli w Sańsku.

– Wtedy? Nastka! – zwrócił się do żony. – Czują, szczo pan bałakaje?
Buw ja todi tamka?

– Buw – potwierdziła ona.

– I cóżeś tam robił? – spytał Tomasz.

– Nastka, a szczo ja tam robyw? – zwrócił się do żony przygłup.

– Pismi słuchaw ty – odpowiedziała.

– Pismi słuchaw ja...

– A nie wiesz, Wasylu, kto mojego ojca zabił?

– Zwidki meni znaty? – Majba wstał. – Spać pójdę, jutro mnie do roboty.

– Zanim do chałupy wszedł, zatrzymał się w progu i obrócił się ku nim. –
To twoho batka ubyły? – upewnił się.

– Ubyły – potwierdził Tomasz.

– Oś wono jak – mruknął Wasyl.

I zniknął w izbie. Nie można się od niego nic wywiedzieć, przygłupa chytrego. Nastka sporo jeszcze miała wokół domu roboty.

– A my na siano, panie Tomku – powiedział Ligęza.

Zaprowadził Tomasza i jego pacholika do szopy, gdzie sporo jeszcze znajdowało się przeszłorocznego siana, tak że wspiąć się na nie trzeba było po drabinie. Suche, trzeszczące, kłuło trochę i zapach miało nie tak duszący jak świeże, lżejszy, jakby kto anyżek roztał.

– Gospodarna Nastka – zauważył Tomasz układając się.

– Skarb – potwierdził Ligęza.

Znalazły się skóry owcze, żeby podścielić i osłonić od chłodu, bo przez prześwity między bierwionami wiało świeżością wieczorną. Słowiki rozkłaskały się nad poszyciem, Tomasz słuchał ich namiętnego śpiewu, wtuliwszy głowę w pachnące anyżkiem siano. Zmordowany Jasiek zasnął od razu. Ligęza leżał pogwizdując jakieś pieśni niepolskie, cały pogrążony w swojej italskości, melodyjnej i tęsknej. Ładnie gwizdał, subtelnie tony

cieniując, coraz delikatniej, aż wreszcie przycichł. Spi, stwierdził z podziwem Tomasz. Umiłowana jego tam, w przygłupich ramionach, a on, rycerz włoskich dworów, bezpiecznie sobie śpi. Nie rozumiał tego człowieka. Nigdy bym się na to nie zgodził, pomyślał. I przyszło mu na myśl, że on, Tomasz, w tej rzeczy jest bardziej jak Bełzecki. Tyle że nie kazałby tego Wasyla wychłostać, sam by się usunął.

Skrzypnęły wierzeje. Ktoś wszedł do szopy. Tomasz usłyszał szybki oddech – ona, domyślił się, więc wymknęła się z przygłupiego łóża. Słyszał postękiwanie drabiny. Potem widział Jewkę, jak klęczy nad śpiącym Ligęzą.

– Panie – odezwała się cicho. – Panie, śpicie? Hej, wielmożny panie, obudźcie się. – Ligęza się nie odzywał. – Masz go tu – mruknęła – śpi, zaraza. – Szarpnęła Ligęzą. – Obudźcie się, panie, Wasyl śpi. Obudźcie się, obudź.

Obsypała Ligęzę pocałunkami, aż wreszcie westchnął.

– To ty – szepnął. – Ty – powtórzył, zanim zamilkł w jej ustach.

A potem Tomasz słyszał już tylko splątane oddechy.

ROZDZIAŁ XIII

Pan jest w domu. Wrócił jegomość! Rozniosło się po dworze i zabudowaniach i od razu dworowi zaczęli się tłoczyć pod oknami. Wiedziano już tu co nieco o jego przygodach, opowiadano je sobie, płacząc wydarzenia i ich kolejność, jak zwykle w cudzych powieściach, dziękowano Matce Boskiej, że żyw i choć blady i znużony, ale przecież zdrów. Opłakiwano śmierć Zagwojskiego, który zdążył dać się poznać jako młodzian bitny i czysty. Więc znowu jestem panem, myślał Tomasz zamknąwszy się z siostrą w świetlicy. Ojciec na niego spoglądał z portretu – urodziwy, śmiały i ironiczny, z dłonią na jelcu szabli. Po nim ma tę ciężką rękę. Po nim wszystko, cały ten los niespokojny – tylko owo wydelikaczone sumienie diabli wiedzą po kim. Sam się go dorobiłem w głodzie, chłodzie i poniżeniu.

– Halżko – powiedział. – Trzeba gońca pchnąć z listem do pana Wolskiego, niech tu przybywa z woźnym jak najrychlej. Będziemy ciało ojcowe z mogiły dobywać i egzenterować.

Siostra odpowiedziała ciężkim westchnieniem.

– Znowu jakiś kłopot zamyślasz. I po cóżem cię tak wyglądała? Już czas, panie bracie, żeby w tym domu spokojność zamieszkała.

– Nie zamieszka, póki nie stwierdzimy, co się z ojcem stało.

– Kiedy powiadam ci... – zaczęła siostra, ale Tomasz jej przerwał.

– Nie powiadaj. Raz skłamałaś i zgoła bez potrzeby.

– Nie rozumiem cię – szepnęła.

– Każko ojca nie zabił – powiedział.

Ona milczała, bo przecież nie mogła upierać się przy swoim przekonaniu, skoro zaprzeczyła, iż jakieś zabójstwo w ogóle miało miejsce.

Więc tylko podeszła do okna, machnięciem dłoni nakazała ludziom, co tam wystawali, żeby odeszli precz, i znowu wróciła do brata.

– Wiesz już, kto? – spytała.

– Nie. Alem już blisko. Nie on – powtórzył. – Halżko, nie mogę już teraz kroku dalej stąpnąć, muszę wiedzieć na pewno, czy ojciec swoją śmiercią zmarł. A kiedy mordercę odkryję, to albo go prawu oddam, albo wet za wet, jak synowi należy, krew rozlaną pomszczę.

– Nie można by tego zostawić, jak jest? – oponowała nieśmiało.

– I pozwolić, żeby zbrodniarz uszedł bezkarnie?

– Cóż, niech ujdzie. Sąd Bogu zostawmy, jak nowochrzczieńcy czynią. Ojca naszego już nie wskrzesisz.

– Halżko, nie obawiaj się, nie twój to amorat uczynił.

– Już to raz rzekłeś.

Ktokolwiek uczyni}, może miał słuszne powody, przypomniał sobie. Udać, że zbrodni nie było? To kuszące. Ale niech ci się nie wydaje, że się od dręczącego cię podejrzenia uwolnisz, pośrodku nocy zerwiesz się z łoża, spojrzysz na nią i pomyślisz: córka mordercy. Morderca twojego ojca będzie cię czcił kielichem, wypijesz jego zdrowie i nadstawisz policzek do pocałunku.

– Nie – powiedział zaprzeczając jakiejś myśli. – Muszę wiedzieć.

– Hałas się robi – zauważyła.

– Rozgłosimy, że chcemy zamurować trumnę w podziemiach kościoła. Ojcu się ten honor należy.

Już nie oponowała. Spytał:

– Halżka, a wiesz, kto mnie tam ratował? Nasz krewniak.

– Jaki krewniak? – zdziwiła się.

– Nowy się objawił. Pan Witoszyński. Nie znasz go?

– Nigdy nie słyszała.

- Z Rosińskich watahy.
- Nie słyszałam.
- Każko ci nic nie mówił?
- Nie, nigdy.
- To dziwne – powiedział Tomasz. – Powinien się być takim kompaniem pochwalić.
- Pewnie to łgarstwo.
- On życie naraził, żeby mnie ratować. A wiesz, że i Każko w mojej obronie stanął?
- Co go tak odmieniło? – spytała.
- Pewnie to, że go zapewnił, iż nie będę się waszemu małżeństwu sprzeciwiał.
- Uczyniłeś tak? – zdumiała się.
- Uczyniłem.
- Z chytrłości czy ze szczerego serca?
- Trochę z chytrłości, ale więcej ze szczerego serca. – Zdziwił go brak ożywienia na małej twarzączce siostry, w ciemnych oczach był smutek i rezygnacja. – Zdawało mi się, że ku niemu lgniesz.
- Cóż z tego – mruknęła.
- Powinnaś się cieszyć.
- Przeczytaj to. – Wyciągnęła zza gorseciku ćwiartkę papieru. Od niego, zrozumiał Tomasz.

List pisany był ręką niewprawną, litery duże, nierówne, może także i na skutek zdenerwowania. Nie chciał się uczyć, przypomniał sobie Tomasz, a i maty, choć sroga, na to nic nalegała. Przeczytał:

Moja mościa panno, dobrodziejko umiłowana. Nie traci nadziei, że Pan Jezus dozwoli mi szczęścia, byś Panią moją była, o co Go usilnie prosić będę nóżki trzy razy na dzień ściskając. Ale

noc całą rozmyślawszy bez zmrużenia oka, doszedłem do tego, żem Ciebie, dobrodusko moja najśłodsza, mało godny taki, jaki teraz jestem, i na obmowisko a po twarde Cif wystawię, czego chcę Ci, Halźbieto najśliczniejsza moja, oszczędzić. Nie ma dla mnie do Ciebie innej drogi, jeno reputację swoją odmienić, na sławę zarobić i w tym celu pojedę w te strony, gdzie plamy mojej nie znaję, na północ, do Radziwiłłów i Sapiehów, tam do litewskiego wojska zaciągnę się, a da Pan Jezus wojnę, to wrócę ze stopniem oficerskim, zasługami wobec Króla Jegomości i łupem niemałym. A przyjdzie polec, to Ty, panno Halźbieto, czasem wspomnij i na mszę za duszę moją daj, choćbyś i natenczas innego małżonką była. Ale czekaj mnie, przez rany Chrystusa, dwa lata czekaj, a jeśli do onego czasu nie wrócę, uczynisz co zechcesz i co Bóg da. A kończąc ten list pobłazania proszę i z praw kochania korzystam, by usteczka Twoje najśłodsze tysiącem pocałunków obsypać.

Waszej wielmożności unizony sługa Kosiński Kaźmierz

Tomasz zwrócił siostrze list.

– Godny kawaler – powiedział.

– Chwalisz go?

– Tak. Mądrze uczynił. Bo musisz zrozumieć, że nie tylko od ciebie uszedł, ale i od brata zbója, i od matki watażycy.

– Dwa lata – westchnęła.

– Trudno, lepiej odczekać. Ma on rację, że obmowiska byś nie uszła. Zjadłyby was złe języki. Muszą ludzie trochę zapomnieć, ostygnąć.

– Dwa lata – powtórzyła.

Po tej rozmowie Elźbieta wróciła pokrzepiona do swoich gospodarskich zajęć, a Tomasz wpuścił do świetlicy panią starą z jej siostrzeńcem, a

swoim de iure bratem, choć tamten tego nie przyznawał. Jednakże Gedeon tym razem nie był taki naburmuszony jak poprzednio, wypytywał o ranę, zainteresował się przygodą w łopieńskiej karczmie, nawet żal wyraził, że go tam nie było, pewnie by się przy nim Rosińscy na takie zuchwałości nie wazyli. Pani Wiktoria okleiła Tomaszowi ranę plastrami, potem przewięzała bindą.

– Nie szarp się teraz, wasza wielmożność – przestrzegła. – I nie skacz tam, gdzie nieprzyjaciół kupa, a ty jeden. A skoro już znalazłeś się w terminach, to należało się moim imieniem osłonić.

– Czemu waćpaninym akurat? – spytał Tomasz. Pani Powidajowa wydała mu się starsza niż cztery dni temu. Podbródka jakby przybyło i wokół oczu zmarszczki się pojawiły. Czy dlatego, że dzień jasny? – pomyślał.

Ona mówiła z urazą w głosie:

– Więcżeś zapomniał. A kto na króla protekcję w całym naszym powiecie najsnadziej rachować może? Rzekłbyś im tylko trzy słowa: „Powidajowa mnie pomści” – i zadrzeliby rozbójniki.

Tomasz uśmiechnął się.

– Waćpani nieostrożna jesteś.

– Czego mam się obawiać? Wojewoda ruski o taniec mnie błagał! A co do księcia kasztelana... Powiem ci, panie Tomku, to nie mężczyzna, lecz pająk! Niezmordowany w miłosnych zapałach, Bodaj ci język usechł, powiedział do niej w myśli Tomasz, a na głos:

– Znałem rękodzielnika zacnego, co miał tę niewinną słabość, że się złotem swoim przechwalał. Tak o swoich beczkach ze skarbami rozprawiał, aż go własny sąsiad śpiącego zarznął.

– I co? – spytała Powidajowa podniecona. – Zabrał skarby?

– Ano nie. Beczka jakaś była, ale z kapustą.

– Ja o skarbach nie rozpowiadam! – zachnęła się ochmistrzyni.

– Skarby tylko dla przypowieści przytoczyłem. Ale za język długi i tak waćpani zapłacić możesz. Ot, na przykład, zausznicką królewską się przedstawiasz, a w naszej ziemi stronnictwo rokoszan siła ma zwolenników. Niech się znowu ruchawka uczyni, nie będą patrzeć łcesz czy nie łcesz – pierwsza na gałąź pójdziesz.

– Straszysz – broniła się pani Wiktoria, ale przecież zbladła.

– Albo praktykami magicznymi swoimi się chełpisz. Dobrze, pan Wolski światły człowiek, Bełzecki też byle czemu ucha nie daje. Ale niech się uda jezuitom przekonać króla, że czarownice ścigać trzeba, o co się oni starają, niech im da wolną rękę, kogo pierwszego do lochu wrzuca? Ciebie. I stosik zapala.

– Straszysz, straszysz.

– Dziś to strachy, a jutro prawda. Ty bliżej rdzenia, mościa pani, krąż, bo się od twoich fantazji łatwo w głowie mąci. Potrzeba ci tego, żebym się, poduszczony przez ciebie, na jaki błędny krok rezolwował? A potem jak się będę tłumaczył: że pani Wiktoria fałsz wymyśliła? A ja już bez głowy wtedy. Bliżej prawdy, mościa pani.

– Prawda nieciekawa.

– Żaden pajak ten twój książę kasztelan, jeno staruch lubieżny, a niemocny.

– Co ty tak na niego? – zdziwiła się.

– Chciałby on, niby drugi król Dawid, cudzą młodością krew zastygłą ożywić. Ale u nas tu nie ma czego szukać. Są młódki wśród ladacznic na krakowskim rynku, tam niech szuka!

– To prawda, że książę przez pana Koniępczolskiego starostę o pannę chorążankę się pokłonił? – spytała.

– Prawda. I kosza dostał.

– A tyś się w niej zadurzył, tak?

– Prawdziwie wiedźma z ciebie – rzekł Tomasz.

– Ja widzenie miałam. I głos słyszałam...

– Pst, zamilcz, bo skończysz na stosie – przestrzegł Tomasz.

Gedeon spytał nieśmiało:

– Wasza wielmożność nie wybrałbyś się jutro ze mną na cietrzewie?

Tylko trzeba poranić...

– Nie, Gedeonie, inne mam sprawy. Ale ci dziękuję. – Spojrzał ciepło na chłopca. Kiedy jednak położył mu dłoń na ramieniu, a tamten po swojemu uciekł gdzieś wzrokiem w bok, uderzyła Tomasza pewna myśl. Spytał: – Często wstajesz tak rano?

– Zawsze – odpowiedział chłopiec z dumą.

– Tak, zawsze – powtórzył Tomasz. – Jak prawdziwy myśliwy. Byłeś z moim ojcem ostatniego dnia w Sańsku, prawda?

– Ja? – Chłopiec chrząknięciem oczyścił krtań. – Tak, byłem.

– Skąd się tam wziąłeś?

– Jegomość mnie zabrał ze sobą.

– Na cóżeś mu się zdał?

– Nie wiem. Pewnie do życia chciał mnie sposobić.

– Jako swojego dziedzica, tak?

– Myślę, że tak.

– Nieboszczyk jegomość cię lubił?

– Nie wiem, jak naprawdę było. Ale wyglądało, że lubił.

– A dlaczego? Przecież nawet nie był jego synem.

– Nie wiem.

– Może ci się za twoje uczucie odpłacał?

– Jakie uczucie? – zdziwił się chłopak.

– Może go kochałeś? – spytał Tomasz zaczepnie.

– Nie – odpowiedział Gedeon. Ten przynajmniej prawdy nie ukrywał.

Ale otwartość kosztowała go sporo, czoło miał zroszone potem.

– Służyłeś mu gorliwie? Pochlebiałeś mu?

– Nie.

– Wykazywałeś się czymś osobliwym?

– Nie.

– Czemu więc cię wyróżniał?

– Daj spokój chłopcu! – zawołała pani Wiktorcia.

– Gedeonie, ciotuchna każe ci dać spokój. Ale ja ci chcę po prostu zadać kilka pytań. Nie masz nic przeciwko temu?

– Nie. Pytaj waszmość.

– Czemu cię wyróżniał? – spytał raz jeszcze Tomasz.

– Nie wiem.

– Nie zamyślałeś się nad tym nigdy?

– Nad tym? Nie, nigdy.

– Boś hodował w sercu swoim urazę. Oddalałeś wszystko z duszy, co ci tę urazę nadwątlało. Nie lubisz rozmyślać, Gedeonie.

– Waćpan nie możesz wiedzieć, co ja lubię, a czego nie.

– To prawda, nie mogę. Ale wiem, że myślenie, jak każda umiejętność, wymaga ćwiczenia – mówił Tomasz. – Rękę przecież ćwiczysz, oko ćwiczysz, bo wiesz, że to trzeba. Z umysłem tak samo. A ty nawet czasu nie masz, cały dzień Boży na koniu się uganijając.

– Waćpan to samo czyniłeś!

– Prawda i to. Ale potem, kiedy w obozie Maryny byłem, w oblężeniu, w tiurmie, czas stracony odrobiłem.

– To jak waćpan sądzisz dlaczego jegomość mnie wyróżniał? – spytał schropowaciałym głosem Gedeon.

Tomasz odpowiedział:

– Przez pamięć matki twojej, którą miłował całym sercem.

– Nie, on jej nie miłował! – krzyknął Gedeon purpurowiejąc. – Zdradzał ją! Do Wasylichy chodził! Na noc tam zostawał!

– Oszalał dla tamtej dziewczki – mruknął Tomasz. – Oszalał, zdarza się. Ma w sobie coś ta dziewczka, że panowie dla niej głowę tracą.

– Nie ona jedna takie coś ma – wtrąciła ochmistrzyni.

Tomasz zwrócił się do Gedeona:

– Ale tak mniemam, że ze śmiercią matki twojej tamto pożądanie osłabło. I wróciła miłość do zmarłej małżonki. Bo kochał ją niegdyś prawdziwie, pamiętam. – Szept i oddechy w chłodniczku, pałac, pałac, pałac ci wybuduję. Ogień go trawił, przypomniał sobie. Jaki ogień? Czy nie zgryzota po śmierci Eufrozyny? – Więc wróciła ta miłość – mówił – i żal i rosły one coraz bardziej. Ku tobie ten afekt się obrócił, chłopcze.

Gedeon otarł pot z czoła. Westchnął ciężko i głośno jak stara kobieta, a potem spytał:

– Mogę odejść?

– Jeszcze słóweczko.

– Słucham.

– Co robiłeś w Sańsku w chwili, kiedy Toroszewicz stwierdził, że ojca nie ma?

– Spałem – odpowiedział Gedeon.

Był niespokojny, nie umiał tego ukryć.

– Słońce było już całkiem wysoko – przypomniał Tomasz. – A ty spałeś?

– Tak.

– A przecieżeś mówił, że zawsze wstajesz o brzasku.

– Tym razem byłem niewyspany.

– Wychodziłeś w nocy? – domyślił się Tomasz.

Gedeon odpowiedział, choć nie od razu:

– Tak, wychodziłem.

Boże, czyżbym nieoczekiwanie trafił na ślad?

– Wychodziłeś – powtórzył Tomasz. – Dobrze, porozmawiamy jeszcze o tym. Kiedy wróciłeś?

– Jeszcze było ciemno.

– Ojciec był w zajeździe?

– Nie wiem. Nie rozglądałem się. Wśliznąłem się do izby i położyłem na ławie.

– A możesz mi powiedzieć, dokąd i po co wychodziłeś?

Chłopak zawahał się.

– Gedeonie, ojciec mój w tym czasie stracił życie – przypomniał Tomasz.

– I ty jego podejrzewasz! – krzyknęła pani Wiktoria oburzona. – Sierotę! Sumienia nie masz!

– Nikogo jeszcze nie podejrzewam – powiedział Tomasz. – Trzeba rzecz wyświecić, i tyle. Odpowiesz mi, Gedeonie?

– Tak – Gedeon uśmiechnął się do jakichś swoich myśli. – Bo tam jedna dziewczka była, ryza taka, kosturówka.

– Lea?

– Lea – potwierdził Gedeon. – Waćpan tyle wiesz! – podziwiał. – No, tośmy się z nią zmówili. Ona hyc z domu przez okno i do ogrodu. I żeśmy trochę czasu w ciemnościach się obściskiwali. Potem katary miałem, bo zimno dokuczało. To chyba wszystko – zakończył z uśmiechem, jakby przeproszał, że nic więcej do powiedzenia nie miał.

– Wszystko – potwierdził Tomasz. Napięcie zelzało. To była Lea, od razu się domyśliłem, dziwne. – Dziękuję ci, Gedeonie, za to wyznanie. Przyślijcie mi teraz Toroszewicza.

Kiedy zarządca przyszedł, Tomasz przez chwilę przypatrywał mu się bez słowa.

– Bardzo jesteś podobny do swojego brata, panie Ałmazy – powiedział wreszcie. Toroszewicz popatrzył nań niespokojnie.

– Wielmożny pan raczyłeś zauważyć – bąknął. – Co rozkażesz?

– Słyszałeś o jakiś podolskich majątnościach mojego ojca, panie Ałmazy?

– Niewiele, jegomość sam się nimi zajmował.

– Ja, jego syn, nie słyszałem o żadnych takich majątnościach.

– Widocznie nabył je po odjeździe waszej miłości – powiedział Toroszewicz.

– I co się z nimi stało?

– Jegomość je sprzedał.

– Czy są na to jakieś kwity?

– Nie, kwitów żadnych nie widziałem.

Tomasz uderzył dłonią w stół.

– Więc były majątności i nie ma ich! – wykrzyknął z pasją. – Nie myśl, że mi idzie o grosz! Nie, dalibóg! Na mój chleb dosyć mi i tego kawałka ziemi! Ale przecież jakiś ślad powinien zostać. Wystawia się kwity, skrypty, pergaminy...

Toroszewicz milczał uparcie. Tomasz spytał:

– A komu te majątności sprzedał, wiesz?

– Tak, wiem. Jaśnie wielmożnym Mniszchom.

– Samym Mniszchom! Aż tak wysoko...!

– Wasza miłość, ja suponuję... Wasza miłość się nie obrazisz?

– Mów śmieie.

– Wasza miłość, kiedy prawa do majątności nie są zbyt pewne, pożytecznie jest ustąpić je magnatowi, z nim już nikt nie wygra.

– Ustąpić trzeba tracąc na tym, he?

– Na pewno. Ale lepszy wróbel w garści...

– Toroszewicz, waćpan coś ukrywasz!

– Uchowaj Boże.

– Waćpan wiesz coś więcej o tej majątności? Jak ojciec do niej doszedł?

Co to było? Kaduk? Komuś wydarte? Zbrodnia jakaś?

Toroszewicz wymamrotał:

– Ja nic nie wiem.

– Trudno, skoro nie chcesz mówić... Każ przygotować konie do drogi, trzeba odesłać je panu Dydyńskiemu.

– Słucham waszmości.

– Przyślij do mnie pana Świrskiego.

– Czeka niecierpliwie w sieni. To wszystko, wasza miłość? – spytał Toroszewicz.

– Nie. Dawno nie widziałeś brata, panie Ałmazy?

– Cztery niedziele.

– A chciałbyś go zobaczyć?

– Wasza miłość życzy mu coś przekazać?

– Nic osobliwego. Ile dni zajęłoby ci spakowanie twoich tobołków?

Toroszewicz lekko przybladł.

– Dwie godziny, wasza miłość – odpowiedział drżącym głosem.

– Daję ci trzy – powiedział Tomasz. – Za trzy godziny opuścisz mój dom. Na zawsze – dodał.

– Słucham waszej wielmożności – wybąkał Toroszewicz i ukłoniwszy się wyszedł.

Pozbyłem się szpiega. Nie mógł się jednak pozbyć uczucia niesmaku. To jest świat bez miłosierdzia, przypomniał sobie starego Ginwiłła. I ja w nim jestem nie inny. Świat brutalny. Ale czuł, że coraz mocniej łaknie czegoś innego. Miał rację Ligęza twierdząc, że się wydelikacił. Brutalność go

przerażała, budziła zgrozę, chęć ucieczki, poddania się – ale nie, nie było ucieczki, rzucał się do walki i na okrucieństwo odpowiadał okrucieństwem.

Świrski wtoczył się, wołając już od progu.

– Witaj, witaj i pomagaj ci Bóg, cherubinów kapitanie! – Pochylił się Tomaszowi do kolan. – Nóżeta ściskam waszej miłości! Słyszeliśmy o terminach, w jakich się znalazłeś. Cud, że żyjesz, cud. A sameś sobie winien, żeś omal głowy nie położył! Lekkomyślność twoja taka, że długo podobnej szukać! No, aleś z nami! Bóg strzegł! I księżulko cię wygląda, bo jest pewien, że na mszę dziękczynną nie poskąpisz!

– A tyś pewnie się już cieszył, że będziesz mógł po jeszcze jednym Błudnickim I wystąpić o otarcie łez.

– Krzywdzisz mnie, hetmanie. Cóż ja wartam bez ciebie? Opamiętaj się, kochany.

– Ja i w ten pierwszy plastr niedużo wierzę, a jeśli wciąż chcę mordercę znaleźć, to nie dla korzyści, jeno z niskiej zawziętości, która się we mnie, biję się w pierś, obudziła. Nadzieję żywię, że mnie tak czy owak nie przepędzisz, pozwolisz mi służyć sobie, a możesz być pewny mojej wierności, zawszem przecież twój krewniak.

– A wiesz, że ja u Rosińskich jeszcze jednego krewniaka odkryłem?

– U Rosińskich? Zbójcom służy?

– Zbójcom.

– Prawa krew Błudnickich – powiedział wesoło pan Świrski.

– On nie Błudnicki. Witoszyński.

– Witoszyński – powtórzył Świrski. Szukał w pamięci. – Nie znam takiego – stwierdził. – Nie podszywa się?

– Życie swoje na hazard wystawił, żeby mnie ocalić.

– Witoszyński – powtórzył raz jeszcze Świrski. – Przepytam się w grodzie.

– Przepędziłem Toroszewicza – oznajmił Tomasz.

– I dobrze uczynił! – zawołał Świrski. – Niepotrzebny on tutaj, kiedy ja ci służę.

– Pan Bełzecki go tu wsadził po to, żeby o każdym kroku ojca donosił.

(I moim, pomyślał. Od chwili przyjazdu na ziemię bolatyńską czuł na sobie oczy czujne. Uprzedzeni zostali).

– Zdrajca Ormianin – złorzeczył Świrski. – Zdrajca. Trzeba się ich strzec, panie Tomaszu. Wiesz, co o nich powiadają? Że państwo tajne w naszej Rzeczypospolitej utrzymują! Zmawiają się między sobą i działają nam Lechitom na szkodę, a sobie na pożytek. Z Turkami w zмовie...

– Przestań waść! – krzyknął Tomasz.

Świrski umilkł. Tomasz wzburzony krążył po świedicy. Zatrzymał się przed krągłolicym krewniakiem, który wabąsuszył nań z głębi policzków nie pojmujące ślepie.

– Powiadają! – parsknął Tomasz. Włożył w to słowo tyle wzgardy, ile tylko mógł. – Mało czego ludzie nie powiadają! Ciemnota i złość brednie wymyśla, a waćpan je powtarzasz! Wstyd! Zapamiętaj sobie: chcesz u mnie chleb mieć, będziesz go miał, namaszczony nie tłuściej i nie chudziej od mojego, ale pod warunkiem, że obywatele tej Rzeczypospolitej językiem ani uczynkiem poniżać nie będziesz. Żadnych „powiadają!”

– Tak jest, hetmanie – rzekł Świrski nieoczekiwanie pogodnie. – Dla mnie to nic trudnego. Sam mam kilku przyjaciół Ormian i zawsze chętnie z nimi interesa prowadziłem.

– Zgoda, że niepiękne wziął na siebie zadanie pan Toroszewicz – powiedział już o wiele spokojniej Tomasz. – Ale czy koniecznie dlatego, że jest zdrajcą? Może uczynił to od nadmiaru wierności? Ale wierny jest nie mnie, jeno Bełzeckim. Ot, i masz materię do filozoficznych rozmyślań: jak to nadmiar wierności wobec jednych prowadzi do zdrady wobec innych.

– Sokrates z ciebie, atamanie – powiedział Świrski kłaniając się.

– Nie wolno brać na siebie posług, które godność osobistą ponizają; to *principium* winno miarę wyznaczać.

Świrski, słuchając tego, nalał miodu do szklanicy. Wypiwszy spytał:

– Co mam czynić, jeśli mi, mój panie, każesz taką posługę wykonać?

– Odmówić.

– Nie, kapitanie, tego się u mnie nie doczekasz! – zawołał krewniak. Głos miał teraz nadmiernie hałaśliwy. – Dla ciebie gotów jestem kłamać, zdradzać, szpiegować! Tylko krwi niewinnej nie rozleję, bom jest mdłego ducha! Ale tylko dlatego! A wszystko inne – żądaj jeno!

– Panie Świrski – przerwał mu Tomasz. – Miałeś *scrutinium* na swoją rękę prowadzić. Czyś się dowiedział czegoś nowego?

– Czym się dowiedział? Zaraz... – Szlachcic podszedł do drzwi i uchylił je.

– Wejdźcie, dziadku – powiedział komuś w sieni.

Wszedł dziad z teorbaniem na piersi. Był niski, krępy, brodę miał długą, jasną, siwiejącą, a kiedy zdjął z głowy barankową kuczmę, ukazał czaszkę łysą jak tonsura zakonna. Nos w twarzy sterczał krótki, gruby i fioletowy. Pan Świrski szturchnął dziada i ten odezwał się:

– Do nóg padam miłościwemu panu. Niech ci Bóg pomaga.

– Ktoś jest? – spytał Tomasz.

– Telesfor dziad.

– Skąd jesteś?

– Z dalekich stron. Z dalekich – powtórzył nadając temu słowu śpiewność, która miała zastąpić ścisłą odpowiedź.

– Nie kniaź przebrany? – spytał Tomasz.

Dziad Telesfor tylko usta otworzył. Świrski zaczął opowiadać:

– Znalazłem go w Lesku na jarmarku. Stałem między motłochem słuchając śpiewu, a skrzypi on bez miłosierdzia, no ale myślę: ciekawa piosneczka, trzeba panu Tomaszowi dać możliwość usłyszeć. Nie chciał za mną iść ani za pieniądze. Chciałeś, dziadku?

– Nie chciałem – potwierdził dziad Telesfor.

– Ja, powiada, po dworach nie śpiewam; ja na jarmarkach dziaduję. Tom mu z lekka przygroził. Tak czy nie?

– Przygroziłeś, panie – potwierdził dziad.

– Mam ci ja z nim, kapitanie, siła utrapień. Najpierw krzyk podniósł, kiedy go we dworze do łaźni prowadzono. Potem, kiedy szmatki miał zmienić. Musi on tam mieć dukaty zaszyte, bo się bronił rękami-nogami.

– Oj, łzesz, panie – odezwał się dziad.

– I uciekać dwakroć chciał – opowiadał Świrski. – No, dziadu, nareszcie koniec twoich męk, wielka twoja godzina nastąpiła, będziesz miał słuchacza wdzięcznego. Śpiewaj.

– O czym?

– Wiesz przecież, o czym. – Świrski klepnął dziada po plecach. – Coś na leskim jarmarku wyśpiewywał.

– O tym, jak hołota pana Saływona zabili? – pytał dziad Telesfor.

– Nie, nie o tym.

– O malarzu, co babom stare zadki na młode przemalowywał?

– Nie, nie. Tamto śpiewaj.

– Aha, tamto – domyślił się nareszcie dziad. – To dajcie gardło przepłukać, wielmożny panie.

Świrski nalał mu miodu.

– Pij – powiedział – ale nie za dużo. Bo wiesz, atamanie, jak on się upije, to język mu kołowacieje i słów nie można zrozumieć.

– Znowu łzesz, wielmożny panie – powiedział surowo dziad i obtarł usta. Siadłszy na ławie z teorbanem na kolanach, uderzył w struny. I od razu przeniósł się Tomasz myślą do tych czasów, kiedy bywał na jarmarkach. Rwetes, kwik, rzenie, dziad ślepy siedzi na zydelku i struny trąca, i pieśń śpiewa, a on w tłumie gapiów stoi, słucha z gębą rozdziawioną, policzki mu pałają, oddech ma przyśpieszony i zaklina w duchu: jeszcze, jeszcze, niech się pieśń nigdy nie skończy, niech po niej zacznie się druga, trzecia.

Oj, nie skąpcie dymki i grosza nie skąpcie, dziad pieśń zaśpiewa o zbrodni tajemnej. Dużo pieśni skowytnych o zdradzie ułożono, ale takiej nie znają i najstarsi ludzie. Oj, nasępiły się chmury czarne nad naszymi głowami, oj, płaczą teorbany w całej okolicy. Oj, był pan srogi i pyszny w sanockim powiecie, a znaleźli jego w błocku, z głową rozbitą.

Tomasz zataił oddech. Więc o tym. Więc jednak. Zaraz to usłyszę, zaraz mi zbrodniarza wyjawi.

Oj, nie skąpcie dymki i grosza nie skąpcie, kiedy dziad wam pieśń śpiewa o zbrodni tajemnej. Oj, znaleźli jego w błocku, z głową rozbitą, sto kamieni w głowie tkwiło, a w plecach nóż jeden.

Ale kto? kto to uczynił – niecierpliwił się Tomasz. Sto kamieni w głowie tkwiło, a w plecach nóż jeden, a jak do tego przyszło, pieśń niech wam opowie.

– Nalej mi – powiedział ochrypłym głosem Tomasz.

Świrski przyskoczył.

– Pij, atamanie – szepnął. – Na zdrowie. Dobre znalezisko, co?

Tomasz wypił.

– Śpiewaj! – rozkazał dziadowi.

Tłum napiera. Dziad śpiewa. Policzki pałają. Goreję z niecierpliwości. Oj, nie skąpcie dymki i grosza nie skąpcie... Tato, tato, rzućcie mu grosz. O czymże on śpiewa?

O zbrodni? Nie, o przyjaźni.

Pokochali się oni dwa w tureckiej niewoli i nie znali sobie bliższych, gdy do dom wrócili. Nie masz ziemi, mój druhu, ani kmieci własnych, rządźże u mnie, przyjacielu, jak na swoim własnym. Dam ci lasy, dam ci stawy i skrzynię z pieniędzmi, a ty pilnuj, druhu wierny, by nie było nędzy. Oj, pilnował ten druhi wierny i na wszystko baczył, lecz dukatów przybywało nie do pańskiej skrzyni. W Bolatynie karty, kości, daj dukaty, druhu; bierz dukaty, bierz talary, jeno podpisz skrypty. Nie minęło i lat pięciu, a pan którejś nocy: „pokaż skrypty, wierny druhu”, rzecze do kompana. W Bolatynie czarne chmury, wielka złość na zamku, stracił mienie pan Bełzecki, druhi mu wierny zabrał. Oj, nie pisał pan Bełzecki, ani słowa złego, jeno posłał do Italii po groźnego zbójcę. Oj, przyjechał groźny zbójca, infamis piekielny, szablą błysnął, okiem błysnął i wysłuchał pana. „Infamisie z piekła rodem”, rzecze pan Bełzecki, „bądź ty ze mną, bądź ty przy mnie, bo się druha boję. Zabrał druhi mnie majątności, zdradą mi je wydarł, mogę zmilczeć, lecz on równie życie wydrzeć może”. W Bolatynie chytróść mieszka, lis tam orła wezwał, razem knują, zemstę marzą w sposobniejszej porze. W Bolatynie pan Bełzecki rzecze tak do orła: „Infamisie z piekła rodem, słuchaj, co ci powiem. Tam za rzeczką, pod jabłonią dziewczka kądziel przedzie, idź tam, chłopcze urodziwy, okiem swoim wyśnij. Dziewka gładka, dziewczka harna, druhi mój ją miłuje; gdy ty w sobie ją rozkochasz, druhi mój z żalu zemrze. Albo wyzwie cię na rękę, ty go mieczem trafisz, głowę zetniesz, mnie pokażesz, ja z żalu zapłacę. Oj, zapłacę z żalu, druhi, nad naszą przyjaźnią, oj zagarnę moje sioła i dziewczkę znad rzeczki”. Krąży orzeł nad wzgórzem, szedł infamis do rzeczki, orzeł przysiadł na chmurze, a infamis u rzeczki. Jak potoczył spojrzeniem, ona dziewczka pobladała, a jak błysnął zębami, ona dziewczka struchlała. „Odejdź”, rzecze nieszczęsna, „bo ja twoja nie będę, inny ze

mną dziś lega, co mi panem i mężem. On mi panem i mężem, on krosnami obdarzył, w Bolatynie na zamku druha swego tam ma”.

Krąży orzeł nad wzgórzem, zgrzytnął zębem infamis: będziesz moja, prząśniczko, choćbym głowę dać miał. Oj, nie skąpcie mi dymki i grosza nie skąpcie, dziad zaśpiewa pieśniczkę o zdradzie i zbrodni. Jedzie poczet, jedzie, jedzie konny-zbrojny, infamis na przedzie smutny, zamyślony. Krąży orzeł, krąży, nad zbrojną watahą, szczęśliwy kochanku, nie wiesz, co cię czeka. Jedziesz sobie, jedziesz, infamis u boku, a sęp w górze krąży wypatrując trupa. Nie śpi pan Bełzecki w bolatyńskim zamku, czeka, aż druh wierny umrze śmiercią nagłą. Wypatruje z okna, wypatruje z wieży, czy od infamisa goniec z wieścią bieży. Był druh dumny, śmiały, oj, był urodziwy, znaleziono go na błocku zgoła nieżywego. Sto kamieni w twarzy tkwiło, jeden kindżał w plecach, oj, zapłakał pan Bełzecki po stracie tak ciężkiej. Zapłakała dziewczka-prządka: czyja teraz będę? Zasepiony szedł infamis do swojego pana. Jam nie widział, jam nie słyszał, jeno pieśń powtarzam, nie żałujcie, ludzie, grosza dla teorbanisty.

Dziad umilkł. Jeszcze, jeszcze, prosiło dziecko. Dziad odchrząknął.

– Mogę teraz o tym malarzu...

Świrski podał mu szklanicę.

– Napijcie się, dziadku, boście zasłużyli. Foremna pieśń, nieprawdaż, wasza miłość? Rytmu przemienne, a ja to sobie cenię, bo przy innych zasypiam.

– To już wszystko? – spytał Tomasz.

– Wszystko.

– Pieśń nie ujawnia mordercy – zauważył Tomasz. – A dziad wie?

– Nic w tej materii nie mogłem z niego wydusić.

Dziadek odstawiwszy opróżnioną szklanicę powiedział:

– Chodził z wiadrem i pędzlem i stare zadki na całkiem nowe przemalowywał.

– Kto?

– Malarz. Wielce ucieszna pieśniczka. Zaśpiewać?

– Nie – powiedział Tomasz. – Słuchajcie, dziadku Telesforze, a kto zabił onego druha wiernego?

– W pieśni tego nie ma.

– A wy jak myślicie?

– Zły los, panie.

– Los? Z czego to wy tak?

– Wszyscy na koniec smutni, wielmożny panie.

– Może infamis? – spytał Tomasz.

– A czemu się sumuje? – na to dziad Telesfor.

– A czemu miałyby się cieszyć? Morderstwo popełnić – żadna radość.

– Dla infamisa z piekła rodem – radość – powiedział dziad. – Nieprzyjaciela usunął, co mu drogę do dziewczki zagraadzał.

– A wy, dziadku, znacie tę dziewczkę?

– A bo to prawdziwa? – zdziwił się dziad.

– Pan Bełzecki przecież prawdziwy.

– Pan Bełzecki wielki pan, w zamku mieszka, a insze dla okrasy jedno.

– Dziadku, to wyście tę pieśń ułożyli?

– Po prawdzie nie ja, wybacz, wasza wielmożność.

– A skąd ją znacie?

– Po prawdzie... Ot, słyshałem na jarmarku w Tyczynie. Stałem cichutko między ludźmi i zapamiętywałem. Aż mnie tamten dziad rozpoznał i jak nie wrzaśnie, ludzi poduszczyl, tak zem ledwie z życiem uszedł.

– Któż to więc mógł złożyć? Tamten?

– Ej, wielmożny panie, gdzież jemu do takich pieśni. To już ja lepszy. Pewnie jakiś żak, co się wierszami zabawia. Słyszałem ja tę pieśniczkę i w Zamościu, może tam się narodziła, w akademii.

– A tyś, dziadku Telesforze, dobrze wszystko zapamiętał?

– Gdzieniegdzie, wasza miłość, trzeba było swoje słowa dorobić, bo mi z głowy uciekło. Ale to się jeno słów tyczy, a nie tego, o czym się powiada.

– Dziękuję ci, dziadku. – Tomasz wyjął z sakiewki talara i podał pieśniarzowi.

– To dla ciebie. Nie krzywdujesz siebie?

– Bóg zapłać, wielmożny panie.

– Panie Świrski, siądziesz wasze z teorbanistą i spiszesz mi słowa. Muszę je spokojnie przemyśleć.

Obiad jedli z siostrą tylko we dwoje, wbrew zwyczajowi, ale tak im to pani Wiktoria urządziła, żeby mogło sobie rodzeństwo poufnie porozmawiać. Więcej jednak milczeli, niż rozprawiali, dopiero przy wetach, na które złożyły się jabłka pieczone z miodem, Elżbieta odezwała się:

– Przepędziłeś Toroszewicza.

– Zdobyłem się na to.

– Dlaczego?

– Bo wykradł skrypty dłużne i przekazał Bełzeckiemu.

– O jakich skryptach dłużnych mówisz? Nic o nich nie wiem.

– Były wszelako. Bełzecki pieniędzy potrzebował na malowidła, księgi, przepych, w kości i karty też sporo stracił, i ojciec mu gotowiznę pożyczał. Pod zastaw. Aż pewnego dnia pokazało się, że dobra połowa majątności jest w ojcowych rękach – dzięki onym skryptom. Dla włościan nic się nie zmieniło, bo ojciec i przedtem majątnościami zarządzał, jeno teraz miał już do nich prawo.

– A pan Bełzecki uważał, że ojciec te sioła od niego wyłudził?

– Na pewno.

– A jakże ojciec do tak wielkich pieniędzy doszedł?

– Bóg raczy wiedzieć.

– Suponujesz brat, że ojciec mógł nieuczciwie wobec pana Bełzeckiego postąpić?

Tak mówi pieśń, pomyślał. Druhem wiernym nazywa z uporem ojca dla tym większej ironii. Szlachcic z portretu spoglądał groźnie i z pogardą. On mógł wszystko, pomyślał Tomasz i rzekł:

– Ojciec szkatułą zawiadował, a Bełzecki rachunku nie żądał. Tyle nam wiadomo.

Ale doszło do Bełzeckiego któregoś dnia („którejś nocy”), iż wielu siół nie jest już panem, i wtedy nasłał do Błudnik swojego człowieka.

– To Toroszewicz był jego zauszniakiem? – pojęła wreszcie Elżbieta.

– Tak.

– I skrypty nasze przekazał Bełzeckiemu?

– Przekazał albo po prostu zniszczył.

– A ty skąd o tym wszystkim wiesz?

Tomasz uśmiechnął się.

– Dowiedziałem się dopiero co – powiedział. Nie chciał się przyznać, że źródłem wiadomości była pieśń dziadkowa. Zapytał: – Halżka, powiedz wreszcie, czy ojciec został zamordowany?

– Nie wiem.

– Przecież chyba oglądałaś zwłoki?

– Nie, nie oglądałam.

Nie chciała nawet obejrzeć – taką miała pewność, że to tamten zabił!

– A co ludzie powiadali?

– Różnie. Ja nie chciałam słuchać.

Sto kamieni i nóż jeden. Czy to narzędzia zbrodni, czy też pieśń się w podobnej formule lubuje? Sto kamieni i jeden kindżał. Kindżał – to łatwo pojąć, ale dlaczego sto kamieni?

– Pchnęłam gońca z listem do pana Wolskiego – odezwała się siostra.

– To dobrze. Poczynimy wszystkie przygotowania, a kiedy pan Wolski przyjedzie, dobędziemy zwłoki. Niech i Reuben będzie w pogotowiu.

Potem męczył się w swojej izdebce na górze nad listem do pani Zagwojskiej, w którym powiadamiał ją o śmierci syna i o tym, że koń i juki są do odebrania. Z tym listem posłał do Zagwoździa Jasia kuchcika. Znowu go trzeba było kąpać i przebierać, bo Jasiek zdążył wrócić do kuchni i usmolić się. Dano mu podjezdka wypoczętego i trochę miedziaków do trzosa, żeby mógł w drodze gospodą stawać przyzwoicie.

W dniu, na który wyznaczono przeniesienie zwłok do kościoła, pani Wiktoria zapukała w samo południe do izdebki na poddaszu.

– Zejdź na dół, wielmożny panie Tomaszu, gościa miłego masz.

– Jakiego? – spytał czując, że ciepło podpływa ku sercu: domyślał się odpowiedzi.

– Panna przy skakała.

Więc ona! Czego tu szuka? Ach, to oczywista, dopilnować chce śledztwa, ojca swojego oczyścić. Spojrzał do zwierciadła – włosów mi srebrnych przybyło, głupstwo, głupstwo, gdzie ty, a gdzie ona, gramy jeno w miłość, wciąż gramy.

– Okrutnie zalterowana – mówiła ochmistrzyni, zstępując za nim po schodach.

– Musiałeś jej diabelnie wpaść w oko, że się ważyła na tę wycieczkę. Wcale jej się nie dziwuję, ja też bym cię do serca przygarnęła i kto wie, czy tego jeszcze nie uczynię. Przepędzę pannę jak Bóg na niebie! Idź, tam ona, w świetlicy – szepnęła, kiedy znaleźli się w sieni. – Poczekaj, niech ci się

przyjrę, – Ochmistryni przypatrzyła mu się uważnym spojrzeniem. – Ujdiesz – orzekła. – Tfu, tfu, tfu! – spluwała od uroku.

– Niech ci się z nią poszczęści! Bełzecka, wielkie nieba – westchnęła z podziwem.

– Szczęście dla nas wszystkich!

Wepchnęła go do świetlicy, gdzie Urszula, z bacikiem w rękę, stała przed portretem pana Błudnickiego. Tomasz skłonił się przed nią mówiąc:

– Witam w niskich progach. Dłonie waćpanny całuję.

Podąła mu je do ucałowania – obie. Potem, łagodnie je usunąwszy, wskazała na portret jego ojca:

– Trafiony, nieprawdaż? Chociaż dużo młodszy, niż kiedym go ostatni raz widziała. Popatrz, jaka w nim duma i surowość. Właściwie to niewiele jesteś doń podobny. Oczy inne. – Przyjrzała mu się. – Też chmurne, ale jaśniejsze i nie tak wzgardliwe.

– Po matce pono mam oczy. Cieszę się, że cię widzę, Urszulo.

– Dawnom cię nie widziała.

– Pięć dni – obliczył.

– Czemuś nas nie nawiedził?

– Zajęcia i kłopoty, moja panno.

– A tam myślą, żeś już zapomniał o oblubionej.

– Nie, moja panno, przenigdy.

– Ej, waćpanie, zwodzisz jeno. – I spytała z zalotną melodyjnością (nie na darmo się u dominikanek śpiewem zabawiała): – Czy nadal masz wierszów pełną głowę?

– Coraz bardziej.

W sercu zakłuło. Głupie, trwożliwe serce.

– Wiesz – mówiła, zerkając to na niego, to na portret pana Błudnickiego – był przed laty taki zakon голуazów we Francji, w Poitou, z mężów i

niewiast złożony, którzy ciągłym dręczeniem ciał swoich pobożność chcieli okazać. Latem w kożuchach chodzili, a zimą w nie opalanych legali izbach i komin zakrywali, żeby nie kusił. Kładli się też do łóżek po dwoje nago, często wymieniając między sobą żony, żeby bliżej grzechu być, i tak całą noc spędzali walcząc z diabłem, dręcząc się pożądaniem bez ulgi.

– Czemu mi to opowiadasz? – spytał.

– Nie myślisz, że to byli bardzo, bardzo wymyślni rozpustnicy?

– Widzisz waćpanna w nich jakieś do nas podobieństwo? – spytał.

– Jeszczem do końca tego nie przemyślała. Tęskniłam za tobą, Tomku – wyznała nagle.

Boże mój, pomyślał, czymżem na to zasłużył? Zadręczyć się wzajemnie pożądaniem bez ulgi – ona wie, co mówi – jak ci w Poitou.

– Siadźże – poprosił, – Siadź i bądź gościem, splendoru przydaj...

Siadła, on podsunął jej kielich z winem. Piła drobnymi łykami, dłoń jej drżała, kiedy podnosiła kielich do ust.

– Podoba mi się u ciebie – powiedziała rozglądając się. – Nie tak pysznie jak u Bełzeckich, ale przytulniej. Co myślisz, panie Tomku, o mnie? Mam ja za mąż iść?

– Nie wiem. Nigdy dziewczęciem nie był, nawet przez krótką chwilę.

– Szkoda – powiedziała z uśmiechem. – Poradziłbyś coś. A tak to wiele strachów jest ci nie znanych.

– A ty jakie znasz?

– Rodzić – powiedziała krótko, a w oczach jej dostrzegł przerażenie.

– Matka twoja trzykroć szczęśliwie rodziła. A są takie, co i piętnaścioro miały.

– Mam ja być jakiegoś starca lubieżnego ucieszeniem, to lepiej własną ręką śmierć sobie zadać.

– Przecieżeś mu już odmówiła – przypomniał Tomasz zaniepokojony.

– Pan Konięcpolski z nowym listem od księcia zjechał – powiedziała nie bez satysfakcji.

– *Porco di Dio!*

– Tym razem księżę o drobiażdżkach ani się zająknął, jeno dużo o tym, co mi zapisze. Długa wyliczanka. Perły, szmaragdy, szaty złotolite po poprzednich małżonkach. Buty z czerwonego safianu diamentami tu i ówdzie nabite, księżęce, od wielkiego dzwonu. Kusiłyby te buty, ale nie pisze księżę jegomość, jak wielkie, może całkiem na mnie niezdatne. Płaszcz sobolami podbity. Kołpaki z drogocennymi piórami. Siła tego.

– Odpisałaś już?

– Jeszcze nie. Tomku, widziałeś ty kiedy ladacznice? – spytała nagle.

– Bo co?

– Skąd się biorą?

– Kto? – udał, że nie rozumie.

– Ladacznice. Dziewki sprzedajne. Skąd je biorą?

– Nigdy o tym nie myślał. Może z kołpaków sobolich?

– Ciekawam, czy są między ladacznicami szlachcianki.

– Co ci też po głowie chodzi!

– Ja tylko tak – powiedziała. – Bo jak myśmy się całowali, ty i ja, i tak smakowało, tom pomyślała, że może się to tak zaczyna.

Tomasz chwycił jej dłoń i ucałował.

– Nie troskaj się – powiedział. – Nic złego w tym nie było. Rok cały narzeczeństwo sobie przyrzekliśmy, a między narzeczonymi pocałunki uchodzą.

– Przyjechałam tu dzisiaj, wiesz dlaczego?

– Domyślałam się, że nie z tęsknoty do mnie, jeno dla uroczystości dzisiejszej.

– Dobrze zgadujesz – potwierdziła. – Chociaż nie proszona.

- Nikogośmy prócz starosty jurydycznego nie prosili.
- Ja jednak opinię waszmościów chcę wiedzieć. O ojca tu mojego idzie.
- Czy ja nie wiem?

Elżbieta przeszła mimo okien zerknąwszy do środka. Umiera z ciekawości siostrzyczka, pomyślał. Brat wokół bogatej dziedziczki chodzi, może co i z tego będzie. Urszula:

- Przepędziłeś Toroszewicza, panie Tomku.
- Bo mi łągał – odpowiedział.
- Ja wiem, dlaczegoś to uczynił – rzekła. – Ale bardziej ci on sprzyja, niż ci się wydaje.

- Zostawmy to.
- Ludzie nie wszystko ci mówią, Tomaszku, wcale nie ze złego umysłu.
- Więc dlaczego?
- Żeby ci przykrości nie sprawiać.

Siedzieli obok siebie na ławie, nie dotykając się biodrami, grzecznie, żeby nikt dziewczęcia za ladacznicę nie wziął. Nie chcą mi sprawiać przykrości, oszczędzają mnie, pomyślał. Nawet Toroszewicz. Mają jeszcze mnie czym ugodzić. Mają jeszcze jakiś nóż w zanadrzu. Nie mówią prawdy do końca, ale ja ją zbadam. Dowiem się, postanowił. Dowiem aż do końca. Urszula:

- A waćpan czemu przede mną różne sprawki ukrywasz?

Zocha! – pomyślał i gorąco mu się zrobiło.

- Jakie sprawki? – spytał niewinnie.
- Mnie tyżące. Czemuś mi nie rzekł, że ojciec zgodził się, żebym za ciebie szła?

Tomasz nie odpowiedział. Wówczas ona:

- No tak – powiedziała – wiem. Ale ciekawam, jaki by z ciebie był mąż. Strasznie ciekawa. Jaki rano, jaki w obiad, jaki wieczorem. W nocy jaki.

Okrutniem ciekawa. Pewnie z ciebie tyran i despota. Czepek nosisz do spania?

– Nie.

– To ci w łeb pewnie zima?

– Takem już nawykł.

– Ojciec w czepku śpią. I w gieźle po łydy. Okrutnie śmiesznie widzieć wąsacza jak mu się w gieźle nogi płaczą.

– Ja po większej części nagi sypiam.

– To już lepiej. Coraz mnie silniejsza ciekawość bierze. A zechcesz, żeby twoja małżonka kądziel przędła?

– Po co?

– Taki niewieści obowiązek. Kądziel prząć, kuchnią zawiadować. Ty od małżonki także tego żądać będziesz?

Próbuje mnie, pomyślał. Przypomniał mu się konwikt. Odpowiadaj tak, żeby magistrowi się spodobało. Odgadnij jego życzenia. Teraz tak samo.

– Nie – odpowiedział. – Ochmistrzynie to zabawa będzie.

– A jadać jak byś jadał? Ty z panami, ona ze służebnymi?

– Nie, z nią we dwoje przy wspólnym stole.

– I nie będziesz przed panią małżonką miał sekretów?

– Żadnych.

– Tedy wiedz: gdybym za ciebie wyszła, tobym kądziel po dobra woli przędła i apteczką i kuchnią dla ciebie zawiadowała, i wszystkie powinności białogłowskie spełniała. Ale nie wyjdę!

– Przecieżeśmy to już omówili – wykrztusił.

– Nie, nie to! Nic nie rozumiesz. Choćbym konała z afektu, za męża cię mieć nie chcę! Boże mój! Nie zniszczę przecież sobie swojego życia przez to, że mi się czasem oczy twoje chce całować. Ty gorszy niż Ligęza! Ligęza przeciw Bogu wojuje, a ty ze szlachtą wojnę toczysz. Z obyczajem! Ze

słabością ludzką. Nie wygrasz! A ja twojej klęski dzielić nie chcę. – Otarła wierzchem dłoni mokre od łez policzki. – Ja chcę żyć – powiedziała – skoro już mnie na świat wydano... Żyć i coś z życia mieć!

Zostanie księżną, zrozumiał.

– Otrzyj łzy, Urszulo – powiedział. – Nie wypada, żebyś przez takiego nicponia płakała. – A ujrawszy, że się uspokoiła, spytał: – Gramy dalej?

– W miłość? Tak. Tak, gramy...

– To przywołam Halżunię, już ona się ciebie doczekać nie może, wciąż przez okno zerka.

Krótko przed uroczystością nadjechał starosta jurydyczny Piotr Wolski z woźnym, cyrulikiem i małym poczem zbrojnym. Tomasz zaprowadził starostę do swojej izdebki.

Tu będziemy mogli porozmawiać bez cudzych uszu – powiedział. Położył przed Wolskim kartę papieru. – Przeczytaj to waszmość.

– Co to jest? – spytał Wolski.

– Pieśń jarmarczna.

Starosta gwizdnął z podziwu. Przeczytał raz i drugi, potem spytał:

– Co waćpan z tego wnosisz?

– Że parę osób mi w oczy kłamało.

– Na przykład kto?

– Ona dziewczka znad rzeczki.

– Nastka? – pytał starosta.

– Waćpan, widzę, sporo wiesz. Powiedziała mi, że poznała pana Ligęzę po śmierci ojca. Pieśń przedstawia to inaczej. Pieśń powiada, że Bełzecki polecił Ligęzie jeszcze za życia ojca, by dziewczynę uwiódł. I nawet powiada, czemu. Albo na złość ojcu, albo żeby do pojedynku doprowadzić, w którym Ligęza miał być górą.

– Co nie było pewne – zauważył starosta.

– Pewne – powiedział Tomasz. – Dwadzieścia lat młodszy, panie starosto. Tak czy siak, Bełzeckiemu było wszystko jedno, sam głową nie ryzykował.

– Różnica w opowieściach wyraźna – przyznał Wolski. – Ktoś tu zmyśla.
– I po chwili zastanowienia dodał: – Chyba nie pieśń.

– Tak i ja sędzę.

– Chociaż właśnie pieśń większe ma prawo do komponowania.

– Ale jeśli pieśń prawdę mówi, tedy zmyśla Nastka. Którą pan Ligęza Jewką nazywał. Pytam go, dlaczego ukrywał przede mną prawdziwe jej imię. Bo wolał Jewkę jako wcielenie grzechu. Dobrze, niech mu tam, może to i bez znaczenia, ale czemu z kolei Nastka komponuje? Czy coś wie? Czy chce zabójcę osłonić?

– Jaki by miała w tym cel? Nie była przecież, jak wynika z pieśni, infamisowi wzajemna. Nie udał się Bełzeckiemu podstęp.

– Nie była wzajemna, póki ojciec żył. Jeszcze po śmierci ojca długo się opierała.

– Czyli teraz Ligęza cel osiągnął?

– Więcej.

– Miłuje go ona?

Tomasz kiwnął głową. Wszystkie tamte ich szepty i oddechy splątane wróciły doń w tej chwili. Trzeszczące siano pachniało anyżkiem. Słowik darł się w listowiu. A my jak ci голуazi z Poitou, pomyślał. Ci wymyślni asceci z Poitou.

– Ale teraz stosunek Bełzeckiego do miłości Ligęzy i poddanki już jest inny? – domyślił się starosta.

– Nie tylko inny, ale nie może on o tym związku myśleć bez zgrzytania zębów, samego go ta poddanka srodze kusi.

– Dobrze, zostawmy te ich sercowe powikłania – powiedział starosta. – Nad czym innym nam trzeba się zastanowić. Pewnie, że jakieś puste miejsca nam ta pieśń zapełnia, ale dowodem wciąż jeszcze nie jest.

– Dlaczego?

– Nastka mogła skłamać nie wiedząc, kto zabił. Domyśla się jeno po swojemu i na wszelki wypadek kochanka osłania.

Jak moja siostra, pomyślał Tomasz.

– Tak, to możliwe – potwierdził. – Ale nie zapominaj waćpan, panie starosto, po co pan chorąży Ligęzę z Włoch sprowadził. Pieśń mówi o tym bez ogródek.

– Czemu więc od razu Ligęza ojca waćpanów nie zabił? Czemu lata całe z tym zwlekał?

– Właśnie, panie starosto. Rzadko zdarza się zabójstwo z takim rozmysłem przygotowane. Piekielny to charakter, ten Bełzecki, na zewnątrz wylewny, ale ta wylewność to maska jeno, która prawdziwą duszę skrywa. Statystą jemu być, posłować na obcych dworach! Uważ waćpan wszystkie jego kolejne czynności – i te, które pieśń wymienia, i te pieśniarzowi niewiadome albo dlań nieciekawe. Krok po kroku ku zbrodni się zbliżał. Więc najpierw infamisa sprowadził. Niezrównanego na rękę, słynnego z odwagi w całej Europie. Także i urody, co rzecz niebłaha. *Safous conductus* mu obiecał i on glejt, z walorem półrocznym, wyrobił, ale o prolongatę się nie starał, czym go do swojego dworu przywiązał. Dalej urzędnika zaufanego do ojca nasłał, żeby miał pieczę nad skryptami dłużnymi. Po czym do Warszawy się udał, tam w kancelarii królewskiej donację sobie wyrobił na królewszczyzny na wypadek śmierci ojca swojego. Tak się zabezpieczywszy, czekał spokojnie sposobniejszej pory, powiada pieśń.

– Aż się nadarzyła. W Sańsku, gdzie gospodą we wspólnym zajeździe stali waszmoścín ojciec i jego nieprzyjaciele. Dobrze odgaduję?

– Kiedy śmierć nastąpiła, przede wszystkim skrypty dłużne zniknęły dzięki panu Toroszewiczowi. I tak Bełzecki wszystkie sioła uratował. W cztery dni po pogrzebie zjawił się z dekretem na donację, by trzy wsie królewskie dodatkowo zgarnąć. Wraz z Nastką grzesznicą.

– To *crimen* poważne – przyznał Wolski. Zamyśliwszy się dodał: – Ale i to go odciąża. Jeśli natychmiast dekret okazał, to może dlatego, że czuł się niewinny. Morderca by działał ostrożniej, trochę by odczekał.

– Zadufanie, wasza miłość! Pycha i przekonanie o własnej bezkarności!

– Może tak, a może nie. Mnie, panie Tomaszu, nie wolno zbyt pochopnie wniosków wyciągać. Prawdą jest chyba, że pan Bełzecki śmierci waszmościów ojca chciał. Ale nie ma pewności, że to on cios zadał.

– Przez Ligęzę – podpowiedział Tomasz.

– Wciąż nie ma pewności. Życzyć czyjejś śmierci a szykować ją – są to prawnie dwie różne rzeczy.

– Pieśń wskazuje nań palcem. Bełzecki, powiada pieśń, miał powody ojca mojego nienawidzić, o czym mi mówić smutno... Bełzecki krąży w zamku, wypatruje z wieży gońca... Zbrodnię szykował!

Wolski czytał przez chwilę z uwagą zapis pieśni.

– Tak – potwierdził. – Zbrodnię szykował. Albo lepiej rzec: miał nadzieję, że jakoś się zbrodnia w Sańsku dokona. Tak przekazuje pieśń, ale w życiu mogło być inaczej. Nie każda nienawiść prowadzi do morderstwa. Nie każdą krzywdę płacimy krwią. Ojciec waszmościów skrzywdził Bełzeckiego, powiedzmy sobie otwarcie, ale skąd pewność, że Bełzecki postanowił odpłacić mu oko za oko, ząb za ząb?

– Sprowadził Ligęzę...

– Ale po co? Waćpaneś o jednym kawałku pieśni zapomniał... Gdzież to jest? Proszę: „bądź ty ze mną, bądź ty przy mnie, bo się druha boję”. Bełzecki bał się! Toż ojciec nieboszczyk słynął jako rębajło pierwszej

wody! Gdyby do czegoś doszło, nie dalby Bełzeckiemu najmniejszej szansy... Ze strachu chorąży Ligęzę sprowadził, ze strachu... Jeśli mamy wierzyć pieśni – dodał starosta sceptycznie.

– Spróbujmy wierzyć – powiedział Tomasz.

– Spróbujmy. Więc tak: pieśń nie wyklucza, że Bełzecki szykował zbrodnię, ani że jej dokonał. Ale wycofuje się przed ostatecznym oskarżeniem. Autor daje do zrozumienia, że jest tu jakaś tajemnica, której mu nie zgłębić. I w rzeczy samej. Mamy aż trzy w stosunku do pana Bełzeckiego możliwości. Pierwsza, że zabił przez pana Ligęzę, który to uczynił *con amore* usuwając współzawodnika do osoby nadobnej włościarki. Druga, że *bomicidium* wprowadził, ale go ktoś w ostatniej chwili ubiegł.

– Ale kto?

– Szukajmy, panie Tomaszu. Ja się tym zabawiać nie przestanę.

– A trzecia możliwość?

– Że pan Bełzecki zgoła zbrodni nie szykował pokładając ufność w Bogu, że prędzej czy później jego nieprzyjacielowi noga się powinie, jako że nie z nim jednym zadarł. Na ten wypadek miał w domu waszym swojego człowieka, który by jego sprawy zabezpieczył. Waćpan o przyczyny śmierci ojca rozpytywałeś Bełzeckiego?

– Tak.

– I cóż odrzekł?

– Że ogień go trawił.

– Jeśli mu się ojciec ze słabości zwierzył, miał Bełzecki prawo spokojnie końca czekać.

Tomasz nie odpowiedział. Rozumiał, że pan Wolski, jako urzędnik królewski, musiał rozumować ostrożnie. *Neminem captivabimus nisi iure*

victim. Drogo by to starostę kosztowało, gdyby *criminami* lekkomyślnie szafował. Ale on, Tomasz, był pewny swego sądu.

– Ja wierzę pieśni – powiedział.

Wolski raz jeszcze przejrzał zapis.

– „Sto kamieni i kindżał jeden” – przeczytał na głos. – Ciekawe, nie sądzisz waszmość? Kilka razy się to powtarza. Skąd się te kamienie wzięły? Myślisz waćpan, że one egzystowały?

– Nie wiem. Może popioły nam to wyjawia.

Uroczystość zamyślono o zachodzie słońca, żeby jak najmniej przygodnych mogło wziąć w niej udział, do samego zaś otwarcia trumny dopuszczono tylko tych, którzy byli do egzenterowania zwłok konieczni. Pozostali skupili się gromadą przed kościołem wznosząc białopienny las świec. Ksiądz stojąc pośrodku sadu uczynił znak krzyża i wnet stary, głuchy nosiwoda pociągnął za sznur na dzwonnicy. Z drzew poderwało się spłoszone ptactwo.

Bił dzwon zagłuszając ptasi wrzask. Po dwóch stronach otwartej mogiły stanęli słudzy z pochodniami, a obok nich starosta jurydyczny Piotr Wolski, woźny Jakub, Tomasz Błudnicki, pan tej miejscowości, Fabian Świrski, jego krewniak, wreszcie cyrulik Reuben osiwiały. Słońce właśnie chowało się za nieboskłon i trumna, oblana purpurową poświatą, wyglądała jak ubarwiona krwią. Tomaszowi wszystko zaczęło wydawać się nieprawdziwe, trochę ze snu dziwnego, trochę z baśni długiej i pokrętnej, więc musiał sobie wciąż powtarzać, że jest świadkiem czegoś bardzo ważnego. Zaraz się dowiesz, zaraz się rozstrzygnie, myślał i naraz spostrzegł, że ma nadzieję, iż okaże się, że zbrodni nie było, nieboszczyka ogień trawil, można zawiesić miecz, zapomnieć o nim, niech pokryje się rdzą.

– Waćpan za dużo sobie nie obiecuj – szepnął mu Wolski. – Pół roku minęło.

– Koszula – przypomniał Tomasz.

– Co waćpan rzeczesz?

– Pochowano go w tej koszuli, w której go znaleziono.

Starosta mruknął coś niezrozumiale. Dzwon bił. Chłopi wyciągnęli na sznurach trumnę z mogiły i położyli na kopczyku.

– Panie Jakubie, otwórz waść trumnę – zwrócił się do woźnego Piotr Wolski.

Była to formuła, woźny wiedział bowiem, co ma robić, w ręku miał potrzebne narzędzia.

– Możesz mnie waćpan zwolnić? – usłyszał Tomasz szept Świrskiego. – Nie nawykłem do takich widoków.

Tomasz skinął przyzwalająco głową. Za to ja, pomyślał, ja aż nadto trupów zwyczajny. Woźny uchylił zgrzytliwe wieko. Purpura zalała wnętrze trumny. Bił dzwon ptaki milczały.

– Zasłoń nieboszczykowi oblicze – rozkazał starosta.

Woźny położył rąbek płótna na czaszce. Z dwóch stron wystawały końce wąsów stwardniałe niby koński włos. Więc tutaj sobie leży, w kontuszu, przy szabli – spokojny, cichy, z błota oczyszczony. Mój ojciec. Czysty, powtórzył w myśli Tomasz. Ale zalany purpurowym światłem jak krwią. Woźny pochylił się nad trumną i zaczął rozpinać guzy kaftana. Tomasz przypatrywał się łopoczącej pochodni.

– Pojrzyj, Reuben – odezwał się woźny.

Bił dzwon, ludzie i ptaki milczeli. Rozległ się starczy głos Reubena:

– Koszula pocięta.

– Gdzie? – spytał Tomasz nie odejmując oczu od oślepiającego blasku pochodni.

– Na sercu. Nożem, wielmożny panie. („Kindżał, kindżał” – powtarzał w myśli, przypatrując się pochodni). Dookoła zakrzepła krew. Musiało być dużo krwi, znać jeno ślady, bo skruszała. Panie Jakubie, usuń na chwilę tę chustę – poleciał Reuben, który swoimi rękami nie chciał trupa dotykać. – Dzięki ci. Tak – powiedział po chwili – kości twarzy zgruchotane.

– Od kamieni? – spytał starosta.

– Wygląda na to, że od kamieni.

Dzwon bił, ptaki milczały. „Sto kamieni i nóż jeden”. Autor pieśni miał dokładną relację. Jakby on sam zwłoki egzenterował. Sto kamieni! Dlaczego aż tyle?

– Zawrzyjcie trumnę – rozkazał Tomasz.

Tamci, którzy pod kościółkiem stali, spostrzegli, że trumna zawarta i ruszyli ku nim, chociaż bez pośpiechu, godnie, wznosząc nad głowami swój las białopienny, płonący. Dzwon wciąż bił, zniecierpliwione ptactwo rozwrzeszczało się, słowiki nawoływały się w listowiu grabów i lip. Życie, życie wróciło! Trumna zamordowanego sunęła ku kościołowi na wózku, za nią szli w powtórny pogrzebie najbliżsi – Elżbieta, Tomasz, a obok niego, ze świecą w ręku, Urszula.

– I co? – spytała szeptem.

– Zabity.

– Na pewno?

– Nożem w serce pchnięty.

O kamieniach nic nie powiedział. Urszula ścisnęła jego dłoń.

– Musisz znaleźć mordercę, Tomku. Musisz koniecznie.

Muszę, tak. Ale czegóż ona się po tym spodziewa? Jeśli nie on, jej ojciec – to kto? Gedeon? Toroszewicz? Ligęza? Ligęza, który mi dwakroć życie ratował. Ligęza, którego miłuję. Dla dziewczki i dla Bełzeckiego zabił. Dzwon bił, ludzie śpiewali. Wstępowali za trumną do kościoła. Znaleźć

mordercę. Dziewczyno, nie módl się o to. Już przeczuwał, że czekają go nowe ciosy. Najdotkliwszym z nich będzie odkrycie mordercy. Zwrócił się do dziewczyny:

– Waćpanno, uczynisz coś dla mnie?

– Trudne mi co zadajesz? – spytała nie patrząc nań.

– Chciałbym, abyś pana chorążego poprosiła o łaskę dla Rachmeta Tatara.

– Co ci po głowie chodzi? – szepnęła zdumiona.

– Niech mu glejt da, by mógł na Krym się udać, a gdy mu tam źle będzie, by i wrócić mógł. Uczynisz to?

– Tak, Tomku – obiecała. I zaraz usłyszał dalszy ciąg jej zdumienia: – Ale że też ty w takiej chwili...

Nie chciał jej tłumaczyć, że właśnie w tej chwili krzywda ludzka mu się przypomina i chciałby jej ująć, ile sił i sposobności. Właśnie teraz.

Dzwon umilkł, orszak zatrzymał się. Młody ksiądz zaintonował wysokim głosem egzekwie.

– Panie Wolski – zwrócił się po cichu Tomasz do starosty. – A przecież kłamał Bełzecki o chorobie ojca mówiąc.

– Sądziś waść, że celowo?

– Skłaniam się ku tej myśli.

– Nóż i kamienie – przypomniał szeptem Wolski. – Sto kamieni. W tym może być rozwiązanie zagadki.

– Ale jakie? – zastanawiał się Tomasz;

I usłyszał przy samym uchu świszczący głos: – „Śmiercią umrą i kamieniem ukamionują ich”.

Obok stał Świrski.

– Co waść cytujesz? – spytał Tomasz.

– Księgę Praw. Trzecią z kolei w Starym Testamencie. Przypomniała mi się w związku z tymi kamieniami.

– Waść żarty sobie stroisz?

– Nie, kapitanie. Jenó ci chcę przypomnieć, że ojciec twój zabity został w Sańsku.

– Oni miecza nie używają.

– Miecza nie, ale kamieni być może.

Tomasz zamilkł. Chór śpiewał nad trumną ojca. Śmierć poniósł od noża. Kamienie są tajemnicą. Sekretnym ornamentem. Nie wierzył, że nowochrzczeńcy zabili. Nie korzyli się przed Księgą Praw, jenó przed Ewangelią. Może morderca chciał na nich przerzucić zbrodnię? Ale nawet jeśli nie zabili, to mogą wiedzieć dużo więcej, niż byli skłonni mówić. Postanowił jechać do Sańska.

ROZDZIAŁ XIV

Najpierw się upewniłem, że mnie nikt nie podpatrzy, i dopiero wtedy wyjąłem swój skarb, aby mu się raz jeszcze nadziwić. Szczerze złoto, myślałem oglądając ów pierścień; sprzedam go Ormianom i konia kupię, i siodło, i szablę kupię, i sługę podnajmę, żeby za mnie robił jak za pana. Albo nie, odmieniłem myśli, nie wyzbędę się go, bo na szczęście swoje go znalazłem, przecież to musi być amulet czarodziejski, turecki on, pośrodku ma kamień krwisty, a w nim półksiężyc rzeźbiony i gwiazda sześcioramienna, jerozolimska. Niewiele mi dotąd, co prawda, ów pierścień szczęścia przyniósł, nacierpiałem się w swojej wędrownicy niemało i koniom stracił, co mi go pan Dydyński był ofiarował czy może pożyczył – tak, chyba jednak pożyczył – więc cierpień było bez liku, ale tak dufałem, że przejściowe jeno są niepowodzenia moje, że bylebym zaklęcia się domyślił, które do tego pierścienia na pewno jest przywiązane, wnet mi się fortuna odmieni.

Siadłem skryty w krzakach, nikt mnie z zewnątrz nie mógł podpatrzeć, chociaż słońce tu i ówdzie przebłyskiwało. Chwyciłem promień na złoto pierścienia i odbiłem zajęczkiem na krzaku maliny. Skakał ci mój zajęczek w dół i w górę jak żywy. Skarbie kochany, zaklinałem szeptem, odpowiedz na moje pytanie, tak cię zaklinam w imię patrona mojego Cyryla i jego druha Metodego, zstąp i przemów, abrakadabra-tarambum, allach-muhammad-rassullach, ęsim-kęsim, istambuł-bachczysaraj, raz-dwa-trzy. Złoty pierścień milczał. Słońce skryło się za chmurą i zajęczek spełził z krzaczka. Usłyszałem gdzieś z boku ciężki oddech i skrzyp obuwia. Zły! – przeraziłem się i schowałem pierścień do woreczka na piersi. Wyjrzałem na ścieżkę, co biegła dołem, i zobaczyłem barczystego mężczyznę z kijem w ręku. Zbliżał się ku mnie idąc przeciw słońcu i może dlatego głowę nosił

pochyloną. Pomyślałem sobie, że skądś go znam i że mógłbym mu się przypomnieć, może by mi się udało od niego jakąś wskazówkę co do mojego przyjaciela uzyskać. Gwizdnąłem.

Ów zatrzymał się i rozejrzał badawczo dokoła. Zsunąłem się na dół i znalazłem na ścieżce tuż przed nim.

– Niech będzie pochwalony – odezwałem się.

– Na wieki wieków, synku. Toś ty gwizdnął?

– Ja, wielmożny panie.

– Nie nazywaj mnie wielmożnym panem – rzekł ów mężczyzna. – Braćmi wszyscy jesteśmy. A pan jeden jeno – nad nami.

Wskazał na niebo, a ja już wiedziałem, skąd go znam. Ten jego kij był tęgi i sękaty; kosturowiec, przezwiałem mężczyznę w myśli. Przez ramię miał przewieszoną torbę, koszulę nosił białą z grubego płótna, portki konopne, modro barwione, wpuszczone w buty z cholewkami dobrej roboty.

– Nie uczyli cię ojcowie, że gwizdać nie należy? – spytał.

– Nie mam ojców – odpowiedziałem. Nieraz mi ta odpowiedź, lubo prawdziwa, służyła wybiegiem w kłopotliwych terminach.

– Sierota? – spytał ów.

– Tak, wielmożny panie.

– Brat Gabriel jestem.

– Bracie Gabrielu, toć ja was znam.

– Znasz? – Spojrzał na mnie, ale tak mi się zdało, jakby mnie nie widział. Myślami musiał być gdzie indziej. – A skąd?

– Byłem u was na koczowisku. Nie pamiętacie? Cyryl jestem – przypominałem mu nie bez żalu, że mnie nie zapamiętał. – Z panem Błudnickim byłem. I konia swojego wtedy miałem, może pamiętacie,

gniady był, ścigły. A wiecie, kto mi go pożyczył? Pan Dydyński, stolnikowic, tak, on sam. Ale nie mam już konia.

– Toś ty z onym starym ku nam przybył? – domyślił się sługa Boży.

– Z nim.

– To już wiem. Z jego powodu napadł na nas po raz pierwszy Rosiński.

– Ja się wtedy wymknąłem.

– Od waszego przybycia moja męka się zaczęła – rzekł. Przestraszyłem się tych słów. Zemści się, pomyślałem, udusi tymi mocarnymi łapskami. A on: – Ten twój stary ma rozum nie w porządku.

– Gdzie on? – spytałem.

– Z nami. Ale my już nie na koczowisku. W Sańsku my na powrót – powiedział brat Gabriel. – Wybacz, synku, śpieszę się.

– A dokąd się śpieszycie? – spytałem, bo mi się nie chciało zostawać w pojedynkę.

– Ku wschodowi, a potem na północ.

Ruszył w dalszą drogę przeciw słońcu. Ja chwilę za nim spoglądałem, a potem puściłem się w pogoń. Kiedym się z nim zrównał, spojrzał na mnie, ale się nie odezwał. Szliśmy tak trochę obok siebie w milczeniu. Na koniec spytałem:

– Można z wami kawałek?

– No cóż – odburknął.

– A wy dokąd idziecie?

– Do Teleśnicy.

– A po co?

– Do tamtejszych gospodarzy.

– A kto ci gospodarze?

– Zbójcy.

Myślałem, że facecje sobie czyni, ale nie, minę miał srogą, taki człowiek kpinkować nierad. Więc dalej pytałem.

– Ci, co na koczowisko przy nas napadli?

– Ci sami.

– I nie boicie się ku nim bez miecza?

– Nie boję się – odpowiedział.

Dalej szliśmy milcząc. Droga była piaszczysta. Niżej i pobok pluskała po kamienistym dnie struga. Miałem ochotę zbiec i sunąć wodą, może coś by się i dało w niej złowić, ale czułem, że kosturowcowi nie do figłów, siedł zasumowany, cierpiał wprawdzie moją obecność, ale mnie nie zachęcał.

– Ale wy nie od Sańska idziecie – zauważyłem naraz.

– Nie od Sańska – potwierdził. I zamilkł.

Co mi z tym mrukiem za kompania, już lepiej samemu. Pójdę do Sańska, poszukam swojego przyjaciela, do Błudnik stamtąd pono niedaleko. Już się chciałem żegnać albo i zrejterować bez pożegnania, kiedy usłyszałem:

– Od Łopienki idę.

– Łopienka?

– Karczma tam jest „Pod Kogutem”, co ją Łowiguz przezywają.

– Trefnie! – zachichotałem.

– Myślałem, że w karczmie ją zastanę – mówił dalej brat Gabriel. – Ale nie było jej. W Teleśnicy, powiadają, przebywa.

– Kto? – nie zrozumiałem.

– Małżonka moja umiłowana.

Zdawało mi się, że usłyszałem ciężkie westchnienie. Spytałem:

– Lea?

– A ty jak wiesz? – zdziwił się ów.

– Słyszałem, jak on sługa Boży panu Błudnickiemu córkę przedstawiał. Powiadał, że ślub wasz wkrótce. Czyli żeście się już pobrali? – spytałem.

– Już.

– Winszuję waszmości.

Mruk nie odpowiedział. Piach się skończył i zaczęła piąć się pod górę ścieżka trawiasta, zwilgła, ze śladami kolein wygniecionych przez wozy, które nie wiedzieć jakim cudem się tędy przeciskały. Po obu stronach drogi ciągnęły się krzaki malin, spomiędzy których wynurzały się wachlarzami paprocie, a dalej gęsto stały pnie świerków i limb i raz po raz połyskiwała białą plamą brzoza, gruba nad podziw. Ciemno było, chłodnawo, bo korony drzew całkiem przysłoniły niebo.

– Nie nazywaj mnie waszmością – odezwał się nagle brat Gabriel.

– Wybaczcie.

– Ja, po prawdzie, to panem i nigdy nie byłem. Z rękodzielników ja miejskich. Boże mój, Boże święty – usłyszałem nagle boleść jego.

Przystanął i oparł się o pień brzozowy ciężko dysząc.

– Co wam? – spytałem niespokojnie.

– Piersi mi rozsadza.

– Siądźcie sobie – poradziłem.

– Nie, dojdę jakoś. – Ruszył znowu, a ja szedłem obok niego. Pod górę, pod górę, ścieżką krętą, śliską, jako że spod wydartej trawy glina rozmokła się pokazywała.

– Porwał ją, rozumiesz? – Kiwnąłem głową, choć pojmowałem jeno wielce mgliście. On prawił dalej: – Po raz drugi już to uczynił zbójca antychryst. – Rozumiałem już, że o Rosińskim mowa. – Raz, kiedy jeszcze panną była. Poszedłem po nią i odebrałem na hańbę nie zważając. Pomodliliśmy się oboje Bogu miłosiernemu i tak czystość do niej wróciła, i zaraz ślub zawarliśmy. Tuszyliśmy, że już się to nie powtórzy, że małżonkę przed Bogiem poślubioną uszanuje. Ale on chwile lubieżne wspomniawszy zatęsknił za nią i znowu zbrojną ręką zajechał i uwiózł.

– To idziecie ją odebrać?

– Tak.

– On was zabić może – powiedziałem.

– Jam jej mąż i tylko śmierć ma prawo nas rozdzielić.

Droga była teraz równiejsza, więc skoczyłem do przodu kilkakrotnie na jednej nodze. Obróciwszy się ku niemu, nadchodzącemu z tyłu, spytałem:

– Nie lepiej zaniechać jej i żyć?

– Nie, nie lepiej – odpowiedział. Znowu szliśmy razem. Brat Gabriel mówił:

– Ty tego nie rozumiesz, boś mały. A i nie rozumiesz jeszcze, boś nigdy dziewczeczki nie miłował, nigdyś jej nie tracił. Ja wciąż myślę o niej muszę. A to męka jaka. Bo widzę w myślach, że mu ona powolna, że go rączkami swoimi obejmuje i pieści, chociaż moja ona, przed Bogiem poślubiona... Jest w niej pociąg do grzechu, moja wina, że jej nie strzegłem... Ale cóż uczynić. Byleby mi ją zwrócił! Bylebym mógł ją na powrót do domu przyprowadzić. Synku – westchnął. – Synku, jak ciężko z tym żyć...

Słuchałem tego z pałającymi uszami. Nigdy mi jeszcze nikt takich sekretów swoich nie opowiadał i tak myślę, że nikomu innemu brat Gabriel by się z takich duszy tajemnic nie zwierzał. Do mnie, że byłem dzieckiem, mógł to wszystko powiadać, bo to tak, jakby do siebie samego mówił. I znajdował w tym głośnym myśleniu ujście dla bólu, choć bez ulgi i bez pociechy.

– Pójdę z wami – zaofiarowałem się.

– Lepiej nie.

– Dla kompanii – rzekłem. – Odprowadzę was do Teleśnicy, a potem się wrócę.

– Bóg zapłać, synku.

Zacząłem przemyśliwać nad tym, czy pokazać mu ów pierścień. Może gdyby zakłęcie odgadł, o co mu jako heretykowi nietrudno, z rąk zbójceckich byśmy się wybawili. I jeszcze skarb ukryty przez Rosińskich można by znaleźć. Czekala nas też niewiasta nadobna do uwolnienia, małżonka jego nowo poślubiona. Okrutnie to wszystko opowieści cudowne przypominało i chociaż straszno mi było aż do dreszczu, to i ciekawie zarazem. Rzekłem mu:

– Bracie Gabrielu, wyjdzie ku wam pan Rosiński, to wy go gołymi rękami za kark i po nim.

– Nie grzesz usty!

– Wy byście trzech takich mogli zdusić.

– Wiem, wiem – przerwał niecierpliwie.

– Skąd wiecie, kiedyście nie próbowali?

– Próbowalem – rzekł mi na to. – Kiedym był bednarskim uczniem daleko stąd, aż w Bieczu, okrutniem do bitki prędko był. Wszyscyśmy się tam po robocie prali po gębie. I zabaw innych nie znaleźmy, jedno kije i pięści, i rzucanie kamieniem. Nie miałem równego sobie – Boże, wybacz mi chełpliwość moją. Aż nareszcie stało się, że jeden z moich kamratów po bójce ze mną oślepl. Nie wiedziałem, co z sobą począć, rozpaczalem, a żadnej karym nie zaznał. Wszyscy mówią: nie twoja wina, sam do bitki lażł. Moja, myślałem, moich pięści grzesznych. Zdarzyło się, że przybył brat Wojnarowski z kazaniem i ja, miotając się w niepokoju, na ono kazanie poszedłem, zresztą nie jeden ja, bo przecież kaznodzieja z obcych stron ciekawość budzi taką, że kto żyw się pcha i tylko dzieci i obłożnie chorzy w domach pozostają. Tak więc poszedłem na ono kazanie, chwała niech będzie Panu, i wtedy w onym ścisku posłyszałem w sobie głos Boży.

Jakże to on posłyszał? – zacząłem się zastanawiać i spytałem:

– Od zewnątrz posłyszeliście? A inni jak – też słyszeli?

– Znaczy to, iż wszedłem na właściwą drogę – posłuszeństwa i pokory wobec Boga. Ale ja myślę, że ów głos Boży był we mnie zawsze, jeno utajony. Kogo łaska Boża nie dotknie, ten nie jest mocen go dosłyszeć. Był we mnie, widać, od zawsze ten niepokój z powodu grzechu. Alem sobie tego w zbłąkaniu swoim nie uświadamiał... Nawrócenie nie jest skutkiem objawienia – może w ogóle nie ma nagłych nawróceń – jest tylko odnalezieniem samego siebie.

Znowu gadał jakby nie do mnie. Pomyślałem sobie: poczekaj, bracie Gabrielu, pokażę ja ci coś, to się zadziwisz. I wyjąłem z woreczka mój złoty skarb. Słońce wychynęło spoza obłoku, więc złapałem promyk na pierścień i poigrałem nim na pniu brzoźowym.

– Popatrz, bracie Gabrielu, na brzozę popatrz.

– A co?

– Zajączek. O, o, tam skacze, hyc-hyc, nie pochwycisz go.

Wtedy dostrzegł pierścień w moim ręku.

– Co to masz? – spytał.

Podąłem mu pierścień. Obejrzał uważnie.

– Złoty – orzekł. – Dziadkowy? – zaciekawiał się.

– Nie, mój.

– Ejże?

– Znalazłem.

– Leliwów herb – powiedział zwracając pierścień.

– Leliwów? – Mina mi się wydłużyła. – Myślałem, że turecki.

– Nie, polskie to. Chociaż pańskie.

– Myślałem, że czarodziejski ten półmiesiąc.

– Leliwów znak – powtórzył. – I gwiazda też ich. Gdzieś to znalazł?

– Jakeśmy ku wam z panem Błudnickim jechali.

– Ale gdzie?

Nie chciałem powiedzieć. A nuż mi odbierze?

– Po drodze – rzekłem. – Postój uczyniliśmy w pobliżu smolarni Balów i tam... W nocy, kiedym za potrzebą szedł – łąłem. – Księżyc na nim błyszczał.

– Pokazałeś go panu Błudnickiemu? – spytał.

Zaczerwieniłem się. Może dlatego odparłem nadto hardo:

– A czemu to niby miałem pokazać?

– Bo on też Leliwa.

– Znalazłem, to moje!

Pięliśmy się pod górę, ciężko było, osobliwie Kowaczowi, i może dlatego milczał. Rękodzielnik, myślałem, taki się na snycerstwie winien znać i na złotnictwie pewno też, suponowałem, aż na koniec odważyłem się spytać:

– A wiele on wart, taki pierścień?

– Złoto tylko do złęgo wiedzie – usłyszałem.

– Wiele on wart?

– Nadtoś chciwy, synu.

– Ja wiem swoje, a wy swoje – zezłościłem się. Głuptas nurek, pomyślałem, nie wie, do czego złoto służy. I wypaliłem: – Jakbym miał dużo złota, to ho, ho!

– Zgubiłbyś się do szczętu.

– Wyście mi nie powiedzieli, za ile ten pierścień stoi.

– I nie powiem. Dość już nagrzeszyliśmy. – Mówił do siebie, a jam był jego słów świadkiem mało znaczącym. Jak pień głuchy i bezrozumny, taki miałem być. A przecież nie wszystko było dla mnie niezrozumiałe. – Wielki grzech na nas ciąży, wielki – powtarzał sługa Boży na modlitewny sposób. – Brat Szymon twierdzi, że grzechu nie ma, i ja też czas dłuższy tak sądziłem, alem drogą idąc przemyślał nad tym i doszedłem do tego,

iżeśmy są grzesznicy i że odkupić tę winę nie będzie łatwo. Chyba Sańsk rzucić i przeszłość wymazać. Tak, całą przeszłość.

Nie mogłem w to uwierzyć. Chociażem był mały, przecież to wiedziałem, że ludzie w tym zborze dobrzy, niewinni i bogobojni.

– Jakiż to grzech? – spytałem ciekawie. I pomyślałem tęsknie: może obżarstwa?

– Teleśnica przed nami – rzekł na to brat Gabriel.

Nie widziałem jednak żadnej osady, jedno wzgórze, czarne od gęsto stojących świerków. Przebijaliśmy się przez ćmę, chłodną i wilgotną jak w piwnicy, nic, jeno piwo trzymać. Urwało się to raptownie, bez przerzedzenia, pokazała się jasność, trawa słońcem rozgrzana i wysokie niebo. A dalej przed nami na zielonożółtym wzniesieniu w pełnym słońcu – twierdza zbójecka.

– To jest ono zbójeckie gniazdo – odezwał się brat Gabriel.

– Drewniane – nie potrafiłem ukryć rozczarowania.

– Tak, synku. Wystarczy głównię żarzącą rzucić i pójdzie całe z dymem.

– Czemu wam tego nie uczynić! – podbechtałem go.

Kowacz niecierpliwie odzegnał się ode mnie ręką.

– Idź, idź już sobie... Wracaj, skądś przyszedł...

– Ja chcę z wami.

– Wracaj, wracaj...

– Zabłądzą, bracie Gabrielu. – Spojrzałem za siebie, w dół, na gęsty zbór świerkowy. – Tam ciemno – powiedziałem.

Musiał uznać moje racje, bo kiwnął głową i poszedł pierwszy. A ja się ucieszyłem, że zobaczę gniazdo zbójeckie ode środka. Dotknąłem woreczka na piersi, poczułem on skarb i pomyślałem sobie: ęsim-kęsim, może jakie inne jeszcze skarby mi się dostaną.

Tak podeszliśmy pod wrota owej twierdzy z bierwion bukowych zbitej. Nad wrotami była przybudówka, a w niej wartownia. Wychylił się z okienka wąsacz niby ptak z dziupli i zaskrzeczał:

– Czego tu? Czego tu?

Jakby godzinę oznajmiał.

Kowacz odpowiedział:

– Gabriel Kowacz jestem, sługa Boży z Sańska. Przyszedłem po małżonkę swoją.

– Zaczekaj. Zaczekaj – zaskrzeczał ów zbój-ptak.

Słyszałem, jak się ów wąsacz z kimś drugim wyklócał. Potem cisza się zrobiła, nareszcie wrota ze skrzypem się otwały. Stał w nich zbój-ptak i inny jeszcze, znacznie młodszy. Ten młodszy spytał:

– Broni nie masz?

– Nie mam.

– Przecież to nurek – przypomniał zbój-ptak.

– Dobra, dobra – mruknął młody. Obmacał brata Gabriela, zajrzał mu do saka.

– A ty – zwrócił się do mnie – też kosturowiec?

– Nie. Ale bronie nie noszę – powiedziałem hardo.

Byleby mnie nie tarnosił, pomyślałem, bo jeszcze by się pierścienia domacał. Ale zbójcy zaśmieli się.

– Wejdźcie – przyzwolił ten młody.

Przeszliśmy przez majdan, na którym przy ognisku z zawieszonym nad nim saganem zebrało się trochę rozleniwionych mężów. Porządku wokół domostwa nie było najmniejszego. Wszędzie placków krowich pełno, świnie taplały się w błocie, kury tam i sam biegały, jedynie o konie zauważyłem dbałość, szczypały trawę strzyżone, wszystkie smukłe, odszorowane, lśniące zdrowiem i porodą.

– Zaczekajcie – powiedział ten młody zbójca.

Zniknął za drzwiami domu, a kiedy wrócił, powiedział do Kowacza:

– Pan pułkownik bardzo na ciebie gniewny.

– Czemu to? – zaniepokoił się kosturowiec.

– Żeś ośmielił się przyjść i natarczywością dokuczać.

– Ja po małżonkę moją przyszedłem.

– Pan pułkownik ci jej teraz nie wyda.

– Ja zaczekam.

– Pan pułkownik kazał ci iść precz, do domu. Jak przyjdzie pora, to ci ją, powiada, sam odeśle.

– Nie, ja tutaj będę czekać – powiedział brat Gabriel.

Młody zbójca przyglądał mu się ciekawie.

– Źle to się skończy – przestrzegł.

– Zaczekam.

– Te słowa mam powtórzyć panu pułkownikowi?

– Rzeknij mu, że chcę go widzieć.

– Po co? – nastroszył się nieufnie zbójca.

– Czy się mnie boi? Wszakżem bez broni.

– Dobrze, powtórzę mu. Ale pamiętaj, bratku, pan Ramuł cię uprzedzał. A jak Ramuł radzi, to lepiej słuchać.

– Ja tu zaczekam – powtórzył swoje brat Gabriel i usiadł na stopniach ganku. Kiedy zbójca uchylił drzwi, prześliznąłem się pod jego ramieniem i znalazłem się w sieni. – Ty tu czego? – spytał pan Ramuł, dostrzegłszy mnie, ale wcale nie chmurnie, zadziornie raczej.

– Popatrzeć – powiedziałem.

– Dziwno ci, żeś się w takim miejscu znalazł? – spytał ujmując mnie za podbródek.

– Dziwno – przyznałem.

To dał mi kuksańca i rzekł:

– Chodź, bratku.

I przeprowadził mnie przez sień do jednej izby, a potem do drugiej, a potem do trzeciej, a ja się rozglądałem chciwie wokoło, czy jakich skarbów nie postrzeżę albo krzesel i stołów sztucznie rzeźbionych, atlasu, złotogłowi, pereł, futer drogocennych. Ale żadnych takich cudowności wzrokiem nie zahaczyłem. Meble proste, byle jak zbite, chłopskie, a to i niejeden kmieć większą dbałość pokazuje. Panów Jezusów też żadnych złoto-szmaragdowych nie widziałem. Prawda, bronie wisiały moc, siodeł, czapraków, szyszaków, pancerzy, niektóre może i duży pieniądz warte. I skrzyń dużo, mogło w nich się coś taić. Książki ani jednej nie uświadczyłem. Na koniec znalazłem się w izbie, gdzie był swą osobą pan Rosiński, poznałem go od razu, bom mu się przyjrzał z namiotu wtedy, gdy na nas napadł, i jeszcze drugi przy nim pan był, śniadolicy a z włosiem ciemnopłowym, i ten, chociaż zasępiony, nie tak jednak dziko spoglądał.

– Nie chce odejść kosturowiec – powiedział młody zbójca Ramułt. – Czekać będzie.

Usłyszawszy te słowa pan Rosiński brzydtko zaklął. Naraz zwrócił się do mnie:

– A ty co?

Chociażem był mały, ale w tej chwili chciałem być jeszcze mniejszy, bodajby w mysią dziurę się wśliznąć. Powiedziałem drżącym głosem:

– Ja tak sobie.

Tamci spojrzeli po sobie, śniadolicy uśmiechnął się, a Rosiński mrugnął okiem.

– A po co tak sobie? – spytał.

– Z ciekawości. Na zbójckie gniazdo chciałem pojrzeć.

To owi wszyscy trzej zaśmiali się. Rosiński przybierając gęstą minę powiedział:

– My ci tu nie zbójcy, ale prawi rycerze. – Kiwnąłem głową, a on, całkiem już spoważniały, ciągnął: – Żyjem tym, co szablą dobędziemy, jak na rycerzy przystało. – Kiwnąłem głową – co było robić – on duży i ciężki, nie mnie się z nim spierać. A on: – Chcesz ku nam przystać?

Ja: – Jeszcze nie wiem, czy chcę.

– A kiedy będziesz wiedział?

– Jak mi skarby pokażecie. Póki co, żadnych skarbów nie widzę.

Tamci pośmiali się trochę, a ten śniadolicy drągał w półpancerzyku spytał:

– Na co ci skarby, chłopaczku? Co z nimi będziesz czynił?

– Okręt najmę i do Ziemi Świętej popłynę. Grób Pański mieczem wyzwolę. A może i wykupić się da.

Pan Rosiński aż usta otworzył.

– Patrzcie! – wykrzyknął. – Patrzcie, jaki sprytny. To jest myśl, panie Witoszyński, nie? – zwrócił się do śniadoliciego. Ów coś odmruknął. A herszt do mnie: – Toś ty z bratem Gabrielem przyszedł?

– Z nim, wielmożny panie.

– Tedyś takóž heretyk?

– Nie, wielmożny panie. Ja go w drodze spotkałem.

– On czeka – przypomniał młody pan Ramuł.

– Niech czeka.

– Powiedział, panie pułkowniku, że chciałby z tobą mówić.

– Waćpanie! – krzyknął rozgniewany Rosiński. – Stul pysk i nie burz mi krwi. Dość mi jej ten heretyk naburzył! Raz mu dziewczkę zwróciłem, to teraz umyślił nachodzić mnie i nachodzić...! Witoszyński, wyjdź do niego, przemów mu tam po pogańsku do rozumu. Niech sobie idzie precz.

– Sam z nim pogadaj.

– Nie, nie, ty to lepiej zrobisz. We mnie ci heretycy furie budzą. Idź, powiedz, że zdecydowałem Leę zatrzymać przy sobie. Nie ma on co tu wyczekiwać.

– Nie, panie Rosiński, nie powiem ja tego – odmówił stanowczo ów Witoszyński. I zasiadł na ławie, pewnie żeby pokazać, że się ruszyć nie zamierza.

– Boisz się mu w oczy spojrzeć? – próbował zadrwić herszt.

– Nie, panie pułkowniku, nikogo się nie boję. Jenó ja mu takiej wieści nie przekażę.

– A to czemu?

– Boś mu małżonkę ślubną wziął. Sakrament znieważyleś! Zwróć mu ją i niech sobie oboje odejdą.

Rosiński zmierzył swojego oponenta ponurym wzrokiem.

– Za wiele sobie pozwalasz, panie Witoszyński.

– Mówię, co trzeba – powiedział spokojnie tamten.

– Pułkownikowi swojemu poruczenia dajesz!

– Rady, panie pułkowniku, jenó rady.

– Dziękując, bez potrzeby. Ich ślub heretycki wobec Boga nieważny. Cudzołózcý to, nie inaczej! Moje prawo, póki mi z Leą dobrze, trzymać ją przy sobie. Więc nie pójdiesz do niego?

– Nie, panie pułkowniku.

– Czeka cię chłosta, kochaneńki – zagroził herszt.

– Dobrze, panie pułkowniku. Przyjmę chłostę.

Herszt zwrócił się do młodego zbójcy:

– Panie Ramułt, sprowadź go sam.

Kiedy młody zbójca wyszedł, ów pan Witoszyński dźwignął się z ławy.

– Pójdę do stajen – oznajmił i wyszedł.

Dalej wszystko potoczyło się prędko. Wszedł brat Gabriel w otoczeniu kilku zbójców. Rosiński stanął przed nim z nagim pałaszem w ręku. Powiedział:

– Wiesz, że bez mojego pozwolenia nie wolno ku nam przychodzić?

Przycupnąłem koło skrzyni starając się, żeby o mnie zapomniano. Widziałem, że brat Gabriel pobladł. Pewnie mu pierś rozsadza, pomyślałem. Dotknąłem woreczka z pierścieniem, ęsim-kęsim, niech się stanie cud, muhammad-rassullach, zmiękczyj serce hersztowe. Usłyszałem głęboki głos brata Gabriela:

– Przyszedłem po małżonkę swoją.

– Czemu mnie dręczysz, szoldro? – wybuchnął pan Rosiński. – Czemu dziewczkę moją chcesz odebrać?

– To małżonka moja.

– Siedź w domu i czekaj cierpliwie. Znudzi mi się, to ci ją odeślę.

– Małżonka – powtórzył raz jeszcze brat Gabriel.

– Znudzi się, bądź pewien, każda się w końcu znudzi.

– Małżonka.

– Ej, łyku, nie upieraj się, bo cię zetnę!

– Zwróć mi moją małżonkę – poprosił brat Gabriel skłoniwszy głowę. – Zwróć mi ją, panie.

Powiedział: panie! Wiedziałem, że mówiąc to zgrzeszył, zgrzeszył w pełni świadomie. A Rosiński od tego jeno poweselał.

– Chłopcy! – zawołał. – Związać mi łyka i wyliczyć mu dwadzieścia kijów! A potem za częstokół z nim!

Zbójcy rzucili się ku Gabrielowi. Chwycili go z obu stron, on nie wyrywał się, spoglądał tylko na Rosińskiego i powtarzał drżącymi ustami:

– Panie, panie... zwróć mi ją, proszę, zwróć...

– Związać! – rzucił rozkaz herszt.

– Nie! – ryknął naraz bednarz.

Wstrząsnął niedźwiedziowatym ciałem i uwieszeni jego ramion zbójcy polecili z hukiem na ściany izby.

– Nie! – krzyknął brat Gabriel. – Nie! – I przewróciwszy stół, za którym chronił się herszt, szedł ku niemu z wyciągniętymi naprzód dłońmi, gołymi dłońmi. Żeby dusić, pomyślałem nagle, to ja mu tak poradziłem. Rosiński odstępując śmiał się i wywijał mu przed oczyma stalową klingą. – Zwróć mi ją! – zawył bednarz i rzucił się do przodu. Rosiński pchnął pałaszem i wbił mu ostrze w samo serce. Dłonie brata Gabriela zacisnęły się na klindze. Złamię ją! Pomyślałem, ale już go siły opuszczały, palce zastygły i naraz ciężkie ciało zważyło się na ziemię wywracając stołki.

Krzyknąłem i zerwałem się z miejsca. Biegłem wokół onej strasznej izby, nie mogąc znaleźć drzwi, które nagle zarosły ścianą. Zbójce gniazdo, zbójce gniazdo – terkotało mi w głowie, podczas gdy macałem rozpaczliwie ściany, a drzwi wciąż nie było, znajdowałem się w gniotącym zamknięciu niby w jakimś okrutnym śnie. Słyszałem głosy zbójców, co dźwigali się z ziemi, rozumiałem, że narzekają na ból, podziwiali też siłę bednarza. Słyszałem chełpliwy głos herszta. Naraz natrafiłem na klamkę, nacisnąłem ją i znalazłem się w innej izbie. Potem przez drugą, trzecią trafiłem do sieni, aż wreszcie ocknąłem się na dworze. Widok koni skubiących trawę trochę mnie uspokoił. Wszystko tu było jak przedtem: placki krowie walały się pośród ścieżek, świnie w błocie, kogut skoczył na kurę, ona chwilę go na sobie pottrzymała, a kiedy zeskoczył, otrząsnęła się i znowu zaczęła dziobać ziemię. Miało się ku zachodowi. Stałem chwilę rozglądając się, sam nie wiedząc za czym, a potem puściłem się biegiem ku stajniom. Tam myślałem się ukryć.

Witoszyński stał w półmroku, opierając się ramieniem o jasło. Tak mi się zdało, że ukazawszy się na progu stajni wyrwałem go z jakichś rozmyślań.

Jeszcze chwilę wyglądał, jakby znajdował się w innym świecie, spojrzenie miał nieobecne, kiedy przemówił:

– I co mi robić, chłopcze, co teraz robić?

Przekazałem mu szeptem straszną wieść:

– Brata Gabriela zabili.

Widziałem, jak jego twarde palce zaciskają się na jaśle.

– Widziałeś? – spytał.

– Tak.

– Więc przy tobie...?

– Przy mnie.

– Boże mój! – westchnął. – Straszno ci teraz, co?

– Straszno, wielmożny panie. – Przypomniałem sobie coś niby dziwo dziwne:

– Śmiał się pan pułkownik, kiedy go pałaszem przebijał.

– Nie ujdzie on kary. Nie ujdzie – powtórzył pan Witoszyński. – Brat Gabriel wielkiej pocziwości był człowiek.

Dziwny to zbójca, pomyślałem przyglądając mu się. Pokażę mu pierścień, postanowiłem, on pocziwy, on nie zabierze. Nie, zdecydowałem zaraz, nie pokażę, za duża pokusa, zawszeć to rabuś.

– Tedy jesteś teraz jeden – odezwał się zbójca.

– Zawszem był jeden.

– Dokąd szedłeś, kiedyś brata Gabriela napotkał?

– Do Sańska wracałem.

– Do Sańska? – Wydawał się nieco zdziwiony. – A czemu powiadasz „wracałem?”

– Bo już tam byłem, z dziadem jednym, co po prośbie chodził, a który naprawdę kniazem jest.

– Ach! – wspomniał nagle zbójca. – Słyszałem coś o tym. Rosiński owego dziada miał pojmać.

– Jenó mój przyjaciel nie pozwolił – pochwaliłem się.

– O, to masz przyjaciela! A kto on zasz, ten twój przyjaciel?

– Wielmożny pan Błudnicki.

– Tomasz?

– Tomasz. Znacie go!

– Znam. Znam – powtórzył. – Więc nazywasz go przyjacielem. A dlaczego? – zaciekawiał się.

Myślałem, że z miejsca mu odpowiem, a tymczasem wcale to nie było takie łatwe. Jak mu rzecz wyjaśnić? Powiedziałem:

– Bo dobry pan. No, dobry taki. Za rękę trzymał – przypomniałem sobie.

– Razem-śmy konie poili – opowiadałem. – Zboru heretyckiego bronił, to go ściąć chcieli. Taki on! – Chciałem sobie jeszcze coś przypomnieć, ale nie umiałem. – Za rękę trzymał – powtórzyłem.

– Tak, może on i dobry – powiedział zamyślony zbójca.

– On mi was przypomina – rzekłem przypatrując mu się pilnie. – Jenó nos ma kształtniejszy, nie taki długi. I wyście roślejsi nieco. Oczy też inne: u niego, pomnę, niebieskie, a wasze jakie? – zielone chyba. A wy macie włos nieco na czole przerzedzony, a on nie, a jeszcze jego włos mocno ciemny, a wasz całkiem nie.

Rozśmieszyłem, zdaje się, zbójcę.

– Wszystko mamy różne – powiedział – więc czymśmy na koniec podobni?

– Tak w ogóle – mówiłem ramionami ruszywszy. – A on do tego zbójcą nie jest.

– Chcesz, to i ja się tobą zaopiekuję – powiedział ów mąż naraz. – Będiesz mnie przyjacielem nazywał?

– Tak, panie. Jenó że on niewinnych szablą broni, a tyś zbójca.

– Słuchaj, co ci rzeknę: nie wspominaj przed Rosińskim ani słowem, żeś Błudnickiemu przyjaciel, rozumiesz?

– Tak, panie.

– Okrutnie on pana Błudnickiego nienawidzi. Już go raz na śmierć ekspediował, szczęściem uciekł twój przyjaciel. – Pomilczał ów zbójca i dodał: – Z pomocą Bożą... No to pamiętaj, język za zębami. I o kniaziu też ani słowa, bo podpadniesz... Chodźmy – powiedział.

I wziął mnie za rękę.

Wprowadził mnie na powrót do zbójckiego domu, przeszliśmy się, wspięliśmy się wschodami do izb górnych, wcale licznych, aż znalazłem się w alkierzu, gdzie na ławie, niedźwiedzim futrem wyściełanej, siedział-leżał starzec nie bardzo stary.

– Tu zostaniesz – rzekł do mnie pan Witoszyński. Teraz dopiero dłoń moją ze swojej wypuścił. – Tu nic ci nie grozi. To jest pan Rosiński-ojciec, Jan mu na imię, ongiś herszt całej watahy, będziesz mu posługować. Trochę głuchawy. Pokrzykuje on dużo, ale słuchać go nie musisz, nikt go tu nie słucha. – Pchnąwszy mnie do przodu powiedział głośno: – Wasza miłość, wasza miłość!

– Słyszę, słyszę – charknął ów starzec nie bardzo stary. Zauważyłem, że zębów prawie nie miał. Za to czerwony nochał taki, że innemu za trzy mógłby starczyć.

– Chłopca przyprowadziłem do posług, wasza miłość – mówił pan Witoszyński. – Będzie z wami. Ja teraz iść muszę.

– A idź sobie, idź – warczał stary – wcale nie chcę, żebyś mi tu szpiegował. Zostawszy sam na sam z owym starcem, skłoniłem się układnie i rzekłem:

– Dziadku, a nie trzeba wam czego?

– Ja ci dam dziadka! – zapiał przeraźliwie. – Za kogo mnie bierzesz, gnojku? Jam jest rycerz Jan Rosiński, który całą ziemię sanocką w terrorze trzyma. Słyszałeś o mnie?

– Słyszałem, wasza miłość – potwierdziłem prędyutko.

Zaraz się ów starzec udobruchał i zapytał okrutnie rozciekawiony:

– A co słyszałeś?

– Że całą ziemię sanocką trzymacie... trzymacie w tym... jakże to...?

– W terrorze – odpowiedział stary głuptas.

– W terrorze – powtórzyłem za nim. – A co to znaczy?

– Że w strachu – wyjaśnił chętnie.

– Aha! Prawda to! – zapewniłem pośpiesznie.

– I co? Boisz się teraz?

– Straszno mi – powiedziałem i udałem drzenie szczęk, bo okrutnie mnie ów starzec śmieszył. Choć był niestary, to przecież całkiem zniedołężniały, zębów nie miał i co odezwał się, to głupio.

– A ciebie jak wołają? – spytał.

Postanowiłem, że powiem prawdę, bo jakoś nie zawsze chce się łąać, i odpowiedziałem:

– Cyryl.

– A więcej jak? – spytał on.

– Więcej nic.

– Głośniej! – krzyknął.

– Nic! – wrzasnąłem. – Cyryl i już!

– Z chłopów ty? – spytał spojrzawszy na mnie z niesmakiem.

– Nie. Ja szlacheckie dziecko – odparłem dumnie.

– Tobys miał herb i miano.

– Ale nie mam.

– Głośniej.

– Nie mam! Zbójcy zabrali! – krzyknąłem mu w samo ucho.

Zdziwił się:

– Jakże tak: zabrali!

– Zwyczajnie – mówiłem prawie przy samym jego owłosionym uszysku.

– Zaczaili się na gościńcu.

– I zabrali herb!

– Zabrali.

– Popatrzcie – zdumiał się ów głupiec, choć sam zbójca. – Są jednak mężowie bez Boga w sercu...! Podaj mi naczynie potrzebne – zażądał. – Pod ławą stoi.

Gęsty zaduch stał w onym alkierzu, gdzie wychodziło na dwór jeno okienko malutkie, to pomyślałem sobie, wyciągając owo naczynie, pożółkłe całe wewnątrz, że to za jego sprawą smród taki. Mdłości mnie brały, więc odwróciwszy się, podałem staremu naczynie, za siebie nie patrząc. Słyszałem, jak stary kwękał napełniając one, pomrukując przy tym jak kot, wreszcie usłyszałem:

– Wdzięczną ma barwę. Na miły Bóg, wdzięczną. Popatrz, widziałeś kiedyś taką?

– Anielska – odpowiedziałem nie patrząc.

– Coś rzekł?

– Aniołów szczyzny! – krzyknąłem.

– Dobrześ rzekł – pochwalił. – Wylej.

– Sam sobie wylej – mruknąłem i wyszedłem z onego zaduchu. Starzec coś za mną wołał. Stałem nad wschodami, rozmyślając nad tym, co mi dalej czynić, kiedym usłyszał w dole głosy. Przechyliłem się przez poręcz i zobaczyłem zbójców ciągnących po ziemi ciężkie ciało bednarza. To już lepiej ze starym, pomyślałem. Wróciłem do alkierza i zrobiłem z tym

naczyniem to, co mi kazał. Przez okno. Usłyszałem zaraz, jak na dole ktoś klnie, a ktoś inny rechocze. Dobrze im tak, pomyślałem.

– Słabujecie? – spytałem starego.

– Ja? – mało się nie oburzył.

– Ale przecież leżycie-nie-leżycie.

– Kości mię w nogach łamią. Palce puchną.

– Podagra? – spytałem, bom między starcami przebywając dużo o chorobach słyszał.

– Cyrulik powiada, że podagra. Żydzisko bez czci i wiary, ze Stachem w zmowie, nie chcą oba, żebym konia dosiadł. Ale ja im jeszcze pokażę! Już, już niedługo... Widziałeś w naczyniu, jaka barwa. Wdzięczna, hę? Polubowałeś się?

– Tak, wasza wielmożność.

– Teraz spełniaj moje rozkazy.

– Jakie? – spytałem niespokojnie.

– Zejdiesz na dół i powiesz Stachowi, żeby konie siodłał. Żem tak rozkazał. Słyszysz mnie?

– Tak, wasza wielmożność.

– Żeby na Biecz skoczył z zasadzki, miasto splądrował, do sklepów w aptecę Rokickich i w kamienicy Januszowiczów się dobrał. Tam beczki z dukatami się chronią. Beczki całe! Słyszałeś mnie?

– Tak, wasza wielmożność.

– Coś powiedział?

– Że słyszałem!

– Zastawę od Jasła strony uczynić, żeby Spytek Ligeza nie mógł z odsieczą przybyć. Piętnastu zbrojnych wystarczy.

– W Biezu wojsko królewskie stoi – wspomniałem naraz.

– Furda wojsko.

– Mury tam warowne.

– Furda mury! Leć, leć, rozkaz powtórz. Za kwadrans niech mi wyruszą!
Leć!

Znowu wyszedłem za drzwi. Postąłem trochę, pomedytowałem i wróciłem się.

– Powiedziałaś? – spytał żarłocznie stary.

– Słowo w słowo.

– Co prawisz? – Bo znowu nie dosłyszał.

– Powiedziałem! – huknąłem.

– I co?

– Już konie siodłają!

– Zuchy...! Co za szum z dołu?

Spojrzałem przez okienko na majdan. Stali tam zbójcy wokół ogniska i rozprawiali ze śmiechem.

– Ruszają na Biecz – powiedziałem głośno.

– Zuchy. I tyś zuch. Widzisz, jak to jest? Leżę ja na ławie, nogi puchną, a przecież mnie słuchają. Straszny im jestem, tak to jest... I eksperiencję mam. Ilem już wypraw obmyślił! Ilem zamków dobył! – Westchnął: – Żeby tak jeszcze Spytka Ligęzę chwycić i za krzywdę mu oddać.

– Starzec to stary – broniłem pana kasztelana, bom o rzeszowsko-bieckim Ligęzie siła po drodze dobrego słyszał.

– I co, że stary? A zęby te, myślisz, kto mi porachował? Kto?

– Kasztelan?

– Jego ludzie. Jego!

Nie słuchałem już więcej, co mi on gadał, głupiec. Zgłodniałem okrutnie i zacząłem rozglądać się po izbie, czy na jakiej policy czego do zgryzienia nie znajdę. Znalazłem nieoczekiwanie wiele: placek pszenny cudnego smaku, kielbasę wędzoną, ogórcze kiszane i nawet cukru głowy kawałek.

Podzieliłem się uczciwie z moim obecnym panem, jużem tak był wdrożony dla wędrówek swoich, żeby się wszystkim dzielić z kompanem pół na pół, czyli jarym-jarym, jak to słyszałem u Tatarów. Pomyślałem sobie też, że diabli mi wciąż podsyłają jakichś starców na druhów. Prawda, stary staremu nierówien, ten wstrętny a głupi, Dziaduś zaś całkiem kochany, kształcony, mędrzec, lubo Hlebowiczów okrutnie się bał, pan wielki (choć zdarzało mu się niechędoźnie jeść), a do tego rozkazów przykrych mi nie dawał, całkiem przeciwnie, to ja nad nim rządy sprawowałem, a on posłuszny był i wciąż mi wdzięczność swoją okazywał, i imię chciał zapisać, i do Ziemi Świętej prowadził, choć nie doprowadził.

Kończyliśmy jeść, kiedy drzwi się otworzyły i wiedźma stanęła na progu, niska, chuda, z włosiem bezbarwnym, rzadkim, w półpancerzyku na bezpiersi, laskę dzierżyła, co rączkę miała żelazną w kształcie obuszka, niby czekan jaki. Za nią weszli do alkierzyka Rosiński herszt i ów zbójca, co mnie za rękę tu przyprowadził, Witoszyński. Ten Witoszyński saganek przed sobą niósł z czymś gorącym; pociągnąłem nosem i już wiedziałem, z czym: drożdżami zapachniało, polewka piwna była. Wiedziałem, że przyjdzie mi z onym wstręciuchem z jednego garnca siorbać, i rzekłem prędko:

– Nie chcę ja jeść, jużem niegłodny.

To ów stary jadł sam, raz po raz przerywając siorbanie jakąś złośliwą uwagą. Najchętniej to na pana Witoszyńskiego najeżdżał. Że przepędzić go trzeba, bo to starostów szpieg. Mniszech albo Marcin Krasicki go tu nadesłał, a to sam Spytek Ligęza, zdrajca, któremu śmierć łaski odmówiła, wyparła się go i on umrzeć nie może. Pan Witoszyński jeno się uśmiechał w odpowiedzi, za to pan pułkownik rozgniewał się na tatula. – Zamilczcie – mówił – on mi wierny jak pies – mówił. Coś tam jeszcze mówił, gdy naraz odezwała się wiedźma w półpancerzyku (a głos miała niski jak chłop):

– Żaden to starostów szpieg, panie mężu! Ale i rycerz żaden! Trąba, fujara, duda, baranie kiszki. Jakże się to stało, panie Witoszyński, że się Tomko Błudnicki od ciebie uwolnił? Jakżeś dopuścił?

– Sto razy asani klarowałem...

– I dalej nie wiem. Żeby taki chłop jak ty...!

– Głową mnie rąbnął.

– A tyś się dał? Nie mogłeś uskoczyć?

– Ciemno było. Szedłem za nim, on odwrócił się nagle i jak nie rąbnie. Pociemniało mi w oczach.

– Jak pociemniało, kiedyś dopiero co rzekł, że ciemno było?

– Chciałem rzec: gwiazdy mi się pokazały. A on mnie zaraz kolaniem w żywot i kopytem na drogę. Poleciałem na zбитy łeb...

– Dwa razyś taki jak on.

– On zręczny. Ilu potem naszym dał radę!

– Prawda. Ale przecież ręce miał związane?

– Związane.

– Więc kto mu je rozwiązał?

– Sam. Mało tam ostrego było u panny Zosi?

– Zbrojownia cała – parsknął Stacho Rosiński. – A że ona mu pozwoliła!

– Ciemno, mościa pani – wyjaśniał Witoszyński. – Drżała ze strachu.

– Drżała, a co miała dać, to dała – odezwał się i ławy starzec.

– Leż waćpan – warknęła pani – nie smaruj córuni!

– A co, może nie? – Stary zaśmiał się okrutnie czegoś zadowolony. – Wyście go oblegali, a on tymczasem Zoche obiegł.

– A zaraz potem Pamiętowskiemu dłonie obciął – wspomniał pułkownik-zbójca, a ja widziałem, że dreszcz go przeszedł. – Straszny to mąż. Straszny – powtórzył i przeżegnał się.

– Wy go oblegacie, a on Zoche swadźbi – cieszył się stary.

– Cichaj ty! – zgromiła go małżonka. – Będziesz plótł, to za mąż jej nikt nie zechce!

– Czego cichać! – odezwał się syn. – Sama ona chodzi i wszystkim rozpowiada. Chełpi się tym jak łaską jaką.

– Bo głupia.

Witoszyński zabrał głos:

– Wszelako, panie pułkowniku, prawdę mówicie, że Błudnicki mąż straszny. I tak mniemam, że teraz strzec go się powinniście. Będzie on na was polował.

– A to dla jakiej przyczyny?

– Dla tej, żeście brata Gabriela bezbronnego zadźgali. Haniebnie on zborowi sprzyja, młody Błudnicki.

– Więcej niż waćpan? – spytała jadowicie pani Rosińska.

– Mnie nic do nich, mościa pani.

Pan pułkownik, odkąd Witoszyński nazwisko mojego przyjaciela wspomniał, siedział zaponurzony, zgryzota go gryzła, aż wreszcie się odezwał:

– Nie boję się ja go. Niech na mnie poluje.

– I upoluje! – przepowiedział pan Witoszyński.

Milczeli chwilę. Na koniec Rosiński-herszt powtórzył swoje:

– Nie boję się go. I pokażę ci, że się go nie boję! Wszystkim pokażę! Przekonasz się.

– Dla dziewczki to wszystko! – zawyła nagle pani Rosińska.

I trzask pułkownika w gębę otwartą dłonią. Chwycił się za policzek, ale słowa nie rzekł – jakże, mać bije, co tu powiesz?

– Dla dziewczki, ladacznicy, larwy, samopaski, mały heretyckiej! – rozwrzeszczała się pani. – Zabijasz, palisz, a grosza z gościńca nie ma komu przynieść! Dla matki życia byś nie naraził! Atlas czerwony jej dał! I

buty safianowe przyrzekł! Z matczynej skrzyni, tak? Gołą-bosą z torbami mnie puścisz? To takżem cię zbója wychowała? To taki szacunek dla ojca-matki? Sprowadzać wywłokę pod mój dach? Ty łajdaku! – I trzask go raz jeszcze po gębie. I z drugiej strony. I znowu z tej pierwszej.

Ależ pociecha była! Pułkownik struchlały, do nóg matce się kłaniający, ta zaś, jakby w nią biesy wstąpiły, wrzeszczy i pierze rabusia. – A mało rabujesz! A mało grosza przynosisz! A wstyd przed ludźmi! Już ja tych Błudnickich mam powyżej uszu! – zabiadoliła nieco spokojniej. – Jeden syn jak żaczek z Elżbietką się patyczkuje, zamiast wziąć ją po tatarsku. Drugi Błudnickiego spod noża wypuszcza. Napsuli mi oni krwi!

– Najechać i spalić! – zapiał bezzębny starzec.

– Cichaj, głupi! – osadziła go pani małżonka. I do syna z tym rozkazem się zwróciła: – Dziewkę masz mi stąd przegonić! Słyszałeś?

– Ależ, pani matko...

– Nie może w pocziwym szlacheckim domu hołodranka taka przebywać! Znam je, te młode – rozpustnica jedna w jedną. Patrzą jeno, gdzie by co urwać, a do sodomii przywieść. Na skarby nasze poluje, chłopka chciwa!

Nastawiłem uszu: nareszcie o skarbach rzecz! I żeby Lea spryciara na skarby się napała, no, no.

– Pani matko, toż to Wojnarowska – perswadował Rosiński. – Wielki ród...

– A co ona ma, ta twoja Wojnarowska, hę? Co nam wniesie prócz dwóch cyków? Błogosławieństwo pogańskie...? Błudnickiego pomstę! A o Bełzeckich pomyślałeś?

– Tak, jest jeszcze pan Bełzecki – wtrącił skwapliwie Witoszyński. – Waszej miłości nie wolno o nim zapomnieć. Kosturowcy są pod pana chorążego protekcją.

– Słyszałeś? – warknęła Rosińska.

Jej synalek nagle spokorniał:

– Tak, pani matko, słyszałem. Odeślę ją. Jedno jeszcze... No, odeślę – szybko zakończył widząc, że matka ręką znowu wymachuje.

– Uważaj, bo ją tymi palcami sama zaduszę – zagroziła, a mnie się zdawało, że jej z gęby skry poleciały. – Nie para ona dla ciebie! Rosiński jesteś – przypomniała dumnie.

Pułkownik przyklęknął i pocałował kraj szaty wiedźmy w półpancerzyku. Ona dłonie chude na głowie mu położyła.

– Błogosławię cię, synku, i do poczciwości wzywam. Byś był godny matki swojej cnotliwej i ojca rycerza. Nie masz w okolicy drugiego takiego domu jako nasz, gdzie by tak cnotliwie żyli, i winieneś się tym pysznić. A teraz marsz! Precz mi z oczu!

Po tych kłótniach a błogosławieństwach wyszli tamci i ja zostałem sam z onym głupim starcem. Zmierzch zapadł, światła ani śladu, nawet lampka pod obrazem Matki Boskiej zimna, bez oliwy. Nuda mnie żre, stary chrapie, przymknąłem i ja oczy, ale zaraz mnie strachy obleciały, w lesie ciemnym się znalazłem, na próżno wyjścia szukam, bo co na ścieżkę natrafię, to w poprzek ciało ciężkie się brzuszcy niby kadź ogromna. Bracie Gabrielu, szepnąłem, przepuść, ale on nie puszcza, więc otworzyłem oczy i starałem się nie spać. W izbie ciemno, miesiąca ni śladu, wkrótce zacznie się nowy.

Do ściany przywarł ogromny brat Gabriel, rozpostarł ręce i zasłonił drzwi. To dlatego wyjść nie mogłem, zrozumiałem. Dreszcz mną wstrząsnął, zimno brało przenikliwe, a stary nochal nic, chrapie i świszczy, niech go pioruny. Naraz drzwi skrzypnęły, skuliłem się, Gabriel idzie, Gabriel, teraz mi on da, pomyślałem i dotknąwszy pierścienia zakląłem pośpiesznie: ęsim-kęsim, zgiń przepadnij. Pomogło – na progu stał całkiem kto inny, pan

Witoszyński. Poznałem go po wzroście i po czymś jeszcze, sam nie wiem po czym, tyle że wiedziałem, iż to on i nikt inny. Przemówił:

– Cyryl.

– Tak – pisnąłem, bo głosik ze strachu miałem słabiutki.

– Jak ty?

– Boję się.

Objął mnie ramieniem i przytulił drżącego do siebie.

– Śpi? – spytał usiłując w ciemności dostrzec starego.

– Śpi.

– Chodź – szepnął.

Nie puszczałem już jego ręki. Wyprowadził mnie na dwór, przeszliśmy na ukos dziedziniec, aż trafiliśmy do szopy, gdzie na sianku spali pokotem panowie zbójcy. Ułożył mnie Witoszyński obok siebie na derce, nakryliśmy się kożuchem.

– Teraz ciepło? – spytał.

– Aha. – Szepnąłem mu do ucha: – Ale nie wszyscy zbójcy są źli.

– Śpij.

– Bo ja myślałem, że wszyscy.

– Śpij – powtórzył.

Mnie co inszego trapiło.

– Nie wiedziałem, że między zbójcami są pułkownicy – powiedziałem.

– Sam on się mianował.

– A co na to hetman?

– Śpij.

Szturchnąłem go:

– Waćpanie...

– A?

– Skarbów to tutaj jakby nie było.

Mruknął:

– Głupi to i rabować nie wie jak.

– Waćpan by wiedział lepiej?

– Jezu, ależ utrapienie z tobą. Chłopcze – mówił owiewając mnie ciepłym oddechem. – Niebezpieczeństwo nad tobą wisi. Dodumali się, żeś świadkiem zbrodni, chociażś mały, topić cię zechcą, a ty wciąż o skarbach.

Pomyślałem sobie, że przecież nic mi się nie stanie. Miałem pierścień czarownicy i wprawdzie powiadał brat Gabriel, że to Leliwów sygnet, jednakże był na nim półmiesiąc z gwiazdą chaldejską i cuda, jakich mi trzeba, będzie czynił. Z każdej opresji się wywinę, pomyślałem. Znowu szturchnąłem onego zbójcę:

– Waćpanie...

– Hm – mruknął.

– A ona gdzie?

– Kto? – spytał sennie.

– No ona. Lea. Gdzie?

Uniósł głowę.

– Ona? Prawda, nie wiem. Ukrył ją gdzieś. A może zamordował – dodał po namyśle.

Tak mi się wydało, że los Lei niewiele go obchodzi. Zasnął zaraz i dołączył swój oddech do oddechów swoich kompanów zbójców. Siano cierpko pachniało, więc i ja niedługo się tylko wierciłem i w końcu zasnąłem, i spałem mocno, bez snów. Obudziło mnie szarpnięcie i szept:

– Cyryl, wstawaj...

Wygramoliłem się spod ciepłego kożucha i chłód poranny mnie szczypnął. Brzask zaglądał przez szczeliny do szopy i kładł się szarością na sianie. Można było odróżnić pojedyncze źdźbła. Pan Witoszyński zapiął rzemyki swojego półpancerzyka, potem na mnie narzucił jakiś kaftan nie

najgorszy, lubo nieco przydługi, i przewiesił przez moje ramię torbę ze zgrzebnego płótna. Zajrzałem do środka: było tam ćwierć bochna chleba i kawał słoniny.

– Chodź, wymkniesz się – powiedział cicho Witoszyński i ujął mnie za rękę.

Szliśmy szybko majdanem. Kogut rozpiął mi się za plecami, słyszałem skrzyp żurawia i chlupot wody w wiadrze, czyjś głos klął chłód, jakiś inny narzekał na zdradziecką gorzałę i zaraz przypomniał mi się tamten przedświt, kiedyśmy z Dziadusiem i moim przyjacielem wymykali się z Sańska. Doszliśmy z panem Witoszyńskim do wrót, przed którymi stał zbójca z półhakiem.

– Stój! – zawołał. – Dokąd?

– Gdzie starszy? – spytał pan Witoszyński. Zupełnie go nie poznawałem: brwi nasępione, głos nie znoszący sprzeciwu.

Na górze otworzyło się okienko i wyjrzał zbój-ptak, znajomy mi wążacz.

– Czegój? – spytał.

– Kto wpuścił do warowni tego chłopca? – spytał groźnie pan Witoszyński. – Ty?

– Nie pamiętam.

– A różgi chcesz?

– Wasza wielmożność, nic takiego się nie stało, ot, chłopiec przeszedł, bezbronny przecież.

– A nie szpieg Błudnickich? Pewny jesteś?

Terazem nie na żart zadrzał: Witoszyński zdrajca, a mnie koniec! Bo i ów wążacz rzekł:

– Jak wasza wielmożność go podejrzewasz, to kamień mu uwiążem u szyi i do wody.

– Dobryś sobie – na to pan Witoszyński. – Będziesz ty uczył pułkownika, co z wylegańcem takim robić. Ma iść stąd precz! Natychmiast! Otwieraj wrota!

Ten na dole prędko otworzył, a ten z góry jeszcze go zwymyślał, że za wolno. Pan Witoszyński wypchnął mnie na zewnątrz pokrzykując:

– Ścieżką przez las i nie ma cię! Zrozumiałeś?

– Tak, wasz wielmożność.

– I milcz o tym, coś tu widział, bo cię znajdę i będzie ci kryska!

– Przysięgam Bogu...

– Precz! Zawierać wrota!

Nawet nie spojrzałem za siebie. Biegłem łąką do lasu i dopiero kiedy stanąłem pod jego ciemną ścianą, obejrzałem się za siebie. Pierwsza poranna różowość już obmywała one bukowe i cisowe bierwiona warowni. Przytknąć żarzącą głownię i pójdzie to z dymem, przypomniałem sobie słowa brata Gabriela. Wszedłem w on ciemny las. Ułamałem gałąź, która mi się na kij nadawała, i podpierając się nią zstępowałem ścieżką w dolinę. Kosturowiec jestem, pomyślałem, ęsim-kęsim, zaraz głos Boży posłyszę. Zacząłem zmawiać pacierze i to tak na zapas, bo mi się brat Gabriel przypomniał, więc za jego duszę, no i że w lesie ciemno i straszno, choć ścieżka wyraźna, no i w ogóle, żeby ów głos Boży posłyszeć, a może iżby się przed nim opędzić, sam dobrze nie wiedziałem, bo trochę się tego kosturowstwa obawiał. Będzie dolina jasna, pomyślałem, a potem wzgórze, a potem las zielony ze ścieżką nieco szerszą.

I tak było. Znalazłem się w dolinie, którą potok przecinał. Przebrnąłem go skacząc po kamieniach. Potem mnie woda czyściutka skusiła, więc napiłem się i chłód mi zalał wnętrzności. Pomyślałem zaraz o chlebie, który miałem w torbie, a którego już wczoraj u zbójników próbowałem, a był tak cudnego smaku, że jeno raz jeden podobny jadłem z Dziadusiem-księciem

w Kozłowie u Szcześniakowej, co się sławia jeszcze tym, że miała córkę najurodziwszą w powiecie, więc ten to zbójnicki chleb zaczął mnie korcić, poczułem głód – siadę, myślę, i zjem – alem przypomniał sobie, że przecież mogą za mną gonić, a jak złapią, to topić zechcą w wodzie zimnej – nie, jeszcze nie pora śniadać, dalej w drogę, Cyrylku. To szedłem dalej, wspinałem się pod górę, raz po raz podskakując, choć kafan ciążył, zgrzałem się nieco i stanąłem, ażeby zaczerpnąć tchu. Wtedy zobaczyłem na wzgórzu postać dziewczęcą. Siedziała w słońcu przygarbiona, bez ruchu, jakby posągiem była. Cóż to za pasterka? – pomyślałem i zarazem się ucieszył: może nam po drodze, to pójdziemy razem, będzie do kogo usta otworzyć.

I pobiegłem zwawo ku niej poprzez korzenie i grudy. O rzut kamieniem od niej zatrzymałem się, żeby znowu zaczerpnąć tchu, i mogłem już odróżnić włos miedziany, ramiona szczupłe, twarz pociągłą, znajomą – choć wciąż bokiem do mnie była obrócona. Szedłem ku niej cicho, a myśli się we mnie rozlatały trzepoczące. Skąd się tu wzięła? Czy uciekła? Czy wie, że jest wdową? Nic nie powiem, postanowiłem, lepiej się poradzić pana Błudnickiego, bo jeszcze jakieś głupstwo zrobię, mały jestem, myślałem, a mały zawsze głupstwo robi, a potem przed dorosłymi oczyma świeć. Ale smętna ona taka była, jakby wiedziała. Zbliżywszy się ku niej na kroków kilka, odezwałem się:

– Hej, Lea.

Obróciła ku mnie głowę i przyjrzała mi się nieufnie.

– Znasz mnie? – spytała.

– Znam.

– Z Teleśnicy? – spytała.

– Z koczowiska. Sałamachę razem jedliśmy. – Dodałem: – Słyszałem, jak Panu śpiewasz.

– To ty z rycerzami byłeś?

– Z panem Błudnickim. Co tu robisz, Lea? – spytałem.

– A ot. – Wzruszyła ramionami. – Do domu wracam.

– Do Sańska?

– A gdzieżby?

– I ja do Sańska. Pójdę z tobą.

– Jak chcesz – powiedziała i nie ruszyła się z miejsca. Nagle ni stąd, ni zowąd:

– Przepędził mnie.

– Kto? – nie zrozumiałem.

– Pan Stacho. Znudziłam mu się i przepędził. Wczora o zmierzchu.

Nie wie nic, domyśliłem się. To i nie powiem. Musiałem sobie to postanowić raz jeszcze, bo korciło, żeby mówić. O zmierzchu ją przepędził, pomyślałem, to gdzie się podziewała?

– Nocowałaś na polu? – spytałem.

– Nad potokiem.

– Zziębłaś?

– Aha.

– A bałaś się?

– Okrutnie.

– Zły on, że cię tak o zmierzchu przepędził.

– A przedtem klął się, że miłuje.

– Chodź, pójdziem dalej, nie mogę ja tu siedzieć, bo za mną gonią.

Pomogłem jej wstać, bo mi się wydała osłabiona. Wtedy zobaczyłem obok niej wiaderko z klepek z pokrywą szczelnie wciśniętą.

– Co to? – spytałem.

– Od niego – odpowiedziała.

– Az czym?

– Z miodem.

– Ech, z miodem – powiedziałem rozczarowany, bom przez chwilę się był spodziewał, że wiadro pełne dukatów.

– Na pożegnanie dał – mówiła. – Powiada, że dobry miód. Niczym innym nie obdarzył, ani atłasu, ani... Miód, powiada, masz, ponieś go ojcu, bo lepszych pszczół jak w Teleśnicy nigdzie nie ma. A nie otwieraj, powiada, po drodze, bo się zepsuje.

– Pomogę ci nieść – zaofiarowałem się.

I tak szliśmy we dwoje, ona teraz jakby trochę weselsza, dzięki mojej kompanii, a może od tego, że słońce wzeszło wyżej i chustkę czerwoną barwiło, którą sobie włosy przewiązała. Wdowo, nic ty nie wiesz, pomyślałem, nic z tego, co Cyryl wie.

– Tak i przepędził – odezwała się.

– Gdzie twoje warkocze? – spytałem.

– Ścieli.

– Kiedy?

– Jak ślub brałam.

– Dawno? – spytałem.

– Ósmy dzień poszedł.

– I zaraz po ślubie zabrał cię pan Rosiński mężowi?

– Na piąty dzień. Wpadł z ludźmi, noże naszym do gardeł przystawił, mnie do kolebki – i uwiózł.

– Ciężko z tym miodem – mruknąłem.

– Daj, poniosę.

– Nieś.

Zwróciłem jej wiaderko.

– Po co ci on? – wyrzekłem. – Rzuć wiadro, sporzej nam pójdzie.

– Niczym mnie nie obdarzył, jeno tym – powiedziała.

– A gdzie twój małżonek? – spytałem, bo chciałem się wywiedzieć, co ona wie.

– W Sańsku pewnie – odpowiedziała.

– Nie przyszedł po ciebie? – udałem zdziwienie.

– Nie.

– Powinien był przyjść.

– A co by to dało? I tak mnie Stacho w końcu zwolnił.

– Boś mu się znudziła – przypomniałem.

– Tak – przyznała. – Tak mi w oczy powiedział.

– A czymżeś go tak znudziła? – zaciekało mnie.

– Kto tam wie. Zmienny on taki, kapryśnik.

Westchnęła przy tym. Nic nie rozumiałem, pewnie dlatego, że byłem mały.

– Spróbujmy tego miodu – powiedziałem.

– Stacho nie kazał otwierać.

– Bo może tam wcale nie miód.

– A co?

– Może dukaty.

Potrząsnęła wiadrem: zachlupotało.

– Dukaty by dzwoniły – powiedziała. – Nie, niczym cennym on mnie nie obdarzył, jeno miodem zwyczajnym.

– To spróbujmy – powtórzyłem. Już dalej iść nie chciałem, takim się tego miodu napał. – Zobaczymy, czy taki dobry, może wcale nie warto go dźwigać. Siadaj, Lea, mam chleb cudowności, poczęstuję, z miodem zjemy.

Postawiła wiadro na ziemi, a ja wziąłem się do odkręcania owej szczelnej pokrywy. Dobra bednarska robota, już by sam mistrz Gabriel lepszej nie zrobił. Lea, także owego miodu chciwa, zaglądała mi przez ramię.

Znajdowaliśmy się na otwartej drodze, w pobliżu tego miejsca, gdzie jej małżonka wczoraj spotkał. Słońce stało wysoko i poczułem, że jestem zgrzany.

Zanurzyłem palec w miodzie i oblizałem go.

– Dobry – powiedziałem. – Łam chleb, w saku jest.

Ona też palec zanurzyła i zaraz go cofnęła.

– Tam coś jest – powiedziała i wyprostowała się. – Coś twardego.

Zanurzyłem rękę i dotknąłem czegoś, co miało na sobie futro. Chwyciłem je i wyciągnąłem – głowę, co ociekała miodem. Głowę brata Gabriela.

Podniosłem ją wysoko i pokazałem Lei. Krzyknęła: „Nie!” Dwakroć tak krzyknęła. Po czym zaczęła powoli osuwać się na ziemię.

Ja stałem chwilę z oną głową nie wiedząc, co robić. Więc to tak, myślałem, tak to jest. Słyszałem głos pułkownika: Pokażę ci, pokażę, że się go nie boję. Położyłem głowę brata Gabriela na trawie. Miała zamknięte oczy.

Lea leżała zemdlna, uciekła od naszego świata w niepamięć. Teraz widzisz, że przyszedł po ciebie twój mąż, mówiłem do niej w duchu. Teraz widzisz, że niezwykłym miodem obdarzył cię twój miłośnik. Tak to, Lea, tak, wcale inaczej jest, niż myślałaś. Włożyłem na powrót głowę Kowacza do wiadra i przymknąłem je szczelnie pokrywą. Zbiegłem na dół do strugi i umyłem ręce z miodu. Kiedym wrócił, Lea wciąż leżała bez czucia. Położyłem mokre moje dłonie na jej czole. Drgnęła.

– Wstawaj, Lea – mówiłem. – W drogę nam czas.

Otworzyła oczy.

– Ach, to ty – powiedziała z westchnieniem. Rozejrzawszy się dokoła spytała: – Już jej nie ma?

– Kogo?

Usiadła i objęła rękami swoje kolana.

– Głowa zniknęła? – spytała.

– Nie – odpowiedziałem, bom był mały i nierozumny. – W wiadrze jest.

Zaczęła cichutko płakać. Słuchałem trochę tego płaczu, wreszcie powiedziałem:

– Chodź, Lea, pójdziemy... Mamy szmat drogi.

Płakała dalej.

– Z wiadrem będzie się dłużej szło – dowodziłem.

– Nie! – wzdrygnęła się. – Nie, nie. Zostawimy je tu!

– Co ty, Lea? Jakże tak? Sądom głowa potrzebna... I pogrzeb jej trzeba sprawić zacny. Brat Gabriel ludzki był człowiek, choć i bednarz prosty. Wszakże ci to twój pan mąż!

Płakała. Wtedy zaofiarowałem się:

– Nic się nie martw, ja wiadro poniosę.

I chociażem był mały, dźwigałem cały czas ono wiadro straszliwe. Lea szła za mną bez słowa, czasem tylko cichutko popłakując. Przed zmierzchem popas uczyniłem, nałamałem chleba ze słoniną. Lea pozwoliła mi się nakarmić, napiła się wody z potoku, a potem ułożyliśmy się pod moim kaftanem i spaliśmy przytuleni do siebie, żeby było ciepłej. Ale Lea dygotała przez sen, choć rozpalona, i ja długo nie mogłem zasnąć. Obok stało wiadro z głową brata Gabriela i co otworzyłem oczy, to ją widziałem, jak trzymam za włosy ociekającą miodem.

Z brzaskiem ruszyliśmy w dalszą drogę ku Sańskowi. Na gościńcu trafił się wóz kmiący, co do miasta podązał. Zabrał nas ten kmić i dzięki temu przybyliśmy do Sańska jeszcze do południa.

ROZDZIAŁ XV

Tam zobaczyłem swojego przyjaciela.

Wołano: Lea! Lea wróciła! On powstrzymał ciekawskich: Precz od niej, precz, do roboty. Sługa Boży Wojnarowski zdjął córkę z wozu i na rękach poniósł do domu. Na mnie nikt uwagi nie zwrócił. Jeno on.

– Więc jesteś, Cyrylku – powiedział przypatrując mi się pilnie. Marnie musiałem wyglądać w przydużym kaftanie. Poniósł mnie mój przyjaciel do góry i powiedział zafrasowany: – Czółko masz pomarszczone, jakby się coś trapiło. A postawiwszy mnie na ziemi zadał to pytanie, którego się najbardziej obawiałem: – A koń, Cyrylku? Gdzie twój koń?

– Zabrali – powiedziałem i chlipnąłem.

Nie wnikał więcej w tę rzecz, jeno spytał:

– Jeść chcesz?

– Chcę.

– Pójdziemy. Prowadzą tu oni gospodę, gdzie przyjezdni mogą stanąć. Zaraz koło naszego domostwa.

Trzymał mnie za jedną rękę, a drugą niosłem wiadro. Słyszałem, jak chlupotało i głowa brata Gabriela uderzała o klepki.

– Co tam taszczysz? – spytał pan Błudnicki.

– Miód – odpowiedziałem.

– Poczęstujesz?

Przywidziało mi się, że unoszę pokrywę, że sięgam czerpakiem po miód, a stamtąd oczu dwoje na mnie patrzy, martwych i strasznych.

– Nie – odpowiedziałem. – Nie, wasza miłość.

– Chciwyś.

– Tak, wasza miłość.

Może już wtedy pomyślałem sobie, że ludzie często nam brzydkie przymioty przypisują – chciwyś, lekkiś, sobekś – nie usiłując przeniknąć naszych intencji. Po pozorach nas sądzą – prędko i bez odwołania. A może wtedy wcale tak nie pomyślałem, przecieżem był mały, jeno poczułem, że jestem krzywdzony.

– Dajcie nam sałamachy – powiedział Błudnicki do dziewczki nowochrześcijańskiej, która w gospodzie posługowała.

Siedliśmy za stół i jedliśmy w milczeniu gorące, dopóki mój przyjaciel pierwszy się nie odezwał.

– I co ciekawego powiesz, Cyrylku?

– Ano nic, wasza miłość – odpowiedziałem.

– Jakże tak nic? Przecieżem siła przeżył i widział.

– Ano tak, wasza miłość. Chyba tak.

– Dalekoś zaszedł?

– Oho... Pewniem był już pod samym Jeruzalem.

– Łziesz, braciszku.

– Za Dniestrem rzeką byłem.

– Stamtąd do Jerozolimy szmat jeszcze. A konia gdzieś zgubił?

– Tam – odpowiedziałem. Na samo wspomnienie pot mnie oblał. – Wsiadł na niego jeden Multan, żeby spróbować, czy ścigły. – Zobaczyłem jego smagłe oblicze, obwisłe wąsy, wyszczerzone w słodkawym uśmiechu zęby. Komplementował mnie, że jestem mądry, i konia, że posłuszny. – Miał do lasu dojechać i zawrócić – wspominałem.

– I uciekł? – domyślił się pan Tomasz. – Kłopot teraz, Cyrylku. Przecież to koń pana Dydyńskiego, przyrzekłem zwrócić. A z czego? Nie mam ja fortuny, Cyrylku, wszystko zastałem rozdrapane.

– Ja panu Dydyńskiemu mogę służbą odrobić – zaofiarowałem się.

– Potrzebuje on twoich służb...! Jedz. Żurem gorącym popijaj.

To jadłem, piłem. A naraz odezwałem się:

– Wasza miłość, chciałbym Dziadusia zobaczyć.

– Kniazia? Nie ma go już z nami – odpowiedział mój przyjaciel. – Pojechał twój kniaź do domu przedwczoraj.

– Hlebowicze go porwali! – wykrzyknąłem przerażony.

– Nie, syn jego własny tu przybył, Jerzy, młode i zacne książe. Akurat na czas nadjechał, kiedy Dziaduś, osłabłszy na ciele, za wygodami i smakołykami zatęsknił. Jeno musiał zaprzysiąc syn, że mu żadnych dygnitarstw, Dziadusiowi, nie szykują, wojewodą ani marszałkiem wielkim litewskim siłą go nie mianują i zdolności jego niezwykłych przed społecznością nie zdradzą. Jednakowoż mieszka w tym starym jakiś obłęd, chociaż postronnym niegroźny.

A mnie się łzy w oczach pokazały.

– Dziaduś dobry był – szepnąłem.

– A takeś na niego sarkał – wypominał mi pan Tomasz.

– Nie, dobry – powtórzyłem. Zjadłszy wszystko do końca, poklepałem się po brzuchu: – Kursak jaksity – powiedziałem, jakem to słyszał między Tatarami, a to się pełnego brzucha tyczy. – A u waszej miłości jak? – spytałem. – Wszystko dobrze?

– Dobrze – odpowiedział mój przyjaciel, ale tak mi się zdało, że aby zbyć.

– Mam izbę na poddaszu, to się w niej ułożysz. Daj wiaderko, poniosę ci.

– Nie, ja sam! – zawołałem i złapałem za uchwyt.

On się trochę zdziwił, ale nic nie powiedział, pewnie pomyślał, że dzikus, ale nic, wychowamy, no i wziął mnie za rękę. Na wschodach puścił mnie przodem, za ciasno było na nich dwóm naraz.

– Wąskie budują wschody nurkowie – zauważyłem.

– Umyślnie – usłyszałem za sobą głos mojego przyjaciela.

– I drzwi, i wrota, wszystko wąskie.

– Bo powiedziano, że „szerokie wiodą wrota do zatracenia”, rozumiesz?

Nie rozumiałem.

– I powiedziano jeszcze – mówił dalej – że do królestwa niebieskiego jeno ciasnym przejściem przedrzesz się.

– A dlaczego?

– Sam sobie odpowiedz. Pomyśl jedno: kto wrota okazałe buduje?

– Moźni?

– Widzisz. Więc nowochrzczeńcy, że do zbawienia dążą, ledwo się przez drzwi przecisną.

– Ja u siebie szerokie wrota zbuduję – obiecałem sobie.

– Nie boisz się, że do piekła pójdiesz?

– Nie. Mnie tam – za co? Za nic?

Nagle zerknąwszy na pana Błudnickiego, zaniepokoiłem się, czy przypadkiem przez ten czas na kosturowca się nie przechrzcził. Spytałem go o to, a on w odpowiedzi uśmiechnął się.

– Przecież widzisz, że szablę noszę.

– To co tu u nich czynisz? – spytałem.

Staliśmy w izbie gościnnej, gdzie znajdowały się ławy do spania niczym nie zasłane, cztery ich było, pod ścianami stały. Nad drzwiami wisiał krzyż drewniany, nieozdobny.

– Co tu czynię? – powtórzył za mną pan Tomasz. – Dobrze, powiem ci. Przybyłem tu z ludźmi porozmawiać i na tę właśnie izbę popatrzeć. Nic w niej takiego nie ma, prawda? – Kwinąłem głową, że prawda. – Jednakże to jest izba, w której ojciec mój nieboszczyk nocował po raz ostatni. Spał na tej ławie pod oknem. Podesłano mu skór owczych pęk i wełnianą derką okryto. Na tej ławie obok spał syn przysposobiony Gedeon. Dalej pan Toroszewicz, zarządca, i pan Ławrowski, zauszniak ojcowy, były woźny, którego ojciec przygarnął, gdy ów w tarapatkach się znalazł po złożeniu

falszywej przysięgi. Haniebna to rzecz krzywoprzysięstwo, dla woźnego szczególnie, jako że prawa ma strzec, i nie wiem doprawdy, czym powodował się ojciec, że mu schronienia udzielił. Może miłosierdziem zwyczajnym, za co nikt go potępiać nie śmie. Uważ dobrze, Cyrylku, jak to byto, i teraz spróbujmy społu rzecz ogarnąć. Pierwszy o świcie obudził się pan Toroszewicz. Patrzy, a ława jego wielmożności, to jest ojca mego, jest pusta. Wymknąć się zdążył i nie wiadomo dokąd. Toroszewicz nie podniósł hałasu, bo kto wie, pomyślał, może jego wielmożność do jakiej arianeki cichcem poszedł. Zaczął sprawdzać, jak z innymi, i pokazało się, że nie ma także pana Ligęzy, którego znasz, a który, jako że charakter ma wygodny i wielkopański, spał w sąsiedniej izbie sam jeden.

– Może razem oni poszli? – przyszło mi na myśl.

– Może. I mnie to po głowie chodzi. Ale miał potem tłumaczyć pan Ligęza Toroszewiczowi, że poszedł szukać ojca mego, kiedy obudziwszy się spostrzegł, że go nie ma.

– Waćpan pana Ligęzę sam o to spytaj – poradziłem.

– Uczynię to, bądź pewny.

Bardzo mnie to wbiło w pychę, że radą moją nie wzgardził, więc jeszcze spytałem:

– A dlaczego to takie ważne?

– Dlatego, że ojciec mój już do gospody nie wrócił. Znalezione go dwa dni później na przymarzłym błocie. Serce miał nożem przebite, a twarz kamieniami pogruchotaną. Ja teraz mordercy szukam.

– Żeby śmierć ojca pomścić? – spytałem.

Twarc mu jakby pociemniała.

– Tak – odpowiedział wreszcie. – Żeby śmierć pomścić.

– Ale waćpan już czegoś się domyślasz? – spytałem, okrutnie rozciekawiony.

– Nic, niczego. Wielu ich mogło być, tych morderców, ale na żadnego nie ma pewnego dowodu. Oni tu, w Sańsku, coś wiedzą, ale mówić nie chcą.

Pomyślałem sobie wtedy, że może ja wiem coś, czego inni nie wiedzą. Przypomniałem sobie, co mi brat Gabriel mówił, żebym pierścień panu Błudnickiemu pokazał. Ale ja nie od razu pokazałem, bo mi żal było się z nim rozstawać, zapytałem jeno ostrożnie:

– A na których błotach waszmościów ojca znaleziono?

– Za Sańskiem – odpowiedział.

– Tam gdzie sitowie?

– Obok.

– Na drodze do smołami?

– Tam. A ty skąd wiesz?

– Przejeżdżaliśmy opodal, jak na pana Ligęzę trafiliśmy. Waćpan pamiętasz, jak ja w sitowie za potrzebą się oddaliłem?

– Jeszcze co miałbym pamiętać! – parsknął pan Tomasz.

– A popatrz waćpan, co wtedy znalazłem. Popatrz jeno.

Błysnąłem złotym pierścieniem. Mój przyjaciel wziął go ode mnie i przez chwilę ważył w dłoni.

– Leliwów znaki – powiedział. – To ojca musi być pieczęć. Czemuś mi naonczas nic nie rzekł?

– Myślałem, że turecki.

– Ojca mojego. Ale go nie pamiętam. Musiał sobie go sprawić po moim odejściu. – Pan Tomasz mówił w zamyśleniu: – Dziw, że morderca upadku pierścienia nie zauważył. Dziw, że z trupiego palca się ześliznął.

– Drogi to pierścień? – spytałem.

– Nie – odpowiedział mi.

A ja znowu: – A cudowny on?

– Ojcu mojemu szczęścia nie przyniósł – powiedział mój przyjaciel. I schował mój pierścień do trzosa. Musiałem mieć bardzo wydłużoną minę, bo zagadnął mnie z przebiegłym uśmiechem: – Niezadowolonyś?

Czułem, że się czerwienię.

– Wasza miłość – bąknąłem. – Przecież on drogi.

– A koń? – przypomniał pan Tomasz mrużąc oko. – O koniu moim zapomniałeś?

Westchnąłem ciężko: prawda, koń...

– Pójdzie pierścień za konia – rzekł on. – Dobrze?

Zgodziłem się. Pacnęliśmy się dłońmi na zgodę, jak kupcy na jarmarku.

Pan Tomasz spytał:

– Pokazywałaś go już komuś?

– Nie, nikomu. – Zaraz przypomniałem sobie: – Bratu Gabrielowi jeno.

– Więcej nikomu? Na pewno?

– Na pewno, panie.

On naraz zwrócił uwagę na poprzednie moje słowa.

– Powiadasz, że bratu Gabrielowi? Toś ty go widział?

– Tak, panie. U zbójców z nim byłem, w Teleśnicy.

– Chłopcze! – zawołał przejęty. – A on gdzie? Co się z nim stało?

– Zabili go.

– Jesteś pewien?

– Widziałem. Sam widziałem. Rosiński zabił. Lea nie widziała, tylko ja.

Zabił go herszt, a potem głowę mu uciął.

– Boże święty! Głowę uciął? – pytał rozdygotany.

– Tak. I dał ją Lei.

– Lei?

– Tak. Lei dał. Przynieśliśmy ją.

– Gdzie jest?

– Tutaj.

– Gdzie? – zniecierpliwiał się.

– Tu, w miodzie.

Wtedy dopiero wzrok jego padł na wiadro, które stało na podłodze. Myślałem, że każe mi je otworzyć, że zechce przyjrzeć się głowie, ale nie, wcale nie zechciał patrzeć. Dyszał ciężko. Naraz przygarnął mnie do siebie, a ja wybuchnąłem płaczem. On ścisnął mnie w objęciach i uspokajał. No, no, rycerzyku, mówił, no, no, krzyżowcze, cichaj, cichaj, mamrotał gładząc rozszlochane moje plecy.

– Lea... Lea to niosła nie wiedząc – opowiadałem krztusząc się słowami.

– Powiedzieli jej, że miód... Dopiero ja... ja do niej: otwórz, spróbujemy... Palec zanurzyłem, oblizałem... O, wasza miłość! Jacy oni straszni! Straszni i głupi!

– Ukarzemy ich – zapewnił mnie mój przyjaciel.

– Tam w Teleśnicy wojska moc. Koni pełno.

– Ukarzemy – powtórzył. – Ma tu zjechać pan Wolski, starosta jurydyczny, razem wyprawę obmyślimy. Chcesz, wezmę cię do siebie do Błudnik, będziesz przy siostrze mojej pazikiem.

– Kiedy u waszmości fortuna rozdrapana – na to ja zafrasowany.

Mój przyjaciel uśmiechnął się.

– To ty byś w zamku jakimś chciał mieszkać, tak?

– Kto by nie chciał!

– To będziesz. Poproszę pannę Bełzecką, to cię do służby weźmie. U niej ksiąg mnogość i malowideł, i posągów, i złoceń. Pozytywki są, teatr z marionetkami nakręcanymi, instrumenty muzyczne.

Spytałem podejrzliwie:

– A kto to jest panna Bełzecką?

– Panna – odpowiedział.

– No, toście już rzekli. O niej to wspominał pan Ligęza, że w puchach chowana?

– O niej.

– A urodziwa? – spytałem. Bo chciałem, żeby moja pani była urodziwa. Inna ochota takiej służyć, a inna, kiedy maskara przerażająca.

– Nie znam wdzięczniejszej – powiedział pan Tomasz. Był lekko zarumieniony, gdy wyznawał (czyniąc to z pełnym zawstydzenia uśmiechem): – Ja ją miłuję.

Znowu ktoś przede mną najtajniejsze miejsca duszy odkrywał.

– Będiesz się wasza miłość żenił? – spytałem.

Rozłożył bezradnym ruchem ręce.

– Książę się do niej swata Ostrogski, pierwszy senator Rzeczypospolitej.

– O, psie ryło! – zakląłem.

Siedzieliśmy potem na ławie zmęczeni, ja przytulony do boku pana Tomasza, przed nami stało na podłodze wiaderko szczelnie przykryte. Mój przyjaciel nadal nie śpieszył zajrzeć do niego.

– Konie słyszę – powiedział i podszedł do okna. Ja stanąłem obok niego. Patrząc: sunie ku gospodarzowi szlachcic zbrojny z famulusem siwawym i kilkoma pocztowymi.

– To pan Wolski – oznajmił mój przyjaciel. – Szykuj się, Cyrylku, będziesz musiał na pytania odpowiadać.

Zeszliśmy na dół. Przed onymi wąskimi drzwiami zatrzymałem się, żeby pana Błudnickiego przodem puścić, i natenczas zwierzyłem mu się z jednej myśli, co mnie trapiła:

– Wasza miłość, a przecież ten herszt teleśnicki głupi srodze.

– Zauważyłeś! – pochwalił mnie z uśmiechem.

– Śmieje się, kiedy nie trza. Chełpi się też czym nie należy – przypomniałem sobie. – A jeszcze tam starzec jest nie bardzo stary...

(Ojciec jego – podpowiedział mój przyjaciel). To ten ma całkiem głowę popsowaną. I mać ich, pani Rosińska, też.

– Co też?

– Głowę ma nie w porządku. Wciąż pokrzykuje, jaki to ich dom cnotliwy a poczciwy, innym na wzór. A przecież sama zbójczyni! Jakby jej coś na rozum padło.

– A ty czegoś się spodziewał? – na to mój przyjaciel. – Rozumu wielkiego? – Nasepiwszy się powiedział surowo, jakby mnie upominał: – Zbrodnia jest obłąkana.

Zdaje się, że powtórzył to zdanie dwakroć. I znowu słyszałem jego słowa: – Kto na drugiego człowieka poluje, to albo głupota w nim siedzi, albo bies. Od nierozumu to wszystko.

A ja znowu się zaniepokoiłem, czy on się na nowochrzczeńca nie przelęknie, bo wtedy żegnajcie skarby, żegnajcie panny urodziwe i wszystko inne. Ale nie było czasu na rozważania, bo już ku nam szedł pan Piotr Wolski z wyciągniętą prawicą. Przywitawszy się z moim przyjacielem, poklepał mnie po ramieniu.

– Wróciłeś z Ziemi Świętej Cyrylu – powiedział, a jam się zdziwił, skąd on to wie i jeszcze imię moje zna. – Dobrześ uczynił, bo cię na pewno będziemy potrzebować. – I do pana Tomasza: – Dowiedziałeś się czegoś od sług Bożych?

– Milczą – odpowiedział krótko mój przyjaciel. – Milczą jak zakłęci. Za złe mi mają, że opyt wszczynam. Waćpan wiesz o rapcie i zbrodni Rosińskiego?

– Wiem – i to od ludzi Rosińskiego. Uciekli od niego niektórzy i mnie służby zaofiarowali.

– Waćpan ich przyjmiesz?

– Wybadam każdego z oddzielną i kogo sprawiedliwości oddam, a kogo, pokutę mu zadawszy, wezmę.

– Może skoczyć nam na Teleśnicę i dobyć zbójce gniazdo szturmem?
– podsunął mój przyjaciel.

Ładny mi kosturowiec, pomyślałem. Nic, jeno by szturmował. Pan Wolski głową potrząsnął.

– Nie, nic z tego, nie ma tam już Stacha, uciekł z kilkoma ludźmi. W Teleśnicy pusto, stara tam została z małżonkiem, hersztują sobie we dwoje. Miałem wieści, że Żurakowscy i Komarnicy się odłączyli, pewno zamierzają na własną rękę rabusiów proceder uprawiać.

– Musiała ta zbrodnia ludzi jego wzburzyć albo też przestraszyć – rzekł mój przyjaciel. – Inaczej trudno zrozumieć, czemu wataha się rozpadła.

– Stacho dał przykład. On pierwszy się przestraszył.

– Kogo? – spytałem.

To ci na mnie spojrzeli. Ale nie fuknęli. Pan Wolski raczył odpowiedzieć:

– Mnie, pana Błudnickiego, Bełzeckich. Gromady szlacheckiej. Hetmana na koniec. Pojął wreszcie Stacho, że przebrał miarękę.

– Waćpan nie wiesz, kto z nim uciekł? – spytał pan Błudnicki.

– Nietyksa z nim i jeszcze dwóch jakichś.

– A Witoszyński?

Nastawiłem uszu.

– Nie – odpowiedział starosta.

– Do waćpana on się nie zgłaszał? – dopytywał się pan Błudnicki.

– Nie. Znikł on.

Ojciec Lei spotkał się z nami w tym samym zborze drewnianym, w którego obronie pan Tomasz omal łąba nie stracił. Nikogo z postronnych do spotkania z nami nie dopuścił; był tam syn jego, Maciej złotowłosa, i pani Wojnarowska, postawna białogłowa, niegdyś pewnie wielce nadobna, na

głowie miała chustę białą, tak przemyślnie uwiązaną, że widać było czoło wysokie, pięknie sklepienie, i włos jasny, obfity. Bardzo miłe i pełne kształty miała owa pani i takem sobie pomyślał, że chyba tak matka moja mogła wyglądać. Prócz nich był jeszcze z panem Wolskim ów szlachcic-nie-szlachcic siwawy, woźny, którego starosta jurydyczny panem Jakubem zwał (choć mi się z chłopów wydawał), a z panem Błudnickim byłem ja. Postawiliśmy na ławie moje wiaderko, a nikt nie wiedział, co ono zawiera, tylko ja i mój przyjaciel. Pan Wolski wskazując na mnie rzekł:

– Ten młody człowiek był z Gabrielem Kowaczem do ostatniej chwili, i on nam jego śmierć opowie.

Tedy ja głos zabrałem i jękając się a czerwieniąc opowiedziałem wszystko (jeno o sygnecie zatajając) aż do chwili, kiedy Kowacz wstrząsnawszy ramionami zrzucił z siebie zbójców i ruszył do przodu, szukając sprawiedliwości na gardle herszta. Co usłyszawszy, brat Wojnarowski zwiesił głowę i powiedział głucho: „Bóg mu wybaczy”. Bratu Gabrielowi, zrozumiałem (choć nie od razu), iż się do siły swoich mięśni uciekł.

Pan Wolski zwrócił się do mnie, i to w sposób, jak mi się zdało, niezbyt przyjemny:

– A ty, chłopcze, jak się stamtąd wydostałeś?

– Pomógł jeden zbójca – odpowiedziałem.

– Który? – usłyszałem pełen podniecenia głos mojego przyjaciela.

– Pan Witoszyński.

Nastała cisza, zupełnie jakbym rzekł coś bardzo ważnego albo zgoła niezwykłego. Mój przyjaciel mruknął:

– On i mnie pomógł.

– Wiem, wasza miłość – na to ja, nie bez przechwałki. – Słyszałem, jak stara wiedźma mu wypominała, że pozwolił waszmości uciec. A on, że to i

że sio, i kręcił tędy i owędy.

– Uwierzyła? – spytał pan Błudnicki.

– Nie wiem, pewnie tak. Jenó rzekła, że gamoń. Pan pułkownik to na pewno uwierzył, bo głupszy – powiedziałem.

– A chwalił się przed tobą pan Witoszyński, że mi życie salwował?

– Nie chwalił się. Powiedział, że wasza miłość się salwował z Bożą pomocą. On mnie się o waszmości rozpytał. Czyście dobry człowiek, pytał.

Pan Tomasz zwrócił się do starosty jurydycznego:

– Ja pytań więcej nie mam.

– Ja mam – odezwał się sługa Boży. – Powiedz mi, kochaneńku, coś o dziewczce mojej. Była ona przy śmierci małżonka?

– Nie – odpowiedziałem.

– To może nie wie ona o jego śmierci?

– Wie – odpowiedziałem.

– Tyś jej powiedział?

– Nie, nie ja – odpowiedziałem. Nagle to wyrzuciłem z siebie: – Głowę jego odciętą widziała.

Pani Wojnarowska krzyknęła i zaraz palce zagryzła. Sługa Boży siedział sztywny, wydawało się, że ani drgnął, jedno głos mu trochę schropowaciał, kiedy pytał:

– I zostawiła ona zbójcom mężowską głowę?

– Nie, nie zostawiła – odpowiedziałem.

Pan Wolski zerwał się z ławy. – Gdzież jest? – spytał niecierpliwie.

– Tutaj, w tym wiaderku. W miodzie – dodałem.

Znowu się cicho zrobiło. Ja przyglądałem się onej niewieście, co mogła matkę moją udawać. Oczy zielone znieruchomiały jej niby w osłupieniu

obląkańczym, a w twarzy ani kropli krwi. Naraz w tę ciszę padły spokojnie słowa ojca Lei:

– Matko, weź głowę brata Gabriela i obmyj. Owiń ją w czyste płótno, a przedtem pachnidłami pokrop, niech stanie przed Panem czysty i pachnący. O północy modły nad nim odprawimy i pochowamy.

Nie było w jego głosie gniewu ni oburzenia – nic krom smutku i powagi. Ona, pani Wojnarowska, dźwignęła się z ławy i sięgnęła po wiaderko. Syn jej, ów Maciej złotowłosey ujął matkę pod ramię i do drzwi odprowadził. Stamtąd ona się ku nam obróciła i spojrzała – tak, na mnie spojrzała. Zdawało mi się, że widział łzy ciekące z jej oczu, alem nie był pewny, bo daleko było i mroczno. Ja sam oczy miałem suche. Jużem się raz był wypłakał, i to przed moim przyjacielem, a przed obcymi ludźmi to nie, takiej słabości okazać że nie chciałem. Kiedy się drzwi za służką Bożą Wojnarowską zawarły, zwrócił się do mnie ojciec Lei:

– Przemawiał do ciebie przed swą śmiercią brat Gabriel?

– Tak, panie – odpowiedziałem. – Siła mówił.

Sługa Boży chciał coś powiedzieć, ale powstrzymał się, jakby z pewną rezygnacją, a ja zrozumiałem, że chciał mnie za onego „pana” skarcić. Zamiast tego spytał:

– Pamiętasz coś z jego słów?

– Pamiętam.

– Więc mów.

– O bitkach wspomniałem, które lubiłem, kiedy bednarskim uczniem byłem – powiedziałem. – I o tym, jak głos Boży usłyszałem. I że w piersi ból go nęka.

– A dla nas nic nie wieszczę? – dopytywał się ojciec Lei. Podbiegł do mnie, za przegub mnie ścisnął i świdrował oczyma. – Przypomnij sobie, przypomnij. Rzeki coś ważkiego? Coś, co by ludowi na pustyni za wskazówkę mogło służyć?

– Aha – przypomniałem sobie. – Ale puśćcie, panie, boli tak. – Puścił mi przegub, a ja powiedziałem: – Rzekł, że na was grzech ciąży.

– Tak rzekł? – Ojciec Lei przemówił tak żywo, że mogło się zdawać, iż się ucieszył.

– Tak, wielki grzech – mówiłem – i niełatwo będzie winę odkupić. Chyba, powiedział, Sańsk rzucić albo co. – Tamten słuchał uważnie. – Może mi nie wierzycie, to nie trzeba – powiedziałem trochę urażony.

– Wierzę, wierzę – rzekł dwakroć ojciec Lei. – Trzeba to będzie ludowi powtórzyć, niech zdecyduje, co czynić wypada. Dziękuję ci, chłopcze. – I wydawało się, że na tym chce naradę zakończyć. Ale oto podniósł się mój przyjaciel. Głos mu drżał, musiał chyba być czymś wielce podniecony.

– Bracie Wojnarowski – powiedział – proszę, nie śpiesz z odejściem. Trzeci dzień tu mitręzę, a ty się od odpowiedzi uchylasz.

– Nie mam nic do powiedzenia.

– Jednakowoż masz. Chłopak ci słowa brata Gabriela powtórzył: że zbór grzech ma na sobie. Czym zgrzeszył, zapytuje?

– Nawrócisz się, głos wiary prawdziwej usłyszysz, to się dowiesz.

– Czy nie świętej pamięci ojca mojego zamordowaniem zgrzeszył?

Maciej złotowłosa porwał się z ławy. Zaciskając pięści wybuchnął:

– Waćpan, waćpan... jak śmiesz?!

– Uspokój się – upomniał go ojciec. – Siadaj! – Zwróciwszy się do mojego przyjaciela zaprzeczył krótko: – Nie, nie ma na zborze takiego grzechu.

Pan Wolski cały ten czas nie odzywał się, jeno spoglądając spode łba uśmiechał się zagadkowo.

– Jednak wy coś wiecie! – zawołał mój przyjaciel. – Coś ukrywacie! Jeśliście tacy niewinni, jako powiadacie, to czemu byście nie mieli odpowiadać pod przysięgą?

– Bo nam przysięgać nie wolno – przypomniał ojciec Lei.

– Panie Wojnarowski! Toż to nasz wspólny interes! – perswadował z rozpaczliwym ogniem mój przyjaciel. – Zbrodniarza trzeba znaleźć! I ukarać trzeba! Nie mścić się, lecz sprawiedliwie – przekonywał pan Tomasz. – Zgodnie z prawem. Którego przedstawiciel sam między nami siedzi – wskazał na pana Wolskiego. – Panie Wojnarowski! – zawołał, – Pomóż mi, a klnę się na wszystko, co mi drogie, że nie daruję waszej krzywdy! Drogo zapłaci Rosiński swoją zbrodnię! Nie znajdzie takiego miejsca w tym kraju, w którym by się przede mną ukryć zdołał!

Widziałem, że Maciej złotowłosey kręcił się niespokojnie na ławie. Jego ojciec, sługa Boży, też mi się wydał nie tak pewny swojego jak przedtem.

– Ja wiem – powiedział cicho – że ty, Tomasz, więcej nas jako drudzy rozumiesz. A oto skąd wiem. Doszła nas wieść, że Koniecpolskiemu staroście okazjiś odmówił i że cię brzydko nazwał. On to, gdzie może, rozgłasza, żeby cię pognębić i w oczach szlachty zohydzić. Masz przykład pomyłki doczesnej: bo gani cię za to, co ci chwały przydaje. Żeś krwi jego rozlać nie chciał, luboś w ręku mocniejszy, od tego między ludem naszym wybranym w sławie chodzisz. I myśmy tu za ciebie modły wznosili jako za człowiekiem sprawiedliwym, chociaż jeszcze łaską nie tkniętym. Nie przerywaj – powiedział, kiedy Tomasz otworzył usta. – Ale to, że tak zaciekle mordercy ojca swojego szukasz, już ci chwały nie przysparza. Żądza zemsty cię popycha, a przecież rzekł Pan: „Mojać jest pomsta i ja oddam na czas”. Brata Gabriela naszego krew takoz zemsty nie żąda i pierwszy by on nie pozwolił, żeby z jego przyczyny zbór zgrzeszył odwoływaniem się do urzędów, które moc ziemską bezprawnie ustanowiła. Tam jest nasza władza – wskazał na niebo – i do niej jeno mozem skargi i supliki zanosić. – Wstawszy z ławy, zakończył stanowczo: – Ani świadczyć nie będziem, ani na pytania odpowiadać.

Nie molestowali go już więcej panowie i na tym się dysputa skończyła. O zmierzchu, kiedyśmy w onej nowochrzeńskiej gospodzie wieczerzać kończyli, przyszedł ku nam Maciej złotowłósy. Nie od razu go poznałem, stał w mrocznej części izby i poglądał ku nam, niespokojnie przebierając nogami, i po tej niespokojności głównie gom odgadł. Ale zbliżyć się nie śmiał.

Więc pan Wolski powstawszy od stołu podszedł do niego.

– Masz coś do nas, młodzieńcze? – spytał.

– Tak – odpowiedział Maciej. Ale trochę pomilczał, zanim wyduślił: – Lea mdłości ma. Matką będzie – usłyszałem szept. Potem, także szeptem, ale bardziej gorąco: – Wasza miłość bez kary tego nie zostawisz, prawda?

– Nie zostawię – obiecał pan Wolski.

Poszli panowie ze złotowłosym nowochrzeńcem na górę, ja za nimi. Maciej drzwi zawarłszy spojrział na mnie i powiedział:

– Nie powinien on przy rozmowie być.

– To pacholę umie sekret trzymać – zapewnił go mój przyjaciel, a ja pokraśniałem z dumy.

– Wasze miłości co czynić postanawiacie? – zaczął młodzian.

– A ty chcesz, żeby Rosińskiego chwycić i ukarać?

– Tak, chcę – powiedział twardo Maciej.

– Na gardle?

– Tak, na gardle.

– Co na to ojciec?

– Och, ojciec! – chłopiec był wzburzony. – Ojciec, tak, on patrzy na to całkiem inaczej, waszmościowie wiecie jak, ja go zresztą rozumiem, ale przecież on sam wciąż walczy ze sobą, wciąż naturę swoją dławi. Szanuję ja go i zbór nasz szanuję, i tak mniemam, żeśmy są lepsi duchem od inszych, ale nie, na miłość boską, nie ma zgody na to, żeby nas porywano,

gwałcono, żeby nasze siostry w żywotach zbójckie dzieci nosiły. Nie, nie – nie chcę być owcą bezbronną! Gdzież owa wolna wola, o którą tak stoimy, jeśli musimy ugiąć się przed przemocą? Przecieżem szlachcic i mogę szablą godności swojej bronić i woli mojej własnej! Nie może tak trwać wiecznie, załamać się to musi. Ojcu też tu niełatwo – czy ja nie widzę? Rękodzielnicy co innego, rękodzielnikom w to graj, przedtem nad kopytem siedzieli i teraz nie inaczej. Ale ojciec rzucił majątność i dochody, kondycję zmienił, rzemiosła musiał się wyuczyć i nigdy go się porządnie nie wyuczył, dobrze to widać – po dziś dzień niezręcznie mu robota idzie. Matka mogłaby w jedwabiach chodzić, przed zwierciadłem siedzieć i lubować się nadobnością swoją, a tak życie swoje zniszczyła w ubóstwie, troskach, wyrzeczeniu... Waszmościowie myślą, że między nimi do spięć nie dochodzi? Przecież ja widzę! Wszystko, jak jest, widzę. Bić im się nie wolno – chyba żeby chłosta niewiastę miała poprawić – ale tak się jeno powiada, ojciec bywał zazdrosny, każde spojrzenie mamy śledził, zawsze mu się coś zwidziało, wybuchał gniewem i bili się oni, kiedy gorącość im oczy zalewała, a potem przychodziło opamiętanie, grzech to przecież, grzech w gniewie bić, więc padali na kolana i błagali Boga o wybaczenie – nie siebie nawzajem przeproszali, nie – Boga przeproszali. A ja w drugiej izbie słuchałem tego i płakać mi się chciało, bom ich miłował i miłuję, bom ich cenił i cenię, nie są to ludzie jako inni, zaprawdę. Ale też myślałem sobie, że nie będę cicho w zborze siedział, na żywot wieczny na tamtym świecie zarabiając, jeno pójdę ja ku światu i tam, w służbie publicznej, będę zboru bronił, z jezuitami na broszury wojował. Więcej z tego pożytku będzie... – Maciej przerwał i nagle się zawstydził. – Waćpanowie myślą, że to fantazje żółtodzioba?

– Nie, czemu – na to pan Wolski. Zwrócił się do pana Błudnickiego: – Waćpan co czynić zamierzasz?

– Ja do dziewczki znad rzeczki – odpowiedział mój przyjaciel, czegom nie mógł zrozumieć. – Pytań jej kilka zadać – powiedział.

– A ja ludzi roześlę, żeby Rosińskiego wytropili. Większy on od igły, i w stogu siana się nie skryje.

– Wasza miłość i na mnie licz – odezwał się Maciej.

– Będziesz go tropić?

– Tak, wasza miłość. Już siodło i konia wyrychtowałem.

– A szablę masz?

– Nie mam.

– A chcesz mieć?

– Nie – odpowiedział Maciej i twarz pokryła mu się rumieńcem. – Ja jeno tropić będę. A wytropię, zawiadomię waćpana.

Mój przyjaciel położył młodemu nowochrzcieńcowi dłoń na ramieniu. – Zawiadom jakoś i mnie – powiedział. – Mam i ja z tym mordercą swoje porachunki.

Maciej stał z opuszczoną głową.

– Tak – mówił. – Tak. Dziękuję waszmościom. To ja już pójdę – powiedział naraz i opuścił nas tak szybko, jakby był zjawą.

– Pojedziesz ze mną do Jewki znad rzeczki? – spytał mnie mój przyjaciel.

– A co z oną panną z zamku? – dopominałem się.

– Potem ku niej ruszymy – obiecał.

– To pojedę.

I ułożyłem się do snu. Długo oni jeszcze, pan Wolski i mój przyjaciel, szeptali sobie przy świeczce. I nie tylko o onej zbrodni tajemniczej, której ofiarą padł pan Błudnicki-ojciec, ale i o księgach różnych, które pan Wolski po francusku i włosku czytał, bo w młodości dużo był podróżował. Ale wcale mnie to nie ciekawiło i oczy mi się od tych rozważań tym bardziej

kleiły. A nazajutrz dzień, pożegnawszy się ze starostą jurydycznym, usadził mnie pan Błudnicki za sobą na koniu i w takiej niewygodzie sunęliśmy stępa.

Koło południa stanęliśmy nad Tarnawką.

ROZDZIAŁ XVI

Koło południa stanęli nad Tarnawką.

– Zejdź z konia – powiedział Tomasz do Cyryła. – Poszukamy brodu.

Po drugiej stronie rzeki ciągnęły się gęste zarośla. Te same, przyszło mu na myśl. Może tam jeszcze kijanka zapomniana leży. Pomyślał, że gdyby zapytał Nastkę o pana Ligęzę, zanim się oboje w zaroślach skryli, może by mu tak skwapliwie nie skłamała. Orzeł natenczas krążył nad Huczkiem, przypomniał sobie. Nie było teraz orła, za to jastrząb wisiał nieruchomo w powietrzu. Zaraz runie, myślał. Na dole Tarnawka płynęła wartkim nurtem, bełkocząc na oślizłych, porośniętych wodorostami kamieniach.

– Musi tam gdzieś być dogodniejsze miejsce – powiedział prowadząc konia wzdłuż rzeki.

Pamiętał, że za kępą drzew potok skręcał w lewo i przez pół staj biegł równym, spokojnym nurtem. Dalej ma być bród, przypomniał sobie.

– Wasza wielmożność, ludzie zaczajeni – szepnął Cyryl.

Nie pokazać strachu! – pomyślał od razu. – Pamiętaj, jak gdyby nigdy nic. Tylko głowę lekko przechylić, bokiem spojrzeć. Są! Uśmiechnij się więc do siebie. Zginiesz – nie zginiesz, spokój jest twoją szansą. Nie wolno im poznać, że ci serce tłucze.

Tamci stali między brzózkami półkolem, kilkunastu ich było. Półhaki mieli opuszczone, ale spojrzenia czujne, w każdej chwili mogli broń unieść, przytknąć żarzący się zapał, salwę oddać. Hajducy pańscy, domyślił się – ale czyje to mogą być barwy? Nie poznawał. Obok konie szczypały trawę. Cisza panowała wokół, spokój niewiarygodny, jastrząb wciąż wisiał nieruchomo w powietrzu, potok chłupotał usypiająco, ci ludzie milczeli i wyglądali jak skamieniali między białymi plamkami brzóz. Nie można było uwierzyć w niebezpieczeństwo i Tomasz nie odczuwał żadnego dreszczu.

Podszedł ku nim wciąż prowadząc konia, i tamci poruszyli się, a jeden z nich, starszy wiekiem, z króciwą odwiedzioną do strzału, zapytał:

– Waćpan jesteś Tomasz Błudnicki?

– Jam jest. Wyglądacie, jakbyście mieli do mnie sprawę.

– Mamy – potwierdził człowiek z króciwą i skłonił się. – Jego wielmożność pan starosta będziński waszmość pana na pogawędkę zaprasza...

Konieczpolski. Więc to on; nie daruje obrazy. Nie pomyślał w ostatnich dniach o starości ani przez chwilę, tyle innych trosk i niebezpieczeństw było.

– Dziwne to zaprosiny – rzekł – z króciwą i półhakami.

– Jednakowoż szczerze – odpowiedział tamten, uśmiechając się spod wąsów długimi zębiskami.

– Nie wątpię – powiedział Tomasz swobodnie. Nie odgadnąć im jego gniewu ani lęku. – Ale nie mam ja ochoty na rozmówki z panem starostą. Spieszę się – dodał.

Człowiek z króciwą zbliżył się, za nim jego ludzie.

– Waćpanie – powiedział prawie prosząc. – Racz nie stawiać oporu. My polecenie pańskie wykonujemy i bądź tak dobry nie utrudniać.

Tomasz przyjrzał się ludziom, którzy go otaczali. Nie wyglądali groźnie, ale uczynią wszystko, co im pan każe.

– Waćpanowie wiedzieli, że będę tędy jechał? – zagadnął.

– Wiedzieliśmy – odpowiedział człowiek z króciwą.

– A to jak?

– Znamy twoje ścieżki. – Starszy między hajdukami znowu wyszczerzył spod wąsów długie żółte zęby.

– To i w innych miejscach zasadzki uczynione? – domyślił się Tomasz.

– W innych też.

– Rozumiem – powiedział i udał, że znudzony wzdycha. – Strasznie pan starosta łąsy na rozmowę ze mną. Daleko nam iść?

– Niedaleko – zapewnił uprzejmie starszy między hajdukami. – Fedźko, bierz konia! – rozkazał nagle ostro. – A waćpan szablę oddaj! Nie utrudniaj, proszę.

Prowadzili ich hajdacy w milczeniu, czasami tylko wymieniając między sobą półgłosem uwagi. Cyryl dotknął dłoni Tomasza.

– Jak w Sańsku – szepnął podniecony – prawda?

Szliśmy obok siebie i chłopiec mi dłoń ścisnął, wspomniał Tomasz. Prowadzili mnie na sąd gorący.

– Nie, to nie to samo – uspokoił Cyryla. A może się łudzę, pomyślał nagle, może to samo.

– Kto to jest pan Koniempolski? – pytał przejęty Cyryl.

– Zobaczysz.

Czekał na nich pośród poręby leśnej. Ujrawszy, że wiodą doń Tomasza, wstał z kloca, który mu za ławę służył, i powiedział ledwo słyszalnie:

– Przyprawadźcie go bliżej... Bliżej – powtórzył.

Wciąż dawał zachęcające znaki ręką, aż Tomasz znalazł się nie dalej niż o kilka kroków od niego. Hajdacy stanęli koło swego pana i odgradzili ich w ten sposób od siebie.

– Więc jesteś – odezwał się Koniempolski. Tomasz milczał. Koniempolski gryzł wargę. Spytał: – Wiesz, czemu kazałem cię chwytać?

– Nie – odparł Tomasz. – I nie ciekawym – dodał.

– Ja ci wszelako wyjawię. Pamiętasz, com ci mówił, żeś mnie obraził nie chcąc się ze mną potykać? (– I dalej nie chcę – wtrącił Tomasz). Obiecałem ci kije, pamiętasz?

– Domyślałem się, żeś waćpan słowny – powiedział Tomasz.

– Obnażyć go! – rozkazał hajdukowi starosta.

Dla ciebie, że cię miłuję. Będę o niej myślał. Będę w jej oczy jasnoszare spoglądał, zdziwione kocie oczy. Pozwolił ściągnąć z siebie kaftan i koszulę. Niech biją. Dla ciebie.

Konieczpolski naraz dostrzegł Cyryla.

– A ten kto?

– Świadek! – zawołał chłopiec. Uderzył się piąstką w pierś. – Wszystko w sądach powiem, wszystko, dotknijcie go jeno!

– Zabierz go na bok – rozkazał Konieczpolski jednemu z hajduków. Odciągnięto na bok wrzeszczącego Cyryla, kazano uspokoić się, a że nie usłuchał, dał mu hajduk w gębę i chłopiec zaniósł się płaczem.

– Związać ci ręce? – spytał pan Konieczpolski Tomasza.

– Nie.

– Uważaj, będziesz wierzgał, to zastrzelimy.

– Wiem – powiedział Tomasz. – Róbcie swoje.

Dla ciebie. Za wargi twoje popuchnięte, za ich pocałunki, którymiś mnie obdarzyła. Nic dla ciebie nie mam, jeno własny ból. Zamiast pereł, diamentów, butów safianowych. Dwóch hajduków stanęło z różgami, jeden z lewej, drugi z prawej strony. Po dziesięć plag każdy, przypomniał pan starosta, zaczynać. Ten z lewej zamachnął się. Cyryl krzyknął. Daj mu w gębę, niech się uspokoi. Ten z prawej. Dla ciebie. Nie słychać Cyryla. Prawie nie boli. Prawie rozkosz. Dla ciebie. Diamenty i sobole. One też wzywają pomocy, jakby rozkosz była bólem. Wołała: „mamo, mamusieńko”... Dla ciebie. Perły i diamenty. Wzywają mamy. Wzywają Jezusa. Dla ciebie. Perły. Ból, rozkosz, diamenty. Dla ciebie. Stoję przed tobą z ręką po łokieć odrąbaną i broczę krwią – dla ciebie. Krew ze mnie kapie na ziemię. Dla ciebie. Nic innego nie mam. Zatracę się w poświęceniu. Śmieją się z błędnych rycerzy. Dla ciebie moje błędne rycerstwo. Dla ciebie. Dla ciebie.

Cisza. Posapują, pewnie już skończyli. Krew ze mnie cieknie. A mój oddech, mój oddech czemu taki ciężki? Zrobić pogodną minę. Nie nazbyt, bo fałsz będzie widoczny. Cyryl cichutko popłakuje, biedne kocię. Urszula weźmie go pod swoje skrzydła, będzie jej pazikował, będzie spoglądał w oczy jasnoszare, będzie przypominał o mnie. Broczę krwią. Dla niej.

– Przemycie mu plecy gorzałką – usłyszał głos starosty.

Jaki ludzki, pomyślał stojąc z przymkniętymi oczyma. Lepszy niż owi oprawcy, którzy Jezusowi do ust gąbkę z octem podali. Tedyśmy są skwitowani, odczepi się wreszcie ode mnie, głupiec nadęty. Nałożył koszulę, kaftan, zapiął pas. Stanąwszy przed Koniempolskim, spytał ochrypłym głosem:

– Już wszystko?

– Nie – odparł Koniempolski. – Trzeba jeszcze, żebym ci ból wynagrodził.

– Nie żądam.

– Masz dukata – powiedział starosta i rzucił Tomaszowi monetę.

Tomasz nie poruszył się i dukat upadł na ziemię.

– Nie podniesiesz? – spytał Koniempolski. – Źle zrobisz, przyda ci się w twoim księstwie.

– Podniosę – zdecydował nagle Tomasz i schylił się po złotą monetę. Zdmuchnąwszy z niej ziarnka piasku, spróbował między zębami. – Prawdziwy – orzekł. Schował dukata do sakiewki. – Dzięki – dodał jeszcze – dukat naprawdę się przyda.

Koniempolski milczał. Wymęczyła go satysfakcja, jaką sobie sprawił, pomyślał Tomasz obserwując twarz starosty. Spytał:

– Czemuś waszmość taki blady?

Starosta umknął wzrokiem. Spoglądając w ziemię powiedział:

– Jeślibyś asan chciał się jeszcze ze mną spotkać... Publicznie... Chciałbyś, co...? To służę ci szablą.

– Nie, wasza wielmożność, nie mam ochoty – powiedział Tomasz niedbale. Plecy piekły, ale stał prosto, nie pochylał się.

– Mógłbyś się pomścić.

„Moja-ć jest pomsta i ja na czas oddam”.

– Nie, wielmożny panie starosto, nie szukam pomsty. – Pomyślawszy dodał: – Choć zasłużyłeś, żeby cię wychłostać. – Starosta nie poruszył się, nie krzyknął: „bij go”. Słuchał poblady. A mógłby zagrozić odwetem wszystkich Konięcpolskich, przyszło na myśl Tomaszowi. Jednak milczy, milczy i tylko palce długie, smukłe mu się rozedrgały. – Waćpan nie rozumiesz – mówił Tomasz – że ja ci za jeden twój postępek wdzięczny jestem jak największemu przyjacielowi. Nigdy ci tego nie zapomnę.

– Czego?

Ach, więc powieki ci zatrzepotały, panie starosto, zdumienie cię obezwładnia, sam nigdy byś na tę myśl nie wpadł. Tomasz zbliżył się do Konięcpolskiego i powiedział szeptem:

– Żeś się Urszuli wyrzekł.

Tamten głową poruszył, jakby w twarz dostał. A Tomasz:

– Gdybyś przed księciem nie stchórzył – wycedził – gdybyś nie stchórzył...

– Usłyszawszy to słowo po raz drugi, Konięcpolski poszarzał. Rysy mu ściągnęło, ale i teraz do szabli nie sięgnął, oddychał tylko szybciej. Tomasz cedził szeptem: – ... już byś był jej mężem. – Konięcpolski przymknął oczy. – I wszystko by przepadło, raz na zawsze przepadło.

A tak, to jeszcze nie wiadomo, dokończył w myśli. Konięcpolski mu się przyglądał. Znam to spojrzenie, odgaduję pytanie, pełne zadziwienia, ironii: więc tuszysz być jej małżonkiem? I padło ono:

– W swaty posyłasz?

– Może przyjdzie i na to czas – odpowiedział. Po chwili: – Nie muszę być małżonkiem. Mogę być sługą.

Konieczpolski zaciął się w milczeniu. Tomasz uśmiechnął się:

– Waćpan tego nie rozumiesz, bo miłować nie umiesz. A to – zawahał się, zanim wskazawszy na pierś, dokończył – to trzeba mieć tu. – Skłonił głowę. – Dzięki ci za wszystko.

I wyciągnął rękę do hajduków nakazując, żeby mu konia przyprowadzili i oddali szablę.

Cyryl prowadził konia przez bród, Tomasz człapał z tyłu, zimna woda zalewała cholewy. Tu się położył, zdecydował po drugiej stronie rzeki. W zaroślach, gdzie może jeszcze Nastczyna kijanka leży. Wśliznął się na brzuchu pod krzewy, głowę złożył na skrzyżowanych rękach. Zasnąć, zapomnieć. Słyszał w listowiu oddechy, szepty, pocałunki. Że ją miłuję. Orszulo moja wdzięczna, przyleciał doń wiersz z księgi, którą otrzymał w podarunku. Orszulo moja wdzięczna... „Boli?” – spytał Cyryl. „Zamilcz” – odburczał.

Orszulo, Orszulo! Zagroził: „Powtórzysz komu, coś widział, to koniec z nami”. „Nie powtórzę”. Orszulo moja wdzięczna, nigdy cię nie posiadę, nigdy nie będziesz moja. Leżał zbity, upokorzony, wyczerpany, senny jak po ciężkiej pracy, jakbym ją miał. Czuł ją w plecach, w tym pieczeniu skóry, w znużeniu, w dotyku ziemi cierpko pachnącej, do której się tulił, i naraz ogarnęło go szczęście, niejasne poczucie posiadania fizycznego – podobne znużenie w ramionach, podobne zapadanie w senność – broczę dla ciebie krwią, Orszulo moja, jesteś ze mną, przy mnie, we mnie. Tego mu nikt nie odbierze, tej chwili zespolenia nikt nie wydrze. Więc jednak jest jego. Leżał cichutko, słyszał, jak Cyryl nuci obok przez nos, po dziadowsku, przywidziała mu się nagle Agafia, piersi rozłożyste pod

koszulą, usłyszał jej szept, „pod pareń, przytul się do babiego łona, ech, wzdrygasz się, i czemu to, Bożeż ty mój, któż cię tak pobił”, chlupocze woda, Agafia wilgotną ściereczką przemywa mu plecy, biadoli nad nim, biadoli jak mać rodnaja, której nie znał.

– Cyryl – szepnął.

– Tak, waćpanie.

– Słońce wysoko?

– Południe minęło.

– Długom spał?

– Waćpan cały czas gadał.

– Odwiń mi na plecach koszulę. – Cyryl robił to najdelikatniej, jak mógł.

– I co, krwawi? – spytał Tomasz.

– Już nie. Pręgi są i skrzepy.

– Dobrze.

Wygramolił się spod krzewów. Zbiegł do Tarnawki, przemył twarz i ręce, przepłukał usta.

– Język za zębami – przypomniał Cyrylowi.

– Pamiętam, wasza miłość.

– A najwięcej przed panną!

– Przysięgam...

– Prowadź konia.

Chmury przesłoniły wierzchołki wzgórz. Brał ziąb. Albo to ja mam dreszcze, pomyślał. Dotarliśmy naonczas z przygłupem do tych żerdzi, przypomniał sobie. Odszedł, bo mu się zdawało, że słyszy płacz dziecka. Urszula by mi pleców z krwi nie obmyła, pomyślał nagle. Wzdrygnęłyby się rany widząc. Mogę być sługą. Zgoda. Zyskać pewność, że Bełzecki nie zabił i zaraz do nich na służbę wstąpić. Pojadę z nią do księcia. W jej

barwach będę. Niech rozkazuje. Od niebezpieczeństw ją chronić. Konia podtrzymywać. W oczy jej spoglądać. Ścisnął pięści: szaleję, rozum tracę dla dziewczki, która życia i świata nie rozumie, która księciu dla blichtru się sprzedaje.

„Mamo, mammo, pan ide”! – wołała spalona słońcem dziewczynka. Nastka wyszła przed chałupę, starsza o dziesięć lat od niedawnej Nastki, chociaż jeszcze bez zmarszczek, bez siwego włosa, tylko w oczach to mieszkąło, owo nagłe zmęczenie. Stała przed nim poruszając ustami, domyślał się, że „zachodźcie” powiedziała, żaden za tym gest nie nastąpił, tylko długa chwila znieruchomienia, i nagle pochyliła się i przycisnęła wargi do dłoni Tomasza. On czuł, że krew ścieka mu do serca, odezwało się stare znajome klucie, przecież mam ją przepytąć, bronił się przed nią, przecież mi skłamała.

– Gdzie Wasyl? – spytał.

– We dworze. – Przypatrzyła mu się. – Co z tobą, synku?

Więc ona dostrzegła. Siadł przy stole, podparł głowę rękami.

– Nic – odpowiedział.

Cyryl wiązał konia u płotu. Przepytąć ją. Od czego zacząć?

– Wezwali Wasyla – usłyszał jej zatroskany głos.

– A ty się niepokoisz?

Nie odpowiedziała, westchnęła ciężko. Potem spytała:

– To ty, synek, nic nie wiesz?

– Że co?

– Że Myćko nasz nie żyje.

Potrząsnął głową. Ona opowiadała:

– Pochowali my go dziś do świtu.

Bóg dał, Bóg wziął. Zaraz tak powie, pomyślał. Ale nie usłyszał nic takiego. Oczy Nastki były nieme. Głos niepewny, kiedy pytała:

– Zjecie kaszy z mlekiem?

– Zjemy.

W milczeniu się jedzenie odbywało. Jakby nabożeństwo za duszę Mycki, pomyślał. Kury dziobały ziemię wokół jego butów. Raz tylko Tomasz przerwał milczenie:

– Pan Ligęza wie?

– Wie – odpowiedziała. – Żałuje. – Uśmiechnęła się z wysiłkiem. – Jemu tylko zawsze jedno i to samo na myśli. A u nas nie tak – powiedziała, starając się nadać tym nieporadnym słowom jak najwięcej znaczenia. – Nie tak, nie tak – powtarzała coraz bliższa wybuchu.

Słyszał, jak zawzięcie płukała miski w korycie, chlupot wody przypominał zduszone łkanie. Kogo ona teraz żałuje – niemowlaka, męża przygłupa na łasce Bełzeckiego czy tej pańskiej miłości, kapryśnej, tajemnej, która zmysłom dogadza, ale w duszy zostawia niepokój i niezadowolenie? Wróciła od studni z czystymi misami i siadła naprzeciw niego. Piękne ma oczy, pomyślał, jeno zbolące mocno.

– Synku – odezwała się przyglądając mu się nieufnie – a ty po co ku nam zjechałeś?

– Och, po nic – odpowiedział zmieszany.

– Nie usiedzisz w domu?

– No, właśnie – chwycił się wykrętu.

– Wciąż wedle śmierci ojca kołujesz?

– Jakże inaczej – przyznał wreszcie.

– I do mnie jeszcze masz pytania?

– Może. Ale z tym do jutra. – Poruszył pobitymi plecami. – Można do stodoły, Nastko?

– Gdzie chcecie, panie. Trza wam czegoś jeszcze?

– Zaparz mi dziurawca.

Diana-chłopka ogień ożywiła, buchnęły iskry, woda w kociołku zakipiała. Boginka krążyła po obejściu, bosostopa, z ubłoconymi palcami nóg; boginka do świń zaglądała, krowy doła, kurom podsypała. Pijąc napar z dziurawca, który miał zabliznienie skaleczeń przyśpieszyć, przyglądał się Nastce z zachwytem i rozrzewnieniem.

– To o tej sieluszce opowiadał pan Ligęza? – spytał go Cyryl, kiedy leżeli obok siebie w stodole na sianie.

– O niej. Jak ci się widzi?

– Wcale – odpowiedział Cyryl. – Taka panna, co ją z niewoli tureckiej wyzwalać należy, miałyby złotogłów na sobie mieć, a ta po chłopsku się nosi. A panna Bełzecka jaka jest?

– Inna – odrzekł krótko Tomasz.

I pomyślał: albo i nie. Próbował sobie wyobrazić Urszulę jako poddaną, ale udawało mu się to z wielkim wysiłkiem tylko, na krótką, trudną do zapamiętania chwilę. Zbuntowałyby się, pomyślał nagle. Albo też... – wzdrygnął się przed dokończeniem myśli.

– A czemu waćpan jej nie przepytujesz? – spytał Cyryl.

Tomasz leżał, słuchając dalekiego ujadania psów. Cykał świerszcz. Słowiki darły się, ostatnie wasze uwodzicielskie noce, łajdusy, pomyślał.

– Waćpan śpisz? – zaniepokoił się Cyryl.

– Nie.

– Waćpan ma bliźnę, której nie znam. Na dłoni.

– Pociąłem się nożem – wyznał Tomasz.

– Na śmierć?

– No, żyję przecież.

– A dziś rano także chciałeś umrzeć?

– Już nie.

– Przecież bili!

– Zamilcz.

Cyryl ucichł, zagryzł palce nawet.

Jutro ją przepytam. Albo i nie. Pojadę do Bolatyna, pomyślał, spojrzę na Urszulę. Boże, spraw, by była moja. Oczy piekły od nie napływających łez.

– Zmęczony jestem, Cyrylku – wyznał. – Zmęczony do niemożności.

W nocy gorączkował, koszula przykleiła mu się do spoconego ciała. Był w dalekich krajach, pan Ligęza przedstawił go księżniczce, która miała oczy siwe, zwierające się pod światłem jak u kota, powiedziała mu: „przetrzymasz, młody jesteś” – a on recytował Ariosta po włosku, buchała zeń ta italszczyzna strumieniem, choć nigdy jej się nie uczył, *porco di Dio*, księżniczka tymczasem znikła, rzucił się jej szukać po korytarzach, wzgórzach, schodach, izdebkach, wołał: „*Orsola! Orsola mia!*”, znalazł ją w świetlicy, pozowała nago do obrazu, to znaczy nagości samej nie widział, on tylko wiedział, że ona na pewno jest naga, bo wszystko w niej było nagie (białe nagie ramię i wielkie nagie oczy, i zdrowe nagie zęby, i nagi dzwoniący śmiech), ów malarz był obrzydliwy, skądś znajomy, czy nie krewniak? tak jest, krewniak, „Świrski jestem” – „waćpan śmiał, waćpan, waćpan, dajcie szablę! szabla! szabli! przebije!” – krzyczał. „Spokojnie, panie Tomku, przetrzymasz to, młody jesteś”.

Na dworze świtało, ukośne słońce przemrużywało do stodoły poprzez szczeliny między deskami. „Młody jestem” – powtórzył na głos i poczuł, że wracają siły. Wtulił głowę w chrzęstliwe siano i zapadł raz jeszcze w sen, mocny i ozdrowieńczy.

Kiedy się obudził i ześliznął z siana, postanowił spróbować ręki. Ciął szablą w powietrzu raz i drugi. Dobrze, pochwalił siebie. Znowu czuł się krzepki i zręczny, nawet to swędzenie w plecach przydawało tylko poczucia, że żyje, że ma młode, umięśnione ciało. Wyszedł na dwór.

Zobaczył przy stole pana Ligęzę, obok krążył jak jeź Cyryl, rozmawiali niby starzy znajomi, infamis i chłopiec, bo i byli to starzy znajomi. A Nastka – przyodziana świątecznie, choć niekolorowo – kroїła chleb, rozlewała parzone mleko. Prawda, niedziela dzisiaj, przypomniał sobie. Majba pewnie do Sańska poczłapał, do sług Bożych.

– Witaj – odezwał się Ligęza. – Jakieżeś to grzeszki waćpan odsypiał?

– Żadnych, niestety.

– Przysiądź się, synku – zapraszała Nastka.

W saganku grzała się woda. Zacząć z miejsca opyt czy poczekać?

– Cyryl, za mną – rozkazał. – Pomożesz mi się obmyć.

Mył się w dusznej, mrocznej izbie Majbów, której sufit oblepiały muchy.

Cyryl mydlił mu ostrożnie plecy, potem zlewał je wodą.

– Jak blizny? – spytał Tomasz.

– Goją się.

– Nie pękną przy gwałtownym ruchu?

– Chyba że ktoś tknie. A czemu waćpan pytasz? – zaciekawił się chłopiec.

– Bo pewnie będę się bić.

Weszła Nastka i przetała zamoczoną polepę. Tomasz zauważył:

– Przyszedł on jednak, twój oblubieniec.

– Ano, trzyma się mnie i trzyma.

– Mówisz, jakbyś mu mniej była rada.

– Może i mniej – przyznała.

– A czemu?

– Nie wiem, panie. Sama nie wiem.

Kiedy on jadł chleb popijając parzonym mlekiem, Ligęza przysiadł się pytając:

– I dokąd teraz, panie Tomku?

– Na razie nigdzie.

– Zostajesz tu?

– Zostaję.

Ligęza zmarszczył brwi, zaraz jednak rozchmurzył się.

– Zostawaj – zgodził się. – Nie będziesz nam zawadą.

– Trochę będę – powiedział Tomasz. – Po tom tu przybył, żeby z wami porozmawiać.

– Z Jewką też?

– Chciałem i z nią. Ale chyba już jej nie będę niepokoił. Ty mi, panie Ligęzo, wystarczysz.

Infamis zaśmiał się. – Znowu jesteś nieugięty...! Jewka! – zawołał. – Jewka! A gdzie Wasyl?

– Po co ci on?

– Spojrzeć na niego chciałem.

– Już ci bez jego krzywdy nie smakuje? – spytała.

Ligęza nagle spowaźniał.

– Nie, dziewczyno miła, cóż ty pleciesz. Ja jego krzywdą się nie lubuję. Ja, przeciwnie, chciałem mu dobre słowo rzec. Jeno to. Ale gdzie on?

– Wezwali go wczoraj do państwa.

– To wiem, bom go widział przy zamku. Czemu jednak do domu nie wraca?

– Pewnie do Sańska wędruje. On tam każdą niedzielę chodzi.

Ligęza zastanowił się.

– Do Sańska? Nie. Ja go tu jadąc minąłem. Nie do Sańska zmierzał. Pewnie mu pan chorąży coś nakazał, bo nie był sam.

– Z kim był? – spytał Tomasz.

– Z Rachmetem Tatarem.

– Dziwna para.

– Pewnie szli do jakiejś roboty – powiedziała Nastka.

– W niedzielę? – powątpiewał Tomasz.

– Łukasz jest człowiek światowy – na to Ligęza. – Jak mu do czegoś pilno, to nie ma dlań niedzieli. Wykładaj rychlej, z czym przyszedłeś – zwrócił się do Tomasza – bo szkoda mojego niedzielnego wczasu.

Tomasz wyjął z wewnętrznej kieszeni kaftana zwitek papieru i rozprostował go na stole.

– Co to jest? – zdziwił się Ligęza.

– Pieśń jarmarczna. Przeczytaj ją sobie.

Ligęza zaczął czytać nachmurzony, potem stopniowo wypogadzał się, raz i drugi uśmiech przemknął mu przez usta. Skończywszy lekturę zwrócił kartkę Tomaszowi i powiedział:

– Nie wiedziałem, żeś taki sławny.

– Ale co o samej pieśni rzekniesz? – nalegał Tomasz.

– Rymy ubogie.

– Waćpan mi tu o rymach...!

– Bo to ważne, Tomaszku. Nie doceniasz znaczenia formy, ale gdybyś znał Ariosta po włosku jak ja...

– Nic więcej do powiedzenia nie masz? – przerwał mu Tomasz.

– Nic.

– Ja jednak mam do waści kilka pytań. Odpowiesz mi?

– Bardzo chętnie.

Odeszli od chałupy, odprowadzani niespokojnym spojrzeniem Nastki. Kocha go, pomyślał, kocha mimo wszystko, smutną i gorzką namiętnością poddanki. Stanęli pod jabłonią, która kwiat już dawno straciła, za to listowie rozrosło się i skrywało od palącego słońca.

– Słucham cię, panie Tomku – odezwał się infamis.

– Pytałem raz Jewki, kiedy cię poznała. Wiesz, co mi rzekła?

- Nie wiem.
- Że poznała cię już po śmierci ojca mojego.
- Kłamała. Znaliśmy się przedtem.
- Tak jest w pieśni.
- Pieśń prawdę mówi – orzekł Ligęza.
- Pieśń powiada, żeś waćpan już za życia ojca mojego się do niej zalecał.

Prawda to?

- Zalecał? Tak, można to i tak nazwać.
- Ale stał ci ktoś na przeszkodzie. Mój ojciec.
- Tak by wyglądało – przyznał Ligęza.
- Czemu Jewka łągała?
- Dziewkom się to zdarza.
- Ale chyba nie bez przyczyny. Tym razem jaka? Wiesz?
- Nie – powiedział infamis.
- Bo się o ciebie lęka.
- Dlaczego?
- Że się na tobie zemszczę. Podejrzewa cię o zabicie ojca mojego.

Ligęza kiwnął głową. Potem szepnął:

- Więc mi dobrze życzy...
- Waćpan o tym wątpiłeś?
- Zawsze się trochę wątpi.
- Panie Ligęza. Czy zdajesz sobie sprawę, że to jej kłamstwo ciebie obciąża?
- Tak, w istocie – przyznał infamis.
- Waćpan byłeś z moim ojcem tej ostatniej nocy, nieprawdaż?
- Przecież wiesz.
- Kiedy Toroszewicz o świcie się obudził, nie zastał w gospodzie ojca i nie zastał waszmości. A może i on kłamie, ten Toroszewicz?

– Nie, prawdę mówi.

– Dlaczego cię nie było?

Ligęza nabrał tchu.

– Dobrze, powiem ci prawdę. Wyszędłem z ojcem twoim.

– Razem wyszliście?

– Tak.

– I zabiłeś go?

– Za prędkiego jesteś, mój Tomaszku. Nie, nie zabiłem. Wyszędłem z nim, żeby go zaprowadzić w umówione miejsce na spotkanie z człowiekiem, który chciał się z nim zobaczyć.

– Po co?

– Mówił ów człowiek, że chce z panem Błudnickim porozmawiać.

– I ten człowiek ojca zabił?

– Tak, ten człowiek.

Więc nareszcie objawił się morderca. Nie widmo, nie mara, nie ogień, co wnętrzości trawi, ale „ów człowiek”. Ktoś prawdziwy. Ktoś wiadomy. A świadek mordu stoi przed nim i opowiada o wszystkim tak zimno, jak o czymś oczywistym. Ligęza na rozkaz nie zabija, przypomniał sobie. Tak, sam nie zabija, ale pchnął na ojca kogoś, kto go przebił nożem. A sto kamieni?

– Dlaczegoś ojca z nim zmówił? – spytał.

– Bo mnie ów człowiek o to prosił.

– I uważałeś, że winieneś tę prośbę spełnić?

– Tak. Tak uważałem.

– Ten człowiek mojego ojca nienawidził?

– Nienawidził.

– Ty o tym wiedziałeś?

– Tak, wiedziałem.

- Kto to był?
- Tego waćpanu nie powiem.
- Szlachcic?
- Nie pytaj mnie o szczegóły.
- Wiem, kto – powiedział niespodziewanie Tomasz.

Ligęza zawołał:

- *O bravo mio!*
- Wiem, kto tej nocy był w Sańsku.
- *Bravo, bravo!*
- Ten człowiek teraz też tam jest.
- Bardzo możliwe – przyznał Ligęza. – Chociaż nie, nie sędzę. Ale kto?
- Wasyl zwany Majbą.

Infamis zaczął się śmiać.

– Majba, Waśko, przygłup kochany...! Aleś, Tomaszku, wymyślił! W piętkę gonisz, słowo daję. I wszystko z tej beznadziejnej miłości. Wszystko dlatego, żeś się w pannie Urszuli zadurzył. Żal mi cię, Tomaszku, szczerze mówię. Widzę, jak cierpisz. A Bełzecki już-już ci ją był dawał... Masz rację zresztą, żeś nie wziął. Lepiej nie przybliżać takiego obrazu. Lepiej cierpieć z daleka.

– Więc twierdzisz, że nie Majba – powiedział Tomasz, jakby nie słyszał całej tej przemowy. – Nie powiesz mi, kto?

- Nie, kochany.
- To był człowiek Bełzeckiego?
- Nie.
- Więc czyj?
- Niczyj.
- Sam swój? – dopytywał się Tomasz.
- Za dużo chcesz wiedzieć. Wystarczy, że nie ja, i tyle.

– Waćpan twierdzisz, że Bełzecki nie ma z tym nic wspólnego?

– Nic. – Ligęza spojrzawszy na Tomasza uśmiechnął się. – Możesz mu śmiało do nóg paść. Już ci lżej?

– Ale waćpan jednak coś z tym miałeś.

– Ale co? – spytał ciekawie Ligęza.

– Wiedziałeś, że ojcu grozi niebezpieczeństwo!

– Ojciec też wiedział.

Tak, bez wątpienia, pomyślał Tomasz. Był odważny, nawet zuchwały. Porozmawiać w ustronnym miejscu z kimś, kto na niego czyha – pewnie mu to na fantazję oddziałało.

– Waćpan komu z nich dobrze życzyłeś? – spytał Tomasz.

– O nie, Tomku, na takie głupie pytanie nie muszę odpowiadać.

– Nie mogłeś niebezpieczeństwa zażegnać?

– Nie wiem, może i mogłem. Alem nie miał obowiązku. Kiedy dwaj się chcą potykać...

– Tam pojedynku nie było!

– Skąd wiesz?

– Nożem zabójca działał. Noża ojciec się nie spodziewał. Tyś to wszystko widział?

– Jaka różnica?

– Widziałeś i palcem nie kiwnąłeś!

– Nie miałem obowiązku – powtórzył infamis.

– Bo chciałeś, żeby ojciec mój zginął.

– Nie wiem już, czego chciałem. Może i tego.

– Waćpan mordercę kryjesz!

– Przecieżem infamis – powiedział dobrodusznie Ligęza. – Ja kryję, ale i mnie dobrzy ludzie kryją. Chcesz, ugódź mnie znienacka – mówił Ligęza – nic ci za to nie będzie, prawo z tobą.

To prawda, uświadomił sobie Tomasz.

– Panie Ligęza – powiedział Tomasz dobitnie. – Sądzę, że jesteś współwinny śmierci ojca mojego.

– A to w jaki sposób?

– Boś nie przeszkodził mordercy.

– Nie przeszkodziłem – przyznał Ligęza. – Chcesz się bić? – spytał unosząc brew. Nie spodziewał się, że Ligęza sprawę tak postawi. Słuchał swojego ochryplego głosu jak cudzego:

– Tak. Chcę się bić.

– Gotówes mnie zabić?

– Tak, gotówem. – Próbował oczyścić gardło, nie dało się. I nagle jakieś zawstydzenie go ogarnęło, więc szepnął: – Obaczym. Będzie, co komu sądzone...

Ligęza rozejrzał się po obejściu Majbów.

– Tutaj? – spytał.

– Tutaj – zgodził się Tomasz.

– Jewka! Zapędź kury do sieni, żeby nam nie przeszkadzały. Będziemy się bić – oznajmił Ligęza.

Ona nie zwróciła na jego słowa uwagi.

– Myśli, że figle jeno – mruknął infamis do Tomasz. Rozejrzawszy się po obejściu, stwierdził: – Stół może stanowić zawadę.

– Tym pociesniej będzie – na to Tomasz.

– Jak się potkniesz o koryto, to runiesz do studzienki.

– Natałce się to spodoba.

– Hej, Jewka! Natałka! – wołał Ligęza. – Chcecie popatrzeć, jak się panowie tną?

– Waćpan dworujesz sobie z tego, co się wcale do kpin nie nadaje – powiedział Tomasz. Ten człowiek, ten morderca samswój nie opuszczał go

ani przez chwilę. Była noc, kiedy czekał na ojca w jakimś zaułku Sańska. Gdyby zostawić Ligęzę przy życiu, może by w końcu powiedział, kim był ten człowiek... Zabić go, to zabić świadka.

– Do pierwszej krwi? – spytał Ligęza.

– Do obezwładnienia.

– *Mi piace quelle*. Jewka, gorzałki, rozgrzać się muszę.

Człowiek, który czekał na ojca u schyłku nocy. Z kindziałem. Kim był? Szlachcicem? Szlachcic, który szabli się nie jął...! A sto kamieni...?

Ligęza zaczerpnął z szaflika kubek gorzałki. Po czym spojrzawszy na Tomasza powiedział:

– Lubię cię, Tomaszku, i to działa na mnie podniecająco. Zabić przyjaciela – to już jest przygoda jak się patrzy! Coś, co burzy krew, budzi gorączkę. Potem będą niepokoje, wyrzuty sumienia. Życie mi się zapełni.

– Błaznujesz.

– Nie, Tomaszku. Nie błaznuję. Jewka wie, że ja tak myślę. Prawda, dziewczyno?

Jewka milczała. Ligęza uśmiechnął się:

– Ona nareszcie zrozumiała, że to na śmierć i życie.

– Poszaleliście! – krzyknęła gniewnie. – Poszaleliście oba!

Nagle odwróciła się i wbiegła do chałupy. Drzwi za nią trzasnęły.

– Popatrz, obrażona! – Ligęza spoglądał za nią zdumiony. – Masz waćpan babią rezolucję. Zamiast błagać, całować po rękach albo co – obraża się ni z tego, ni z owego. Waćpan się nie napijesz?

– Nie.

– Na rozgrzewkę?

– Nie, waćpanie. Tu o gardło idzie, a ja po gorzałce mam rękę mniej rychłą i oko mniej pewne. Waćpanu też odradzam.

– Tak, w istocie – mruknął Ligęza, przyglądając się kubkowi. – Dawniej nigdy przed walką węża nie moczyłem. Hm... Jak chcesz – zdecydował nagle – ja sobie jednak łyknę.

I wychylił duszkiem cały kubek gorzałki.

Odstawiwszy go na stół, przejechał rękawem koszuli po wężach, a potem zatarł z animuszem ręce i wykrzyknął:

– Zaczynamy!

– Broń! – przypomniał Tomasz. Sam trzymał w ręku długą nagą szablę; pas z pochwą położył na przyzbie.

– Coś rzekł? – spytał Ligęza. Wydawało się, że ogłuchł, bo nawet dłoń zwiniętą przyłożył do ucha.

– Szabli-ś nie wyciągnął.

– Szabli! Spokojnie, o co ten krzyk, wszystko będzie. Tylko spokojnie. – Chwilę Ligęza mocował się z szablą, zanim wyprowadził ją z pochwy. – Już jest...! To jak? Do obezwładnienia, rzekłeś, *n'est-ce-pas*? W porządku, wnet będzie po wszystkim. Stawaj ty tam, a ja tu. Cyryl, weź ode mnie pas i połóż obok tamtego. No, terazem lekki jak piórko! Cyryl, do nas sam, zakomenderujesz!

– W imię Boże? – zapytał chłopiec.

– Boże, nie Boże – na to Ligęza – byle jakoś zacząć. Powiedz-że coś, Cyrylku.

– Naprzód, waćpanowie – zakomenderował Cyryl.

Ligęza machnął w powietrzu szablą i zaśmiał się.

– Chwileczkę, pardon – powiedział. – Niech ją lepiej uchwyć w garści. Teraz – rzekł, cofnął się i zachwiał. – Czemu nie nacierasz?

Tomasz gniewnie odłożył na bok swoją szablę.

– Nie będę się z tobą bił – oznajmił.

– Co? Dlaczego!

– Boś pijany.

– Ja?

– Tak jest, panie Ligęzo. Jeden kubek gorzałki wystarcza, byś się dał zabić.

Ligęza przyglądał mu się spode łba. Ścisnął szablę w garści, poruszył dłonią w przegubie.

– Tak, to nie to – mruknął. – Powinna przyrastać do dłoni, a ona sama chodzi. Nie to. – Wysunął nogę do przodu, żeby spróbować jej gibkość, ale i to doświadczenie napełniło go niezadowoleniem. – Tak, nie to... – Wciąż trzymając szablę, przyglądał się milczącemu Tomaszowi. – I z nogami bieda – poskarżył się. – Ciężkie.

– Uprzedzałem waści – przypomniał Tomasz.

– Zamilcz. – Ligęza oddał szablę Cyryłowi mrużąc: – Schowaj... – Chcesz – obrócił się do Tomasza – możesz mnie zabić.

– Nie chcę.

Chcę wiedzieć, kto ojca zabił, myślał. Przemów. Powiedz jedno słowo. Ty wiesz. Ty go z mordercą zetknąłeś.

Ligęza powlókł się ku przyzbie, siadł zwiesiwszy głowę. Już nie ten Ligęza. Skrzypnęły drzwi. Wyjrzała Nastka, popatrzyła wokoło niespokojnym spojrzeniem.

A potem uśmiechnęła się – nie było trupa między kurzym pomiotem, panowie żarty sobie stroili. Podeszła z wiadrem do studni. Żuraw zaskrzypiał jednostajnie, Nastka napełniła wiadro wodą i zniosła je do obórki. Ligęza wciąż milczał.

Napiłbym się, pomyślał Tomasz. Wychylił trochę gorzałki, potem napełnił gliniany kubek raz jeszcze i podał go Ligęzie.

– Wypij – powiedział. – Pociesz się.

Ligeza zajął do kubka, jakby chciał sprawdzić, czy się go nie oszukuje – a może odbicia swojej twarzy szukał. Ścisnąwszy kubek w dłoni, zamachnął się i rzucił nim ze złością jak kamieniem. Na trawie pojawiła się mała kałuża. Tomasz otarł z twarzy krople gorzałki.

– A kubek cały – powiedział.

– Cały, psie oko – przyznał Ligeza. – Oblało waści?

– Niewiele. Można przysiąc?

– Siadaj.

Przysiadłszy obok infamisa, Tomasz przypomniał:

– Ostrzegałem waćpana, byś nie pił. Ale tyś mnie, widać, lekceważył.

– Nie, mój panie, nigdy nikogo nie lekceważę. Tak mniemam, że cię w głębi duszy nie chciał na tamten świat wysłać. – Mówiąc to Ligeza nie patrzył na Tomasza, tylko sobie pod nogi. – Nie myślisz, że dlatego po trunek sięgnąłem?

Diabli cię wiedzą, pomyślał Tomasz, z tobą wszystko jest możliwe.

– Powiem ci coś – odezwał się Ligeza. – Nie wydobędziesz się z tych terminów inaczej jak niewoląc ją.

– Nie rozumiem – szepnął Tomasz.

– Porwiesz ją, to ci ulegnie.

Może i tak, pomyślał Tomasz.

– Ale kiedy ci ulegnie, nie myśl, że będziesz ocalony. Jeszcze mocniej płonąć będziesz.

– Skąd wiesz?

– W tej materii wiem wszystko. Chcesz ją porwać, to pomogę ci. Skoczmy z nią na Węgry, stamtąd do Czech albo nawet do Italii, mogą nas szukać.

– Nie myślę porywać.

– To radzę ci o niej zapomnieć.

– Gdybym potrafił...! Ona księstwo wybierze, nie słyszałeś?

– Na pewno. Jeszcze ostatecznej odpowiedzi nie dała, ale już pani matka do Przemyśla z nią się wybiera do kupców, po atłasy i kitajki.

Mieć ją raz, a potem wspominać całe życie. Raz jeden. Całować od stóp do głów – i nie zapomnieć smaku.

– Ty wiesz, co na mnie ciąży? – spytał Ligęza.

– Zabijałeś.

Tomasz usłyszał krótki drwiący śmiech.

– Och, zdarzało się, ale nie to ciąży. Za to nie wyklinają. Nowicjuszkę porwałem z klasztoru! Prawda, że to była moja własna narzeczona, w której byłem wówczas tak pogrążony jak ty dzisiaj w chorążance. Inna rzecz, że moja nie tak ostry rozum miała. Gęś więcej, ale dla mnie jaskółeczka śmigła. Jadąc na kurlandzkie boje do pana Chodkiewicza, poleciłem ją za zgodą matki, bo ojca nie miała, opiece zakonnic z klasztoru św. Agnieszki na Stradomie krakowskim. Zamknęła się tam wraz z siostrą młodszą, Dorotą, którą-m jej tam przydał dla towarzystwa. I stało się, że przekabaciły ją siostrzyczki, aby Bogu raczej się oddała niż mnie. Kiedym z wojenki wrócił, to już po pierwszych ślubach była, w habicie, włosy ustrzyżone, „Bogum teraz siebie winna”, powiada. Pycha przez nią przemawiała, nie inaczej, iż do innych przeznaczeń przeznaczona, niż żonką czułą być. Ja swoje: wracaj do świata, moja jesteś. Powołano komisję, aby ją z tego klasztoru wyprowadzić. Aleć nie mnie była przychylna. Uważ a sądz, powiadają oni, jakoż to już może być żona Ligęzy, kto mocniejszy: Bóg czy człowiek?

– I waćpan ją wtedy porwał?

– Co mi zostawało? Najechałem klasztor, bramę petardą wysadził, drzwi w celi wyłamałem – i do niej. A że Dorota, ta młodszą, puścić mojej Konstancji nie chciała, to i ją porwałem. Z tego poszło owo wyklinanie. A

za rapt i świętokradztwo – gardło. A za nieusłuchanie praw – infamia z banicją. I odtąd w tym rosole jestem, zaś broniąc się, tu i ówdzie kogoś rozplątałem. Ślub z Konstancją się odbył, chociaż wrzeszczała, że nie chce. Każda noc była potyczką. Próbuję wszystkiego: uwieść, oczarować, gwałcić. Biję. Ona ulega. Małżeństwo dopełnione. I wiesz waćpan co? Przez jakiś czas nawet mnie ona miłuje. „Bo jużem po Bożemu twoja”, powiada. Ale naprawdę dlatego, że ją pożycie kusiło, jako że grzeszne i niegrzeszne zarazem. Czas jakiś mija, a ona znowu zaczyna żałować: mogła być Panu Bogu małżonką, jedną z orszaku wzniosłego, a jest – plugawego mężczyzny. Tym to czasem ku siostrze jej, onej Dorocie, zaczęło mnie ciągnąć. Ta zazdrosnym okiem na szczęście Kostusi spoglądała, a gorąc ją przy tym brał, płoniła się i słabości miała – sto piorunów. Ja coraz bardziej przez to niespokojny. Co ją sobie wyobrażę na łożu w sąsiedniej izbie, to mnie ku niej okrutnie ciągnie. No i którejś nocy poszedłem. Dobrzem odgadł, od razu ręce ku mnie wyciągnęła. I się zaczęło. Żyję po trosze z tą, a po trosze z tą. Moja Kostusia supliki do samego papieża śle, na koniec uciekła ode mnie z powrotem na Stradom do klasztoru, małżeństwo unieważniono, ja z Dorotą zamierzam się kolejno żenić, ciż w krzyk, że grzech do grzechu przydaję – świętokradztwo, rapt, zabójstwo, kazirodztwo na koniec – na głowę moją dybią, więc uciekłem za granicę, a Dorota biedactwo w połogu zmarła. Miłowała mnie ona – dodał melancholijnie – ja zaś tamtą, co wołała Boga. Tę to jej pychę świątobliwą zdeptać chciałem, to oddanie niebu, którego nie rozumiał, którym pogardzałem i którym na koniec znienawidził.

- Panie Stefanie. Powiedz, kto ojca zabił – odezwał się Tomasz.
- Nie, mój drogi. Basta, i tak ci dużo powiedziałem.
- Nożem go zabili. Szlachcic nożem nie zabija.
- Czemu nie?

– Jeśli morderca użył noża, to może dlatego, że nie miał szabli.

– Albo w szabli czuł się gorszy – podsunął Ligęza.

– Mógł to być kosturowiec.

– Głupstwa gadasz.

– Dlaczego więc w Sańsku? – zastanawiał się na głos Tomasz. – Kosturowiec... nie, masz rację, mieli oni do nieboszczyka różne żale i pewnie go na potępienie wieczne osądzili, ale żelaza by się nie imali. Waćpan wiesz i nie chcesz powiedzieć!

Ligęza milczał. Jestem blisko, myślał Tomasz, blisko jak nigdy przedtem. Na przyzbie siedział obok niego człowiek, który znał prawdę, był naocznym świadkiem. Wie kto i wie dlaczego. I nie chce powiedzieć.

– Życzycie kurę pieczoną, panie?

Jewka stała przed nimi. Ligęza podniósł na nią oczy. Ona uśmiechnęła się, ale uśmiech był smutny.

– Mogę upiec...

Ligęza wstał, objął ramieniem jej kibić.

– Pójdziemy? – spytał cicho.

– Jak chcesz – powiedziała.

Ligęza puścił ją i poszukał glinianego kubka w trawie. Schylając się poń spytał:

– Nie godzi się dzisiaj, co?

– To już wy lepiej wiecie – odpowiedziała.

W skośnym wykroju oczu czaił się niepokój, bolesny grymas ściągnął jej usta. Ligęza odstawił kubek na stół i podszedłszy do niej, ujął ją za brodę.

– Urodzisz drugie – powiedział spoglądając w jej oczy. Pocieszał niezgrabnie, ale z nieoczekiwaną czułością. – Zdrowsze będzie, urodziwsze, do ciebie podobne. Wyżyje.

Pocałował raz jedno, raz drugie oko. Ona wydusiła z siebie:

– Jeno że Wasyl...

– Co takiego?

– Nie ma go.

– Przecież nie mały.

– Pewnie, że tak – przyznała. Ale jej oczy napełniły się łzami. – Powinien już być.

– On był pieszy, a ja wierzchem.

– Ale czego z nim ten Tatar?

Ligęza nie odpowiedział. Krążył wokół szaflika jak jastrząb nad polem pełnym myszy. Tomasz zabrał głos:

– Nastka słusznie się niepokoi. Coś w tym jest ciemnego.

Ligęza już trzymał gliniany kubek w ręku, już-już miał go w szafliku zanurzyć.

– Tak waćpan mniemasz? – spytał i odstawił kubek. – Poczekaj, może masz rację. Słyszałemci jakiś strzęp rozmowy...

– Gdzie on? De mij ridnyj? – zabiadoliła Nastka.

– Na koń, Tomku! – zdecydował nagle Ligęza. – Nie bój się, dziewczeczko – pocieszał kochankę, podczas gdy Cyryl konie odwiązywał, popręgi podciągał.

– Pojedziemy Wasylowi naprzeciw, przyprowadzimy ci go. – Objął ją i przytulił.

– Będiesz go miała, nie bój się. – Przymknąwszy oczy, poruszył nozdrzami. – Mocniejszaś od wina włoskiego – szepnął, a ona uśmiechnęła się.

– Miłujesz mnie trochę? – spytała.

– Jako Bóg w niebie. *Pardon!* – zawołał. – Jak swoje ostatnie rozkosze – powiedział i wskoczył lekko na koń.

Wydostawszy się za opłotki wsi, pomknęli w stronę bolatyńskiego traktu. Przegalopowali ze dwie staje w kurzu, kiedy Ligęza powściągnął wierzchowca.

– Trzeba nam teraz zboczyć – rzekł.

– Waćpan coś wiesz?

– Łukasz o brzeźniaku wspominał, gdzie pustelnik przemieszkiwał...

ROZDZIAŁ XVII

Prowadzili konie przez gęstwę krzewów, za którymi rozciągał się parów, a dalej, po drugiej jego stronie, połyskiwały białymi plamami brzozy. Posuwali się ostrożnie wokół parowu, żeby wedrzeć się w ów brzeźniak niepostrzeżenie, z boku.

– Co tam ma się stać? – spytał Tomasz.

– Nie wiem. Chłosta pewnie.

– To czemu Tatarowi ją poruczył?

– Kto go wie, Łukasza zatraconego.

– A czemu w zamkowym lochu jej nie dokonał?

– Żeby było bliżej Jewki.

– To czemu nie we wsi?

– Nie wiem – zirytował się Ligęza. – Waćpan pytania zadajesz jak dziecko! Czemu i czemu...

– Ja nie ciebie pytam, Ligęzo, tylko sam siebie – powiedział Tomasz.

Brzozy otuliły ich cieniem, rzadkie, strzeliste, z opadającymi nisko wiotkimi gałęziami, pod nimi ziemia mchem poszyta. Ligęza dał znak ostrzegawczy: trzeba było zatrzymać się i nasłuchiwać.

– Żeby nie spóźnić – zatrwożył się Tomasz. – Dokąd teraz?

– Gdzie pustelnik żył... Wedle strumyka...

Zostawiwszy konie uwiązane do brzóz, zaczęli skradać się między drzewami, dopóki nie przybliżyli się do bełkotu strumienia. Ligęza znowu dał znak, żeby się zatrzymać. Legli na mchu.

– Słyszę ich – powiedział nagle Tomasz.

– Kroki?

– Oni. Jeden w butach, drugi boso.

Tamci rozmawiali ze sobą głośno i swobodnie. „A teper szczo?” – rozróżnił Tomasz głos przygłupa. „Przed siebie”. „Daleko?” „Sto kroków. Szałas widzisz?” „Widzę. Święty w nim żył”. „A ty w nim umrzesz”. „Ne, ne umru ja” – zaprzeczył Majba. „Módl się” – poradził Tatar. „Nie umru. Boh ne pozwołył”. „Kto ty taki, żeby sam Bóg za tobą się wstawił?” – mówił Tatar głucho. – „Kniaż ty czy święty? Tyś dla Boga nie więcej jak robak. Był, poruszał się i nie ma go, ot i wszystko”. „Ja sługa Boży” – odpowiedział Majba. Zdaje się, że się zaśmiał.

Rudziejący szałas, dziurawy jak sito, walił się na bok, w stronę strumienia, który przepływał dołem. Wszystko znajdowało się w cieniu wysokich brzoź. Podczołgawszy się, zobaczyli tamtych dwóch: Majba siedział na pniu zwalonym, Rachmet krążył wokół niego, wypatrując czegoś w górze.

– Czego szukasz? – spytał przygłup.

– Gałęzi dobrej.

– Tam jest dobra – wskazał przygłup w stronę, gdzie leżeli na ziemi panowie.

– Gdzie? – Tatar rozglądał się, stojąc obok Majby ze sznurem w rękę.

– Tam.

Rachmet zauważył wskazaną gałąź.

– Dobra – potwierdził.

– Na drzewie to Waśko się rozumie.

– Rozumiesz się. Dzięki ci, człowieku. Ty dobry.

– A chcesz mnie powiesić – przypomniał Majba jakoś bez żalu.

– Nie moja wola.

– I co, że nie twoja?

– Tylko spokojnie, Wasyl. Będziesz uciekać, kindzałem pchnę.

– Nie będę.

– Daj ręce, zwiążę ci.

Chłop wysunął do przodu ręce, które Tatar powoli, skrupulatnie wiązał w przegubach. Ichmościowie przyglądali się temu, leżąc we mchach z zatajonym oddechem.

– Może już? – szepnął Tomasz.

– Niech go pod gałąź doprowadzi...

– Chodź – usłyszał głos Rachmeta.

Tatar pchnął lekko chłopą w ramię. Chłop wstał i powlókł się w stronę drzewa, które sam przedtem wskazał Rachmetowi. Rachmet:

– Stań pod gałęzią.

Majba przysunął się trochę.

– Tutaj zawiśniesz – powiedział Tatar.

– *Fertig* – odpowiedział chłop.

– Sam ją sobie wybrałeś.

– Ja się na drzewie znam.

– Chcesz się pomodlić?

– Ne treba, ne umru ja.

– Umrzesz. Nie nasza wola.

Wasył jakby nagle zrozumiał. Twarz mu stężała.

– Nastka będzie płakać – powiedział.

– Cóż, znajdą się pocieszyciele.

– Co jej powiecie?

– Żeś się sam obwiesił.

– To grzech – wzdrygnął się chłop. – Wełyky hrich.

Tatar zarzucił sznur na gałąź. Zakołysała się pusta pętla, tylko głowy w niej brakło.

– Ja złożę ręce, a ty na nich staniesz – pouczał Rachmet. – Włóżysz głowę w pętlę. Ja się usunę, a ty zawiśniesz. Umrzesz raz-dwa.

– Fertig.

– Lekką będziesz miał śmierć.

Chwilę stał Wasyl w milczeniu pod pętlą, nagle westchnął:

– Nastka, biedna, bude sumowatysia...

– Popłacze i zapomni.

– To i dobrze. No, fertig, nadstaw ręce.

W chwili kiedy Wasyl stawiał nogę na złączonych dłoniach Tatar, Ligęza zawołał wstając:

– Pomagaj Bóg, dobrzy ludzie! A w co wy się tu bawicie?

Tamci dwaj znieruchomieli w dziwacznej pozie, która ich łączyła, i Tomaszowi przyszło na myśl, że przypominają rzeźbę pogańską spod warstw prochu wydobytą. Ligęza szedł ku nim z obnażoną szablą, krokiem miękkim, prężnym, dawnym krokiem niezwykniętego Ligęzy.

– Wasza miłość – odezwał się Tatar rozwierając złączone dłonie.

Bosa stopa Majby dotknęła bez pośpiechu ziemi. On sam patrzył zdziwionymi oczyma, w których Tomasz nie dostrzegł spodziewanej radości. Spokój to jest nadmierny, pomyślał. Jednak przygłup, nie ogarnia całej grozy terminów, w jakich się znalazł.

– Wasza miłość – powiedział Rachmet prostując się służbiście – pozwól mi wypełnić do końca wolę jego wielmożności.

– I powiesić Wasyla?

– Taka jest wola jego wielmożności.

Ligęza świsnął szablą nad głową Tatar. Tomasz drgnął, chociaż wiedział, że cięcie wymierzone będzie w sznur. Pętla spadła na ziemię.

– Koniec rozprawy! – zakomenderował Ligęza. Dotknął ramienia chłopca.
– Idź, Wasyl, idź do domu, Nastka tam niespokojna. Idź prędzej.

Tatar chwycił chłopca za ramię i przytrzymał.

– Stój, Wasyl, stój! Wasza miłość, ja go powieszę, pan kazał, a wasza miłość też sługa pański, musisz się podporządkować.

– Niczego ja nie muszę, panie Rachmet – powiedział Ligęza. – Puść mi zaraz Wasyla, bo cię przebiję. Liczę do trzech... Raz...

Rachmet puścił ramię chłopca. Ten zaśmiał się, mruknął "*fertig*" i bez pośpiechu podreptał w stronę parowu. Spoglądali za nim jak oddalał się w cień drzew, raz po raz przesłaniany białym brzoźowym płótem.

– Wasza miłość mnie unieszczęśliwiasz – powiedział Tatar.

– Stul pysk, zbójcu! Pójdziemy teraz wszyscy do pana Łukasza i zapytamy go, co ten cały wybryk miał oznaczać.

Tatar kroczył obok nich w milczeniu. Kiedy znaleźli się na piaszczystym trakcie, czekał tam już na nich Cyryl. Tatar pochłonięty myślami nie zwrócił uwagi na chłopca. Powiedział:

– Nie jestem zbójcą, wasza wielmożność. Nie mój rozkaz i nie mój grzech.

– To wiemy – przyznał Ligęza. – Aleś skrzętny wykonawca.

– Pan kazał.

– Czemuś chłopca od razu nożem nie pchnął? Na co ci były te rozmowy?

– Nie wiem, wasza wielmożność.

– Boś za miękki na zbójcę! Całe *theatrum* rozgrywasz.

– Nie chciałem, żeby krew płynęła.

– Rachmet, Rachmet... Czy ty w końcu wiesz, czego chciałeś? Myślisz, że jeden sposób mordowania jest przyzwoitszy od drugiego?

– Nie wiem, wasz miłość. Nie mój grzech...

Tomasz spytał:

– Czemuś się tego podjął, Rachmecie?

– Pan kazał – odpowiedział bezbarwnym głosem Tatar.

– Mów prawdę! – rzucił Tomasz szorstko. – Jak do tego doszło?

– Panienska... – wykrztusił Rachmet.

Tomasz powściągnął gwałtownym ruchem konia.

– Panna Urszula? – zawołał. – Co ona? Mówże!

– Przemówiła za mną do jego wielmożności... (Za moją przyczyną, zrozumiał Tomasz). Żeby mnie na Krym puścił. Pan mnie wezwał. Powiada: puszcę cię, jeśli mnie od przygłupa uwolnisz.

– I tyś się podjął!

– Wasza wielmożność – tłumaczył Tatar ze łzami w głosie – to był warunek.

– Czy to pan chorąży śmierć obmyślił?

– On. I miejsce wybrał. Zaprowadź go, powiada, do szałasów pustelnika, Wasyl ciągoty ma w tym kierunku, będzie, że sam się obwiesił, boć i bliżej domu jak zamku.

– To tej rozmowy strzęp słyszałem – wstawił Ligęza.

– A wasza miłość przeszkodziłeś – narzekał Tatar. – Teraz to już ja tu zdechnę z dala od swoich.

– Zdychaj – mruknął Ligęza. – Pies z tobą tańcował.

Za moją to wszystko przyczyną, myślał Tomasz. Tatar dreptał obok konia, Cyryl zaś, jak to on, raz po raz zostawał z tyłu, bo go coś na stronie ciekawiło.

– Skoczę mu do gardła – usłyszał Tomasz mściwy głos Ligęzy. – Zapytam o wszystko. Dobrze, niech zginę – mówił niewyraźnie, jakby tylko z sobą rozprawiał.

– Niech nareszcie zginę.

– Opętała go Nastka – powiedział Tomasz i zabrzmiało to, jakby usprawiedliwiał Bełzeckiego.

Ligęza dosłyszał.

– Opętała – potwierdził. – I co? Nie jego jednego!

– Właśnie, panie Stefanie. Wasyla pozbyć się małego.

Ligęza spojrział na Tomasza. Konie szły obok siebie stępa, łeb w łeb.

– Tak powiadasz? – zamyślił się infamis. – Prawda, więc i mnie powinien się pozbyć. Obiecał sobie: – Dobrze, zapytam go także i o to.

Urszula schodziła ku nim bez pośpiechu po stopniach ganku. Dostrzegłszy ją, Ligęza rozkazał Tatarowi:

– Idź do siebie i nie ruszaj się, dopóki cię nie wezwą. Precz!

Tatar odszedł bez słowa.

Ona szła ku nim spokojna, w błękitnej szacie i takiejż przepasce na rozpuszczonych włosach. Jej twarz zaskoczyła Tomasza, nie pamiętał jej twarzy, pamiętał oczy, włosy, nos, usta, wszystko z osobna, ale rzadko jawiło mu się to wszystko razem zarysowane w wyrazisty portret. Zupełnie jakby tęsknił nie za rzeczywistą Urszulą, prawdziwą mieszkanką bolatyńskiego zamku, lecz za zwidem, ułudą, tworem wyobraźni. Więc takaś ty, pomyślał, i dla takiej właśnie zniosłem ból i upokorzenie, i taką miłuję. Zaskoczenie nie zmniejszyło jednak uczucia ani nie oddalało gorzkości, która – czuł to – jest mu przygotowana. Podała mu dłoń do ucałowania, a on ujrzał na niej pierścień nie znany, ze szmaragdem. Od księcia, domyślił się, ale nic nie rzekł. Ona obejrzawszy się za Rachmetem, który minął ją bez ukłonu, spytała:

– Co się z nim stało?

– Nic – odpowiedział Ligęza.

Nie podejmując już więcej tego, zwróciła się do Tomasza:

– Pan Konięcpolski tu był i tylko co odjechał.

Wróciło swędzenie w plecach. Dla ciebie. Zamiast szmaragdów. Dziewczyna uśmiechając się spytała:

– Waćpanowie go nie spotkali?

– Nie – odpowiedział Ligęza.

On nie wie, uświadomił sobie z ulgą Tomasz. Nikt nie wie. Jenó Cyryl, który ściszał kurczowo jego dłoń, jak zwykle w chwilach niebezpieczeństwa, i który obiecał milczeć.

– Hej, młodzi, ile wam trzeba na pierwsze szczebioty? – spytał Ligęza.

– To zależy – odpowiedział Tomasz. Do Urszuli: – Pan Koniecpolski otrzymał od waćpaństwa list do księcia?

– Tak – powiedziała dziewczyna z przekornym uśmiechem.

– A w nim twoją zgodę? – domyślił się.

– Tak – potwierdziła.

Tomasz zwrócił się do Ligęzy:

– Za dwa pacierze służę waszmości.

– Daję ci kwadrans – na to Ligęza i szybkim krokiem wbiegł do zamku.

Więc tyle wysłużyłem, myślał patrząc na twarz, którą pamiętał inaczej. Cięgi i dukat pod nogi, i jej zgoda na księcia. Byleby tylko o ciągach się nie dowiedziała! Spytał niespokojnie:

– O mnie pan Koniecpolski nie wspominał?

– Nic.

Bóg mu zapłać, pomyślał i upewnił się raz jeszcze:

– O tym, że spotkałem go wczoraj koło południa, nie mówił?

– Nie.

– To dobrze.

– Dlaczego dobrze?

– Wolę, żeby języka sobie na mnie nie ostrzył.

– Znowuście się poswarzyli?

Pomyślawszy odpowiedział:

– Nie.

– Więc co zaszło?

– Nic! Czołem waćpanu, i tyle.

– Ale! – przypomniała sobie nagle. – Coś o waćpanu mówił. Że żałuje, iż ci ubliżył, boś jest waćpan godny rycerz. Tak rzekł: godny rycerz.

– A tyś pewnie zaprzeczyła?

– Nie, nie zaprzeczyłam.

Zaczerwieniła się! Ciepłej mu się trochę zrobiło od tego.

– Chciałem ci za coś podziękować – powiedział.

– Za co znowu?

– Za Rachmeta. Żeś się za nim wstawiła.

– Głupstwo. Co jeszcze?

– Już więcej nic. Pan Ligęza czeka.

Nie powiedział, że na skutek jej wstawiennictwa Majba omal nie został powieszony.

– Zaczekaj! – zawołała. – Tomku, a *scrutinium* prowadzisz? – spytała niecierpliwie. – Mordercę znasz?

– Bliskim tego.

– Kto to jest?

– Powtarzam ci: bliskom jest. Ale możesz waćpanna być spokojna: twój ojciec tej krwi nie winien.

Uśmiechnęła się do niego.

– Miłyś, Tomaszku, że mi to mówisz.

Nie wiesz, że afekt do ciebie mam na plecach wypisany, pomyślał. Pchnął leciutko chłopca ku niej.

– To jest Cyryl – powiedział. – Moj wychowanek. Przedstaw się.

– Ręce całuję pannie chorążance! – zawołał Cyryl, pochylając się do jej kolan.

– Cyrylku, a podoba ci się panna Urszula?

Usłyszawszy pytanie, Cyryl cofnął się nieco, żeby lepiej dziewczynę obejrzeć. Przymrużył nawet jedno oko. Potem kiwnął głową.

– Nadobna – orzekł. Dał znak, żeby Tomasz się ku niemu pochylił i szepnął mu do ucha: – Jeśli wasza miłość chcesz się żenić, to ja pochwalam.

Urszula dosłyszała i powiedziała lekko zarumieniona:

– Śmieszny chłopiec.

– Trzeba go przyodziać, Urszulko – odezwał się Tomasz. – Może by – w Bełzeckich barwy? Bo on chce u księżnej pani paziem służyć.

– To znaczy u mnie? – zrozumiała. – Dobrze, dobrze, wezmę cię do siebie, Cyrylku.

– Mój to szpieg będzie na książęcym dworze – mówił Tomasz. – Będzieszli smętna, stęskniona albo coś innego ci się przytrafi, Cyryl mnie wnet zawiadomi.

– A ty na pomoc przybieżysz? – spytała śpiewnie.

– Przybieżę. Ja w tę grę dalej gram – powiedział.

Urszula:

– Och, Tomku, chyba to już koniec naszej gry.

Przebić się nożem, zginać, myślał, znalazłszy się w zamkowej sieni. Tyle tu broni! Koncerz. Kindżały tatarskie. Krzywe szable węgierskie. Orszulo moja wdzięczna, czemu uciekasz? Zbili mnie jak psa. Jak psa, pomyślał z nagłym żalem. Znowu nie pamiętał jej rysów, choć dopiero co się z nią rozstał. Wiedział, jakie ma oczy (tak jasne, że aż siwe), jaki włos, usta (warga dolna obrzmiała, popuchnięta). Odwrócił się, jakby ona tam miała stać za nim, i oto przekonał się, że naprawdę za nim stoi i ramieniem obejmuje plecy Cyryla.

– Tomku – przywołała go do siebie.

Podszedł.

– Nic mi nie powiesz? – spytała.

Że serce mi pęka.

- Nie mam co powiadać – odparł.
 - Złóścisz się na mnie? – spytała.
 - Nie wolno mi się złościć. Wszystko jest tak, jak musi być.
 - Przedsię ty to rozumiesz – stwierdziła z wyraźną ulgą.
- Skinął głową.
- Tak, ja rozumiem.

I odszedł szybkim krokiem. Ale kiedy osądził, że już jej znikł z oczu, przywarł głową do ściany – rozpalonym czołem do szorstkiego obicia. Dwie piekące łzy wypłynęły spod zaciśniętych powiek. Mamo, myślał, mammo moja umiłowana. Twój syn się męczy. Z powodu dziewczki się męczy, której mieć nie może. I to ja, który ginąłem z głodu. Ja, który miotałem się w tęsknocie. I pod mieczami. I w łańcuchach ciężkich. Zżerany przez wszy. A nigdy nie płakałem. Teraz dopiero przez nią – łątkę kolorową, przez nią – motyla fruującego – że mi umyka. Otarł te dwie samotne łzy. Jest łzej, pomyślał. Było łzej.

Przed drzwiami biblioteki czekał na niego Ligęza.

- Jesteś wreszcie – wybuchnął niecierpliwością człowiek, z którym przed kilku godzinami mieli walczyć na śmierć i życie. – Chcę, żebyś był przytomny rozmowie. Może go zaduszę, może on mnie zadźga, trzeba, żebyś był i widział. Chodźmy.

Chorąży czytał. Usłyszawszy kroki, odsunął trójramienny lichtarz, a następnie odchylił się w krzesło, co miało oznaczać powitanie.

- Czołem biję – powiedział. – Siadajcie, powiadajcie, co nowego. Dawnom cię nie widział, Tomaszku. Chyba mnie nie unikasz? Nalej sobie wina, hiszpański cheres, rekomenduję, lekki a zimny. Czemu nie siadacie?

- Przyprorowadziliśmy Rachmeta – powiedział Ligęza.

Powiedział to dobitnie, znacząco. Miała po tych słowach nastąpić pełna grozy cisza, miał Bełzecki zerwać się, może do korda sięgnąć. Ale chorąży

zachował się tak, jakby otrzymał lada jaką nowinę.

– Jest w zamku? – spytał.

– W zamku.

– To dobrze.

– A Wasyla odesłałem do Nastki – dodał Ligęza.

Bełzecki i teraz się nie poruszył. Może zmienił się na twarzy, pobladł lub poczerwieniał, ale w półmroku, do którego się był cofnął, nie można było tego dostrzec.

– Do Nastki, powiedziałaś? – odezwał się.

– Tak – potwierdził infamis. – Wiesz chyba, o kogo idzie.

– Więc już nie do „Jewki?” Edukujesz mi się, Stefanku. – Bełzecki zwrócił się do Tomasza: – Książę pan powtórnie swaty przysłał wraz z listem zalotnym. Nie sposób było tym razem odmówić.

– Już mnie o wszystkim powiadomiono – powiedział Tomasz.

– I pewno myślisz, że to ja na swoją dońkę nalegałem?

– Nie wiem, wasza miłość.

– Nie ja. To ona sama rzecz w swoim umyśle rozważyła.

– Tak słyszałem.

– Któryż to ojciec, dziecinę swoją miłujący, odda ją jakiemuś plugawcowi przeciw jej woli? Więcej na ten temat pieśni niż prawdy! Pewnie, że czasem to bywa, ale najczęściej, powiem ci, to one, te dziewczki, albo same chcą się miłośnika niegodnego pozbyć, albo woli swojej nie mają. Nie mówię ja tu o tobie, Tomku, i o niej, Boże broń. Ty wiesz, jaka jest Urszula, już jej tam woli własnej nie brak. Wiem ja, że żywi do ciebie skłonność. Ale rozumie ona dobrze, że to dziecinne uczucie. Ot, pierwsze bałamuctwa. Tam zaś już co innego. Kraków, potem może Warszawa, dwór królewski.

– Władza i wielki świat – powiedział Tomasz. – Sama mi o tym nieraz wspominała.

– Nie powinienes jej potępiać, Tomaszku.

– Ja jej nie potępiam.

– Pomnij, ktoś ty, a kto ona.

– Ja pomnę.

– Obudziłaby się ona za rok-dwa z tego pierwszego uczucia i wtedy do ciebie miałaby żal, żeś jej drogę do sławy zagroził. Wiem ja, że ją miłujesz...

– Nie – przerwał mu Tomasz.

– Nie miłujesz? – zdziwił się Bełzecki.

– Nie!

– Dajcie spokój! – krzyknął Ligeza w pasji. – Po co tyle o tym rozprawiać? Powiedziałyby kto, że ty, Łukasz, chcesz w stronę zboczyć!

– Z czego w stronę?

– Powiadam ci przecież: odesłałem Wasyla do Nastki.

– Słyszałem.

– Prawiem go od sznura odciął. Na twój rozkaz miał być powieszony.

– No więc czego chcesz? – Chorąży głośno oddychał. – Mój chłop i mój Tatar! Jam ich sędzia. Co komu do tego? A tobie najmniej. Czego wsuwasz nos do moich spraw?

– Bo to Jewczyn mąż!

– „Jewczyn mąż”... Panie Ligezo, infamisie z piekła rodem, czas, byśmy się rozstali.

– Żartujesz.

– Ani trochę. Nie będziesz mi ty powiadać, co i jak mam w swoich dobrach i ze swoimi ludźmi czynić. We trzy dni masz opuścić mój dom, rozumiesz?!

– Nie pokrzykuj, gardło zedrzesz.

– Odejdiesz?

– Niechybnie. Ale najpierw cię zamorduję.

Belzecki podniósł się z krzesła.

– Dalibóg, każę cię oćwiczyć. Jak mi Bóg miły, Stefanku, zaraz na ludzi zadzwonię, niech cię chwycą i oćwiczą... I do starosty odstawią, żeby cię katu oddał.

– Proszę, dzwoń na służbę – powiedział spokojnie Ligęza. – Ja cię zawsze przebić zdążę.

Ale szabli nie wyciągnął. Również i Belzecki jakoś nie kwapił się pociągnąć za jedwabny sznur, który dzwonek uruchamiał. Obszedłszy stół stanął przed Ligęzą, nareszcie roztrzęsiony.

– Stefan, na miłość boską! – wykrzyknął. – Co z tobą?! Na mnie się rzucasz! Przygłupa bronisz! Cóż cię to zwierzę obchodzi?

– Dla mnie on nie przygłup i nie zwierzę.

– A kto?

– Jej mąż. Jej! – powtórzył, jakby chciał wbić Belzeckiemu do głowy tę prostą prawdę. Ale chorąży zdawał się nie rozumieć.

– No więc? – pytał.

– To, że co jej jest drogie, i mnie jest drogie. On teraz pod moją ochroną! Zapamiętałeś sobie? Uczynisz mu coś złego, to jakbyś jej czynił co złego. I we mnie znajdą mściciela.

– Opuścisz mój dom – przypomniał Belzecki.

Ligęza zamilkł. Belzecki przystrzygając knoty w świecach mówił:

– Przebrałeś miarkę, przyjacielu. Nie dość, że hasasz bezkarnie po moim dziedzictwie, poddanę moją swadźbisz, to jeszcze mi wygrażasz. Moja jest Nastka i ja jeden mam do niej prawo, czyś o tym zapomniał?

– Twoja, twoja, jeno najpierw chłopca swojego musisz uśmiercić – przypomniał Ligęza.

– Uczynię, co zechcę. Ja tu pan.

– Panem jesteś i możesz ją mieć, ale jej woli i chęci nie będziesz miał nigdy! Tę ja tylko posiadam.

Belzecki zwrócił się do Tomasza:

– Waćpanie, będziesz nam świadkiem?

– W czym?

– Chcę się bić z tym oto szlachcicem, który twierdzi, że do mnie poddanka nie może skłonności mieć.

Ligęza spytał z niedowierzaniem w głosie:

– Chcesz się ze mną bić, Łukasz?

– Tak. Na ostre.

– I to teraz?

– Teraz i tutaj. Masz coś przeciwko temu?

– Nie. Służę z miłą chęcią.

Tomasz uznał za stosowne wkroczyć:

– Panie chorąży, toż to pewna śmierć.

– No więc co? – Belzecki mówił, przyglądając się grzbietom książek: – Alboż to mi niewola żyć? Chcę – żyję, chcę – umieram. Synowie moi polegli, córka za księcia idzie. Nikomum mocno potrzebny nie jest. Mogę opuścić ten przeklęty padół.

Dla niego przeklęty, a biedny, bosy chłop trzymał się życia, przyszło na myśl Tomaszowi.

– Nie możesz tego uczynić, wasza miłość – powiedział.

– Kto zabroni?

– Urszula cię kocha. Ból jej sprawisz. – Belzecki kiwał głową, podczas gdy Tomasz mówił dalej: – Będziesz się upierał, to po nią pobiegnę, już ci

ona do rozsądku przemówi.

Bełzecki siadł bez słowa przy stole. Przewrócił kartę w księdze, którą miał przed sobą.

– Pamiętaj – powiedział Ligęza – ja uprzedzałem.

Bełzecki nie raczył się odezwać.

– Pamiętaj – powtórzył infamis i ruszył ku drzwiom.

Wtedy dopiero odezwał się chorąży:

– Tomaszku, podejdź waćpan na słówko. – Ujrzawszy, że drzwi za Ligęzą się zamykają, chorąży powiedział cicho, jakby nagle osłabł: – Tomaszku, poradź mu to... niech sobie stąd idzie... Do Jaćmierza czy gdzie indziej... Lepiej gdzie indziej... Bo może się starosta zwiedzieć, że już go protekcją nie osłaniam, i zabrać go siłą. A to niebezpieczna... Powiesz mu?

– Tak – obiecał Tomasz. – Powtórzę twoje słowa.

Ale na razie udał się za starym służącym do swojej komnaty, myśląc o tym, że nie będzie komu bronić Wasyla, gdy Ligęza z okolic się oddali. Bo przecież nie prawo będzie go bronić, całkiem w tej materii bezsilne. Gdyby Kozłów wrócił do Błudnickich, myślał, to Nastka stałaby się moją poddanką, i moja by ją szabla broniła.

Stary służący wniósł światło, a potem wicherzę: pieczeń z kaszą gryczaną i ogórki kiszzone. Jadł samotnie, służący dolewał mu piwa, chwalać je i wspominając jakieś odległe czasy, kiedy Tomaszowi jeno psoty były w głowie i lubił się śmiać. Na koniec służący spytał, czy nic jego wielmożności więcej nie trzeba, a usłyszawszy, że nic, wziął miedziaka na poduzdne i ulotnił się. Tomasz został sam.

Znowu w tej komnacie, gdzie z ojcem bywał, a ostatnio z kuchcikiem Jasiem. Na wezglówku znalazł wtedy poezje Kochanowskiego i to one może sprawiły, że lotny musiał pieszego dogonić. Koniec gry, panie Tomaszu, koniec igraszek. Urszula dorośleje, już z naiwnych przekomarzań

wyrośla, księżną jej być, dworem królewskim trząść, intrygom przewodzić. A ty wciąż mordercy szukasz. Tyle wiesz, że to nie jej ojciec kazał tę krew przelać. Ligęza cię o tym zapewnił.

– Co wiem? – zastanowił się. Podsumujmy raz jeszcze. Zabił jakiś człowiek, który czekał na ojca w Sańsku u schyłku nocy. W zaułku? Na podwórku? Mniejsza. Powiódł ojca ku temu człowiekowi pan Ligęza. Kim jest zabójca? Nie chłop to, na pewno. Ale może i nie szlachcic. Coś między. Ligęza ojca poprowadził – dlaczego? Może jednak wykonywał polecenie chorążego? Przypomnij sobie, co pieśń powiada. Bełzecki czeka w zamku na wieść, krąży niecierpliwie. Ten człowiek mógł być wykonawcą woli chorążego. Jak dzisiaj Rachmet.

„Rachmet” – powtórzył półgłosem. Rachmet! Uderzył się w czoło. Nie chłop i nie szlachcic! I ma kindżał! Posłuszny wykonawca woli chorążego. Za obietnicę wolności uczyniłby wszystko... Ale jej przecież nie otrzymał wówczas, tej upragnionej wolności. Tak, coś mogło stanąć na przeszkodzie, coś nieprzewidzianego – trzeba go zapytać, Rachmeta, przyłożyć mu sztych do gardła i rozkazać: mów! mów wszystko, niczego nie zatajaj!

Podniósł się i zaczął krążyć po komnacie. Ależ to on, na pewno on, Rachmet, nie szlachcic i nie chłop, i kindżał jest, i człowiek Bełzeckiego – wyliczał wciąż od nowa poszlaki. Tylko dlaczego „sto kamieni”? Wiem! – zrozumiał nagle. Próba przerwania winy na nowochrzczeńców. Nie, to się nie uda. Nie ze mną, pomyślał, zadowolony, że nie stracił zaufania do sług Bożych.

Usłyszał pukanie do drzwi. Po chwili stał już przed nim Cyryl, czyściutki, postrzyżony, w błękitno-złotej barwie Bełzeckich.

– O, odmieniłeś się! – przywitał go Tomasz. – Popatrzcie, i czupryny za mało ci zostawili, żeby cię za nią potargać. Z czym ty?

– Jejmościanka mnie przysłała – powiedział Cyryl szurnąwszy układnie nogą.

– Oho, już cię wzięła do galopu.

– Jejmościanka pytają, czy waćpanu czego nie trzeba.

– Bóg zapłać, wszystko jest.

– Jejmościanka żądają widzieć waćpana.

– Gdzie ona?

– Ja waszmości poprowadzę.

Cyryl, zdrajca, już służy komu innemu. Ale czy sam mu tego nie nakazał? Urszula wychynęła z półmroku korytarza, podeszła ku niemu.

– Tomku, nie gniewaj się na mnie – szepnęła.

Nigdy nie słyszał w jej głosie tyle pokory. Ale nie potrafił przebaczyć porażki i odpowiedział sztywno:

– Słucham waćpanny.

– Chciałam ci coś rzec.

– Mówże.

– Byś mi podarunek ślubny ofiarował.

Różgę, którą mnie pan Koniecpolski obić kazał.

– Jaki chcesz podarunek? – spytał.

– Nie wiem. Taki, żebym go często miała przed oczyma.

– Muszę pomyśleć.

– Najlepiej coś z twojego domu. Może puchar jaki.

– Niebogate u nas puchary.

– Bogatych mi nie brak. Najlepiej przyjadę i sama wybiorę.

– Waćpanna lubisz ludzi dręczyć – powiedział. – Nie mam czasu na rozmowy. Spieszę do Tatara Rachmeta.

– Po co?

– Żeby go zapytać o mordercę ojca mojego.

- Myślisz, że on coś wie?
- Wie dużo więcej, niż sądzymy.
- Powiedziałeś przedtem, że to nie ma nic wspólnego z ojcem moim. Ale ma, pomyślał. Nie rzekł jednak nic.
- Czemu milczysz? – spytała.
- Bo nic pewnego nie wiem.
- I znowu podejrzewasz ojca mojego?
- Nie wiem. Nic nie wiem. Jeno to, że cię miłuję.

Usłyszał jej szept:

- Ja ciebie też.

Znowu zapiekło pod powiekami. „Ja ciebie też”. Więc szczęście i rozpacz, myślał, zwycięstwo i klęska.

- Czemu siebie i mnie dręczysz? – spytał.

Poprosiła:

– Tomku, błagam, nie wracajmy już do tego. Może kiedyś – dodała dotykając pieśczośliwie jego ręki.

Milczał. Nie, nie rozumiem. Nigdy nie zrozumie, buntował się. Nie ma zgody! Nie ma! Krzyknij jej to! Dobądź szabli! Siecz opornych! Ona szepnęła:

- Przyjadę po ów puchar, pożegnamy się pięknie.
- Co ty, Urszulo! Rodzice nie zezwolą.
- Zezwolą. Wymyślę jakiś pretekst. Wezmę ze sobą siostrę Melchiorę dla asystencji. Szykuj izbę...

- Trudno mi w to uwierzyć. Wciąż mi przed oczyma się jawisz.
- Ty mnie też – szepnęła.

Cyryl stał dwa kroki z tyłu, niecierpliwił się.

- Jak będzie? – spytał Tomasz.
- Nie wiem, zobaczymy.

– Jak u tych z Poitou?

– Nie wiem. Nie układajmy z góry. Tu masz izdebkę Rachmeta – powiedziała wskazując niskie drzwi w końcu korytarza.

Zapukał, nikt się nie odezwał. Śpi skrzętny mordy wykonawca. Zapukał mocniej. Cisza znowu. Uchylił drzwi, coś zamajaczyło w głębi okna – i nagle Tomasz cofnął się.

– Cyryl, na bok! – rozkazał.

– Co tam takiego? – zaniepokoiła się Urszula.

– Ciebie też oddalić się proszę.

Kiedy posłuchała, powtórnie uchylił drzwi. Nie było wątpliwości: Rachmet wisiał i przekrzywioną głową na sznurze zawieszonym na framudze okna. Pod oknem leżał wywrócony stołek. Blask księżyca zaglądał do izdebki i padając na przeciwległą od okna ścianę rozpinał na niej ogromny cień samobójcy.

Tomasz ostrożnie przymknął drzwi.

– On tam wisi – powiedział.

– Nie żyje? Jesteś pewien?

– Tak. Tam księżyc zagląda.

Usłyszał jej szept: – Chryste miłosierny, wybacz mi. – Objął ją ramieniem i powiedział:

– To nie nasza wina, Urszulo. Nie nasza – powtórzył, jakby chciał samego siebie przekonać o czymś, czego nie był całkowicie pewny.

Umknął mi, pomyślał. Zabrał tajemnicę do grobu. A potem jeszcze pomyślał, że nie wytrzymało upadku stęsknione serce murzy. Odtatarzony, przypomniał sobie.

Znalazł Ligęzę w jego alkierzyku, jeszcze niezupełnie pijanego.

– Oho, coś się stało! – wykrzyknął na widok Tomasza.

– Rachmet odebrał sobie życie.

– No, no! – wykrzyknął infamis. – Jak? – spytał trzeźwiejąc.

– Powiesił się.

– Pętla za pętlę. – Ligęza westchnął, pokiwał głową. – Tak to jest: czynisz jednemu dobrze, to drugiego gubisz. Powiedz, Tomku, zali wszystkie nasze szlachetne uczynki taki obrót przybierają?

Tomasz pozwolił sobie nalać wina. Pili w milczącej zgodzie za duszę Tatara, chociaż, wedle panującej wiary, na nic innego jak wieczne potępienie nie mogła ona rachować. Na odchodnym Tomasz spytał:

– To on zabił mojego ojca?

– Nie, nie on.

– Miał kindżał – przypomniał Tomasz.

– Nie on – powtórzył Ligęza.

– Więc kto? – spytał Tomasz z gniewem. Ligęza nie odpowiedział.

ROZDZIAŁ XVIII

O świcie stary sługa wniósł nalewkę cynową pełną ciepłej wody. Tomasz mył się i ubierał niespiesznie, potem równie leniwo jadł polewkę piwną z grzankami i twarogiem. Szykuj izbę, przypomniał sobie pełen nadziei. Z daleka doniosło się śpiewne zawodzenie, żalosne i uporczywie monotonne. Tatarzy bolatyńscy Rachmeta oplakują, domyślił się. Wreszcie pienia ustały, tatarski książę w ziemi lackiej spoczął. Stary sługa wytrząsnął przez okno okruchy z obrusa i zaraz rozćwierkały się wróble.

– Panna już wstała? – spytał Tomasz.

– Oho. Już w drodze.

Uderzyło go to nieprzyjemnie.

– Jakiej znowu drodze?

– Do Sanoka. Z panią chorążyną pojechały. – Głos drżał starcowi, kiedy opowiadał. – Atłasów i złotogłowiu nakupią. A płótna na prześcieradła...! Wasza wielmożność pewno nie wiesz, że chorążanka za mąż idą.

– Wiem.

– Za księcia pono, ho, ho.

– Wiem! – zakrzyknął Tomasz. Stary zamilkł. – Gdzie Cyryl? – spytał już spokojniej.

– Przy panie chorążance.

Już mu dobrze, pomyślał, szpiegowi mojemu. Bodaj to mieć jedenaście lat i Tomasza Błudnickiego za protektora.

– Przygotować waszej wielmożności spyżę na drogę? – spytał stary nieśmiało.

– Po co? Za niewiele godzin będę u siebie.

– Ale bo wasza wielmożność masz gościa...

– Ja? Gdzie? Jakiego?

– Czeka na dole, w świetlicy. Młodzian złotowłosa...

– Maciej! – zakrzyknął Tomasz. – I dopiero teraz mi o tym mówisz?

Zbiegł na dół pozostawiając za sobą tłumaczenia starego sługi: że nic śpiesznego, śniadać trzeba statecznie, gość młody, zaczekać może. Zaczekać! Macieju, niech cię uścisknę. Pewno z ważną nowiną przybywasz! Czegoś się dowiedział? Mów! Zerwał się z ławy, Macieju złotowłosa, i zakrzyknął:

– Wiem, gdzie on jest! Wiem, dokąd się schronił! (Mów, mówi). Pod skrzydła hetmańskie! W kwaterze głównej jest, w Sądowej Wiszni!

Dwa dni drogi, obliczył błyskawicznie w myśli i spytał:

– Skąd wieść?

– Po karczmach poszeptują. Ciągną do niego przeróżni, którym się pali pod nogami, bo list przypowiedni ma otrzymać na zaciąg chorągwi.

– I glejt hetmański?

– Tak suponuje pan Wolski.

– A on gdzie?

– Czeka na waszmości w Chyrowie. Przysłał mnie do waćpana z zapytaniem, czy zechcesz mu służyć asystencją. Chcemy do pana hetmana się udać i o wydanie zabójcy prosić. Bardzo staroście na twojej obecności zależy, jako na dzielnym żołnierzu wojsk królewskich. Może to hetmana poruszyć i będzie nam przychylniejszy. Pojedziesz z nami?

– Pojadę, Maćku. – A w myśli: jeno żem wcale tak dzielny nie był.

– Teraz jużem pewny, że Rosiński sprawiedliwości nie ujdzie – powiedział Maciej podniecony. – A waćpan jak sądzisz?

– Nie ujdzie, obiecuję ci to.

Gdyby nasze słowa słyszał jego ojciec, sługa Boży! – pomyślał Tomasz. Z miejsca zaczął szykować się do drogi. Miał w pamięci, że należy pójść do Bełzeckiego, podziękować uprzejmie za gościnę, ale chorąży znajdował się

w polu, o świcie pomknął prac doglądać. Tomasz przyjął to z ulgą, nie miał ochoty prawić uprzejmości człowiekowi, który niejedno miał na sumieniu. To już lepszy Ligęza, myślał, weźmiemy go z sobą, jeśli nie leży pijany. Spytał starego sługi:

– Pan Ligęza już wstał?

– Jakże! – Stary zaśmiał się. – Już wyfrunął!

– Dokąd się tak poranił?

– A kto go wie. Znikł nasz pan Ligęza. Nikomu się nie opowiedział. Konia zapasowego objuczył i znikł. Bez pożegnania, wasza wielmożność.

– Myślicie, że na zawsze?

– Powiadają w zamku, że na zawsze.

Zostawił Nastkę i rozwiął się jak dym? Nie, on coś zamyśla, Tomasz był tego pewny. Jeszcze się spotkamy: trzeba rozmowę dopowiedzieć. Ligęza, jedyny świadek śmierci ojca! A może i nie jedyny...

– Chleba, słoniny i bukłak z winem – zwrócił się do starego sługi. – Pannie kłaniaj się nisko, także pani chorążynie. Pana chorążego proś w moim imieniu o przebaczenie.

Stary obiecał wszystko uczynić wedle rozkazania jego wielmożności. Słudzy narzucili na konia juki ze spyżą, osiodłali go i podali Tomaszowi strzelbę, którą chorąży mu był ofiarował. Tomasz odwdzieczył się miedziakami.

Przed zmierzchem przybyli do Chyrowa, którym władał starosta przemyski Marcin Krasicki, i zatrzymali się w starym, więcej niż sto lat liczącym zajeździe. Pan Wolski już tam na nich czekał nie sam, był z nim woźny Jakub i sześciu kozaków dworskich z Woli Krzepickiej, dziedzicznej majątności starosty jurydycznego.

– Daleką mamy drogę do tego zbója – powiedział Tomasz. – Jesteś waćpan pewny, że on tam jest?

– Tylko tam. Już on wie, że jeno pod protekcją hetmańską może się czuć bezpieczny.

– Zanim dojdziemy, gotów nam umknąć.

Wolski uśmiechnął się chytrze.

– Daj Boże. Wtedy go tym swobodniej osiągniemy. Gorzej, jeśli zechce się pana Żółkiewskiego poły trzymać. Pamięta cię hetman?

– Dwa razy dłoń mi uściskał.

Podszedł do nich karczmarz z zapytaniem:

– Który z waszych wielmożności jest pan Tomasz Błudnicki?

– Jam jest.

– To z waszą wielmożnością jakiś szlachcic chce rozmawiać.

– Jaki szlachcic?

– Nie wiem. Surowy bardzo.

Każko? A może sam watażka?

– Prowadź – powiedział do karczmarza.

Ów szlachcic siedział w mroku, zgarbiony, bokiem do drzwi. Na stole dzban, szklanica. Karczmarz usunął się, zamknąwszy dyskretnie drzwi, i od tego w izbie uczyniło się jeszcze ciemniej.

– Witaj, panie Ligęzo – odezwał się Tomasz.

– Witaj – powiedział tamten poruszywszy się. – Rad jestem, żeś przybył.

– Przybyłem, jednakże nie będziemy mogli rzec, żeśmy się widzieli.

Czemu bez światła? Wyglądasz jak potępieniec.

Ligęza uniósł głowę.

– Bom i jest potępieniec. Wszakże wiesz o tym.

– Każę wnieść światło.

– Nie, nie trzeba. – Ligęza mówił uśmiechając się smutno. – Otom, panie bracie, znów banit i infamis, zbrodzień i kazirodca. Już bez czułej protekcji.

A uważ, że stoję w jednej gospodzie ze starostą jurydycznym. Miecz katowski niedaleko...

– Musiałby pan starosta wyrok mieć przedstawiony.

– Skąd wiesz, że ktoś tego nie uczyni?

– Ale kto? Pan chorąży?

– Są i inni, którym dopiekłem. Choćby krewniacy.

– Co uczynisz?

– Nie wiem jeszcze. Ale ja się kata nie boję, nie, wierz mi. Gdybym się bał, zostałbym w Bolatynie i lizał buty Łukaszowi. Za tę cenę widziałby mnie chętnie. Ale nie było wyjścia – powiedział Ligęza, odpowiadając na pytanie, które jeszcze nie padło. – Napijesz się ze mną? Niedużo, przysięgam. Ja wiem, że muszę teraz być przy rozumie. Nic było wyjścia – powtórzył. Pił chciwie, zapomniał, że ma być przy rozumie. – Sprawa czci mojej – powiedział obtarłszy wąsy. – Słyszałeś, jak przepędził? Słyszałeś, że dziewczkę chce mi zabrać? Więc co mi teraz czynić? Albo zabić go wypada, albo odejść! *Tertium non datur*. Odejść prościej. Siebie tylko narażasz – nikogo więcej. A miałem ochotę żelazo mu w serce wbić, miałem. Gdyby to było lat temu pięć... Alem i ją coś w tych latach przeżył i przemyślał. Nie ma przed kim i nie ma po co niemiłosiernego śmiałka grać. Przypomniałem sobie, coś rzekł, że Urszula go kocha. Niechże więc ma ojca, jaki on tam jest. Dla nas zły – dla niej dobry, ot i wszystko.

– Az Nastką co będzie?

– Co ma być. To, co w naturze rzeczy – Uśmiechnął się z desperacją. – Pojadę do niej, raz jeszcze do siebie przygarnę, a potem żegnaj, umiłowana. Szczęśliwszym od ciebie – dodał.

– Niekoniecznie.

Szykuj izbę, powiedział w myśli jej głosem. Jakby była obok. Tajemnica go rozsadzała. Powiedzieć, wyznać, podzielić się szczęściem choćby z tym

potępionym.

- Prawda, dziwnieś ożywiony – zauważył Ligęza. – Miłuje cię?
- Tak mi wyznała.
- Słowa ci wystarczą?
- Słowa to dużo, panie Ligęza.
- Będzie na książęcym dworze o tobie myśleć.
- A ja o niej w Błudnikach.
- Nie napijesz się? – spytał Ligęza.
- Daj.

Infamis niespokojnym okiem spoglądał na Tomasza, kiedy ten napełniał sobie szklanice.

- Uważaj, bo przelejesz – mruknął.
- Skąpi, zauważył w myśli Tomasz. Całkiem z nim źle.
- Jestem ci winien okazji – przypomniał Ligęza.
- Zapomnijmy.
- Wszelako chciałbym się z tobą spróbować. Może o świcie?
- Nie mogę. W drodze jestem.
- Posłujesz?
- Do kwatery hetmańskiej jadę. Wieść jest, że Stacho Rosiński glejt otrzymał.

- Sprytny! A wy zamierzacie hetmana przekonać, żeby go wam wydał?
- Pan Wolski liczy na to.

Ligęza wstał.

- Tomaszku, chciałbym wam towarzyszyć.
- Chcesz i ty hetmanowi się pokłonić?
- Ja? Nie. Chcę Rosińskiego pojmać.
- Masz co do niego?
- Znajdzie się.

– Nie wiem, czy pan Wolski się zgodzi...

– Zapytaj go. Powiedz mu, że ja chcę pomóc. A potem, jeśli ku mnie zawziętość żywi, może głowę moją wziąć.

– Stefanie...

– Powiedz mu, że jadę z wami, bo chcę ci stanąć z bronią w rękę, jeśli wciąż uznajesz, że winien śmierci ojca twego. To winien respektować i na to da nam chyba trochę czasu. Idź, proszę cię...

Ujrawszy Tomasza, pan Wolski spytał:

– Kto to był?

– Pan Ligęza infamis.

Stary woźny zakaszłał. Starosta nie przerywając wieczerzy zauważył:

– Zdaje się, że jesteście waćpanowie w przyjaźni.

– Wczoraj mieliśmy się bić do obezwładnienia – na to Tomasz. – Ale odłożyliśmy na sposobniejszą porę. Mości panie jurydyczny, pan Ligęza spod opieki Bełzeckiego uszedł i jeśli chcesz, możesz go aresztować. Jednakże on cię prosi, byś mu pozwolił towarzyszyć nam do hetmana.

– O tym można porozmawiać – powiedział pan Wolski i zwrócił się do woźnego:

– Panie Jakubie, poproś tu jegomości.

Wkrótce potem stanął przed nimi pan Ligęza, w czarnej jedwabnej koszuli z koronkowym haftem, smukły, z ironicznym smętnym uśmiechem na znużonej twarzy. Był bez szabli. Wolski przyłożył rękę do piersi.

– Witam waszmości – powiedział – i czołem biję. Wolski jestem, starosta jurydyczny.

– Czołem – odezwał się infamis.

– Siadajże z nami wieczerzać.

– Dzięki. Siadę, ale do ust nic nie wezmę.

– Twoja wola.

Ligęza siadł naprzeciw starosty, obok Tomasza, który niespokojnie obserwował obu panów.

– Obwarzanki tutejsze w całej okolicy sławne – powiedział starosta, wskazując na kosz z żydowskim pieczywem.

– Pachną kusząco – przyznał Ligęza.

– Ulegnij pokusie i poczęstuj się – zachęcał Wolski.

– Dzięki, chyba się nie oprę.

– Domyślam się, żeś nie takie specjały w Ferrarze chrupał.

– Alem w końcu do ojczyzny wrócił.

– Na wezwanie pana chorążego – przypomniał Wolski.

– Gdybym nie miał dość obcych krajów, żadne wezwanie by mnie nie ściągnęło.

– To prawda – przyznał Wolski. I zaraz dodał: – Ja też, młodzieńcem będąc, pół Europy zjeździłem.

– Moglibyśmy się kiedyś wspominkami podzielić.

– Z górą pięć lat na ziemi naszej sanockiej przebywasz, a nie udało nam się poznać – narzekał Wolski.

– Lepiej późno niż wcale, nie sądzisz waćpan, panie starosto?

– I ja tak myślę.

– Ten obwarzanek kminkiem pachnie.

– I pszenicą. Nie ma to jak zapach naszej pszenicy – dodał Wolski. –

Waćpan się za granicę teraz nie wybierasz?

– Nie.

– A może na Sicz? – spytał Wolski uprzejmie.

– Nie, po co.

– Co zamierzasz teraz?

– Jeszcze nie wiem.

– Słyszałem, że chcesz nam towarzyszyć – powiedział Wolski.

– Tak mówią.

– *Cui bono?*

– Mam ja na Rosińskiego ząb.

– Jaki?

– Waćpan wszystko musisz wiedzieć? – spytał Ligęza marszcząc się.

– Taka powinność.

– Chcę mu w oczy spojrzeć. Jeno to. Panie starosto, może cię to zdziwi, ale ja też nie lubię łajdaków.

– Miło mi słyszeć – powiedział Wolski.

– Wiem, że ci snadniej dziwno. Wszelako tak jest naprawdę.

– I innej sprawy do onego zbójcy nie masz?

– Żadnej innej – powiedział stanowczo Ligęza.

Uchwyciwszy spojrzenie złotowłosego Macieja, uśmiechnął się doń porozumiewawczo. Chłopiec odpowiedział mu uśmiechem. Pan Wolski spostrzegł to i odezwał się:

– No cóż. Wiem, kim jesteś. Być może losy ci się ułożyły gorzej, niż na to zasługujesz. Ja przeciw tobie żadnego dokumentu nie mam. Dopóki go nie dostanę, możesz być przy mnie bezpieczny. Co zaś do towarzyszenia nam... Panie Ligęzo, nie obraż się, ale ja muszę urząd chronić. Nie wolno mi dopuścić, żeby mnie poniektórzy swawolnicy mogli potem oskarżać, iż jedną ręką prawo chronię, a drugą kryminalistów biorę pod protekcję.

– Słucham waszmości – powiedział Ligęza sztywniejąc.

– Jeśli cię to nie rozsierdzi, to wołałbym, byś nie jechał z nami, lecz naszym śladem... sam... o dwa strzelenia z łuku, powiedzmy...

– Jam banit i potępieniec, dla mnie takie położenie nie nowość.

– Pojadę z tobą ja, panie Ligęzo – odezwał się Tomasz.

– I ja – rzekł Maciej.

Wolski, lekko zarumieniony, skinął głową.

– Zgoda – powiedział. – Jedźcie z nim. Możecie mnie nazwać faryzeuszem; przyznaję, że na to wygląda. Ale nic nie poradzę; muszę chronić swój urząd przed złośliwą obmową.

Nazajutrz o świcie ruszyli. Pan Wolski ze swoimi ludźmi na przedzie, a o dwa strzelenia z łuku za nimi Tomasz, Ligęza i złotowłose nowochrzczeniec. Czasem skakali do przodu wymienić parę słów ze starostą jurydycznym, w południe zaś wszyscy zatrzymali się na popas w jednej karczmie. W odwieczarz przybyli do Sądowej Wiszni. Nie zatrzymawszy się na rynku, skierowali się prosto do zamku, który hetman Żółkiewski obrał sobie tej wiosny za kwaterę główną. Pełno też po drodze napotykali wojska, ciurów, handlarzy, niewiast sobą kupczących. Przyglądali się ludziom zbrojnym, czy pomiędzy nimi nie spostrzegą watażki Rosińskiego lub któregoś z jego ludzi. Sami też byli obserwowani, bo choć zbrojni i w półpancerzykach, jednakże wyróżniali się tym, że do żadnej chorągwi przypisać ich się nie dało. Mówiono, że skonfederowani na północy żołnierze przysłali tu emisariuszy, by i hetmańskie wojsko pobuntować, więc też raz po raz strażę ich zatrzymywały i tylko panu Wolskiemu zawdzięczali, że nie zaprowadzono ich na odwach. Wreszcie przejechali przez bramę na dziedziniec, gdzie wyszedł ku nim oficer służbowy, by spytać, czego szukają. Pan Wolski znów się przedstawił, wymienił swój urząd i oznajmił, że pragnie porozmawiać z hetmanem w sprawie urzędowej.

– Pan hetman jest nieobecny – odpowiedział oficer. – Bawi w Warszawie i zobaczymy go najrychlej za dwie niedziele.

Zrzedła im wtedy mina, a Ligęza wtrącił:

– Kto go zastępuje?

– Wszystkie pieczęcie dzierży pan Stanisław Koniecpolski.

– Toż to młokos – zdumiał się Ligęza.

– W samej rzeczy, człowiek młody – przyznał oficer – ale rękę ma żelazną.

A przy tym pan hetman mu ufa jak nikomu.

– Najważniejsze, że ma hetmańskie pieczęcie – powiedział Wolski, dla którego istotna była strona prawna. – Możesz mu powtórzyć, panie oficerze, że prosimy o posłuchanie?

– Spróbuję.

Zaprowadzono ich do komnaty zamkowej, gdzie jeszcze kilku szlachty czekało. Drzwi do następnej sali strzegli dwaj żołnierze: jeden z mieczem obnażonym, drugi z halabardą. Tam on jest, ów młodzieniaszek, domyślił się Tomasz. Konięcpolski, diabli nadali, że akurat z tej rodziny! Jeśli wie coś o mojej zwadzie z jego stryjecznym, nic u niego nie zyskamy, jeszcze się w kłopot wpędzimy. Kiedy oficer służbowy znikł za owymi tak skrupulatnie strzeżonymi drzwiami, Tomasz zwrócił się do siedzącego obok szlachcica:

– Waćpan tu w jakiej sprawie, można wiedzieć?

– Podwody mi żołnierze zarekwirowali.

– I spodziewasz się zwrotu?

– Albo zwrotu, albo pieniędzy. Ale można tu dostać i po grzbiecie. Trzeba wiedzieć, jak z nim mówić. – Szlachcic ruchem głowy wskazał na drzwi.

– Taki srogi ten młodzieniaszek? – spytał Tomasz.

– Przekonasz się waćpan. Ja wolałbym go nie rozsierdzić, wyłożę mu rzecz tak delikatnie, jak tylko potrafię. Jąka się on trochę, a że żołnierz rezolutny, to powiadają, że prędzej uderzy, jak wymówi.

– I temu honory wysokie zawdzięcza?

– I temu, i czemu innemu – odpowiedział szlachcic – jak to na tym padole. Dzielnie się pod Smoleńskiem spisywał i całkiem sobie starego hetmana skaptował.

– Dodał poufnie: – Hetman mu córkę swoją oddaje, ślub wkrótce...

No, to on tutaj rządzi, jak chce, pomyślał Tomasz. Wszedł oficer, powiódł spojrzeniem po obecnych i rozpoznawszy pana Wolskiego, zwrócił się do niego:

– Jego wielmożność bardzo żałuje, ale dziś już nikogo nie przyjmie. Możecie się panowie rozejść.

Rozległy się pomrukiwania, ale nie było rady, ichmościowie zgarnęli poły i zaczęli się rozchodzić. Wolski zwrócił się do oficera:

– A nie powiedział jego wielmożność, kiedy przyjmie?

– W każdym razie nie jutro, bo ma pilne sprawy gdzie indziej.

– Waćpan, panie oficerze, powiedziałaś mu, że to pilna sprawa urzędowa?

– Tak, panie starosto. Jego wielmożność odparł mi na to, że pilne bywają tylko sprawy wojenne, wszystkie inne mogą poczekać.

– Więc ma jutro sprawy wojenne?

– Wybacz, panie starosto, to tajemnica.

– Kiedy wróci?

– Nie wiadomo. Ale dłużej niedzieli nie zabawi.

Wolski z trudem pohamował gniew.

– No cóż, mości panowie – zwrócił się do swoich. – Trudna rada, mało widać znaczymy. Chodźmy, może za tydzień będziemy szczęśliwsi.

Otworzyły się owe mocno strzeżone drzwi i ukazał się w nich – Zygmunt Koniecpolski. Tomasz dotknął rękojeści szabli. Koniecpolski stał poblady wyraźnie. Nagle czapkę zdjął i skłonił się ceremonialnie. Tomasz odwzajemnił ukłon. Czuł, że jemu samemu też krew ściekła z twarzy. Ludzie dokoła kończyli swoje mało znaczące rozmowy, nie domyślali się tajemnicy tych dwóch, nie znali pełnego znaczenia słów, które mieli wymienić.

– Witam cię, panie Błudnicki – odezwał się starosta będziński.

Więc przywracasz mnie do stanu szlacheckiego, skwitował w myśli Tomasz. Więc prosisz o wybaczenie za różgi, którymiś mi plecy poznały.

– Witam cię, mości panie starosto – odpowiedział.

– Czy to mnie tutaj szukasz? – spytał Zygmunt Koniecpolski.

– Nie, wasza wielmożność. Nie wiedziałem nawet, że tu jesteś.

– Zahaczyłeś waćpan o Bolatyn? – spytał starosta.

– Tak. I znam odpowiedź księcia.

– Nie sprawdziły się twoje nadzieje – powiedział Zygmunt Koniecpolski i był to jedyny moment, kiedy wydawało się, iż jest odprężony. A Tomasz pomyślał: nic nie wiesz, izbę szykuję. – Masz więc sprawę do mojego stryjecznego? – domyślił się Koniecpolski.

– Mam, owszem, wraz z panem Wolskim. Ale on nie chce nas wysłuchać.

Koniecpolski pomyślałszy chwilę mruknął:

– Zaczekajcie. – I znikł za drzwiami. Ligęza i Tomasz wymienili spojrzenia, Ligęza uśmiechnął się, a Tomasz pomyślał: własną skórą zapracowałem na tę interwencję, ale tego wy wiedzieć nie możecie. Znowu otworzyły się drzwi i znowu ukazał się w nich swat księcia Ostrońskiego, tym razem z miną pełną satysfakcji.

– Pan regimentarz zgodził się przyjąć dwóch spośród panów.

Podziękowali panu Zygmuntowi, a następnie Tomasz i starosta jurydyczny przeszli przez srogą wartę do sali, w której pracował zaufany hetmana. Był to potężnego wzrostu młodzian, ciemnowłosy, ani trochę do swojego stryjecznego brata niepodobny. Nie wstawszy z miejsca, skinął im głową i wskazał dwa zydle pod ścianą, sam zaś nadal przeglądał papiery z sekretarzem, tęgim siwowłosym jezuitą w okularach. Nagle Koniecpolski odsunął papiery i odezwał się:

– Wybaczcie waćpanowie zwłokę, ale mam dużo pracy. Położenie... – Zaciąwszy się powtórzył: – Położenie jest poważne. – Mimo lekkiego zacinania się, czuło się w jego głosie władczość i pewność siebie, trochę ostentacyjne, jakby dla przekreślenia wątpliwości, które mógł budzić młody wiek. Wolski podniósł się z zydła, ale Konięcpolski porywistym głosem nakazał mu siedzieć. – Witam waćpanów – powiedział. – Prezentować się nie musimy. Waćpanowie mnie, tuszę, znacie, a o was powiadał mi wszystko mój oficer służbowy. Słucham waćpanów.

Głos zabrał starosta jurydyczny.

– Wasza wielmożność – zaczął – przejechaliśmy szmat drogi, ażeby upomnieć się u jego dostojności o zbrodniarza, któregoś raczył protekcją otoczyć. Jest owym przez prawo poszukiwanym przestępcą pan Stanisław Rosiński z Teleśnicy, herszt zbójecki, któremu długi rejestr zbrodni uzupełniły ostatnio występki szczególnie ohydne. Dziewicę ariańską porwał, gwałtem panieństwa pozbawił, a kiedy za mąż wyszła, po raz wtóry raptu dokonał, jej małżonka zabił i głowę mu uciąwszy zborowi w miodzie odesłał. Która to zbrodnia musi być tym bardziej pomszczona, iż może być tłumaczona jako krzywda polityczna, zamach na wolność wyznania. – Jezuita się po tych słowach poruszył i Tomasz zauważył, że Konięcpolski, spostrzegłszy to końcem oka, uśmiechnął się do siebie. Wolski, uczyniwszy po ostatnim zdaniu przerwę, zapewne żeby pozwolić obecnym pojąć w całość; pełni znaczenie jego słów, ciągnął teraz dalej:

– A iż byłoby rzeczą urągającą sprawiedliwości i obyczajowi naszemu, ażeby zbrodnia tak okrutna nie pomszczoną przez prawo została, prosimy waszą wielmożność o zdjęcie opieki ze zbrodniarza i oddanie go w ręce sprawiedliwości.

– Czy schwymano go *in recenti*? – spytał Konięcpolski.

– Więcej, bo przecież i głowę oną sam odesłał!

– A to zuchwalec – przyznał Koniecpolski. Chwilę milczał, potem lekko się zająkując powiedział: – Panie starosto jurydyczny, wybacz waszmość, ale prośby twojej spełnić nie mogę.

– Nie rozumiem.

– Nie ma tu co rozumieć. Ot, po prostu nie mogę i już.

– Racz mi jednak wasza wielmożność wytłumaczyć – upierał się pan Wolski.

– Dobrze, postaram ci się to wyłożyć – zgodził się młody człowiek. – Jak myślisz, po co ja tu jestem? Żeby za ciebie przestępców chwytać? – Zadawszy to pytanie, poczerwieniał i zająknawszy się po raz drugi, ciągnął dalej: – Moją rzeczą jest dbać o wojsko i o to, by mi w nim bitnych kawalerów nie brakło. Ów watażka, prawda, srogimi *criminami* jest obciążony, jednakże ma on teraz sposobność grzechy swoje odpokutować, krew przelewając dla ojczyzny. A to na zasadzie zwyczaju dawnego, który każdemu zostawuje plac wolny do zasługowania się jego królewskiej mości i Rzeczypospolitej. Mężnym i odważnym postępkim będzie mógł surowość prawa pospolitego zmiękczyć. – Młodzian dodał z uśmiechem: – A niech mi w wojsku coś przeszkobie, bądź spokojny – powieszę.

Pan Wolski odpowiedział:

– Wasza wielmożność, znam i ja ten zwyczaj, jak i wiele innych, ale tak mniemam, że miał on na celu przywrócenie do sławy tych, którzy na skutek gorącości czy fatalnego przypadku życie sobie poplątali. Jednakże ów Rosiński to zbrodniarz bez krzty sumienia i takie na nim są grawamina, iż nie można zgodzić się, by *impune* uszedł. Ma on jako głównik przed trybunałem stanąć i za *crimina* swoje *directe respondere* głowę za głowę dając.

– Mości panie – powiedział z gniewną wyniosłością Koniecpolski. – Nie faszeruj mi waść mowy swoją jurydyczną łaciną, bo i tak mnie nie

przekonasz. Ja teraz zaciąg czynię! Powiadasz, że Rosiński morderca? Dobra nasza! Turczyn u granic ojczyzny i mnie przeciwko niemu morderca się przyda, niech Turczyna reże.

– Wasza miłość – odezwał się Wolski głosem drżącym z gniewu. – Nie sądzę, żeby bez mieczy główników nie można było ojczyzny bronić.

– Takie zdanie waćpana? – Konięcpolski znów się zająknął. – Waćpan... waćpan, ile wiem, za infamisami i łotrami się uganiasz, aleś w prawdziwej wojnie udziału nie brał. Za to pan Błudnicki...! Panie Błudnicki, byłeś pan i u Maryny, i w hetmańskim wojsku, powiedz: kiedy stal ostrą w nieprzyjaciela pierś wbijesz, co czynisz? Nie mordujesz...? Panie jurydyczny, mnie Rosińscy są potrzebni do potańcówek z Tatarem! A teraz wojsko mi się pobuntowało nie płacone, skonfederowało się, orężem hetmanowi grozi. Muszę nad Bug ciągnąć, bunt we krwi utopić, a czyimi rękami, waćpanie, to już naprawdę nie takie ważne. Byle dyscyplinę przywrócić. Zostawiam ci łacinników, panie Wolski, możesz się z nimi zabawiać.

Powiedziawszy to Konięcpolski podniósł się z krzesła. Posłuchanie skończone. Ale Wolski nie dawał za wygraną.

– Wasza wielmożność – rzekł – pozwól sobie powiedzieć, że jeszcze jesteś człowiekiem młodym. – Nie było nic dziwnego w tym, że usłyszawszy te słowa młody wódz poczerwieniał. – Więc chociaż masz wiele racji w tym, coś rzekł – mówił Wolski – jednakże nie wszystką rację. Bezkarność winowajcy może mieć dla ojczyzny fatalne następstwa, nie mniej groźne niż horda tatarska. Niech co sprytniejsze warchoły rozeznają, że za glejtem hetmańskim można pomimo zbrodni *libere* i *secure* po świecie chodzić, nie sposób będzie żyć w tej naszej Rzeczypospolitej. Nie uda mi się nigdy poszanowania dla prawa zaprowadzić. Ani dziś, ani za lat dwadzieścia.

Konieczpolski nie od razu odpowiedział. Trochę nerwowo przebierał w papierach. Wreszcie, uspokoiwszy nieco wzburzenie, młody wojownik odpowiedział:

– A to nie moja rzecz. Nie moja. Ja mam granic Rzeczypospolitej bronić, bunt uśmierzyć, i nie za dwadzieścia lat, ale teraz, *hic et nunc*. Waść zaś swoją głową ruszaj, jak prawa strzec. – Zwrócił się do sekretarza jezuitę: – Co teraz mamy?

– Uniwersały. Jeszcze dwa rachunki za bydło.

– Daj. – Wziął papiery od zakonnika i nie raczywszy spojrzeć na obecnych, rzucił im spod wąsa: – Żegnam waćpanów.

Wyszli w ponurym nastroju, szczególnie Wolski czuł się upokorzony, jako człowiek, który bronił powagi swojego urzędu. Musieli mieć miny bardzo wydłużone, bo Ligęza ujrzawszy ich, poderwał się z ławy pytając:

– Nic?

– Nic – odpowiedział Tomasz. – Nie martw się, to jeszcze nie koniec – pocieszył Macieja, któremu łzy napłynęły do oczu.

Wolski nawiązał do jego słów, kiedy znaleźli się za murami zamku.

– Tak, panie Tomaszu, wrócimy do tej sprawy. Postaram się dotrzeć do samego hetmana. Chociaż widać, że zawojował go ten zuch, przecież z panem Żółkiewskim inna rozprawa: na głos rozsądku głuchy nie będzie. A teraz, waćpanowie, do kroćset, ale czuję, że muszę wychylić mocniejszego! Zapraszam!

Karczma zwała się „Pod Szablami” i miała za godło dwie skrzyżowane szable, jako że w Sądowej Wiszni odbywały się tradycyjnie nie tylko sejmiki, ale i pokazy gotowości wojennej okolicznej szlachty, i z tego powodu na tyłach karczmy nieraz miały miejsce, cichcem oczywiście, zażarte pojedynki. Teraz było pustawo, bo wojsko postawiono w stan gotowości i przepustek udzielano niechętnie. Rozsiedli się za długim

ciemnym stołem, żydowski chłopak przetarł go ścierką i przyjął zamówienie. Poprosili o półgęski z szarą podlewą, gorzałkę, piwo buzeckie z imbirem. W drugim kącie izby, w miejscu najbardziej mrocznym, siedział zgarbiony nad kuflem piwa chudzielec w półpancerzyku i z długą szablą u boku. Zerknąwszy ku nim, szlachcic uniósł się lekko, skłonił głowę i na powrót usiadł. Odkłonili mu się, a Wolski spytał:

– Komu z nas się skłonił, boć go nie przypomnę?

– Mnie – odpowiedział Tomasz. – To pan Andrzej Witoszyński.

– Kto? – spytał Ligęza marszcząc czoło.

– Witoszyński. Ten, co mi życie uratował w karczmie „Pod Kogutem”.

– Nie znam – powiedział Ligęza. I zwrócił się do Macieja: – A ty, bracie? Chłopiec potrząsnął głową.

– Nie znam. Chociaż nie – wspomniał nagle – widziałem go w onej karczmie.

– Czy to nie ten, co mnie zawiadomił, żeś przez zbójców oblężony? – spytał Ligęza.

– Ten sam – odpowiedział Tomasz.

– Więc i mnie się pokazał. Alem go jakoś nie zapamiętał.

– Jeśli on z watahy Rosińskiego – powiedział Wolski – to trzymajmy go się, bo może nas na ślad naprowadzić.

– Nie przypuszczam – zaoponował Ligęza. – On pierwszy nam kłaniał, a powinien był się jakoś ukryć.

– Pewnie chce się do pana Koniecpolskiego znaku wpisać – wyraził swój pogląd Tomasz. – Koniecpolski go przyjmie i bez protekcji watażki, tym bardziej że Witoszyński pod Smoleńskiem wojował.

– Warto by go spytać, co tu robi – rzekł pan Wolski. Nigdy nie zapominał o swoich obowiązkach. – Jakoś mi ten człowiek różnem patrzy. Który z

waćpanów go do nas zaprosi? Ja nie mogę, wyglądałoby to na zaproszenie urzędowe. – Wolski zwrócił się do Ligęzy: – Może waćpan?

Ligęza wzbronił się:

– Nie, nie, za słabo go znam.

– Mógłbyś mu się przypomnieć.

– Nie widzę potrzeby. – Ligęza podniósł szklanicę z gorzałką. – Zdrowie płci białej.

Zaśmieli się i wypili. Maciej złotowłosey zamoczył usta w piwie.

– Och, teraz mi lepiej – wyznał pan Wolski poczerwieniały nieco na twarzy.

– Okrutnie, widać, zalterował mnie ten paniczyk. Nigdy za gorzałką nie tęsknił, ale po tej rozmowie poczułem, że muszę sobie humor oklapły poprawić. Wszelako... – spojrzał na Tomasza. – Chciałbym z tym zbójcą pobałakać.

– Po co nam jakiś zbój? – zaprotestował złotowłosey Maciej. – Niech pokutuje w samotności.

– Pójdę – zdecydował Tomasz wstając. – Ściągnę go tutaj.

Nieśpiesznym krokiem sunął do mrocznego kąta, w którym siedział Witoszyński. Zbójca nie spuszczał oczu z Tomasza i wydawać się mogło, że go wręcz ku sobie spojrzeniem przyciąga. Kiedy jednak Tomasz znalazł się przy nim, Witoszyński opuścił głowę.

– Witam cię, panie Witoszyński – odezwał się Tomasz, nagle tą postawą zbójcy onieśmielony.

– I ja cię witam, panie Błudnicki – odpowiedział tamten. – Siądziesz ze mną?

– Chciałem waści do nas prosić.

– Tam starosta. A ja – wiesz, kto...

– Starosta wie, żeś i mnie, i chłopcu życie uratował. Za chłopca, panie Andrzeju, niezmiernie ci jestem wdzięczny.

– Okrutnie on cię miłuje – powiedział Witoszyński.

– Dziki on trochę, ale sprytny i dobry.

– Wspominał mnie? – pytał z ożywieniem Witoszyński.

– Z ogromną tkliwością waści wspominał.

Witoszyński podniósł głowę i spojrzawszy prosto w oczy Tomaszowi, powiedział nieoczekiwanie:

– Spodziewałem się tu ciebie.

– Mnie...? Czemu to?

– Bo cię znam. Wiedziałem, że nie ustaniez w tropieniu Stacha.

– A ty nadal u niego w służbie?

– Nie. Ja w tym samym celu co i waćpan. Jenom dwa dni wcześniej przybył.

– I co? Wytropiłeś go?

– Tak – odpowiedział Witoszyński. – Wiem, gdzie dziś przed północą zajdzie.

– W obozie czy w miasteczku?

– Na przedmieściu.

– Chodź, chodź ku nam – pociągnął go za rękę Tomasz. – Pan Wolski wie, com ci winien, i krzywdy ci nie uczyni.

Witoszyński dźwignął się i przeszedł za Tomaszem ku stołowi, przy którym Wolski uczynił zapraszający gest ręką, jednak bez szczególnej konfidencyjności. Tomasz przedstawił Witoszyńskiemu pozostałych: pan Ligęza, pieczętujący się Półkozicem i Oślą Głową, i Maciej Wojnarowski, brat Lei.

– Pamiętam cię z karczmy w Łopience – zwrócił się do chłopca niedawny zbójca.

– I ja ciebie pamiętam – odparł chłopiec rumieniąc się.

– Jedno mi dziwne, że cię tutaj widzę właśnie.

Maciej otarł pot z czoła.

– Lei krzywdę chcę pomścić – powiedział – i brata Gabriela męczeństwo.

– Domyśliłem się – powiedział Witoszyński. Siadając obok Ligęzy dodał:

– Rozumiem cię.

Starosta Wolski, zmierzwszy go spojrzeniem, spytał:

– Waćpan, panie brygancie, nie sądzisz, że Maciej winien zemstę Bogu zostawić?

– Ja cudzych uczynków sądzić nie zamierzam – odpowiedział Witoszyński ponuro.

– I nie chciałbyś, panie brygancie, żeby prawo twoimi się zajęło!

– Jeśli łaska, wasza wielmożność, nie nazywaj mnie brygantem. Już nim nie jestem – oświadczył Witoszyński spokojnie. – Za swoje dawne przewiny gotów jestem odpokutować, jeno proszę, byście waćpanowie mi zbójnictwa nie wypominali, bo niczyja niewinna krew na mnie nie ciąży.

– A inna ciąży? – spytał Wolski mrużąc oczy.

– Byłem żołnierzem – powiedział sucho i trochę wyniośle Witoszyński. – Jeśli zabijałem, to ku chwale ojczyzny. Czy waszmość, panie starosto, masz coś przeciwko mnie?

– Na razie nic – odparł zimno Wolski. – Żadna skarga nie wpłynęła.

Wzniesiono toast, trącono się szklanicami. Kiedy wypili, odezwał się Tomasz:

– Waćpanowie, pan Witoszyński od dwóch dni przebywa w Sądowej Wiszni tropiąc swojego herszta. Powiedźcie nam waszmość, coś wytropił.

– Jedną ścieżkę, ale chyba ważną – odpowiedział Witoszyński. – Chadza on do tutejszej wieszczycy, co za murami mieszka, przyszłość sobie wróży.

Dziś przed północą ma do niej zejść, bo o północy wróżba pewniejsza i uroki lepiej się odczyniają.

– A gładka ta wieszczycza? – spytał pan Ligęza.

– Owszem, nie najgorzej wypada.

– Tedy sobie będą kabałę stawiać do świtu.

– Chyba nie dzisiaj, bo o świcie przewidziany jest wymarsz przeciw skon- federowanemu żołnierstwu.

Wolski spytał:

– Waćpan co planujesz?

– Myślę, że można się zacząć, porwać go, a następnie sąd nad nim szlachecki odprawić.

– Kto miałby sąd odprawić? – spytał Wolski.

– Waćpan, pan Ligęza, pan Błudnicki i ja.

– Infamis i zbójca w sądzie! – Wolski zaśmiał się, a potem powiedział już poważnie: – Nie, moi mili, ja do tego ręki nie przyłożę. Pierwsza rzecz: że Rosiński ma glejt hetmański. Wtóra...

Urwał. Otworzyły się bowiem drzwi i do karczmy wkroczyło sześciu ludzi zbrojnych: pięciu żołnierzy prostych i jeden wachmistrz. – Gości mamy – szepnął starosta. – Szukają kogoś – dodał po chwili widząc, że wachmistrz dwom ludziom każe przy wyjściu warować. Pozostali trzymali się wachmistrza, kiedy ten podszedł do karczmarza i spytał:

– Jakich masz gości?

– Panowie pancerni – odparł karczmarz.

– Oficerowie?

– Wasza wielmożność, ja innych mam zakazane przyjmować – powiedział nie bez dumy karczmarz.

– Gdzie oni? – spytał wachmistrz.

– Wypili i śpią po izbach. Mam ich budzić przed świtaniem.

– A ci? – spytał wachmistrz wskazując na stół, przy którym siedział Tomasz.

– Panowie szlachta.

– Widzę, że szlachta. Nazwisk nie znasz?

– Nie znam, panie komendancie. Jeno wiem, że tam pan starosta jurydyczny brzostowski siedzi.

– Prawda, pan Wolski – przytaknął wachmistrz. – Przydaj nam światła.

Podczas gdy karczmarz unosił w górę płonące łuczywa, wachmistrz zadzwonił ostrogami przed panem Wolskim.

– Wasza miłość, wachmistrz Rączka na służbie jego królewskiej mości!

– Słucham cię, panie wachmistrzu.

– Bardzo mi przykro, ale będę musiał wszystkich tych panów o godność i glejty zapytać.

– Z jakiego powodu?

– Z rozkazu pana starosty przemyskiego Marcina Krasickiego. Stało się, że pewien zbrodzień groźny, banita, wywołaniec i potępieniec, który dotychczas z protekcji możnego pana korzystał, uszedł spod onej opieki. Czas więc go ująć i katu oddać.

– Od razu katu? – spytał Tomasz.

– Tak, waćpanie. Na mocy dawnych prawomocnych wyroków. Pan Krasicki w tym względzie uniwersały rozesłał. A waćpan kto, że cię to tak poraziło?

– Tomasz Błudnicki z Błudnik, dawny żołnierz wojsk królewskich.

Któryś z żołnierzy szepnął wachmistrzowi coś do ucha. Ten kiwnął głową i spytał:

– To waszmości ojca zamordowano w Sańsku?

Tomasz przybladł.

– Skąd to, panie wachmistrzu, wiesz, że go zamordowano?

– Pan *capitaneus* Krasicki tak suponuje.

– Waść, panie wachmistrzu, supozycji nie powtarzaj, bo to niezdrowo.

– Czemu to? Masz waćpan zamiar z mordercą paktować?

– A was, wachmistrzu, co to obchodzi?

– Nas wszystko obchodzi. Panie starosto – zwrócił się wachmistrz do Wolskiego – czy wasza miłość mi to potwierdzi, że to pan Błudnicki?

– Tak, panie wachmistrzu, znam go od dziecka.

– Wasza miłość, a czy siedzi tu przy tym stole pan Ligęza?

Infamis trzymał kufel koło ust. Jest gotów do jakiegoś działania, domyślił się Tomasz. Ale do jakiego? Sam przeciwko sześciu zbrojnym! Rzuci kuflem w wachmistrza, skoczy do okna. Ale może i za oknem jest straż. Zginie – tylko że Ligęza pewnie będzie wolał zginąć, niż poddać się.

– Nie, nie ma go tutaj – usłyszał Tomasz spokojny głos starosty.

Wachmistrz, rzecz dziwna, nie ustępował. Wskazując na Witoszyńskiego spytał starostę: – Ten jegomość kto?

– Pan Andrzej Witoszyński z Podola – powiedział starosta.

– Z Podola – powtórzył z pewnym powątpiewaniem wachmistrz Rączka.

– Jeno kto? Na posesjonata nie wygląda.

– To mój człowiek – rzekł Wolski.

– Aha, to co innego. – Wachmistrz gwałtownym zwrotem ciała znalazł się przed Maciejem. – Ile masz lat? – spytał.

– Osiemnasty rok.

– Prawda, złotodziób. A waćpan kto? – zwrócił się do Ligęzy.

– *Qui?* – zapytał Ligęza po francusku.

– Godność waćpana! – zniecierpliwił się wachmistrz. – *Votre Name.* Odpowiadajże.

Ligęza uśmiechnął się jak ktoś, kto z trudem rozumie, czego się od niego chce. – *Je suis un étranger* – powiedział uśmiechając się, a usta przy tym

po cudzoziemsku w dziób wysuwając.

– To cudzoziemiec – przełożył pan Wolski.

Wachmistrzowi zrobiło się nieswojo, ale jeden z jego żołnierzy, ten sam, co przedtem szeptał coś o Błudnickim, zauważył nieufnie:

– Cudzoziemiec, a w stroju polskim?

– Przebrał się – na to pan Wolski – żeby się od nas nie różnić.

– Po co? – spytał oschle wachmistrz.

Pan Wolski zagadał po francusku do pana Ligęzy. Ligęza kiwnął głową i tłumaczył coś z uśmiechem, jeszcze mocniej wargi w dziób składając, co zapewne w Paryżu podpatrzył. Pan Wolski, zrozumiałwszy, tłumaczył wachmistrzowi:

– Mówi, że to przez szacunek dla naszego narodu. Bardzo mu się nasz strój i obyczaj podoba.

– Aha. – Wachmistrz wydawał się nieco udobruchany. – Skąd on?

– Francuz. Na Sicz jedzie, żeby ją potem w księdze opisać – łągał Wolski i Tomaszowi aż dziwno było, że tak potrafi.

– A papiery jakież ma? Glejt, pozwolenie? – Wachmistrz zwrócił się wprost do pana Ligęzy: – Papiery waćpan masz? No, papiery, u czarta, nie rozumiesz?

– *Queles papiehy?* – Cudzoziemiec wytrzeszczał oczy. I nagle zrozumiał: – *Oui, papiehy!* – wykrzyknął ucieszony. – *Je suis ici justement pour les papiehy! C'est monsieur Zholkevsky qui me donnera les papiehy! L'hetman Zholkevsky, le grand maréchal...*

– Hetman ma dać glejt, ale go w tej chwili nie ma – przetłumaczył Wolski.

– Już wiecie wszystko, panie wachmistrzu?

– Tak jest! – Wachmistrz znowu zadzwonił ostrogami. – Wybacz wasza miłość, powinność swą spełniałem. – I do Ligęzy: – *Gute Reise!* Jedź

waćpan na Sicz, a napisz coś uczonego! Jen o naszym narodzie życzliwie pisz. Dobrej podróży życzę... Za mną! – rzucił swoim żołnierzom.

Odeszli dzwoniąc miarowo ostrogami i poszczękując zbroją.

Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, Wolski wrócił do poprzedniego, jak gdyby nic się nie wydarzyło:

– Waćpanowie więc rezolwowaliście się Rosińskiego pod samym bokiem hetmańskim porwać?

Tomasz i Witoszyński potwierdzili.

– Nie, moi panowie – powiedział stanowczo Wolski – ja w łamaniu prawa uczestniczyć nie mogę. Glejt jest glejtem, choćbym na to niechętnym okiem patrzył. – Tomasz milczał, pozostali też. Wolski przypatrując im się, uśmiechnął się lekko.

– No cóż, mości panowie, umówimy się po prostu, że ja o niczym nie wiem. Nie wiedziałem i nie słyszałem.

– Waszmość by nam mógł być wielce pomocny – namawiał Witoszyński.

– Nie widziałem i nie słyszałem – powtórzył Wolski.

Wstał, a za nim podniósł się stary woźny.

– Ostawajcie w zdrowiu, waćpanowie – rzekł starosta jurydyczny. – I nie szukajcie mnie w zajeździe, bo pożegnaliśmy się na amen. – Spojrzawszy na Ligęzę dodał: – Chociaż nie ze wszystkimi.

Infamis podniósł nań senne oczy i powiedział z lekka bezczelnie, jak się wydawało Tomaszowi:

– Słucham cię, panie starosto.

– Słyszałeś waćpan, że za tobą uniwersały rozesłano – powiedział grożąc palcem Wolski. – To i ja będę miał obowiązek cię chwytać.

– Kiedy zaczynasz? – spytał nie ruszając się z miejsca Ligęza.

– Od brzasku masz u mnie czterdzieści osiem godzin. Po tym czasie strzeż się pościgu.

– Tak, mości kapitanie, zrozumiałem.

– Staraj się być daleko ode mnie.

– To już jak wypadnie, kapitanie – powiedział Ligęza. – Nie obiecuję.

I uśmiechnął się bladym, uwodzicielskim uśmiechem.

Wolski chciał coś jeszcze powiedzieć, ale dał za wygraną i odszedł. Jego woźny mruknąwszy pod adresem Ligęzy groźne „uprzedzaliśmy”, pokuśtykał za swoim panem. Ligęza patrząc za nimi wycedził:

– „Nie widziałem i nie słyszałem”... Hipokryta!

– Nie krzywdź go waćpan – rzekł Tomasz. – Ten hipokryta prawo obszedł, żeby waści z opresji wydobyć. Jedyny to obok Marcina Krasickiego starosta, który nieustępliwie przestępców tropi.

– Czyli mnie i pana Witoszyńskiego – powiedział Ligęza. – No, niech mu tam. Ważne jest to, że już delator się znalazł, już donos uczyniono. Któż się tak pośpieszył? – spytał Ligęza Błudnickiego. – Łukaszek taki mściwy? – Tomasz nie odpowiedział, miał na końcu języka coś niedbałego do wymamrotania, jakieś „nie wiem”, ale w końcu zmilczał. – To by było nazbyt podłe – podjął Ligęza z westchnieniem. – Nie, nie Łukaszek! Zresztą nie dochodźmy! – zdecydował nagle. – Jakaż to w końcu różnica?

– Może byś ruszył zaraz? – zaproponował Tomasz. – Zyskasz sześć godzin do brzasku.

Ligęza wzruszył ramionami.

– Panowie – rzekł – kończymy sprawę. Do północy niedaleko. Uradźmy coś.

Proszę, panie Andrzeju.

– Rzecz w tym – powiedział Witoszyński – że Stacho do wieszczycy nie sam chadza. Nie odstępuje go Pietrek Ramuł, junak dzielny i mnie dobrze znajomy. Ja bym go mógł od herszta odciągnąć.

W dwa pacierze uradzili wszystko i wyszli z karczmy. Noc była cicha, jasna, księżyc rósł w stronę pełni. Miasteczko spało, w martwej ciszy słycać było tylko miarowe kroki halabardników. Ten młodzian umie dyscyplinę narzucić, pomyślał Tomasz o regimentarzu Konięcpolskim. Za murami, w oknach domostw, za którymi czekały na próżno ładacznie, gasły światła jedno po drugim. Tylko w jednym domu, walącej się ruderze, widać było spoza mdło rozświetlonej zasłony dwa pochylone ku sobie cienie.

– Wieszczyca – szepnął Witoszyński.

Przed domem dreptał tam i sam młody żołnierz.

– Ramułek? – spytał szeptem Tomasz.

– On. Waćpan pamiętasz, gdzie masz się znajdować?

– Tak. Idź śmiało.

Tomasz cichcem przeszedł z Maciejem do zaułka, podczas gdy tamci dwaj, Witoszyński i Ligęza, mieli porozmawiać z Ramułem. Wkrótce od strony rudery dobiegła rozmowa.

– Ramułek? – To był głos Witoszyńskiego.

– Co? kto? – słycać było zaskoczenie młodego zbójcy.

– Spokojnie, to ja.

– Wszelki duch: Witoszyński?

– Ja.

– Nastraszyłeś mnie. Gdzieś się podziewał? – pytał Ramułek.

– Rozglądałem się po świecie.

– Upatrzyłeś coś dobrego?

– Nic. – Wciąż tylko sam Witoszyński, Ligęza musi się gdzieś kryć, domyślił się Tomasz. – Niełatwo was było odnaleźć. Gdzie stary?

– Po co ci stary?

– Wiesz, po co. Do wojska chcę. Gdzie on?

- Tam. – Ramułt zaśmiał się. – Przyszłość odgaduje.
- Jak myślisz, weźmie mnie?
- Zapłacisz, to weźmie.
- Ile żąda?
- Dwadzieścia talarów od towarzysza i dwa od pocztowego.
- Zdiera skórę, chciwy czort. Dobrze, zgoda. Idź, rzeknij mu, że czekam. Rzeknij mu, że dwóch nas jest.
- Ten drugi też szlachcic?
- Też.
- Czterdzieści talarów – policzył Ramułt. – Kto on taki?
- Wiadomo, z kondemnatką.
- Ten? – Ramułt musiał zauważyć Ligęzę, słysząc było kroki. – To ty?

Wyglądasz na niezłego zabijakę.

- Bom i nie najgorszy – odpowiedział Ligęza.

Zamilkli. W ruderze skrzypnęły drzwi. Poszedł po Rosińskiego, domyślił się Tomasz.

- Czas na nas, Maćku – szepnął.

Wyszli za opłotki, a potem idąc dokoła stawu przeszli na trakt, który piął się w górę w stronę wiszeńskiego zamku, gdzie obozowało wojsko pana Koniecpolskiego. W miejscu, w którym droga zwężała się, obrośnięta z obu stron gęstą tarniną, Tomasz i Maciej zajęli stanowiska. Było tu ciemno od drzew wysokich, których korony zachodziły na siebie przesłaniając niebo, więc mogli, wtuliwszy się w kolące krzewy, stać niepostrzeżenie. Minął kwadrans pełen napięcia, zanim usłyszeli od strony miasteczka zbliżające się kroki i głosy. Maciej spytał:

- A Ramułta też kończymy?
- Nie wiem jeszcze.
- Jezu, chroń od grzechu ...

– Co z tobą? – spytał Tomasz, czując dygotanie chłopca.

– Serce mi skacze.

– Boisz się?

– Nie. Jeno mdłości mam.

– Tss! – uspokoił chłopca Tomasz.

Głosy z dołu wspinały się, coraz wyraźniejsze. Rozróżnili zadowolonego z siebie watażkę:

– No i popatrz, nawet ty, panie Ligęza, szukasz mojej protekcji.

– Cóż mi pozostało, kochany – Ligęza i teraz nie wyzbył się swojego ironicznego tonu. – Uniwersały za mną posłano.

– A dużo za twoją głowę dają?

– Nie wiem. Może i tyle, co nic.

– Ech, to niemożliwe. Mądrzej bym ja uczynił, wasza miłość, gdybym ciebie katu oddał i nagrodę wziął.

– Strasznieś pazerny, panie Stachu.

– Ja fortunę nadszarpniętą odbudowuję. Przekażę następnym Rosińskich pokoleniom, będą mnie w poważaniu trzymać.

Ligęza zaśmiał się. Głos Witoszyńskiego:

– To myślisz, że będziesz jeszcze miał potomstwo?

– Ożenię się, to będę miał, a jakże! I Każko, jeśli nie polegnie, to Rosińskich namnoży.

– A wieszczyca co ci wywróżyła? – spytał Witoszyński.

Byli zupełnie blisko, zdawało się, że słyhać posapywanie pnącego się w górę Rosińskiego, który ze wszystkich czterech miał najwięcej ciała. Tomasz zasyczał przeciągle. Tamci zatrzymali się.

– Co to? – spytał Witoszyński udając przestach. – Nie wąż?

– Żmija – potwierdził Rosiński. – Straszno waćpanu?

– Zaraz jej głowę utnę!

Szczęknęła szabla. Już Witosza ma broń w ręku ... Głos Rosińskiego:

– Wywróżyła mi wiedźma przewagi różne, moc łupów i u niewiast wzięcie.

Zduszony śmiech. Pojawili się wreszcie na prostej ścieżce: cztery ciemne postacie.

Suną bez pośpiechu, brodząc w piachu, który pochłania ich kroki. Tylko ostrogi pobrzękują.

– Tedyś w dobrym nastroju? – spytał Ligeza.

– Możesz sobie przedstawić!

– I nic cię sumienie nie nęka?

– Jakie sumienie? Czego ma mnie nękać? – Rosiński zaśmiał się.

Suną coraz roślejsi, do drzew ciemnych podobni.

– A nie wywieszczyła ci worożycha, że dzisiaj zginiesz? – spytał spokojnie Witoszyński.

Rosiński szarpnął się, porwał do szabli, ale w tej samej chwili Tomasz oderwał się od krzewów i przyskoczywszy do watażki, przystawił mu szablę do gardła.

– Spokojnie, panie Rosiński – powiedział. – Racz nie ruszać się, bo pchnę.

– Zdrada! – zdołał krzyknąć Ramułt, ale tylko to, bo Ligeza obalił go na ziemię i przystawił sztych do gardła.

– Ciszej zachowuj się, młodzieńcze – powiedział – bo oberwiesz za nic.

– To mój komendant ...

– Dobrze, dobrze, wiaręś mu przysięgał i wszystko inne, jeno przeciw liczbie i Herkules nie da rady. Maciej, zabierz mu szablę. Nie ociągaj się!

Na rozkaz tak wyraźny nowochrzczeniec odpiął leżącemu na ziemi Ramułtowi pas z szablą.

– Wiąż im ręce, Witoszyński – rozkazał Ligeza.

Spętawszy dłonie zbójców, poprowadzili ich poprzez gęstwinę w bok od drogi, aż do miejsca, w którym jaśniała polanka.

– Spieszmy, panowie, miesiąc się chowa – powiedział Ligęza. – Panie Rosiński, poznajesz waćpan tego młodzieńca?

– Nie.

– Przyjrzyj mu się dobrze. W karczmie go widziałeś.

– Poznaje.

– Mówiłeś, że sumienie cię nie nęka. Tedyś zbrodniarz zatwardziały i nie ma nic na twoje usprawiedliwienie, żadnego odruchu serca i miłosierdzia nie wykazałeś. Ciężą na tobie przeróżne *crimina*, ale to ostatnie płazem ci nie ujdzie. Porwałeś dwakroć i zgwałciłeś szlachetną pannę Wojnarowską, a jej męża bezbronnego zabiłeś.

– Rzucił się na mnie!

– Gołymi rękami, panie bohaterze. A wiesz, za cośmy najwięcej na ciebie zajadli? Za to, że ciało tego zacnego bednarza zbecześciłeś i z majestatu śmierci zadrwiłeś, głowę mu odciąwszy, w miodzie na śmiech rodzinie odesłałeś. Co na to powiesz?

– Nic – odpowiedział hardo Rosiński.

– Było tak?

– Było. – Odetchnąwszy pełną piersią watażka wybuchnął: – Ale to poganin!

Ligęza nie zwrócił na ten okrzyk uwagi.

– Ta odcięta głowa jest w Sańsku – mówił dobitnie – i ona stanowi dowód twojej zbrodni. Więcej żadnemu trybunałowi nie trzeba i na tym się oparłszy, my tutaj obecni skazujemy cię na śmierć.

– Jakim prawem? – rzucił się Rosiński.

– A tym, żebyś się nie mógł przed karą wywinąć.

– Ja mam glejt! Hetmański glejt! – zachrypiał watażka. – Waćpanowie prawo łamiecie. Prawo jest po mojej stronie!

– A to piękna – odezwał się Tomasz. – Obaczcie, kto tu prawem się zasłania! Kto tu do prawa się odwołuje! Taki z ciebie zbójca, panie Rosiński?

A Ligęza: – Cóż, pogwałcimy sobie prawo, mnie to na ten przykład nie pierwszyczna.

– Samego cię trybunał czeka!

– Nie trybunał, kat – sprostował Ligęza. – No cóż, najpierw ja wyrok wykonam, potem na mnie wykonają. Taki jest bieg rzeczy, panie Rosiński.

Watażka obrócił się w stronę Witoszyńskiego:

– Jędreku, powiedz, czym cię kiedy skrzywdził?

– Uprzedzałem cię, żebyś nie zabijał brata Gabriela – odezwał się Witoszyński.

– Opętał cię ten brat Gabriel!

– Tak, opętał – przyznał Witoszyński. – Opętał z kretesem.

Ligęza zwrócił się do Tomasza i Witoszyńskiego:

– Więc waćpanowie potwierdzacie wyrok?

– Tak – odpowiedzieli. – Potwierdzamy.

– Śmierć?

– Śmierć!

– Facecje niewczesne – mruknął Rosiński.

– Panie Ramułt, słyszałeś wszystko? – spytał Ligęza.

– Słyszałem – odpowiedział znękany młodzieniec.

– Będziesz świadkiem, że sąd był jednomyślny!

– Facecje – zamruczał skazaniec.

– Panie Rosiński, klęknij – odezwał się uroczyście Ligęza. – Będziemy ci głowę ucinać.

Dopiero teraz Stacho zrozumiał, że to nie żarty grube.

– Waćpanowie – wykrztusił. – Waćpanowie... najmilsii...

– Klęknij!

– Dajcie mi zginąć z szablą w ręku! – zawołał padając na kolana. – Dajcie mi zginąć, jak szlachcicowi przystało!

– Zginiesz spętany i bezbronny. Zginiesz jak twoje ofiary. Módl się, jeśli masz ochotę.

– Ale jak? Jak mam się modlić? – szepnął nieprzytomnie Rosiński.

– Powtarzaj „Jezus, Jezus”. To wystarczy. Jeśli on tam jest, to cię usłyszy i przyjmie.

– „Jezus, Jezus” – powtarzał Rosiński klęcząc. Ligęza spytał cicho: – Który z nas?

Tego nie uzgodnili przedtem. Witoszyński poprosił:

– Oszczędźcie mi tego, co? Toż to był mój zwierzchnik.

– Czyli mnie sądzone? – spytał Tomasz.

– Najlepiej ja – zaofiarował się Ligęza. – Jaz was jedyny i tak na śmierć skazany.

– Nie! – krzyknął nagle Maciej złotowłósy. – Nie! Ja go zabiję!

I zanim zdążyli coś odrzec, zamachnął się, Maćku złotowłósy („Jezus, Jezus”, powtarzał Rosiński) i ciął się straszliwie („Jezus, Jezus”, i nagle krzyk, i nagle cisza). Po szyi ciął się. Ale żeś nowicjusz w dziele zabijania, toś głowy nie odrąbał, jeno martwa przechyliła się na bok, chlusnąwszy obficie krwią.

Wzięli trupa watażki za nogi i pociągnęli na środek ścieżki, żeby pan Konicpolski nie miał trudności ze stwierdzeniem, że wyrok, chociaż wbrew jego woli, został przecież wykonany.

Spędzili potem kilka godzin w wiszeńskim zajeździe, wiercąc się na twardych pryczach i gorączkując. Tomasz słyszał stłumiony płacz Maćka.

Zanim szarżę zaczęło, podnieśli się z legowisk i rozjechali w różne strony świata.

ROZDZIAŁ XIX

– Ciął straszliwie, pierwszy raz w życiu ciął po ludzkiej szyi – opowiadał Tomasz. Siostra słuchała, szeroko rozwierając okrągłutkie oczy, pani Wiktoria mruknęła: „biedne pachole”. – Tak niewinność stracił i odrębność swoją. A potem całą noc płakał.

Pani Wiktoria przetarła rękawem oczy.

– Gdzie on teraz? – spytała.

– Na północ pojechał, nad Bug, gdzie się wojska gromadzą. Teraz ja, powiada, do hetmana się zgłoszę i powiem: otom zabójca, proszę o protekcję. Przeklnie go ojciec i zbój go przeklnie, i tak nie ma dla niego innego wyjścia, jak po szlachecku mieczem służyć.

– A pan Ligeza gdzie?

– Spędził jedną noc u niej, a dokąd potem pomknął, nie wiadomo. Już go starostowie po całym województwie szukają. Miejmy nadzieję, że im umknie.

– I co teraz Nastusia zrobi? – zafrasowała się pani Powidajowa. Nie otrzymawszy odpowiedzi wstała z ławy. – Zajrzę do kuchni – powiedziała – kołacz się tam piecze.

Trzeba jej było przyznać, że wyczuwała chwilę, kiedy należało odejść.

– Jak u ciebie? – spytała siostra, gdy zostali sami.

Nie mógł wydobyć z siebie głosu.

– Niedobrze ci? – domyśliła się.

– Całkiem źle – wykrztusił.

– Za księcia idzie? – spytała.

– Tak.

– Nie zostawią cię panny okoliczne w spokoju, nie martw się – próbowała pocieszać siostra.

Jeśli miłuje, myślał, czemu idzie za tamtego, chociaż nikt jej nie zmusza? Czemu sobie wszystko inne wyżej ceni niż skłonność własną? Czego szuka? Ma zamek, sioła, księgi, rzeźby, obrazy... Siostra milczała, jakby nie chciała o jego dziewczynie umiłowanej rzec słów, których by potem musiała żałować. Spytał:

– Od Każka wiadomość miałaś?

– Tak, napisał z drogi, aha! – pochwaliła się. – Do pana Sapiehy zdąży, pod jego znakiem myśli służyć. Na ciebie pragnie się powołać. Nie krzywyś o to?

– Nie – odpowiedział.

Szczęśliwy Każko. Upiekło mu się, niech tam. Wróci, nikt mu bryganckich lat wypominać nie będzie, żonkę pocziwą pojmie, sam będzie żywot spokojny prowadził.

Tomasz sięgnął do kieszonki i wyjął złoty sygnet.

– Poznajesz? – spytał.

– Leliwów – odpowiedziała oglądając pierścień. – Twoje to?

– Nie. – Powściągliwość siostry go zdumiała.

– Jak to, nie poznajesz? Ojca naszego!

Przyjrzała się raz jeszcze sygnetowi.

– Nie przypominam – odezwała się.

– Znalaziono go w sitowiu za Sańskiem koło onych błot, na które go zawieźli.

– Tedy to ojca.

– Powinnaś była się domyślić – powiedział z wyrzutem. – Kiedyście go chowali, należało sprawdzić, czy ma pierścień na palcu.

– Miał – odparła ona lekko blednąc.

– Jesteś pewna?

– Najzupełniej. Przywieźli go z sygnetem na palcu i tak został pochowany.

To ja nie zwróciłem na sygnet uwagi, kiedyśmy trumnę otwierali, pomyślał.

– Cóż więc to ma znaczyć? – spytał. Złoty pierścień leżał przed nimi na stole.

– Że ojciec miał dwa pierścienie – powiedziała siostra spokojnie.

– Dwa? – zdziwił się.

– No tak, jeden na palcu, drugi w trzosie, do pieczętowania.

Mogło tak oczywiście być, ale dlaczego miałyby zgubić pierścień w sitowiu? I to ten z trzosa... Musiałyby się nieboszczyk między trzciny pofatygować. To już raczej ktoś żywy uczynił, pomyślał Tomasz.

– Może to też być pierścień całkiem innego Leliwy – powiedział.

– Ale czyj?

– Na przykład mordercy.

– Za co by go jakiś Leliwa miał mordować?

– Nie wiem. Za to, co i każdy inny. Coś mogło zająć.

W kłótni, pomyślał, od słowa do słowa. Jakiś krewniak chciał z ojcem porozmawiać, może wsparcia żądał, może do dziedzictwa rościł sobie pretensje... Ligęza rozmowę umożliwił. Ów krewniak nawet o zabójstwie nie myślał, dopiero potem, w zwadzie, w gorączce, chwycił za nóż i... Ale dlaczego sto kamieni?

Siostra milczała. Ma za złe, że wracam do tej sprawy, zrozumiał. Może obawia się, że trop zaprowadzi na powrót do Kaźka, przynajmniej jako do współnika zbrodni. Rozwścieczony krewniak – ale który? Gedeon przypuszczony do herbu? Krewniak, powtórzył w myśli i naraz poczuł, że serce zabiło mu przyśpieszonym rytmem. Schowawszy pierścień powiedział:

– Przyślij mi Świrskiego.

Siostra wyszła. Tomasz wyjrzał przez okno: drzewa w soczystej zieleni, zabudowania w ostrej wapiennej bieli... Pani Wiktoria szła majdanem zamyślona i pobrzękiwała kluczami. Tomasz okrzyknął ją:

– Waćpani!

Przystanąła na ścieżce i uśmiechnęła się. Przywołał ją raz jeszcze. Podeszła kołyszając biodrami.

– Co, mój kochaneńki?

– Waćpani znała pana Świrskiego? Przedtem, myślę, zanim ojciec został zabity?

– Nie znałam go – odpowiedziała. – Ty co zamysłasz?

– Nic. Ciekawym jeno.

– Myślisz, że to mój miłośnik? – Uśmiechnęła się i przekręciła klucze wokół palca.

– Nie, nie myślę tak. Waćpani go nigdy tu przedtem nie widywałaś?

– Nigdy. A przecież, prawda, on wolny jest, ten pan Świrski, i nawet mi dawał do zrozumienia, że mu samotność ciąży... – Westchnęła. – Jeno ja tobym chciała postawniejszego.

– A nie wiesz, czy mój ojciec go znał?

– Nie, nie wiem. Nigdy i jego imienia nie słyszała. Fabian – rzekła wsłuchując się w dźwięk tego słowa. – Cudacznie brzmi...

– Idzie on.

Pan Świrski truchtał ku dworowi na krótkich nóżkach, przy czym wydawało się, może dlatego, że lewą ręką nie władał, iż nieco utyka. Wołał z daleka:

– Witam! Witam cię, cherubinów kapitanie! Chciałeś ze mną porozmawiać?

– Zajdź sam, panie Świrski. Waćpani wracaj do swoich zajęć – zwrócił się do pani Wiktorii bardziej szorstko, niżli chciał.

Świrski stał uśmiechnięty na progu świetlicy, bijąc się raz po raz w pierś otwartą dłonią. „Witam, witam”, powtarzał. Więc to on? Milczkiem w Sańsku oczekiwał, cichcem urazę w sercu chowaną pomścił. Skrywał ją za uśmiechem lekkomyślnym, sprytnym i głupawym zarazem... Jeśli to on, pomyślał Tomasz, to nie ma się co z nim patyczkować, nie ma powodu chytryć i serdeczność udawać.

– Nie podasz mi ręki? – spytał Świrski trochę zdziwiony, ale jeszcze jakby nie dotknięty.

– Wybacz waćpan, nadwerędziłem ją.

– Watażkę porywając? – zawołał Świrski. – Piękny wyczyn!

– Siadaj, panie Świrski.

Ów krewniak, daleki krewniak, siadł posłusznie i prawie z wdzięcznością. On sam, Tomasz, stał dalej, tak sobie postanowił, nie będzie rozmawiał z tantym jak z równym.

– Waćpan jaką pieczęcią się pieczętujesz? – spytał.

– Leliwą. Mogę wina sobie nalać?

– Proszę.

– Spragnionym. A mogę kielbasą się poczęstować?

– Możesz.

– Zgłodniałem, waszmość krewniaku.

– Jedz – zezwolił Tomasz. Jak więźniowi, pomyślał. – Jaki waść posiadasz sygnet?

Świrski wyciągnął prawą dłoń i pokazał pierścień z pociemniałego srebra, na którego szczycie wyrytowane były jakieś niewyraźne znaki.

– Srebrny – stwierdził Tomasz. – Tym się pieczętujesz?

– Nie mam co pieczętować.

– A gdzie twój złoty sygnet?

Świrski uśmiechnął się skruszony.

– Już go nawet nie pamiętam – rzekł.

– Co się z nim stało?

– Sprzedałem. – Przymrużył oko. – Właściwie to podarowałem.

– Komu?

– Jednej takiej. Chciwa była okrutnie. Ale warto...

Tomasz wyjął złoty sygnet Leliwów i położył go na stole.

– Czy to ten? – spytał.

– Nie. – Świrski obejrzał pieczęć. – Mój węższy był i znaki miał w innej proporcji. I literę „S” miał dodaną od mojego nazwiska. Waćpan dlaczego o to pytasz?

– Wyjaśni się – rzucił Tomasz. Świrski był wyraźnie niespokojny. Mógł on coś znaczyć, ten niepokój, ale nie śpiesz się, przywołał się Tomasz do porządku, może to i nic nie znaczy, każdy byłby na jego miejscu niespokojny. – Waćpan masz lewą rękę słabą? – spytał.

– Prawie bezwładna.

– Tedy może masz prawą nadmiernie wyćwiczoną.

– Nie chwaląc się...

– Duża w niej siła? – spytał Tomasz.

– Haniebna – powiedział Świrski, usiłując się uśmiechnąć. Ale nadal czuło się zaniepokojenie.

– Możemy się spróbować? – spytał Tomasz.

– Jak chcesz. Ale pewnie ci nie sprostam.

Pan Świrski wytarł ręce i usta o rozłożony na stole wyszywany ręcznik. Potem, ugiąwszy prawe ramię w łokciu, oparł je o stół. Tomasz uczynił to samo. Chwilę mocowali się nie mogąc zwyciężyć jeden drugiego. Świrskiemu nabrzmiały żyły na szyi, twarz stężała, ale się nie poddał.

– Mocnyś – przyznał Tomasz i zwolnił uścisk.

– Ty też.

Siedzieli teraz naprzeciw siebie.

– Mocniejszym niż mój ojciec? – spytał Tomasz.

– Nie wiem, jaką siłą władał waćpanów ojciec – odpowiedział Świrski, a w głosie czuło się podrażnienie.

– Był roślejszy ode mnie.

– Tak się waćpanu mogło zdawać, boś pacholęciem dom opuścił.

– Ale za to już miał koło pięćdziesiątki... On by ci na rękę nie dał rady, panie Świrski.

– Pewno nie.

Tomasz znowu wstał, podszedł do ściany, na której wisiał kindżał turecki.

– Waćpan władasz nożem? – spytał.

– Całkiem dobrze – odparł pan Świrski.

Tomasz zdjął kindżał ze ściany.

– Proszę – powiedział wręczając krewniakowi nóż. – Proszę cię, pochwal się swoją sztuką.

– W co uderzyć? – spytał Świrski obojętnie.

– W deskę. Tę obok komina. Stań tu, proszę, obok mnie. – Świrski dźwignął się z ławy i wykonał posłusznie, choć bez skwapliwości, wszystko, co mu kazał czynić Tomasz. – Tak na dłoń od komina. Proszę, rzuć.

Świrski ścisnął kindżał w dłoni i Tomaszowi wydawało się, że wyraz twarzy krewniaka zmienił się – twardość w niej odczytał, zawziętość, morderczy błysk w oczach. Świrski zamachnął się, nóż przeciął powietrze i utkwiał w wyznaczonym miejscu. Spojrzeli po sobie; Świrski uśmiechnął się, Tomasz pomyślał: ale dlaczego sto kamieni?

– Przebiło na wysokości mojego serca – powiedział Błudnicki i wyrwał kindżał z belki.

Świrski milczał.

– Siadaj – polecił mu Tomasz.

Świrski siadł. Ale tym razem nie wyciągnął dłoni po szklanicę. Czekał.

– Waćpan kiedy tu do nas przybyłeś? – spytał Tomasz.

– Mówiłem ci już: razem z tobą.

– A jesienią gdzieżeś przebywał?

– U siebie, na Zamojszczyźnie.

– I nigdy tu nie byłeś?

– Nigdy. – Świrski pomyślał i dodał: – Może w dzieciństwie, ale tego nie pomnę.

– Waćpan jaką urazę chowałeś do mojego ojca?

– Żadnej. – Nareszcie się uśmiechnął, jakby już wszystko zostało pomyślnie wyjaśnione. – Nawet go nie miałem szczęścia znać. Siła o nim słyszałem – i to wszystko. Panie Tomaszu! – zawołał. – Widzę, że ci podejrzany. Ale zastanów się, pomyśl, po cóż bym miał mordować twojego ojca? Co by mi z tego przyszło?

– Chciałeś, żeby ktoś ci łyzy otarł – przypomniał Tomasz.

– Ale kto? Ja sam? Przecież nie ma tego, który by mi jego śmierć wynagrodził!

To był argument nie do odparcia. Nie, pieniężny interes nie mógł tu wchodzić w rachubę, tylko jakaś zastarzała, zapiekła nienawiść. Ale do tej pan Fabian się nie przyznawał.

– Pomyśl – mówił krewniak. – Gdybym to był uczynił, czyżbym się tu kręcił i narzucał ze swoją służbą? Siedziałbym cicho w swojej wioszczynie, śmiał się w kułak albo godzinki odmawiał skruszony. Panie Tomaszu, na Boga, jakże ci to na myśl przyszło?

– Ten sygnet – powiedział Tomasz – znaleziono w pobliżu miejsca, gdzie trupa rzucono.

– Sygnet ojca?

– Nie. Ojciec swój miał na palcu.

– Mógł mieć dwa – powtórzył Świrski słowa Elżbietki. – Nie każdy fatyguje się pieczętować tym, który nosi na palcu.

– Tak, mógł mieć dwa – przyznał Tomasz. Przyjął to wytłumaczenie i od razu mu ulżyło: morderca nie mieszkał pod jego dachem. – Jedz, panie Fabianie – powiedział.

– Dzięki. A ty?

– Zjem z tobą.

Siadł naprzeciw krewniaka. Dolał mu wina do szklanicy, a potem odezwał się:

– Twoje zdrowie, mości panie krewniaku.

– Nasze, panie Tomaszu czcigodny.

Wypili.

– Dowiedziałeś się czegoś, panie Fabianie? – spytał Tomasz.

– Owszem.

– Opowiadaj.

– Nie ma pośpiechu – rzekł pan Fabian. – Skończmy wpierw z tym – wskazał na misę pełną kielbas.

Dowiedział się o czymś niemiłym, domyślił się Tomasz. Trzeba było czekać cierpliwie, aż cieszący się dobrym apetytem krewniak uzna, że posiłek skończony. Nastąpiło to wreszcie, Świrski obtarł usta, otrzepał okruchy z wąsów i odezwał się podnosząc w górę oczy, jakby zwierzał się z tajemnicy:

– Byłem w Przemyślu.

– I...?

– Rozmawiałem z jurystami. Wertowałem księgi.

– Czegoś się dowiedział?

– O tej majątności podolskiej. Należała do Błudnickich.

– Aha.

– Nie „aha”. Do innych Błudnickich. Ojciec waszmościów oskarżył ich o bezprawne używanie nazwiska i pieczęci.

Tomasz czuł, że siły go opuszczają.

– Mów – szepnął.

– Poprzysiągł sobie, że ich z herbu wydziobie i w chłopstwo na powrót obróci. Pozwano ich na skutek jego akkuzacji przed sejmik. Ci plątali się w obronie, nie umieli ani szlactwa udowodnić, ani pergaminów okazać. Przybyli rzekomo z Prus Królewskich dobrych sześć pokoleń wstecz. Sejmik uznał ich winnymi uzurpacji, pozbawił ich szlactwa, ojcu przypadła majątność prawem kaduka.

– Odwołali się do korony?

– Nie zdążyli. Ojciec waszmościów szybko działał. Najechał ich i *armata manu* wyrok egzekwował. Schłopiono więc onych, a majątność ojciec Mniszchom za grosz gotowy odstąpił.

Będziesz miał pałac, synu, pałac, pałac...

– I tak *causa finita* – słyszał zadowolony głos Świrskiego.

– Kiedy to było? – spytał.

– Lat temu trzy.

– Kiedym ja obłączony był. Boże – szepnął – czemuś od ich mieczy nie zginął?

Więc nie na darmo, myślał, żyły sobie podcinałem. Przeczyna, widać, że hańba go jakaś czeka. I Urszula o niej wiedziała. Bełzecki, oczywiście. Ligęza. I Toroszewicz... Tak, Toroszewicz wiedział, ale mówić nie śmiał, chociaż go przepędziłem, nie chciał mnie zanadto upokorzyć.

– Ten najazd – powiedział w zamyśleniu – przy pomocy Rosińskich był uczyniony?

– Mogło tak być.

Mogło, mogło, stare to współnictwo. Stąd czelność zbójcy, żeby na szlachecką córkę oczy podnieść. Mrok, coraz mroczniej, pomyślał. Taki schłopiony Błudnicki miał przyczynę się mścić, tak, ten miał – nie tylko za siebie, ale za całą rodzinę, może ród cały. Jakże teraz kary dochodzić? A jak o Urszulę się pokłonić? Hańba się za mną wlecze, krzywda ludzka.

Świrski stanął przy nim, położył mu dłoń na ramieniu.

– Nie rozpaczaj, panie Tomaszu – powiedział. – Mógł twój ojciec być bez winy. Kto wie, może oni naprawdę chłopstwem byli i do herbu waszego się przyszywali.

– Czy w tym rzecz, mości panie? – spytał Tomasz. Tamten czegoś nie rozumiał. Najważniejszego. – Kto raz zaznał wolnego życia – powiedział – temu w wielonasób gorsza jest niewola.

Już taki wie, jak wolność smakuje, pomyślał. Już on swojej krzywdy nigdy nie zapomni. „Nie trzeba im mówić, że są nieszczęśliwi – usłyszał muskający ucho szept Urszuli. – jak im się nie powie, to nie będą wiedzieć, prawda?” Ale ci dalecy Błudniccy, prawdziwi czy nieprawdziwi – wiedzą. Im nic objawiać nie trzeba. Wiedzą i nie darują. Urodziwy szlachcic z portretu spoglądał zimno, i lekką wzgardą. Czemuś to uczynił? – zwrócił się do niego Tomasz z wezbranym żalem. Czemuś mnie tym obciążył? Ojciec przymrużył ironicznie oczy. Łamiesz się, synu, kpił, mnichem ci być, a nie miecz dzierżyć. Wydawało mu się, że jest bezkarny, myślał Tomasz przyglądając się dłoni ojca na rękojeści szabli. Dumnie odchyłona postać, pewność siebie i pogarda, wciąż ta pogarda dla wszystkiego dokoła – dla prawa i ludzi. Wszyscy gorsi i głupsi. A jednak znalazła się ręka, która ugodziła go nożem. Wiem już, że Ligeza go do tego spotkania

namówił. Ale teraz jakie to może mieć znaczenie? Kogo będę oskarżał? Ligęza znikł, zostałem ja, syn tego zuchwalca z portretu, ja, o którym powiedział ktoś (ale kto?), że niedaleko pada jabłko od jabłoni.

– Czy możemy to jakoś naprawić? – spytał.

– Pojęcia nie mam, jak.

– Jakże teraz ludziom spoglądać w oczy?

– Zwyczajnie, panie Tomku. Świat pełen jest takich krzywd. W twoim przypadku jedno żal, że ci fortuny ojciec nie zostawił. Gdybyś miał więcej brzęczącego dziedzictwa, obaczyłbyś, jak wielu by ci się nisko kłaniało.

Tomasz chciał powiedzieć: to nic nowego, panie Świrski, nic nowego wyrzekać na interesowność, podłość, niskość. Ale zmilczał. Spytał:

– Teraz już wiesz, kto zabił ojca, panie Świrski?

– Nie. A ty wiesz?

– Tak, wiem. Błudnicki herbu Leliwa – odpowiedział Tomasz. – Błudnicki zabił Błudnickiego.

– To brzmi jak przypowieść – zauważył krewniak.

– To jest przypowieść. I to jest prawda.

– A co masz zamiar uczynić? Z tą prawdą, nie z przypowieścią.

Przypowieść. Najpierw Błudnicki zabił człowieka w sobie, a potem przyszedł inny Błudnicki i wbił w żywego trupa nóż. A sto kamieni? Tajemnica wciąż pozostawała nie rozwikłana. Westchnął:

– Nie wiem, co uczynić.

Iść przed siebie. Do strumienia, nad którym szałas pustelniczy stoi. Nad Don, za owe nie kończące się wzniesienia i jary, by tam służyć Agafii i jej mężowi esaułowi, jeśli jeszcze żyje. Przed siebie. Jak Cyryl i jego Dziaduś. Dokądś, gdzie nie ma fortun, spadków, splendorów, rodów. (Pałac, pałac...) Gdzie nie ma ostrej stali. Do zapomnienia takiego, żeby i modłów nie było, ni śpiewów, habitów, reguł, przełożonych. Żeby było nic. Jeno nic.

– Czego tu szukasz? – ofuknęła go pani Wiktoria.

Stał na progu kuchni. Nie pamiętał, jak się tu znalazł, miał tylko świadomość, że już kiedyś to wszystko było. Tak samo owiewało go ciepłe, pachnące korzeniami powietrze. Tak samo kuchcik przyglądał mu się szeroko rozwartymi oczyma. Mój niefortunny pacholek. Czegoś od niego chciałem, myślał, po coś tu przyszedłem – nic pamiętał, po co.

– Co tak pachnie? – spytał.

– Baba – odpowiedziała pani Powidajowa. – Gorąca jeszcze. Chcesz kawałek?

– Chcę.

Jasiek nie spuszczał zeń wzroku. Trzyma w ręku tamten nóż, zauważył. Co on we mnie dostrzegł, głupie chłopaczysko? Pani Wiktoria odkroiła Tomaszowi kawałek gorącego ciasta. Wie czy nie wie? – myślał przyglądając się jej. Jej spojrzenie nic nie mówiło.

– Jedz – zachęcała go. – Czemu nie jesz?

– Jasiek – odezwał się.

– Słucham waszej wielmożności.

– Jakże ci tu?

– Dobrze, wasza wielmożność. Dziękuję waszej wielmożności.

– No więc... To by było to. Właśnie – bąknął i uśmiechnąwszy się do pani Powidajowej wyszedł z ciastem w ręku.

Ale chociaż pachniało kusząco, nie potrafił podnieść go do ust. Ujrzawszy Halżkę w sieni, odstąpił jej smakołyk.

– Spróbuj, pani Wiktoria wielce się nim pyszni.

Spróbowała.

– Jeszcze za świeże – oceniła. Wie czy nie wie? pomyślał. Ona: – Żyd na ciebie czeka.

– Jaki Żyd?

– Reuben. Na ganku.

Reuben ujrzawszy go pochylił głowę w lisiej czapie.

– Z czym przybywasz, Reubenie?

– Chciałem o zdrowie waszej wielmożności zapytać.

– Pytasz o rzecz mało ważną – odpowiedział.

– Wasza wielmożność sprawiasz mi przykrość – odparł smutno Reuben.

– Pamiętasz, Reubenie, pytałem cię wtedy, gdyś mi ranę przewiązywał, co o ojcu moim sądzisz, ale tyś się uchylił od odpowiedzi.

– Nie przypominam sobie – bąknął Reuben.

– Ja wtedy byłem słaby, może dlatego. Ale teraz możesz mi odpowiedzieć.

– Co waszą wielmożność interesuje? – spytał cyrulik.

– Słyszałeś kiedyś o tej historii ze schłopieniem jakichś Błudnickich?

– O, to było bardzo dawno temu... Po co wasza wielmożność się tym teraz przejmuje?

– Więc słyszałeś! I nawet uznajesz, że jest czym się zajmować. Powiedz, Reubenie, co ty wtedy o tym pomyślałeś? Nie dziś – wtedy! – zaznaczył.

– Wasza wielmożność, co ja miałem sobie takiego nadzwyczajnego pomyśleć? To są szlacheckie sprawy. Jak jeden pan drugiego zarżnie, to ja mam o tym od razu zacząć myśleć? Ja staram się ranę zaszyć i dziękuję Bogu, że to się nie obraca przeciw Żydom.

– Znowu się uchylasz.

– Nie, nie uchylam się. Wasza wielmożność nadto surowo patrzysz. Powiedziano: „nie zabijaj”, powiedziano: „nie kradnij”, ale świat jest tak urządony, że to się mówi, a tamto robi. Ja waszej wielmożności powiem, co ja postrzegłem. Są ludzie, którzy uważają, że świat jest dobrze urządony, wszystko raz na zawsze sprawiedliwie podzielone – to ci,

którym jest dobrze. Wśród panów szlachty takich musi być większość i o tych nie ma co rozprawiać. Ale są i tacy panowie, którzy wcale tego świata nic pochwalają. Oni widzą krzywdę.

– Mój ojciec należał do tych pierwszych?

– Nie, wasza wielmożność, ja myślę, że do tych drugich.

– Zdziwiasz mnie! Więc on widział niesprawiedliwość?

– Tak, on miał dobre oko.

– Ale chcesz powiedzieć, że godził się z nią?

– Człowiek, który ma dobre oko, może skorzystać na tym, że świat ma słabe miejsca. Wasza wielmożność mi wybaczy.

Po tych słowach lisia czapa znowu się pochylila.

– A inni? – rozmyślał na głos Tomasz. – Ci, którzy się nie godzą? Wciąż są nieszczęśliwi?

– Niekoniecznie, wasza miłość. Oni też mogą mieć chwile szczęścia. To wtedy, kiedy się właśnie na zło nie godzą. Kiedy coś robią, co im się wydaje pożyteczne, wasza wysokość mnie rozumie?

– Gdzież tacy są?

– Nie wiem. Może się jeszcze nie narodzili. Ale Żydzi powiadają, że trzydziestu sześciu sprawiedliwych chodzi po świecie i nawołuje do dobra.

– To oczywiście legenda.

– Tak, stara legenda, wasza wielmożność.

– Ja wolę rzeczy prawdziwe. Takie, których można dotknąć. Ludzi, z którymi można porozmawiać.

– Kosturowców? – ośmielił się spytać Reuben.

– Choćby.

– Ale waszej miłości chyba do nich nie ciągnie.

– Nie.

– Wasza wielmożność powinienes się ożenić, mieć dzieci.

– Reubenie, co sądzisz o mnie?

Cyrulik spojrział nań w popłochu.

– Ja? O waszej wielmożności? Co ja mogę wiedzieć?

– A jednak!

– Żydzi o waszej wielmożności dobrze mówią.

– Nie jestem krzywdziciel?

– Uchowaj Boże!

– Więc i mój ojciec nie mógł być zły. – Reuben milczał. On nalegał: – No tak, powiedz sam. Musiałbym po nim to dziedziczyć: złość, skłonność do krzywdzenia, do gwałtów. A nie czuję tego w sobie. Dlaczego nie potwierdzasz?

– Wasza wielmożność, te rzeczy są niezbadane. Tylko Wiekuisty zna ich tajemnicę.

– Reuben powiedział cicho, jakby chciał zwierzyć tę właśnie tajemnicę: – A ja tu do waszej wielmożności z nowiną.

– Dobrą?

– Ja myślę. Od panienki. – Reuben poprawił się: – Od panny Urszuli chorążanki.

– I co? – spytał Tomasz porywczo.

– Przybędzie dziś wieczór. Z siostrą Melchiorą i trzema hajdukami. Na jakieś modły ma przybyć...

Szykuj izbę.

– Pozwól do świetlicy, Reubenie, odpocznij po drodze. Mamy babę świeżo upieczoną. Halżko, pani Wiktorio! Uraczcie pięknie pana cyrulika!

Z ganku mógł widzieć, jak żydowski poseł Urszuli rozsiada się w świetlicy, jak zdejmuje lisią czapę, by odsłonić siwą czuprynę przykrytą na ciemieniu jarmułą, podczas gdy na stole przed nim pani Wiktorcia kładzie kawał żółtej baby i stawia gąsior z nalewką – nic innego Reuben w cudzym

domu do ust nie weźmie. Poprawić oblicze ojca, pomyślał Tomasz nagle. Pani Wiktoria siedziała naprzeciw cyrulika, głowę podparła dłońmi i z wielkim ożywieniem z nim rozmawiała. Mieli o czym mówić ci dwoje, znawcy ziół i leków wszelkich. Pani Wiktoria to oczy zdziwione podnosiła, to spojrzeniem powłóczyłym cyrulika przesywała i mógłby kto pomyśleć, że chciała starego Żyda uwieść. Ale widać inaczej mówić z mężczyzną nie umiała.

Poprawić oblicze ojca. Sprawić, by pan z portretu patrzył nie tak zuchwale i mniej wzgardliwie. Sprawić, by mówiono: nie mógł on być aż tak serca i sumienia wyzbyty, skoro syn zacny. Jabłko rumiane, zdrowe kryje się w trawie – jabłoń dorodna musi być gdzieś w pobliżu.

– Panie Świrski – powiedział ujrzawszy krewniaka. – Władasz waćpan piórem? Pan Fabian uśmiechnął się.

– Zawszem umiał się zgrabnie wypisać.

– A język jurystów znasz?

– Tak, mości krewniaku, znam, i to tak, iż wprost żal, że kauzyperdą nie został.

– Napiszesz mi odwołanie!

– Jakie odwołanie? – zdumiał się Świrski.

– Suplikę. Zresztą nazywaj to jak chcesz. Pismo mi wygotujesz do pana wojewody ruskiego. Do panów braci na sejmiku. Do starosty trembowelskiego. W którym ot, co napiszesz. Prosto i jasno, bez zawijasów! Że ja, syn Jana Tomasza, Tomasz Błudnicki, na podstawie informacji poufnych, które otrzymałem, a których ujawnić nie mogę... dobrze?

– Dobrze, panie krewniaku, dobrze! Dalej proszę!

– ... czynię wiadomym, iż pomylił się mój ojciec szanowny, oskarżając szlachetnych Błudnickich z podolskich Błudnik o bezprawne przyszycie się

do herbu... uzurpację prerogatyw stanu naszego... pomylił się i tym samym ciężko, chociaż bez złego umysłu, zawinił wobec nich, przejmując prawem kaduka ich majątność dziedziczną, rzeczony Błudniki.

– Proszę, proszę dalej.

– Którą to krzywdę ja, chcąc z całej duszy naprawić, błagam panów braci, jego dostojności i jego królewską mość, i kogo tam jeszcze chcesz, by mi w tym dziele dopomogli. By rzeczonych Błudnickich z poddaństwa wybawili, do sławy, herbu, wolności („i majątności” – wtrącił pan Fabian) i majątności przywrócili.

– Majętności w Mniszchów teraz władaniu – zauważył Świrski.

– Mniszchom jam krwią służył i nie powinni oni nadmiernych żądań wysuwać.

– Jak cię sąd obywatelski grzywną obłoży, zadośćuczynienie wypłacić każe, to do końca życia się z tego nie podźwigniesz.

– Potem się o to będziem martwić. Ty mi suplikę wygotuj! W pana Toroszewicza izbie najdziesz papier i pióra. Siadaj i pisz. Pięć, sześć sztuk suplik. Poruszymy niebo i ziemię!

Pani Wiktoria zajęła się przygotowywaniem komnaty gościnnej dla Urszuli i towarzyszącej jej siostry zakonnej, Gedeon miał zająć się hajdukami. Tomasz sam nad wszystkim czuwał, sprawdził miękkość łoża, biel prześcieradeł i poszewek. Wodę grzano w kotłach, ażeby niewiasty mogły kąpieli zażyć, izbę ozdobiono kwiatami polnymi, sięgnięto do skrzyń po puchary srebrne, z kuchni dolatywały zapachy pieczonego prosięcia, drobiu, ciast. Przywitamy ją jak księżniczkę z bajki, powtarzał Tomasz w myśli. Bo i jest księżniczką. Bo i jest z bajki. Bajka się czasem ucieleśnia, nie wiadomo czemu. Przymykał oczy, żeby ją móc sobie lepiej wyobrazić, jak stoi na progu domu, uśmiecha się do niego, i stwierdzał z niepokojem, że znowu nie widzi twarzy, tylko jasny obłok, z którego wyłaniają się te

rysy, które mogłyby ją szpecił: zbyt duże zęby, uśmiech, który odwija wargę i odsłania nieco dziąsła, lekkie przygarbienie nosa. Więc dał spokój. Ona – pomyślał – ona! To jest najważniejsze.

O zachodzie słońca powitał ją uroczyście przed wrotami błudnickiego częstokołu. Przejechała przez nie przy blasku pochodni, chłopci w tej samej chwili odsłonili głowy, Tomasz zaś przystąpił ku niej, ujął konia za uzdę i odezwał się drżącym z emocji głosem:

– Błudniki witają cię, panno chorążanko, całym sercem, jak na to twój ród i twoja uroda zasługują. Witamy także twój zacny orszak. Racz nami rządzić i rozkazywać.

– Dzięki – odpowiedziała. – Prowadź do domu.

Podawała mu dłoń w rękawiczce, a on ucałował ceremonialnie koniuszki jej palców. Potem, schyliwszy się ku niemu z konia, spytała złośliwie:

– Długość się swojej oracji uczył?

Tygodnie całe, chciał odpowiedzieć. Ale postanowił odeprzeć atak.

– Mój sekretarz mi ją ułożył – powiedział. Milczał potem przez resztę drogi. Dopiero kiedy przed gankiem zeskoczyła z konia, on, uchwyciwszy chwilę, gdy siostra Melchiora, wciąż jeszcze siedząc w dwukółce, wydawała służbie polecenia, powiedział:

– Twój przyjazd, moja panno, wynagradza mi wszystkie przeszłe cierpienia.

Uśmiechnęła się. Ale zaraz rzekła, żywo wywijając dłońmi:

– Ach, co ty sobie wyobrażasz, panie Tomku? Ja tu przybyłam w ważnym interesie.

– Siostra Melchiora, mała, płaska i szerokobiodra, wymieniła właśnie pocałunki z Elżbietą. – Pomodlić się chcę u grobu ojca twojego, ażeby mi wybaczył, że się z obietnicy nie wywiązała... Oczywiście, cieszę się, że mnie chętnie widzisz...

Zaklął w myśli. Nie będę jej się więcej oświadczał, postanowił. Nie, do kroćset! Urszula całowała się z Elżbietką, potem objęła pannę Wiktorią. Wie czy nie wie? – pomyślał nagle. Ludzie cię oszczędzają, przypomniał sobie jej słowa. Musi wiedzieć! – zdecydował. Kim dla niej jestem? Syn awanturnika, rębajły zwykłego, który od sztuki był płatnym, a potem zarządzał dobrami jej ojca, zdradzieckim był przyjacielem, szalbierzem i okrutnikiem. I ja śmiem na nią oczy podnosić! Marzyć o ucieleśnieniu bajki...! Podczas gdy niewiasty zajmowały się niewiastami, on siadł w świetlicy sam jeden przy zastawionym stole. Ojciec spoglądał z portretu obcy, zimny, nie mój ojciec, pomyślał, nie, innym go we wspomnieniach widziałem.

Naraz drzwi do świetlicy się otworzyły, wbiegła Urszula.

– Czuwasz? – spytała podchodząc do niego. – Tomku, chciałam ci tylko szepnąć, że siostra Melchiora okrutnie rada grzeszników nawracać. Nie masz tu jakiegoś, żeby ją zajął?

– Znajdzie się – obiecał. – Grzeszników nam nie brak.

Poczuł nagle muśnięcie warg na policzku i zanim oprzytomniał, już jej nie było.

Podczas wieczerzy usta się niewiastom nie zamykały. Najenergiczniej pani Powi- dajowa perorowała. Wiele ona widziała, nie do wszystkiego nawet skromność pozwala się przyznać, i zna ona takie chwile, gdy i majestat królewski ludzkie słabości objawia, tak, nie rozumcie tego opacznie, proszę, ot, krew się puszczało jego królewskiej mości i wrzeszczał król nie gorzej od pewnego arcybiskupa, któremu każdą słabość można było wmówić. Tak, panno chorążanko, wszystkim wiadomo, że sroce spod ogona nie wypadła, a jednak wierz mi, miła moja, doceniamy honor, który temu domowi wyrządzasz, że bawisz w naszych progach, że przyjaźnią chudopacholską nie gardzisz. Waćpani mnie o rumieniec

przyprawiasz, na to chorążanka ani trochę nie zarumieniona, ale czy wybaczy mi nieboszczyk, że woli jego nie spełniła? Muszę go gorąco ubłagać, iżby mnie nocami nie molestował. Tak, nieboszczykowie są złośliwi: drzwiami trzaskają, w okno pukają w ptasim albo gałęzim przebraniu. Nie martw się, chorążanko, są na to rady. Pani Wiktorcia dawała je obficie. I zakłęk kilka podsunęła. Najlepsze są modły, twierdziła bernardynka. Twarz miała szeroką, a w niej nos długi, spłaszczony pośrodku jak od uderzenia, mimo to nie była szpetna ani nazbyt oschła; oczy śliwkowe spoglądały dziewczęco, pogodnie i naiwnie. Ubłagamy nieboszczyka wspólnie, prawda, mój panie? Hm, hm, coś tam chrząknął. Tomaszek też część winy ponosi. Żem nie urodził się księciem? Och, nie żłość się, teraz już za późno. Do diabła, pomyślał, na nic nie jest za późno. Ligęza miał rację, trzeba było ją na koń i za Karpaty. Pozwól, bym mógł dłoń odrąbać sobie, myślał, daj krwią zbroczyć. Białogłowy o przyszłe weselisko żarłocznie się dopytują. Więc najpierw Urszula z matką pojedą z małym orszakiem do Krakowa. Tam wszystko omówią, spiszą, przygotują, natenczas pan chorąży doskoczy. Urszula jest za weselem skromnym. Słuszna, pomyślał, nie ma co wystawiać na pokaz młodości, co się daje w sypialni starca zamknąć. Zapytał o Cyryła. Ach, miły chłopczyna, nauki dwomości pobiera, żeby wyćwiczyć się naprędce w sztuce pazikowania. Straszny grubianin z tego chłopca, rąbie prawdę w oczy, aż się nieswojo robi. A mamy też nowego sługę, Tomku, przyjęliśmy go do załogi, bo się na ciebie powołał, pan Andrzej Witoszyński. Tak, znam go. A jegomość pan Świrski czemu taki milczący? Niezadowolonyś, że was goście najechali? Nie, panienko, zadowolonym niezmiernie, jeno na twój widok, aniele, tym bardziej grzeszny się czuję. To taki grzesznik z waszmości? Okrutny, chorążanko. Siostrę Melchiorę z miejsca to ożywiło. A na czym twój grzech główny się zasadza, waćpanie? Zwątpilem, siostrze, zwątpilem

aż do końca i nic wiary nie żywię, czuję się jak potępieniec, ani mi jadło smakuje, ani pić mogę, pani stara świadkiem. Tego po waści nie widać, żeby ci jadło nie smakowało. Zmuszam się, siostrzo czcigodna, nie chcę despektu mojemu amfitrionowi szlachetnemu czynić i gości jego obrażać. Znam ja, waćpanie, skuteczne remedium na ów brak wiary. Jakie, siostrzo, jakie, mów, dla Boga! Krzyżem całą noc leżeć i pacierze odmawiać. Choćby dziś! – zawołał pan Świrski. Będiesz waćpan leżał krzyżem, a ja ci będę modlitwy czytać i o wierze mówić: do rana jak ręką odjął. Niebo mi siostrę zesłało, niebo, powtarzam, niebo, twierdzą, boś w towarzystwie anioła przybyła.

W przejściu pan Świrski zdołał szepnąć Tomaszowi:

– Teraz widzisz, kto prawdziwy twój przyjaciel. – I mrugnawszy okiem dodał:

– A siostrzyczka wcale, wcale...

Przed północą Tomasz i Urszula zapalili w kościele świece u ołtarza, a potem klękali jedno obok drugiego nad miejscem, w którym trumna ojca złożona została do podziemia. Kościółek tonął w mroku, w belkowie cykał świerszcz, ksiądz mamrotał modlitwy po łacinie, za sobą słyszeli pełen westchnień oddech Halżki. Tomasz dotknawszy zziębniętych palców Urszuli szepnął:

– Teraz ksiądz powinien nam stulą dłonie związać.

– Ogrzej mi palce – poprosiła.

Wziąwszy w szeroką ciepłą dłoń jej palce, szepnął:

– Długo tu będziesz?

– Tss! – usadziła go. – O ojcu myśl.

– Myślę cały dzień. (Nawet się nie domyślasz, ile). – Spytał szeptem: – Bardzo nim pogardzasz?

– Dlaczego? – Zdawało mu się, że dosłyszał w jej głosie zdziwienie.

– Z powodu jego plam – podsunął.

– Któż ich nie ma – odpowiedziała. Teraz jej szepczące pytanie: – Wiesz już, kto go zabił?

– Błudnicki – odpowiedział.

Za nimi gdzieś pomiędzy ławkami płakała jego siostra.

– Tomku, obiecałeś mordercę znaleźć – przypomniała Urszula.

– Morderca z daleka przybył. I pewnie daleko uszedł.

– Znajdź go i ukarż – szeptała gorąco, dla postronnych mogło to brzmieć jak modlitwa: – Musisz mojego ojca z podejrzenia oczyścić. Bo wiesz, co ludzie mówią: zawiść, nienawiść, majętność, infamis – wszystko przeciw niemu świadczy.

Po cóż królewsczycy nam wydzierał? – pomyślał. I po chwili sam sobie odpowiedział: któż by ich nie brał?

Księdzu ceremonia się przejadła, pobłogosławił ich w imieniu Trójcy, jakby naprawdę ślub brali, a potem zabrał się do zdejmowania komży. Urszula dźwignęła się z klęczek. Tomasz też się podniósł. Elżbieta przecierała spłakane oczy.

– Północ minęła? – upewniła się Urszula. A kiedy potwierdzono, powiedziała:

– Teraz jużem spokojna.

Już cię pan kasztelan może na cztery spusty zamknąć, myślał stojąc w opustoszałej, mrocznej sieni. A przecież te modły to był pretekst, na pewno pretekst, niczego ona nigdy mojemu ojcu nie obiecywała ani też wiary w niej głębszej nie ma. Przyjechały, bym się mógł napatrzeć, może i nacałować. Nic się nie stało, nic z tego, co sobie wyobrażał wielokrotnie, do bicia serca, do przyspieszenia oddechu... Odeszła do przydzielonej im izby, przekroczyła rozłożone krzyżem postacie: małej, szerokoplecej

mniszki i krągławego szlachcica. Nie ruszał się z mrocznej sieni, rozczarowany, znowu bliski łez. Słyszał zgrzytanie zębatych kół zegara.

Pordzewiały, pomyślał, naoliwić je trzeba. Nie chciało mu się wspiąć do izdebki w gmaszku, gdzie będzie zimno i samotnie. Z głębi mroku wysunęła się wyniosła postać kobieca i szła ku niemu rozkołysana. Po tanecznym, szerokim falowaniu bioder ją poznał. Stała blisko, tak blisko, że dotknęła go wypukłością piersi.

– Położyłam ci tam drugi wezglówek – powiedziała cicho.

– Po co? – szarpnął się.

– Już ja wiem, po co. Szczęścia życzę... I opowiedz mi kiedyś, jak wam było.

– Waćpani oszalałaś – szepnął.

Roześmiała się i po chwili znikła w mroku. Schody skrzypiały, kiedy wspinał się do swojej izdebki. Otworzył drzwi z tajoną nadzieją, że cud się stanie, ona czeka, siedzi przy stole, podnosi nań jasne oczy, mówi: a co, niespodzianka? Knot ćmi się w oliwnej lampce, sprzęty powoli wyłaniały się z półmroku, i widać było tylko twarde, kanciaste sprzęty. Stół, krzesła, zydell. Było też łóżko pod namiotem, a u wezglowia dwie poduszki. Jednak dwie. Może ona wie lepiej, ta Wiktoria, pomyślał, tyle odmian przeszła, tylu serc zażyła. Na stole zobaczył misę z kawałkami pieczeni, nóż, chleb, piwo i kubki. Wiktoria, pomyślał, jej to sprawka – na wypadek, gdybyśmy zgłodnieli. Szalona, szalona Wiktoria, mierzy swoją miarą dziewczkę niewinną, pannę szlachecką. Wszakże to wkrótce ślub! Trzeba pomyśleć o jakimś darze, o czymś takim, by mnie na zawsze w pamięci zachowała.

Ściągnął buty i w ubraniu położył się na łóżku. Nie zasną, pomyślał. Już wiem, że oka nie zmrużę. Trzeba było ją porwać! Ligęza i Gedeon zaczejani u wylotu parowu. Urszula nadjeżdża galopem. Wspina konia, by przesadzić pień zwalony. Gedeon wznosi szablę grubą i guzowatą – jak

maczuga. – Tomku! – słyszy jej paniczny krzyk. Zerwał się gwałtownie. Ona w progu.

– Tomku – szepnęła.

Bosy jestem, pomyślał zmieszany. Jakby go na czymś wstydlwym przyłapała. Ona cichutko zamknęła za sobą drzwi.

– Śpią – powiedziała z uśmiechem. – Siostrę zmęczyło klepanie pacierzy. Pan Świrski przeniósł ją do komnaty. Nie wyrzucisz mnie, co?

Pochylił się nad jej dłonią. Udręka, myślał. Gorzej niż ci z Poitou. Pod opończą z krwistego adamaszku, którą się opatuliła, widać było koszulę cienką w kolorze żółtym. Udręka, powtórzył w myśli. Ona przysiadła na brzegu łoża i przypatrywała mu się w milczeniu.

– Jak było z Zochą? – odezwała się nagle.

– O czym ty? – spytał niespokojnie.

– Nie udawaj – powiedziała szorstko. – Z Zochą Rosińską, wiadomo. Więc tak wiary dochowujesz...

– Nie mam obowiązku dochowywać ci wiary.

– Że też do niej byłeś taki śmiały.

Nie odpowiedział. To dziwne, pomyślał, nie wstyd mi wspomnienia. Za oknem czyhali zabójcy, dyszeli nienawiścią, zębami zgrzytali z wściekłości, może dlatego...

– Dobra była Zocha? – spytała. A kiedy nie odpowiedział, sama sobie odpowiedziała: – Musiała być kusząca, oho. Do mnie to nie jesteś taki śmiały...

Klęknął u jej nóg.

– Bo cię miłuję – powiedział zduszonym głosem.

– Czemu ze mnie opończy nie zedrzesz?

Na Boga, nie dręcz, myślał.

– Twój ślub niezadługo – powiedział.

Zrzuciła oponczę i znalazła się w samej koszuli.

– Cienka – powiedział.

– Batyst czeski. Podoba ci się? Czego tak się na mnie gapisz? Masz takie złote błyski w oczach – zauważyła z rozbawieniem. – Ach, to moje gieżło w nich się tak odbija!

Objął ją ramieniem i przez cienką materię koszuli poczuł jej ciało – prawie nagie. Jak w marzeniu, pomyślał.

– Dać się tak namalować? – spytała nie wyswobadzając się z objęć.

– Tak, tak, koniecznie – powiedział i nachylił się do jej ust.

Całowali się w zawziętym milczeniu coraz boleśniej, aż naraz Urszula wyrwała mu się i przeszła na środek pokoju. Dotknęła palcami opuchniętych warg.

– Za mocno całujesz – szepnęła.

– Tak – przyznał – za mocno. Wybacz. Wiem, dlaczego – uświadomił sobie nagle.

– Dlaczego?

– Bo mi się zdaje, że każdy pocałunek jest ostatni.

Uśmiechnęła się:

– Tak i ja pomyślałam. – Westchnęła. – Zmęczona jestem.

– Połóż się trochę.

– Chyba tak uczynię.

Wróciwszy do łóżka, wyciągnęła się na wznak, głowę oparła o jedną z dwóch poduszek. On, nachyliwszy się nad nią, całował ją powoli i łagodnie, podczas gdy jej miękkie włosy oplatały mu twarz.

– Tomaszku – szepnęła nagle. – Ty się mylisz co do mnie.

– W jaki sposób?

– Wcale nie jestem taka, jak myślisz.

– Jaka jesteś?

– Chcę zdjąć giezło – powiedziała.

– Pomóc ci?

– Nie.

Wstała z łoża i rozejrzała się po izbie.

– Masz wodę? – spytała.

– W dzbanie i w miednicy.

– Dobrze.

Znowu się rozglądała czegoś szukając. Pomyślał sobie nagle, że nie zna takiego jej spojrzenia. Już nie dziewczę rozigrane, lekkomyślne, zadziorne, urocze, ale niewiasta z namysłem spiżarnię przeglądająca, żadnych figli w głowie, trzeba czeladce pracę zadać.

– Nie masz tu drugiego prześcieradła? – spytała.

– Nie. Po co?

– Bo to trzeba będzie przeprać – powiedziała dziwiąc się jego niedomyślności, a jemu serce zabiło z nagłej trwogi. Ona wciąż się rozglądała. – Podłożymy potem twoją oponczę – zdecydowała i zdjawszy ją z haka zrzuciła na podłogę obok łoża.

– Nie boisz się gniewu księcia? – spytał.

Pokręciła z uśmiechem głową. Mają sto sposobów, pomyślał, by brak dziewictwa ukryć. Zresztą księżę stary, niemocen, może być nawet zadowolony z takiego obrotu rzeczy.

– Obiecałam mu być małżonką, nic więcej – usłyszał jej stanowczy głos.

– Odwróć się.

Słyszał, jak zaszeleściła zrzuciona koszula. Naga dziewczyna wsunęła się pod kołdrę i łoże zaskrzypiało. Czekala w milczeniu, aż on zrzuci z siebie ubranie. Ale on rozbierając się dygotał i już wiedział, że będzie niedobrze. Klął swoją niecierpliwość. Klął swoje kapryśne ciało. Niewiarygodne ziściło się – chorążanka w jego łożu. Ale w jakim spoczwarzonym kształcie

spełnia się marzenie. Boże, wygrażał, nigdy ci tego nie wybaczę. Przytuliwszy się do jej nagiego ciała, myślał ze zdumieniem i rozpaczą, że dzieje się coś przeciwnego naturze, bo przecież winno go ono, to ciało upragnione, gładkie, prężne, przyprawiać o podniecenie i rozkosz, więc błądził po nim ustami, szukając łapczywie jego tajemnicy, całował usta, uszy, całował szyję, piersi, całował coraz zachłanniej i coraz bezsilniej. Ona szepnęła:

– Nie przejmuj się, Tomku. Pewność słaby jeszcze.

Ale on nie wierzył w jej pobłażliwość. Gniewna jest w duszy, pomyślał, i ma o co.

– Silny jestem jak nigdy – odpowiedział.

– Więc dlaczego?

– Bo cię nazbyt miłuję.

– Nie czujesz wstrętu?

– Ach, co ty! Podziw jeno. Zachwycenie. Tak szczęśliwym, żeś tu przysła, że i pożądanie zostało przytłumione.

Szli z obnażonymi mieczami. Chciałem umrzeć. A jednak żyję i chcę teraz żyć, I coraz bardziej chcę. Nareszcie w moich ramionach. Jeno, że nadto ją kocham, pocieszał się. Trzeba, żeby i ona wierzyła, że to dlatego. Ale czy to aby na pewno prawdziwa I przyczyna niemocy? Może błędę. Może to jej ciało, którym dotąd się nie interesowałem, I zapatrzony w jej oczy uwodzicielskie, może ono wcale nie tak kuszące, a w każdym razie mniej od innych niewiast, z którymi nigdy nie miał kłopotu... A może to ta rzeczowość, z jaką rozglądała się po izbie, chłód jej mowy, mrozący brak zapomnienia, zupełnie jakby on, Tomasz, był li tylko chirurgiem i miał narzędzia do operacji szykować. Nigdy mi tej obrazy nie zapomni, pomyślał z trwogą. Ona spytała:

– Az Zochą tak nie było?

Tamta zwijała się z pragnienia, przypomniał sobie, „jejku”, posłyszał prawie.

– To zwierzę – powiedział nagle.

– Ja też – rzekła Urszula.

– Nie – zaprzeczył. – Nie, inna.

– Taka sama – upierała się. – Baba grzeszna.

On milczał. Przytuliła głowę do jego piersi.

– Nie myśl o tym – poradziła.

Leżała teraz cicho, błędząc ustami po jego ramionach.

Szli z obnażonymi mieczami. Straciłem przytomność. Wznosili miecze, ja padałem.

Do dziewczek wtedy nie tęskniłem. Później, dużo później – tak, była Agafia. Nary z desek zbite, pościel miękka, puchowa, i Kozaczka w pościeli wydmiasta, rozłożysta – jak krzew, pomyślał, jak gęstwina spulchniona od deszczu... Chodź, szepnął, chodź, Orszulo moja wdzięczna... Dziewczyna objęła go kurczowo, wstrzymała oddech i nagle krzyknęła.

Leżał otumaniały w półśnie, szczęśliwy w znużeniu, a gdzieś obok pluskał się w wodzie ptak, mały rozigrany ptak, słyszał, jak trzepocze kolorowymi skrzydełkami. Nie śpij, strofował się i otworzył oczy: w kącie izby stała w półmroku naga Urszula, pochylona nad miednicą, płukała prześcieradło z krwi. Wyżęła je i powiesiła na haku, a potem wśliznęła się do łóżka cichutko. Słuchał jej równego oddechu, przyglądał się włosom rozsypanym miękko wokół niego, ich jasnej barwy mógł się tylko domyślić w mdłym świetle. Więc jednak, stwierdzał zdziwiony, więc stało się, to ja dostąpiłem zaszczytu, ja zostałem wybrany. Książę panie, wasza wielmożność panie chorąży, pani chorążyno, panie starosto będziński – mam ją, mam, ja chudopacholek, ja syn potępieńca, ja nikt. Byle ta chwila

trwała, bylebym długo, długo mógł pamiętać krągłość piersi, którą teraz mam pod palcami, i pamiętać warg opuchnięcie, i smak. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się. Byleby widzieć jej uśmiech.

– No co? No jak? – szepnęła triumfalnie. – No widzisz? – A potem po swojemu przekomarzała się, jakby naprawdę coś takiego jej w głowie powstało: – Bo już nie czujesz zachwycenia?

– Nie. Tylko już się ciebie nie boję.

– To tak było z Zochą?

– Po co ci wiedzieć?

– Ale jak?

– Całkiem inaczej.

Usłyszał westchnienie przeciągłe i melodyjne w cierpieniu, jak gdyby struna skrzypiec zadrgała trącona i długo w powietrzu dźwięczała.

– Uwielbiam cię – szepnął.

– Ja wiem. Ja wiem wszystko.

Babo grzeszna, myślał słuchając jej nabrzmiałego oddechu. Gorąca natura objawiła jej tajnie, które przed innymi tylko stopniowo, noc po nocy uchyla. I za każdym razem, kiedy jej oddech, wzniósłszy się do szczytu, opadał znużony, całowała jego ramiona i z pomrukiwaniem tuliła się do jego piersi. Aż naraz poczuł, że ten oddech, już uspokojony, owiewa równo owłosienie piersi. Leżał bez ruchu, bojąc się ją zbudzić. Wielem wycierpiał, myślał, głody i nędze, razy, upokorzenia, a wszystko to zostało wynagrodzone, wszystko, wszyściuteńko (tylko one to potrafią człowiekowi wynagrodzić, myślał, tylko one) – zostałem wybrańcem – niech jeno ta noc trwa, niech się wyryje w pamięci.

Nie otwierając oczu spytała:

– Co tak szumi?

– Potok.

– Jak wdzięcznie – szepnęła. – Ledwo, ledwo.

– Chcesz głośniej?

– Tak.

– Uchylę okna.

Zwłókł się z łóżka i uchylił okno.

– Teraz lepiej? – spytał.

– Cudnie – powiedziała.

Potem jeszcze raz się obudziła.

– Pić – usłyszał z jej spierzchniętych warg.

Znów zwłókł się z łóżka. Pić, powtarzał w myśli, pić prosiła. Piwo wydało mu się jej niegodne. W gąsiorze był napój z trześni studzony. Spróbował najpierw sam i kiedy stwierdził, że dobry, podał jej szklanicę. Piła z zamkniętymi oczyma, równie pożądliwie, jak kiedy go do siebie tuliła, potem szepnąwszy „nektar”, opadła z powrotem na poduszki. A on położył się cichutko obok. I myślał tylko o tym, że może jednak ją zbudzić i do pieszczot zmusić. Wiedział, że jutro będzie żałował, że pozwolił jej spać. Jutro, kiedy wszystko będzie już tylko dniem wczorajszym.

Obudziło go odrętwienie w ramieniu. Nikt obok niego w łóżu nie leżał. Nikogo w izbie prócz niego nie było. Przez okienko zaglądał różowy świt. Nie był pewny, czy mu się tamto wszystko nie śniło, nawet owo uczucie szczęścia i lekkości mogło być wyśnione. Na haku schło przeprane prześcieradło. Jego oponcza leżała na podłodze obok łóża. Odetchnął głęboko: niewiarygodne się ziściło. Była tu! Wtulił głowę w poduszkę. Wszystko to jeszcze trwało: zapach jej włosów, ich jedwabisty dotyk, a kiedy puch poduszki poruszył się, mogło się wydawać, że to ona oddycha.

Była tu! Pod zwierciadłem leżała zarzucona błękitna wstążka, na rogowym grzebieniu wiło się kilka długich jasnych nitek. Rozejrzył się po swojej izdebce i zobaczył wszystko jakby po raz pierwszy. Szklanica, z

której ona napój trześniowy piła. Krzesło, na które swoją opończę zrzuciła. Miednica, mydło, dzban z wodą. Dosłyszał szmer potoku za oknem. Czemu go nigdy przedtem nie słyszałem? Ta izba nie jest już tą samą izbą, pomyślał nagle. Nalał sobie napoju, nie był już taki zimny jak w nocy, ale on pił, pił z przymkniętymi oczyma – i przez tę chwilę był nią. Potem westchnęła, opadła głową na poduszkę i zasnęła. „Nektar” – szepnął. Oszalałem.

Wydało mu się, że słyszy szyderczy śmiech Ligęzy. Ależ on sam, infamis, bezbożnik, awanturnik bez trwogi, kompan szatana, chciał skoczyć do gardła swojemu dobrodziejowi – z powodu czego? męża swojej dziewczki! chłopa, przygłupa! Miałem złote błyski w oczach, przypomniał sobie nagle. Zajrzał do zwierciadła, nie było złotych błysków, to jej gieżło odbijało mu się w źrenicach, to ona, ona, ona weszła mu pod skórę, opanowała go, osiodłała. Nie podobał się sobie w zwierciadle. Lepiej, że umknęła i mnie takim nie widzi, myślał dotykając szorstkiego zarostu. Oddech też pewnie nieświeży, wspólny ranek mógł być kłopotliwy.

Nigdy tak starannie nie zajmował się sobą jak tego ranka. Był w tym śmieszny, wiedział o tym. Przed wyjściem z izdebki zerknął raz jeszcze do zwierciadła: nie zauważył szczęścia w ciemnym lazurze swoich oczu, tylko niepokój. Kiedyż pojawią się w nim złote błyski?

Urszula i siostra Melchiora jadły śniadanie w ogrodzie.

– Witaj, mości spóźnialski! – zawołała od stołu chorążanka. – Zawsze tak późno wstajesz? Popatrz go, osłupiał, siostrzyczko. A może się jeszcze ze snu nie wyczmuchał? Słońce, popatrz, jak wysoko, twoja siostra w polu, a ty, panie gospodarzu... Chodź tu, pokaż mi się.

Tomasz podszedł i pozdrowił obie niewiasty. Czuł się niezręcznie, kiedy siadał przy stole, trochę nazbyt starannie przyodziany, przygładzony. Urszula zresztą z miejsca to spostrzegła:

– Och, ach, jakże pachniesz i świecisz, Tomku! Siostrzyczko, czy aby nie nam chce się on tak przypodobać? Tomku, niepotrzebnie się starasz. Ja cię wolę o, takim. – Potargała mu czuprynę. – O, takim, mój panie – powtórzyła.

Siostra Melchiora nie zwracała na te zuchwałości uwagi. Widać była przyzwyczajona albo też sądziła, że nie przekraczają one dopuszczalnej miary. Urszula przyglądała mu się z przekornym uśmiechem. Nic po niej nie znać, zdumiewał się. Nadal jest dziewczęca, jasna i czysta.

– Bladyś mi czegoś, panie Tomku – odezwała się.

– Chyba nie.

– Blady okrutnie, prawda siostrzyczko?

– Ano tak – potwierdziła zakonnica. – Jakby ci krwi upuszczono.

– Przyznaj się: coś ty w nocy wyprawiał, żeś taki nie wyspany? – droczyła się Urszula. – Na pewno całą noc nie zmrużyłeś oka!

– A to czemu? – spytał udając obojętność.

– Och, nie udawaj, bo to nawet nieuprzejmie. Ty, siostrzyczko, nie domyślasz się? A ja wiem! Gdzież mu było do snu, kiedy w izbie na dole panna nocowała. Już on się tam na pewno, biedactwo, całą noc z boku na bok obracał. Patrz, jaki blady.

– Prawda! – siostra zachichotała. – Nie ma się co gorszyć, mości panie Tomaszu, tak to już Pan Bóg obmyślił. – Uśmiechnęła się do Tomasza. – Żal mi waćpana, ale sameś sobie winien, żenić się trzeba i spokojność odzyskasz. Jedz, sił nabieraj – mówiła siostra Melchiora, a Tomasz nie mógł się oprzeć myśli, że ona się wszystkiego domyśla, chociaż wiedział, że to rzecz niemożliwa.

– Siostro – zwróciła się do niej Urszula. – Az tobą wszystko tej nocy było po bożemu?

– A jakże inaczej, wietrznico?

- Boś się położyła krzyżem na podłodze, a obudziłaś w łożu.
- Sprawiedliwie – potwierdziła bernardynka.
- A kto cię przeniósł, wiesz?
- Co za różnica?
- . – Pan Świrski!
- Bóg mu zapłać – powiedziała siostra obojętnie.
- A jeśli on się jakiej zuchwałości dopuścił?
- Zamilcz, głupia. – Siostra pomyślała i rzekła: – Nie, niczego on się nie dopuścił.
- Skąd siostra wie? Pijana siostra była jak kamień i może nie wiedzieć.
- Już ja bym wiedziała, kochanie, bądź spokojna – powiedziała siostra i uśmiechnęła się.
- A przy nieświadomości grzechu nie ma? – spytała niewinnie Urszula.
- Nie ma. Albo i jest. Nie wiem, trzeba uczeńszych zapytać. Ale ty, Urszulko, myślą grzeszysz. Jak o to pytasz, to już w tym jest zdrożność.
- Ja zawsze o takie rzeczy pytam – na to Urszula. – A pana Świrskiego wciąż nie ma. Pewnie swoje pokajanie odsypia.
- Pokajał się, to Pan Jezus miłosierny sen nań spuścił – rzekła siostra. – Nie czas w drogę, Urszulo?
- Czas – potwierdziła ona.
- Spieszno wam? – spytał Tomasz.
- Ano cóż, śpieszno.
- Zostańcie do jutra – poprosił. – Do czego wam śpieszyć? Izba wyszykowana.
- Nie mogę, Tomku, nie mogę – powiedziała dziewczyna, wstając od stołu. – Nawet nie wiesz, ile zajęć mamy! Mierzenie, szycie, przebieranie w skrzyniach.
- Dała znak hajdukowi, żeby zaprzęgali. Tomasz podszedł do niej.

– Urszulo – szepnął. A kiedy podniosła nań oczy, poprosił: – Daruj mi godzinę.

– Jak to? Kiedy?

– Teraz! Schronimy się u mnie.

– Nie, Tomku, nie. Nie nalegaj, nie można. – Dodała: – Mama się zniecierpliwi. Krawczyni czeka.

– Nie znać po tobie nic – szepnął.

Uśmiechnęła się.

– To chyba dobrze, nie?

– Nie wiem – powiedział. – Może i dobrze.

– Konia mi prowadzą.

– Zaczekaj chwilę, przyniosę ci coś z izby.

Przybiegł z kubkiem i wręczywszy go jej na osobności powiedział:

– To nasz wspólny. Ten, z którego w nocy piłaś.

– Piłam w nocy?

– Tak. Bardzo byłaś spragniona.

Stali w cieniu rozrosłej topoli. Przed gankiem niebiesko-złoci hajducy ładowali sepety na wóz.

– Gorąco było – powiedziała Urszula i uśmiechnęła się porozumiewawczo. Dwoje spiskowców, pomyślał. – Bardzo byłeś miły, Tomku, bardzo – pocieszała go.

– Zadowolonyś ze mnie? – spytała.

– Pamiętam wszystko – szepnął.

Pogłaskała go po policzku jak dzieciaka. Potem znowu przypomniała:

– Konie czekają.

Mam to rozstanie w oczach, myślał patrząc w popłochu na przebierające nogami konie, ten żal i rozpacz są w oczach, w oczach jest udręka

nadciągającego pożegnania. Zdobyć jej serce, myślał z rozpaczą. Zdusić, stłamsić, podporządkować sobie! Wybuchnął:

– Po co jedziesz do swojego księcia? Po co ci ten stary? Czyż on cię tak będzie miłował jak ja? Obsypie cię perłami i sobolami – mało ty tego sama masz?

– Nie w tym rzecz, Tomku – powiedziała sucho. Wydawała się nie tyle obrażona jego słowami, ile zniecierpliwiona.

– A w czym rzecz? Odwołaj wszystko!

– Za późno, Tomku. Nie można sobie igrać z takim mocarzem.

– A ze mną można?

– Jam ci nic nie obiecywała.

To prawda, przyznał, więcej spełniła, niż obiecywała. Nigdy nie robiła mu nadziei, poza owym jednym jedynym żartem wobec pana Koniecpolskiego. Ale kto wie, czy nie ów żart zawinił.

– Tomku – powiedziała nagle – krzywdzisz mnie. Spodziewałam się, że dobrze uczynię przyjeżdżając do ciebie. Czyś o to krzyw?

– Nie, Urszulo. Ale teraz to szczęście utracone...

Nie musiał kończyć, oboje znali te myśli Dantego o utraconym szczęściu w różnych wierszach powielane.

– Więc lepiej byłoby bez tego? – spytała. Zobaczył w jej oczach tę samą rzeczowość, z jaką rozglądała się po izbie, szukając drugiego prześcieradła.

– Niepotrzebnie przyjechała?

– Nie, po stokroć nie! – zaprzeczył gorąco. – Ale...

– Co?

– Chcę to powtórzyć.

– Ja też – powiedziała cicho. – Kiedyś, Tomku. Kiedyś na pewno.

– Porozmawiaj z ojcem – nalegał. – Może coś poradzi.

– Porozmawiam – obiecała nieoczekiwanie. – Czekaj na wiadomość. Przyślę konnego.

Wygrałem, myślał z triumfem. Gniadosz, przywołany cmoknięciem, przydreptał do swej pani. Urszula pogładziła konia po łbie, po czym zwróciła się do Tomasza:

– Możemy się pocałować.

Pani Wiktoria stała na ganku. Gedeon wyprowadzał konie. Siostra Melchiora zęgnęła się z księdzem. Świrski zamiatał czapką schody.

– Śmiało – zachęciła Urszula. – I nie za mocno.

Całował długo i jednak za mocno, bo to był naprawdę pocałunek ostatni. Ścisnąwszy jej głowę dłońmi, trwał przy jej wargach, dopóki nie zobaczył nad jasnością włosów nadjeżdżającej dwukółki z zakonnicy. Wtedy oprzytomniał. Siostra Melchiora (teraz już chyba zrozumiała, musiała wreszcie zrozumieć wszystko, co pod jej bokiem się stało) powiedziała opryskliwie:

– Na koń, Urszulo! Dosyć figłów.

Figle. Bałamuctwa. Myślała, że nazywając rzeczy lekkimi słowami, odmieni je i zaczaruje. Skoczywszy na konia, odprowadził gości aż po granicę Błudnik, do rozstajów.

– Jeśli nie będzie konnego w trzy dni – uprzedziła go – to znaczy, że nic się nie zmieniło.

– I co wtedy? – spytał.

– Trzeba, żebyś na mnie wytrwale czekał. Uczynisz to? – spytała z ożywieniem.

– Czekaj na mnie, a ślubuję ci: przyjadę tu do Błudnik prząść i czeladną rządzić. Uśmiechnęła się niewinnie, z ufnością, jasna i dziewczęca jak wtedy, gdy pytała go o słowa niewstydlive.

– Nie – odpowiedział. – Nie licz na to. Nie będę na ciebie czekał.

– Taki z ciebie błędny rycerz? Tak mnie miłujesz?

– Miłuję ciebie taką, jaką jesteś teraz, a nie księżną panią. – Kto wie, jaka po latach będziesz, myślał. Kto wie, co ci życie w źrenicach wypisze. Kocham twe oczy takie, jakie są teraz. Kocham je wtedy, kiedy na mnie miłośnie spoglądają. Kiedy mnie nie dostrzegasz, i one tracą blask.

– Nie chcesz więc czekać – powiedziała z rozdrażnieniem.

– Muszę się ożenić. Muszę o potomstwo zadbać i ród.

– Życzę szczęścia.

Siostra Melchiora warknęła:

– Jeszcze wam mało było?

– Już kończymy! – krzyknęła Urszula. – Tomku – zwróciła się do niego czulej – obiecałeś mi coś, pamiętasz?

– Obiecałem ci wiele.

– Znaleźć mordercę – przypomniała. – I oddać go w ręce sprawiedliwości. Dopilnuj tego! – zawołała i uderzyła konia ostrogami.

Jeszcze przez dzień cały wystarczyło przytknąć głowę do poduszki, by opleść się włosami dziewczyny, odczuć miły oddech na nagim ramieniu, muśnięcie pełnego czułości pocałunku. W nocy budziło go znajome westchnienie, cierpiętnicze i śpiewne jak drganie struny skrzypcowej. Więc ona wciąż ze mną jest, myślał zasypiając, więc zostanie tu na zawsze. Kiedy jednak obudził się rankiem, leżał przez pewien czas w pościeli, rozmyślając nad naprawami, które trzeba było w domu przeprowadzić. Urszuli koło niego nie było, nie widział jej przy stole ani w zwierciadle, w którym onegdaj się cesała. Powiedziałeś sobie, że ta izba nigdy już nie będzie tą samą izbą, pomyślał, ale to nieprawda, poduszka już nią nie oddycha, jej włosy już ci szyi nie oplatają. Obraz się zatrze, zapach ulotni. Kiedyś zmienisz sprzęty. Zapomnisz, że widok stołu, krzesła, dzbanka

dawał ci szczęście. Orszulo moja wdzięczna, szepnął, nie uciekaj ode mnie...

Od pewnego czasu – zauważył to – przemawiał w myśli stylem bardziej podniosłym, kwiecistym, zdaniami muzycznymi, z lekka staroświeckimi, jakby wyjęte były z Pisma Świętego i z poezji. Zakochanie, rozumiał, wzbudza stan mistyczny, pełen wiary, przestajesz bać się słów. Zdania wytarte, kiedy indziej żalosne, nagle odzyskują żywą treść, krew w nich płynie świeża i świeża radość, i świeża prawda. Przepęłniały go wiersze nie wiadomo skąd znane, przychodziły doń z zaświatów wiersze jeszcze nie napisane, jak melodia jeszcze nie złożona, ale przecież już możliwa, czekająca w uśpieniu na swojego odkrywcę. Żał mu było teraz wszystkich jej słów, dotyków, westchnień, których nie zdążył utrwalić w pamięci, żał było, zgodnie z przewidywaniem, i tego, że jej nie obudził i że sam małodusznie zasnął. Żeby lepiej wskrzesić tamte chwile, powtórzył całą drogę, jaką z dziewczyną odbył, od powitania przy częstokole („Błudniki witają cię, panno chorążanko”) poprzez owo nagłe, krótkie spotkanie w świetlicy („Siostra Melchiora okrutnie rada grzeszników nawracać”), rozmowy przy wieczerzy, a potem klęczenie wspólne w kościele u grobu ojca (osunął się na kamienną płytę, przymknął oczy, poczuł dotknięcie zziębniętych palców, „wiesz, kto go zabił?”, „Błudnicki”), aż wreszcie polazł do izdebki na górze, by wszystko, co się tam stało, raz jeszcze sobie opowiedzieć. Z półmroku wyłoniły się zarysy dwóch poduszek, znieruchomiałych jakby były z kamienia. Nie ma jej, pomyślał z rozpaczą. Krzesło było krzesłem, stół stołem. Nawet owa przepaska błękitna była tylko pasemkiem kitajki. Przyciśniesz ją do ust, ale cud się nie stanie, całujesz kitajkę, a nie dziewczkę umiłowaną.

– Gońca nie było? – spytał, zszedłszy na dół, Świrskiego.

– Skąd? – spytał krewniak.

– Stamtąd. Nie było?

– Nie. A miał być? – przyciskał do muru Świrski.

– Tak albo nie – wymigiwał się Tomasz. Powiem mu, pomyślał, komuś do licha muszę powiedzieć. Stój, upomniał się, zamknij gębę. Tu o jej cześć idzie! – Jak nie ma – rzekł – to trudno.

– Miał być z dobrą wiadomością?

– Jeśli w ogóle, to z dobrą.

Pan Świrski rozejrzawszy się po ogrodzie powiedział:

– Wiśnie i jabłonie w tym roku waćpanu obrodzą. Nie masz waćpan szczęścia z panną, to będziesz miał do talarów szczęście.

– Tętent jakiś – odezwał się Tomasz nasłuchując.

– To Gedeon harcuje – wskazał Świrski. Nagle ujął Tomasza za ramię i spytał:

– Cierpisz?

Cierpię czy szczęśliwym? – zawahał się Tomasz. Dostałem szczęścia. Zostałem wybrańcem. Czemu właśnie ja? Nie znajdziesz odpowiedzi w zwierciadle ani tym więcej w jakimś możliwym do przeniknięcia wyrachowaniu. Coś ją natchnęło! Pociągnął pyzatego krewniaka w głąb ogrodu. Sunąc pod rozrosłymi lipami, trzymał się jego ręki, jakby o własnych siłach nie mógł iść. Przystanęli w miejscu zacisznym, oddzielonym od ludzkich uszu gęstwiną liściastą.

– Więc cierpisz – podjął tutaj pan Świrski. – I całkiem niepotrzebnie. Przejdzie ci, kiedy zrozumiesz i pogodzisz się z tym, że niewiasta wszelkane dla mężów pomyślana, jak by chciał ksiądz, ale dla samej siebie. My je ulepiamy i tak, i siak, jak rzeźbiarz glinę miesi, a one sobą pozostają. Panna chorążanka, widzi mi się, chciałaby przeżyć coś kolorowego. Waćpan jej tęsknot nie rozumiesz, boś sam już swoje przeżył. Namachałeś się szablą, zabijałeś, ciebie zabijali, goniłeś, uciekałeś – teraz

byś rad odpocząć. A ona co? Tylko wyobraźnię karmiła. I pomyśl: co ją osobliwego czeka? Nic. Ale i one mają swoje pole bitwy, domyślasz się jakie. Na nim to wśród prześcieradeł i poduszek przeżywają największe niebezpieczeństwa, najdziksze przygody, odnoszą najcudniejsze triumfy. Możesz, mój kochany, być zadowolony: jeśli cieszysz się jej skłonnością, choć przelotnie, znaczy to, iż ma cię w estymie. W każdym razie uważa, iż mieć z tobą sprawę to rzecz dumę łechcąca i przydająca niewieście honoru. Coś jak dla waćpana obcięcie uszu panu Ligęzie.

– Waćpan sądzisz ją tak, jakby o poczwórnej mężatce była mowa! A to panna przecież, niewinna jeszcze, u zarania drogi białogłowskiej.

– Ależ ona o tej drodze nie mało wie, a jeszcze więcej przeczuwa – odparł pan Fabian. To prawda, pomyślał Tomasz, przypomniawszy sobie różne jej słówka i zapytania. – Waćpan czekasz na konnego z listem i doczekać się nie możesz. Z jakim listem, proszę? Że miłuje, że cię nie zapomni... – mówił pan Świrski, Wadząc po omacku wokół istoty rzeczy. – Waćpan chcesz, by cię z westchnień waszych czułych skwitowała. Ale ona milczy, bo wie, że jej tkliwe słowa do niczego nie prowadzą. Jeno twoją mękę przedłużą. Ona tam już, jak słyhać, ruszyła z matką ku Krakowu.

– Jednakże – Tomasz rozmyślał na głos – jest w niej jakieś okrucieństwo i bezwzględność jest.

– Tomaszku – odezwał się pan Fabian głosem, w którym wyczuwało się ból, jakby o własnej krzywdzie mówił. – Okrucieństwo i bezwzględność w postępowaniu są właściwe tej płci, jako że jest słabsza. Tak, młodzieńcze, jest słabsza, więc nie ma obowiązku być rycerska. Musi fortelami, wybiegami, chytrącością równoważyć to, co my zdobywamy siłą. My władamy dobrami tego świata, więc one muszą być i wyrachowane bardziej, i w razie potrzeby okrutne.

Tomasz zdawał się go nie słyszeć. Powiedział zamyślony: – Pan Bełzecki mi ją już był oddawał...

– Jednakże ona dobrze przeczuwa, że nasz powiat za mały dla niej.

– Rzekła mi raz – wspomniał Tomasz – że będzie na dworze królewskim błyszczeć. Żadna nominacja, mówiła, beze mnie się nie obejdzie. Myślałem, że żartuje.

– Może i żartowała, ale to pewna, że przy kądzieli pokornie siedząc, wciąż by myślała o tym, czy do czegoś innego nie stworzona. Lepiej niech tego innego spróbuje.

Że też potrafi nie pamiętać naszych pocałunków, myślał z goryczą.

– Błyszczeć na dworze – powiedział – nie jest to cnotliwych pań zajęcie.

– To zależy już od samej pani – odparł Świrski.

– Waćpan jej teraz bronisz!

– Nierad jesteś? – spytał Świrski mrużąc oko.

– Och, waćpan dobrze wiesz, że temu rad.

– Więc przyznaj się sam przed sobą: czyżbyś nie wolał, żeby raczej była nie tak cnotliwa, a za to miast dochować cnoty staremu księciu, ciebie też odrobiną szczęścia obdarzyła?

– Pewnie, że bym wolał – odpowiedział Tomasz. Zrobiło mu się przy tym gorąco. Ale na tyle panował nad sobą, że dodał: – Ze mną to by znaczyło co innego. Gdzie dwoje się miłuje...

– Nie, drogi krewniaku, to samo. Nie uczynisz z Urszuli matrony, choćbyś nie wiem ku jakim chytróściom uciekał. Z innego ona mięsa, i tyle.

On wie! – zrozumiał nagle Tomasz i już więcej nie podejmował rozmowy. Zamyślony krążył po parku, aż znalazł się przed nagimi murami pałacu. Szaleństwo swojego ojca, przemknęło mu przez myśl. Czy naprawdę mógł chociaż przez chwilę marzyć, że jego syn zamieszka w tym pałacu z chorążanką? Nie, zbyt wyraźnie ojciec odczuwał swoją zależność od

Bełzeckiego, położenie sługi – przyjaciela, które uprawniało do wszelkiej konfidencji, ale nie do wejścia w związki krwi. Czymże dla niej byłem? – zastanawiał się, patrząc na milczące, nikomu niepotrzebne mury. Właśnie wspomnieniem z dzieciństwa. Wymyślonym oblubieńcem, który odnosi przewagi gdzieś na dalekiej wojnie. Pamiętała, że bawili się na łące pełnej kwiatów, zręczny, silny junak i dziewczątka; uczył ją z łuku strzelać i szabelką machać, potem śnił się po nocach niespokojnemu dziewczęciu. Daleki rycerz z romansów, na koniu harcujący. Ażem się ucieleśnił. Smutniejszy niż we wspomnieniach, nie tak złożony, przygarbiony jakby. Ale jednak ten – ze snów. I zerwała mnie sobie, jak na onej łące zrywała kwiat, by go do włosów wpiąć.

Któregoś ranka wciągając buty spojrzął za siebie na łóżko i zobaczył dwie leżące obok siebie poduszki. Wystarczy jedna, pomyślał. Zszedłszy na dół spytał, bardziej z przyzwyczajenia i obowiązku, niż z wewnętrznego musu:

– Gońca nie było?

Usłyszał zgodnie z oczekiwaniem, że nie było. Do dzieła, pomyślał. Skończyła się niewola. Oczekiwanie na wzajemność trzymało go w klatce, pętało ruchy i myśli. Uświadomienie sobie, że nie ma nadziei, przyniosło wyzwolenie, choć może nie ulgę. Nie, nie ulgę, na pewno. Ale już nie czekam, myślał, już nie dygocę.

Wezwał panią Wiktorię.

– Asani rozporządź, żeby mi sepety przeniesiono do komnaty ojcowskiej.

– Obejmujesz rządy? – spytała z uśmiechem.

– Chyba czas?

– Czas, czas, ale ja myślałam, że na dwór królewski pośpieszysz.

– Na dwór? Po co? – zdziwił się.

– Żeby być kimś więcej, niż szlachetką jedriowioskowym. Czynnym tam być, wybić się.

– Nie myślałem o tym.

– Ja byłem pewna, że myślisz. Pismo ci nawet wygotowałam do znajomka jednego, którego tam wiele ma do powiedzenia. Pan Daniłowicz, słyszałeś może?

– Słyszałem. – Dziwna ta ciotuchna, pomyślał. Czyżby trochę prawdy było w jej przechwałkach? Mikołaj Daniłowicz to był dostojnik, który młodo po dygnitarstwo sięgnął i szybko piął się w górę. Wiele też na dworze mógł. – Dziękuję waćpani, ale możesz ten list wyrzucić. Ja tu królestwo sobie funduję.

– Przenieść ci coś ze sprzętów na dół? – spytała.

Zastanowił się.

– Nie, nic nie trzeba. – Zwierciadło, pomyślał. Krzesło, na którym siedziała.

– Nie, nie trzeba, żadnych tam nadzwyczajności nie ma.

Wyrwałem ją, pomyślał i uczył ból w sercu. Odszukał Świrskiego.

– Waćpan supliki sporządził? – spytał.

– Czekają na ciebie.

– Przynieś do podpisu i pieczętowania.

Pieczętował sygnetem, który Cyryl znalazł. Nasz czy mordercy? – rozmyślał. Przebiegłszy wzrokiem suplikę, zauważył:

– Niewieleś waćpan od siebie dodał.

– Boś ty sam najlepiej treść obmyślił, kapitanie.

– Pochlebiasz mi?

– Nie, kapitanie – zapewniał Świrski. – *In medias res* utrafiłeś i zręcznie skomponowałeś. Mógłbyś pisma w kancelarii królewskiej wygotowywać. –

Co się z tą kancelarią królewską uwzięli? – pomyślał. Nie spisek to jakiś? – Mam je zawieźć do grodu? – spytał Świrski.

– Nie, nie ty. Zwiń pisma. Pojedziemy jutro obaj do Bolatyna.

– Ciągnie cię jednak!

– Ciągnie, powiadasz? – Zapewne, pomyślał, nie bez tego. Ale na głos zaprzeczył: – Ja tam zgoła inną mam sprawę. Naradzę się z panem Bełzeckim, a potem, jeśli uzyskam jego zgodę, posłużę się Witoszyńskim. On z tamtych stron, łatwiej mu trafić, do kogo trzeba.

– Co ty zamyślasz?

– Muszę mordercę znaleźć. Muszę go odkryć! Witoszyński mi w tym pomoże.

– Więc te supliki są jeno pułapką? – spytał krewniak. Uśmiechały się do Tomasza głęboko wpadnięte oczy, ale nie było w nich zwykłej dobroduszości. Więc jak, panie Błudnicki młodszy, już cię sumienie nie gryzie? Już chcesz tamtego Błudnickiego, choć schłopionego, chwycić i katu oddać? Więc wszystko po staremu: krew za krew, głowa za głowę!

– Panie Fabianie – mówił Tomasz podniecony. – Panie Fabianie, racz zrozumieć. Mordercę tak czy owak trzeba odkryć. Nie jest przesądzone, że to koniecznie jeden z onych Błudnickich zabił. Może to zgoła nie tak. Trzeba do nich dotrzeć! Z poddaństwa wybawić, ale i prawdę ustalić. Najlepiej uczyni to swojak. Pan chorąży Betecki posłużenie się Witoszyńskim poprzeć powinien, bo i pana chorążego oczyścić trzeba.

– Waćpan chyba jednak to chwycenie mordercy obiecałeś!

– Nadtoś przenikliwy – przyznał Tomasz.

– Nietrudno. Prawdziwieś się swej miłości w jasyr oddał. Czyń, jak uważasz. Ja, jako uczeń filozofów, trzymam się takiego poglądu: oto, że najpierw jest potrzeba, następnie działanie. Najpierw pragniesz miłować, a potem pojawia ci się dziewczka, w której ono uczucie umieszczasz. Biada

pannie, która tak górnemu uczuciu nie sprostą. Wyrzuty i przekleństwa ją ścigają, jakby ona była winna temu, że tej gorącości nie mogła dorównać. Musiałaby czuć Izoldy albo Heloizy namiętność i wyłączność, żeby odpowiedzieć godnie. Czyń, jak uważasz, powtarzam, ja ci odradzać nie będę.

– Nie żyje z nim Nastka, nie żyje ze swoim chłopem, kozłem śmierdzącym, nie żyje, paniczu – bełkotała stara Majbutnia, siedząc na stopniach zamkowego ganku. Jak zwykle wystrojona, w czerni, z naszyjnikiem ze szklanych paciorków, na głowie chusta barwnie haftowana. Zgłupiała stara wiedźma, pomyślał Tomasz, za mąż pewnie chce się wydać. Podzielił się tą myślą ze Świrskim. A ona: – Nie żyje – zaklinała się – jej Bohu!

– Pijaniście? – ofuknął ją Tomasz.

– Jakże, paniczu, gdzie zaś – bronila się. – Małość jenom siorbneła dla śmiałości. Pan chorąży wielmożny nas wezwali, to myślę: poczęstują ani chybi, ale nie zawadzi palanką się wzmocnić. A przecież nie żyje ona z nim, nie żyje, na Matkę Boską Milatyńską przysięgam. – Wskazując gdzieś za siebie w cień drzew, zawodziła:

– Gdzieżby ona, sokolica, z takim pokurczem żyła! Jej pan potrzebny, wielmożny, smukleńki, delikatny, bieluśki jak kołacz pszenny...

Tam, w owym cienistym miejscu wskazanym przez starą wiedźmę, siedział oparty o pień dębowy Wasyl zwany Majbą. Połyskiwały stamtąd plamy bosych nóg, a także wieniec włosów zeszywniałej głowy.

– Czego on tu? – spytał Tomasz półgłosem.

– Nie wiem, jaśnie panie, musi coś przewinił – odpowiedziała stara. – Boimy się, różgi będą. Nastka chciała sama biec, do nóg panu chorążemu paść, ale ja jej głupiej powiedziałam, żeby lepiej doma czekała, już ja z panem się ułożę, jeszcze ci, powiadam, bławatu daruje.

Chytra stara, pomyślał Tomasz. Doszła swoim rozumem, w czym rzecz.

– Jeno że teraz – zamamrotała Majbutnia – pohoworyty trudno, bo pani chorążyna do zamku zjechała.

– Wróciła! – wykrzyknął Tomasz.

– Sama, sama wróciła – pośpieszyła uspokoić go stara. – Ot, kolaska tam, baczysz? Pewnie coś zabrać z domu zapomniała. Wiadomo, zawsze tak, kiedy w takiej prędkości jedziesz. Złotą cizmę panienka zapomniała albo jakiś adamaszek wielce nieodzowny. – Majbutna mówiła to zawodząc po swojemu, tak, że nie można było przychwycić jej na ironii. Ale Tomasz nie mógł się oprzeć podejrzeniu, że stara sobie i z państwa pokpiwa. Przyglądają się nam, szalonym, pomyślał, i sądzą nas. Może i gardzą. Nie znamy jakiejś tajemnicy, która im jest wiadoma. Ale jakiej? Tajemnicy życia? Cierpienia? Może śmierci, pomyślał przypomniawszy sobie Nastkę. Znowu usłyszał bełkotliwe zapewnienia: – Nie żyje ona z Wasylem, nie żyje, paniczu. Jakby co, to i ty zapewnij. Ani się jej Wasyl dotknie. Całkiem zgłupiał przez tych nurków. W czystości żyje, sługą Bożym się przedstawia, sieluch durny.

Na ganku pojawił się pan chorąży w białym żupanie. Przyłożył dłoń do oczu jak ktoś światłem oślepiiony.

– Wasza wielmożność – odezwał się Tomasz uchylając czapki.

Ale głos mu w gardle uwiązł, bo chorąży mruknął tylko „ach, to ty” i dał mu znak, żeby zaczekał. Sam pośpieszył ku starej Majbutni i spytał:

– Masz coś dla mnie?

– Pokłonić się wielmożnemu panu przyszłam. Od Nastki – dodała ciszej.

– Gdzie ona?

– W robocie, jaśnie wielmożny panie. Przy krowach rączęta utrudza. Trzeba by jej jakiś lżejszy chleb obmyślić, jaśnie wielmożny panie. Nie

żyje ona z nim, panie, nie żyje, nie mogłaby z nim żyć, jaśnie wielmożny pan sam pomyśl...

– Co powiadasz? – Chorąży aż poczerwieniał z wrażenia.

Stara gwałtownie się przeżegnała.

– Żeby tak skonać nie mogła! – wykrzyknęła.

– Ciszej ty – upomniał ją Bełzecki przez zęby.

– Ja wiem, wiem, że cicho trzeba... Nie żyje Nastka z przygłupem, od dawna nie żyje, on przez nurków przekabacony, tknąć jej nie śmie, a ona sokolica wielce z tej przyczyny rada... Czysta ona teraz jak mniszka. – Szeptem dodała: – Jak jałowica czysta i tylko ciebie, pana swojego, czeka...

– Boże mój! – usłyszał Tomasz ciężkie westchnienie chorążego. Wygląda staro, pomyślał nagle. – Czy mnie nie zwodzisz? – spytał za złą podejrzliwością Bełzecki. – Bo jeśli zwodzisz...!

– Ciebie, mój panie? Toż to byłby grzech! Przyjdź, wielmożny, przybywaj choćby zaraz...

– Ciszej, na Boga!

Zaczęli sobie poszeptywać ci dwoje, pan i wiedźma wiejska. Raz ona, raz on kiwali głową na znak, że zrozumienie pełne. Nareszcie, pomyślał Tomasz, nareszcie ktoś wziął sprawy Nastki w swoje ręce i o jej korzyść się upomina.

– A on tutaj? Przyszedł? – spytał pan chorąży.

– Tutki on, wasza wielmożność – odpowiedziała Majbutnia. – Czeka pokornie, co postanowisz.

Bełzecki spojrzał na przygłupa siedzącego w cieniu dębu.

– Daruję mu winy – powiedział z wyniosłą łaskawością.

– Dzięki ci, dobrodzieju nasz!

– Nie odchodźcie, skończę z panią rozmowę, to was czymś obdarzę.

– Twoja wola, wielmożny panie, twoja.

Bełzecki skinął na Tomasza.

– Wybacz – powiedział – zajęty jestem. Potem ci służę.

– Rozumiem, wasza miłość. Pozwól zapytać o jedno: czy panna chorążanka zdrowa?

– Och, zdrowa, taki – Bełzecki wydawał się zmieszany i może właśnie dlatego szorstki. – Ty do mnie ze sprawą?

– Do waszej wielmożności także, jeśli pozwolisz. Ale chciałem zobaczyć pana Witoszyńskiego.

– Znajdziesz go w zbrojowni.

– Wasza wielmożność nic mi nie masz do powiedzenia? – spytał Tomasz.

– Nie, nic. – Bełzecki cofnął się do progu. – Wybacz, mamy z panią chorążyną pilne narady.

Tomasz wziął od Świrskiego rulon suplik i poszedł szukać Witoszyńskiego. Znalazł go w podziemiach, w obszernym niskim pomieszczeniu o łukowatych sklepieniach z czerwonej, nie tynkowanej cegły. Wzdłuż ścian na drewnianych stojakach pomieszczona była broń sieczna. Światło padało od góry z małych okienek chronionych błonami. Żelazo, myślał Tomasz przyglądając się broni, w sam raz miejsce dla byłego zbójcy. Witoszyński, wysoki, chudy, w kaftanie bez rękawów na białej koszuli, przywitał go w milczeniu mocnym uściskiem dłoni. Oczy miał podkrążone, cera, zawsze śniada, miała niezdrowy żółty odcień. Zbójnictwo mu bardziej służyło, pomyślał Tomasz i spytał:

– Przeliczasz broń?

– Chcę wiedzieć, ile czego mamy.

Tomasz dotknął nagiej, szerokiej główki starego miecza.

– Rdzy tu nie masz?

– Nie, miejsce jest suche. Można by i proch trzymać. – Witoszyński rozejrzył się. – Tam, pod przeciwległą ścianą. Waćpan do mnie przyjechałeś?

– Tak. Z prośbą.

– Słucham cię.

– Waćpan widzisz te supliki? Chciałem ci je wręczyć.

– Dlaczego mnie?

– Bo to są supliki w sprawie Błudnickich.

– Nie rozumiem.

– Błudnickich z Podola. Waćpan ich chyba znałeś?

– Znałem – przytaknął Witoszyński.

– Nie wiesz, co z nimi teraz?

– Wiadomo, co. – Witoszyński wzruszył ramionami. – Stało się.

– Waćpan nie pojechałbyś do nich na Podole?

– Po co?

– Byłbyś tam rzecznikiem moim. W suplikach tych ja oskarżenie przez ojca zadane odwołuję.

Witoszyński spojrział na niego i zaraz umknął wzrokiem.

– Bardzo to z waćpana strony szlachetnie – powiedział. – Ale chyba za późno.

– Może i nie.

– Czemu sam nie pojedziesz?

– Boby mnie usiekli, zanimbym co zdziałał.

– To możliwe.

– Jest między nimi ktoś, kto umie zemsty dochodzić – powiedział Tomasz.

– Skąd ta myśl?

– Ojca mojego zabił. A jeśli ojcu zemstę poprzysiągł, to i pewnie całemu jego rodowi, do dziesiątego pokolenia.

– Ale waćpan żyjesz!

– Tak, żyję, i to dzięki tobie. Dlatego do ciebie mam największe zaufanie. I mnie, i chłopca ze zbójnickich rąk uratowałeś.

– Czego waćpan ode mnie żądasz? – spytał Witoszyński lekko zniecierpliwiony.

– Żebyś pomógł mordercę odkryć.

– Sądzisz, że to jeden z Błudnickich?

– A kto? Miał powody do zemsty!

– I co z nim uczynisz, z onym mordercą?

– Tego jeszcze nie wiem. Ale to wiem, że zbrodnia nie odkryta obciąża wielu ludzi.

– Na przykład kogo? – spytał Witoszyński.

– Na przykład pana chorążego. Dlatego liczę, że udzieli on waćpanu zgody, byś mógł na miesiąc służbę rzucić. Pojedziesz tam, supliki złożysz, energicznie się za to weźmiesz, ale i tropieniem mordercy się zajmiesz.

– Nie wiem, jak.

– Wybadasz, kto w onym czasie do Sańska mógł się udać. Kto pana Ligęzę mógł znać. Kto nożem zdolny był pchnąć.

– Nie wierzę – powiedział Witoszyński – żeby tego mordu mógł dokonać ktoś z nich.

– Dlaczego?

– Ot tak. Nie wierzę, i już. Schłopiony na taki czyn się nie zdobędzie. Zabraknie mu zuchwałości. Do tego trzeba kogoś innego, kogoś, w kim jeszcze duch nie spętany. Ktoś z zewnątrz, związany jakoś z tymi Błudnickimi.

– Ale jak?

– Na przykład uczuciem. Miłośnik, któremu kochankę schłopiono, ten mógł zemstę zaprzysiąc.

– Nietrudno ci będzie go znaleźć.

– Nietrudno – potwierdził Witoszyński. – Dalej: ów Błudnicki, gdyby raz na drogę zemsty wkroczył, już by nie spoczął. I ty byś padł ofiarą, i Rosiński jako wyroku egzekutor.

– Rosiński nie żyje – przypomniał Tomasz.

Witoszyński wyglądał, jakby ocknął się ze snu.

– Prawda, nie żyje – potwierdził.

– Ale to myśmy go zabili: ja, ty, pan Ligęza.

– I chłopiec ariański.

– Tak, chłopiec ariański.

Witoszyński zadzwonił zdjętym ze stojaka koncerzem. Był bez rękonoży, sama klinga, mocno pociemniała. Odłożył ją na bok do naprawy. Chłopiec ariański, powtórzył w myśli Tomasz. Nagle wyłamał się z Zakonu Bożego, chwycił żelazo, ciął po szyi. Krew chlusnęła. Już nie może wrócić do zboru, jest wyklęty. Ojciec twój zamordowany został w Sańsku, nie zapominaj o tym. Witoszyński przeglądał broń, odkładał niektóre sztuki na bok. Dużo tego żelastwa, można by zacząć małą wojenkę. W Sańsku, myślał usiłując się skupić. Sto kamieni! Sto kamieni! Nie szlachcic i nie chłop. Morderca nie miał szabli (uwaga, jesteś na tropie!), więc pchnął nożem. Kosturowiec?! Ależ to niemożliwe. A Maciej? Tak, kosturowiec, ale takiego zbór by potępił, wyklął. Wyklęli kogoś! – przypomniał sobie nagle. Ze wstrętem wspominali o jakimś odstępcy. Ach, więc to morderca! (Jesteś na tropie, na tropie!). Ktoś, kto wkradł się między nich, zaufali mu jak swojemu, a on złamał zakon. Ligęza wiedział, kto to jest, wiedział wszystko. Uznał, że tamten miał prawo do rozlania krwi. Mściciel! (Na tropie. Nie zbaczaj! Myśl! Trzymaj się tego). Mściciel, mściciel-odstępca.

A sto kamieni? Ukamienowali trupa. Tak, trupa, oni, słudzy Boży, to uczynili. Ale po co? Przez solidarność? Mimo że morderca ich skrzywdził, zbezczeszczył, oszukiwał, powtarzając wraz z nimi „mojać jest pomsta”, powtarzał to i czyhał na swój wielki dzień, na ów schyłek nocy, kiedy będzie mógł dokonać zemsty grzesznej. Oni, kamienując trupa, wzięli część grzechu na siebie. A potem nie donieśli na zbrojcę, miotali się zresztą w rozterce, próbując odgadnąć w sumieniu swoim, jaki winien być do potwornego odstępcy stosunek – więc nie, zdecydowali, donieść nie wolno, byłoby to odstępstwo po odstępstwie – wreszcie „zbór zgrzeszył”, powiedział brat Kowacz, sam na śmierć ku Rosińskim idąc, zgrzeszył solidarnością z dokonaną już zbrodnią, samym faktem, że to jeden spośród nich krew rozlał, a oni trupa pośmiertnie ukamienowali. (Czy wyładowywali nienawiść? Czy uważali wtedy, że nie zabijając, grzechu nie popełniając – jednak się mszczą? Może dlatego brat Kowacz powiedział: „zgrzeszyliśmy...”). Brat Kowacz. To jego śmierci nie mógł Witoszyński darować Stachowi. „Opętał cię ten brat Gabriel”. „Tak jest, opętał”. Brat Kowacz: raz jeden słyszałem, jak kogoś nazwał panem! W karczmie łopieńskiej śniadolicy zbrojca w półpancerzyku rzekł doń: „bracie”, skomlał o tego brata, ale brat Gabriel odepchnął go i powiedział „odejdz, waćpan”. Waćpan. Tak brat Gabriel potraktował odstępce.

– Panie Witoszyński – odezwał się Tomasz.

– Słucham waszmości.

Morderca ojca stał przed nim wyprostowany, poźółkły na twarzy. Czy już domyśla się, że ja wiem? Siedziałem naprzeciw niego w karczmie łopieńskiej. Każko przysięgał się, że nie jest zabójcą, i wtedy ktoś wino rozlał. Pytałem Każka, jakie mogły być powody mordu. Każko się zmieszał, spojrzął na prawo, spojrzął na lewo. Na prawo siedział zabójca.

– Tyś nasz krewniak, panie Andrzeju? – spytał Tomasz.

– Błudnickich krewniak. Ale daleki.

– Jednakżeś Leliwa?

– Leliwa.

Tomasz wyciągnął z trzosa złoty sygnet.

– To twój? – spytał.

Witoszyński wziął sygnet, obrócił go w rękę, a potem nałożył na palec.

– Mój.

Głos zabrzmiał ochryple. Pożółkła cera nabrała rumieńca. Milczeli przyglądając się sobie badawczo. Z nożen zawieszonych u pasa Witoszyńskiego wystawała rękojeść noża. Teraz, pomyślał, teraz powinien wyciągnąć nóż i wbić mi go w serce. Spytał:

– Twoi też schłopienci zostali?

– Nie. My nieosiadli, bez majątności, naszym szlacheństwem nikt się nie interesował.

– Nikt, to znaczy mój ojciec.

– Tak, mam na myśli waszmościów ojca.

Tomasz wskazał na nóż: – To ten? – spytał.

– Tak, ten.

Czułem jego ostrze w plecach, przypomniał sobie. Nóż, który ugodził mojego ojca w serce, mojego ciała też dotykał.

– Przeciąłeś mnie nim więzy – przypomniał.

– Tak.

– Dlaczegoś to uczynił?

Witoszyński rozłożył ręce.

– Nie wiem. Dość miałem wszystkiego.

– Aleś był przysięgł całemu rodowi zemstę? Do dziesiątego pokolenia?

– Tak.

– I zrezygnowałeś?

– Tak. Wtedy właśnie, w tej karczmie.

– Kosturowcy cię zdążyli trochę skruszyć?

– Na pewno. – Witoszyński chwilę milczał. Naraz powiedział łamiącym się głosem: – Ja nie urodziłem się zabójcą.

Kiedy Tomasz nic na to nie odrzekł, Witoszyński odezwał się cicho:

– Widziałem samotność twoją... I dzielność. Kosturowcem nigdy w głębi duszy nie byłem. Jenom wiedział, że ojciec twój u nich bywa, i dlatego... Ciężko mi było na duszy. I nigdy już ciężko być nie przestanie... Wiesz, czyją ja krzywdę mściłem? Nie domyślasz się? Jam ci już podpowiedział.

– Nie umiem się domyślić.

– Dziewka między Błudnickimi była, Kazimiera, delikatna, cienka, blada, z dużymi oczyma. Włosy czarne, długie... Miłowaliśmy się, obiecaliśmy sobie ślub. Pociągnąłem na wojnę, żeby wrócić bogatszy, bom biedak przecież, ona obiecała mi wiary dochować. Wróciłem, wiesz sam jaki, boś i ty tam był – w większej nędzy, niż poszedłem, i co zastaję? Rodzina jej cała w poddaństwie, wydziedziczona, ona za mąż wydana.

– Czemuś mnie nie zabił? – szepnął Tomasz.

– Nie trafiła najgorzej, od poddaństwa umknęła, tam mieszczanin jeden, siodlarz trembowelski, prędko się uwinął i wziął ją do siebie, zanim wyrok zapadł; ona już dwoje dzieci mu urodziła. Na mnie i spojrzeć nie chciała. „Odejdź ode mnie, powiedziała, nie mąć mi mojego życia”. On tak samo: gorzałką częstuje, do rana piliśmy, ale on raz po raz jakby ze snu się ocykał i do mnie: „Uchodź stąd, wielmożny panie, błagam, nic tu po tobie, rycerzu, nie burz naszego małego szczęścia”. Pił okrutnie i coraz mnie, chudopachołkowi do rąk przypada, całować je chce. A dwa dni potem zaglądam ja do ogródka, a ona tam z twarzą pobitą, ramiona całe w sińcach, pewnie ją w szale tak pobił.

– Wtedy zemstę poprzysiągłeś?

- Tak.
- Rosińskiemu też?
- Też.
- Jak to, i nie wiedział on, kto zabił?
- Nie.
- A Bełzecki?
- Nie.
- Więc Ligęza mu nie powiedział?
- Ligęza umie sekret trzymać.

W karczmie sądowo-wiszeńskiej udawali, że się prawie nie znają.
Wspólnicy!

I Maciek Wojnarowski nieznajomego udawał.

– Kto jeszcze prócz arian wiedział? – spytał Tomasz.

– Każko.

– I mimo to wziął cię do siebie?

– Mimo to, a może właśnie dlatego. On go też nienawidził. Dałem mu słowo, że póki jemu podlegam, będę zbójcą posłusznym. Ale odszedł Każko i tak ze słowa zostałem zwolniony.

– Więc ty po to do zbójców poszedłeś, żeby ze Stacha oczu nie spuszczać?

– Tak, po to.

– Cóż mi z tobą czynić? – spytał Tomasz.

Witoszyński wyjął nóż z pochwy i rzucił Tomaszowi pod nogi.

– Prowadź – powiedział – jam gotów.

Morderca jego ojca stał przed nim gotów ponieść karę. Tomasz podał mu supliki.

– Weź to, panie Andrzeju – powiedział znużonym głosem.

– Słucham? – zdziwił się tamten.

– Jedź tam i staraj się załatwić sprawę pomyślnie.

– Wasza wielmożność... – wykrztusił Witoszyński.

– I milcz o tym wszystkim, na litość boską, bo jeszcze mnie oskarżą o jednanie się z mordercą.

– Tak, rozumiem – przytaknął Witoszyński skwapliwie. – Wedle woli waszej wielmożności.

Tomasz odwrócił się i pobiegł wąskimi schodkami na górę. Słyszał za sobą szczęk żelaza. Domyślał się, co czyni samotny, długonogi mężczyzna w owej nisko sklepionej izbie. Podnosi z ziemi nóż. Ogląda go z namysłem. Wsuwa do nożen. Bierze się do przerwanej roboty. Ale mu to nie idzie. Zapomniał, po co tu przyszedł. Przeżywa raz jeszcze tamto wszystko. Dziewczyna, teraz żona pijanego siodlarza, pyta go: i po co ci to było? Nic nie było, odpowiada Witoszyński, nic się nie wydarzyło, nie było winy, bo nie ma kary.

– Jesteś! – usłyszał Tomasz głos Bełzeckiego. Jaka nagła w nim zmiana! Niecierpliwie go łaknący, przyjazny, śpieszy objąć ramieniem. – Chodź, chodź, pani chorążyna czeka.

Zaprowadził Tomasza do biblioteki między owe wolumina drogie, których towarzystwo tak lubił. Chorążyna czekała siedząc w krześle głębokim. Tomasz przykląkł i ucałował jej dłoń.

– Wart jesteś, by cię końmi włóczyć – odezwała się nagle. – Cyt! – przerwała mu, gdy usiłował coś wtrącić. – Wiem wszystko.

Chorąży obejrzał się niespokojnie na drzwi. Pani zlekceważyła to.

– Mniejsza – powiedziała – nic to Urszuli nie zaszkodzi. Ale ty, ty, ty chłopaku, nie myśl, że mi się wymigasz! Albo spełnisz jej rozkazy i przychyłisz się do jej woli, albo karę poniesiesz.

– To zależy, jakie rozkazy – powiedział.

– Nie po to tu zjechałam, żeby słyszeć jakieś „zależy”. Wiesz, co ta szalona uczyniła? Orszak w Bochni zatrzymała i kazała mi wracać ze słówkiem do ciebie.

Więc i ona nie może zapomnieć!

– Poczerwieniałeś, gorąco ci się zrobiło, a to nic takiego, nic takiego – zastrzegła się pani.

A jednak to musiało być coś, bo ci dwoje naradzali się długo, zanim mu powtórzyli. Chorąży odchrząknawszy zabrał głos:

– Córka nasza chorążanka, a wkrótce księżna, zwraca się do ciebie, Tomaszku, z propozycją, byś jej towarzyszył do Krakowa w charakterze dowódcy straży przybocznej. Lafę otrzymasz należną, a to pewna, że i od księcia jakaś wioska ci w dożywocie przypadnie.

Lafa. Fawory pańskie. I od czasu do czasu tajemne odwiedziny w pokojach księżny.

– Jest i list do ciebie – powiedział chorąży. – Proszę.

Tomasiku kochany, miły, posępny, tak bardzo pragnę, cię zobaczyć. Umrę z nudów na tym książęcym dworcu. Z tobą tak dobrze się rozumiemy, z tobą jednym językiem mówimy, nieprawdaż? Moglibyśmy sobie dużo, dużo powiedzieć i ty byłbyś blisko, a przecież, tuszę, tego pragniesz? A może się mylę? Zdązysz się ożenić, obrzydliwcz, wszakżeś młody, a co dziewcząt tyczy, to ich na książęcym dworze nie zabraknie. Więc zgódź się i śpiesz, bo mi tęskno. Pamiętaj, że cię miłuję. Jak miłuje się bratnią duszę.

Twoja Orszuła, co się nigdzie nie zapodziała.

– Co powiesz? – spytał chorąży, widząc, że Tomasz przeczytawszy list raz, drugi i trzeci, składa wreszcie kartkę i chowa na piersi.

– Że cała w tym Urszula – powiedział.

– No więc?

– Jaśnie wielmożny panie chorąży, ja do Warszawy śpieszę.

Pani Wiktorja ma rację: wybić się, zasługi mieć, być kimś, bo tylko taki może się o Urszulę starać. I potem wstąpić w szranki.

– Jakże tak do Warszawy? – spytał chorąży.

– Mam listy polecające. Do pana Mikołaja Daniłowicza.

– Do niego samego? Naprawdę? – zdziwiło Bełzeckiego. – On z hetmanem spokrewniony!

– Wiem.

– Od kogo list?

Tomasz uśmiechnął się.

– Wybacz wasza wielmożność, nie mogę tego powiedzieć.

– A ma ten ktoś ucho u pana Daniłowicza?

– Nawet więcej, wasza wielmożność – zapewnił Tomasz z uśmiechem.

Pani Powidajowa, pomyślał, byłaby zadowolona, gdyby to słyszała.

– Cóż ja powiem Urszuli? – Pani chorążyna załamała dłonie.

– Że sługi księżna pani może mieć inne.

– Uwiodłeś, a teraz uciekasz! – zawołała matka Urszuli.

Mógł powiedzieć: nie uwiodłem. Ale powiedział:

– Nie uciekam. – I bardzo cicho: – Idę ku niej.

Matrona nie dosłyszała, ale dosłyszał chorąży.

– On ma rację – powiedział. W głosie jego można było wyczuć tłumiony gniew, gniew na baby, które szlacheckiego junaka nie rozumieją. – Niegodne to jego, co mu Urszula przedkłada. On sam lepiej wie, co mu czynić. Zna on, widzę, Urszulkę na pamięć. Dobrze, Tomaszku, jedź do stolicy, jedź, błysnij tam, choć ci będzie niełatwo, boś nie koligat. Ja też ci dam list polecający, i to do kanclerza biskupa Gembickiego. Słyszałem, że

prymasem ma zostać... Jedź, dosłuż się starostw, a choćby i królewszczyzn. Kiedy wyruszysz?

– Za tydzień.

– Ja tymczasem listy wygotuję.

Skorzystam, pomyślał, z tych samych znajomości, przy których pomocy wydarł nam królewszczyzny i z Nastki uczynił swoją poddaną. Nie, panie, rzucę je do ognia! Na głos powiedział:

– Przyjmę waszmościów protekcję wdzięcznym sercem. Jednakże mam do ciebie, panie chorąży, inną prośbę. Byś pozwolił ruszyć panu Witoszyńskiemu do swoich stron z suplikami, które ja napisałem.

– Tyś napisał? A co w onych suplikach?

– Moje naleganie do wszelkich możliwych instancji, by rozpatrzyły raz jeszcze sprawę schłopionych Błudnickich.

– W jakim sensie?

– By przywrócić ich do herbu i wybawić z poddaństwa.

Belzecki obrócił się gwałtownie ku żonie.

– Słyszałaś? Słyszałaś? – kilka kroków w stronę ksiązek, kilka z powrotem.

– Takiś ty – mruknął. – Takiś ty.

Nagle podszedł do Tomasza i objął go.

– Czemu nie jesteś moim synem? – wzruszył się.

Tomasza owiał znajomy, delikatny zapach z apteczki pani chorążyny. Najlepszy aromatariusz w Sanockiem, przypomniał sobie.

– Mój ojciec – powiedział Tomasz uwolniony z objęć pana chorążego – mój ojciec uczyniłby podobnie. Waćpan mi nie wierzysz! Ale ja jestem pewny. Gdyby żył, gdybym doń przemówił, zrozumiałby swój postępek, wyparłby się go. – Belzecki milczał. Nie wierzy, i słusznie nie wierzy,

pomyślał. Mówiłbym, mówiłbym, ale jak do kamiennej ściany. Jednakże bronił ojca dalej, toczył uparcie swoją rozpaczliwą grę.

– Jeśli ja taki, jaki jestem, waszmości się podobam, to i on nie bardzo był inny.

Oboje Bełzeccy milczeli. Tomasz skłonił się przed panią chorążyną.

– Wasza miłość – powiedział – do ciebie też mam prośbę. Urszulka, panna chorążanka, rozkaz mi wydała, żebym mordercę ojca mojego odkrył. Jam opyt przeprowadził skrupulatny i już wiem wszystko.

– Powiadasz? – usłyszał za sobą głos Bełzeckiego.

– Tak, wasze miłości. Już wiem. Waszmość, panie chorąży, od razu dobrześ ocenił: ogień ojca trawił. Z choroby ojciec zmarł.

– Lekarze potwierdzili? – spytał Bełzecki.

– Potwierdzili. I cyrulik – dodał wspomniawszy Reubena. – Tak proszę, byś wasza miłość powtórzyła Urszuli. Że nie było mordu, więc i nie ma mordercy.

– Powtórzę – obiecała pani chorążyna.

– Dzięki. I jeszcze jedno jej powiedz, proszę.

– Mów, synu.

– Że nadal mam wierszów pełną głowę.

– Co to znaczy? – spytała.

– Ona zrozumie.

Opuścił pośpiesznie izbę. Niech nie widzą łez, niech nie słyszą łamiącego głos wzruszenia. Na stopniach ganku drzemała w słońcu stara Majbutnia. Usłyszawszy Tomasza, otworzyła oczy i z miejsca zamamrotała:

– Nie żyje z nim Nastka, nie żyje, sokolica moja, ani się on jej tknie...

Wracali z Bolatyna razem. Wasyl włókł się z tyłu, zbierając po drodze co zgrabniejsze gałęzie, pewnie kołki nowe szykował do płotu, Majbutnia dreptała obok, chwalać swój spryt. Maje stara Majbutnia hołowu czy ne

maje? Nie żyje Nastka z nim, nie żyje, tilki to chciał pan usłyszeć, no i usłyszał, Majbutnia mohorycz dostała i jeszcze pan obiecał: jak tylko pani w drogę ruszy, pan do Kozłowa zjedzie, hedwabi przywiezie i hroszy dast, buty dla Waśki, obdarowana będzie Nastka nareszcie, a nie jak przy tamtych przeklętnikach, nic ze swojej babiości nie miała, choć po prawdzie za tym ostatnim oczy wypłakuje, wbił jej się w duszę i ciało, infamis z piekła rodem, ale po co płakać, po co, wielmożny panie, jedno umrze, drugie się urodzi, takie to chłopskie życie, będziesz płakać, to zwiędziesz raz – dwa, Nastko, pana swojego pilnuj, on dobry, hojny, nową chałupę ci postawi, ty go obejmij po pańsku, utul, powiadam, szepnij mu słodkie słówko, bo i jemu, powiadam, tego trzeba, wszystkim trzeba.

Kiedy trafili na gościniec, zobaczyli łunę ogromną na północy.

– Obacz, panie Świrski – powiedział Tomasz wstrzymując konia.

– Pożoga przed nami. Nie Tatarzy to?

– Nie – usłyszeli za sobą.

Wasył biegł ku nim truchcikiem z naręczem kołków na ramieniu.

– Ja wiem – powiedział szczerząc zęby w uśmiechu. – Wasył wie. To Sańsk. W Sańsku pożar.

– Lisowczycy! – wykrzyknął Tomasz.

– Nie, nie – zaprzeczył żywo przygłup. – Lud. Lud zgrzeszył. Lud Sańsk pali.

I sto kamieni... Wzięli grzech na siebie.

– Gdzież się podzieją? – spytał.

– A het – tłumaczył przygłup. – Het, het. Pójdą tam i tam, i tam.

– Na cztery strony świata – odezwała się Majbutnia. – Tak słyszałam. Rozejdą się i założą cztery nowe zbory. Bo stary zbór grzechem obarczony.

– Tak, tak – przytaknął żywo Wasył. – Grzech ciąży. Sańsk proklaty. Nie bude Sańska.

Czerwona łuna zasnęła nieboskłon na północy. Stali na gościńcu i spoglądali w tamtą stronę urzeczeni. A naprzeciw im szła grupa pielgrzymów z kosturami w rękach. Słyszeli zbliżający się skrzyp kół, pobekiwanie owiec. To ci, którzy dążą na południe, domyślił się, pewnie aż gdzieś na Węgry.

Przygłup szarpnął go za ramię.

– Pan widzi? Pan widzi? – powtarzał wskazując na zbliżającą się kurzawę pielgrzymów.

Tomasz spojrział na niego. Przygłup nie szczyrzył zębów, nie uśmiechał się. Poprawiwszy na ramieniu kołki: – *Fertig* – powiedział ponuro. – *Fertig* – powtórzył.

– Wasyl wie.

Tak zginął Sańsk. Śladu nawet po nim nie zostało. Nie było mnie przy tym, jak przy wielu innych wydarzeniach ważnych, bom był naonczas jeszcze mały. Podrósłszy opuściłem dwór księżnej pani i na północ się udałem, do państwa Hlebowiczów, którzy mnie do siebie wołali. Dziaduś już nie żył, imienia po nim nie dostałem, ale nie skarżę się, pocziwą służbą niejedno w życiu osiągnąłem. Od moich dawnych znajomków języka nie miałem. Słyszałem, że jakiegoś lisowczyka Ligęzę, i to Stefana, powieszono na Śląsku, ale czy to mój, nie ręczę. Zginął szturmując z wojskiem królewskim Chocim jakiś arianin Wojnarowski – ten to już na pewno mój. Co do pani Urszuli, to wieść niosła, że po śmierci księcia wyszła za mąż za prostego szlachcica ze swoich stron, ale czy był to mój przyjaciel, tegom nigdy nie zdołał się dowiedzieć. O jej obyczajach różnie powiadano, ale ja to na karb złych języków kładę, nie ma powodu obmowiskom wierzyć.

Tym samym dobrnęliśmy do końca długiej opowieści, którą roztoczyłem przed wami nie w innym celu, jak k'woli zabawie i nauce. A jeśli pokrzepi

się przy tym czyjeś serce (bo nauka i prawda, lubo nie zawsze przyjemne, przecież mają moc krzepiącą), to tym lepiej. Tym lepiej, powtarzam. Jednakże myślę, że teraz, kiedy znacie całą prawdę o zbrodni i jej przyczynach, moglibyście wynieść z mej opowieści pełniejszą korzyść, gdybyście jej posłuchali od nowa. Już byście wiedzieli, czemu ów postąpił tak, a tamten znów inaczej. Czemu ktoś zełgał, a ktoś inny zmilczał, ktoś trzeci się przestraszył. Kiedy groza jest prawdziwa, a kiedy pozór jeno. Więc jeśliście nie zmęczeni, to pozwólcie, że zacznę caluteńką opowieść od początku. I wybaczcie, gdy co nieskładnie będzie, wszakżem wtedy był mały i nie wszystkim rozumiał. Posłuchajcie.

Nadszedł ów człowiek od północnej strony, od wąskiej uliczki, co ją rymarze zajmowali. Stałem ukryty za framugą okna i widziałem z góry, jak nadchodzi, wysoki, w kaftanie obcisłym, szedł ostrożnie i miękko, jak kot, co się podkrada, szablisko u boku podtrzymywał, żeby pałętając się nie zawadzało. Idąc rozglądał się zdziwiony...

SPIS TREŚCI

[ROZDZIAŁ I](#)

[ROZDZIAŁ II](#)

[ROZDZIAŁ III](#)

[ROZDZIAŁ IV](#)

[ROZDZIAŁ V](#)

[ROZDZIAŁ VI](#)

[ROZDZIAŁ VII](#)

[ROZDZIAŁ VIII](#)

[ROZDZIAŁ IX](#)

[ROZDZIAŁ X](#)

[ROZDZIAŁ XI](#)

[ROZDZIAŁ XII](#)

[ROZDZIAŁ XIII](#)

[ROZDZIAŁ XIV](#)

[ROZDZIAŁ XV](#)

[ROZDZIAŁ XVI](#)

[ROZDZIAŁ XVII](#)

[ROZDZIAŁ XVIII](#)

[ROZDZIAŁ XIX](#)